

Brian W.

ALDISS

WIOSNA HELIKONII

TOM I KULTOWEJ TRYLOGII HELIKONII



BRIAN W. ALDISS

WIOSNA HELIKONII

(PRZEŁOŻYŁ: MAREK MARSZAŁ)

SCAN-DAL

Spis treści

Strona tytułowa

Prolog: JULI

EMBRUDDOCK

I. ŚMIERĆ DZIADKA

II. PRZESZŁOŚĆ JAK SEN

III. SKOK Z WIEŻY

IV. KORZYSTNE GRADIENTY TEMPERATURY

V. ZACHÓD DWOJGA SŁOŃC

VI. „GDYM ZALAŁ SIĘ JAK GŁUPPOCK...”

VII. ZIMNE POWITANIE FAGORÓW

VIII. OBSYDIANIADA

IX. W MUSŁANGACH I BEZ

X. WIELKI CZYN LAINTALA AYA

XI. ODCHODZI SHAY TAL

XII. LORD WYSPY

XIII. WIDOK Z PÓLROONÓWKI

XIV. PRZEZ UCHO IGIELNE

XV. SWĄD SPALENIZNY

*Gdzież liczne czyny mężów ówczesnych się podziały,
Że nie zakwitły nigdzie na wiecznych pomnikach chwały?
Tymczasem świat naprawdę to jeszcze istny młodzik
I myślę, że niedawno dopiero się narodził.
Wiele umiejętności powstaje coraz nowych,
Inne się ulepszają. Patrz – w sprzęcie okrętowym
Ileż zmian! A muzyka – jakże jest jeszcze młoda!
Oto naukę naszą niedawno ludziom podał
Mistrz nasz, a ja dopiero wśród Rzymian jestem pierwszy.
Co ją wyjawiam słowem pięknych ojczystych wierszy...
Lukrecjusz O naturze wszechrzeczy, 55 p. n. e.*

Prolog: JULI

O tym, jak Juli, syn Alechawa, przybył do miejsca zwanego Oldorando, gdzie jego potomkowie mieli mnożyć się szczęśliwie z nastaniem lepszych dni.

Juli był już prawie dorosłym, siedmioletnim mężczyzną, kiedy u boku ojca przycupnął pod skórą na skraju pustkowi nawet wówczas znanych jako Kampanlat. Z płytkiej drzemki wyrwało go szturchnięcie łokciem w żebra i ochryply głos Alechawa:

– Wicher wstaje.

Wicher dał z zachodu przez trzy dni, niosąc śnieg i lodowe okruchy od dalekich Barrier. Przeistaczając wszystko w białoburą ćmę, napełniał świat potężnym wyciem, jakimś potwornym krzykiem, nie do zniesienia dla człowieka. Grań, na której koczowali, niewielką tworzyła osłonę przed furią żywiołu; ojcu z synem nie pozostało nic innego, jak zakopać się pod skórą, gdzie na zmianę to przysypiali, to żuli po kawałku wędzonej ryby, podczas gdy nad nimi przewalała się nawałnica.

Wicher ustał i pojawiły się płatki śniegu; roztańczony puch zasypywał jałowy pejzaż. Co prawda łowcy bawili w tropikach, więc Freyr stał wysoko, ale jakby przymarznięty do nieboskłonu. Nad głowami ludzi falowały jego promienie podobne złotym zasłonom, których frędzle zdawały się tykać ziemi, fałdy zaś wznosiły się coraz wyżej i wyżej, ginąc w ołowiowym zenicie nieba. Niewiele dawały światła i ani odrobiny ciepła.

Ojciec i syn powstali instynktownie, przeciągając się, przytupując, zabijając gwałtownie ręce o pękate jak beczki tułowie. Nic nie mówili. Nie było o czym. Zamieć przeszła. Wiedzieli, że trzeba im czekać dalej. Że wkrótce nadejdą jajaki. Że wtedy skończy się czekanie.

Wszelka rzeźba falistego terenu przepadła pod okrywą śniegu i lodu. Wzgórza za plecami dwójki ludzi również niknęły w białej powłoce. Tylko hen na północy majaczyła ciemna, posępna szarzyzna tam, gdzie niebo jak posiniaczone ramię opadało na spotkanie morza. Jednak oczy ludzi uporczywie spoglądały na wschód. Przez pewien czas przytupywali i zabijali ręce, aż powietrze wokół nich wypełniło się kłębamii pary z oddechów, po czym ponownie zalegli pod namiotem.

Alechaw ułożył się wsparty opatulonym w futro łokciem o skałę, dzięki czemu mógł wbić głęboko kciuk w zagłębienie lewego policzka, złożyć na nim ciężar głowy i osłonić oczy czterema zagiętymi palcami w rękawicy. Syn wyczekiwał z mniejszą cierpliwością. Wiercił się, jakby go gryzły szwy futra. Ani ojciec, ani syn nie byli stworzeni do tego rodzaju łowów. Z dziada pradziada chadzali w Bariery na niedźwiedzia. Lecz lodowaty dech z podniebnych, nieprzebytych, wichrowych krtani Barrier zegnał ich wraz z chorą Onesą w dół, na cieplejsze niziny. Toteż Juli odczuwał niepokój i podniecenie.

Jego złożona chorobą matka, siostra oraz rodzina matki znajdowali się o parę mil stąd, wujowie jeszcze dalej, na ryzykownej wyprawie w zamarzniete morze, z saniami i oszczepami o kościanych grotach. Juliego pożerała ciekawość, jak też sobie radzą podczas parodniowej wichury, a może właśnie w tej chwili uczują, gotując ryby albo kawały foczego mięsa w brązowym kociołku matki. Wspomniął aromat mięsa w ustach, chropowatość zmieszanej ze śliną papki w przetyku, smak... Od tych myśli zaburczało mu w pustym brzuchu.

– Patrz tam! – Ojcowski łokieć wraził mu się w biceps.

Stromy wał ołowianych chmur wypłynął raptownie na niebo przesłaniając Freyra, zasnuwając cieniem ziemię. U podnóża skarpy, na której przywarowali, rozpościerała się wielka, skuta lodem rzeka – Juli wiedział, że zwano ją Vark. Przykryta była tak grubą warstwą śniegu, że dopiero przechodząc przez nią odgadli, że mają pod sobą rzekę. Brnąc po kolana w puchowej zaspie usłyszeli cichutkie dzwonienie pod butami:

Alechaw zatrzymał się i przytknąwszy oszczep grotem do lodu, a tyłcem do ucha, nasłuchiwał mrocznego nurtu wody gdzieś głęboko spod lodu. Niewyraźne zarysy pagórków znaczyły przeciwległy brzeg Varku, gdzieniegdzie upstrzony czarnymi plamami zwalonych drzew, na poły przysypanych śniegiem. Za nim biała pustynia biegła hen ku brunatnej linii wyrzynającej się z posepnych kurtyn wschodniej dali nieba. Mrużąc oczy Juli wpatrywał się w tę linię i wpatrywał. Oczywiście ojciec miał rację. Ojciec zawsze miał rację. Serce mu rosło, że to on jest Juli, syn Alechawa. Szły jajaki.

Niebawem rozróżnili pierwszy szereg zwierząt idących zbitą, szeroką ławą, poprzedzaną, jak dziób statku, falą śniegu, który pryskał spod chwackich kopyt. Szły ze spuszczoneymi łbami, a za nimi następne i następne, bez końca. Juliemu wydawało się, że spostrzegły jego i ojca i że wałą prosto na nich. Zerknął trwożliwie na Alechawa, który ostrzegawczo podniósł palec.

– Czekaj.

Juli dygotał pod swym niedźwiedzim futrem. Nadchodziło jedzenie, tyle jedzenia, że mogliby się najeść do syta wszyscy co do jednego członkowie wszystkich plemion, którym kiedykolwiek jaśniał Freyr z Bataliksą czy też uśmiech Wutry. W miarę zbliżania się stada sunącego równym tempem, zbliżonym do szybkiego kroku człowieka, Juli próbował uzmysłowić sobie jego ogrom. Białopłowe grzbiety maszerujących zwierząt wypełniły już połowę krajobrazu, a wciąż nowe wyłaniały się spoza wschodniego horyzontu. Któż wiedział, co kryje się w tamtej stronie, jakie tajemnice, jaka groza? Ale i tak nie mogło tam być nic gorszego od Barrier, od ich ścinającego krew mrozu, od owej rzygającej ławą po dymiącym stoku, olbrzymiej czerwonej paszczy, która mignęła kiedyś Juliemu wśród kłębowiska gnanych wichrem chmur.

Można już było ocenić na oko, że żywa lawina zwierząt nie składa się z samych jajaków. W ich mrowiu tkwiły gromadki większych stworzeń, górując niczym bloki skalne nad ruchomą równiną. Te większe zwierzęta przypominały jajaki; taka sama wydłużona czaszka, uzbrojona po obu stronach w zgrabne, zakręcone rogi, taka sama kudłata grzywa, opadająca na zmierzwioną sierść, taki sam garb na grzbiecie, bliżej zadu. Za to wzrostem przewyższały jajaki o połowę. Były to olbrzymie bijajaki, potężne stworzenia, zdolne unieść na grzbiecie dwóch ludzi, jak powiedział Juliemu jeden z wujów.

Jako trzecie płątały się w tej gromadzie gunandu. Wszędzie ha obrzeżach stada Juli dostrzegał ich sterczące szyje. Podczas gdy chmara jajaków obojętnie parła naprzód, gunandu harcowały nerwowo po flankach, kręcąc małymi główkami na długich szyjach. Najbardziej widoczne były ich wielgachne uszy, którymi strzygły na wszystkie strony, nasłuchując wszelkich podejrzanych odgłosów. Para nóg, niczym wielkie tłoki, napędzała okryty długowłosym futrem tułów tego pierwszego dwunożnego zwierzęcia, jakie zobaczył Juli. Gunandu poruszały się dwakroć szybciej niż jajaki i bijajaki, przemierzały dwakroć większy dystans, jednak nie odłączając ani na chwilę od gromady. Potężny, głuchy, nie milknący łoskot poprzedzał nadejście stada. Leżący u boku ojca Juli bardziej odgadywał niż wypatrywał z ukrycia te trzy gatunki. Zwierzęta zlewały się bowiem ze sobą w pstrą mozaikę światła i cieni. Czarny wał chmur nadciągał szybciej niż stado i całkowicie przesłonił już Bataliksę: dzielna strażniczka znów pozostanie niewidoczna przez wiele dni. Po ziemi sunął rozfalowany żywy dywan, w którym ścieżki pojedynczych zwierząt ginęły jak prądy w rwącej rzece. Jeszcze bardziej skrywając zwierzęta wisiał nad nimi tuman powstały z potu, ciepła i drobnych

skrzydlatych insektów, zdolnych mnożyć się jedynie w ciepłe tego stada krzepakopytnych.

Oddychając szybciej Juli ponownie wyteżył wzrok i oto pierwsze szeregi stworzeń docierały już do otulonych śniegiem brzegów Varku. Były blisko, coraz bliżej, cały świat był jednym niepowstrzymanym tabunem zwierząt. Rzucił ojcu błagalne spojrzenie. Alechaw dostrzegł ruch głowy syna, lecz wpatrywał się przed siebie nieporuszony, zaciskając zęby, zmrużywszy od zimna oczy pod krzaczastymi brwiami.

– Leż – rozkazał.

Żywa fala rozpetzła się brzegiem rzeki, wezbrała, runęła na niewidoczny lód. Niektóre stworzenia, dorosłe niezdary i rozbrykane źrebaki, potykały się o ukryte pnie drzew, jak oszalałe wierzgając długimi nogami, dopóki nie stratowała ich lawina kopyt.

Widać już było poszczególne sztuki. Nisko opuszczone łby. Wytrzeszczone ślepia w obwódkach szronu. Grube, zielonkawe sople śliny u pysków. Para buchająca z rozdętych chrap osiadała lodem na kudłatych czołach. Większość zwierząt była w oplakany stan – brnęły w mozołe, uwalane błotem, odchodami i krwią, z sierścią zwisającą w luźnych strąkach, podartych rogami sąsiadów na strzępy. Zwłaszcza bijajaki z olbrzymimi pagórami szarych kudłów na kłębach, jakby świadome, że przed nimi czai się coś groźnego, ku czemu zmierzają nieuchronnie, z jakimś tłumionym niepokojem szły w morzu pomniejszych krewniaków, wywracając ślepiami na każdy kwik tych, które padały.

Horda przekraczała zamarznąłą rzekę, ubijając kopne śniegi. Odgłosy wyraźnie dolatywały dwóch czatowników; odgłosy nie tylko kopyt, ale i chrapanie; nie milknący chór stęknień, parsknięć i prychnień, trzaskanie rogu o róg, furkot uszu strzepujących uparte gzy.

Trzy bijajaki, bark w bark, zeszyły na lód, który pękł z ostrym, donośnym trzaskiem. Kawały kry metrowej prawie grubości stanęły nad tonią dęba pod ciężarem prących na oślep zwierzaków. Jajaki ogarnęła panika. Te na rzece usiłowały rozbiec się we wszystkie strony. Wiele potykało się i już nie podnosiło spod nawały towarzyszy. Szczelina rosła. Szara, nieposkromiona woda trysnęła w powietrze – bystra, lodowata rzeka wciąż żyła. Rwała, kotłowała się i pieniała, jakby uradowana wolnością, zwierzęta zaś tonęły w jej nurcie, rycząc, z otwartymi pyskami. Nic nie mogło powstrzymać nadciągających zwierząt. Stanowiły żywioł na równi z rzeką. Napływały niestrudzenie przykrywając padłych współbraci, przykrywając świeżo otwarte w Varku rany, wypełniając je masą ciała, aż wreszcie zalały drugi brzeg.

Teraz Juli podniósł się na kolana i z ogniem w oczach potrzęsnał kościanym oszczepem. Ojciec chwycił go za ramię i przygniótł do ziemi:

– Patrz, durniu, fagory – rzekł zmierzwiwszy syna wściekłym, pełnym wzdargy spojrzeniem i wyciągniętym oszczepem wskazał niebezpieczeństwo.

Wstrząśnięty Juli znów przypadł do ziemi, wystraszony gniewem ojca nie mniej niż myślą o fagorach. Stado jajaków tłoczyło się wokół ich skały, przepływając z obu stron jej zwietrzałego podnóża. Brzęczące nad nerwowo rozedrganymi grzbietami muchy i tnące insekty spowiły teraz chmurą i Alechawa, i Juliego, który wytrzeszczył oczy, aby w tym tumanie dojrzeć fagory. Początkowo nic nie zobaczył. Jak okiem sięgnąć widać było jedynie żywą, kudłatą lawinę, wprawioną w ruch siłami nieodgadnionymi przez człowieka. Otuliła zamarznąłą rzekę, otuliła brzegi, otuliła szary świat po daleki horyzont, wsuwając się tam pod bure chmury jak koc pod poduchę. Wessała setki tysięcy zwierząt, nad którymi kąśliwe muchy zawisły czarną, bezkresną mgławicą.

Alechaw ściągnął syna w dół i krzaczastą brwią wskazał jakiś punkt w lewo. Na pół ukryty pod służącą im za namiot skórą Juli wlepił spojrzenie we wskazaną stronę. Dwa ogromne bijajaki kroczyły prosto na ich stanowisko obserwacyjne. Potężne, porośnięte białym włosem barki niemal

sięgały skalnego ganku. Juli zdmuchnął muszki sprzed oczu i białe kudły okazały się kudłami fagorów. Cztery fagory, po dwa na grzbiecie każdego bijajaka, kurczowo czepiały się sierści swoich wierzchowców. Jak mógł nie zauważyć ich wcześniej. Choć stopione z ogromnymi rumakami, prezentowały światu butę tych, co jadą, gdy inni maszerują. Jak przyrośnięte do grzbietów bijajaków, fagory zwróciły posępne, bycze twarze ku wyżynie w dali, gdzie stado zatrzyma się na popas. Pod wygiętymi do góry rogami świeciły oczy. Co rusz któryś wysuwał biały mlecz i zapuszczając go w szczeliny potężnych nozdrzy wymiatał dokuczliwe muszki. Niezgrabne głowy siedziały na cielskach w całości porośniętych długim białym włosem. Fagory były białe od stóp do głów – z wyjątkiem różowo-szkarłatnych oczu. Jechały na bijajakach, jakby stanowiły z nimi jedno. Za ich plecami bujały się prymitywne skórzane juki z pałkami i innym orężem.

Wyczulony już na zagrożenie Juli dostrzegł inne fagory. Jedyne uprzywilejowani jechali wierzchem. Fagorze pospółstwo wędrowało na piechotę, dotrzymując kroku zwierzętom. W napięciu, nie osmielając się nawet spędzić much z powiek, Juli dojrzał grupkę czterech fagorów przechodzących kilka metrów od miejsca, gdzie leżał z ojcem. Bez trudu wraziłby oszczep między łopatki idącego na czele, gdyby Alechaw rzucił taki rozkaz. Ze szczególnym zainteresowaniem patrzył na mijające go rogi, para za parą. Chociaż w nikłym świetle wyglądały na gładkie, wewnętrzna i zewnętrzna krawędź każdego rogu była ostra od nasady po szpic. Dużo by dał za jeden taki róg. W dzikich ostępach Barrier rogi fagorów służyły za broń. Właśnie z ich powodu uczeni mężowie w odległych miastach, kryjących się po zacisznych dolinach, nazwali fagory rasą ancipitów: gatunkiem obosiecznych ostrzy.

Ancipita na czele niezmordowanie wyciągał nogi. Z braku normalnego stawu kolanowego jego krok wydawał się nienaturalny. Fagor maszerował jak automat, zapewne od wielu już długich mil. Odległość nie stanowiła żadnej przeszkody. Typowym dla fagorów zwyczajem długą, wysuniętą do przodu głowę zwiesił między barkami. Do każdego ramienia miał przypięty rzemieniem, skierowany na zewnątrz, róg zakończony metalowym bolcem. Tymi rogami mógł odsuwać od siebie zwierzęta, które podeszły za blisko. Poza tym nie miał broni, tyle że jeden z jajaków wiozł tobołek z jego dobytkiem, w skład którego wchodziły włócznie i myśliwski harpun. Sąsiednie zwierzęta chcąc nie chcąc dźwigały bagaże innych fagorów z tej gromadki. Za przywódcą podążały jeszcze dwa samce, jak się zdawało Juliemu, oraz samica – lżejszej budowy, z przytroczoną do pasa torbą. Pod długim, białym włosem majtały jej się różowawe wymiona. Na ramionach niosła małe, niepewnie ucepione sierści matczynej szyi, z głową złożoną na jej głowie i z zamkniętymi oczami. Pagórka stąpała machinalnie, jakby w transie. Można było tylko snuć domysły, ile już dni idzie tak z towarzyszami, czy z jak daleka.

Przeciągały kolejne fagory, z rzadka rozsiane po obrzeżach stada. Zwierzęta nie zwracały na nie uwagi, pogodziwszy się z nimi jak z gzami, nie mając wyboru. Łoskotowi bijących o ziemię kopyt towarzyszyło sapanie, rżenie i puszczenie wiatrów. I jeszcze jeden dźwięk. Fagor wiodący mały oddziałek wydawał jakieś pomruki czy warknięcia, jazgotliwe tony różnej wysokości, modulowane drgającym językiem, być może dla podniesienia na duchu prowadzonej przez niego trójki. Ten odgłos nappełniał Juliego przerażeniem. Wkrótce ucichł w miarę oddalania się czwórki fagorów. Dalsze zwierzęta, a potem dalsze fagory płynęły nieprzerwanie, niepowstrzymanie. Juli z ojcem, plując muszkami od czasu do czasu, leżeli bez ruchu i czekali odpowiedniej chwili, żeby uderzyć i zdobyć potrzebne im jak nigdy dotąd mięso.

Przed zachodem słońca zerwał się znowu wicher, tak jak poprzednio wiejąc od lodowatych czap Barrier prosto w pyski wędrownej armii. Ciągące w jej szeregach fagory maszerowały z opuszczonymi głowami, z oczami jak szparki, a z kącików ich ust rozpryskiwały się długie strużki

śliny, zamarzając im na piersiach, jak zamarza ciśnięte na lód sadło.

Świat sposepniał. Wutra, bóg niebios, zwinął kurtyny światłości i spowił swoje królestwo w całun chmur. Pewnie przegrał kolejną bitwę. Freyr wyrzwał spod tej ciemnej zasłony, kiedy dotykał już horyzontu. Pasma chmur podwinęły się, odsłaniając złote popioły, w których żarzył się strażnik. Dziarsko świecił nad pustkowiem, małeńki, lecz pełen blasku, świecił mocniej i bardziej oślepiająco niż jego gwiazdna druhna Bataliksa, mimo że miał trzy razy mniejszą tarczę. Pogrzyżył się w łonie ziemi i zniknął. Nastął półdzień, który przeważał latem i jesienią i który stanowił bodajże jedyną różnicę między tymi porami roku a jeszcze sroższymi miesiącami. Półdzień zalał nocne niebo mętną poświatą. Jedynie na Nowy Rok Bataliksa z Freyrem wschodziły razem. Obecnie pędziły samotny żywot, często skryte wśród chmur, stanowiących kłęby dymu z pożogi wojennej Wutry.

Z tego, jak dzień przechodził w półdzień, Juli wróżył pogodę. Smagające wiatry wyczarują niebawem śnieg swymi podmuchami. Przypomniła mu się rymowanka śpiewana w praolonecie, języku magii, rzeczy minionych, czerwonych ruin, języku katastrofy, pięknych kobiet, olbrzymów i obfitości pożywienia, języku niedostępnego wczoraj. Rymowanka ożyła w dusznych jaskiniach Barrier:

Wutra w nędzy

Freyra zwędzi,

Nas w dymie uwędzi.

Jakby w odpowiedzi na zmianę jasności mrowie jajaków przebiegło powszechne drżenie i wszystkie naraz stanęły. Postępując kładły się tak jak stały na udeptanej ziemi, podwijając nogi pod siebie. U przeogromnych bijajaków byłoby to niemożliwe. Pozostały na nogach tam, gdzie im wypadło, uszami osłaniając oczy. Poszczególne grupki fagorów skupiały się dla towarzystwa; większość najzwyczajniej legła obojętnie na ziemi i tak zapadła w sen, plecami wparta w boki znieruchomiałych jajaków.

Posnęło wszystko. Dwie postacie, rozplaszczone na skalnym występie, naciągnęły skórzaną osłonę na głowy i drzemały o pustych brzuchach, ukrywszy twarze w skrzyżowanych ramionach. – Spało wszystko oprócz chmary tnących i ssących insektów. Istoty zdolne do marzeń sennych przedzierały się przez senne zwidy, które przyniósł półdzień. Ktoś, kto by po raz pierwszy spojrział na ten cały obraz pozbawiony cieni, za to pełen nieodstępnej niedoli, wziąłby go nie tyle za wizerunek świata, co scenę oczekiwania na formalny akt stworzenia.

W tym stanie zupełnego bezruchu coś poczęło ruch na niebie, chyba nieśpieszniej od rozkwitania zorzy, która uprzednio zawisała nad sceną. Od strony morza nadleciało samotne marzysko, szybując w powietrzu kilka metrów nad leżącą pokotem masą żywych istot. Z wyglądu było tylko wielkim skrzydłem, rozjarzonym czerwienią jak żar dogasającego ogniska, bijącym z ospałą jednostajnością. Zwierzęta drgały i rzucały się, kiedy nad nimi przelatywało. Przefrunęło nad skałą, na której leżały dwie istoty ludzkie, Juli z ojcem, tak jak jajaki, drgali i rzucali się we śnie, pod wpływem dziwnych wizji. Po czym zjawa odleciała samotnie w stronę gór na południu, zostawiając za sobą ogon czerwonych iskier, które gaśły w powietrzu jak jej echa.

Po jakimś czasie zwierzęta obudziły się i podniosły na nogi. Strzepnęły uszami, krwawiącymi po gzych umizgach, i znów ruszyły naprzód. Ruszyły i bijajaki, i biegające tam i z powrotem gunandu. Ruszyły fagory. Przebudzeni ludzie przyglądali się ich odejściu. Przez cały drugi dzień ciągnęła wielka procesja i szalała zamieć, oblepiając zwierzęta śniegiem. Pod wieczór, gdy wichur gnał strzępy chmur po niebie, a mróz ciął jak nóż, Alechaw dostrzegł tyły stada. Nie były tak zwarte jak czoło. Maruderzy wlekli się w ogonie rozciągnięci na parę mil za stadem. Niektóre zwierzęta kulały, inne rzeżyły boleśnie. Za nimi i po bokach przemykały podłużne puszyste stworzenia, czyhające tylko

na okazję, żeby capnąć za pęcinę i powalić ofiarę na ziemię. Ostatnie fagory wcześniej minęły skalną półkę. Nie szły w ogonie, czy to z szacunku dla szorujących brzuchami po śniegu drapieżników, czy dlatego, że trudno byłoby maszerować po tak stratowanym terenie, przez góry łąjna.

Teraz wstał i ojciec, kiwając na syna. Odstawszy chwilę z oszczepami w garściach, ześliznęli się na równy grunt.

– Bardzo dobrze – powiedział Alechaw.

Śnieg usłany był padliną, zwłaszcza nad brzegami Varku. Ścierwa potopionych zwierząt zatkały wyrwę w lodzie. Z tych, które legły na ziemię, by odpocząć, wiele zamarzło na śmierć i zdążyło już obrócić się w lód. Przeświecały teraz jako czerwone jądra brył lodu, nie do rozpoznania po przejściu zamieci.

Z radości, że może rozprostować nogi, młody Juli popędził susami, wydzierając – się na całe gardło. Dopadł rzeki i przeskakując lekkomyślnie z jednej bezkształtnej bryły lodu na drugą, śmiał się i wymachiwał rękami. Ojciec ostro przywołał go do siebie i wskazał na lód. Krążyły pod nim niewyraźne czarne kształty, niepełne kontury w warkoczach pęcherzyków powietrza. Smużyły szkarłatem mętny żywioł, uwijając się na podlodowej biesiadzie wydanej na ich cześć.

Powietrzem przybywali inni drapieżcy, wielkie białe ptaszyska nadlatujące ze wschodu i ponurej północy. Siadały z ciężkim łopotem i wspaniałymi dziobami kuły lodową skorupę, dobierając się do mięsa. Napychały żołądki, utkwivszy w łowcy i jego synu źrenice pełne ptasiego wyrachowania. Lecz Alechaw nie tracił na nie czasu. Przyzwał Juliego i skierował się na miejsce, gdzie stado wpadło między zwalone pnie; po drodze krzyczał i wymachiwał oszczepem, żeby odpędzić drapieżniki. Tu mieli łatwy dostęp do martwych zwierząt. Choć stratowane, zachowały jeden nie naruszony fragment anatomii – czaszki. Im to Alechaw poświęcił uwagę. Podważał nożem martwe szczęki i zręcznie wycinał grube ozory. Krew skapywała mu z nadgarstków w śnieg. Juli tymczasem wdrapał się pomiędzy pnie drzew i nazbierał drewna. Spod zwałonego pnia odgarnął nogą śnieg, zyskując osłonięty dołek, w którym mógł rozniecić niewielkie ognisko. W cięciwę małego łuku wkręcił zaostrzony patyk, którym zaczął obracać to w jedną, to w drugą stronę. Próchno zatliło się. Podmuchał delikatnie. Wystrzelił maleńki płomyczek, taki sam, jaki często ożywał pod magicznym tchnieniem Onesy. Kiedy ogień rozpalił się na dobre, Juli umieścił na nim swój brązowy kociołek, napełnił go śniegiem i dosypał soli ze skórzanego kapciucha wszytego w futro. Był gotów, kiedy ojciec przyniósł naręcze śliskich ozorów i wrzucił je do kociołka. Cztery ozory dla Alechawa, trzy dla Juliego. Jedli pomrukując z zadowolenia, a Juli starał się uchwycić spojrzenie ojca i uśmiechem okazać radość, lecz Alechaw żuł z marsem na czole i wzrokiem utkwionym w stratowany śnieg. Mieli przed sobą huk roboty. Jeszcze nie skończyli jedzenia, gdy Alechaw podniósł się i kopniakiem rozrzucił żar ogniska. Ścierwojady poderwały się w jednej chwili, by zaraz sięść z powrotem do swej uczty. Juli opróżnił kociołek i przytroczył go do pasa.

Znajdowali się niemal u zachodniego kresu wędrówki ogromnego stada zwierząt. Tu na wyżynie zwierzęta będą wygrzebywać spod śniegu porosty i żerować na zielonych kosmykach brodatego mchu, który otulał modrzewiowe lasy. Tutaj też, na niewielkim płaskowyżu, na część zwierząt przyjdzie czas rozwiązania i wydadzą na świat młode. W szarawym świetle dnia Alechaw z synem zdążali do tego właśnie, odległego o niecałą milę, płaskowyżu. W oddali widzieli ciągnące w tę samą stronę inne grupki łowców, którzy świadomie ignorowali nawzajem swoją obecność. Juli zauważył, że jedynie ich wyprawa liczy zaledwie dwóch ludzi; taką karę płacił ród za pochodzenie z Barrier, nie z równin. Im wszystko przychodziło z większym trudem.

Zgięci we dwoje wspinali się na pochyłość. Szlak usiany był otoczakami, pozostałością po starożytnym morzu, które ongiś ustąpiło przed nacierającym zinnem – lecz oni nic nie wiedzieli i nic

nie chcieli wiedzieć o tych sprawach; dla Alechawa i jego syna liczył się dzień dzisiejszy.

Na skraju płaskowyżu, osłoniwszy oczy przed kąśliwym zimnem, zatrzymali się przepatrując teren. Większość stada odeszła. Jedynym śladem po żwawych jeszcze szeregach były sporadyczne roje insektów w powietrzu i duszący smród. Na płaskowyżu pozostały tylko te osobniki, którym przyszło urodzić młode. Oprócz jajaków były wśród nich i mizerniejsze gunandu, i masywne cielska olbrzymich bijajaków. Leżały pokotem na rozległej przestrzeni, martwe lub prawie martwe, z rzadka jeszcze robiące bokami. Jakaś obca grupa łowców podchodziła do konających zwierząt. Chrząknawszy, Alechaw skręcił w stronę kępy połamanych sosen, pod którą leżało kilka jajaków. Juli stanął nad jednym i przyglądał się, jak ojciec zabija bezradne zwierzę, i tak już jedną nogą na szarych łąkach wieczności. Podobnie jak jego olbrzymi krewniak bijajak oraz gunandu, jajak był nekrorodny – rodził tylko poprzez własną śmierć. Każdy osobnik był hermafrodytą – raz samcem, raz samicą. Zwierzęta te miały zbyt prymitywną budowę, by posiadać takie organy ssaków, jak jajniki i macice. Po sparzeniu, ze wstrzykniętej spermy wewnątrz ciepłych ciał rozwijały się maleńkie niby-larwy, które rosnąc pożerały żołądek żywiciela. Aż wreszcie przychodził moment, w którym larwy jajaka docierały do głównej tętnicy. Wówczas, niczym nasiona na wietrze, rozprzestrzeniały się po całym organizmie rodzicielki, w krótkim okresie powodując jej zgon. Następowало to nieuchronnie z chwilą dotarcia wielkich stad do płaskowyżu, u kresu ich wędrówek na zachód. I tak od stuleci.

Właśnie gdy Alechaw z Julim stanęli nad zwierzakiem, jego brzuch oklapł jak stary worek. Jajak podrzucił łbem i skonał. Rytualnym zwyczajem Alechaw przebił go oszczepem. Obaj z synem uklękli w śniegu i nożami rozpruli mu brzuch. W środku były larwy – tak małe, że prawie niewidoczne, za to w masie cudownie smakowite i bardzo pożywne. Lekarstwo dla chorej Onesy.

Larwy ginęły na mrozie, pozostawione w spokoju żyłyby bezpiecznie pod skórą żywiciela. W swoim małym, mrocznym świecie pożerały się nawzajem bez skrpułów, staczając krwawe boje po aortach i tętnicach. Zwycięzcy rośli w kolejnych metamorfozach, powiększając swoje rozmiary i zmniejszając szeregi. W końcu dwa czy może trzy maleńkie, chyże jajaczki wyłoniłyby się z gardzieli lub odbytnicy, stając oko w oko z wygłodzonym światem. Narodziny te nastąpiłyby w samą porę, by młode uszły śmierci przez stratowanie, kiedy stada pomału ściągają na płaskowyż, stanowiący punkt zborny przed ich powrotną wędrówką na północny wschód, ku dalekiemu Chalce.

Rozrzucone po płaskowyżu, wśród jednocześnie rodzących i konających zwierząt, sterczały potężne słupy z kamienia. Wbili je tutaj przedstawiciele dawniejszej rasy ludzi. Wyciosano na nich proste godło: koło czy też koło z mniejszym kółkiem w środku. Od środkowego kółka do koła zewnętrznego rozchodziły się w przeciwne strony dwa wygięte w łuk promienie. Nikt z obecnych na tym wyrzeźbionym przez morskie fale płaskowyżu, ani zwierzęta, ani łowcy, nie zwracał najmniejszej uwagi na zdobne słupy.

Juli był całkowicie pochłonięty zdobyczą. Z podartej w pasy skóry splótł naprędce prymitywną torbę i zgarnął w nią zdychające larwy jajaka. Ojciec rozbierał tuszę. Każdy skrawek martwego ciała nadawał się do wykorzystania. Z najdłuższych kości zbudują sanie powiązane pasami skóry, rogi zaś miały posłużyć za płozy, żeby łatwiej im było zaciągnąć sanie do domu. Powiozą one piękne kawały mostka, łopatki i udźców, okryte resztką skóry. Pracowali obaj, postępując z wysiłku, z dłońmi ubabranymi krwią, w obłokach pary własnych oddechów, w których niepostrzeżenie zbierały się roje gżów. Nagle Alechaw z przeraźliwym krzykiem runął na plecy, na próżno usiłując wstać i uciekać. Juli spojrzał w popłochu. Trzy wielkie białe fagory podpełzły do nich ze swej kryjówki wśród sosen. Dwa skoczyły na wstającego Alechawa i pałkami obaliły go w śnieg. Trzeci natarł na Juliego. Juli wrzasnął i poturlał się w bok. Na śmierć zapomnieli o fagorach i o zachowaniu czujności. To się turlając, to zrywając na nogi i unikając ciosów pałki Juli dostrzegał w sąsiedztwie innych łowców,

k którzy ze spokojem obrabiali zdychającego jajaka dokładnie tak samo, jak oni z ojcem przed chwilą. Ludzie ci tak się palili, żeby skończyć robotę, zbudować sanie i zmykać, tak bliscy byli śmierci głodowej, że nie przerywali pracy, od czasu do czasu tylko zerkając na bójkę. Inny miałaby przebieg, gdyby pochodzili z rodu Alechawa i Juliego. Byli to jednak mieszkańcy równin, krępi, nieprzyjaźni ludzie. Juli daremnie przyzywał ich na pomoc. Któryś z najbliższych cisnął okrwawioną kością w fagory. I to wszystko.

Uchyliwszy się przed spadającą pałką Juli zaczął uciekać, pośliznął się – i upadł. Fagor runął na niego jak burza. Juli instynktownie przyjął pozycję obronną, klękając na jednym kolanie. Kiedy fagor na niego skoczył, z zamachem dźgnął od dołu nożem w obszerny kałdun napastnika. Ośłupiały, zobaczył, że ręka znika mu w sztywnej jak drut sierści i że sierść w jednej chwili chlusta gęstą, złotą posoką, tryskającą na wszystkie strony. Potoczył się, walnięty ciałem fagora – a potem toczył się już z własnej woli, byle dalej od niebezpieczeństwa, toczył się do byle jakiego ukrycia, toczył się dysząc aż pod sterzącą łopatkę martwego jajaka, spod której wyrzwał na świat, tak nagle wrogi. Napastnik Juliego upadł. Teraz dźwigając się na nogi niańczył ową złotą plamę na brzuchu w swoich rogowych łapskach i zawodził:

– Aoch, aoch, aochchch, aochchch...

Runął na twarz i tym razem już się nie poruszył. Za jego trupem Alechaw legł pod pałkami. Legł jak łachman, lecz dwa fagory natychmiast go dźwignęły i jeden z nich zarzucił sobie człowieka na plecy. Rozejrzały się oba, następnie popatrzyły przez ramię na poległego kompana, spojrzwały po sobie, mruknęły, obróciły się do Juliego plecami i pomaszerowały w przeciwną stronę.

Juli wstał. Czuł, że dygocą mu nogi w futrzanych nogawkach spodni. Nie miał pojęcia, co robić. Bezmyślnie obszedł trupa zabitego przez siebie fagora – jakże będzie się chełpił przed matką i wujami – i pobiegł z powrotem na miejsce starcia. Podniósł swój oszczep i po chwili wahania wziął również oszczep ojca. Po czym ruszył w ślad za fagorami. Brnęły przed nim z mozołem pod górę, taszcząc swoje brzemie. Wkrótce wyczuły, że chłopak lezie za nimi, i oglądając się co jakiś czas próbowały od niechcienia odpędzić Juliego pogrózkami i gestem. Najwyraźniej było im szkoda włóczy na młokosa. Kiedy Alechaw oprzytomniał, fagory postawiły go na nogi i powiodły między sobą poganiając biciem. Juli parokrotnym gwizdaniem dał znać ojcu, że jest niedaleko, ale ilekroć Alechaw usiłował spojrzeć w tył, zaraz obrywał od któregoś z fagorów takiego kuksańca, że aż się zataczał. Pomału fagory dogoniły inną grupkę swoich, samicę i dwa samce. Jeden z nich, stary, szedł z kijem jak on sam wysokim, wspierając się na nim ciężko w trakcie wspinaczki i co chwila potykając o sterty odchodów jajaków. Stopniowo coraz rzadsze kupy łajna zniknęły w końcu razem ze smrodem. Wyszli na stromą ścieżkę, którą stado ominęło. Na stoku rosły świerki i podmuchy wiatru tu nie docierały. Pod górę wchodziło kilka grup fagorów, uginając się pod ciężarem ścierva jajaków. A na samym końcu, z trwogą w sercu, podążał siedmioletni człowiek, usiłując nie stracić z oczu swego ojca.

Powietrze zgęstniało i tak dusiło, jakby rzucono zły czar. Tempo spadło; świerki napierały z obu stron i fagory musiały ścieśnić kolumnę. Zabrzmiał ich prymitywny śpiew, spływając z szorstkich języków mrużaniem, które niekiedy wznosiło się ostrym crescendo, po czym znów cichło. Przerażony Juli został bardziej w tyle, przebiegając od drzewa do drzewa. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Alechaw nie wyrwie się swoim oprawcom, nie zbiegnie na dół, gdzie znów chwyciłby swój oszczep i gdzie stanęliby ramię w ramię i wyłukli wszystkie kudłate fagory do nogi. Tymczasem ojciec pozostawał w niewoli, a w półmroku pod drzewami jego smuklejsza postać zniknęła już w ciżbie obcych. Chrapliwy zaśpiew buchnął głośniejsz i ucichł. W przedzie rozjarzyło się mgliste, zielonkawe światło, zwiastujące nowe nieszczęście. Juli śmignął za kolejne drzewo. Przed

nim stała jakaś budowla z dwuskrzydłową bramą od frontu, z lekka uchyloną. W szparze świecił nikły ogień. Na wrzaski fagorów brama uchyliła się szerzej. W progu fagor trzymał żagiew nad głową.

– Ojczy! Ojczy! – zawołał Juli. – Uciekaj, ojczy! Jestem tutaj!

Nie otrzymał odpowiedzi. W pomroce jeszcze mętniejszej z powodu żagwi w żaden sposób nie mógł dojrzeć, czy Alechawa już wpełznięto przez bramę do środka, czy nie. Kilka fagorów obejrzało się obojętnie na jego krzyki, odpędzając chłopaka bez złości.

– Idź i krzycz na wiatr! – wrzasnął mu któryś w olonocie. Na niewolników potrzebowali tylko dorosłych.

Kiedy ostatnia zwalista postać wkroczyła do budynku, przy akompaniamencie dalszych wrzasków zamknięto wierzaje. Juli popędził pod bramę z krzykiem; waląc w surowe drewno słyszał, jak z drugiej strony zgrzytają zasuw. Długo stał z czołem przyciśniętym do deski, nie mogąc pogodzić się z tym, co zaszło. Wrota siedziały w kamiennym murze z luźno spasowanych ciosów, na których wykwitły liszaje długobrode mchów. Cała budowla stanowiła jedynie wejście do podziemi, w których – jak Juli wiedział – bytowały fagory. Te leniwe stworzenia wołały, żeby pracowali na nich ludzie. Jakiś czas krążył pod wrotami, aż wspiąwszy się na stromą skarpe znalazł coś, co spodziewał się tam znaleźć. Był to komin trzykrotnie od Juliego wyższy, o imponującym obwodzie. Łatwy do wspinaczki, bo nachylony ku szczytowi, jak i dlatego, że kamienne bloki, z których go postawiono, z grubsza tylko spasowane, zapewniały dogodne oparcie stopom. Kamienie były nie tak zimne, jak można by oczekiwać, i nie oblodzone. Na samym szczycie Juli nieopatrznie wysunął twarz za krawędź i natychmiast go odrzuciło; puścił się i zleciał, lądując na prawym barku i koziołkując w śniegu. Odrzucił go strumień gorącego smrodliwego powietrza zmieszany z dymem palonego drzewa i stęchłymi wyziewami. Komin służył jako wywietrznik nor fagorzyc. Zrozumiał, że nie dostanie się do nich tą drogą. Został odcięty od ojca, utracił go na zawsze.

Zrozpaczony siadł na śniegu. Stopy miał obute w skóry zasznurowane wysoko na łydkach. Uszyte przez matkę spodnie i kaftan z niedźwiedziego futra nosił włosiem do ciała. Ciepło dodatkowo zapewniała mu futrzana kurtka z kapturem. W dniach, kiedy zdrowie jej dopisywało, Onesa przybrała kurtkę na ramionach białymi omykami śnieżnego królika, po trzy omyki z każdej strony, a kołnierz przyozdobiła wyszywanką z czerwonych i niebieskich paciorków. Mimo to Juli przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz: kurtka wytyłana w resztkach jedzenia i upaprana tłuszczem, futrzana odzież cała zabłocona i silnie zalatująca potem. Twarz jasnożółtą czy śniadą, gdy czysta, pokrywały teraz brunatnoczarne brudne zacieki, tłuste włosy oblepiały strąkami szyć i skronie. Płacząc i waląc pięścią w śnieg Juli pocierał płaski nos, a szerokie, zmysłowe wargi, wygięte w podkówkę, odsłaniały na przedzie złamany ząb pośród białej braci. Po jakimś czasie chłopak wstał i powłókł się między ponure świerki, ciągnąc za sobą ojcowski oszczep. Nie miał wyboru, jak tylko zawrócić po własnych śladach do chorej matki, o ile potrafi odnaleźć drogę do domu przez śnieżne pustkowia. Uświadomił też sobie, że jest głodny. Opuszczony przez cały świat jeszcze raz wszczął raban pod zamkniętymi wrotami. Na próżno. Zaczął sypać śnieg, z wolna, lecz nieustępliwie. Juli stanął z pięściami podniesionymi do nieba. Splunął prosto na wrota. To dla ojca. Nienawidził go za to, że okazał się cherlakiem. Wspomniał wszystkie lania, jakie otrzymał z ojcowskiej ręki – dlaczego ojciec nie pobił fagorów? Wreszcie zawrócił rozgoryczony od bramy i w sypiącym śniegu ruszył w dół. Cisnął ojcowski oszczep w krzaki.

Głód idąc o lepsze ze zmęczeniem zagnał go ponownie aż nad brzegi Varku. Nadzieje Juliego prysły w jednej chwili. Martwe jajaki zostały zeżarte do ostatniego. Przybyli ze wszystkich stron

drapieżcy obrali je z mięsa. Nad rzeką oczekiwały go jedynie szkielety i sterty nagich gnatów. Zawył z wściekłości i rozpacz. Rzeka znowu zamrzła i na twardej pokrywie lodu leżał śnieg. Juli odgarnął śnieg nogą, spojrzął w dół. Ścierwa potopionych zwierząt wciąż tkwiły w lodzie; zauważył jednego jajaka z głową zwieszoną w ciemny nurt pod lodem. Wielkie ryby wyjadały mu oczy. Oszczepem i ostrym rogiem Juli wywiercił z mozołem dziurę w lodzie, poszerzył otwór i zaczął się nad nim z uniesionym drzewcem. Płetwy przecięły toń. Uderzył. Niebiesko nakrapiana ryba z rozdziawionym ze zdumienia pyskiem rozbłysła na grocie, gdy wyciągnął ociekający wodą oszczep. Była długa na dwie rozpostarte dłonie, zetknięte kciukami. Upieczona na małym ognisku smakowała wspaniale. Beknął, wcisnął się między kłody i spał przez godzinę. Później pomaszerował ledwo widocznym po przejściu stada tropem na południe. Freyr z Bataliksą zmieniali się na straży nieba, a on wciąż szedł – jedyna sylwetka poruszająca się w pustkowiach.

– Matka – zawołał na żonę stary Hasele, jeszcze zanim wszedł do chaty. – Matka, zobacz, co znalazłem pod Trzema Pajacami.

I jego ślubna stara Lorel, kulawa od dziecka, przykuśtykała na próg i wysunąwszy nos na kęsający ziąb rzekła:

– Nieważne, coś znalazł. Panowie z Pannowalu czekają, żeby ubić z tobą interes.

– Z Pannowalu, powiadasz? Poczekaj, aż zobaczą, co znalazłem pod Trzema Pajacami. Potrzebuję tu pomocy, matka. Chodź, nie jest zimno. Życie przesiedzisz w tym domostwie.

Domostwo prymitywne było pod każdym względem. Składały się na nie spiętrzone głązy, niektóre wyższe od człowieka, poprzekładane dylami i deskami, przykryte dachem ze skór, który porósł darnią. Szpary między głazami utkane zostały mchem i gliną dla ochrony przed wiatrem, a dyle i pnie drzew podpierające budowlę ze wszystkich stron upodobniały ją do zdechłego jeżozwierza. Do głównej konstrukcji przylegały dodatkowe pomieszczenia, zrodzone z tego samego ducha improwizacji. Brązowe kominy strzelały w zasepione niebo, dymiąc leciutko; w części pomieszczeń suszyły się skóry i futra; w innych je sprzedawano. Hasele był handlarzem i traperem i dorobił się na tyle, że teraz, pod koniec życia, mógł sobie pozwolić na żonę i sanie z trójką psów w zaprzęgu. Domostwo Hasele rozsiadło się na niskiej skarpie biegnącej zakolem dalej na południe na przestrzeni kilku mil. Skarpę zawały popękane głązy, miejscami spiętrzone jeden na drugim. Głązy dawały schronienie drobnej zwierzynie i stanowiły doskonałe tereny łowieckie dla starego traperza, mniej już skłonnego do tak dalekich wypraw w teren, jak za czasów młodości. Okazalszym piramidom skalnym ponadawał nazwy, jak na przykład Trzy Pajace. Pod Trzema Pajacami dobywał minerały potrzebne do wyprawiania skór. Do zalegających stok mniejszych i większych kamieni przytuliły się zasypane śnieżne niczym treny różnego kształtu i wielkości, ale wszystkie wyciągnięte na wschód, w kierunku przeciwnym do dalekich Barrier, od których ze świstem dał wicher. Kiedyś była tu plaża na dawno nie istniejącym brzegu morza, północne wybrzeże kontynentu Kampannlat za lepszych dni. Od wschodniej strony Trzech Pajaków rosła niewielka kępa głogów, dzięki granitowej osłonie wypuszczając tu i ówdzie zielone listowie. Stary Hasele cenił te zielone listki w swoim garnku, toteż obstawiał krzaki siódmami, aby nie dopuścić do nich zwierząt. Zaplątany w cierniste gałęzie, nieprzytomny, tam właśnie leżał chłopak, którego Hasele wciągnął teraz z pomocą Lorel w zadymione sanktuarium swej chaty.

– To nie jest dzikus – powiedziała Lorel z zachwytem. – Popatrz tylko na te niebieskie i czerwone paciorki przy kurtce. Śliczne, prawda?

– Mniejsza o nie. Daj mi, matka, łyżkę rosółu.

Tak też zrobiła, masując mu szyję, aż pacjent przełknął, poruszył się, odkaslnął, usiadł i szepem poprosił o jeszcze. Karmiąc go Lorel ze zmarszczonym czołem spozierała na policzki,

powieki i uszy chłopaka opuchłe od niezliczonych krwawych ukłuc gźów, po których za kołnierzem zostały mu skrzepy. Juli zjadł jeszcze trochę rosołu, po czym osunął się z jękiem i stracił przytomność. Lorel przytuliła go do siebie, objęła i wsunawszy mu ramię pod pachę, zaczęła go kołysać, wspominając dawne szczęście, którego nawet nie potrafiła już nazwać.

Z poczuciem winy rozejrzała się za Hasele, który poszedł do panów z Pannowalu ubijając interes. Zdjęła z kolan ciemną głowę młodzieńca i westchnawszy podążyła za mężem. Łykał gorzałkę z dwoma zwalistymi handlarzami. Ich kurtki parowały w ciepłe izby. Lorel pociągnęła Hasele za rękaw.

– Może ci dwaj panowie zabiorą chłopaka ze sobą do Pannowalu. Nie możemy go karmić. Sami tu przymieramy głodem. Pannowal ma wszystkiego w bród.

– Odejdź, matka. My handlujemy – wyniośle odparł Hasele. Pokuśtykawszy na tyły domostwa przypatrywała się, jak szurając spętanymi nogami ich niewolnik fagor zapędza psy do śniegowej budy. Podniosła spojrzenie z jego przygiętych pleców na szarobury krajobraz, na mile pustkowi zlewających się z pustką nieba. Skądś z głębi tych pustkowi przybył ów chłopak. Ze dwa razy w roku, w pojedynkę bądź parami, z lodowych pustyń wylaniali się ludzie u kresu sił. Lorel nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, skąd przychodzili – wiedziała tylko, że za pustynią są jeszcze zimniejsze góry. Jeden z uciekinierów bełkotał coś o zamrzniętym morzu, które można przejść. Uczyniła znak świętego koła na zwiędłych piersiach. Za młodu dręczyła się ową pustką wyobraźni. Opatulona wychodziła wówczas i wystawała na skarpie, spoglądając ku północy. A nad nią przelatywały marzyska wymachując pojedynczymi skrzydłami i rzucając ją na kolana oszołamiającą wizją ludzi, świętych i w wielkiej masie, którzy przetaczają ogromne płaskie koło świata w jakieś miejsce, gdzie nie zawsze sypie śnieg i nie zawsze hula wiatr. Wracała pod dach z płaczem, nienawidząc nadziei przyniesionych jej przez marzyska.

Mimo że stary Hasele tak wyniośle odprawił żonę, jak zwykle zapamiętał sobie, co powiedziała. Po dobieciu targu z dwoma panami z Pannowalu, kiedy niewielka kupka drogocennych ziół, przypraw, wełnianej włóczki i mąki leżała już naprzeciw skór, które goście mieli załadować na swoje sanie, Hasele poruszył sprawę zabrania przez nich z powrotem do cywilizacji chorego chłopaka. Zaznaczył, że młodzieniec nosi piękną zdobioną kurtkę, a przeto – całkiem niewykluczone, panowie – jest kimś ważnym lub chociażby synem kogoś ważnego.

Dość nieoczekiwanie dla niego obaj panowie z wielką radością zgodzili się zabrać młodzieńca ze sobą. Będą musieli trochę sobie doliczyć, jedną skórę jajaka na okutanie wyrostka i pokrycie dodatkowych kosztów. Hasele pozzrzedził trochę, po czym ustąpił ochoczo; nie stać go było na żywienie chłopaka, gdyby wyżył, a gdyby umarł – karmienie psów szczątkami ludzkimi nigdy nie sprawiało mu przyjemności, zaś miejscowy rytuał mumifikowania i napowietrznego pochówku mu nie odpowiadał.

– Zgoda – rzekł i poszedł po skórę, najmarniejszą, jaką miał pod ręką.

Chłopak tymczasem się ocknął. Lorel dała mu jeszcze rosołu i odgrzane udko śnieżnego królika. Słyszając kroki mężczyzn zamknął powieki i legł na plecach, wsunawszy dłoń pod kurtkę. Ledwo rzuciła na niego obojętnym okiem i odeszli. Zamierzali załadować na sanie nabytą partię skór, parę godzin zabawić w gościnie u Hasele i jego małżonki, upić się, odespać przepicie, a potem wyruszyć w śmiałą podróż na południe do Pannowalu. Zamiary wprowadzili w czyn, narobiwszy niezłego hałasu przy trunkach. Hałasowali nawet, gdy już posnęli na kupie skór, chrapiąc ogłuszająco. Lorel zaś doglądała Juliego, karmiąc go, obmywając mu twarz, głaszcząc po gęstej czuprynie, obściskując ukradkiem.

Wczesnym półdnem, o zachodzie Bataliksy, zabrano go i położono, wciąż w udawanym

omdleniu, na sanie; panowie strzelili z batów, nachmurzyli czoła, by postawić jakiś obronny mur między kaczem a szczypiącym mrozem, i odjechali. Owi dwaj panowie, których życie nie głaskało po głowach, obrabowali Hasele i rabowali ile wlezie każdego trapera na swej drodze, w pełni świadomi, że sami zostaną obrabowani i okpieni, kiedy im z kolei przyjdzie przehandlować skóry. Oszustwo było dla nich jednym ze sposobów na przeżycie, jak ciepłe ubranie. Ich prosty plan zakładał, że gdy tylko stracą z oczu walące się domostwo Hasele, poderzną gardło świeżo nabytemu inwalidzie, cisną zwłoki w najbliższą zaspę i zadbają o to, by jedynie piękna zdobiona kurtka – być może w komplecie z kaftanem i spodniami – bezpiecznie dotarła na pannowski rynek. Zatrzymali psy i wyhamowali sanie. Jeden z mężczyzn wyciągnął lśniący metalowy sztylet i przystąpił do leżącej postaci. W tej samej chwili postać podniosła się z wrzaskiem, zarzuciła panu z Pannowalu skórę na głowę i kopnąwszy go okrutnie w brzuch popędziła zygzakiem w siną dal, aby uniknąć lecących włóczy.

Uznawszy, że jest dostatecznie daleko, chłopak skręcił za szary głaz, przykucnął i wyjrzał, czy go nie ścigają. W bladym świetle sanie zdążyły mu już zniknąć z oczu. Nie było śladu po dwóch panach. Wszystko zamarło, oprócz świstu zachodniego wiatru. Został sam na lodowej pustyni, na kilka godzin przed wschodem Freyra.

Wielki strach padł na Juliego. Po tym, jak fagory porwały mu ojca do swych podziemnych siedzib, przez więcej dni, niż umiał zliczyć, błądził po pustkowiach, otumaniony z zimna i braku snu, doprowadzany do szału przez insekty. Zagubiony i bliski śmierci zwałił się w krzak głogu. Odrobina snu i pożywienia szybko jednak przywróciła mu siły. Dał się załadować na sanie nie dlatego, żeby ufał dwóm pannowalczykom, którzy śmierdzielili mu podłosciami na miłę, po prostu nie mógł znieść starej baby, która go tak uparcie obmacywała. I tak po krótkiej przerwie znów tu wylądował – znów na pustkowiach, na lodowatym szczypiącym w uszy wichrze. Wrócił myślą do matki, do Onesy i jej choroby. Kiedy ją widział po raz ostatni, kaszlała, a z ust sączyła jej się spieniona krew. Jakże przerażonym odprowadzała go spojrzeniem, gdy wychodził z Alechawem. Dopiero teraz Juli zrozumiał, co znaczył ten przerażony wzrok: bała się, że go już nigdy nie zobaczy. Nie warto szukać drogi powrotnej do matki, skoro jest już trupem.

Zatem co dalej?

Jeśli miał przeżyć, pozostała tylko jedna możliwość. Podniósł się i równym, wolnym truchtem podążył śladem sań.

Sanie ciągnęło siedem wielkich rogatych psów rasy asokin. Przodownikiem zaprzęgu była suka wabiąca się Strzyga. Całą tę sforę znano jako zaprzęg Strzygi. Co godzina asokiny odpoczywały przez dziesięć minut, a na co drugim postoju rzucano im cuchnące suszone ryby z worka. Dwaj pannowalczyki na zmianę to szli za saniami, to na nich jechali. Wkrótce Juli zrozumiał, że takie są reguły. Trzymał się daleko w tyle. Nawet gdy sanie zniknęły mu z oczu, jego wrażliwy nos, dopóki nie wiało, chwycił smród podążających przed nim psów i ludzi. Niekiedy zbliżał się, aby podpatrywać pannowalczyków. Chciał sam poznać tajniki powożenia psim zaprzęgiem.

Po trzech dniach nieprzerwanej wędrówki, gdy asokiny wymagały dłuższych odpoczynków, dotarli do następnej siedziby. Tutejszy traper wznosił sobie mały drewniany fort, przystrojony porożami dzikich zwierząt. Porozwieszane skóry sztywno łopotwały na wietrze. Freyr zszedł z nieba, zgasła też blada Bataliksa i jaśniejszy strażnik wstał ponownie, a dwaj panowie nadal bawili w gościnie, to przekrzykując się z gospodarzem po pijanemu, to pochrapując. Juli ukradł z sań trochę sucharów i spał niespokojnie, owinąwszy się w skórę po zawietrznej sań.

I dalej w drogę.

Jeszcze dwa postoje przedzielone kilkudniową podróżą. Zaprzęg Strzygi uparcie podążał na południe. Z każdym dniem słabł lodowaty dech wiatru. W końcu nie ulegało już wątpliwości, że dojeżdżają do Pannowalu. Mglistość dali, ku której zmierzał zaprzęg, okazała się litą skałą. Z równiny na wprost podniosły się stoki gór pod grubą pokrywą śniegów. Podniosła się i sama równina i brnęli teraz podgórzem, gdzie obaj panowie musieli maszerować przy saniach, a nawet je popychać. Wznosiły się tu również kamienne wieże, niekiedy obsadzone czatami, którym musieli się opowiadać. Juli też musiał.

– Idę za ojcem i wujem – odkrzyknął.

– Zostajesz w tyle. Dopadną cię marzyska.

– Wiem, wiem. Ojcu pilno do domu, do matki. Mnie też. Przepuścili go machnięciem ręki, uśmiechając się pobłaźliwie do młodego zucha.

Wreszcie panowie zarządzili postój. Strzydze i jej zaprzęgowi rzucono suszone ryby i uwiązano psy do palików. Panowie wybrali sobie przytulną kotlinkę na stoku, okutali się w futra, namaścili od środka gorzałką i zapadli w sen. Juli podkraść się bliżej, gdy tylko usłyszał ich chrapanie. Obu mężczyzn należało załatwić niemal jednocześnie. Żadnemu nie sprostałoby w otwartej walce, zatem musi ich wziąć przez zaskoczenie. Rozwahał dźgnięcie nożem lub rozłupanie czaszek kamieniem; oba sposoby były ryzykowne. Rozejrzał się, czy nikt go nie widzi. Odczepił z sań rzemień, podpełził do pannowalczyków i zręcznie powiązał prawą kostkę jednego z lewą drugiego, aby ten, który zerwie się pierwszy, został przytrzymany przez towarzysza. Panowie chrapali dalej. Odczepiając rzemień Juli zauważył na saniach pęk włóczni. Może wozili je na wymianę i nie znaleźli nabywcy. Nie zastanawiał się nad tym. Wyciągnął jedną z wiązadeł, zważył w dłoni i stwierdził, że nie nadaje się do rzucania. Ale grot miała chwalebnie ostry. Powrócił do kotlinki i trącił nogą jednego z panów, który z jękiem przekręcił się na plecy. Juli podniósł włócznię, jakby się zamierzał na rybę, i przeszył mężczyznę na wylot przez kurtkę, żebra i serce. Pannowalczyk wykonał konwulsyjny ruch. Ze straszną miną, z wybałuszonymi oczami siadł, schwycił za drzewce włóczni, oklapł na niej, a potem pomalutku z przeciągłym westchnieniem, zakończonym kaszlnięciem, opadł z powrotem na plecy. Z ust pociekła mu krew i wymioty. Jego kompan poruszył się tylko i coś wymamrotał. Juli z taką siłą przedziurawił pannowalczyka, że włócznia ugrzęzła mu w ziemi na dobre. Wrócił do sań po drugą i potraktował drugiego z panów tak jak pierwszego – z równym sukcesem. Sanie były jego. Wraz z zaprzęgiem.

Łomotało mu w skroni. Żałował, że panowie z Pannowalu nie byli fagorami. Zaprzągnął warczące i skowyczące asokiny i odjechał. Wysoki grzbiet górski przesłonił falę mętnego światła na niebie. Biegła tu teraz wyraźna droga, trakt z każdą milą szerszy. Piął się zakosami, znikając za wyniosłą skalną turnią. Z drugiej strony tej skały otwierała się zaciszna, głęboka dolina, do której bronił dostępu potężny zamek. Częściowo zbudowano go z kamienia, częściowo wykuto w skale. Miał szerokie okapy, aby śnieg zsuwał się z dachu na drogę u jego stóp. Pod zamkiem zbrojna warta w sile czterech ludzi stała w szeregu przy drewnianym szlabanie zamykającym drogę. Juli zatrzymał się i czekał, aż podejdzie do niego wartownik w futrze błyszczącym od mosiężnych sprzączek.

– Coś za jeden, chłopcze?

– Jestem z dwoma przyjaciółmi. Jeździliśmy na handel, jak widzisz. Zostali w tyle z drugimi saniami.

– Nie widzę ich.

Jego olonet obco brzmiał w uszach Juliego, inaczej niż mowa Barrier.

– Zjawią się. Nie poznajesz zaprzęgu Strzygi? – strzelił z bata w stronę zwierząt.

– A poznaję. Oczywiście. Tę sukę nie na darmo nazwano Strzygą. – Ustąpiwszy z drogi

wartownik podniósł krzepkie prawe ramię. – Przepuścić Strzygę! – zawołał.

Otwarto szlaban, świsnął bat, Juli krzyknął i przejechali. Widok Pannowalu zaparł mu dech w piersiach. Przed nim wznosiła się ogromna ściana urwiska, tak stroma, że nie trzymały się jej śniegi. W ścianie była wykuta kolosalna postać Wielkiego Akhy. Przykucnięta w tradycyjnej pozie: kolana przy barkach, ramiona owinięte wokół kolan, ręce splecione dłońmi do góry, trzymającymi święty płomień życia. Olbrzymią głowę wieńczyła kępka włosów. Półczłowiecza twarz budziła grozę. Same jej policzki napełniały lękiem. Jednak wielkie migdałowe oczy patrzyły dobrotliwie, a w uniesionych kącikach warg i majestatycznych brwiach kryły się zarówno łaskawość, jak i okrucieństwo.

Otwór w skale przy jego lewej stopie wydawał się bardzo mały. Podjeżdżając bliżej saniami Juli zobaczył jednak, że sam wylot jest przeogromny; chyba na trzykrotny wzrost człowieka. W głębi Juli dostrzegał światła i strażę o obcym wyglądzie, obcej wymowie i z obcymi myślami w głowach. Wyprostował swoje młode ramiona i śmiało ruszył naprzód. Oto jak Juli przybył do Pannowalu.

Miał nigdy nie zapomnieć powitania Pannowalu i pożegnania nieba. Oszołomiony przeprowadził sanie pod szlabanem, przez zagajnik rachitycznych drzew i zatrzymał je przed bramą, aby ogarnąć wzrokiem rozległe sklepienie, pod którym tak wielu ludzi przeżyło swoje dni.

Za bramą mgła łączyła się z ciemnością, rodząc widmowy świat kształtów bez konturów. Była noc; samotni przechodnie, okutani w grube szaty, paradowali w obłokach mgły, kłębiącej się nad ich głowami i snującej się ospale za ludźmi jak wystrzępione poły płaszczy. Wokół tylko kamień i kamień, pocięty na ściany i mury, na kramy, komory i magazyny, i kondygnacje schodów, gdyż ta ogromna tajemnicza jaskinia, biegnąca coraz większą stromizną w głąb góry, została w ciągu stuleci posiekana na niewielkie tarasy, oddzielone jeden od drugiego schodami i bocznymi ścianami. Z przymusowej oszczędności pojedyncze kagańce u szczytu każdej kondygnacji schodów migotały przekrzywionymi w lekkim przeciągu płomieniami, oświetlając nie tyle drogę, co mglistą pomrokę i własny kopeć. Niestrudzony żywioł wody przez tworzące wieczność stulecia wypłukał w skale szereg połączonych grot różnej wielkości i na różnych poziomach. Niektóre z nich były zamieszkane i obrobione ręką człowieka. Otrzymały nazwy i wyposażono je w podstawowe urządzenia i sprzęty domowe.

Dzikus przystanął, nie mogąc podążyć dalej bez przewodnika w głąb tej oazy ciemności.

Nieliczni goście przybywający do Pannowalu trafiali tak jak Juli do jednej z większych jaskiń, zwanej przez mieszkańców Rynkiem. Tu wykonywano większość prac niezbędnych w życiu społeczności, ponieważ sztuczne oświetlenie wcale czy prawie wcale nie było potrzebne, gdy tylko oczy przywykły do półmroku. Za dnia miejsce rozbrzmiewało gwarem i bezładnym kuciem młotów.

Na Rynku Juli wymienił asokiny i sanie z towarem na rzeczy potrzebne mu do nowego życia. Musi tu zostać. Nie ma dokąd iść. Stopniowo oswoił się z mrokiem, dymem, pieczeniem oczu i pokastywaniem pannowalczyków, kojarząc sobie to wszystko z poczuciem bezpieczeństwa. Przychylny los zetknął go z wyjątkowej zacności i dobroci kupcem imieniem Kyale, który wspólnie z żoną prowadził kram na jednym z placyków w Rynku. Kyale był smętnym człowieczkiem, z wiecznie nieszczęśliwą miną i obwisłym czarniawym wąsem. Nie wiedzieć czemu obdarzył Juliego przyjaźnią chroniąc go przed wydrwigroszami. Nie szczędził też trudu, by wprowadzić przybysza w nowy dla niego świat. Z chórem dźwięków rozbrzmiewających w Rynku łączył swój głos strumień Vakk, płynący w głębi własnej czeluści na tyłach jaskini. Juli pierwszy raz w życiu oglądał płynący swobodnie strumień, który stał się dla niego jednym z cudów osady. Lubił słuchać plusku wody, w swojej animistycznej duszy uważając Vakk za istotę na poły żywą.

Brzegi Vakku spinał most, a za mostem Rynek kończył się stromizną z mnóstwem schodów i szerokim balkonem na ich szczycie, gdzie zasiadł olbrzymi, ciosany w skale Akha. Tę figurę, jej

wynurzające się z mroku ramiona, widać było nawet z drugiego końca Rynku. Akha w wyciągniętych dłoniach trzymał najprawdziwszy ogień, regularnie podsycany przez kapłana, który wychodził przez drzwiczki w brzuchu posągu.

Lud Akhy gorliwie bił czołem u stóp swego boga, składając mu w ofierze wszelkiego rodzaju dary, odbierane przez kapłanów, prawie niewidocznych pod szatami w czarne i białe pasy. Wierni leżeli twarzami do ziemi, a nowicjusz zamiatał posadzkę miotełką z piór i dopiero gdy skończył, podnosili pełne nadziei spojrzenie na oczy z czarnego kamienia hen ponad nimi, w pajęczynie cieni, i wracali na mniej święty grunt.

Te obrzędy były dla Juliego tajemnicą. Zapytał o nie Kyala i otrzymał wykład, po którym czuł się jeszcze głupszy. Nikt nie objaśni swojej religii obcemu. Mimo to Juli nabrał przeświadczenia, że owa przedstawiona w kamieniu pradawna istota odpiera moce szalejące w świecie zewnętrznym, zwłaszcza władcę nieba Wutrę i wszelkie złe siły sprzymierzone z niebiosami. Akha niezbyt interesował się ludźmi, drobiazg ludzki uchodził jego uwagi. Pragnął od nich jedynie regularnych ofiar, żeby mieć siłę do walki z Wutrą, zaś potężny kler akhański czuwał nad zaspokajaniem boskich pragnień, żeby na ludzi nie spadło nieszczęście.

Pannowalem rządził kapłani w sojuszu z milicją; nie było tu absolutnego władcy, chyba żeby za takiego uznać Akhę we własnej osobie, który wedle powszechnego mniemania grasował z niebiańską maczugą po górach, szukając Wutry i jego straszliwych współników, takich jak wij.

Juli był zaskoczony. Znał Wutrę. Do wielkiego ducha Wutry Alechaw i Onesa, rodzice Juliego, wznosili modły w godzinie trwogi. Wutra jawił im się jako dobroczyńca, dawca światła. I przenigdy, jak sięgał pamięcią, nie wspomnieli o Akhce.

Rynek i sąsiednie komory łączyły się systemem korytarzy pokrętnych jak stanowione przez kapłanów prawa. Do jednych komór wstęp był wolny, do innych wzbroniony zwykłym śmiertelnikom. O zakazanych rejonach mieszkańcy woleli nie rozmawiać. Juli sam wkrótce zauważył, jak wloką grzeszników z rękami skrępowanymi na plecach, jak wiodą ich mrocznymi schodami wśród monumentalnych cieni, jednych do Ziemi Świętej, innych do karnego gospodarstwa za Rynkiem, zwanego Oborą. Z biegiem czasu Juli zaczął chadzać wąskim, najeżonym schodami korytarzem prowadzącym do wielkiej, równej jak stół jaskini noszącej nazwę

Stodoły. Stodoła również miała swój ogromny posąg Akhy w łańcuchu z podobizną jakiegoś zwierza zawieszonym na szyi bóstwa patronującego tutaj sportom; w Stodole odbywały się pozorowane walki, pokazy, zawody atletów i pojedynki gladiatorów. Ściany pomalowano w spiralne desenie o barwach od karmazynu do amarantu. Na ogół Stodoła była niemal wyludniona i w jej pustych przestrzeniach dudniły głucho głosy; zachodzili tam wówczas co pobożniejsi pannowalczy, wznosząc błagalne modły pod kopułą ciemności. Za to z okazji zawodów Stodoła jarzyła się światłem i rozbrzmiewała muzyką, a tłum wypełniał ją po brzegi.

Z Rynku prowadziły wejścia do dalszych ważnych grot. Od wschodniej strony, przez szereg maleńkich tarasów czy też dużych podestów połączonych schodami z solidną balustradą, wchodziło się do rozległej mieszkalnej grotki zwanej Vakk, od strumienia, który stąd wypływał, szmerząc na dnie głębokiego wąwozu. Ponad ogromnym portalem Vaku znajdowała się niezwykle kunsztowna płaskorzeźba, przedstawiająca dziwne, obłe kształty pośród fal i gwiazd, prawie zniszczona w jakimś dawnym zawale. Vakk była najstarszą po Rynku jaskinią, w całości zajęta przez „kwatery”, jak je nazywano, jeszcze sprzed wielu stuleci. Przybyszowi z zewnętrznego świata, gdy stanął w progu i oglądał czy raczej odgadywał spiętrzone tarasy ulatujące w mrok, ledwo rozjaśniony Vakk zdawał się nocną marą, gdzie ciała nie sposób oddzielić od cienia, toteż serce dziecięcia Barrier zatrzepotało płochliwie. Zaiste trzeba było mocy Akhy, żeby zbawić tego, czyja noga stanęła w tej

zatłoczonej nekropolii.

Ale Juli przystosował się z właściwą młodym łatwością. Zaczął patrzeć na Vakk jak na marnotrawne miasto. W gronie rówieśników, uczniów gildii, wałęsał się po labiryncie skupionych na wielu poziomach kwater, często ze sobą połączonych. Bez końca piętrzyły się jedna na drugiej izby z wyrosłymi z nich meblami, które wyciosano w tej samej skale co podłogi i ściany, w jednym nieprzerwanym ciągu linii i powierzchni. Równie złożona była struktura praw własności publicznej i prywatnej w tym pełnym ładu mrowisku, zawsze jednak wiązało się to z gildyjską organizacją Vaku i zawsze przypadki sporne rozstrzygał kapłan.

W jednej z takich kwater Tuska, łagodna małżonka Kyala, znalazła Juliemu mieszkanie, zaledwie o trzy kwatery od własnej. W okrągłej izbie bez sufitu czuł się jak wewnątrz kamiennego kwiatu. Vakk wznosił się stromo, rozjaśniony mętnym światłem naturalnym, mętniejszym niż w Rynku. Powietrze było gęste od kopcia łożowych lamp, chociaż wcale nimi nie szafowano – na glinianej podstawie każdej lampy został odcisnięty numer i kler pobierał od niej podatek. Tajemnicze mgły trapiące Rynek nie miały takiej władzy nad Vakkim. Stąd wiodła galeria bezpośrednio do Stodoły. Pod nie wygładzonym sklepieniem na niższym poziomie przechodziło się do wysokiej jaskini zwanej Groblą, z czystym, świeżym powietrzem. Mieszkańcy Vaku uważali jednak tych z Grobli za barbarzyńców, głównie dlatego, że należeli oni do niższych gildii, jak rzeźników, garbarzy, kopaczy nertu, gliny i skamieniałego drewna. W skalnym plastrze miodu przyległym do Grobli i Stodoły znajdowała się jeszcze jedna wielka jaskinia, pełna siedzib ludzi i bydła. Była to Turma, przez obcych omijana z daleka. Juli zawędrował tam akurat wtedy, gdy pełną parą szły roboty gildii skalników nad poszerzaniem jaskini. Turma zbierała z pozostałych rejonów wszelkie nieczystości karmiąc nimi świny i ciemnolubne, rosnące w ciepłe płody rolne. Niektórzy chłopcy z Turmy hodowali dodatkowo raję, ptaka o świecących oczach i luminescencyjnych plamach na skrzydłach. Raję trzymane w klatkach rozjaśniały nieco kwatery Vaku i Grobli, chociaż i od nich kapłani Akhy ściągali podatek.

„W Grobli gbury, w Turmie chłopcy jak tury” – głosiło miejscowe porzekadło. Tymczasem Juli zauważył, że ludzie są tu wszędzie otępiali i ożywiają się tylko na igrzyskach, z wyjątkiem garstki handlarzy i traperów zamieszkujących tarasy swojej gildii w Rynku, i z błogosławieństwem Akhy regularnie wyprawianych w interesach na świat zewnętrzny, jak owi dwaj znajomi mu panowie. Ze wszystkich jaskiń większych i mniejszych biegły w głąb litej skały chodniki i tunele, jedne do góry, inne w dół. Pannowal był pełen legend o czarodziejskich potworach przybywających z ciemności pierwotnej skały lub o ludziach mocą czarów porwanych w samo serce góry. Lepiej więc siedzieć na tyłku w Pannowalu, pod opiekuńczym ślepym okiem Akhy, niż szukać gdzieś guza. Lepszy też Pannowal i podatki niż uściski mrozu na zewnątrz. Owe legendy ożywiała gildia bazarzy, której członkowie obstawiali schody lub czyhali na tarasach, snując swoje fantastyczne opowieści. W tym świecie mglistej pomroki słowa były jak latarnie.

Do jednej z dzielnic Pannowalu wymienianej przez ludzi najczęściej szeptem Juli miał wstęp wzbroniony. Była to Ziemia Święta. Szło się tam galerią lub z Rynku schodami, lecz wejść strzegła milicja, a ludzie omijali je z powodu złej sławy. Nikt z własnej nieprzymuszonej woli nie przemierzył krętych dróg do Ziemi Świętej. Mieszkała w niej milicja, zawsze na straży prawa Pannowalu, oraz kapłani, zawsze na straży pannowalskiego ducha.

Splendor tutejszych porządków przesłonił Juliemu ich nikczemność. Niewiele potrzebował czasu, aby poznać żelazny rygor, w jakim żyli ludzie. Nikogo tu nie dziwił ład, w jakim się urodził, ale nawykłego do otwartych przestrzeni i prostych zasad przetrwania dzikusa zdumiewał ścisły nadzór nad każdym krokiem człowieka. Pannowalczyki na dodatek uważali się za szczególnie

uprzywilejowanych.

Uczciwie zdobyte skóry przeznaczył Juli na zakup kramu w sąsiedztwie Kyala, zamierzając otworzyć interes. Okazało się, że istnieje mnóstwo przepisów zakazujących nawet tak prostej rzeczy. Nie mógł również handlować bez kramu, nie posiadając specjalnego zezwolenia, aby je zaś uzyskać, trzeba się było urodzić członkiem gildii domokrażców.

Potrzebna mu była gildia, terminowanie i pewne przywileje – rodzaj egzaminu – które nadawali jedynie kapłani. Potrzebne mu było również dwuczęściowe zaświadczenie od milicji, razem z ubezpieczeniem i referencjami. Nie mógł też handlować, dopóki nie miał kwatery na własność. By jednak zostać właścicielem wynajętej mu przez Tuskę izby, musiałby być zameldowany na stałe przez milicję. A nie mógł spełnić nawet najbardziej podstawowego warunku: wiary w Akhę i wykazania się regularnymi ofiarami.

– To proste. Wy jako dzikus musicie najpierw służyć u kapłana.

Oto co usłyszał od kapitana milicji o surowym obliczu, przed którym przyszło mu stanąć. Kapitan przyjmował Juliego w małej kamiennej salce z balkonem umieszczonym może metr nad jednym z tarasów Rynku, skąd widać było całą ruchliwą scenerię. Zwyczajowe skóry kapitan przykrył biało-czarnym, długim niemal do podłogi płaszczem. Na głowie miał brązowy hełm, udekorowany świętym symbolem Akhy, kołem o dwóch szprychach. Skórzane buty sięgały mu do połowy łydki. Za nim stał fagor z czarno-białą opaską na białym kudłatym czole.

– Patrzcie na mnie – warknął kapitan.

Lecz Juli łapał się na tym, że wciąż ucieka spojrzeniem ku milczącemu fagorowi, dziwiąc się jego obecności. Ancipita stał jak niemy posąg, niezgrabną głowę wysunąwszy do przodu. Rogi miał stępione, krótko przyrzniete, a ich tnące krawędzie spiłowane pilnikiem. Juli zauważył skórzaną obrożę ze smyczą, na poły ukrytą w białej sierści na szyi, znak posłuszeństwa człowiekowi. Nawet taki fagor był groźny dla pannowalczyków. Wielu oficerów paradowało z posłusznym fagorem u boku; ceniono je, ponieważ widziały w ciemności. Cywile lękali się tych niezgrabnych stworów mówiących uproszczonym olonetem.

Jak to możliwe – zastanawiał się Juli – żeby ludzie współżyli z tymi bestiami, które mu porwały w niewolę ojca, z bestiami znenawidzonymi w pustkowiach od dziecka? Już rozmowa z kapitanem była przygębniąjąca, a najgorsze go jeszcze czekało. Nie może tu żyć nie przestrzegając reguł, a tym nie było końca; nie ma innego sposobu – wbijał mu Kyale do głowy – jak tylko podporządkować się. Aby zostać obywatelem Pannowalu, musisz myśleć i czuć jak pannowalczyk.

Został więc przydzielony do służby u kapłana w alei kwater, przy której miał swoją izbę. Musiał uczęszczać na liczne sesje, podczas których nauczano go zrytualizowanej historii Pannowalu („zrodzonego z Cienia Wielkiego Akhy na wiecznych śniegach”...) i zmuszano do wkuwania wielu wersetów na pamięć. Musiał również robić wszystko, co tylko kapłan Sataal mu zlecił, łącznie z nudnym lataniem w te i we w te na posyłki, leniwego z natury Sataala. Niewielką pociechę znajdował Juli w tym, że pannowalskie dzieci przechodziły podobne szkolenie w młodym wieku.

Sataal był masywnej budowy, twarz miał bladą, uszy małe, rękę ciężką. Głowę golił, brodę zaplatał w warkocze zwyczajem wielu kapłanów swojego zakonu. W warkoczach bieleły mu siwe sploty. Miał czarno-biały chałat do kolan. I głębokie dzioby na twarzy. Juli dopiero po jakimś czasie zorientował się, że Sataal pomimo siwych włosów nie przekroczył wieku średniego, że dobija zaledwie dwudziestki. Chodził jednak przygarbiony, przez co wydawał się i starszy, i pobożniejszy.

Sataal zawsze zwracał się do Juliego uprzejmie, choć bez poufałości, na dystans. Juli odzyskał równowagę ducha przy tym człowieku, który jak gdyby mówił: to jest nasze wspólne zadanie, a ja nie zamierzam go komplikować zgłębianiem twoich prawdziwych pobudek. Juli w milczeniu uczył się

więc wszystkich tych niezbędnych, górnolotnych wersetów.

– Ale co to znaczy? – spytał w pewnym momencie, zupełnie skołowany.

Sataal powstał i z wolna obrócił się w maleńkiej kwaterze; cień skrywał postać kapłana, tylko Jego ramiona majaczyły na tle łuny dalekiej lampy. Nikły refleks zamigotał mu na łysinie, gdy nachylając głowę ku Julie-mu, rzekł ostrzegawczo:

– Najpierw nauka, młodzieńcze, potem interpretacja. Nauczysz się, mniej będzie wtedy kłopotów z interpretacją. Ucz się na pamięć; nie musisz brać tego na rozum. Akha nigdy nie wymaga od swego ludu zrozumienia, tylko posłuszeństwa.

– Powiedziałaś, że Akha nie dba o nikogo w Pannowalu.

– Sedno jest w tym, Juli, że Pannowal dba o Akhę. No więc, jeszcze raz:

*Kto się Freyra raczy jadem
Jako ryba Jadłem chorym,
Temu Freyr późniejszej pory
Ogniem pożre ciało słabe*

– Ale co to znaczy? – obstawał przy swoim Juli. – Jak mam się tego nauczyć, skoro nic nie rozumiem.

– Powtarzaj, synu – surowo rzekł Sataal. – „Kto się...”

Juli wsiąkł w nocne miasto. Schwytało jego duszę w sieć cieni, tak jak w świecie zewnętrznym mężczyźni chwyтали w sieci ryby pod lodem. W snach odwiedzała go matka, z jej ust leciała krew. Budził się wówczas i leżąc na wąskiej pryczy kierował spojrzenie w górę, wysoko ponad ściany izby w kształcie kwiatu, do sklepienia Vakku. Czasem, gdy powietrze było czyste, dostrzegał odległe szczegóły, wiszące tam nietoperze i stalaktyty, i na skale błysk kropli rosy nie będącej rosą, i pragnął uciec jak najdalej od sideł, w jakich się znalazł. Tylko że nie miał dokąd pójść. Pewnego razu, w czarnonocnej rozpacz, przekradł się do mieszka” nią małżonków Kyale, szukając pocieszenia. Kyale był zły, że go wyrwano ze snu, i kazał mu się wynosić, lecz Tuska powitała chłopaka czułym słowem jak własnego syna. Pogłaskała po ramieniu i ujęła jego dłoń w swoje dłonie. Po chwili wybuchnęła cichym płaczem i powiedziała, że sama ma syna mniej więcej w tym samym wieku, też takiego dobrego i miłego chłopca imieniem Usilk. Ale Usilka zabrała jej milicja za zbrodnię, której wcale nie popełnił, jest tego pewna. Każdej nocy leżąc bezsennie myślała o-nim, zamkniętym w jednym z owych strasznych zakamarków Ziemi Świętej pod strażą fagotów, niepewna, czy go jeszcze zobaczy.

– Milicja i kapłani są tu bardzo niesprawiedliwi – szepnął jej Juli. – Moi pobratymcy na pustkowiach przymierają głodem, ale wszyscy są równi w obliczu zimna.

– Są w Pannowalu ludzie – po chwili milczenia odezwała się Tuska – i kobiety, i mężczyźni, którzy nie uczą się wersetów i zamierzają obalić tych, co panują. Jednak bez naszych panów zniszczy nas Akha.

– I myślisz, że Usilka zabrano... ponieważ chciał obalić panów?

Ściszoną głosem, ściskając kurczowo jego dłoń, odparła:

– Nie zadawaj takich pytań, bo będziesz miał kłopoty. Usilk zawsze się buntował... to możliwe, pewnie wpadł w złe towarzystwo...

– Skończcie te swoje pogawędki – zawołał Kyale. – Wracaj, babo, do łóżka... i ty też, Juli.

Juli taił te sprawy w sobie przez cały czas, odbywając sesje z Sataalem.

– Nie jesteś głupcem, choć jesteś dzikusiem, a to da się zmienić – rzekł Sataal. – Wkrótce przejdiesz na wyższy poziom. Bowiem Akha jest bogiem ziemi i podziemia, a ty pojdziesz cos z

tego, jak ziemia żyje, a my w jej żyłach. Żyły te zwą się oktavami śródziemnymi i żaden człowiek nie może być ani. szczęśliwy, ani zdrowy, jeśli nie żyje w swojej własnej oktawie śródziemnej. Po trochu możesz dojść do objawienia. A jeśli się postarasz, to kto wie, sam może zostaniesz kapłanem i będziesz służył Akhce w godniejszy sposób.

Juli trzymał język na wodzy. Nie mógł powiedzieć kapłanowi, że nie potrzeba mu żadnych wyjątkowych łask Akhy, że jego nowe życie w Pannowalu jest jednym wielkim objawieniem. Spokojnie płynęły dni, jeden za drugim. Niezłomna cierpliwość Sataala zaczęła wywierać wrażenie na Julim, który z coraz mniejszą niechęcią odnosił się do swoich lekcji. Nawet będąc z dala od kapłana myślał o jego naukach. Wszystko było nowe i dziwnie podniecające. Sataal mówił mu o pewnych kapłanach, którzy odprawiając głodówkę porozumiewali się z umarłymi, nawet z postaciami historycznymi. Juli nigdy nie słyszał o czymś takim, ale wzdygał się nazwać to bzdurą. Zasmakował w samotnych wędrówkach po peryferiach miasta, a gęste cienie nabrały wreszcie swojskiego kolorytu. Przysłuchiwał się rozmowom ludzi, często na temat religii, oraz bajarzom, którzy bajali na rogach ulic, równie często wplatając motywy religijne do swych opowieści.

Religia stanowiła pieśń ciemności, tak jak strach pieśń Barrier, gdzie plemienne bębny odpędzały złe duchy. Pomału Juli zaczął dostrzegać w religijnych dysputach nie próżnię, a jądro prawdy: życie i śmierć człowieka musi mieć jakieś wyjaśnienie. Tylko dzikusy nie potrzebują wyjaśnień. Postrzeganie jest jak odkrycie tropu zwierzyny na śniegu.

Kiedyś znalazł się w cuchnącej części Turmy, gdzie ludzkie nieczystości wylewano do długich rowów, w których rosły wegetujące w ciemności zboża. Tutaj ludzie byli jak tury, jeśli wierzyć porzekadłu. Jakiś człowiek z krótką, potarganą czupryną, a zatem ani kapłan, ani bajarz, wskoczył na taczkę do rozwożenia nieczystości.

– Przyjaciele – zwrócił się do obecnych. – Posłuchajcie mnie chwilę, dobrze? Odlóżcie robotę i wysłuchajcie, co mam do powiedzenia. Mówię nie w swoim imieniu, lecz w imieniu wielkiego Akhy, którego duch żyje we mnie. Muszę przemówić w jego imieniu, chociaż ryzykuję życiem, albowiem kapłani fałszują słowa Akhy do swoich własnych celów.

Mężczyźni przystanęli i słuchali. Dwóch próbowało stroić sobie żarty z młodego człowieka, lecz reszta, łącznie z Julim, uległa ciekawości.

– Przyjaciele, kapłani powiadają, że musimy tylko składać ofiary Akhce i nic więcej, że to wystarczy, aby on uchował nas w wielkim sercu swojej góry. A ja powiadam, że to kłamstwo. Kapłani są zadowoleni, ich nie obchodzi nasze cierpienie, cierpienie szarych ludzi. Moimi usty Akha ogłasza wam, że powinniśmy czynić więcej. Powinniśmy być lepsi w naszych sercach. Żyjemy sobie zbyt wygodnie – złożymy ofiary, zapłacimy podatki i nic nas nie obchodzi. W głowie nam tylko przyjemności i igrzyska. Jakże często słyszycie, że Akha się o nas nie troszczy, że dba jeno o swoją wojnę z Wutrą. Musimy go zmusić, by się o nas troszczył, musimy stać się godni jego troski. Musimy się poprawić Tak, poprawić! I wygodniccy kapłani też muszą się poprawić...

Ktoś nadbiegł z wieścią, że idzie milicja. Młody człowiek zawahał się.

– Na imię mi Naab. Zapamiętajcie moje słowa. I dla nas jest miejsce w wielkiej wojnie Nieba z Ziemią. Wrócę głosić to przesłanie, jeśli zdołam... przesłanie do całego Pannowalu. Poprawmy się! Poprawmy się, póki nie jest za późno...

Już zeskakiwał na ziemię, gdy zafalowała gromada gapiów. Roztrącił ich wielki fagor na uwięzi, z żołnierzem trzymającym koniec smyczy. Zrogowaciałe, potężne łapska ucapiły Naaba za ramię. Naab krzyknął z bólu, ale włochata biała łapa zacisnęła mu się na gardle i odprowadzono go w stronę Rynku i Ziemi Świętej.

– Nie powinien wygadywać takich rzeczy – mruknął siwowłosy-mężczyzna w pierzchającym

tłumie.

Juli odruchowo poszedł za nim i „pociągnął mężczyznę za rękaw.

– Ten człowiek Naab nie powiedział ani słowa przeciwko Akhce... dlaczego zabrała go milicja?

Mężczyzna rozejrzał się ukradkiem.

– Poznaję cię. Jesteś dzikusiem, inaczej nie zadawałbyś takich głupich pytań.

Juli w odpowiedzi podniósł pięść.

– Nie jestem głupi; gdybym był, nie zadałbym mojego pytania.

– Gdybyś nie był głupi, siedziałbyś cicho. Jak myślisz, kto tutaj ma władzę? Kapłani, rzecz jasna. Skoro gardłujesz przeciwko nim...

– Ale ta władza należy do Akhy...

Siwowłosa umknął w ciemność. A tam, w owej ciemności, w tej wszechwidzącej ciemności, wyczuwało się jakąś upiorną obecność. Akhy?

Pewnego dnia w Stodole miały się odbyć wielkie zawody sportowe. Wtedy to Juli, zadomowiony już w Pannowalu, uległ szczególnej przemianie duchowej. Na zawody śpieszył z Kyalem i Tuską. W niszach płonęły lampy łojowe, wskazując drogę z Vakku do Stodoły; ludzie tłumnie walili wąskimi skalnymi korytarzami, pieli się na wytarte schody, i wśród nawoływań stawali rzędami wokół areny. Niesiony falą ludzką Juli dostrzegł nagle w dali komorę Stodoły, jej migotliwy od świateł kamienny krąg. Początkowo widział zaledwie skrawek jaskini zamknięty żyłkowanymi ścianami tunelu i ciżbą idących. W miarę jak się zbliżał, rosła mu w oczach ta jakby ujęta w ramy panorama, a w niej wyrastał sam Akha wysoko nad głowami tłumów. Juli przestał słuchać, co mówi do niego Kyale. Spoglądał nań Akha, upiór z ciemności ukazywał swoje oblicze.

W Stodole grała muzyka, piskliwa i podniecająca. Grała dla Akhy. Akha szeroko – i strasznobrewy stał i patrzył ogromnymi oczyma z kamienia, niewidzącymi, a przecież widzącymi wszystko, oświetlony od dołu pochodniami. Wargi wykrzywiała mu pogarda.

Pustkowiec nie znały niczego podobnego. Pod Julim ugięły się kolana. W jego duszy jakiś potężny głos, w którym z ledwością rozpoznawał swój własny, zawołał: „O Akho, nareszcie wierzę w ciebie. Tyś jest panem. Wybacz mi, pozwól zostać twoim sługą”. Jednak wraz z głosem tego, kto pragnął oddać się w niewolę, drugi głos przemawiał w sposób bardziej wyrachowany. Mówił: „Pannowalczyki muszą poznać wielką prawdę, dla której warto iść drogą wskazaną przez Akhe”. Zdumiewał się tym wewnętrznym zamętem, walką, która nie osłabła z wkroczeniem do jaskini, gdy kamienny bóg ukazał się w całej okazałości. Naab powiedział: „Dla ludzi jest miejsce w wojnie Nieba z Ziemią”. Czuł, że ta wojna wre w nim samym.

Zawody były pasjonujące. Po wyścigach biegaczy i rzutach włócznią przyszła kolej na zapasy ludzi z fagorami, którym uprzednio amputowano rogi. Następnie odbyło się strzelanie do nietoperzy, i Juli otrząsnął się ze swych pobożnych rozterek, podekscytowany widowiskiem. Bał się nietoperzy. Wysoko nad tłumem aż czarno było od puchatych stworków, które zwisały ze stropu głowami w dół, otulone w błoniaste skrzydła. Łucznicy występowali kolejno, szyjąc do nich z łuków uwiązany na jedwabnej nici strzałami. Trafione nietoperze spadały z trzepotem skrzydeł na ziemię, by później wylądować w garnkach. Zwyciężyła dziewczyna. W jaskrawoczerwonej sukni zapiętej pod szyję i długiej do ziemi, naciągała łuk i strzelała celniej od wszystkich mężczyzn. Miała długie, czarne włosy. Nazywała się Iskadora i tłum wiwatował jak szalony na jej cześć – a Juli najgłośniej.

Wreszcie przyszła kolej na walki gladiatorów, ludzi z ludźmi i ludzi z fagorami, kolej na krew i śmierć. Jednak przez cały czas, nawet gdy Iskadora napinała swój łuk i swą wdzięczną kibić, nawet wtedy myśli Juliego z radością wracały do zdumiewającego odkrycia w sobie wiary. Przypuszczał,

że lepsze jej poznanie uśmierzy w nim duchowy zamęt. Wspomnił opowieści zasłyszane przy ojcowskim ognisku. Starsi prawili o parze Strażników Nieba i o tym, jak ludzie na ziemi obrazili niegdyś Boga Niebios imieniem Wutra. Przeto Wutra odegnał ziemię od ciepła swego ognia. Teraz Strażnicy wypatrują godziny powrotu Wutry, który znowu łaskawym okiem spojrzy na ziemię, by zobaczyć, czy ludzie sprawują się lepiej. Jeśli się poprawili, zdejmie okowy mrozu. Tak – musiał przyznać Juli – Sataal ma rację, moi pobratymcy to dzikusy; jakże inaczej ojciec dałby się powlec fagorom? W tamtych opowieściach musi jednak tkwić ziarno prawdy. Tutaj, w Pannowalu, trafniej przedstawiają tę historię. Wutra jest już tylko pośledniejszym bóstwem, za to mściwym i hasającym po niebie. Właśnie z nieba grozi niebezpieczeństwo. Akha zaś to wielki bóg ziemi, panujący w jej wnętrzu, tu gdzie bezpiecznie. Strażnicy nie są życzliwi; będąc w niebiosach należą do Wutry i mogą obrócić się przeciwko rodzajowi ludzkiemu. Zapamiętane wersety poczęły teraz nabierać sensu. Biła z nich światłość wiedzy, aż Juli z przyjemnością wyszeptał to, co uprzednio było mu torturą, utkwivszy wzrok w obliczu Akhy:

*Nieba zwidy jeno ronią,
Z nieba płyną przeciwności:
Od niebios wszelkiej podłości
Akhy ziemia nam obroną.*

Nazajutrz pokornie udał się do Sataala i oznajmił mu, że został nawrócony. Widział zwróconą ku sobie bladą, poważną twarz kapłana; Sataal bębnił palcami w kolano.

– Jak zostałeś nawrócony? Kłamstwo chodzi po ludziach w dzisiejszych czasach.

– Spojrzałem w oblicze Akhy. Pierwszy raz zobaczyłem je wyraźnie. Moje serce stoi teraz otworem.

– Onegdaj aresztowano kolejnego fałszywego proroka.

Juli walnął się w pierś.

– To, co czuję w sercu, nie jest fałszywe, ojcze.

– To nie jest takie łatwe – rzekł kapłan.

– Och, jest łatwe, jest łatwe, teraz wszystko będzie łatwe! – Padł kapłanowi do nóg, wykrzykując w uniesieniu.

– Nic nie jest łatwe.

– Mistrzu, tobie zawdzięczam wszystko. Pomóż mi. Chcę zostać kapłanem, być takim, jak ty.

Parę następnych dni szwendał się po zaułkach i kwaterach, dostrzegając nowe rzeczy. Już nie czuł się spowity w całun mroku, pogrzebany pod ziemią. Przebywał w łaskawej krainie, chroniony od wszelkich żywiołów, które dawniej Czyniły z niego dzikusa. W nikłym świetle poczuł się Jak ryba w wodzie. Zobaczył, jak piękny jest Pannowal, wszystkie jego jaskinie. Zamieszkałe z dawien dawna, upiększone przez rzesze artystów. Całe powierzchnie ścian były ozdobione freskami i płaskorzeźbami, z których wiele przedstawiało żywot Akhy i stoczone przez niego wielkie bitwy, a także bitwy, jakie stoczy, gdy więcej ludzi znów uwierzy w jego moc. Na stare i wyblakłe malowidła nakładano nowe. Artyści pracowali bez wytchnienia, często usadowieni ryzykownie na szczycie rusztowań podobnych do szkieletu jakiegoś mitycznego zwierzęcia o długiej, sięgającej stropu szyi.

– Co ci jest, Juli? Niczym się nie zajmujesz – zauważył Kyale.

– Zostaję kapłanem. Podjąłem decyzję.

– Nigdy cię nie przyjmą, jesteś obcy.

– Mój kapłan rozmawia z władzami.

Kyale przypatrywał mu się smętnie, poskubując nos; powoli jego dłoń opadła, aż wreszcie zamiast czubka nosa zaczął skubać koniec wąsów. Wzrok Juliego był już tak przyzwyczajony do mroku, że odbiera wszelkie niuanse wyrazu twarzy przyjaciela. Kiedy Kyale bez słowa odszedł na zaplecze kramu, Juli podążył za nim. Ponownie ujmując wąs dli dodania sobie pewności Kyale położył mu drugą dłoń na ramieniu.

– Dobry z ciebie chłopak. Przypominasz mi Usilka, lecz mniejsza o to... Posłuchaj mnie: Pannowal nie jest taki, jak za mojego dzieciństwa kiedy latałem na bosaka po bazarach. Nie wiem, co się dzieje, ale nie ma tu już spokoju. Całe to gadanie o zmianach... bzdury, na mój rozum Nawet kapłani się tym zarazili, a jacyś szaleńcy bredzą o poprawie Powiadam ci, lepsze jest wrogiem dobrego – jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Tak, rozumiem, co masz na myśli.

– To dobrze. Pewnie wydaje ci się, że kapłan ma łatwe życie. Może i miał. Ale odradzałbym kapłaństwo w dzisiejszych czasach. Już nie jest takie... takie bezpieczne jak dawniej, że tak powiem. Tam zaczął się ferment. Chodzą słuchy, że w Ziemi Świętej często uśmiercają kapłanów heretyków. Lepiej miałbyś się tutaj, u mnie, terminując i pomagając mi. Mówię to wszystko dla twojego dobra, rozumiesz?

Juli utkwiał spojrzenie w wydeptanym chodniku.

– Nie umiem tego wyrazić, jak się czuję, Kyale. Jestem jakby pełen nadziei... Myślę, że wszystko powinno się zmienić. Ja sam pragnę się zmienić, ale nie wiem jak.

Westchnąwszy Kyale zdjął dłoń z ramienia Juliego.

– No cóż, chłopcze, skoro taka twoja wola... Tylko nie mów, że ci nie ostrzegałem...

Juli wzruszył się nietajoną troską w szorstkich słowach Kyala Kyale zaś przekazał żonie wieść o zamiarach Juliego. I gdy wieczorem Juli wrócił do swej maleńkiej okrągłej izdebki, zastał w niej Tuskę.

– Kapłani mają wszędzie dostęp. Jeśli cię przyjmą, wszystkie drzwi staną przed tobą otworem. Będiesz chadzał po Ziemi Świętej jak po Rynku.

– Chyba tak.

– Mógłbyś wtedy odkryć, co się stało z Usilkiem. Zrób to dla mnie I przyjdź, i powiedz mi, jak się czegoś dowiesz.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Juli uśmiechnął się do niej.

– Masz dobre serce, Tusko. Czy ci wasi buntownicy, którzy pragną obalić możnych Pannowalu, nie mają żadnych wieści o twoim synu? Przestraszyła się.

– Juli, ty się zmienisz nie do poznania, jak zostaniesz kapłanem. Dlatego nie powiem ci nic więcej, boję się, że ściągnę nieszczęście na całą moją rodzinę.

Juli spuścił wzrok.

– Niech mnie Akha położy trupem, jeśli kiedykolwiek cię skrzywdzę. Kiedy następnym razem zjawię się przed Sataalem, w cieniu za kapłanem stał żołnierz z fagorem na smyczy. Kapłan zapytał Juliego, czy porzuci wszystko, aby pójść drogą Akhy.

– Porzucę – odparł Juli.

– Niechaj tak się stanie.

Kapłan klasnął w dłonie i żołnierz odmaszerował. Juli zrozumiał, że właśnie utracił swój skromny dobytek; oprócz przydziewku na grzbiecie i rzeźbionego przez matkę noża wszystko odbierało mu wojsko. Kiwnąwszy Juliemu palcem Sataal bez jednego słowa ruszył w głąb Rynku. Juli z bijącym sercem podążył za nim. Przed wejściem na drewniany most przerzucony nad czeluścią,

w której Vakk ciskał się i miotał, Juli obejrzał się i ponad rojnym targowiskiem, za sklepieniem dalekiej bramy, jego spojrzenie wyłowilo biel śniegu. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o Iskadorze, dziewczynie z kaskadą czarnych włosów. I zaraz pośpieszył za kapłanem.

Minęli święte tarasy, gdzie wierni tłoczyli się, aby złożyć ofiarę u stóp posągu Akhy. Ściany za posągiem pokryte były zawilgocionymi freskami. Sataal przemknął koło nich i po niskich schodkach wprowadził Juliego w wąski, korytarz. Za zakrętem ogarnęły ich ciemności. Brzęknął dzwon. Juli potknął się, z duszą na ramieniu. Dotarł do Ziemi Świętej prędzej, niż się spodziewał.

W przeludnionym Pannowalu pierwszy raz otaczała go pustka. Echo powtarzało kroki. Juli nie widział; kapłan w przedzie był przywidzeniem, nicością, czernią w czerni. Juli nie śmiał przystanąć ani wyciągnąć ręki, ani zawołać – teraz wymagano, aby podążał na ślepo, a wszystko, co go spotka, musi przyjąć jako próbę swoich intencji. Skoro Akha kocha grobowe ciemności, to Juli też ma je kochać. Mimo to ciążyła mu owa nieobecność wszystkiego, próżnia wpisująca się w jego zmysły samym szelestem.

Całą wieczność wędrowali do wnętrza ziemi, a przynajmniej tak się zdawało. Światło wtargnęło łagodnie, choć zniecała, snopem jak pal wrażony w toń jeziora stojącej ciemności, tworząc na dnie, świetlisty krąg, do którego zdążali niczym para utopców. To światło zarysowało masywną sylwetkę kapłana w czarno-białej, zwiewnej szacie. Pozwolilo Juliemu zorientować się nieco w otoczeniu.

Zniknęły ściany.

Było to straszniejsze niż całkowite ciemności. Tak już się zdążył przyzwyczaić do zatłoczonej osady, do tego, że ma zawsze w zasięgu ręki skałę, mur, męskie plecy czy kobiece ramiona, że poczuł lęk przestrzeni. Rymnął jak długi na posadzkę, aż mu dech zaparło. Kapłan nie obejrzał się. Dotarłszy do jasnej plamy maszerował dalej klap-klap równym krokiem, niemal w okamgnieniu znikając za kolumną mętnego blasku. Zrozpaczony, że go porzucają – chłopak zerwał się i pobiegł przed siebie. Podniósł spojrzenie, przyszpilony snopem światła. Wysoko nad głową zobaczył otwór, przez który wpadała jasność dnia. Tam w górze znajdowała się wszystko, co poznał w życiu, czego wyrzekał się dla boga ciemności. Dostrzegł chropowatą skałę. Nareszcie pojął, że znajduje się w komorze większej niż reszta Pannowalu i wyższej. Na jakiś sygnał – zapewne uderzenie dzwonu, które słyszał wcześniej – ktoś otworzył górne wyjście na świat zewnętrzny. Ku przestrodze? Dla pokusy? Czy żeby tylko zrobić na nim większe wrażenie? Być może i jedno, i drugie, i trzecie, są przecież o wiele sprytniejsi ode mnie – pomyślał i rzucił się w pogoń za znikającą postacią kapłana. Po chwili wyczuł bardziej, niż spostrzegł, że zgasło za nim światło; zamknięto górne wyjście. Wróciła czarna noc. W końcu dotarli na drugą stronę gigantycznej jaskini. Juli usłyszał, jak kapłan zwalnia kroku. Sataal nieomylnie trafił do furty i zastukał. Niebawem otworzono im. Zamigotała łożowa lampka, którą trzymała nad głową podstarzała kobieta, bez przerwy pociągająca nosem. Wpuściła ich do kamiennego korytarza, zapierając za nimi furkę. Juli zauważył maty na posadzce. Szereg drzwi. Z obu stron biegł po ścianie na wysokości biodra wąski ornament, któremu Juli chciał przyjrzeć się bliżej, ale nie śmiał; ornament stanowił jedyną ozdobę ścian. Pociągająca nosem baba zastukała do jednych z drzwi. Usłyszawszy odpowiedź Sataal pchnął je i gestem zaprosił Juliego do środka. Chyląc głowę Juli minął wyciągniętą rękę nauczyciela i wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły mu się za plecami. Nigdy już nie zobaczył Sataala.

Na żelaznym stojaku paliła się podwójna lampa. Meble z kamienia były przenośne, zarzucone barwnymi kilimami. Za kamiennym stołem siedzieli dwaj mężczyźni, którzy bez uśmiechu podnieśli wzrok znad jakichś dokumentów. Jeden był kapitanem milicji; hełm z godłem w postaci koła spoczywał na stole przy jego łokciu. Siedzący obok wysuszony siwy kapłan o przyjaznym obliczu

zamrugał jakby oślepiiony samym widokiem twarzy Juliego.

– Juli z Zewnątrz? Przychodząc tutaj uczyniłeś krok na długiej drodze do tego, aby zostać kapłanem Wielkiego Akhy – powiedział piskliwym głosem. – Jestem ojciec Sifans i muszę cię najpierw napytać, czy popełniłeś grzechy, które nie dają spokoju twemu sumieniu i z których chciałbyś się wyspowiadać.

Nagle odejście Sataala bez jednego słowa pożegnania speszyło Juliego, wszelako wiedział, że musi teraz wyrzec się takich przyziemnych spraw, jak miłość i przyjaźń.

– Nie mam się z czego spowiadać – rzekł ponuro, nie patrząc wysuszonemu kapłanowi w oczy.

Kapłan odchrząknął. Głos zabrał kapitan.

– Młodzieńcze, spójrz na mnie. Jestem kapitan Ebron ze Straży Północnej. Wjechałeś do Pannowalu saniami ciągnionymi przez zaprzęg asokinów zwany sforą Strzygi. Zostały one skradzione dwóm znamienitym obywatelom naszego miasta o imionach Atrimb i Prast, kupcom z Vakk. Ich zwłoki znaleziono niewiele mil stąd, nadziane na włócznie, jak gdyby obu zakłuto podczas snu. Co nam powiesz o tej zbrodni?

Juli utkwiał spojrzenie w podłódze.

– Nic o niej nie wiem.

– A nam się zdaje, że wiesz o niej wszystko... Gdyby to przestępstwo popełniono na terenie Pannowalu, groziłaby za nie kara śmierci. Co masz do powiedzenia?

Juli poczuł, że drży. Nie tego się spodziewał.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– W porządku. Nie możesz zostać kapłanem, dopóki ciąży na tobie ta wina. Musisz wyspowiadać się ze zbrodni. Pozostaniesz w zamknięciu tak długo, aż się przyznasz.

Kapitan Ebron klasnął w dłonie. Weszli dwaj żołnierze i chwycili Juliego. Chwilę szarpał się z nimi, próbując, jak silni są napastnicy, po czym dał się wyprowadzić z wykręconymi do tyłu rękami. Tak – myślał – Ziemia Święta... pełna kapłanów i żołnierzy. Załatwili mnie na cacy. Ale ze mnie głupek, ale ofiara. Och ojczy, czemuś mnie porzucił...

Żeby chociaż naprawdę potrafił zapomnieć owych dwóch panów. Podwójne zabójstwo wciąż mu ciążyło na duszy, mimo że usiłował je usprawiedliwiać przypominaniem sobie, że przecież oni chcieli go zabić. Ileż to nocy, leżąc na pryczy w Vaku i wpatrując się w odległe sklepienie, widział oczy pannowalczyka, tego, który usiadł i próbował wyrwać włócznię ze swych wnętrzności.

Cela była mała, wilgotna i ciemna. Ochłonawszy z szoku samotności zbadał ją po omacku. Jego więzienie składało się z gołych ścian, jeśli nie liczyć śmierdzącego rynsztoka i niskiej półki do spania. Juli siadł na niej i ukrył twarz w dłoniach.

Dano mu mnóstwo czasu do namysłu. W czarnej jak smoła ciemności jego myśli żyły własnym życiem niczym majaki chorej wyobraźni. Ludzie znani mu i zupełnie obcy kręcili się wokół, zajęci tajemniczymi sprawami.

– Matko! – zawołał. Oto Onesa, taka jak przed chorobą, smukła i pełna życia, z powagą na pociągłej twarzy, w każdej chwili gotowa zajaśnieć uśmiechem do syna – co prawda uśmiechem powściągliwym, ledwo rozchyliwszy wargi. Szła z ogromną wiązką chrustu na plecach. W przedzie biegły czarne rogate prostaczki. Niebo pałało błękitem w promieniach Bataliksy i Freyra. Jasność oślepiła Onesę i Juliego, którzy wyszli ścieżyną z mrocznych modrzewi. Nigdy jeszcze nie było takiego błękitu; zdawało się, że barwi śnieżne zasy i zalewa cały świat. Przed nimi sterczały ruiny jakiejś budowli. Mimo że została solidnie postawiona w zamierzchłej przeszłości, złe pogody skruszyły ją niczym starą hubę. Od frontu wiodły do niej niskie schodki, obecnie w ruinie. Cisnąwszy chrust Onesa wbiegła na nie prawie w podskokach, taka rozpieierała ją radość. Uniosła dłonie w

rękawicach i nawet zanuciła fragment piosenki w rześkim powietrzu. Rzadko oglądał Juli matkę w podobnym natroju. Dlaczego była w takim humorze? Dlaczego tak rzadko? Nie mając odwagi zadać tych pytań wprost, a spragniony jej słów, zapytał:

– Kto to zbudował, matko?

– Och, to zawsze tu stało. Jest tak stare, jak wzgórze...

– Ale kto to zbudował, matko?

– Nie wiem... pewnie rodzina mojego ojca, dawno temu. Wielcy byli z nich ludzie, mieli spichlerze pełne zboża.

Doskonale znał legendę o wielkości rodu matki i spichlerzach ze zbożem. Wszedł na rozwalone schody i pchnął odporne drzwi. Przeształ próg, wzniesając tuman śniegu. W środku było ziarno, sterty złocistego ziarna, tyle, że wystarczyłoby dla wszystkich do końca świata. Ruszyło na niego rzeką, wielkie góry zboża toczyły się kaskadą w dół, po schodach. A spod nich wygrzebały się na wierzch dwa trupy i brnęły na oślep ku światłu.

Siadł z głośnym krzykiem, skoczył na nogi, na posadzkę, przemierzył ją do drzwi celi. Nie miał pojęcia, skąd wzięły się te zatrważające majaki; nie wyglądały na część jego jaźni.

Marzenia są nie dla ciebie, cwaniaku – pomyślał. – Jesteś zbyt twardy. Teraz wspominasz matkę, ale nigdy nie okazałeś jej miłości. Za bardzo bałeś się pięści ojca. Wiesz co, ja chyba naprawdę nienawidziłem ojca. I chyba się ucieszyłem, gdy porwały go fagory... a ty nie?

Nie, nie... To tylko dlatego, że życie uczyniło mnie twardym. Twardziel jesteś, cwaniaku, twardziel i okrutnik. Zabiłeś tamtych dwóch facetów. Co z ciebie wyrośnie? Najlepiej przyznaj się do zabójstw i niech się dzieje, co chce. Spróbuj mnie pokochać, spróbuj pokochać...

Tak mało wiem. Otóż to. Wszystko... chciałbyś wiedzieć. Akha wie na pewno. Tamte oczy widzą wszystko. Aleja... ty jesteś tycki, cwaniaczku..., życie jest niczym więcej, jak tylko jednym z owych dziwnych wrażeń, kiedy marzysko szybuje nad głową.

Dziwował się własnym myślom. Wreszcie krzyknął na strażę, aby otworzyły celę, i okazało się, że przesiedział w zamknięciu trzy dni.

Rok i dzień służył Juli w Ziemi Świętej jako nowicjusz. Nie wolno mu było opuszczać klauzury, przebywał tylko w klasztornej nocy, nie wiedząc, czy Freyr i Bataliksa żeglują po niebie razem, czy osobno. Pragnienie, żeby przemierzać białe bezdroża, opuszczało go stopniowo, zagłuszone mrocznym majestatem Ziemi Świętej.

Przyznał się do zabójstwa obu pannowalczyków. Nie ściągnęło to na niego żadnej kary. Mistrzem Juliego i pozostałych nowicjuszy był ojciec Sifans, wysuszony siwy kapłan o mrugających oczkach.

– Tamta nieszczęsna sprawa zabójstw – rzekł splótszy palce – jest już zamknięta za murami przeszłości. Nigdy jednak nie wolno ci pogrzebać jej w niepamięci, żebyś nie zaczął wierzyć, że to się nie zdarzyło. Tak jak różne dzielnice tworzą jeden Pannowal, tak i w życiu wszystko się ze sobą splata. Twój grzech i twoje pragnienie służenia Akhce idą ze sobą w parze. Myślałeś, że to bogobojność skłania ludzi do służenia Akhce? Nic podobnego. Grzech jest potężniejszą siłą sprawczą. Uwierz w ciemność – poprzez grzech pogodziłeś się z własną ułomnością.

Słowo „grzech” często gościło wówczas na wargach ojca Sifansa. Juli nie odrywał od nich oczu, z ciekawością ucznia chłonąc słowa mistrza. Ruchy tych warg naśladował później w samotności, powtarzając to wszystko, czego musiał nauczyć się na pamięć.

Ojciec Sifans miał własne mieszkanie, do którego wracał po naukach, Juli zaś z resztą podobnych sobie sypiał w dormitorium, – najciemniejszym zakamarku ciemności. W przeciwieństwie

też do ojców, nowicjuszy obowiązywał zakaz wszelkich uciech; śpiewy, trunki, dziewczki i gry były zabronione, jadło bardziej niż skromne – nędzne resztki z codziennych ofiar, które wierni składali Akhce.

– Nie mogę się skupić. Jestem głodny – uzalił się raz Juli przed swoim mistrzem.

– Głód jest powszechną normą. Nie oczekujmy od Akhy, że będzie nas tuczył. On nas broni przed wrogimi mocami z zewnątrz, pokolenie za pokoleniem.

– Co jest ważniejsze: przetrwanie gatunku czy jednostki?

– Jednostka jest ważna we własnych oczach, ale pokolenia mają pierwszeństwo.

Krok po kroku uczył się dyskutować na sposób kapłana.

– Ale pokolenia składają się z jednostek.

– Pokolenia nie są prostą sumą jednostek. Obejmują również aspiracje, plany, historię, prawa, a nade wszystko ciągłość. Obejmują zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Akha odżegnuje się od współdziałania z poszczególnymi jednostkami, toteż jednostki należy podporządkować, ujarzmić, jeśli zachodzi konieczność.

Ojciec sprytnie nauczył Juliego sztuki dowodzenia własnych racji. Z jednej strony uczeń musiał ślepo wierzyć, z drugiej potrzebny mu był rozum. Żywcem pogrzebana społeczność musiała na długą wędrówkę przez lata zabezpieczyć się na wszystkie strony, potrzebne jej były i modlitwa, i bystrość umysłu. Święte wersety głosiły, że kiedyś w przyszłości Akha może ponieść klęskę w swej samotnej walce i świat zostanie wydany na pastwę ognia, który spłynie z nieba. Jednostka ujarzmiona nie spłonie w pożarze.

Juli krążył po grobowych komnatach, a po głowie Juliego krążyły owe myśli, wywracające całe pojmowanie świata do góry nogami. Na tym zresztą polegała ich atrakcyjność – wszelkie bowiem nowe spojrzenie podkreślało jedynie jego poprzednią niewiedzę. W tym oszołomieniu wyzutą z wszystkiego duszę koila pewna zmysłowa rozkosz. Niebawem miał dostąpić wtajemniczenia w sekretne arkana czytania z murów, które prowadziło kapłanów przez labirynt ciemności. I jeszcze jedną znajdował rozkosz, jak drogowskaz wśród bezdroży. Muzykę. Początkowo Juli w swej naiwności wyobrażał sobie, że słyszy z góry głosy duchów. Nie kojarzył z niczym pieściwej linii melodycznej, wygrywanej na jednostrunnej krucie. Nigdy nie widział kruty. Jeśli to „że duch, to może lament wiatru w jakiejś skalnej szczelinie?

Tak skrywał swoją rozkosz, że nikogo nie spytał o te dźwięki, nawet innych nowicjuszy, aż pewnego razu ojciec Sifans wprowadził go niespodziewanie na nabożeństwo.. Chóry miały tu duże znaczenie, ale monodia chyba jeszcze większe – z solowym śpiewem rozchodzącym się po zakamarkach mroku. Juli najbardziej ukochał jednak głosy nieczłowiecze, głosy pannańskich instrumentów.

Bariery nie znały podobnej pieśni. Jediną muzyką nękanych tam plemion były przewlekłe rytmy bębna ze skóry, klekot zwierzęcych kości uderzanych jedna o drugą i klaskanie ludzkich dłoni, do wtóru monotonnych zaśpiewów. I właśnie ów przepych i bogactwo formy nowej muzyki utwierdziły Juliego w przekonaniu, że budzące się w nim dopiero życie duchowe jest realne. Szczególnie jedna wspaniała melodia „Oldorando” zawojowała go bez reszty. Zawierała partię dla instrumentu, którego dźwięki to wzbijały się ponad inne, to nurkowały w ich gąszczu, by w końcu znaleźć bezpieczną przystań we własnym motywie.

Dla Juliego muzyka stała się niemalże alternatywą światła. Rozmowy z innymi nowicjuszami przekonały go, że w niewielkim stopniu dzielają oni jego uniesienia. Za to silniejsze w nich były – uświadomił sobie – zręby wiary w Akhę, silniejsze niż w nim samym. Juli nie wyssał ani miłości, ani nienawiści do Akhy z mlekiem matki, nie miał boga We krwi, jak większość nowicjuszy.

W czasie krótkich godzin przeznaczonych na sen opadały go duchowe rozterki i poczucie winy, że jest inny niż pozostali nowicjusze. Kochał muzykę Akhy. Była nowym językiem. Ale czyż muzyka nie jest bardziej dziełem ludzi niż...

Opędziwszy się od tej wątpliwości natychmiast popadł w drugą. A jak to jest z językiem religii? Czy to również nie wymysł ludzi, być może miłych, słabych ludzi, takich jak ojciec Sifans? „Wiara to nie spokój ducha, lecz katusze; jedynie Wielka Wojna niesie spokój”. Przynajmniej ta część wyznania wiary głosiła prawdę. Tymczasem Juli zamknął się w sobie i tylko powierzchownie bratał z towarzyszami.

Zbierali się na rekolekcjach w niskiej, wilgotnej, mglistej sali zwanej Szparą. Czasami siedzieli w absolutnych ciemnościach, czasem w blasku kapłańskich łożówek. Zawsze pod koniec lekcji kapłan kładł dłoń na czole nowicjusza, odwołując się do jego rozumu gestem, z którego później nowicjusze kpili w dormitorium. Kapłani mieli szorstkie palce od czytania z murów, dzięki któremu zwawo przemierzali labirynty Ziemi Świętej nawet w najczarniejszej ciemności.

W Szparze nowicjusze siedzieli w osobliwego kształtu kojcach z glinianej cegły, twarzą do nauczyciela. Każdy kojec oznakowany był odrębnym półreliefem dla ułatwienia identyfikacji w mroku. Nauczyciel zasiadał naprzeciwko, wyżej od nich, okrakiem na glinianym siodełku.

Minęło zaledwie kilka tygodni nowicjatu, gdy ojciec Sifans podjął temat herezji. Mówił ściszym głosem, często przerywając, gdyż trapił go kaszel.

Od niewiary gorsza jest zła wiara. Juli pochylił się w stronę ojca. Nie mieli z Sifansem lampki, ale miał ją nauczyciel w sąsiednim boksie, migotliwe światełko, które otaczało głowę Sifansa mgiełką pomarańczowej aureoli, kryjąc cieniem jego twarz. Czarno-biała szata jeszcze bardziej wtapiała sylwetkę starca w mrok komory. Strzępy mgły błędziły po kątach i snuły się za każdym, kto przechodził w pobliżu, ćwicząc czytanie murów. Niziutką grotę wypełniały pokasywania i szepty przypominające dzwoneczki; krople wody kapały nieustannie.

– Ofiara z człowieka, ojcze, powiedziałaś, ofiara z człowieka?

– Ciało ceni się wysoko, ducha nisko. On występował przeciwko kapłanom, mówiąc, że powinni być skromniejsi w wyręczaniu Akhy... Jesteś dostatecznie zaawansowany w naukach, powinieneś być przy egzekucji... Rytuał z barbarzyńskich dni...

Niespokojne oczy, dwie pomarańczowe iskierki, mrugały w ciemności jak sygnały przekazywane z wielkiej dali.

W oznaczonej porze Juli wkroczył w ponurą galerię, nerwowymi palcami usiłując czytać z murów. Weszli do największej groty Ziemi Świętej, zwanej Stanową. Zakazano świateł. Juli ukradkiem trzymał się poły ojca Sifansa, żeby go nie zgubić. Mrok wypełniały szepty schodzących się kapłanów. Później głos kapłana recytujący dzieje długiej wojny Akhy z Wutrą. Do Akhy należy noc, a do kapłanów obrona wiernych przez długą noc bitwy. Ci, którzy przeciwstawiają się obrońcom, muszą umrzeć.

– Wprowadzić więźnia.

Wiele mówiono w Ziemi Świętej o więźniach, lecz ten stanowił wyjątek. Dał się słyszeć tupot ciężkich sandałów milicji, jakieś szurania. Potem jasność. Snop światła. Nowicjuszom zaparło dech. Juli rozpoznał ogromną komorę, przez którą dawno temu wiódł go Sataal. Tak jak i wówczas, źródło jasności znajdowało się wysoko nad morzem głów. W jej kręgu stała drewniana rama, a na niej rozpięta postać ludzka z rozpostartymi ramionami i nogami; w pozycji pionowej i naga. Więzień krzyknął i w tejże chwili Juli poznał tę pełną żaru, szczerą twarz pod krótko ostrzyżoną czupryną. Był to Naab – ów młody mówca, którego kiedyś słyszał w Turmie. Głos i przesłanie Naaba również były mu znajome.

– Choć macie mnie za wroga, kapłani, jam nie wrogiem waszym, lecz przyjacielem. Z pokolenia na pokolenie, coraz głębiej toniecie w beczynności, topnieją wasze szeregi, Pannował umiera. Nie wystarczy nam być jeno biernymi czcicielami Akhy. Nie! Musimy walczyć u jego boku. My też musimy cierpieć, brać udział w wielkiej wojnie Nieba z Ziemią. Musimy się poprawić i oczyścić.

Za plecami przywiązanej postaci stali w błyszczących hełmach milicjanci z eskorty. Nowi wchodzili z dymiącymi żagwiami i z fagorami na krótkich smyczach. Zatrzymali się. Obrócili w stronę więźnia. Wysoko nad głowy wzniesli żagwie, a dym leniwymi spiralami wlatywał do góry. Drobnym kroczkiem wysunął się naprzód zasuszony kardynał, zgięty pod brzemieniem czarno-białej szaty i kunsztownej mitry. Trzykroć uderzył złotym pastorałem w ziemię, wykrzykując piskliwie w świętym olonecie:

– Policzone, zważone, rozdzielone... O Wielki Akho, Boski Wojowniku, przybywaj!

Uderzył dzwon. Drugi snop oślepiającego białego światła raczej utrwalił, niż rozproszył pierścień mroku. Za więźniem, za fagorami i szeregiem żołnierzy ukazał się Akha królujący pod sklepieniem. Tłum zaszemrał w podnieceniu. Niemal przezroczyste cienie milicjantów i ciężkich białych bestii, kredowobiały Akha w snopie światła – cały ten widmowy obraz był zaklęty w obsydianie. Swoją na poły człowieczą głowę bóg miał wysuniętą do przodu, usta otwarte. Oczy jak zawsze niewidzące.

– Przyjmij to grzeszne życie, o Wielki Akho, przyjmij jako odkupienie grzechu.

Do skazańca zwawo doskoczyli milicjanci z eskorty. Jeden chwycił za osadzoną z boku ramy korbę i wprawił ją w ruch. Rama skrzypiąc zaczęła się składać. Więźniowi wymknął się cichy okrzyk, gdy przegięła 2,0 w tył. Zawiasy ramy rozwarły się obnażając całą bezsilność wygiętego w łuk ciała. Z szeregu wystąpił fagor w asyście dwóch kapłanów po bokach. Stępione rogi wielkiej bestii, zakończone srebrnymi skuwkami, sięgały niemal uszu żołnierzy. W przeciągu Stanowej leciutko falowała długa, biała sierść fagora, który stanął w typowej, nieruchomej postawie, z głową i pierśią wysuniętą do przodu. Znowu zabrzmiała zagłuszająca krzyk Naaba muzyka: bęben, gongi i kruty, zaś nad nie wzbijał się nieprzerwany tryl hornu. Naraz wszystko ucichło.

Ciało było już złożone we dwoje, stopy i nogi wykręcone gdzieś i niewidoczne, głowa odrzucona daleko w tył, wystawione gardło i pierś połyskiwały blado w snopie światła.

– Przyjmij, o Wielki Akho! Przyjmij, co już jest Twoje! Wyrwij z korzeniami!

Na krzyk kapłana fagor zrobił krok w przód i pochylił się. Otworzył szufłowaty pysk i przyłożył rzędy tępych zębów z obu stron wystawionego gardła. Zacisnął szczęki. Podniósł głowę, a razem z nią wielki ochłap ciała. Zawrócił na swoje miejsce pomiędzy dwójką żołnierzy, przelękając bez apetytu. Po białej pierśi spływała mu czerwona strużka. Zgasł drugi snop światła. Akha odpłynął z powrotem w swoją macierzystą ciemność. Wielu nowicjuszy zemdląło.

– Ale po co wysługiwać się tymi diabelskimi fagorami? – zapytał Juli, gdy przepychali się do wyjścia. – Są wrogami człowieka. Należałoby je wybić do nogi.

– Są stworzeniami Wutry, o czym świadczy ich kolor. Trzymamy je, żeby przypominały nam o wrogu – powiedział Sifans.

– A co będzie z... z ciałem Naaba?

– Nie zmarnuje się. Wszystko ma jakieś zastosowanie. Całe zwłoki mogą pójść na opał... może dla garncarzy, którzy stale coś wypalają w piecach. Nie wiem dokładnie. Wolę trzymać się z dala od spraw gospodarczych.

Wyczuwając niechęć w głosie starego kapłana Juli nie odezwał się więcej. W myśli powtarzał sobie: diabelskie fagory. Diabelskie nasienie. Akha nie powinien mieć z nimi nic wspólnego.

Jednak jak Ziemia Święta długa i szeroka. Wszędzie kręciły się fagory, wszędzie słyhać było

ich niezmordowane człapanie wśród kroków milicji, wszędzie zapalały się ich świecące w mroku oczy, łypiące spod krzaczastych brwi.

Pewnego razu Juli ośmielił się wyjawić swojemu mistrzowi, jak to fagory na pustkowiach porwały i zabiły jego ojca.

– Nie ma pewności, że go zabiły. Fagory nie zawsze bywają tak całkiem złe. Czasami Akha ujarzmią ich ducha.

– Jestem pewny, że on już nie żyje. Zresztą nie ma chyba sposobu, żeby się przekonać?

Usłyszał, jak kapłan oblizuje z wahaniem wargi, jak się ku niemu nachyla w ciemności.

– Jest taki sposób, mój synu.

– No tak, gdyby wysłać z Pannowalu wielką ekspedycję na północ...

– Nie, nie... są inne sposoby, subtelniejsze. Któregoś dnia lepiej poznasz pannowalskie labirynty. Albo i nie poznasz. Istnieją bowiem inne zakony kapłańskie, bractwa żołnierzy mistyków, o których nie wiesz. Ale chyba lepiej będzie, jak już nic więcej nie powiem...

Juli nie dał mu jednak spokoju. Głos kapłana przycichł jeszcze bardziej, ginąc niemal w pluskach kapiącej obok wody.

– Tak, żołnierz? mistycy, którzy zaparli się rozkoszy ciała i w zamian posiadli tajemne moce...

– Przecież tego właśnie orędownikiem był Naab i za to został zamordowany.

– Stracony z wyroku sądu. Zakony Wyższe życzą sobie, abyśmy my, zakony administracyjne, pozostali tacy, jacy jesteśmy... Lecz oni... oni porozumiewają się z umarłymi. Gdybyś był jednym z nich. mógłbyś porozmawiać ze swoim ojcem po jego śmierci.

W ciemnościach Juli aż się zająknął ze zdumienia.

– Wiele jest ludzkich i boskich zdolności, które można w sobie rozwinąć, mój synu. Ja sam, kiedy zmarł mój ojciec, z rozpacz zacząłem morzyć się głodem i po upływie wielu dni zobaczyłem go wyraźnie, jak wisi w ziemi Akhy niby w jakimś innym żywiole, zatkawszy sobie dłońmi uszy, jakby słyszał niemiły dźwięk. Śmierć nie jest kresem, tylko naszą kontynuacją w Akhce – przypomnij sobie nauki, mój synu.

– Wciąż jestem zły na ojca. Pewnie dlatego jest mi ciężko. Bo on się na koniec okazał słaby. Ja chcę być silny. Gdzie są owi... owi żołnierze mistycy, o których mówisz, ojcze?

– Skoro, jak wyczuwam, nie wierzysz moim słowom, nie ma sensu, żebym ci dalej o nich opowiadał.

W głosie kapłana krył się cień starannie skalkulowanej irytacji.

– Przepraszam, ojcze. Masz rację, dzikus ze mnie... Uważasz, że kapłani powinni się poprawić, jak twierdził Naab, prawda?

– Ja wybieram złoty środek.

Spięty i pochylony w przód siedział przez chwilę, mrugając, jakby miał wiele więcej do powiedzenia, a Juli słyszał trzepot jego wysuszonych powiek.

– Wiele schizm dzieli Ziemię Świętą, Juli, o czym przekonasz się, jeśli przyjmiesz święcenia. Życie nie jest takie beztrudne, jak wówczas, kiedy byłem młody. Czasami zdaje mi się...

Krople wody kapały kap-kap kap; w oddali ktoś zakasłał.

– Co, ojcze?

– Och... masz dosyć własnych heretyckich myśli, żebym jeszcze ja miał zasiewać ci nowe. Sam nie wiem, po co z tobą gadam. Koniec lekcji na dzisiaj, chłopcze.

Nie od Sifansa, który kochał się w enigmatycznych niedomówieniach, lecz w rozmowach ze swymi towarzyszami Juli stopniowo zaczął dowiadywać się czegoś o strukturze władzy jednoczącej społeczeństwo Pannowalu. Rządy sprawowali kapłani pospołu z milicją, wspierając jedni drugich.

Nie było tu najwyższego sędziego, żadnego wielkiego wodza w rodzaju przywódców plemion z pustkowia. Nad jednym zakonem kapłańskim stały następne. Ginęły w metafizycznym mroku, w tajemnych hierarchiach bez żadnego szczytu, bez zakonu, który miałby władzę nad wszystkimi innymi. Krążyły słuchy, że pewne zakony zamieszkują odleglejsze jaskinie łańcucha gór. W Ziemi Świętej panowała swoboda obyczajów. Kapłani mogli służyć jako żołnierze, żołnierze jako kapłani. Kobiety umilały życie jednym i drugim. Akha przebywał gdzieś indziej. Gdzieś... gdzie była większa wiara. Gdzieś w tym rozciągniętym łańcuchu władzy – myślał Juli – musi znajdować się zakon wojowników mistyków Sifansa, którzy potrafią przywoływać umarłych i dokonują innych zdumiewających czynów. Ciche pogłoski, doprawdy nie więcej warte posłuchu niż „szmer wody ściekającej po ścianie, przebąkiwały o zakonnikach osiadłych w jakimś innym miejscu nad głowami mieszkańców Ziemi Świętej, zwanych, jeśli już w ogóle ich nazywano, arcystróżami.

Arcystróże, jak poszeptywano, byli do sekty wybierani. Pełnili podwójną służbę żołnierską i kapłańską. Byli stróżami wiedzy. Wiedzieli o sprawach nie znanych nawet w Ziemi Świętej i owa wiedza dawała im władzę. Jako stróże przeszłości rościli sobie prawa do przyszłości.

– Kim są ci arcystróże? Czy my ich widzimy? – spytał Juli.

Tajemnica podniecała go i jak tylko usłyszał o arcystróżach, zaczął marzyć o wstąpieniu do tajemniczej sekty. Teraz, pod koniec nowicjatu, znów nagabywał ojca Sifansa. Z upływem czasu wydorósł, nie opłakiwał już swoich rodziców i nie nudził się w Ziemi Świętej. Ostatnio odkrył w swoim mistrzu wielką słabość do plotek. Szybsze mruganie oczu, drżenie warg kapłana zdradzało, że zaraz wymknie mu się coś ciekawego. Podczas codziennych wspólnych zajęć w zakonnej sali modłów ojciec Sifans pozwalał sobie za każdym razem na drobną porcję rewelacji.

– Arcystróże mogą być wśród nas-. Nie wiemy, którzy to są. Zewnętrznie niczym się od nas nie różnią. Dla ciebie równie dobrze i ja mogę być arcystróżem.

Nazajutrz po modlitwie ojciec Sifans przywołał Juliego gestem dłoni.

– Chodź – rzekł. – Ponieważ twój nowicjat dobiega końca, coś ci pokażę. Przypominasz sobie, o czym mówiliśmy wczoraj?

– Oczywiście.

Ojciec Sifans zasznurował usta, z całej siły zacisnął powieki, wycelował swoim małym, ostrym jak u czarownicy nosem w sklepienie i kilkanaście razy kiwnął energicznie głową. Po czym ruszył sztywnym, drobnym kroczkiem, pewny, że Juli podąży za nim. W tej części Ziemi Świętej rzadko zdarzały się światła, w innych rejonach były całkowicie zakazane. Obaj szli pewnie w absolutnej niebawem ciemności. Wyciągniętymi palcami prawej dłoni Juli muskał leciutko skomplikowany ornament wijący się wzdłuż ściany korytarza. Mijali Warrborw i tu Juli czytał już z murów. Schody zostały zapowiedziane z daleka. Para świetlistookich rajów trzepotała się w plecionej klatce na rozdrożu głównego korytarza, bocznego chodnika i schodów na górę. Juli i stary mistrz wytrwale tupali klap-klap-klap, po schodach w górę, przez korytarze poprzecinane kolejnymi schodami, instynktownie wymijając innych wędrowców w gęstym jak wapień mroku. Właśnie szli przez Podzwonną. Powiedział o tym Juliemu ornament na skale pod jego palcami. W nigdy nie powtarzającym się deseni splecionych gałązek igrały drobne zwierzątka, które, zdaniem Juliego, musiały być wytworem wyobraźni jakiegoś dawno zmarłego artysty – zwierzęta skakały, pływały, wspinały się i pełzały. Nie wiedzieć czemu, Juli przedstawił je sobie w żywych kolorach. Pasma muralnych ornamentów ciągnęły się na skale kilometrami we wszystkich kierunkach, nigdzie nie szersze od dłoni. To był jeden z sekretów Ziemi Świętej; nikt nie zabłądził w labiryncie jej ciemności, jeśli tylko zapamiętał wzory rozpoznawcze sektorów i zaszyfrowane symbole, oznaczające zakręty, schody czy odcinki korytarzy, wplecione w ornament.

Skręcili w niską galerię, w której echo odbijało tylko ich kroki. Tutaj ornament ścienny przedstawiał osobliwych ludzi, którzy z odwróconymi do góry dłońmi siedzieli przed drewnianymi chatami. Oni muszą przebywać gdzieś na zewnątrz – pomyślał Juli, zachwycony scenerią, którą wyczuwał pod ręką. Wpadł na Sifansa, który zatrzymał się, nagle. Oparty o ścianę staruszek nie słuchał przeprosin.

– Zamilknij i daj mi spokojnie odsapnąć – rzekł. Po chwili, jakby żałując surowości swego tonu, dodał:

– Starzeję się. W najbliższe urodziny skończę, dwadzieścia pięć lat. Ale śmierć jednostki jest niczym dla naszego Pana Akhy.

Juli lękał się o niego. Ojciec obmacywał ścianę. Spływająca po skale woda nasycala wszystko wilgocią.

– Ha, tak, tutaj...

Mistrz otworzył maleńką klapę; zalało ich oślepiające światło. Juli musiał na moment przysłonić oczy. Niebawem stanął przy ojcu Sifansie i wyjrzał przez otwór. Aż dech mu zaparło ze zdumienia. W dole na wzgórzu rozłożyło się miasteczko. We wszystkich kierunkach biegły kręte uliczki, miejscami wśród nader okazałych budynków. Uliczki krzyżowały się z zaułkami, między którymi chaotyczna zabudowa tworzyła mieszkaniowy labirynt. Z jednej strony miasteczko opływała rzeka w głębokim kanionie, a na samej krawędzi urwiska ryzykownie przycupnęły domy. Ludzie drobni jak mrówki wędrowali Uliczkami i tłoczyli się w pozbawionych stropów izbach. Uliczny gwar dolatywał słabym echem aż do miejsca, z którego obaj spoglądali w dół.

– Gdzie my jesteśmy?

Sifans wyciągnął rękę.

– To jest Vakk. Zapomniałeś go, prawda?

Z pewnym rozbawieniem, marszcząc nos, obserwował Juliego, który gapił się w dół z rozdziawioną gębą. Jaki ze mnie głupek – myślał Juli. Zamiast rozpoznać Vakk, musiałem się pytać, niby jakiś dzikus. Widział w dali łuk wejścia do Stodoły, niewyraźny jak lód na horyzoncie. Bliżej, patrząc z ukosa, rozróżniał znajome kwatery i zaułek, przy którym była jego izba, i mieszkanie Kyala i Tuski. Na ich wspomnienie – ich oraz ślicznej czarnowłosej Iskadory – ogarnęła go tęsknota – a raczej cień tęsknoty, gdyż nie ma sensu tęsknić za tym, co minione. Kyale i Tuska z pewnością zapomnieli o nim, tak jak i on o nich. Najbardziej zaskoczyła go jasność Vaku, zapamiętał bowiem miejsce pełne głębokich cieni, wyprane z wszelkich barw. Ta przemiana wskazywała, jak bardzo poprawił mu się wzrok podczas pobytu w Ziemi Świętej.

– Przypominasz sobie, jak mnie pytałeś, kim są arcystróże – rzekł ojciec Sifans. – Pytałeś, czy ich widzimy. Oto moja odpowiedź. – Wskazał na leżące pod nim miasto. – Ludzie tam w dole nie widzą nas. Nawet jeśli podniosą wzrok, nie zdołają nas wypatrzeć. Stoimy ponad nimi. Tak samo arcystróże stoją ponad zwyczajnymi członkami bractwa kapłanów. Wewnątrz naszej fortecy leży ukryta forteca.

– Ojcie Sifansie, pomóż mi. Czy owa, ukryta forteca jest... czy jest nam przyjazna? „Ukryte” nie zawsze znaczy „przyjazne”.

Ojciec zamrugał powiekami.

– Powinieneś raczej zapytać, czy ukryta forteca jest nam potrzebna dla przetrwania. Wtedy odpowiedź brzmi: „Tak – za wszelką cenę”. Dziwna może ci się wydawać taka odpowiedź, zwłaszcza z moich ust. Jestem za złotym środkiem we wszystkim, z wyjątkiem tego jednego. Ostateczności naszego żywota, przed którym Akha usiłuje nas bronić, wymagają ostatecznych środków. Arcystróże są stróżami Prawdy. Pismo Święte podaje, że nasz świat wycofał się tu przed

ogniem Wutry. Wiele pokoleń temu lud Pannowalu ośmielił się odwrócić od Akhy i zamieszkał poza wnętrzem chroniącej nas świętej góry. Miasta podobne Vakkowi, który mamy przed sobą, budowano pod gołym niebem. Wówczas zostaliśmy pokarani pożogą zesłaną przez Wutrę i jego kohorty. Garstka tych, co przeżyli, powróciła do naszego naturalnego domu, tutaj. To nie tylko Pismo Święte, Juli. Wybacz mi bluźnierstwo owego „tylko”. To jest Pismo Święte, powinienem był rzec. I to jest też historia naszego ludu. Arcystróżę w swej ukrytej fortecy stróżują przy tej historii i wielu innych rzeczach, które przetrwały do dnia dzisiejszego z okresu gołych niebios. Wierzę, że dla ich oczu odkryte jest to, co jest zakryte dla naszych.

– Dlaczego nas z Ziemi Świętej uważają za niedorostłych do poznania tych rzeczy”!

– Wystarczy, że znamy je w postaci Pisma Świętego, jako przypowieść. Moim skromnym zdaniem naga prawda zamyka się przed nami, po pierwsze, dlatego, że ci, którzy są u władzy, zawsze wolą kryć wiedzę dającą im władzę, a po drugie, ponieważ uważają, że uzbrojeni w takową wiedzę moglibyśmy znów pokusić się o powrót w zewnętrzny świat gołych niebios, w porze gdy Wielki Akha przegna śniegi.

Myśli Juliego wirowały jak na karuzeli. Zaskoczyła go szczerłość ojca Sifansa. Skoro wiedza to władza, czym w takim razie jest religia? Przyszło mu do głowy, że zapewne poddają go próbie, i zdawał sobie sprawę, że kapłan z żywym zainteresowaniem oczekuje od „niego odpowiedzi. Nie chcąc się za bardzo wychylić, podparł ją imieniem Akhy.

– Chyba Akha przeganiając śniegi zaprasza tym samym do powrotu w podniebny świat? Nie jest zgodne z naturą mężczyzn i kobiet, żeby rodzić się i umierać w ciemności.

Ojciec Sifans westchnął.

– Tak powiadasz... ale tyś urodził się pod niebem.

– I mam nadzieję, że pod niebem umrę – powiedział Juli z żarliwością, która zadziwiła jego, samego. Obawiał się, czy ta spontaniczna odpowiedź nie wzbudzi gniewu mistrza, ale starszek położył mu tylko dłoń na ramieniu.

– Każdym z nas targają sprzeczne pragnienia... – Walczył ze sobą, czy to żeby przemówić, czy może zamilczeć, po czym rzekł łagodnie: – Chodź, wracamy, ty poprowadzisz. Zaczynasz czytać ścienne hieroglify jak mistrz.

Spuścił zasłonę na Vakk. Popatrzyli na siebie w powracającej fali nocy. Po czym zawrócili przez ciemną odnogę galerii.

Wyświęcenie Juliego na kapłana było wielkim wydarzeniem. Z zawrotami głowy po czterech długich dniach postu stawił się w Wysokim Rogu przed swoim kardynałem. Wraz z nim stawili się trzej inni młodzieńcy w wieku Juliego, którzy tak jak on mieli złożyć śluby kapłańskie, jak on mieli stać w nakrochmalonych szatach i przez dwie godziny śpiewać bez akompaniamentu muzyki, i jak on wyuczyli się całej liturgii na pamięć z tej okazji. Ich cienkie głosy w ogromnej mrocznej świątyni rozbrzmiewały głucho jak w studni.

Bądź nam Ciemności

Strojem i strunę grzeszną trąć w nas,

Niech gra. My śpiewajmy wraz,

My kapłanów kwiat,

Akha nam światłem światłości

Oreżem prawda prawd.

Pomiędzy nimi a siedzącą postacią kardynała płonęła samotna świeca. Starzec nie poruszył się przez całą uroczystość; zapewne przysnął. Lekki powiew wychylał chybotliwy płomień świecy w jego stronę. W głębi stali trzej mistrzowie, wprowadzający nowicjuszy w szeregi kapłanów. Juli widział w cieniu swojego Sifansa, jak marszczy nos niczym jędrza w ekstazie i kiwa głową do taktu. Nie dostrzegł milicji ani fagorów. Na zakończenie inicjacji sztywna, starcza postać, strojna w czerń, biel i złoto łańcuchów, dźwignęła się na nogi i wysoko wzniosłszy ręce zaintonowała modlitwę nowicjuszy:

– .. i racz wskazać nam, Akho Wiekuisty, drogę do coraz dalszych jaskiń myśli twojej, aż odnajdziemy w sobie tajemnice owego oceanu nieskończoności bez kresu i bez miary, który świat zowie życiem, a który dla nas nielicznych wybrańców jest Wszystkim, co jest ponad Śmierć i Życie...

Ozwały się hory, głośniejsza muzyka wypełniła i Wysoki Róg, i serce Juliego, Nazajutrz otrzymał swoje pierwsze zadanie; miał pójść między więźniów Pannowalu i wysłuchiwać ich skarg.

Świeżo wyświęceni kapłani podlegali ustalonymu porządkowi. Najpierw odbywali służbę w Karnej Kolonii, następnie przechodzili do służby bezpieczeństwa, a dopiero później wypuszczano ich do pracy wśród zwykłych obywateli. W tym procesie hartującym krzepili poprzez oderwanie od ludzi, którzy ich doprowadzili do święceń.

Karna Kolonia była pełna gwaru i płonących głowni. Była też pełna dozorców, rekrutowanych spośród milicjantów, razem z fagorami. Mieściła się w wyjątkowo wilgotnej grocie. Prawie cały czas rosił drobny deszcz. Wystarczyło popatrzeć w górę, by dostrzec lecące łukiem w dół koraliki wody, które powiew wiatru strącał ze stalaktytów uczepionych sklepienia. Dozorcy nosili buty na grubych zelówkach, którymi stukali po chodnikach. Nieodłączne białogrzywe fagory nie nosiły nic, dostatecznie wyposażone przez naturę.

Brat Juli miał pełnić służbę na zmianie jednego z trzech poruczników straży, nieokrzesanego prostaka imieniem Drawog, który chodził tak, jakby rozgniatał karaluchy, a mówił, jakby je przeżuwał. Nieustannie, z irytującym bębnieniem, uderzał się kijem po cholewach. Wszystkiemu, co dotyczyło więźniów – z samymi więźniami włącznie – towarzyszyły uderzenia. Wszelkie czynności wykonywano pod uderzenia gongów, wszelką zwłokę karano uderzeniami kija. Zgiełk był na porządku dziennym. Więźniowie stanowili złowrogą bandę. Juli musiał sankcjonować powszechną przemoc i często opatrywać jej ofiary.

Wkrótce zrodził się w nim bunt przeciwko bezrozumnej brutalności Drawoga, zaś nie słabnąca wrogość więźniów szarpała mu nerwy. Szczęśliwe były dni pod skrzydłami ojca Sifansa, nawet jeśli Juli nie zawsze to doceniał. W tym nowym surowym otoczeniu tęsknił za gęstym mrokiem, ciszą, modlitwą, a nawet za samym Sifansem, za jego nieśmiałą życzliwością. Drawog nie wiedział, co to jest życzliwość.

W skład Karnej Kolonii wchodziła znana mu wcześniej Obora. Brygady więźniów wyburzały w niej tylną ścianę, powiększając przestrzeń roboczą. Praca nie miała końca.

– To są niewolnicy i musisz ich bać, żeby się ruszali – rzekł Drawog.

Uwaga ta otworzyła Juliemu oczy na ponury fragment historii – pewnie kawał Pannowalu został otwarty w ten sposób. Wybrany gruz wywożono w ciężkich drewnianych wózkach dwukołowych, z trudem popychanych przez pary więźniów. Wózki toczyły się do skraju głębokiej przepaści, gdzieś w głębi lochów, gdzie hen w dole rwał Vakk i było dość miejsca na cały gruz świata.

W Oborze znajdowało się gospodarstwo rolne, w którym pracowali więźniowie. Uprawiali ciemnolubny jęczmień na chleb i hodowali ryby w stawie zasilanym przez wypływający ze skał

potok. Codziennie odławiano partię większych ryb. Chore ryby zakopywano w długich zagonach, na których rosły jadalne grzyby ogromnych rozmiarów. Ich ostra woń uderzała w nos każdego, kto wkraczał do Obory.

W sąsiednich jaskiniach były podobne gospodarstwa oraz kopalnie czertu. Jednak Juli miał ograniczone możliwości poruszania się niemal tak samo, jak więźniowie; granice Obory były równe granicom jego rewiru. Zaskoczony usłyszał, jak Drawog w rozmowie z jakimś dozorcą mówił, że pewien boczny korytarz prowadzi z Obory do Rynku. Rynek! Ta nazwa odświeżyła w pamięci obraz; tłumnego świata, który pozostawił w innym życiu, i z nostalgią wspomniął Kyala i jego żonę. Nigdy nie będziesz prawdziwym kapłanem – powiedział sobie w duchu.

Gongi biły, dozorca wrzeszczeł, więźniowie wyteżali odmawiające posłuszeństwa ciała. Pagóry człapały tam i z powrotem, chlastając mleczami po szparach nozdrzy, z rzadka wymieniając między sobą jakieś pomruki. Juli nienawidził ich obecności. Obserwował, jak czwórka więźniów pod okiem któregoś z dozorców Drawoga trałuje staw rybny. W tym celu zmuszono ich do wejścia po pas w lodowatą wodę. Kiedy włók się napełnił, mogli wyleźć i wyciągnąć połów na brzeg. Łowili guty. Bładożółte, o ślepych niebieskich oczach. Rzucały się bezradnie, wyrwane z naturalnego żywiołu. Obok dwójka więźniów przetaczała wózek z tłuczniem. Koło „wózka zawadziło o kamień. Więzień przy lewym drążku potknął się i runął. Padając trącił jednego z rybaków, młodzika, który pochylony łapał za sznur sieci; chłopak wpadł głową do wody.

Dozorca podniósł krzyk i kij, waląc, kogo popadło. Jego fagor dopadł leżącego wózkarza i usunął go z drogi. Drawog z drugim dozorcą nadbiegli w porę, by dołożyć kijami po głowie młodemu więźniowi, gramolącemu się właśnie ze stawu. Juli chwycił Drawoga za ramię.

– Zostawcie go. To był wypadek. Pomóżcie mu się wykaraskać.

– Jemu nie wolno włączyć samowolnie do stawu – rzucił z wściekłością Drawog i odepchnąwszy łokciem Juliego młócił kijem dalej.

Więzień gramolił się ociekając wodą i krwią. Przybiegł jeszcze trzeci dozorca ze skwierczącą na deszczu żagwią, z fagorem depczącym mu po piętach; ślepie fagora różowiły się w mroku. Nowo przybyły pokrzykiwał zmartwiony, że ominęła go zabawa. Zdążył jednak przyłączyć się do Drawoga i kompanii i do ich kopniaków, którymi odprowadzono półprzytomnego więźnia do celi w sąsiedniej grocie. Kiedy wrzaski ucichły i tłum się rozproszył, Juli cichaczem zaszedł tam, w samą porę, aby usłyszeć wołanie z przyległej celi:

– Żyjesz, Usilk?

Juli pomaszerował do kancelarii Drawoga i zabrał z niej klucz, uniwersalny. Otworzył drzwi celi Usilka, wziął lampę łojową z niszy w korytarzu i przekroczył próg.

Więzień leżał na podłodze w kałuży wody. Wsparta na rękach, wystawiał łopatki sterczące pod koszulą, jakby miały ją przedziurawić. Krwawiła mu głowa i policzek. Z ponurą miną spojrzał na Juliego, po czym z tą samą miną opuścił głowę. Juli zerknął na mokrą i poranioną czaszkę. W udręce przykucnął przy więźniu, odstawiwszy lampę na zapaskudzoną posadzkę.

– Spieprzaj, mnichu – warknął więzień.

– Pomógłbym ci, gdybym mógł.

– Nie możesz pomóc. Spieprzaj!

Trwali w tych samych pozach, bez ruchu i bez słowa, a woda i krew mieszały się w kałuży.

– Zdaje się, że masz na imię Usilk?

Milczenie. Więzień nie odrywał pokiereszowanej głowy od posadzki.

– Czy twój ojciec nazywa się Kyale? Mieszka w Vakku?

– Odczep się.

– Znam... znałem go dobrze. I twoją matkę. Opiekowała się mną.

– Słyszałeś, co powiedziałem...

W nagłym przyplywie sił więzień rzucił się na Juliego, zadając mu niemrawe ciosy. Juli przekoziółkował i uwolnił się podskoczywszy niczym asokin. Już miał ruszyć do ataku, ale przystanął w pół drogi. Wysiłkiem woli opanował się i cofnął. Bez dalszych słów wziął lampę i wyszedł z celi.

– Niebezpieczny, taki owaki – widząc jego wzburzenie Drawog pozwolił sobie na złośliwy uśmiezek pod adresem kapłana. Juli skrył się w kaplicy zakonnych bracia wznosząc modły do zimnego jak gład Akhy.

W Rynku Juli słyszał opowieść, nieobcą również duchownym z Ziemi Świętej, opowieść o pewnym wiju. Wij był nasłany przez Wutkę, złego boga niebios. Wutra wpuścił wiją do labiryntu korytarzy w świętej górze Akhy. Wij jest wielki i długi, obwodem zbliżony do przekroju korytarzy. Jest śliski i sunie bezgłośnie w ciemnościach. Słychać tylko jego dech, dobywający się z obwisłej gęby. Żywi się ludźmi. Człowiek jest niby bezpieczny, ale już za chwilę słyszy szatański dech, szelest długich wąsów i za moment zostaje połknięty.

Duchowy odpowiednik wiją Wutry buszował teraz po labiryntach myśli Juliego. Wycieńczone ramiona i krew więźnia dobitnie uzmysłowiły mu przepaść między przykazaniami bożymi i praktykowaniem ich w życiu. Nie szło o to, że przykazania są tak bardzo pobożne, w większości były bowiem praktyczne, narzucające pobożność, i nie szło też o to, że życie jest tak bardzo złe; gryzł się tym, że stoją w sprzeczności ze sobą. W jego pamięci odżyło coś, co powiedział mu kiedyś ojciec Sifans: „To nie dobro i bogobojność skłaniają człowieka do służenia Akhce. Częściej grzech, taki jak twój”. Z tego wynikało, że wśród kapłanów są liczni mordercy i zbrodniarze – niewiele lepsi niż więźniowie. A jednak postawiono ich nad więźniami. Dano im władzę.

Juli skrupulatnie wypełniał swoje obowiązki. Uśmiechał się jednak rzadziej niż zwykle. Nie czuł się szczęśliwy w roli kapłana. Noce spędzał na modlitwach, dni na rozmyślaniach i – na próbach nawiązania kontaktu z Usilkim. A Usilk od niego stronił.

Wreszcie Juli skończył służbę w Karnej Kolonii. Rozpoczął okres medytacji przed współpracą ze służbą bezpieczeństwa. Ten odłam milicji zwrócił jego uwagę, gdy chadzał po celach; teraz Juli powziął niebezpieczny pomysł.

Po kilku dniach w Bezpieczeństwie wij Wutry rozhulał się na dobre w jego umyśle. Juli miał za zadanie odwiedzać pobitych i przesłuchiwanym i udzielać im ostatniego błogosławieństwa przed śmiercią. Stawał się coraz twardszy, aż otrzymał pochwałę od przełożonych i własne sprawy do prowadzenia.

Przesłuchania były proste, jako że istniało niewiele rodzajów przestępstw. Ludzie oszukiwali, kradli lub głosili herezje. Albo chodzili w zakazane miejsca bądź knuli rewolucję, czym zawinił Usilk. Niektórzy próbowali nawet ucieczki do, królestwa Wutry, pod otwarte niebo. Wówczas właśnie Juli uświadomił sobie, że świat ciemności toczy coś na podobieństwo choroby: wszyscy u władzy obawiali się rewolucji. Choroba lękała się w mroku i była źródłem niezliczonych drobnych przepisów, rządzących życiem Pannowalu.

Łącznie z kapłanami osada liczyła sześć i trzy czwarte tysiąca mieszkańców, z których każdy przymusowo należał albo do gildii, albo do zakonu. W każdej kwaterze, gildii, zakonie czy dormitorium kręcili się szpicle, którym z kolei również nie ufano i którzy również mieli własną, pełną Szpiegów gildię. Ciemność rodziła nieufność, a pewne jej ofiary przewijały się przed bratem Julim jak galeria szubieniczników. Mimo że napawało go to wstrętem do siebie samego, Juli odkrył, że jest dobry w swojej robocie. Okazywał dość współczucia, aby jego ofiara przestała mieć się na baczności, i był wystarczająco bezwzględny, aby wydrzeć prawdę. Wbrew samemu sobie nabrał

zawodowego upodobania do tego fachu. Dopiero gdy poczuł się pewnie, kazał doprowadzić Usilka przed swoje oblicze.

Codziennie po skończonej służbie odprawiano nabożeństwo w Wysokim Rogu. Obecność była obowiązkowa dla kapłanów, dobrowolna dla milicji. Wysoki Róg miał wspaniałą akustykę: chór i muzycanci wypełniali mrok wzbierającymi falami muzyki. Juli ćwiczył ostatnio na instrumencie muzycznym. Grał coraz bieglej na hornie brązowym instrumencie nie większym od dłoni, którym początkowo pogardzał, widząc innych muzykantów wygrywających na ogromnych pitach, krutach, barambanach i dwukołach. Ale maleńki horn potrafił przemienić jego tchnienie w ton, który wlatywał wysoko jak marzysko, szybował hen pod mgliste sklepienie Wysokiego Rogu. ponad całą harmonię melodii. A z nim na skrzydłach tradycyjnych kantat: „Ujarzmiony”, „W jego Cieniu” i ulubionej, bogato kontrapunktowanej „Oldorando” szybował także duch Juliego.

Pewnego wieczoru, po nabożeństwie, Juli opuścił Wysoki Róg w towarzystwie znajomego kapłana .spowiednika imieniem Berwin i wspólnie poszli na przechadzkę katakumbami dróg Ziemi Świętej, aby zapoznać palce z nowymi ornamentami, nad którymi wciąż jeszcze pracowało trzech braci Kilandarów. Przypadkowo spotkali ojca Sifansa, również na przechadzce, z nerwowo szeptaną litaniją na wargach. Przywitali się serdecznie. Berwin uprzejmie przeprosił i odszedł, nie chcąc przeszkadzać Juliemu i ojcu Sifansowi we wspólnym spacerze i rozmowie.

– Moja codzienna robota nie raduje mojej duszy, ojcze. Uradowało ją nabożeństwo.

Jak to było w jego zwyczaju, Sifans nie odpowiedział, wprost.

– Przychodzą wspaniałe raporty o twojej robocie, braciszku Juli. Będziesz musiał rozejrzeć się za dalszym awansem. A wtedy pomogę ci.

– Łaskawy jesteś, ojcze. Pamiętam, co mi mówiłeś – ściszył głos – o arcystróżach. Organizacja, do której można wstąpić na ochotnika, tak powiedziałaś?

– Nie, powiedziałem, że można zostać wybranym do arcystróżów.

– Jak mógłbym zgłosić swoją kandydaturę?

– Akha wesprze cię, gdy będzie trzeba. – Sifans parsknął śmiechem. – Skoro należysz już do nas, zastanawiam się... czy dotarły do ciebie pogłoski o zakonie wyższym jeszcze od arcystróżów?

– Nie, ojcze. Wiesz, że nie daję ucha pogłoskom.

– Ha, powinieneś. Pogłoski są wzrokiem ślepcy. Ale skoroś taki honorowy, to nic nie powiem o poborcach.

– Poborcach? Co to za jedni?

– Nie, nie dręcz się, nie powiem ani słówka. Po „co masz sobie zawracać głowę tajnymi stowarzyszeniami czy bajkami o ukrytych jeziorach wolnych od lodu? Takie rzeczy mogą być w końcu wyssane z palca. Bajdy, jak o wiju Wutry.

Juli zaśmiał się.

– No dobrze, ojcze, już umieram z ciekawości. Możesz mi teraz wszystko opowiedzieć...

Sifans cmoknął wąskimi wargami. Zwolnił kroku i skręcił w boczną niszę.

– Skoro mnie zmuszasz. Oj, nieładnie to, nieładnie... Pewnie pamiętasz, jak mieszka pospólstwo w Vakku, izby na kupie, jedna na drugiej, bez ładu. Przypuśćmy, że to pasmo gór, w którym żyje Pannowal, przypomina Vakk albo, jeszcze lepiej, przypomina ciało, a w nim rozmaite, połączone ze sobą części, jak śledziona, płuca, różne narządy, serce. Przypuśćmy, że istnieją jaskinie równie wielkie jak nasze, nad i pod nami. To niemożliwe, prawda?

– Nie.

– Powiadam, że to jest możliwe. Przyjmijmy taką hipotezę. Powiedzmy, że gdzieś za Oborą istnieje wodospad, spływający z grotty ponad nami. I ten wodospad spada poniżej naszego poziomu,

gdzieś pod spód. Woda bieży, jak chce. Powiedzmy, że spada do jeziora, którego toń jest czysta i zbyt ciepła, żeby powstał na niej lód... Wyobraźmy sobie, że w owym kuszącym i bezpiecznym zakątku żyją najbardziej uprzywilejowani, najpotężniejsi poborcy. Pobierają oni wszystko, co najlepsze z wiedzy i władzy, i strzegą tego skarbu dla nas po dzień zwycięstwa Akhy.

– I strzegą przed nami...

– Co takiego? Pfuj, umknęło mi, co powiedziałaś, braciszku. Cóż, opowiadam ci tylko... ot, taką sobie historyjkę.

– A do poborców też trzeba zostać wybranym? Ojciec Sifans cichutko cmoknął językiem.

– Któż mógłby dostąpić takiego przywileju, zakładając, że – to wszystko istnieje? Nie, mój chłopcze, w tym trzeba się urodzić – potężne rody, piękne, ogniste kobiety i pewne sekretne przejścia w obie strony, nawet poza domenę Akhy... Nie, trzeba by... toć trzeba by rewolucji, żeby zbliżyć się do takiego hipotetycznego miejsca.

Zadarł nos i zachichotał.

– Ojcze, droczysz się z biednym, głupim kapłanem niższego niż ty stopnia.

Stary kapłan przekrzywił głowę, jakby ferował wyrok.

– Biedny, owszem, jesteś, mój młody przyjacielu, i biednym najprawdopodobniej pozostaniesz. Głupi nie jesteś – i właśnie dlatego będziesz zawsze kapłanem ze skazą, jak długo kapłanem pozostaniesz. Dlatego też cię kocham.

Pożegnali się.

Słowa Sifansa nie dawały Juliemu spokoju. Tak, jest kapłanem ze skazą, jak orzekł starzec. Miłośnikiem muzyki, niczym więcej. Obmył twarz, ale lodowata woda nie ostudziła palących myśli. Wszystkie te hierarchie kapłańskie – o ile istniały – wiodły jedynie do władzy. Nie do Akhy. Wiara nigdy dokładnie nie wyjaśniała, w jaki sposób modły mogą wzruszyć kamienny posąg, brakło jej werbalnej precyzji muzyki; słowa wiary prowadziły jedynie w mglisty mrok zwany pobożnością. Świadomość tego była równie szorstka jak ręcznik, którym wytarł sobie policzki.

Leżąc bezsennie w dormitorium zrozumiał, że stary Sifans został odarty ze swego życia, wyjałowiony z prawdziwej miłości i że pozostało mu tylko droczenie się z widmami własnych uczuć. W gruncie rzeczy starca nie obchodziło – pewnie już dawno przestało obchodzić – czy wychowankowie wierzą, czy nie. Aluzjami i zagadkami wyrażał tkwiące w nim głęboko niezadowolenie z własnego życia. Z nagłym lękiem Juli powiedział sobie w duchu, że lepiej umrzeć człowiekiem na pustkowiach, niż zamknąć się w sobie i ciemnych schronach Pannowalu. Nawet jeśli oznaczałoby to rozstanie z hornem i tonami „Oldorando”. Ze strachu aż usiadł, odrzuciwszy koc. Mroczne przeciągi, ci niestrudzeni lokatorzy dormitorium, owiały mu głowę. Zadrżał. W jakimś porywie równym uniesieniu, którego doznał wkraczając niegdyś do Stodoły, wyszeptał:

– Ja nie wierzę, w nic nie wierzę.

We władzę nad innymi, w to wierzył. Codziennie widział ją w działaniu. Ale była rzeczą czysto ludzką. Być może w inną niż ludzka przemoc tak naprawdę przestał wierzyć podczas ceremonii w Stanowej, kiedy ludzie pozwolili nienawistnemu fagorowi wygryźć słowa młodego Naaba razem z gardłem. Być może słowa Naaba jeszcze zatriumfują i kapłani zmieniają się tak, że ich życie nabierze sensu. Słowa, kapłani – oto co jest rzeczywiste. To Akha jest nicością. W niesionej powiewem ciemności wyszeptał:

– Akho, jesteś niczym!

Nie padł martwy, a powiew nadal igrał mu we włosach. Wskoczył z łóżka i pobiegł przed siebie. Pod jego palcami odwijala się na ścianach wstęga ornamentu, on zaś pędził nie przystając, aż opadł z sił, aż zapiekły go obtarte palce. Zawrócił zziąjany. Rozkazywać pragnął, nie słuchać. Burza

w jego głowie ucichła. Naciągnął na siebie koc. Jutro przystąpi do działania. Przysypiając drgnął jeszcze. Znow stał na mroźnym stoku. Opuszczony przez ojca, którego porwały fagory, z pogardą cisnął ojcowski oszczep w krzaki. Wszystko ożyło w jego pamięci: tamten ruch ramienia, świst oszczepu przeszywającego splecione badyle, jak nóż ostre powietrze w płucach. Dlaczego nagle ożyło w jego pamięci ów nieistotny szczegół? Ale ponieważ nie posiadał zdolności samoanalizy, pytanie pozostało bez odpowiedzi i Juli zapadł w sen.

Nazajutrz kończył przesłuchanie Usilka; po sześciu kolejnych dniach śledztwa należało zostawić oskarżonego w spokoju. Obowiązywały w tych sprawach surowe przepisy, a milicja podejrzliwie obserwowała wszelkie kontakty kapłanów z więźniami.

Usilk nie powiedział nic istotnego, z równą obojętnością znosząc bicie, jak i przymilność. Stał przed Julim, który zasiadał na krześle inkwizytora, misternie wyczelowanym z jednego kawałka drewna; miało to podkreślać różnicę ich pozycji – Juli pozornie na luzie, Usilk na pół zagłodzony, obdarty, zgarbiony, z twarzą wynędzniałą i bez wyrazu.

– Wiadomo nam, że nagabywali cię ludzie zagrażający bezpieczeństwu Pannowalu. Podaj nam ich imiona i jesteś wolny, wracasz do Vakku.

– Nie znam ich. Różni ludzie gadali różne rzeczy. I pytanie, i odpowiedź miały charakter utartych formuł. Juli wstał z krzesła, i zaczął spacerować wokół więźnia, nie zdradzając swoich uczuć.

– Słuchaj, Usilk. Nie żywię do ciebie wrogości. Szanuję twoich rodziców, jak ci mówiłem. To jest nasze ostatnie widzenie. Więcej się nie spotkamy, a w tym ohydym miejscu czeka cię pewna śmierć, bez powodu.

– Mam swoje powody, mnichu.

Juli zdumiał się. Wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Ściszył głos.

– Wszyscy mamy swoje powody... Zawierzę ci własne życie. Ja się nie nadaję na kapłana, Usilk. Urodziłem się w białych pustkowiach pod niebem północy, daleko od Pannowalu, i na pustkowiach pragnę wrócić. Zabiorę cię ze sobą, pomogę ci uciec. Mówię szczerze.

Usilk spojrzał mu w oczy.

– Odpieprz się, mnichu. Nie nabierzesz mnie na ten numer.

– Mówię szczerze. Jak mam cię przekonać? Chcesz, abym bluźnił bogu, któremu ślubowałem? Myślisz, że dla mnie to jak splunąć? W Pannowalu wyszedłem na ludzi, coś jednało w głębi mej istoty buntuje się przeciwko Pannowalowi i tutejszym porządkom. Dla tłumów to dach nad głową i zadowolenie, ale nie dla mnie, nawet w mojej uprzywilejowanej pozycji kapłana. Nie wiem dlaczego, wiem tylko, że taki jestem... – Powstrzymał potok słów. – Przejdę do rzeczy. Mogę ci załatwić mnisi habit. Po wyjściu z tej celi przemycę cię do Ziemi Świętej i uciekniemy razem.

– Pieprzę i ciebie, i twoje numery.

Juliego poniosła wściekłość. Opanował ją jedynie na tyle, żeby się nie rzucić z pięściami na Usilka. W furii skoczył po wiszący na ścianie pejcz i smagnął nim krzesło. Porwawszy ze stołu lampę łojową podetknął ją Usilkowi pod nos... Walnął się w pierś.

– Po co miałbym ci kłamać, po co zdradzałbym samego siebie? Co ty tam w końcu wiesz? Nic godnego uwagi. Niby jakiś przedmiot porwano cię z Vakku, twoje życie nie ma sensu ani znaczenia. Czeka cię kaźń i śmierć, bo takie tve przeznaczenie. Pięknie, droga wolna, skacz z radości, że życie uchodzi z ciebie dzień po dniu – oto cena, jaką płacisz za swoją butę i za to, żeś głupi. Rób co chcesz, zdychaj sobie po tysiąc razy. Ja mam dość. Nie mogę znieść tej mordęgi. Wynoszę się. Pomyśl o mnie, leżąc we własnym gównie – będę daleko stąd, wolny pod wolnym niebem, gdzie moc

Akhy mnie nie dosięgnie.

Wykrzykiwał te słowa, nie dbając o to, kto ich słucha, ciskając je w bladą maskę twarzy Usilka.

– Odpieprz się, mnichu. – Ta sama ponura śpiewka, co od tygodnia.

Juli cofnął się o krok i trzasnął Usilka na odlew rękojeścią pejcza w poharatany policzek. W cios włożył całą swoją wściekłość i siłę. Płonącym wzrokiem dostrzegł w niepewnym świetle lampy, gdzie trafiła rękojeść – pod oko i w poprzek grzbietu nosa. Stał z pejczem na pół wzniesionym patrząc, jak Usilk podnosi dłonie do rany, jak uginają się pod nim kolana. Jak słania się i pada na posadzkę – na kolana i łokcie. Z pejczem w zaciśniętej pięści Juli przestąpił jego ciało i opuścił izbę.

Z zamętem w duszy ledwo dostrzegł zamęt wokół siebie. Dozorcy i milicjanci pędzili w różnych kierunkach, jakby nagle zwariowali – w mrocznych arteriach Ziemi Świętej za naturalny uchodził krok pogrzebowego konduktu. Jakiś kapitan z zapaloną żagwią w ręku nadszedł pośpiesznie wykrzykując komendy.

– Kapłan inkwizytor? – spytał Juliego.

– A bo co?

– Te izby mają być wolne. Zabierzcie więźniów z powrotem do cel. Tu złożymy rannych. Migiem.

– Rannych? Jakich rannych?

– Głuchyś, bracie? – ryknął zirytowany kapitan. – A myślisz, że skąd tu tyle krzyku od godziny? Zawaliły się nowe wyrobiska w Oborze i przysypało wielu dobrych chłopaków. Istne pobojuwisko. No, kopnij się po swego więźnia i przenieś go do celi, tylko migiem. Ten korytarz musi być wolny za dwie minuty.

Odszedł krzycząc i klnąc. Juli zawrócił. Usilk wciąż leżał skurczony na posadzce izby śledczej. Juli pochylił się, chwycił go pod pachy i postawił na nogi. Usilk jęknął, ale jakby na pół oprzytomniał. Założywszy sobie jego ramię na szyję Juli mógł jako tako prowadzić więźnia. W korytarzu nadal ryczał kapitan, inni inkwizytorzy eskortowali swoje ofiary, tłocząc się w podnieceniu, jakoś nieszczególnie zmartwieni tym zakłóceniem rutynowych zajęć. Niczym cienie wsiąkali w mrok.

Juli miał teraz okazję ulotnić się, dopóki trwało zamieszanie. A Usilk? Gniew mijał, wracało poczucie winy. I pragnienie, aby pokazać Usilkowi, jak szczerą była gotowość przyjścia mu z pomocą. Podjął decyzję. Miast. skierować się do więziennych cel, skręcił w stronę kapłańskich kwater. W głowie dojrzywał mu plan.

Najpierw musi docucić Usilka, przygotować go do ucieczki. Nie było co marzyć o zabraniu więźnia do zakonnego dormitorium, gdzie by ich wykryto; znał pewniejsze schronienie. Czytając z murów skręcił przed dormitoriami, taszcząc Usilka po krętych schodach, z których wchodziło się, trochę jak w mrowisku, do izb kilku ojców. Z dłonią na wstędze ornamentu zawsze wiedział, gdzie się znajduje, nawet gdy ciemność zgęstniała tak bardzo, że złudne purpury pływały w niej niczym wodorosty w toni. Zastukał do drzwi ojca Sifansa i wszedł. Tak, jak się spodziewał, nikt nie odpowiedział. O tej porze dnia Sifans bywał zajęty gdzie indziej. Wciągnął Usilka do środka.

Wiele razy wystawał pod tymi drzwiami, ale nigdy nie przekroczył progu izby. Nie rozeznawał się tu w niczym. Posadził Usilka i oparł plecami o ścianę, a sam po omacku zaczął szukać lampy. Poobijał się trochę o sprzęty, nim znalazł i przekręcił czertowe Kółko przy podstawce. Strzeliła iskra, zajaśniał płomień, Juli wyjął lampę z pierścienia i rozejrzał się. Były tutaj wszystkie ziemskie dobra ojca Sifansa, niezbyt liczne. W kącie mały ołtarzyk z posążkiem Akhy, wypolerowanym od dotyku dłoni. Miejsce ablucji. Półka, a na niej parę drobiazgów, wśród nich instrument muzyczny;

matą na podłodze. Nic więcej. Ani stołu, ani krzesła. Bez zagładania do ukrytej w cieniu alkowy Juli wiedział, że stoi w mej łóżko, na którym stary kapłan sypia.

Zabrał się do roboty. Doprowadzoną skalnym akweduktem wodą z umywalki obmył Usilkowi twarz i spróbował go ocucić. Usilk przełknął odrobinę wody i zaraz ją zwymiotował. W puszcze na półce Juli znalazł zakalcowaty jęczmienny placek; zjadł kawałek i wmusił kęs w Usilka. Łagodnie potrząsnął go za ramię.

– Wybacz mi mój wybuch. Sam go sprowokowałeś. W głębi serca jestem nadal dzikusem, nie nadaję się na kapłana. Teraz widzisz, że mówiłem prawdę – uciekniemy stąd razem. Przy tym zawale w Oborze powinniśmy zwać bez trudu.

Usilk tylko jęknął.

– I co ty na to? Taki słaby to ty znów nie jesteś! Będziesz musiał iść o własnych siłach.

– Mnie nigdy nie nabierzesz, mnichu. Spojrzał na Juliego oczyma jak szparki. Juli kucnął przy nim. Usilk wzdrygnął się i odsunął.

– Słuchaj, dla nas nie ma już odwrotu. Nie ma odwrotu dla mnie. Spróbuj to zrozumieć. Nic od ciebie nie chcę, Usilk – po prostu pomogę ci stąd uciec. Wydostaniemy się jakoś przez północną bramę w przebraniu mnichów. Znam starą traperkę imieniem Lorel, o kilka zaledwie dni wędrówki na północ, ona zapewni nam schronienie, dopóki nie przywykniemy do zimna.

– Nigdzie nie idę, przyjacielu. Juli palnął się w czoło.

– Będziesz musiał. Ukrywamy się w izbie pewnego kapłana. Nie możemy tu zostać. Ojczulek jest poczciwy, ale z pewnością doniesie, gdy nas nakryje.

– Nic podobnego, bracie Juli. Twój poczciwy ojczulek umie milczeć jak grób.

Juli zerwał się na równe nogi i stanął oko w oko z ojcem Sifansem, który cichutko wyszedł z alkowy. Wiotką jak liść dłoń wyciągnął obronnym gestem przed siebie, spodziewając się napaści,

– Ojczy...

Ojciec Sitans mrugał powiekami w nikłym światełku i nadal wyciągał dłoń, ale gest jego wyrażał już dawne zaufanie.

– Drzemałem sobie. Byłem w Oborze, kiedy zaważyło się sklepienie – co za koszmar! Mnie samemu szczęśliwie nic się nie stało, dostałem jedynie odpryskiem kamienia w nogę. Uprzedzam was, że nie uciekniecie przez północną bramę; strażę zamknęły ją i ogłosiły stan wyjątkowy, tak na wszelki wypadek, żeby zacni obywatele nie zrobili czegoś niemądrego.

– Zameldujesz o nas, ojczy?

Z minionych dni, z dni chłopięcych, zachował jedną jedyną rzecz, kościany nóż, rzeźbiony przez jego matkę, kiedy była zdrowa. Zadając to pytanie ukradkiem zacisnął dłoń na nożu pod sutanną.

Sifans prychnął.

– Podobnie jak ty uczynię coś niemądrego. Doradzę ci najlepszą drogę ucieczki z naszej krainy. Doradzę ci ponadto, abyś nie zabierał ze sobą tego człowieka. Zostaw go tutaj, pod moją opieką. Jest jedną nogą w grobie.

– Nie, on jest twardy, ojczy. Szybko przyjdzie do siebie, niech tylko idea wolności na dobre zaświta mu w głowie. Wiele przeszedł, prawda, Usilk?

Więzień zmierzył ich spojrzeniem znad zsiniałego policzka, który już spuchł mu tak, że przesłaniał jedno oko.

– Jest ci również wrogiem, Juli, i zawsze nim będzie. Strzeż się go. Zostaw go mnie.

– Moja wina, że jest mi wrogiem. Ale mi wybacz, jak wszystko się dobrze skończy.

– Niektórzy ludzie nigdy nie wybaczą – rzekł Sifans.

Spoglądali na siebie w milczeniu, Usilk zaś tymczasem dźwignął się niezdarnie na nogi i

oparłszy czoło o ścianę dyszał ciężko.

– Ojczy – odezwał się Juli – nie powinienem prosić cię o to. Z tego, co wiem, jesteś arcystróżem. Czy pójdziesz z nami w świat zewnętrzny?

Oczy starca zamrugały gwałtownie.

– Przed ślubami poczułem, że nie mogę służyć Akhce, i pewnego razu usiłowałem opuścić Pannowal. Ale schwytano mnie, bo zawsze byłem łagodnej natury, nie takiej dzikiej, jak ty.

– Nigdy nie zapomnisz mi mego pochodzenia?

– Och, ja zazdrościłem dzikusom. Wciąż zazdrozczę. Ale przegrałem, moja natura wzięła górę nad moją wolą. Zostałem schwytany i potraktowano mnie... no więc jak mnie potraktowano, pozwól mi powiedzieć tyle tylko, że ja również należę do ludzi, którzy nie wybaczą. To było dawno temu. Od tego czasu awansowałem.

– Chodź z nami.

– Zostanę tutaj i będę kurował zranioną nogę. Widzisz, Juli, zawsze mam coś na swoje usprawiedliwienie. – Podniósł kamień z podłogi i na ścianie wyrysował plan, objaśniając Juliemu trasę ucieczki.

– To daleka droga. Musisz przejść pod górami Quzint. Wyjdiesz w końcu nie na północ, tylko na łaskawsze południe. Bądź zdrow i niech ci się szczęści.

Napluł w dłoń, starł rysunek ze ściany, kamień odrzucił w kąt. Nie znajdując słów Juli, wziął starca w objęcia i uściskał, przygniótłszy mu do boków jego cienkie ramiona.

– Wyruszamy natychmiast. Żegnaj.

– Musisz zabić starucha, zabić natychmiast – odezwał się Usilk, z trudem wymawiając słowa. – Bo podniesie alarm, jak tylko odejdziemy.

– Znam ojca i ufam mu.

– On wykręci nam numer.

– Mam gdzieś ciebie i te twoje zakichane numery, Usilk. Nie waż się tknąć ojca Sifansa. – Podniósł głos, gdyż Usilk ruszył naprzód. Juli ramieniem zagroził mu drogę do starego kapłana.

Usilk nadział się na ramię; lecz po krótkiej szarpaninie Juli odepchnął go, jak mógł najłagodniej.

– Chodź, Usilk. skoro masz siłę do watki. Idziemy.

– Zaczekaj. Widzę, że będę ci musiał zaufać, mnichu. Dowiedz swej szczerości i uwolnij mojego towarzysza. Nazywa się Skoraw, pracował ze mną przy stawie rybnym. Siedzi w celi sześćdziesiątej piątej. Ponadto ściągnij z Vakku pewną znaną mi osobę.

Juli potarł brodę.

– Nie będziesz mi rozkazywał – rzekł.

Wszelka zwłoka oznaczała niebezpieczeństwo. Jednak widział, że konieczny jest jakiś gest pojednawczy wobec Usilka, jeśli mają się w ogóle dogadać. W planie Sifansa jedno było jasne: czeka ich niebezpieczna wyprawa.

– Skoraw, zgoda. Pamiętam człowieka. Twój towarzysz z konspiracji?

– Jeszcze próbujesz mnie przesłuchiwać?

– W porządku. Ojczy, czy Usilk może zostać z tobą, dopóki nie wyciągnę tego Skorawa? Świetnie. A co to za facet z Vakku?

Coś na kształt uśmiechu pojawiło się przez moment na zmasakrowanej twarzy Usilka.

– Nie facet, kobieta. Moja kobieta, mnichu. Iskadora, królowa łucznictwa. Mieszka w Łęczyskach, na Dolnej.

– Iskadora... tak, tak, znam ją... znałem kiedyś z widzenia.

– Sprowadź ją. Ona i Skoraw są twardzi. Później zobaczymy, jak twardy jesteś ty, mnichu...

Sifans pociągnął Juliego za rękaw i cichutko, niemal wtykając mu nos do ucha, powiedział:

– Wybacz, zmieniłem zdanie. Boję się zostać sam na sam z tym głupim gburem. Proszę, weź go ze sobą... masz moje słowo, że nie wyjdę z tej izby.

Nie puszczał jego ramienia. Juli klasnął w dłonie.

– Doskonale. Idziemy razem, Usilk. Pokażę ci, gdzie możesz ukraść habit. Przebierzesz się, pójdziesz po Skorawa. Ja zejdę do Vakku po twoją Iskadorę. Spotkamy się w środku Obory, przy rozwidleniu dwóch korytarzy, żebyśmy mogli uciekać, gdyby zaszła konieczność. Jeśli ty i Skoraw nie przybędziecie, rozumiem, że wpadliście, i odchodzę bez was. Jasne?

Usilk chrząknął.

– Czy jasne?

– Tak, ruszajmy.

Wyruszyli. Z azyłu maleńkiej izdebki Sifansa wyszli w gęsty mrok korytarza. Juli prowadził, wodząc palcami po ściennym ornamentcie, w podnieceniu zapomniawszy nawet pożegnać swego starego mistrza.

Pannowalczyki byli naówczas praktycznymi ludźmi. Nie myśleli za wiele, a jeśli już, to o napełnieniu brzucha. Znajdowali jednak swoistą namiastkę życia duchowego w przypowieściach snuty od czasu do czasu przez bazarzy.

Koło strażnic przed wielką bramą, po drodze do tarasów Rynku, wędrowiec mijał drzewa – nieliczne i skarłate, ale najprawdziwsze zielone drzewa. Wysoko je tu ceniono, i bardzo słusznie, ponieważ stanowiły rzadkość, jak i dlatego, że sezonowo rodziły pomarszczone orzechy zwane dekarzami. Żadne z drzew nie dawało plonu co roku, zawsze jednak kilka dekarzy wisiało w sezonie na czubkach gałązek któregoś drzewa.

Dekarze w większości były robaczywe, toteż dzieciarnia i panny z Vakku, Grobli i Turmy zjadały robaki wraz z mięszem.

Czasami robaki zdychały po rozłupaniu orzecha. Któraś powiastka głosiła, że robaki umierają z osłupienia. Wierzyły one, że jądro orzecha stanowi ich cały świat, zaś karbowana łupina dokoła to jest ich niebo. Nagle któregoś dnia świat zostaje rozłupany. Z przerażeniem widzą, że poza ich światem istnieje przeogromny wszechświat, ważniejszy i jaśniejszy pod każdym względem. Tego objawienia było za wiele dla robaków i oddawały ducha.

Juliemu przyszły na myśl dekarzowe robaki, gdy po raz pierwszy od ponad roku opuścił posępne mroki Ziemi Świętej i oszołomiony powrócił do tętniącego codziennym życiem świata. Początkowo gwar, światło i ciżba ludzka wprawiły go w osłupienie. Wszystkie pułapki i pokusy tego świata objawiły mu się w postaci Iskador – pięknej Iskador. Obraz jej twarzy był lak świeży w jego pamięci, jakby ją widział zaledwie wczoraj.

Jeszcze piękniejsza ukazała mu się na jawie i ledwie zdołał wyjąkać przed nią parę słów. Kilkuizbowa kwatery jej ojca stanowiła część niewielkiej manufaktury, w której wyrabiano łuki. Ojciec był wielkim łukmistrzem swojej gildii.

Przyjęła kapłana raczej wyniośle. Siadł na podłodze, wypił kubek wody i powoli opowiedział swoją historię. Iskadora wyglądała na śmiałą dziewczynę, z tych, co nie bawią się w ceregiele. Od mleczej bieli jej skóry odbijały piwne oczy i kaskada czarnych włosów. Twarz miała szeroką, o wystających kościach policzkowych, usta też szerokie i blade, każdy jej ruch tryskał życiem, a tego, co Juli miał do powiedzenia, wysłuchiwała założywszy rzeczowo ręce na biuście.

– Dlaczego sam Usilk nie przyszedł do mnie z tymi dyrdymałami? – spytała.

– Zabiera jeszcze jednego towarzysza wyprawy. Nie mógł pokazać się w Vakku..., twarz ma

jeszcze trochę obitą i wzbudziłby niepożądane zainteresowanie.

Czarne włosy opadały Iskadorze z obu stron jak para skrzydeł. Teraz skrzydła te odrzuciła w tył niecierpliwym ruchem głowy.

– Tak czy owak, mam turniej łuczniczy za sześć dni i chcę go wygrać. Nie pragnę opuścić Pannowalu – jestem tu całkiem szczęśliwa. To Usilk zawsze narzekał. Poza tym nie widziałam Usilka od wieków. Mam już nowego chłopaka.

Juli wstał, rumieniając się z lekka.

– Doskonale, skoro tak uważasz. Tylko nie piśnij ani słowa o tym, co ci powiedziałem. Zaniosę wiadomość Usilkowi.

Zabrzmiało to bardziej szorstko niż zamierzał, bowiem onieśmielała go swoją bliskością.

– Czekaaj. – Podeszła z wyciągniętą ręką i położyła mu na ramieniu kształtną dłoń. – Nie odprawiłam cię, mnichu. To, co opowiadasz, jest dość interesujące. Miałeś błagać w imieniu Usilka, prosić mnie, abym poszła z wami.

– Dwie rzeczy, panno Iskadoro. Na imię mam Juli, nie „mnich”. I dlaczego miałbym błagać w imieniu Usilka? Nie jest moim przyjacielem, a poza tym...

Urwał. Wpatrywał się w nią płonąącym wzrokiem, czerwieniąc się coraz bardziej.

– Co poza tym? – W jej pytaniu czaił się śmiech.

– O, Iskadoro, jesteś piękna, oto co poza tym, i ja uwielbiam cię własnym sercem, oto co poza tym.

Jej obejście zmieniło się. Uniosła dłoń, jak gdyby chciała przesłonić blade wargi.

– Dwa „oto co poza tym”... oba dość istotne. Cóż, Juli, to trochę zmienia postać rzeczy. Patrząc tak na ciebie i widzę, że jesteś niczego sobie chłopak. Dlaczego zostałeś kapłanem?

Wyczuwając zmianę nastroju zawahał się, po czym rzekł śmiało:

– Zabiłem dwóch ludzi.

Długą chwilę obserwowała go spod gęstych rzęs.

– Zaczekaj tu, spakuję manatki i tęgi łuk – rzekła w końcu.

Zawał spowodował w Pannowalu trwożliwe poruszenie. Nastąpiło coś czego powszechnie lękano się najbardziej. Uczucia były mieszane; obawie towarzyszyła ulga, że przysypało jedynie więźniów, dozorców i trochę fagorów. Tych, którzy niewątpliwie zasługują na wszystko, czym Akha ich karze.

W głębi Rynku ustawiono szlabany i zmobilizowano milicję do pilnowania porządku. Drużyny ratowników – mężczyźni i kobiety z gildii medycznej oraz robotnicy – kursowali tam i z powrotem w miejscu wypadku. Napierały gromady gapiów, cichych i przejętych bądź rozbawionych tam, gdzie trafiła się grupa muzykantów z linoskoczkiem budząc wesołość. Juli torował dziewczynie drogę przez ten zamęt, a tłum starym zwyczajem rozstępował się przed kapłanem.

Obora, miejsce wypadku, przedstawiała niecodzienny widok. Gapiów nie wpuszczano, zaś dla ułatwienia pracy ratownikom zapalono szereg oślepiających kagańców awaryjnych. Więźniowie sypali w płomienie proszek podtrzymujący ich jasność. Trwał gorączkowy ruch; gdy jedni kopali, z tyłu czekały szeregi następnych, by ich zmienić, gdy opadną z sił. Pagóry zaprzęgnięto do wózków z gruzem. Co chwila rozlegał się okrzyk, a wówczas kopano z jeszcze większą zajadłością, wyławiając z gruzowiska ludzkie ciało, które przekazywano stojącym w pogotowiu medykom.

Rozmiary katastrofy robiły ogromne wrażenie. Z zawałem nowego wyrobiska runęła część sklepienia głównej komory. Na prawie całej posadzce piętrzyły się sterty odłamków skalnych, pod którymi niemal zniknęła hodowla ryb i grzybów. Początkiem i pierwotną przyczyną tragedii był

podziemny strumień, który teraz wylał, dodając powódź do innych nieszczęść. Oberwane skały przywały tylne wyjście. Juli z Iskadorą musieli się gramolić na czworakach przez stertę gruzu. Na szczęście jeszcze większe rumowisko zasłaniało ich wspinaczkę przed oczami ciekawskich. Usilk ze swym towarzyszem Skorawem kryli się w mroku korytarza.

– Do twarzy ci w czerni i bieli, Usilk – zauważył złośliwie Juli, pijąc do kapłańskiego przebrania obu więźniów.

Usilk zaś wybiegł na powitanie Iskadory z otwartymi ramionami. Nie padła mu w objęcia, być może zrażona widokiem jego pokiereszowanej twarzy, na pocieszenie podając mu dłonie.

Skoraw nawet w przebraniu wyglądał jak więzień. Wysoki i chudy, z przygarbionymi plecami człowieka, który zbyt długo przebywał w zbyt ciasnej celi. Miał wielkie, pokryte bliznami dłonie. Nie patrzył w oczy, uciekał spojrzeniem przynajmniej podczas tego spotkania, ukradkiem tylko zerkając na Juliego. Na pytanie, czy przygotował się na ciężką wyprawę, kiwnął jedynie głową, mruknął poprawił na ramieniu ramię sakwy z dobytkiem. Taki początek nie wróżył wyprawie nic dobrego i Juli zaczynał już żałować swego odruchu. Zbyt wiele poświęcał dla towarzystwa dwóch osobników w rodzaju Usilka i Skorawa. Najpierw, uświadomił sobie, musi pokazać, że to on tu rządzi, inaczej czekają ich kłopoty. Usilkowi najwyraźniej przyszło na myśl to samo. Poprawił plecak i wysunął się naprzód.

– Spóźniłeś się, mnichu. Myśleliśmy, że nie dotrzymasz słowa. Że to jeszcze jeden z twoich numerów.

– Czy ty i twój kompan wytrzymacie trudy wyprawy? Nie wyglądacie najlepiej.

– Najlepiej ruszać stąd, zamiast sterczeć i mleć ozorami – powiedział Usilk i prostując ramiona wepchnął się pomiędzy Iskadorę a Juliego, na czoło.

– Ja przewodzę, wy słuchacie – rzekł Juli. – Wbijcie to sobie do głowy, a zapanuje między nami zgoda.

– Kto ci wbił do głowy, że masz przewodzić, mnichu? – drwiąco powiedział Usilk, kiwając na dwoje swoich przyjaciół, żeby go poparli. Z na pół przymkniętym jednym okiem wyglądał nieśmiało i groźnie zarazem. Wobec perspektywy ucieczki znów stał się agresywny.

– Proszę, masz odpowiedź – rzekł Juli i zwinąwszy prawą pięść, z pół obrotu ulokował ją krótkim hakiem na żołądku Usilka. Usilk zgiął się we dwoje, stękając i klnąc na przemian.

– Zasaraniec, w łon pieprzony...

– Nie garb się. Usilk, tylko ruszaj w drogę, nim tu za nami zatęsknią.

Więcej nie dyskutowano. Pomaszzerowali za nim posłusznie. W tyle pogasty blade światła Obory. Tylko muralny ornament z powiązanych nitek paciorków i maleńkich muszelek snuł się pod opuszkami palców Juliego kapryśnie i zawile, jak melodia wygrywana na hornie, i zastępując mu wzrok wiódł w bezmiary ciszy, w głąb góry. Inni nie dzielili z Julim kapłańskiej tajemnicy i nadal zdani byli na światło. Zaczęli prosić, żeby zwolnił lub pozwolił im zapalić kaganek, jednak nie mógł przystać ani na jedno, ani na drugie. Korzystając z okazji ujął dłoń Iskadory, której mu nie broniła, i szedł upojony dotykiem jej ciała. Pozostałym towarzyszom podróży musiały wystarczyć poły kaftana Iskadory. Po jakimś czasie korytarz rozwidlił się, ściany odnogi straciły gładkość i zniknęła z nich nitka ornamentu. Dotarli do granic Pannowalu – byli zupełnie sami. Przysiedli dla złapania tchu. Podczas gdy inni gwarzyli, Juli rozgryzał w myśli plan naszkicowany mu przez ojca Sifansa. Teraz żałował, że nie uściskał starca raz jeszcze na pożegnanie.

Ojcze, myślę, że poznałeś się na mnie, pomimo swoich licznych dziwactw. Ty wiesz, jaki ze mnie gagatek. Wiesz, że wyrrywam się ku dobru, a nie mogę się oderwać od własnej głupiej natury.

Jednak mnie nie zdradziłeś. Cóż, za to ja nie pchnąłem cię nożem, wiesz? Trzeba mi pracować nad sobą i poprawić się – wciąż przecież jestem kapłanem. A może nie jestem? Cóż, kiedy wyjdziemy... jeśli wyjdziemy... No i ta cudna dziewczyna z nami... Nie, nie jestem kapłanem, stary ojciec, bądź błogosławiony, nigdy nie będę kapłanem, ale próbowałem, a ty mi pomagałeś. Żegnaj na zawsze...

– Wstawać! – zawołał, zrywając się i pomagając stanąć na nogi dziewczynie.

Zanim ruszyli dalej, Iskadora leciutko położyła mu w ciemnościach dłoń na ramieniu. Nie skarżyła się na zmęczenie, kiedy Usilk ze Skorawem zaczęli biadolić. Później ułożyli się do snu u podnóża zwirowej skarpy – dziewczyna pomiędzy Usilkiem a Julim. Osaczały ich nocne lęki; w mroku wydawało im się, że słyszą, jak pełźnie ku nim wij Wutry, rozdziawiając paszczę i wlokąc za sobą oślizłe wasy.

– Śpimy przy zapalonej lampce – rzekł Juli.

Było zimno, więc mocno przygarnął do siebie dziewczynę, zasypiając z policzkiem wtulonym w jej futrzany kaftan. Po przebudzeniu zjedli skromny posiłek. Droga była coraz trudniejsza. Miejsce to kiedyś nawiedziło tąpnięcie, toteż godzinami pełzli na brzuchach, nosem szturchając poprzednika w pięty i nie wstydząc się wzajemnych nawoływań – byle tylko nie stracić ze sobą kontaktu w przemożnej nocy serca ziemi. Lodowaty wiatr świstał w szczelinie, przez którą musieli się przeciskać, i okrywał im szronem włosy.

– Wracajmy – błagał Skoraw, kiedy zdołali wreszcie stanąć, rozprostować plecy i zaczerpnąć tchu. – Wolę już więzienie.

Nikt mu nie odpowiedział, on zaś nie ponowił propozycji. Nie mogli już zawrócić. Ale przytłaczająca obecność góry sprawiła, że posuwali się w milczeniu. Juli zagubił się beznadziejnie. Zawalona ściana zmyliła mu wszelkie rachuby. Nie umiał już sobie przypomnieć mapy starego kapłana, a bez wstążki ornamentu pod palcami był równie bezradny, jak wszyscy. Usiłował podążać za coraz głośniejszym szemraniem. Pasma złowrogiej i nieokreślonej barwy przepływały mu przed szeroko otwartymi oczami: miał wrażenie, że brnie przez litą skałę. Oddech wrywał mu się z rozdziawionych ust krótkimi sapnięciami. Jednomyślnie zarządzili odpoczynek.

Od wielu godzin droga wiodła w dół. Schodzili potykając się; Juli trzymał jedną rękę wyciągniętą w bok, drugą osłaniał głowę, żeby nie uderzyć w skałę, jak to mu się już nieraz zdarzało. Czuł, jak Iskadora czepia się jego habitu; był tak zmęczony, że to dotknięcie tylko mu teraz ciążyło. Odchodząc od zmysłów wmawiał sobie, że chore barwy przed oczyma biorą się z zadyszki. Sam w to nie wierzył, bowiem jakaś poświata wnikała w pole widzenia. Parł naprzód, wciąż w dół, to zaciskając opuchnięte powieki z całej siły, to je raptownie otwierając. Ogarniała go ślepotą – widział nikłą mleczną światłość. Obejrząwszy się uroił sobie, że jakby we śnie dostrzega twarz Iskadory. a raczej senną zjawę – wytrzeszczone oczy i usta rozdziawione w widmowym kręgu twarzy. Pod jego spojrzeniem dziewczynie wróciła świadomość. Iskadora stanęła, łapiąc Juliego dla równowagi, na nich zaś wpadli Usilk i Skoraw.

– Światło przed nami – powiedział Juli.

– Światło! Znowu widzę... – Usilk chwycił Juliego za ramiona. – Przeprowadziłeś nas. ty sukinsynu. Jesteśmy uratowani, jesteście wolni!

Zaśmiał się na całe gardło i popędził naprzód, rozpostarłszy ręce, jak gdyby chciał uściskać źródło światła. Ogarnięci radością wszyscy pośpieszyli za nim, potykając się na nierównej pochyłości w łunie, która jeśli kiedykolwiek świeciła, to jedynie nad jakimś bezimiennym północnym oceanem, gdzie spławiają się i biją o siebie góry lodowe. Dalej grunt był płaski, strop umknął do góry. Drogę zagroziły im kałuże wody. Przelecieli je z chlupotem. lecz po drugiej stronie droga

Znów wiodła pod górę, zmuszając ich do zwolnienia kroku na stromym podejściu, a światło wcale nie pojaśniało i tylko ogłuszający łoskot dochodził teraz ze wszystkich stron. Nagle droga się skończyła i w osłupieniu stanęli na skraju szczeliny. Otaczała ich jasność i huk.

– Na oczy Akhy! – jęknął Skoraw i wbił zęby we własną pięść. Szczelina wiodła w głąb, niczym przełyk do brzucha ziemi. Wyżej widzieli samą gardziel. Przez jej krawędź przelewała się rzeka i spadała do szczeliny. Tuż pod progiem, na którym przystanęli, wodny żywioł po raz pierwszy uderzał w skałę z wielką siłą. Stąd właśnie szedł łoskot wypełniający ich uszy. Po czym wodogrzmot ginął im z oczu w otchłani. Nawet tam, gdzie się nie pieniała, woda była biała, poprzetykana żywą zielenią i błękitem. Chociaż bił od wody nikły blask, który sprawił im tyle radości, to nie mniej zdawały się jaśnieć skały w głębi. spowite w gęste wiry bieli, czerwieni i żółci.

Na długo, zanim przestali gapić się na ten widok i na swoje własne białe zjawy, przemoczył ich wodny pył.

– To nie jest wyjście – powiedziała Iskadora. – To ślepy zaułek. Którędy teraz. Juli?

Spokojnie wskazał na drugi koniec skalnej półki.

– Przejdziemy po tamtym moście – rzekł.

Uważając na każdy krok poszli w stronę mostu. Droga była śliska od powrozowatych, zielonkawych alg. Most wydawał się posiwiarty ze starości. Zbudowano go z kamiennych ciosów wyrabianych z pobliskiej skały. Wznosił się łukiem i zaraz urywał. Zobaczyli, że konstrukcja runęła i pozostał z niej ledwie kikut. W mlecznym świetle mogli dojrzeć bliźniaczy kikut mający po drugiej stronie przepaści. Ślad po dawnym przejściu. Przez jakiś czas jak urzeczeni mierzyli wzrokiem rozpadlinę, nie patrząc na siebie. Pierwsza otrząsnęła się Iskadora. Schyliła się, odstawiała sakwę i wyciągnęła z niej łuk. Przywiązała do strzały jedną z owych nici, jakich używała wówczas, gdy Juli oglądał jej zwycięski występ dawno, dawno temu. Bez słowa zajęła pozycję na skraju przepaści, wysuniętą stopę pewnie wsparłszy na samej krawędzi i podniosła łuk. Drugą rękę jednocześnie odciągnęła do biodra i mierząc kątem oka, niemal od niechcenia, zwolniła cięciwę. Brzechwa jak gdyby przewiercała poświatę i wodne tumany. Osiągnęła pułap nad sterczącym nawisem, odbiła się od skalnej ściany ponad wodospadem i wyczerpawszy swą moc spadła z klekotem do stóp Iskadory. Usilk klepnął ją w ramię.

– Piękny strzał. A co dalej?

W odpowiedzi przywiązała mocny sznur do końca nici, a potem podniosła strzałę i zaczęła ściągać nić. Niebawem początek sznura prześliznął się po występie i powróciwszy z powrotem na dół spoczął w jej dłoni. Wówczas wyjęła linę, na której zawiązała pętlę, przeciągnęła ją również przez występ, przewlokła drugi koniec liny przez pętlę i całość mocno zaciągnęła.

– Chcesz iść pierwszy? – spytała Juliego, oddając mu koniec liny. – Skoro jesteś przywódcą...?

Zajrzał w studnie jej oczu, zdumiony sprytem i oszczędnością słów dziewczyny. Za jednym zachodem dała do zrozumienia Usilkowi, że Juli przewodzi, a Juliemu, że ma to udowodnić czynem. Nie znalazłszy słabego punktu w jej propozycji ścisnął w garści linę i przymierzył się do skoku. Wyglądało to groźnie, ale było niezbyt, jak oceniał, niebezpieczne. Mógł przelecieć nad przepaścią, a potem wleźć na poziomą półkę, przez którą przelewała się rzeka. Z tego, co widzieli, miejsca na wspinaczkę wystarczało akurat, żeby uniknąć porwania przez wodę. Dalsze ewentualności rozpatrzy dopiero na górze po drugiej stronie. Nie ma mowy, żeby stchórzył na oczach dwóch więźniów – no i Iskadory. Chyba nazbyt pośpiesznie frunął nad otchłanią, myślami będąc jeszcze przy dziewczynie. Dość niezdarnie lądował na lewą nogę, stopa obsunęła mu się w zielonkawym szlamie, wyrznął barkiem o skałę, odbił się, wleciał w tuman wodnej mgły i wypuścił z rąk linę. W następnej chwili spadał w przepaść. Nad huk wodospadu wzbili się ich wspólny krzyk – pierwszy raz zrobili coś

naprawdę jednogłośnie.

Juli zleciał na skałę i przywarł do niej każdym włókmem swej istoty. Podciągnął kolana, zaparł się palcami stóp i mocno wczepił w kamień. Czuł ból we wszystkich kościach, mimo że spadł może ze dwa metry w dół, na sterczący z urwiska głaz. Oparcia miał nie więcej niż dla stóp, ale to wystarczało. Bojąc się choćby poruszyć, przycupnął zdyszany w tej niewygodnej pozycji, z brodą niemalże na tym samym poziomie, co buty. Dziwnie niebieski kamień załśnił mu przed wylękłymi oczyma. Zagapił się na kamień w każdej chwili oczekując śmierci. Jakoś nie mógł skupić na nim spojrzenia. Odniosł wrażenie, że ze swojej skalnej grzędy mógłby sięgnąć po niego ręką. Nagle zmysły objawiły Juliemu właściwą perspektywę – patrzył nie na pobliski kamień, lecz na skrawek błękitu hen w dole. Poraził go zawrót głowy, sparaliżował. Nawykły do równin, nie był odporny na tego rodzaju przeżycie. Zamknął oczy i przylgnął do skały. Dopiero dolatujące z oddali krzyki Usilka sprawiły, że ponownie je otworzył. Daleko w dole leżał drugi świat, a szczelina, w której zawisł Juli, zagłądała tam niby luneta. Przez nie większe od własnej dłoni okienko Juli zapuścił spojrzenie do olbrzymiej groty. W jakiś sposób była rozświetlona. To, co brał za niebieski kamień, było jeziorem, chyba nawet morzem, jako że odślaniał się przed nim zaledwie okruch całości, której rozmiarów Juli nie potrafił sobie wyobrazić. W paru ziarnkach piasku nad brzegiem jeziora dopatrzył się teraz budowli nieznanego mu przeznaczenia. Wisiał w stanie katalepsji, bezradnie spoglądając w dół.

Poczuł czyjeś dotknięcie. Nie mógł ruszyć choćby palcem. Ktoś coś mówił, ktoś go chwycił za ramiona. Bezwiednie pomagał swojemu wybawcy, siadając i opierając się plecami o skałę i zarzucając mu ręce na kark. Pokierszowana twarz, rozbity nos, rozcięty policzek i jedno podbite na czarno i zielono oko przesłoniły Juliemu pole widzenia.

– Trzymaj się mocno, człecze. Jedziemy na górę.

Jakimś cudem nie puścił się wtedy Usilka, który mozolnie pokonał skalną ścianę i wytaszczył ich obu na próg wodospadu. Tam Usilk legł jak długi, dysząc i stękając. Juli spojrział w dół na zadarte twarze Iskadory i Skorawa, ledwo widocznych po drugiej stronie szczeliny. Spojrział jeszcze niżej, w głąb przepaści; ale wizja drugiego świata zniknęła za tumanem wodnej mgły. Dygotały mu ręce i nogi, jednak zapanował nad nimi i dopomógł pozostałym dołączyć do siebie i Usilka. Z ulgą wszyscy uściskali się w milczeniu. W milczeniu odnaleźli drogę między skalnymi blokami na skraju rwącego nurtu. W milczeniu ruszyli dalej. I Juli milczał o wizji drugiego świata, jaka mignęła mu przelotnie. Raz jeszcze wspomniął starego ojca Sifansa; czyżby to była ukryta forteca poborców, na chwilę objawiona mu wśród skalnych ostępów? Cokolwiek zobaczył, zataił to w sobie i milczał.

Labirynt wnętrza góry zdawał się nie mieć kresu. Czwórka wędrowców maszerowała bez światła, w ciągłej trwodze przed szczelinami. Zmorzonym wyszukiwali jakiś kąt i spali, ciasno przytuleni do siebie, spragnieni ciepła i towarzystwa, nawet nie wiedząc czy to noc.

Raz, po wielogodzinnej wspinaczce naturalnym, usianym głazami łożyskiem dawno wyschniętego potoku, odkryli na wysokości ramienia wnękę, do której wleźli wszyscy czworo, kryjąc się przed mroźnym podmuchem, który smagał im twarze przez długi czas. Juli zasnął natychmiast. Obudziła go Iskadora potrząsając za ramię. Usilk ze Skorawem siedzieli, poszeptując bojaźliwie.

– Słyszysz? – zapytała.

– Słyszysz? – zapytali obaj mężczyźni.

Nasłuchiwał poszeptów wiatru w tunelu, odległego ciurkania wody. Wtem złowił uchem odgłos, który ich zaniepokoił, nieustanny szmer, jakby coś ocierało się w pędzie o ściany.

– Wij Wutry! – szepnęła Iskadora.

Chwycił ją mocno.

– To tylko bajdy bajarzy – rzekł.

Ale poczuł zimny pot na ciele i ścisnął rękojeść noża.

– Nic nam nie grozi w tej dziurze – powiedział Skoraw. – Jeśli będziemy cicho.

Mogli się jedynie modlić, żeby miał rację. Niewątpliwie coś nadciągało. Przycupnęli bez ruchu, zerkając niespokojnie do tunelu. Skoraw i Usilk byli uzbrojeni w pałki skradzione dozorcóm z Kolonii Karnej, Iskadora miała swój łuk. Szmer narastał. Akustyka zwodziła, odnosili jednak wrażenie, że dźwięk idzie z wiatrem. Do szmeru dołączył teraz chrobot i łoskot, jakby bezceremonialnie spychanych na bok głazów. Wiatr zamarł; pewnie tunel został zatkany. Poczuli smród. Ostry fetor gnijącej ryby, gnoju, zgłiwiałego sera. Tunel wypełniła zielonkawa mgła. Według podania wij Wutry był bezgłośny, a tu oto nadciągało coś z hukiem, nie wiadomo co. Bardziej pod wpływem strachu niż odwagi Juli wyrzwał z kryjówki. Wij pędził prosto na nich. Za sunącą przodem jak chmura zieloną łuną ledwo majaczyły jego kształty. Czwooro ślepi – para za parą, olbrzymie wąsy i kły. Przerażony Juli cofnął głowę, z trudem łapiąc oddech. Wij zbliżał się nieubłaganie. Po chwili ujrzeli jego pysk z profilu. Rozjarzone szaleństwem ślepie. Sztywne wąsy musnęły ich po futrach. Po czym pole widzenia przesłoniły im okryte łuską żebra, przepływając jak fale w sieniej poświacie, osypując ich pyłem, dławiąc plugastwem i smrodem. Całe mile tego przepłynęły, zanim wszystko minęło. Przytuleni do siebie, wysunęli razem głowy z ukrycia patrząc, dokąd podążył. Gdzieś na początku usianego głazami tunelu przechodzili przez rozległą jaskinię. Tam się teraz kotłowało, falowała nie wygasła, zielona łuna. Wij wyczuł ich. Zakręcał i wracał. Po nich. Pojawszy, co się dzieje, Iskadora stłumiła okrzyk.

– Kamienie, szybko! – powiedział Juli.

Mogli ciskać leżącymi wokół odłamkami skały. Sięgnął w głąb wnęki, pod ukośną tylną ścianę. Nieoczekiwanie natrafił dłonią na coś włochatego. Wzdrygnął się. Zakręcił swym czertowym kółkiem. Iskra błysnęła i zgasła, żyjąc tylko tak długo, żeby zobaczyć, że dotrzymują im towarzystwa butwiejące szczątki człowieka, z którego pozostały jedynie kości i futrzane okrycie. I jeszcze jakaś broń. Skrzesał drugą iskrę.

– To zdechły futrzak! – zawołał Usilk, używając określenia fagora w więziennej gwarze.

Usilk miał rację. Długa czaszka, pozbawiona już ciała, i rogi nie pozostawiały wątpliwości. Przy zwłokach leżało drzewce zaopatrzone w grot o sercowatym liściu. Akha przybywał z odsieczą tym, którym zagrażał Wutra. Usilk i Juli jednocześnie wyciągnęli ręce i złapali drzemce broni.

– Zostaw! Miałem już takie rzeczy w ręku – powiedział Juli wrywając Usilkowi włócznię. Nagle stanęło mu przed oczami dawne życie, wspomniął pustkowia i jak stawał czoło szarżującemu jajakowi.

Powracał wij Wutry. Powracało chrobotanie. Sino-zielonkawe światło. Juli z Usilkiem odważyli się wyrzeć na sekundę z wnęki. Wij tkwił jednak w miejscu. Widzieli plamę jego pyska. Wykonawszy nawrót stanął do nich przodem, ale nie ruszył.

Czekał.

Zarzykowali spojrzenie w przeciwną stronę. Drugi wij szedł na nich z tego samego kierunku, skąd przybył pierwszy. Dwa wije... Raptem w wyobraźni Juliego cały labirynt jaskiń zaroił się wijami. Wystraszeni przyłgnęli do siebie – łuna stawała się coraz jaśniejsza, a chrobot coraz bliższy. Ogromne stwory były jednak zajęte wyłącznie sobą. Za falą fetoru przewalił się łeb wiją, czwooro ognistych ślepi wlepiając przed siebie.

Ze wszystkich sił ściskając oburącz uchwyt Juli wysunął zza skały grot swej dopiero co

zdobytej włóczni, zaparłszy jej tylec o boczną ścianę wnęki. Grot wszedł w rozbujałe, szarżujące naprzód cielsko. Z długiej rany buchnęła gęsta, mazista posoka, na całej długości boku spływając do ziemi. Stwór zwalniał, jeszcze nim jego wąsaty ogon minął półkę, na której zaległa czwórka ludzi.

Czy dwa wije zamierzały walczyć, czy kopulować, na zawsze miało pozostać zagadką. Drugi wij nie doszedł do celu. Jego chód ustał. Odpowiadając na mgliste sygnały bólu cielsko zafalowało, bijąc ogonem. Po czym wij znieruchomiał. Powoli wygasła jego łuna. Ucichło wszystko, prócz poszumu wiatru.

Nie śmieli odejść. Ledwie mieli odwagę się poruszyć. Pierwszy wij wciąż czekał gdzieś w ciemności, zdradzając swą obecność nikłą zielonkawą poświatą, niedostrzegalną prawie spoza ścierwa pobratymca. Przyznali później, że to był najgorszy moment w tej przygodzie. Każde z nich zakładało po cichu, że martwy wij był partnerem pierwszego wiją, który wiedział, gdzie oni są, i tylko czekał na pierwszy krok ludzi, aby runąć jak burza i dokonać pomsty.

Wreszcie pierwszy wij ruszył. Usłyszeli chrobot jego wąsów o skałę. Sunął ostrożnie, jak gdyby spodziewał się pułapki, aż wreszcie jego łeb zawisł nad trupem. Po chwili zaczął się posilać. Czwórka ludzi nie wytrzymała dłużej na miejscu. Odgłosy budziły zbyt straszne skojarzenia. Przeskoczywszy rozlewisko posoki wpadli z powrotem do tunelu i wzięli nogi za pas – byle dalej w mrok.

Podjęli swoją wędrówkę przez wnętrze góry. Lecz od tej pory zatrzymywali się często, nasłuchując głosów ciemności. A kiedy sami musieli się odezwać, mówili drżącym szeptem. Co jakiś czas natrafiali na wodę zdatną do picia. Ale zapasy żywności wyczerpali. Iskadora ustrzeliła kilka nietoperzy, jednak nie przeszły im przez gardło. Przemierzali kamienny labirynt, coraz bardziej opadając z sił. Czas mijał, wygodne życie w Pannowalu poszło w niepamięć: jedyne, co z życia zostało, to bezkresna wędrówka przez ciemność. Zaczęli napotykać kości zwierząt. Raz przy czertowej iskrze odkryli w niszy dwa ludzkie szkielety, obejmujące się ramionami; czas odarł ten gest z wszelkiej kryjącej się w nim niegdyś czułości – teraz jedynie kość drapała o kość i dwie czaszki szczyrzyły do siebie zęby w upiornym uśmiechu.

Później w kącie, z którego wiało chłodem, posłyszeli, wykryli i zabili parę rudowłosych zwierząt. W pobliżu popiskiwało młode, wysuwając ku nim krągły nosek. Rozerwali młode na kawałki, zjedli mięso, póki było jeszcze ciepłe, a potem, w napadzie jakiejś gorączki rozbudzonego głodu, pożarli również oboje rodziców.

Na ścianach pojawiły się fosforyzujące porosty. W ich świetle dostrzegli ślady ludzkiej bytności. Resztki domostwa i czegoś, co mogło być łodzią – wszystko porośnięte grzybem. Kominem w stropie sąsiedniej jaskini wprosiło się niewielkie stadko rajów. Z niezawodnego łuku Iskadora strąciła sześć ptaków, które z dodatkiem grzybów i szczyptą soli ugotowali w kociołku na ognisku. Owej nocy, gdy posnęli w gromadce, nawiedziły ich nieprzyjemnie żywe widziadła, które przypisywali grzybom.

Nazajutrz, zaledwie po dwóch godzinach marszu, wkroczyli do niskiej, szerokiej groty przesyconej zielonym światłem. W jednym kącie groty dymiło ognisko. W prymitywnym kojcu trzy kozy łyskały w półmroku białkami oczu. Nie opodal na stosie skór siedziały trzy kobiety: wiekowa starucha i dwie dziewczyny. Młódki uciekły z piskiem na widok Juliego, Usilka, Iskatory i Skorawa. Porzuciwszy grono przyjaciół Skoraw wskoczył do kóz. Wykorzystując stare, leżące pod ręką naczynie jako skopek, wydoił do mego kozy, za nic sobie mając nieartykułowane wrzaski staruchy. Niewiele wycisnął mleka ze zwierząt. Tym, co było, podzielili się i nie czekając na powrót obcych mężczyzn ruszyli w dalszą drogę, na odchodne rzuciwszy za siebie naczynie. Zapuścili się w skręcający ostrokorytarz, przegrodzony zaraz za zakrętem. Dalej był wylot jaskini, a jeszcze dalej

otwarta przestrzeń – stok górski i dolina, i jasne światło królestwa Wutry, boga niebios.

Ramię w ramię – gdyż odczuwali już więzi wspólnoty i przy – jaźni – stanęli zapatrzeni w piękny krajobraz. Kiedy popatrzyli po sobie, we własnych twarzach zobaczyli radość i nadzieję, i nie mogli powstrzymać się od krzyków i śmiechu. Skakali i ściskali się nawzajem. A kiedy już ich oczy dostatecznie przywykły do jasności, osłoniwszy czoła spojrzeli w górę, tam gdzie Bataliksa toczyła się w cieniutkiej warstwie chmur, jak blado-pomarańczowe koło.

Pora roku musiała być bliska wiosennego zrównania dnia z nocą, a pora dnia bliska południa – z dwóch powodów: Bataliksa szybowała prosto nad ich głowami, Freyr niżej od niej dopiero wschodził. Kilkakrotnie jaśniejszy Freyr zalewał światłem ośnieżone wzgórza. Bledsza Bataliksa zawsze była szybszą strażniczką i niebawem miała zachodzić, kiedy Freyr będzie stawał w zenicie.

Jakże piękny był widok pary strażników! Cykliczny układ ich tańca na niebie stanął Juliemu w pamięci jak żywy, otwierając mu serce i nozdrza. Wsparty na misternej włóczni, którą zabił wiją, całym ciałem chłonał światłość dnia. Usilk jednak powstrzymał dłonią Skorawa i marudził u wylotu jaskini, niepewnie wyglądając na świat.

– Czy nie lepiej byłoby zostać w tych jaskiniach? Jak mamy żyć tam na zewnątrz? – zawołał do Juliego.

Nie odrywając wzroku od horyzontu Juli wyczuł, że Iskadora stanęła w połowie drogi pomiędzy nim a dwójką maruderów. Nie oglądając się, odpowiedział Usilkowi:

– Pamiętasz bazarzy z Vakku i historyjkę o robakach zorzachów dekarzy? Robaki uważały zgniły orzech za cały swój świat, toteż po rozłupaniu skorupy umierały z osłupienia. Zamierzasz zostać robakiem, Usilk?

Na to Usilk nie znalazł odpowiedzi. Znalazła ją Iskadora. Podeszła z tyłu i wzięła Juliego pod rękę. Uśmiechnął się i radość rozpierała mu piersi, ale głodnym wzrokiem wciąż przebywał w dali. Widział, że przebyte przez nich góry stanowią osłonę od północy. Karłowate, nie wyższe od człowieka drzewa rosły w odstępach, i pionowo, co oznaczało, że lodowaty wiatr zachodni nie docierał tutaj z Barrier. Juli zachował dawne swoje umiejętności, nabyte od Alechawa. Tutejsze wzgórza z pewnością obfitują w zwierzynę i będą mogli żyć zdrowo pod niebem, jak przykazują bogowie. Dusza w nim rosła, wypełniając go, aż musiał rozłożyć szeroko ramiona.

– Zamieszkamy w tym bezpiecznym zakątku – rzekł Juli. – Pozostaniemy we czworo razem na dobre i na złe.

Z ośnieżonego jaru na stoku wzgórza biła smużka dymu, wsiąkając w wieczorne niebo.

– Tam żyją ludzie! Zmusimy ich, żeby nas przyjęli. Tam będzie nasz dom. Będziemy nimi rządzić i nauczymy ich naszych obyczajów. Odtąd żyjemy wedle naszych własnych praw, nie praw innych ludzi.

Prostując się w ramionach ruszył w dół pochyłości, przez ubogi zagajnik; za mm pierwsza podążyła Iskadora dumnym krokiem, a za Iskadorą pozostali.

Niektóre zamierzenia Juliego ziściły się. inne nie. Po licznych próbach sił zostali przyjęci do maleńkiej osady, pod opiekuńczym skrzydłem góry. Mieszkańcy żyli na żałośnie prymitywnym poziomie; przewyższający ich wiedzą i odwagą Juli i jego przyjaciele potrafili narzucić tej społeczności swoją wolę, swoje rządy i swoje prawa.

Wszelako nie zasymilowali się nigdy do końca, bowiem twarze mieli odmienne i olonet ich miał akcent odmienny niż w miejscowym dialekcie. Niebawem spostrzegli, że zasobna osada żyje w nieustannej trwodze przed napaściami ze strony większej, niezbyt odległej osady znad brzegów zamarzniętego jeziora. W rzeczy samej przeżyli niejedną taką napaść w kolejnych latach, ponosząc

wielkie straty w dobytku i ludziach.

Wszelako życie, a zwłaszcza życie wśród obcych, nauczyło Juliego i Usilka przebiegłości, i pod ich kierunkiem wzniesiono srogie umocnienia przeciwko napastnikom z Dorzin, jak zwano większą osadę. A wszystkie młode kobiety pod kierunkiem Iskadorę sporządziły łuki i wprawiały się w strzelaniu. Opanowały tę sztukę po mistrzowsku. Podczas najbliższego oblężenia wielu napastników padło z piersią przeszytą strzałami i był to ostatni najazd ze strony południowych sąsiadów.

Wszelako doskwierał osadzie surowy klimat i lawiny schodzące z gór. I zamiecie bez końca. Tylko w przedsionkach jaskiń można było hodować trochę zmarniałych roślin i nieliczne wynędzniałe zwierzęta na mleko i mięso, toteż szeregi ludzi nie wzrastały i zawsze nękał ich głód oraz choroby, które potrafili przypisywać jedynie złości bogów (o Akhce zakazał Juli wspominać).

Wszelako Juli pojął piękną Iskadorę za żonę i kochał ją, co dzień znajdując pociechę w widoku jej szerokiej, śmiałej twarzy. Urodził im się syn, którego na cześć starego kapłana zaprzyjaźnionego z Julim w Pannowalu nazwali Si i który szczęśliwie wyrósł na dzikusa, uniknąwszy zasadzek i niebezpieczeństw pierwszych lat życia. Usilk i Skoraw również się poženili, Usilk z drobną, śniadą kobietą imieniem Isilka, dziwnie podobnym do jego własnego imienia; Isilka mimo niewielkiego wzrostu rąca była jak jeleń, rozumna i łagodna. Skoraw wziął sobie dziewczynę imieniem Fitty, kapryśną pannę, która śpiewała ślicznie, uczyniła piekło z jego życia i wydała na świat dziewczynkę, która zmarła po roku.

Wszelako Juli i Usilk nigdy nie żyli w zgodzie. Mimo że wspólnie stawiali czoło wspólnym zagrożeniom, przy innych okazjach Usilk czynił wstręty Juliemu i mieszał mu szyki, i oszukiwał go na prawo i lewo. Jak powiedział stary kapłan – niektórzy ludzie nigdy nie wybaczą.

Wszelako zdziesiątkowani epidemią dorzińczycy wybaczyli, przysyłając poselstwo. Zasłyszawszy o sławie Juliego prosili, żeby zajął miejsce ich zmarłego przywódcy. Co też Juli uczynił i mając powyżej uszu podchodów Usilka zamieszkał wraz z Iskadorą i dzieckiem nad zamarznętym jeziorem, gdzie zwierzyny było w bród i gdzie rządził i wymierzał sprawiedliwość.

Wszelako i tu, w Dorzin, prawie nieznaną była sztuka, która łagodzi monotonię twardego życia. Wprawdzie ludzie tańczyli w dni świąteczne, ale prócz kastanietów i dzwonek nie mieli żadnych instrumentów muzycznych. I nie znali tam żadnej religii, poza nieustannym strachem przed złymi duchami i stoicką pokorą wobec wrogiego zimna, chorób i śmierci. Toteż Juli został w końcu prawdziwym kapłanem i usiłował rozbudzić w ludziach życie duchowe. Większość odrzucała jego nauki, bo chociaż go przyjęli, był obcy, a oni byli zbyt zgorzkniali, żeby uczyć się nowych rzeczy. Ale nauczył ich kochać niebo ze wszystkimi nieba kapryśkami.

Wszelako wielką była moc życia w nim i w Iskadorze, i w Si, i nigdy nie pogrzał nadziei, że nadejdą lepsze dni. Zachował objawioną mu we wnętrzu gór wizję i wiarę, że istnieje zapewne życie przyjemniejsze, bezpieczniejsze, mniej zależne od przypadków i żywiołów, inne niż ich własne.

Wszelako z upływem lat i on, i piękna Iskadorą starzeli się i coraz bardziej odczuwali zimno.

Wszelako kochali miejsce nad jeziorem, gdzie żyli, i ku pamięci innego życia i innych nadziei nazwali je Oldorando.

Tu kończy się historia Juliego, syna Alechawa i Onesy. Historia ich potomków i tego, co im przypadło, to dużo dłuższa opowieść. Nie wiedzieli, że Freyr zbliża się ku zimnej planecie: bowiem prawda kryła niejasne, odrzucone przez Juliego wersety i po upływie określonego czasu niebo lodu stać się miało niebem ognia. Za pięćdziesiąt zaledwie helikońskich lat od urodzin ich syna prawdziwa wiosna zagościć miała na surowym świecie, jaki znali Juli i piękna Iskadorą.

Nowy świat sposobił się już do narodzin.

EMBRUDDOCK

I rzekła Shay Tal:

Wam się zdaje, że żyjemy pośrodku wszechświata. A ja powiadam, że żyjemy pośrodku podwórza. Upadliśmy tak nisko, że niżej już nie można. To wam powiadam. W przeszłości, w zamierzchłej przeszłości zdarzyła się jakaś katastrofa. Katastrofa tak ostateczna, że teraz nikt wam już nie powie, ani co to było, ani jak do niej doszło. Wiemy tylko, że potem nastąpiły długotrwałe ciemności i zimno.

Staracie się żyć jak najlepiej. Dobrze, bardzo dobrze, życie dobrze, kochajcie się, bądźcie dobrzy. Ale nie łudźcie się, że katastrofa nie ma z wami nic wspólnego. Wprawdzie zdarzyła się dawno temu, ale zatruwa każdy dzień naszego życia. Postarza nas, niszczy, zżera nas, odbiera nam nasze dzieci. Nie tylko utrzymuje nas w niewiedzy, ale w niewiedzy nas rozkochuje. Jesteśmy zarażeni niewiedzą.

Chcę zaproponować wyprawę po skarb – krucjatę, jeśli wolicie. Krucjatę, w której każdy z nas może wziąć udział. Chcę, abyście uświadomili sobie nasz upadek, i nieustannie poszukiwali klucza do jego istoty. Musimy złożyć obraz tego, co zaszło i zapędziło nas na to zimne podwórze; wówczas może poprawimy swoją dolę i dopilnujemy, żeby katastrofa ponownie nie spadła na nas i na nasze dzieci.

Oto skarb, jaki wam ofiarowuję. Wiedza. Prawda. Boicie się jej. zgoda. Ale musicie jej szukać. Musicie ją pokochać.

I. ŚMIERĆ DZIADKA

Niebo było czarne i mężczyźni od południowej bramy szli z pochodniami. Okutani w futra, wysoko podnosili nogi, żeby przebrnąć głęboki śnieg na drodze. Jego świątobliwość przybywał! Jego świątobliwość!

Z wypiekami na twarzy młody Laintal Ay ukrył się w kruchcie zrujnowanej świątyni. Podglądał pochód, sunący wśród prastarych wież z kamienia, które od wschodniej strony oblepione były śniegiem pozostałym po wcześniejszej zamieci. Spostrzegł, że kolor ożywia jedynie skwierczące czubki pochodni, czubek nosa ojca świętego i jęzory sześciu psów zaprzęgniętych do jego sań. W każdym przypadku kolor był czerwony. Ciężkie jak ołów niebiosa, w których schowała się strażniczka Bataliksa, spiły wszelkie pozostałe barwy.

Ojciec Bondorlonganon z dalekiego Borlien był gruby, a pogrubiło go jeszcze bardziej olbrzymie futro z nie znanych w Oldorando zwierząt. Przybył sam, powitalny orszak tworzyli miejscowi łowcy znani Laintalowi Ayowi co do jednego. Całą swą uwagę chłopiec skupił na twarzy kapłana, obcy bowiem przybywali tu rzadko; podczas ostatniej wizyty ojca Laintal Ay był mniejszy, nie tak silny.

Twarz miał świątobliwość owalną, gęsto zrytą poziomymi zmarszczkami, pomiędzy które pozostałe rysy, łącznie z oczami, wciskały się jak mogły. Zmarszczki jak gdyby sprasowały mu usta w długą i okrutną linię. Powoził saniami, rzucając podejrzliwe spojrzenia na wszystkie strony. Nic w jego zachowaniu nie świadczyło o radości z ponownych odwiedzin Oldorando. Objął wzrokiem ruiny świątyni; ta wizyta była konieczna, ponieważ Oldorando uśmierciło swoich kapłanów, jak wiedział, wiele pokoleń temu. Jego markotny wzrok przez chwilę spoczął na chłopcu stojącym między parą czworobocznych kolumn.

Laintal Ay nie spuścił oczu. Spojrzenie kapłana wydało mu się okrutne i wyrachowane, ale przecież nie mógł wymagać od siebie sympatii dla człowieka, który przybywał z ostatnią posługą do jego umierającego dziadka. Poczul odór psiego zaprzęgu i smolny dym pochodni. Procesja skręciła w główną ulicę, mijając świątynię. Laintal Ay był niezdecydowany, czy za nią pójść.. Stojąc na schodach i obejmując się ramionami obserwował ludzi z innych wież, mimo zimna zwabionych przybyciem sań. W mroku na drugim końcu ulicy, u stóp wieży, w której mieszkał Laintal Ay z rodziną, procesja stanęła. Niewolnicy wybiegli zająć się psami – odprowadzić je do stajni pod wieżą – podczas gdy ojciec święty zląszy ociężale z sań wtoczył się za próg.

W tej samej chwili od południowej bramy zbliżył się do świątyni łowca. Był to czarny brodacz imieniem Aoz Roon, który ogromnie imponował chłopcu swoją junacką postawą. Za nim z pętami wokół zrogowaciałych kostek człapał stareńki niewolnik, fagor Myk.

– No i co, Laintalu, widzę, że przyjechał ojciec z Borlien. Nie idziesz go powitać?

– Nie.

– A to czemu? Przecież go chyba pamiętasz?

– Gdyby nie przyjechał, dziadek by nie umierał. Aoz Roon klepnął chłopca po ramieniu.

– Zuch z ciebie, nie dasz się śmierci. Pewnego dnia sam zostaniesz władcą Embruddocku.

Użył dawnej nazwy Oldorando, popularnej przed przybyciem ludzi Juliego, z młodszym o dwa pokolenia obecnym Julim, który w tej chwili leżał w oczekiwaniu kapłańskiego namaszczenia.

– Wolałbym, żeby dziadek żył, niż gdybym sam miał być władcą. Aoz Roon pokręcił głową.

– Nie mów tak. Każdy chciałby rządzić, gdyby miał szansę. Ja bym chciał.

– Ty byłbyś dobrym władcą, Aozie Roonie. Kiedy dorosnę, będę taki jak ty, i będę wszystko

wiedział i zabijał wszystko.

Aoz Roon zaśmiał się. Laintal Ay pomyślał, jak wspaniale łyskają jego białe zęby w okolonych brodą ustach. Dojrzał w nich okrucieństwo, ale bez wyrachowania, jakie widział u kapłana. Aoz Roon był bohaterem pod wieloma względami. Miał nieślubną córkę zwaną Oyre, prawie rówieśniczkę Laintala Aya. I tylko on jeden nosił szubę z czarnego futra olbrzymiego niedźwiedzia górskiego, którego ubił w pojedynkę. Aoz Roon powiedział beztrzesko:

– No chodź, matka stęskniła się już za tobą. Wskakuj na Myka, on cię podwiezie.

Wielki biały fagor wyciągnął rogowate dłonie, żeby chłopak wspiął mu się po ramionach na pochylone barki. Myk był niewolnikiem w Embruddocku z dawien dawna; osobniki jego rasy żyły dłużej niż ludzie.

– Wsiadaj, chłopak – powiedział grubym, gardłowym głosem.

Laintal Ay złapał się rogów ancipity. Na znak niewoli ostre krawędzie obosiecznych rogów Myka zostały spiłowane na gładko. W trójkę pobrnęli prastarym traktem zdążając ku oazie ciepła wśród zapadających ciemności jeszcze jednej z niezliczonych nocy zimowych – bo zima panowała na tym tropikalnym kontynencie od stuleci. Wiatr zmiatał z gzymsów sypki śnieg, prósząc na nich z góry.

Gdy tylko jego świątobliwość i psy zniknęli w wielkiej wieży, gromada gapiów rozpierzchła się z powrotem do swych pieleszy. Myk zсадził Laintala Aya na udeptany śnieg. Wesóło pomachawszy Aozowi Roonowi chłopiec wbiegł przez podwójne drzwi, osadzone w fundamentach budowli.

W mroku powitał go fetor ryb. Psy karmiono gutami, łowionymi pod lodem w Voralu. Skoczyły na wchodzącego chłopca z wściekłym ujadaniem, szarpiąc się na rzemieniach i szczerząc ostre kły. Towarzyszący kapłanowi niewolnik z ludzkiej rasy bezskutecznie próbował uspokoić je krzykiem. Wsunąwszy palce pod pachy Laintal Ay zawarczał im w nosy i ruszył drewnianymi schodami na górę.

Z góry sączyło się światło. Nad stajnią wznosiło się sześć pięter. Laintal Ay sypiał na pierwszym. Matka i dziadkowie na najwyższym. Pozostałe zamieszkiwali różni łowcy w służbie dziadka; odwrócenie szerokimi barami do przechodzącego chłopca, byli już zajęci pakowaniem rynsztunku. Na swoim piętrze Laintal Ay spostrzegł złożony tam skromny dobytek ojca Bondorlonganona. Kapłan rozgościł się i mieli spać koło siebie. Niechybnie będzie chrapał; dorośli zazwyczaj chrapią. Przystanął nad derką kapłana, podziwiając osobliwą tkaninę, po czym ruszył na szczyt wieży, gdzie spoczywał dziadek.

Z głową wytkniętą przez właz zatrzymał się i zajrzał do izby, oglądając wszystko z poziomu podłogi. Tak naprawdę była to izba jego babki, komnata Loily Bry jeszcze z jej dziewczęcych lat, z czasów panowania jej ojca, Walia Ein Dena, który był wodzem plemienia Den, lordem Embruddocku. Teraz wypełniał komnatę cień Loily Bry. Stała odwrócona plecami do ognia rozpalonego w żelaznym piecyku tuż przy włazie, przez który zaglądał jej wnuk. Cień majaczył groźnie na ścianach i niskich belkach stropu.

Ze strojnej, bogato haftowanej sukni, którą babka stale nosiła, pozostał na ścianach tylko niewyraźny kształt z rękawami przemienionymi w skrzydła. Loila Bry i jej cień jakby przytłoczyli pozostałe trzy osoby w komnacie. W kącie na łożu spoczywał Mały Juli przykryty skórą, spod których wystawała tylko jego broda. Miał dwadzieścia dziewięć lat i kończył życie. Starzec mamrotał. Loilanun, matka Laintala Aya, siedziała przy nim ująwszy się za łokcie, z boleścią na bladej twarzy. Jeszcze nie zauważyła syna. Najbliżej Laintala Aya siedział przybysz z Borlien, ojciec Bondorlonganon, który modlił się głośno z zamkniętymi oczyma. To przede wszystkim jego modły powstrzymały Laintala Aya. Chłopak bardzo lubił przebywać w tej izbie, pełnej sekretów babki.

Loiła Bry знаła dziwy nad dziwami i do pewnego stopnia zastąpiła Laintalowi Ayowi ojca, który zginął polując na kołatka. Kołatki stanowiły źródło słodkawo-mdlącej woni w izbie. Niedawno ubito jednego z potworów i po kawałku zniesiono do domu. Odłamki płyt pancerza wyrąbanych z jego grzbietu służyły do podsycania ognia i poskromienia zimna. Niby-drewno paliło się żółtym syczącym płomieniem. Laintal Ay zerknął na zachodnią ścianę. Tam było porcelanowe okno babki. Nikłe światło z dworu sączyło się przez szybę złowrogą pomarańczową łuną, bez szans w rywalizacji z blaskiem ognia.

– Dziwnie tu wszystko wygląda – powiedział w końcu.

Wszedł stopień wyżej i piecyk zamrugał do niego ognistymi ślepiami otworów. Wielebny ojciec niespiesznie dokończył swoje modły do Wutry i otworzył oczy. Usidłone w gęstych, poziomych zmarszczkach twarzy nie były zdolne otworzyć się szeroko, lecz kapłan utkwiał je łagodnie w chłopcu i bez powitalnego wstępu rzekł:

– Lepiej chodź tutaj, mój zuchu. Przywiozłem ci coś z Borlien.

– A co?

Kapłan trzymał ręce schowane za plecami.

– Chodź, to zobaczysz.

– Sztylet?

– Chodź, to zobaczysz.

Kapłan nawet nie drgnął.

Loiła Bry szlochała, konający pojękiwał, ogień trzaskał. Laintal Ay niepewnie zbliżył się do wielebnego ojca. Nie pojmował, jak ludzie mogą żyć gdzie indziej niż w Oldorando: tutaj był środek wszechświata – poza nim tylko pustkowia, lodowe, bezkresne pustkowia, które od czasu do czasu wypluwały hordy fagorów.

Ojciec Bondorlonganon położył mu na dłoni figurkę pieska. Niewiele większą od dłoni. Chłopiec poznał, że wyrzeźbiono ją z rogu kaidawa, z bogactwem zachwycających szczegółów. Na psim grzbiecie jeżyła się sierść, a maleńkie łapy miały poduszeczki. Obracając zabawkę Laintal Ay odkrył po chwili, że ogon jest ruchomy. Kiedy poruszało się nim w górę i w dół, pies kłapał szczęką. Takiej zabawki jeszcze tutaj nie widziano. Podekscytowany Laintal Ay puścił się biegiem wokoło izby, poszczekując, dopóki matka nie uciszyła go, chwyciwszy krzykacza w ramiona.

– Pewnego dnia chłopak będzie lordem Oldorando – powiedziała Loilanun do wielebnego ojca, jakby na usprawiedliwienie syna. – Jest dziedzicem.

– Lepiej, żeby ukochał wiedzę i uczył się, aby wiedzieć coraz więcej – powiedziała Loiła Bry, niemal na stronie. – Mój Juli przedkładał wiedzę nad władzę. – Na nowo rozpląkała się, kryjąc twarz w dłoniach.

Ojciec Bondorlonganon, mrużąc odrobinę bardziej oczy, zapytał Laintala Aya o wiek.

– Sześć lat i ćwierć.

Tylko obcy musieli zadawać takie pytania.

– No, no, jesteś już prawie mężczyzną. W przyszłym roku zostaniesz łowcą, więc lepiej zdecyduj się szybko. Czego pragniesz bardziej, władzy czy wiedzy?

Chłopak utkwiał wzrok w podłodze.

– Jednego i drugiego, panie... albo tego, co łatwiej przychodzi. Kapłan roześmiał się i odprawiwszy młokosa gestem, poczłapał do powierzonej mu duszy. Wkupił się, a teraz – do roboty. Doświadczenie wyczuliło mu ucho na kroki śmierci, łowił nowy ton w rytmie oddechu Małego Juliego. Starzec lada chwila miał wyruszyć z tego świata w niebezpieczną drogę przez oktawę śródziemną do obsydianowej krainy mamików. Z pomocą kobiet Bondorlonganon ułożył wodza na

boku, głową na zachód.

Zadowolony, że pozostawiono go samemu sobie, chłopiec turlał się po podłodze, walcząc z rogowym psem, odszczekując mu cichutko w kłapiącą wściekle paszczkę. Jego dziadek odszedł akurat w chwili, gdy trwała chyba najzajadlejsza walka psów w dziejach świata.

Nazajutrz Laintal Ay miał wielką ochotę towarzyszyć kapłanowi z Borlien, na wypadek gdyby miał on więcej zabawek ukrytych pod habitem. Kapłan był jednak zajęty odwiedzaniem chorych, a zresztą Loilanun nie pozwoliła synowi oddalić się od siebie na krok. Wrodzoną mu buntowniczość ducha poskramiały sprzeczki, jakie wybuchały między matką a babką. Dziwił się im, a dziwił tym bardziej, że za życia dziadka obie kobiety darzyły się miłością. Zwłoki Juliego, noszącego imię po mężczyźnie, który wyszedł z wnętrza gór razem z Iskadorą, zabrano sztywne niczym przemarznięta skóra zwierzęca, jak gdyby ostatnim aktem woli starzec odgrodził się murem od czułości swoich kobiet. Odchodząc zostawił po sobie mroczny ką, w którym przysiadła na piętach Loila Bry, odwracając się jedynie po to, żeby warknąć na córkę.

Plemię odznaczało się tęgą budowa ciała, z grubą warstwą podskórnej tkanki tłuszczowej. Loila Bry zachowała swą ongiś słynną figurę, chociaż włosy jej posiwiały, a głowa niknęła teraz w ramionach pochylonych nad wystygłym łóżem mężczyzny, którego przez połowę życia kochała namiętą miłością od pierwszego wejrzenia, od chwili, gdy stanął przed nią – najeżdźca, broczący krwią.

Loilanun była z mniej szlachetnej gliny. Siły żywotne, moce miłości, szeroka twarz z natarczywymi oczami jak czarne żagle, to wszystko ominęło Loilanun, przechodząc bezpośrednio z babki na młodego Laintala Aya. Przedwcześnie owdowiała, mizerna, bladolica Loilanun szła odtąd przez życie bez przekonania i chyba także bez przekonania usiłowała posiąść wspaniałą wiedzę matki. Teraz patrzyła z rozdrażnieniem, jak Loila Bry płacze w kącie niemal bez przerwy.

– Matko, przestań... twoje buczenie działa mi na nerwy.

– Tyś była za słaba, żeby godnie opłakać swojego męża. Ja będę płakać... będę płakać, aż się na śmierć zapłaczę krwawymi łzami.

– Dużo ci z tego przyjdzie. – Podsunęła jej chleb, który matka odrzuciła z pogardą. – Shay Tal go piekła.

– Nie będę jadła.

– Ja zjem, mam – powiedział Laintal Ay.

Usłyszeli wołanie Aoza Roona, który przystanął pod wieżą, trzymając za rękę swoją nieślubną córkę Oyre. O rok młodsza od Laintala Aya, pomachała mu z zapalem, gdy razem z Loilanun wystawił głowę przez okno.

– Chodź na górę, Oyre, pokażę ci mojego psa. Prawdziwy z niego wojownik, jak twój ojciec.

Matka przegnała go jednak od okna i zwróciła się szorstko do Loily Bry:

– To Aoz Roon, chce nam towarzyszyć na pogrzeb. Mam się zgodzić?

Stara kobieta kołysała się leciutko, nie odwracając głowy.

– Nie ufaj nikomu – rzekła. – Nie ufaj Aozowi Roonowi – jest nazbyt zuchwały. On i ego przyjaciele tylko czekają, żeby przejąć władzę.

– Komuś trzeba ufać. Ty będziesz musiała teraz rządzić, matko. Słyszac gorzki śmiech matki Loilanun spuściła wzrok na syna, który stał i uśmiechał się do rogowego psiaka w garści.

– No to ja będę rządziła, dopóki Laintal Ay nie wyrośnie na mężczyznę. Wtedy zostanie lordem Embruddocku.

– Głupiasz, skoro łudzisz się, że jego wuj Nahkri do tego dopuści – odparła Loila Bry.

Loilanun uciekła spojrzeniem od pełnej nadziei twarzy syna i milcząc, z zawzięcie ściągniętymi ustami, utkwiała oczy w leżącym na posadzce fartuchu. Wiedziała, że kobiety nie rządzą. Już teraz, jeszcze przed pogrzebem jej ojca, władza matki nad plemieniem rozwiewała się, odpływała w dal jak nurt rzeki Voral, nie wiadomo dokąd. Obróciwszy się na pięcie bez dalszych ceregieli zawołała przez okno:

– Wejdźcie!

Oyre weszła z ojcem, lecz Laintal Ay nie pobiegł na powitanie, wciąż jeszcze urażony i zbity z tropu miną matki, do której jak gdyby dotarło przed chwilą, że syn nigdy nie dorówna swemu dziadkowi, nie mówiąc już o dawniejszym nosicielu imienia Juli. Aoz Roon, przystojny, zawadiacki, młody łowca w wieku czternastu lat, uśmiechnął się ze współczuciem do Loilanun, zmierzwił czuprynę Laintalowi Ayowi i podążył z kondolencjami do wdowy.

Był rok 19 po Zjednoczeniu i Laintal Ay miał już wycucie historii. Czaiła się w mdłej woni zalegającej kąty tej wiekowej komnaty pełnej plam wilgoci, liszajów i pajęczyn. Samo słowo „historia” kojarzyło mu się z wieżami, pod którymi wyją wilki o zaśnieżonych zadach, podczas gdy jakiś stary kościsty bohater wydaje ostatnie tchnienie.

Zmarł nie tylko dziadek Juli. Nie żył również Dresyl. Dresyl, cioteczny brat Juliego, cioteczny dziadek Laintala Aya, ojciec Nahkriego i Klilsa. Wtedy również wezwano kapłana i Dresy! odszedł, sztywny, w błoto, w błoto historii. Chłopiec wspominał Dresyla z miłością, za to lękał się swoich swarliwych wujów, owych synów Dresyla – Nahkriego i pyszałka Klilsa. O ile orientował się w tych sprawach, to wbrew temu, co mówiła matka, należało oczekiwać, że zgodnie ze starą tradycją władza przypadnie Nahkriemu i Klilsowi. Przynajmniej są młodzi. A on zostanie dobrym łowcą, i wtedy będą go darzyć szacunkiem, miast lekceważyć, jak teraz. Aoz Roon mu dopomoże.

Tego dnia łowcy nie wyszli z osady. Wszyscy wzięli udział w pogrzebie swego lorda. Wielebny ojciec dokładnie wyznaczył miejsce pod grób, tuż przy dziwnie rzeźbionym kamieniu, gdzie gorące źródła dostatecznie rozmroziły grunt, umożliwiając pochówek.

Aoz Roon towarzyszył obu paniom, żonie i córce Małego Juliego, w drodze na miejsce spoczynku starca. Za nimi szli Laintal Ay i Oyre, szepcząc ze sobą, a z tyłu podążali niewolnicy i fagor Myk. Laintal Ay wprawiał w ruch szczekającego pieska, rozśmieszając Oyre.

Mród i woda stworzyły przedziwną żałobną scenerię. Na północnym skraju osady biły z gruntu fumarole, źródła i gejzery, zalewając skały i kamienie. Pędzone wiatrem na wschód wody kilku gejzerów jak rozpostarty wachlarz zamarzając przed opadnięciem na ziemię, urosły w skomplikowane, fantastyczne kształty, poprzeplatane niczym sznury. Gorętsze strugi biczowały tę nadbudowę ciepłą wodą, utrzymując ją w niebezpiecznym stanie plastyczności, toteż od czasu do czasu jakaś oderwana bryła waliła się z trzaskiem na skałę, gdzie topniała powoli.

Na przyjęcie dawnego bohatera, niegdysiejszego zdobywcy Embruddocku, wykopano dół. Dwóch ludzi mozolnie wybrało z dołu wodę skórzanymi wiadrami. Tam został złożony Mały Juli, owinięty w zgrzebne płótno, bez żadnych ozdób. Niczego ze sobą nie zabierał. Mieszkańcy Kampanlat i ludzie znajdujący się na rzeczy wiedzieli aż za dobrze, jak tam jest na dole, w świecie mamików: nie było do zabrania nic, co by się tam przydało.

Wokół grobu zebrali się wszyscy mieszkańcy Oldorando, mężczyźni, kobiety – i dzieci, w sumie jakieś sto siedemdziesiąt osób. Psy i gęsi również dołączyły do kompanii, gapiąc się płochliwym, ptasim wzrokiem, podczas gdy ludzie apatycznie przestępowali z nogi na nogę. Było zimno. Bataliksa wisiała wysoko, lecz skryty w chmurach Freyr wstał zaledwie godzinę temu i wciąż marudził na wschodzie. Ludzie byli śniadzi, mocnej budowy, o potężnych członkach i potężnych beczkowatych tułowiach, które stanowiły dziedzictwo każdego, kto był wówczas na tej planecie. Obecnie waga

doroślego osobnika, czy to mężczyzny, czy kobiety, wynosiła, z niewielkim odchyleniem, dwanaście miejscowych tuzów; drastyczne zmiany miały nastąpić później.

Tłoczyli się w dwóch mniej więcej równych liczebnie grupach – w jednej łowcy ze swymi kobietami, w drugiej bracia cechowi ze swoimi, wszyscy spowici w chmurę oddechów. Łowcy byli ubrani w skóry reniferów, których sierść jeżyła się tak gęstą szczotką, że najsilniejsze zamiecie nie rozwiewały włosów tego futra. Bracia cechowi mieli lżejsze stroje, na ogół ze skór rudego jelenia, stosowne do życia bliżej domu. Kilku łowców chełpiło się kozuchami z fagora, lecz te skóry powszechnie uchodziły za niewygodne – zbyt przetłuszczone i za ciężkie.

Znad obu grup unosiła się para, którą porywał wiatr. Okrycia ludzi lśniły wilgocią. Stali nieporuszeni, zapatrzeni. Część kobiet zachowała w pamięci strzępy dawnych wierzeń – te rzucały olbrzymie liście brassimipy, jedynej dostępnej tu zieleni. Liście leciały jak popadło, lądując z głuchym plaśnięciem, czasem wpadając do podmokłej dziury.

Ślepy i głuchy na wszystko, Bondorlonganon robił, co do niego należało. Zacisnąwszy powieki tak mocno, jakby chciał zgnieść własne oczy niczym orzechy, klepał przepisaną modlitwę zebranych wokół poganom. W otwór rzucano łopatomi błoto. Starano się nie przedłużać takich spraw ze względu na pogodę i jej wpływ na żywych.

Gdy zasypano dół. Loila Bry krzyknęła rozdzierająco. Wybiegła z tłumu i rzuciła się na grób męża. Aoz Roon podniósł ją prędko i przytrzymał, podczas gdy Nahkri i jego brat przyglądali się z założonymi rękami, na poły rozbawieni. Loila Bry umknęła Aozowi Roonowi z rąk. Schyliwszy się nabrała pełne garście błota i wysmarowała sobie twarz i włosy, nie przestając lamentować. Laintal Ay i Oyre pękali ze śmiechu. Zabawnie było patrzeć, jak dorośli się wygłupiają. Jego świątobliwość dalej odprawiał modły, jak gdyby nic nie zaszło, tylko twarz wykrzywił ze wstrętem. Co za ohydne miejsce ten Embruddock, znane z braku wiary. Dobrze im tak, niech ich mamiki cierpią, tonąc w ziemi do prakamienia.

Wysoka, stara wdowa po Małym Julim pobiegła wśród trzaskających wież lodowych, przez opary, do skutego lodem Voralu. Przerażone gęsi zrywały się przed nią, gdy z krzykiem pędziła brzegiem rzeki, oszalała starucha-demon, która przeżyła już dwadzieścia osiem ciężkich zim. Zawstydzone matki uciszały chichoczące dzieciaki. Nawiedzona stara władczyni skakała po lodzie, sztywno, niepewnie jak marionetka. Jej ciemnoszara postać za tło miała szarości, błękity i biele pustkowi, w których rozgrywały się ich wszystkie dramaty. Podobnie jak Loila Bry, wszyscy obecni balansowali na granicy gradientu entropii. Śmiech dzieciarni, rozpacz, szaleństwo, nawet wstręt były znamionami walki człowieka z wiekuistym zimmem. Choć nikt o tym nie wiedział, losy walki przechylały się już na ich korzyść. Mały Juli, tak jak jego wielki przodek Juli Kapłan, praojciec plemienia, wyłonił się z odwiecznych ciemności i lodów. Młody Laintal Ay był prekursorem mającego nadejść światła.

Gorszące zachowanie Loily Bry ożywiło stypę, która odbyła się po pogrzebie. Świętowali wszyscy. Mały Juli był szczęściarzem, a przynajmniej uchodził za takiego, albowiem w krainie mamików powita go rodzony ojciec. Byli poddani świętowali nie tylko odejście Juliego, lecz i bardziej przyziemną podróż – odjazd jego świątobliwości do Borlien. Kapłana należało wypełnić po gardłodziurki bełtelem i jęczmiennym winem, aby nie przemarzył w drodze do domu. Niewolników – też Borlieńczyków, co jakoś uszło uwagi ojca Bondorlonganona – odprawiono do ładowania sań i zaprzęgania ujadającej sfory. Laintal Ay i Oyre z wesołą gromadą odprowadzili go do bramy południowej. Na widok chłopca twarz kapłana zmarszczyła się jeszcze bardziej – było to coś na kształt uśmiechu. Nagle starzec pochylił się i ucałował Laintala Aya w usta.

– Władza i wiedza tobie, synu! – rzekł.

Nazbyt przejęty, żeby odpowiedzieć, Laintal Ay zsalutował mu swoim psem na pożegnanie. Tej nocy w wieżach, przy ostatnich flaszkach, ponownie snuto opowieści o Małym Julim i o tym, jak on i jego ród przybyli do Embruddocku. I o tym, jak nimi ich powitano.

Kiedy sanie uwoziły utulanego ojca Bondorlonganona przez równinę z powrotem do Borlien, rozstały się chmury. Nad ojcem zajaśniały szczodre gwiazdy, zdobiąc paciorkami nocne niebo. Wśród konstelacji i nieruchomych gwiazd jedno światełko przemykało się po niebie. Nie była to kometa, tylko Ziemska Stacja Obserwacyjna „Avernus”. Z dołu wyglądała jak maleńki świetlny punkcik, którego drogę na niebie śledzili przypadkowi łowcy i podróżni. Z bliska jawiła się jako nieregularny i skomplikowany ciąg obiektów o licznych, ściśle określonych funkcjach.

„Avernus” był domem dla około pięciu tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci i androidów, a wszyscy dorośli byli specjalistami w jakiejś dziedzinie obserwacji planety pod nimi. Helikonii. Podobnej Ziemi planety, szczególnie interesującej mieszkańców Ziemi.

II. PRZESZŁOŚĆ JAK SEN

Zmożony ciepłem i zmęczeniem Laintal Ay usnął na długo przed końcem stypy. Opowieści dalej płynęły nad jego głową, jak wichry, które wieją po planecie, opętane zimną furią. Były to opowieści o czynach mężczyzn, przede wszystkim o ich bohaterstwie, o tym, jak to ten czy ów zabił takie-to-a-takie krwiożercze zwierzę, jak pobił wrogów, a przede wszystkim – w ten wieczór po pogrzebie – jak pierwszy Juli przybył z ciemności, aby ustanowić nowy ład.

Juli usidlał ich wyobraźnię, ponieważ był kapłanem, a mimo to zaparł się wiary dla dobra swego ludu. Stoczył zwycięski bój z bogami, którzy teraz nie mieli nawet imienia. Podstawowa cecha charakteru Juliego, coś pomiędzy brakiem skrupułów a prawością, znajdowała żywy oddźwięk w pleminiu. Jego legenda rosła z ich serc, tak że nawet praprawnuk, drugi Juli, zwany Małym Julim, w ciężkich chwilach zadawał sobie pytanie: „Co zrobiłby Juli?”

Nie rozkwitło jego pierwsze Oldorando, jak nazwał miejsce, do którego zabrał z gór Iskadorę. Tyle tylko, że przetrwało. Żył w niepewności nad brzegiem zamarznętego jeziora, jeziora Dorzin, uginając się pod ciosami żywiołów zimy, nieświadome, że owe siły miały się niebawem wyczerpać. Nic na to nie wskazywało za życia Juliego. Być może w tym tkwiła druga przyczyna, dla której dzisiejsi mieszkańcy kamiennych wież Embruddocku chętnie go wspominali: był ich przodkiem, który żył w pełni zimy. Uosabiał ich przetrwanie. Legendy stanowiły tę część ich świadomości, która pierwsza dopuściła możliwość zmiany klimatu.

Pospołu z osadami ukrytymi w wielkich łańcuchach górskich Ouzint tamto pierwsze drewniane Oldorando leżało w pobliżu równika, w środku rozległego tropikalnego kontynentu Kampannlat. Pojęcie kontynentu nie było nikomu znane w czasach Juliego, świat ograniczał się do terenów łowieckich i obozowiska.

Jeden Juli poznał tundry i śnieżne wydmy ciągnące się na północ od Quzint. Jeden Juli poznał podgórze tamtejszego kolosalnego górotworu, który stanowił zachodni kraniec kontynentu znany jako Bariery. Tam wśród siarczystych mrozów leżące powyżej czterech tysięcy metrów nad poziomem morza wulkany dokładały do srogości pogody własną cegielkę, rozlewając płaskowyż lawy po prastarych skałach wulkanicznych Helikonii.

Ominęła Juliego znajomość straszliwych regionów Nktryhku. Na wschodzie Kampannlatu wyrasta Masyw Wschodni. Ukryta przed oczyma Juliego i innych za chmurami i zamieciami ziemia spiętrza się tu w łańcuchy olbrzymich gór, ukoronowanych wulkaniczną tarczą, przez którą lodowce żłobią sobie drogę w dół ze szczytów o wysokości ponad czternastu tysięcy metrów. Tu żywioły ognia, ziemi i powietrza występowały w prawie czystej postaci, w tyglu zimnej mocy tak wielkiej, że nie dopuszczała do stopienia się ich w mniej przeciwstawne elementy. Ale nawet tutaj, odrobinę później – już po śmierci Małego Juliego – nawet na lodowych pokrywach sięgających niemal stratosfery, bytowali ancipici, twardo trzymający się życia, znajdujący radość w zamieciach.

Upiorne białe pustkowia Tarczy Wschodu znane były fagorom. Nazywali je Nktryhk i uważali za tron białego czarnoksiężnika, który przepędzi z tego świata Synów Freyra, znenawidzone człekoludy. Rozciągając się na północ i południe na przestrzeni blisko trzech i pół tysiąca mil, Nktryhk odgradzał środkową część kontynentu od lodowatych mórz wchodnich. Fale tych mórz biczowały klify Nktryhku, sterczące stromymi ścianami osiemset metrów ponad tonie. Wysokie grzywy fal obracały się w lód, porastając urwiska soplami lub waląc się gradem w kipiel. O tym rozproszone plemiona ludzi nic nie wiedziały.

Ich pokolenia żyły z łowów. Łowy stanowiły osnowę większości opowiadanych historii. Mimo

że polowano w gromadzie spiesząc sobie z pomocą, ostatecznie wszystko sprowadzało się do męstwa samotnego łowcy, który w pojedynkę stawiał czoło atakującej go dzikiej bestii. I albo żył, albo umierał. A jeśli żył, żyć mogli i inni, czekające w ukryciu kobiety i dzieci. Jeśli umierał, umierał najprawdopodobniej jego ród.

Toteż ludzie Juliego, owa nieliczna gromadka znad zamrożonego jeziora, żyli, jak im było dane, zależni od warunków życia tak samo jak zwierzęta. Słuchacze z radością przyjmowali relacje o nadjeziornej osadzie. Łapano tam ryby metodami jeszcze dziś opisywanymi tak dokładnie, że naśladowano je w Voralu. W wytopione przy brzegu rzeki przeręble wrzucano łby jelenie tak samo, jak czynił to ongiś Juli, odławiając smakowite węgorze.

Ludzie Juliego tak samo walczyli z olbrzymimi kołatkami, zabilali jelenie i groźne odyńce, i bronili się przed najezdami fagorów. W zależności od sezonu hodowali bądź szybko dojrzewający jęczmień, bądź żyto. Pili krew wrogów.

Ze związków mężczyzn z kobietami rodziło się mało dzieci. Mieszkańcy Oldorando dojrzewali w wieku siedmiu lat. starzeli się dochodząc do dwudziestu. Nawet kiedy śmiali się i weselili, mróz nie odstępował ich na krok

Pierwszy Juli, zamrożone jezioro, przejmujący mróz, przeszłość jak sen – te żywe składniki legendy znane były każdemu i opowiadano o nich po wiele razy. Albowiem jak szczury w norze kryjąca się w Embruddocku garstka ludzi znała tylko takie życie, na jakie była skazana Ludzie zaszczyt od dziecka w skóry zwierząt sami po trosze nabierali wilczej natury. Lecz sny i przeszłość jak sen otwierały przed nimi dodatkowe wymiary, w których mogli żyć wszyscy razem

Ciasno stłoczeni w wieży Nahknego i Klilsa po pogrzebie Małego Juliego, znów rozkoszowali się wspólnie Udziałem w przeszłości jak sen Żeby bardziej ożywić przeszłość, ?i może przyćmić dzień dzisiejszy, wszyscy pili bełtel rozlewany przez niewolników Nahknego. Po czerwonej krwi bełtel był płynem najwyżej cenionym w Embruddocku.

Pogrzeb Małego Juliego dał im okazję ucieczki od monotonii codziennego życia w świat wyobraźni. I tak raz jeszcze opowiedziano wielką opowieść o przeszłości, o połączeniu się dwóch plemion, tak jak łączy się mężczyzna z kobietą. Opowieść przechodziła z ust do ust, niczym kubek bełtelu, przejmowana przez jednego narratora od drugiego, niemalże bez chwili przerwy

Dzieciom błyszczały oczy od blasku tłącego się ognia i od bełtelu, który pociągały z drewnianych kubków rodziców Słuchano historii potocznie zwanej Wielką Opowieścią.

W każde święto, nie tylko z okazji pogrzebu, pasowania na łowcę czy też Zachodu Obojga Słońc, zawsze wśród wydłużających się coraz bardziej cieni znalazł się ktoś kto zawołał: – Posłuchajmy Wielkiej Opowieści.

Była to historia ich przeszłości, a także coś więcej. Była to i historia, i nauka, i cała ich sztuka Nie mieli muzyki, malarstwa ani literatury – nie mieli zgoła nic, co piękne. Zimno strawiło wszystko. Ale pozostała im przeszłość jak sen, przetrwała, aby o niej opowiadać

Nikt żywiej na tę opowieść nie reagował niż Laintal Ay – chyba ze wcześniej zmorzył go sen. Historia pojednania dwóch wojujących stron, waśni uśmierzonej zjednoczeniem, które plemię z konieczności przyjęło za dogmat wiary – wszystko to było mu bliskie, bowiem złożyło się – i składało – na sagę jego rodziny Dopiero później, gdy dorósł, odkrył, że zjednoczenie jest pozorne, a ukryta waśń nie wygasła Jednak opowiadacze w dusznej izbie, w obecnym roku 19 po Zjednoczeniu, radośnie zmówili się, żeby opowiedzieć Wielką Opowieść jako historię zjednoczenia i zwycięstwa Na tym polegała ich sztuka krasomowstwa

Opowiadający podrywali się na nogi recytując fragmenty kolejno z różną pewnością siebie. Pierwsi narratorzy mówili o Wielkim Julim i o tym, jak z białych pustkowi na północ od Pannowalu przybył nad skute lodem jezioro zwane Dorzin. Jedno pokolenie ustępuje jednak miejsca drugiemu, nawet w legendzie, więc niebawem podniósł się kolejny narrator, aby opowiedzieć o tych wcale nie mniej potężnych, którzy nastali po Julim. Tym narratorem była położna Rol Sakil z mężem i śliczną córką Dol u boku, kładła ona pewien nacisk na pikantniejsze strony opowieści, co bardzo przypadło słuchaczom do gustu.

Podczas gdy Laintal Ay przysypiał w ciepło, Rol Sakil mówiła o Si, synu Juliego i Iskadory. Si został głównym łowcą plemienia i wszyscy drżeli przed nim, ponieważ oczy Si patrzyły w różnych kierunkach. Za żonę wziął sobie miejscową kobietę imieniem Kretha, czy też wedle zwyczaju jej plemienia Krę Tha Den, która powiła mu syna imieniem Orlik i córkę imieniem Iyfilka.

Oboje, Orlik i Iyfilka, byli dzielni i silni w czasach, kiedy należało do rzadkości przeżycie dwojga dzieci w jednej rodzinie. Iyfilce spodobał się Sargoth, czyli Sar Gotth Den, który celował w łowieniu pod lodem jeziora Doizin mylików, ryb z parą kończyn. Od śpiewania Iyfilki pękał lód. Porodziła Sar Gotthowi syna, którego nazwali Dresyl Den – imię sławione w legendzie. Dresyl spłodził przestawnych braci Nahknego i Klilsa (Śmiechy). Dresyl był cioteczynym dziadkiem Laintala Ava.

„Och, moje ty kochane maleństwo” – wołała Iyfilka do swego dziecka, pieszcząc je ze śmiechem. Ale były to czasy, gdy szczepy fagorów przepływały się po lodzie na zaprzężonych w kaidawy saniach, napadając na osiedla ludzi. Zarówno pogodna Iyfilka, jak i Sar Gotth zginęli w takim napadzie, w trakcie ucieczki brzegiem lodowego jeziora. Jedni winili później Sara Gottha za tchórzostwo, inni za brak dostatecznej czujności.

Małego sierotę Dresyla zabrał do siebie Wuj Orlik, który wówczas miał już własnego syna zwanego Julim albo Małym Julim, na cześć pradziadka. Mimo iż wyrósł na olbrzyma, mówiono o nim Mały dla upamiętnienia wielkości jego przodka. Dresyl i Mały Juli stali się parą nierozłącznych przyjaciół i takimi pozostali przez całe życie, na przekór wszelkim przeciwnościom losu. Za młodu była z nich para strasznych zabijaków, tudzież ognistych młodzianów, którzy uwodzili kobiety Den, wywołując niemałe zgorszenie. Niejedno można by powiedzieć na ten temat, gdyby nie obecność pewnych osób. (Śmiechy.)

Wszyscy zgodnie orzekli, że bracia cioteczni, Dresyl i Juli, wyglądają jak bliźniaki – te same władcze, śniade oblicza, orle nosy, krótkie, kędzierzawe brody i bystre oczy. Obaj czujni jak koty, obaj chłopy na schwał. Nosili też bliźniacze futra z identycznym przybraniem kapturów. Ich wrogowie przepowiadali, że obaj tak samo skończą, ale okazało się inaczej, jak usłyszycie w legendzie.

Bez wątplenia starzy mężczyźni i kobiety, których córkom groziło niebezpieczeństwo, prorokowali zły koniec tej zapowietrzanej dwójce – i to im szybciej, tym lepiej. Jedynie owe córki, leżąc w ciemności z rozchyłonymi nogami, ujeżdżane przez kochanków, czuły, jak dobroczynni są cioteczni bracia i jak bardzo różnią się jeden od drugiego – że Dresyl jest brutalny, a Juli delikatny, delikatny jak piórko i równie łaskotliwy.

Laintal Ay ocknął się w tym punkcie opowieści. Zastanawiał się sennie, jakim u licha cudem jego nieruchawy, przygarbiony dziadek mógł kiedykolwiek łechtać dziewczyny.

Opowieść podjął ktoś z braci cechowej.

Starszyzna nadjeziornego plemienia zebrała się pod przewodnictwem starego szamana, żeby urządzić karę dla Dresyla i Juliego za ich rozpustę. Jedni płonęli gniewem, jako że przemawiała przez nich skryta zazdrość. Drudzy pałali oburzeniem, gdyż będąc sędziwego wieku nie mogli podążać drogą inną niż droga cnoty. (Opowiadacz z przesadą, piskliwym głosem, aby rozbawić słuchaczy, wyłuszczył tę prostą mądrość). Wyrok zapadł jednogłośnie. Mimo że choroby i napaści fagorów – przetrzebiły ich szeregi i potrzebny był każdy łowca, starszyzna urządziła wygnać Juliego i Dresyla z osady. Rzecz jasna, żadnej kobiecie nie pozwolono wystąpić w obronie pary przyjaciół. Ogłoszono wyrok. Juliemu i Dresylowi nie pozostało nic innego, jak spakować manatki. Właśnie zbierali broń i ekwipunek, gdy do obozowiska dotarł półżywy traper z innego plemienia, ze wschodnich obrzeży jeziora. Przybył z wieścią, że przez jezioro znowu ciągną fagory, w niemałej tym razem sile. I że zabijają każdego napotkanego człowieka.

Było to w porze zachodu dwójga słońc. Przerażeni mężczyźni z osady natychmiast zebrali swoje kobiety i dobytek, i podłożyli ogień pod domostwa. Bez chwili zwłoki ruszyli na południe. Mały Juli i Dresyl razem z nimi. Ogień na czerwono-czarnych skrzydłach wlatywał w niebo za plecami uchodźców, którzy stracili wkrótce z oczu i płomienie, i jezioro.

Podążali wzdłuż rzeki Voral, wędrując dniem i nocą, gdyż Freyr przyświecał nocami w owej porze roku. Najężsi łowcy szli w szpicie i na skrzydłach głównej grupy, wypatrując żywności i schronienia. W krytycznej sytuacji Juliemu i Dresylowi tymczasowo darowano winy. Gromada liczyła trzydziestu mężczyzn, w tym pięciu starszyny, dwadzieścia sześć kobiet i dziesięcioro dzieci poniżej siedmiu lat, granicy pełnoletności. Mieli sanie, zaprzężone w psy asokiny. Towarzyszyło im liczne ptactwo domowe i sfora psów łowczych, niektóre bliższe wilkom i szakalom czy ich krzyżówkom; szczeniaki tych ostatnich często dawano dzieciom do zabawy.

Minęło kilka dni wędrówki. Pogoda była łagodna, jednak rzadko napotykali ślady zwierzyny. Pewnego zachodu Freyra dwaj łowcy, Baruin i Skelit, idący w szpicie, zawrócili do głównego oddziału z meldunkiem o dziwnym mieście przed nimi.

– W widłach rzeki i skutej lodem strugi woda bucha w powietrze z głośnym rykiem. I do nieba wznoszą się potężne wieże zbudowane z kamienia. – Tak brzmiał meldunek Baruina i pierwszy opis Embruddocku. Baruin opowiedział, jak to nasze kamienne wieże stoją w rzędach i jak je zdobią jaskrawo pomalowane czaszki dla odstraszenia intruzów.

Przystanęli w płytkiej zwirowej kotlinie, naradzając się, co robić. Zjawili się jeszcze dwaj łowcy, wlokąc jakiegoś trapera, którego pojмали, gdy wracał do Embruddocku. Cisnęli go na ziemię i skopali. Wyznał, że Embruddock zamieszkuje plemię Den i że jest to lud spokojny.

Na wieść, że w pobliżu kręci się więcej Denów, pięciu starszych natychmiast zarządziło obejście osady kołem. Zostali jednak zakrzyczani. Młodzi mężczyźni byli za natychmiastowym atakiem z marszu; wówczas to luźno spowinowaczone plemię przyjmie ich na równej stopie. Kobiety wrzaskiem wyraziły poparcie, myśląc, jak przyjemnie byłoby mieszkać w domach z kamienia. Ogarnęło ich podniecenie. Trapera zatłuczono pałkami na śmierć. Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – maczali palce w jego krwi i wznosili toast za zwycięstwo. Trupa rzucono psom i ptactwu.

– Dresyl i ja pójdziemy przodem i rozejrzemy się w terenie – rzekł Mały Juli. Powiódł wyzywającym spojrzeniem po łowcach; bez słowa spuścili wzrok. – Zapewniamy wam zwycięstwo. Jeśli wygramy, obejmujemy dowództwo i nie będziemy więcej słuchać starczych bredni. Jeśli przegramy, rzucicie nasze ciała psom na pożarcie.

– I słysząc śmiałe słowa Małego Juliego – podjął opowieść następny mówca – psia hałastrą podniosła ślepią zjadła i zawyla na zgodę.

Słuchacze uśmiechnęli się z powagą wspominając ów fakt z przeszłości jak sen.

Teraz opowieść o przeszłości nabrała rumieńców. Zebrani mniej pociągali bełteli, słuchając, jak cioteczni bracia, Dresyl i Juli, planują zdobycie spokojnego miasta. Towarzyszyło im pięciu wybranych śmiałków, ich imiona pamiętano doskonale: Baruin, Skelit, Maldik, Kurwayn i Duży Afardl, który poległ owego dnia, i to z ręki kobiety. Reszta grupy pozostała na miejscu, aby psy nie zdradziły ich szczekaniem.

Za pokrytą lodem rzeką nie było śniegu. Rosła trawa. Gorąca woda tryskała w powietrze, zasnuwając teren obłokami pary.

– To prawda – zaszemrali słuchacze. – Wciąż jest tak, jak powiadasz.

Samotna kobieta pędziła ścieżką czarne, włochate świnie. Dwoje dzieciaków pluskało się na golasa w fontannach wody. Napastnicy patrzyli. Patrzyli na nasze kamienne wieże, te całe i te w ruinie, stojące wzdłuż wytyczonych ulic. Patrzyli na stary mur miejski, z którego zostało rumowisko. Dziwowali się.

Dresyl z Julim samowtór okrążyli Embruddock. Obejrzeni sobie nasze czworoboczne wieże, o ścianach nachylonych do środka, tak że izba na najwyższym piętrze jest zawsze mniejsza od tych poniżej. Obejrzeni, jak trzymamy zwierzęta na przyziemiu, żeby im było ciepło – z wejściem po pochylni, dla ochrony przed wylewami Voralu. Obejrzeni te wszystkie czaszki zwierząt, jaskrawo pomalowane, wyszczerzone na intruzów. Zawsze mieliśmy czarodziejki, prawda, przyjaciele? Wówczas była to Loila Bry.

No więc stryjeczni bracia obejrzeni też sobie dwóch sędziwych wartowników wysoko na szczycie wielkiej wieży – tej właśnie wieży, przyjaciele – i zakradłszy się w mgnieniu oka wyprawili dziadków na tamten świat. Polała się krew, muszę powiedzieć.

– Kwiatek! – ktoś zawołał.

– Ach, racja. Kwiatek jest ważny. Pamiętacie, jak jezioracy orzekli, że ciotecznych braci czeka ten sam los? Lecz kiedy Dresyl roześmiał się i powiedział: „Będziemy mieli szczęście rządzić tym miastem, bracie”, Juli spoglądał na drobne kwiatki pod nogami, kwiatki o białych płatkach – zapewne bikinki. „Dobry klimat” – powiedział z podziwem i zerwał kwiatek, i zjadł go.

Przestraszyli się po raz pierwszy słysząc Świstek Czasu, nasz wspaniały, wszystkim znany gejzer. Przyszedłszy do siebie rozmieścili swoje siły w gotowości i czekali na zachód dwojga strażników i na łowców Embruddocku, którzy niczego nieświadomi wracali ze zdobyczą do domu.

Laintal Ay ożywił się przy tych słowach. W przeszłości jak sen były bitwy i właśnie o jednej z nich miał usłyszeć. Ale nowy narrator rzekł:

– Przyjaciele, w tej bitwie każdy z nas miał przodków, którzy jak jeden mąż odeszli dawno temu do świata mamików, nawet jeśli z tej okazji nie zostali wysłani tam przedwcześnie. Wystarczy powiedzieć, że wszyscy oni spisali się dzielnie.

Sam mając jednak młodą krew w żyłach, nie potrafił tak lekko zrezygnować z podniecającego rozdziału i wbrew sobie ciągnął dalej z ogniem w oczach.

Owych prostodusznych i bohaterskich myśliwych zaskoczył fortel Juliego. Nagle na szczycie Zielnej Wieży wykwit! ogień i długie liście płomieni strzeliły w wieczorne niebo. Łowcy, rzecz jasna, krzyknęli na alarm, rzucili broń i popędzili ratować, co się da. Grad oszczepów i kamieni sypnął na nich ze szczytu sąsiedniej wieży. Zbrojni napastnicy wypadli z ukrycia, wznosząc okrzyki i

przebijając oszczepami bezbronnie ciała. Nasi myśliwi ślizgali się we własnej krwi i padali, ale uśmiercili paru napastników.

Miasto kryło więcej orężnych ludzi, niż przewidywali Juli z Dresylem. Dzielna była nasza brać cechowa. Nadbiegała ze wszystkich stron. Lecz napastnicy walczyli z dziką furją, umacniając się w zdobytych przez siebie domach. Do boju stanąć musiały także młodziki, z których paru obecnych tutaj najlepsze lata ma już za sobą.

Ogień rozprzestrzeniał się. Iskry fruwały nad głowami jak plewy na wietrze, jakby chciały zapalić niebo. W murach i na ulicy szalał krwawy bój. Nasze kobiety chwyciły miecze poległych, aby stawić opór żywym. Wszyscy bili się mężnie. Jednak zuchwałość i furia straceńców wzięły górę, nie wspominając już o tym, że dowodził nimi ten, który dzisiaj zszedł do świata mamików, do swych przodków. Wreszcie obrońcy nie zdzierżyli i z krzykiem dali drapaka w gęstniejący zmierzch.

W Dresylu gotowała się krew. Szał zemsty naznaczył mu czoło. Widział, jak Duży Afardl pada martwy u jego boku... zabity od tyłu... i to w dodatku przez kobietę.

– To była moja stara pocziwa babunia! – zawołał Aoz Roon, na co zewsząd odpowiedziano śmiechem i wiwatami. – Odwagi nigdy nie brakowało u nas w rodzinie. Jesteśmy z embruddockiej gliny, nie z oldorandzkiej.

Szał odmienił Dresyla nie do poznania. Twarz mu zsiniała. Kazał swoim ludziom polować na embruddockich mężczyzn i dobijać każdego, kto przeżył. Kobiety kazał spędzić do stajni w tej tutaj wieży, przyjaciele. Straszny to dzień w naszych dziejach... Lecz zwycięzcy pod wodzą Juliego obezwładnili siłą Dresyla, oświadczając mu, że koniec z zabijaniem. Zabijanie rodzi nienawiść. Od jutra wszyscy muszą żyć w pokoju jako jedno silne plemię, bo inaczej nikt się nie oстане.

Te mądre słowa nic dla Dresyla nie znaczyły. Szamotał się tak długo, aż Baruin przyniósł wiadro zimnej wody i wylał mu na głowę. Wtedy padł bez czucia, pogrążając się w owym śnie bez marzeń sennych, jaki przychodzi jedynie po bitwie. Baruin rzekł do Juliego:

– Prześpij się i ty, z Dresylem i resztą. Ja stanę na straży, żeby nas nie wyrznęli we śnie.

Tylko że Juli nie mógł spać. Baruinowi nic nie powiedział, ale był ranny i kręciło mu się w głowie. Czuł bliską śmierć, więc chwiejnym krokiem wyszedł na dwór, aby umrzeć pod niebem Wutry, na które lada chwila miał wypłynąć Freyr, jak to w trzeciej kwadrze. Podążył naszą główną ulicą, wśród badyli traw sterczących z błota. Freyrowy świt też miał barwę błota. Juli spostrzegł zwłoki łowcy ze swej drużyny i uykającego od nich chyłkiem psa trupojada. Oparł się o wykruszony mur, dysząc ciężko. Po drugiej stronie ulicy stała świątynia – w ruinie wówczas, tak jak i teraz. Bezmyślnie patrzył na ryty w kamieniu ornament. Nie zapominajmy, że jako człowiek był w owych dniach dzikusiem, dopóki Loila Bry go nie ucywilizowała. Spod wrót świątyni smyrgały szczury. Ruszył do świątyni, słysząc jedynie szum w uszach. W dłoni ścisnął miecz zabrany powalonemu przeciwnikowi, oręż lepszy od wszystkiego, co sam posiadał, wykuty z dobrego, ciemnego metalu tu, w naszych kuźniach. Trzymając ten miecz przed sobą, wyważył drzwi kopniakiem.

W środku dreptały mleczne lochy i kozy na uwięzi. Wtedy była tam szopa. Rozejrzawszy się Juli dostrzegł klapę w podłodze i usłyszał szepty. Dźwignął klapę za żelazny pierścień. Na dnie sadzawki ciemności u jego stóp kopcił płomyk lampki.

– Kto tam? – zawołał głos.

Głos był męski i sądzę, że wiecie, do kogo należał. Do Walia Ein Dena, ówczesnego lorda Embruddocku, którego wszyscy dobrze pamiętamy. Jakbyśmy go widzieli – wysoki i prosty jak

świeca, chociaż młodość jego już uleciała, z długimi czarnymi wąsami na gładko wygolonym obliczu. Wszyscy napomykali o jego oczach, które onieśmiały najśmielszych, i o drapieżnie przystojnej twarzy, w swoim czasie wzruszającej kobiety do łez.

Było to historyczne spotkanie Małego Juliego ze starym władcą. Mały Juli powoli schodził po stopniach, jakby zamierzając mu się poddać. Kilku przebywających z lordem Wallem Einem cechmistrzów zamilkło ze strachu, gdy Juli zszedł do nich, blady jak śmierć, z mieczem w dłoni. Lord Wali Ein rzekł:

– Skoro jesteś dzikusiem, to znaczy, że przybyłeś mordować, i lepiej załatw to od razu. Rozkazuję ci zabić mnie pierwszego.

– A na co innego zasługujecie, chowając się w piwnicy?

– Jesteśmy starzy i bezradni w boju. Nie zawsze tak było. Patrzyli sobie prosto w oczy. Nikt się nie poruszył. Z ogromnym wysiłkiem Juli przemówił, odnosząc wrażenie, że własny głos dociera do niego z wielkiej dali.

– Starcze, dlaczego pozostawiacie tak wspaniałe miasto tak marnie strzeżone?

Lord Wali Ein odpowiedział ze zwykłą mu powagą:

– Kiedyś było inaczej, a ciebie i twoich ludzi z waszą lichą bronią czekałoby inne powitanie. Wiele stuleci temu ogromne Królestwo Embruddock sięgało hen od Quzint na północy po morze na południu. Panował wtedy Wielki Król Dennis, lecz nastało zimno i całe jego dzieło legło w gruzach. Dziś mniej nas niż kiedykolwiek, bo nie dalej jak w pierwszej kwadrze zeszłego roku najechały miasto białe fagory, jak wichher galopujące na swoich ogromnych wierzchowcach. Wielu naszych najlepszych wojowników, łącznie z moim synem, poległo w obronie Embruddocku i obecnie schodzi do prakamienia. – Westchnąwszy, dodał: – Może odczytałeś napis na tej budowli, jeśli potrafisz czytać. Głosi: „Fagory przed ludźmi”. Właśnie z powodu tego napisu oraz innych spraw wymordowaliśmy swoich kapłanów dwa pokolenia wstecz. Ludzie muszą być przed fagorami, zawsze. Jednak w przyszłości, kto wie, czy przepowiednia się nie ziści.

Mały Juli słuchał lorda w dziwnym odrętwieniu. Kiedy spróbował odpowiedzieć, żadne słowa nie poruszyły jego bezkrwistych warg i poczuł, jak siły ulatują z łoni jego ciała. Jeden ze starców powiedział, ni to z litością, ni to z szyderstwem:

– Młokos jest ranny.

Rozstąpili się, gdy zrobił niepewny krok naprzód. Za nimi zobaczył niskie sklepienie wejścia i korytarz majaczący w słabym świetle wpadającym przez okratowany otwór w stropie. Niewładny zatrzymać się, gdy już ruszył, powłócząc nogami wmaszerował w korytarz. Znacnie to uczucie, przyjaciele, ilekroć jesteście pijani – jak teraz.

W korytarzu było wilgotno i gorąco. Gorąco paliło mu policzki. Z boku pojawiły się jakieś kamienne schody. Nie pojmował, gdzie jest, zawodziły go zmysły. Na schodach ukazała się dziewczyna z ognikiem w wyciągniętej dłoni. Jej twarz zawirowała mu przed oczami.

– Moja babcia! – Laintal Ay aż zapiał z dumy. Zasluchany bez reszty zmieszał się nagle, gdy wszyscy gruchnęli śmiechem.

W tamtej chwili owa panna nie myślała o obdarzaniu świata żadnymi Laintalami Ayami. Gapiła się na Małego Juliego błędnym wzrokiem i powiedziała coś, czego nie mógł zrozumieć. Usiłował jej odpowiedzieć. Słowa nie przeszły mu przez gardło. Ugięły się pod nim kolana i Mały Juli osunął się na posadzkę. Po czym stracił przytomność i wszyscy wokół sądzili, że umarł.

W tym dramatycznym momencie opowiadający ustąpił miejsca staremu łowcy, który patrzył na te sprawy chłodniejszym okiem.

Tym razem Wutra uznał za stosowne darować Juliemu życie. Dresyl wziął wszystko w swoje ręce, gdy jego brat cioteczny leżał i kurował rany. Sądzę, że znalazłszy się wśród ludzi jak my cywilizowanych, Dresyl wstydził się swej żądzы krwi i robił wszystko, byśmy przestali uważać go za dzikusa. A może wspomniał łagodność swego ojca Sara Gottha i słodycz matki, Iyfilki, zabitych przez hordę nienawistnych fagorów. Zajął Wieżę Prasta, dawny skład soli, i wprowadziwszy się na najwyższe piętro rządził niczym prawowity lord, Juli zaś spoczywał na posłaniu w komnacie pod nim.

Wielu łącznie ze mną nie lubiło wówczas Dresyla, traktując go jako zwykłego najeźdźcę. Nie mogliśmy ścierpieć, że nam rozkazuje. Ale pojawiwszy, do czego zmiesza, bez szemrania przyznaliśmy mu rację. My, embruddokczycy, byliśmy wówczas zdemoralizowani. Dresyl przywrócił nam bojowego ducha i wolę walki.

– To był wielki człowiek, mój ojciec, i dołożę każdemu, kto źle o nim mówi – zawołał Nahkri, zrywając się i wymachując pięścią. Wymachiwał nią tak zawzięcie, że prawie fiknął na plecy i brat musiał go wesprzeć.

– Nikt nie mówi tu źle o Dresylu. Ze szczytu swej wieży obejmował spojrzeniem i całą okolicę, górzystą na północy, skąd przybył, płaską od południa, z gejzerami i gorącymi źródłami, nie znanymi mu do tej pory.

Podziwiał zwłaszcza Świstek Czasu, nasz wspaniały regularny gejzer, wybuchający z gwizdem demona wichru. Pamiętam, że zapytał mnie o wielkie bębny, jak je nazwał, rozsiane po całym terenie. Nigdy jeszcze nie widział radżababy. Przypominały mu wieżyce czarnoksiężnika, płaskie na szczycie, zbudowane z nie znanego drewna. Choć nie był głupi, to jednak nie poznał, że patrzy na drzewa. Był przede wszystkim Od roboty, nie od patrzenia. Przydzielił kwatery, całe swoje plemię znad zamarznętego jeziora rozlokowując po różnych wieżach. Obyśmy wszyscy podzielali mądrość, jaką wykazał twój ojciec, Nahkri. Mimo że wielu z nas wówczas sarkało, Dresyl dopilnował, aby jego i nasi ludzie zamieszkali razem. Zakazał bijatyk, wszystko polecił dzielić sprawiedliwie. Ta zasada bardziej niż cokolwiek innego doprowadziła do naszego szczęśliwego zjednoczenia.

Zakwaterowując rodziny policzył wszystkich. Pisać nie umiał, ale bracia cechowi sporządzili wykaz. Ze starego plemienia było nas tu czterdziestu jeden mężczyzn, czterdzieści pięć kobiet i jedenaścioro dzieci poniżej siedmiu lat. Razem wzięwszy dziewięćdziesiąt jeden osób. Z plemienia znad zamarznętego jeziora walkę przeżyło sześćdziesiąt jeden osób. W sumie stu pięćdziesięciu ośmiu ludzi. Całkiem sporo. Jako chłopiec cieszyłem się, że powróciło tu życie. To znaczy powróciło po śmierci. Powiedziałem Dresylowi: „Polubisz życie w Embruddocku”.

„Teraz Embruddock nazywa się Oldorando, chłopcze” – rzekł. Do dziś pamiętam jego spojrzenie.

– Posłuchajmy jeszcze o Julim – zażądał ktoś, narażając się na gniew Nahkriego i Klilsa. Stary łowca siadł zasapany, a jego miejsce zajął młodszy mężczyzna.

Rana Małego Juliego zablizniała się powoli. Ze swym ciotecznym bratem chodził już na krótkie wypadki w teren, na rozpoznanie łowieckich i obronnych właściwości nowego terytorium. Wieczorami gawędzili ze starym lordem. Próbował wyłożyć im historię naszej ziemi, ale nie zawsze

ich interesowała. Mówił o minionych stuleciach, tych sprzed nadejścia zimy. O prymitywnych ludziach z ciepłych czasów, – którzy dawno temu wpadli na pomysł budowania wież z palonej gliny i z drewna. Jak potem glinę zastąpił kamień, ale sprawdzone założenia konstrukcji pozostały nie zmienione. Jak kamień przetrwał wiele stuleci. O licznych podziemnych korytarzach, których było jeszcze więcej w lepszych czasach. Opowiedział im o upadku Embruddocku, który dziś jest zaledwie maleńką osadą. Ongiś wznosiło się tu dumne miasto, a jego mieszkańcy władali krainą na wiele tysięcy mil wokoło. Powiadają, że w owych czasach nie było strasznych fagorów.

Juli zaś i jego cioteczny brat Dresyl chodzili wielkimi krokami po komnacie starego lorda i słuchali, marszcząc brwi i spierając się, zawsze jednak z szacunkiem. Zapytali o gejzery, których gorące wody darzą nas ciepłem. Stary lord opowiedział im wszystko o Świstku Czasu, symbolu naszej niezłomnej nadziei. Opowiedział, jak Świstek Czasu wygwizduje punktualnie godziny od początku „świata. Jest przecież naszym zegarem, czyż nie tak? Niepotrzebni nam strażnicy nieba. Świstek Czasu pomaga władzom prowadzić archiwum rejestrów, obowiązkowo sporządzanych przez cechmistrzów. Cioteczni bracia ze zdumieniem odkryli, że godzina ma czterdzieści minut, a minuta sto sekund oraz że dzień ma dwadzieścia pięć godzin, a rok czterysta osiemdziesiąt dni. My o takich rzeczach dowiadujemy się mając jeszcze mleko pod nosem. Musieli również przyjąć do wiadomości, że był to rok 18 według lordarza; osiemnaście lat panował nasz lord. Takich zdobyczy cywilizacji nie znano nad zamrażającym jeziorem.

Nie myślcie, że mam coś przeciwko ciotecznym braciom. Choć barbarzyńcy, wkrótce dokładnie poznali naszą cechową organizację wyrobników, jej siedem cechów dla siedmiu różnych sztuk, wśród nich prym wiodących wyrobników metali, do których, nie chwaląc się, z dumą przyznaję, ja sam należę. Cechmistrze każdego cechu zasiadali wówczas w radzie lordowskiej, tak samo jak teraz. Chociaż, moim zdaniem, cech wyrobników metali powinien mieć w niej dwóch przedstawicieli, ponieważ my jesteśmy najważniejsi, bez dwóch zdań.

Po burzy gwizdów i śmiechów znów puszczono bełtel w koło i opowieść podjęła kobieta nie pierwszej już młodości.

– Ja wam teraz opowiem o czymś znacznie ciekawszym niż pisanie czy mierzenie czasu. Na pewno chcecie wiedzieć, co się działo z Julim, kiedy zaleczył swoją ranę. No więc powiem wam w paru słowach. Zadurzył się – a to, rzecz można, gorsze jest od rany, ponieważ nigdy się nieborak z tej miłości nie wykurował.

Stary nasz lord Wali Ein mądrze robił trzymając pod kloszem swą rozpieszczoną córkę Loilę Bry Den, która tak się dzisiaj, biedaczka, naawanturowała. Musiał się wpierw przekonać, czy najeżdźcy to nie banda hultajów. Bo prześliczna była wówczas Loila Bry, i zgrabna, i dorodna gdzie trzeba, żeby chłop miał co do ręki wziąć, a poruszała się jak królowa, co zresztą wszyscy pamiętamy. Aż pewnego dnia w swojej komnacie na szczycie wieży nasz stary lord przedstawił ją Małemu Juliemu.

Juli raz już spotkał się z Loila Bry. Ujrzał ją owej strasznej bitewnej nocy, kiedy, jak słyszeliśmy, mało nie zmarł od ran. Tak, ta czarnooka piękność o śnieżnobiałych policzkach i ustach jak skrzydło ptaka, o której mówił nasz przyjaciel, to była właśnie ona. Piękność nad pięknościami, bowiem kobiety znad jeziora Dorzin nie grzeszyły urodą, na mój gust. Twarz jakby wyrysowana idealną linią na aksamicie skóry, a owe usta, wargi o wytwornym łuku, barwiła delikatnie cynamonową szminką. Prawdę mówiąc trochę ją przypominałam za moich panięskich lat.

Taka była Loila Bry, gdy Juli ujrzał ją po raz pierwszy. Najwspanialszy klejnot tego miasta.

Nieprzystępna, samotna dziewczyna, unikana przez ludzi, chociaż ja lubiłam jej sposób bycia. Juli stracił głowę. Stale szukał okazji, żeby przebywać z nią sam na sam, czy to na dworze, czy – jeszcze lepiej – w Wielkiej Wieży, w czterech ścianach komnaty z porcelanowym oknem, gdzie mieszka po dziś dzień. Jak gdyby dostawał gorączki na widok tej dziewczyny. Zupełnie nad sobą nie panował w jej obecności. Przechwalał się, chełpił, robił z siebie skończonego idiotę. Wielu mężczyzn podobnie wariuje, ale im to oczywiście mija.

A Loila Bry, złożwszy dłonie na podołku, siedziała sobie jak słodkie szczeniátko, patrząc i uśmiechając się tym swoim nieodgadnionym uśmiechem. Nie warto dodawać, że go prowokowała, rzecz jasna. Nosiła długą, szeroką suknię, zdobioną koralikami – nie futro, jak my wszystkie. Słyszałam, że futro nosiła pod suknią. Lecz owa suknia była niezwykła i sięgała prawie do samej ziemi. Chciałabym mieć taką suknię...

Sposób mówienia Loily Bry do dziś pozostał mieszaniną metafor i zagadek. Juli nigdy czegoś podobnego nie słyszał nad brzegami jeziora Dorzin. Peszyło go to, więc tym bardziej się chełpił. Akurat przechwalał się, jaki to z niego łowca, gdy powiedziała – znacie ten jej głos niby muzyka:

– Żyjemy pośród najróżniejszych ciemności. Mamy je przenikać czy ich unikać?

Wytrzeszczył na nią oczy, kiedy tak przed nim siedziała piękna w owej tkanej sukni, całej obszytej koralikami, pięknymi, jak mówiłam, koralikami. Spytał, czy nie za ciemno jej w izbie. Zaśmiała się.

– Jak myślisz, Juli, gdzie jest najciemniej na świecie? Jak biedny głupek odparł:

– Słyszałem, że w dalekim Pannowalu jest ciemno. Nasz wielki przodek, którego imię noszę, przybył z Pannowalu i opowiadał, że tam jest ciemno. Mówił, że Pannowal jest pod górami, ale ja w to nie wierzę. Tak opowiadano sobie tylko w dawnych czasach.

Loila Bry przyjrzała się koniuszkom swoich palców, spoczywającym jak drobne różowe koraliki na podołku tej pięknej sukni.

– Ja myślę, że najciemniej na świecie jest w ludzkich głowach.

Zbaraniał. Zrobiła z niego skończonego durnia. Nie powinnam tak mówić o zmarłych, prawda? Ale on naprawdę był trochę głupawy...

Miała zwyczaj mącenia mu w głowie przedziwnymi gadkami. Wiecie, co wygadywała?

„Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, o ile więcej wiemy, niż umiemy powiedzieć?” To fakt, prawda? „Pragnę, by zjawił się ktoś – tak mówiła – ktoś, komu mogłabym powiedzieć wszystko, ktoś, dla kogo mowa jest jak morze kołyszające jego łódź. Wtedy podniosłabym swój ciemny żagiel...” Nie wiem, co mu jeszcze plotła.

A Juli, leżąc bezsennie po nocach, ścisnął zranione miejsce i kto wie, co jeszcze, i rozmyślał o tej czarodziejce, rozmyślał o jej piękności i ° W jątrzących słowach: „...ktoś, dla kogo mowa jest jak morze, kołyszające jego łódź...” Już sama melodia tego zdania wydawała mu się melodią Loily Bry i niczyją więcej. Pragnął znaleźć się na owym morzu i pożeglować z nią – dokądkolwiek.

– Dostyc tego babskiego gadania – zawołał Klils, dźwignąwszy się na nogi. – Ona rzuciła na niego urok, ojciec tak powiedział. Ojciec powiedział nam też, ile dobrego stryj Juli zrobił na początku, zanim ona nie zaćmiła mu rozumu.

Zaczął im opowiadać.

– Wracając do zdrowia. Mały Juli poznał Oldorandojak własną kieszeń. Poznał plan zabudowy, z Wielką Wieżą na jednym końcu głównej ulicy i starą świątynią na drugim. Po jednej stronie dom kobiet i siedziby łowców, po drugiej wieże cechowe wyrobników. Wokół ruiny. Poznał system ogrzewania wież – kamienne rury doprowadzające wodę z gorących źródeł. Dziś nie potrafilibyśmy zbudować nic ani w połowie tak wspaniałego.

Kiedy zobaczył, jak tu jest, zobaczył też, jak być powinno. Z pomocą mojego ojca Juli zaplanował odpowiednie fortyfikacje, dla obrony przed dalszymi napaściami, zwłaszcza ze strony fagorów. Słyszeliście, jak każdego zapędzano do kopania fosy i sypania za nią wału z mocną palisadą na szczycie. To był świetny pomysł, mimo że kosztował nas pęcherze na dłoniach.

Powołano stałych czatowników, rozstawiając ich w czterech rogach, jak i dziś. To też robota Małego Juliego i mojego ojca. Czatownicy otrzymali rogi, w które mieli dąć w razie napaści, te same rogi, jakich używamy do dziś.

Po czatownikach z prawdziwego zdarzenia przyszła kolej na prawdziwe łowy. Przed zjednoczeniem naszych plemion ludzie przymierali głodem. Jak tylko miasto zostało obwałowane, mój ojciec Dresyl kazał łowcom wyhodować rasowego psa myśliwskiego. Inne ścierwojady można było przepędzić. Sfory gończych psów potrafią powalić zwierzynę i ścigać ją szybciej od nas. Z tym psem wyszło nie za bardzo, ale moglibyśmy spróbować po raz drugi.

Co jeszcze? Cechy powiększyły szeregi. Farbiarze zwerbowali trochę dzieci spośród nowo przybyłych. Ze znanych złóż gliny wytwarzano dla wszystkich nowe kubki i talerze. Wykuwano więcej mieczy. Wszyscy musieli pracować dla wspólnego dobra. Nikt nie głodował. Mój ojciec omal nie zaharował się na śmierć. Nie zapominajcie, moczymordy jedne, o Dresylu, kiedy wspominiacie jego brata. On był dużo lepszy od niego. Lepszy był, lepszy.

Biedny Klils rozplakał się. Inni również ronili łzy, śmiali się albo brali za łby. Aoz Roon, sam na chwiejnych nieco nogach pod wpływem morza bełtelu, zabrał Laintala Aya i Oyre w bezpieczne miejsce, do łóżek. Patrząc z góry na ich dwojgę mu się w oczach twarze, usiłował zebrać myśli. Gdzieś w toku opowiadania legendy z przeszłości jak sen rozstrzygnęła się przyszłość senioratu w Oldorando.

III. SKOK Z WIEŻY

Nazajutrz po pogrzebie Małego Juliego i stypie powrócili do codziennych zajęć. Wszyscy zapomnieli na razie o blaskach i cieniach przeszłość może z wyjątkiem Laintala Aya i Loilanun; im o przeszłości stale przypominała Loila Bry albo oplakując, albo wspominając szczęśliwe dni swojej młodości.

Stare tkaniny nadal okrywały ściany jej komnaty, tak jak niegdyś. Gorąca woda nadal bulgotała w rurach pod posadzką. Porcelanowe okno nadal jaśniało. Nadal było tu królestwo olejków, pudrów i pachnideł. Ale nie było już w nim Juliego, a sama Loila Bry chyliła się ku starości. Mole pocięły tkaniny. Jej wnuk wyrastał na mężczyznę.

Jednakże przed przyjściem na świat Laintala Aya – w czasach, gdy rozkwitała wzajemna miłość jego dziadków – zdarzył się trywialny na pozór wypadek, którego następstwa miały tragicznie zaważyć na losie chłopca i Embruddocku: poległ jeden fagor.

Zaleczywszy rany Mały Juli wziął Loilę Bry za żonę. Odbyła się uroczystość dla podkreślenia wielkiej zmiany, jaka zaszła w Embruddocku, bowiem ten związek symbolicznie połączył oba plemiona. Uzgodniono, że stary lord Wali Ein, Juli i Dresyl będą rządzić Oldorando w triumwiracie. Ugoda zdała egzamin, ponieważ wszyscy musieli wspólnie wyteżać siły, aby przeżyć.

Dresyl pracował bez wytchnienia. Pojął za żonę wiotką dziewczynę, której ojciec był miecznikiem; miała dźwięczny głos i spojrzenie krótkowidza. Nazywała się Dly Hoin Den. Narratorzy nigdy nie powiedzieli, że Dresyl szybko zniechęcił się do niej, ani też że z początku oczarowała Dresyla przede wszystkim jako piękna anonimowa przedstawicielka nowego plemienia, do którego pragnął należeć. Albowiem odmiennie niż jego cioteczny brat Juli, w więzi wspólnoty upatrywał Dresyl podstawę przetrwania. Ani jego trud, ani też i poniekąd sama Dly Hoin nigdy nie były tylko dla niego.

Dly Hoin urodziła Dresylowi dwóch chłopców: Nahkriego, a w rok później Klilsa. Mimo że Dresyl niewiele mógł im poświęcić czasu, świata nie widział poza synami, obdarzając ich czułą miłością, jakiej śmierć rodziców, Iyfilki i Sara Gottha, pozbawiła jego dzieciństwo. Synom i kolegom synów wpoił wiele legend o prapradziadku Julim, pannotalskim kapłanie, który pokonał zapomnianych dziś z imienia bogów. Dly Hoin nauczyła chłopców zasad pisowni i nic ponadto. Pod opieką ojca obaj wyrosli na niezłych łowców. Ich domostwo było zawsze pełne hałasu i krzyków. Na szczęście błazeński rys w charakterach braci – zwłaszcza u Nahkriego – nie został nigdy dostrzeżony przez zaślepieniego ojca.

Jakby na przekór przepowiedniom tych, którzy twierdzili, że ciotecznych braci czeka ten sam los, Mały Juli pograżył się w sobie niemal tak samo, jak Dresyl pograżył się we wspólnocie. Juli złagodniał pod wpływem żony i polował coraz rzadziej. Wyczuwał powszechną niechęć do Loily Bry i jej niezwykłych pomysłów i odsunął się od wspólnoty. Zamknął się w Wielkiej Wieży i nie zwracał uwagi na wycie wichrów za oknem. Loila Bry i jej sędziwy ojciec wtajemniczali go w sekrety rzeczy zatajonych zarówno ze świata przeszłości, jak i dolnego świata. I stało się, że na ten ocean mowy, po którym jak ptak szybował ciemny żagiel Loily Bry, wypłynął Mały Juli i stracił z oczu wszelki ład.

Pewnego dnia drugiej kwadry roku rozmawiając z Julim o świecie dolnym. Loila Bry

powiedziała, wpatrując się w niego swymi błyszczącymi oczyma:

– Mój ty najmilszy, obcujesz w myślach ze wspomnieniem rodziców. Czasami ich widzisz, jakby nadal chodzili po ziemi. Twoja wyobraźnia zdolna jest wyczarować zapomniane słońca, które im świeciły. Ale tu w naszej krainie posiadliśmy sztukę rozmowy z tymi, co już odeszli. Oni wciąż żyją tonąc w świecie dolnym do prakamienia, a my możemy do nich dotrzeć, tak jak nurkuje ryba, by żerować na dnie rzeki.

Odpowiedział jej cicho:

– Chciałbym porozmawiać z moim ojcem Orfikiem teraz, gdy z wiekiem nabrałem rozumu. Opowiedziałbym mu o tobie.

– My również jesteśmy przywiązani do naszych wspaniałych rodziców i rodziców naszych rodziców, którzy mieli siły olbrzymów. Przyjrzyj się kamiennym wieżom, w których mieszkamy. My nie umiemy ich budować; oni umieli. Widzisz, jak wrzące źródła uwięzione zostały w rurach do ogrzewania naszych wież. Nie znamy tej sztuki, a oni znali. Odeszli z naszych oczu, jednak nadal istnieją jako mamiki i mamuny.

– Naucz mnie tego wszystkiego. Loilo Bry.

– Ponieważ jesteś moim ukochanym i serce bije mi szybciej na twój widok, nauczę cię rozmawiać bezpośrednio z twoim ojcem, a poprzez niego ze wszystkimi twoimi współplemieńcami, jacy żyli na świecie.

– Czy to możliwe, abym rozmawiał nawet z moim prapradziadkiem, Julim Pannowalczykiem?

– W naszych dzieciach zjednoczą się oba nasze plemiona, mój ukochany, tak jak zjednoczą się w latoroślach Dresyła. Nauczysz się rozmawiać z Julim i połączysz jego mądrość z naszą. Tyś jest wielkim człowiekiem, ukochany, a nie ziomkiem tego stada gamoni za oknem; jeszcze większy będziesz, gdy bezpośrednio porozmawiasz z pierwszym Julim.

Aczkolwiek Loila Bry bardzo kochała Małego Juliego, z potrzeby kogoś, na kim mogłaby oprzeć wielką miłość, to jednak czuła, że zyska nad nim silniejszą władzę, jeśli nauczy go sztuk tajemnych; pod jego opieką oddawałaby się wykwintnemu próżnowaniu, jak dawniej.

Aczkolwiek Mały Juli bardzo kochał tę leniwą, inteligentną kobietę, to jednak miał świadomość, że swymi kruczkami mogłaby go do siebie przywiązać, i postanowił nauczyć się od niej jak najwięcej, nie zaprzędając swojej duszy. Coś, czy to w charakterze ich obojga, czy w sytuacji sprawiło, że jednak dał się podejść.

Loila Bry wezwała uczoną staruchę i uczonego starca i z ich pomocą ćwiczyła Juliego w sztuce wywoływania ojców. Juli całkiem zarzucił łowy, oddając się kontemplacji; w żywność zaopatrywał ich Baruin i inni. Juli zaczął praktykować pauk, licząc, że w stanie transu spotka się z mamikiem swego ojca Orfika i że za jego pośrednictwem porozumie się z mamunami, mamikami przodków tonących w świecie dolnym do prakamienia, z którego powstał cały świat.

W tym okresie Juli rzadko opuszczał wieżę. Takie niegodne mężczyzny zachowanie było czymś niepojętym w Oldorando.

Jako młoda dziewczyna Loila Bry lubiła włóczyć się po embruddockiej krainie, w czym później miał ją naśladować jej wnuk, Laintal Ay. Pragnęła, aby Juli na własne oczy zobaczył rozstawione po całym kontynencie kamienie wskazujące śródziemne oktawy. W tym celu najęła Asurra Tal Dena, siwego starca o jastrzębich rysach. Asurr Tal Den był dziadkiem Shay Tal, która odegrała wielką rolę w późniejszych wydarzeniach. Loila Bry poleciła mu zabrać Juliego w północno-wschodnie okolice Oldorando. Sama stała tam kiedyś patrząc, jak dzień przechodzi w półdzień, a półdzień w krótką noc, i czując, jak pulsuje w niej serce, wszechświata. lii

Tak więc o pogodniejszej porze Asurr Tal wyruszył z Julim na pieszą wyprawę. Było to wczesną zimą, kiedy Bataliksa wstaje bardziej na południu niż na wschodzie i świeci samotnie przez niecałą godzinę, czekając – z każdym dniem coraz krócej – na wschód drugiego strażnika. Wiał wiatr, ale niebo mieli czyste jak kryształ. Choć wąty i przygarbiony, Asurr Tal lepiej wytrzymał długi marsz niż Juli, który był bez kondycji. Przykazywał Juliemu zamknąć oczy na snujące się opodal wilki, a bacznie patrzeć na wszystko z punktu widzenia nauk tajemnych. Pokazał mu kamienne słupy, takie same jak nad jeziorem Dorzin. Ustawione w najdziwniejszych miejscach pojedyncze słupy nosiły symbol złożony z pary kół – mniejsze w środku większego i połączone z nim dwoma łukowatymi promieniami. Monotonnym głosem objaśnił ich znaczenie.

Mówił, że moc promieniuje od środka ku obwodowi, tak jak promieniuje moc od przodków do potomków, czyli od mamunów poprzez mamiki do żywych. Słupy wytyczały śródziemne oktawy. Każdy mężczyzna i każda kobieta rodzi się w tej czy innej oktawie. Moc oktaw waha się w zależności od pory roku, decydując o męskiej bądź żeńskiej płci przychodzącego na świat noworodka. Oktawy ciągną się jak ziemia długa i szeroka, hen, aż po dalekie morza. Najszczęśliwiej żyją ludzie, którzy trzymają się swoich oktaw śródziemnych. Jedynie pogrzebani w swoich macierzystych oktawach śródziemnych mogą jako mamiki liczyć na porozumiewanie się ze swoimi dziećmi. A ich dzieci, kiedy przyjdzie im czas wyruszyć w drogę do świata dolnego, również powinni leżeć we właściwej oktawie śródziemnej. Dłonią niby tasakiem stary Asurr Tal ćwiartował otaczające ich wzgórza i doliny.

– Pamiętając o tej prostej zasadzie możesz wywołać ojca. Słowo cichnie jak echo po górskich dolinach, od jednego minionego pokolenia do następnego, przez królestwa umarłych, którzy liczbą przewyższają żywych, tak jak wszy liczebnie przewyższają ludzi.

Wpatrując się w goły stok górski Juli poczuł, jak narasta w nim wielkie obrzydzenie do tej nauki. Jeszcze nie tak dawno interesowali go tylko żywi i czuł się wolny jak ptak.

– O czym tu gadać z nieboszczykami – rzekł ponuro. – Żywi nie powinni zadawać się z umarłymi. Nasze miejsce jest tutaj, nasze drogi są na ziemi.

Staruch prychnął, złapał Juliego poufale za futrzany rękaw i wskazał pod nogi.

– Tak by się zdawało, tak by się zdawało. Niestety, z prawa istnienia wynika, że nasze miejsce jest i tu na górze, i tam w dole, w piachu. Musimy nauczyć się czerpania korzyści z mamików, tak jak czerpiemy korzyści ze zwierząt.

– Umarli powinni siedzieć tam, gdzie ich miejsce.

– Ano... jeśli o to chodzi, sam umrzesz pewnego dnia. Poza tym pani Loila Bry życzy sobie, abyś poznał te sprawy, tak czy nie?

Juli miał ochotę wrzasnąć: Nienawidzę umarłych i niczego od nich nie chcę!

Ale zdusił w sobie słowa i milczał. I to było jego zgubą.

Mimo że Mały Juli opanował rytuał wywoływania ojców, to jednak nigdy nie zdołał nawiązać kontaktu ze swoim ojcem ani tym bardziej z pierwszym Julim. Umarli nie odpowiadali na wezwania. Loila Bry wyjaśniła mu to: jego rodzice zostali pochowani w niewłaściwej oktawie śródziemnej. Nikt do końca nie zgłębił sekretów świata dolnego. A im bardziej Juli starał się je poznać, w tym większą popadał zależność od swojej małżonki.

Dresyl tymczasem, w porozumieniu ze starym lordem, niestrudzenie pracował dla dobra wspólnoty. Nigdy nie stracił serca do Juliego, a nawet przysyłał obu synów, żeby liznęli trochę wiedzy ze szczodrej krynicy, jaką była ich ciotka dziwaczka. Ale też nigdy nie pozwalał im długo przesiadywać, żeby ich nie urzekła.

Dwa lata po tym, jak Dresylowi urodził się Nahkri, Loila Bry obdarzyła Małego Juliego córką. Nazwali ją Loilanun. Z pomocą położnej przyszła Loilanun na świat w komnacie wieży, pod porcelanowym oknem. Loila Bry przy współudziale Juliego podarowała córce szczególny upominek. Dali jej – a za jej pośrednictwem całemu Oldorando – kalendarz.

Z powodu braku ciągłości stuleci Embruddock miał więcej kalendarzy niż jeden. Spośród trzech poprzednich najszerzej posługiwano się tak zwanym lordarzem. Lordarz po prostu liczył lata od objęcia władzy przez ostatniego losda. Pozostałe dwa uchodziły za przestarzałe, zaś jeden z nich, ancipitarz, za złowróźbny; dlatego został odrzucony i dlatego też nigdy nie wyszedł całkiem z użycia. Dennisarz używał wielkich liczb i był niezbyt zrozumiały, od kiedy miasto pozbyło się kapłanów.

Wedle tych starych kalendarzy urodziny Loilanun przypadały odpowiednio w latach 21, 343 i 423. Teraz ogłoszono, że przyszła na świat w roku trzecim po Zjednoczeniu. Odtąd rachuba czasu opierała się na liczbie lat od połączenia Embruddocku z Oldorandem. Mieszkańcy przyjęli dar z równą obojętnością, co i nowinę, że w pobliżu grasuje banda ancipitów.

Pewnego wschodu Bataliksy, kiedy chmury były gęste jak flegma, a siwa szadz upstrzyła pradawne mury osady, ze wschodniej wieży zagrały czatownicze rogi. Odpowiedziało im ogólne poruszenie i larum. Dresyl polecił zamknąć wszystkie kobiety w Wieży Kobiet, gdzie większość z nich akurat pracowała. Zebrał ludzi pod bronią na wałach. Jego mali synowie stanęli przy nim rozdygotani, wypatrując oczy w kierunku wschodzącego słońca. Z szarej dali poranka wyłoniły się rogi.

Nieprzyjaciel uderzył w wielkiej sile. Nad pieszymi fagorami górowali dwaj jeźdźcy i ich kaidawy, tylko u fagorów spotykane rogate wierzchowce o sztywnej, rudej sierści tak gęstej, że niestraszne im były największe mrozy. Kiedy szturmujący doszli do palisady, Dresyl kazał jednemu z łowców zwalić niewielką ziemną tamę, usypaną wcześniej w celu spiętrzenia gorących wód gejzeru. Pagóry wściekle nienawidzą wody. Rzeka ukropu runęła nagle, wirując im wokół kolan, powodując straszny zamęt w ich szeregach. Obrońcy poszli za ciosem do ataku.

Jeden kaidaw zwałił się w żółtawy muł i leżał wierzgając kopytami, dopóki celnie rzucony oszczep nie przeszył mu serca. Ogarnięte paniką drugie ogromne zwierzę wykonało skok z miejsca, przesadzając palisadę. To była legendarna lansada rogatego rumaka, którą niewielu ludzi oglądało na własne oczy. Kaidaw wylądował w gromadzie oldorandzkich wojowników. Zatlukli go pałami i pojмали jeźdźca. Wielu napastników poraniono kamieniami. W końcu fagory pierzchły, zabiwszy tylko jednego łowcę. Obrońcy byli wyczerpani. Niektórzy, szukając wytchnienia, pławili się w gorących źródłach.

Dresyl ogłosił wspaniałe zwycięstwo połączonych plemion. Wielkimi krokami przemierzał pobojuwisko, jakby ogarnięty szałem, z chmurą tryumfu na czole, pokrzykując do nich, że są teraz jednym plemieniem i że przeszli chrzest krwi. Od tej chwili wszyscy będą pracować dla wszystkich i wszystko będzie rozkwitać.

Słuchały go zebrane wokół kobiety, poszeptując ze sobą, podczas gdy mężczyźni leżeli plackiem odzyskując siły. Był rok szósty.

Mięso kaidawa jest smakowite. Dresyl zarządził uroczystą biesiadę, ustalając jej początek po zachodzie pary strażników. Tusza kaidawa po sparzeniu w źródle piekła się nad rozpalonym na placu ogniskiem. Wino jęczmienne i bełtel czekały w obfitości na obchody zwycięstwa. Dresyl wygłosił mowę, po nim przemawiał stary lord Wali Ein. Odśpiewano pieśni. Nadzorca niewolników przywiódł pojmanego fagora.

Nikt z obecnych w ów wieczór roku szóstego nie miał powodu, by żywić złe przecucia. Ludzie

raz jeszcze pokonali swoich odwiecznych wrogów i każdy zamierzał świętować zwycięstwo. Uświetnić je miała śmierć jeńca. Oldorandczycy nie mogli naturalnie wiedzieć, jak ważną figurą jest ich jeniec wśród rasy ancipitów ani że jego śmierć będzie latami powracać jak fala aż po dzień, w którym zwycięzców i ich potomstwo osiągnie straszliwa zemsta.

Umilkli mieszkańcy Oldorando na widok potwora, toczącego po nich nienawistnym spojrzeniem wielkich rubinowych oczu. Ręce miał skrępowane z tyłu rzemieniem. Niespokojnie grzebał ziemię zrogowaciałymi stopami. W zapadającym mroku wyglądał jak olbrzym, jak zmora z najstraszniejszych nocnych snów, jak widziadło z płytkich snów półdniowych. Okrywało go białe, skołtunione futro, splamione w błocie i w boju. Przed zwycięskimi ludźmi stał w postawie hardej, wydzielając silną woń, kościstą głowę z parą długich rogów wysunąwszy w przód, nisko pomiędzy ramionami. Lepki biały mlecz zapuszczał w szczeliny nozdrzy, to w jedną, to w drugą.

Osobliwy miał rynsztunek. Szeroki, skrojony ze skóry fartuch przewiązany w pasie, na kostkach i łokciach po parze ostróg z bodźcami zakończonymi kolcem. Wspaniałe, ostre jak brzytwa rogi sterczały z metalowej osłony, oplatającej olbrzymią czaszkę niczym kantar. Na środku czoła pomiędzy oczami osłona rozwidlała się i zachodziła za uszy, na długie zuchwy i pod brodę, gdzie była spięta misterną zapinką.

Baruin wystąpił naprzód i rzekł:

– Widzicie, co znaczy działać razem. Złapaliśmy wodza. Z taką koroną na głowie ta bestia przewodzi komponentowi. Obejrzyjcie go sobie dobrze, młokosy, bo nigdy nie widzieliście fagora z bliska, a są naszymi odwiecznymi wrogami o każdej porze dnia i nocy.

Wielu młodych łowców obstało jeńca, szarpiąc za zmierzwione futro. Stał nieporuszony, jedynie zapierdzał z hukiem niewielkiego gromu. Odskoczyli wystraszeni.

– Fagory organizują swe hordy w komponenty – wyjaśnił Dresyl. – Większość mówi olonetem. Biorą ludzi do niewoli i są tak zezwierzęceni, że zjadają swoich jeńców. Jako wódz to bydlę rozumie wszystko, co mówimy. Nie mam racji? – Walnął w kosmaty bark. Stwór zmierzył go zimnym spojrzeniem. Stojący obok Dresyla stary lord powiedział:

– Samce fagorów zowią się bykuny, a samice gildy lub fildy, o ile wiem. Samce i samice pospołu biorą udział w zbójceckich wyprawach i walcza ramię w ramię. Są to stworzenia lodu i ciemności. Wasz wielki przodek Juli ostrzegał przed nimi. Przynoszą chorobę i śmierć.

I oto fagor przemówił olonetem, głosem ochrypłym, warczącym.

– Was wszystkich, nędzne Syny Freyra, zmiecie ostateczna śnieżyca! Ten świat, to miasto do nas należy, do ancipitów.

Kobiety były wylęknione. Zaczęły ciskać kamieniami w demona, który nagle przemówił ludzkim głosem.

– Zabić go, zabić! – wrzeszczały. Dresyl wskazał wyciągniętym ramieniem:

– Na szczyt Zielnej Wieży z nim, przyjaciele! Na szczyt z nim i zrzucić go na łeb!

– Tak jest, na łeb! – zaryczał tłum i wnet co śmielsi łowcy obskoczyli wielkie, zapierające się cielsko i powlekli je siłą w stronę pobliskiej wieży. Towarzyszyła temu ogromna wrzawa i tumult, a dzieciarnia wydzierając się biegała wokół starszych. Wśród tych urwisów byli synowie Dresyla, Nahkri i Klils, ledwo odrośle od ziemi pędraki. Oba maluchy bez trudu przemykały między nogami dorosłych, aż natknęły się na prawą nogę fagora, sterczącą niczym kosmaty słup na ich drodze.

– Ty dotknij.

– Nie, ty.

– Boisz się, tchórze!

– Sam jesteś tchórzem!

Wystawili pulchne palce i razem dotknęli nogi. Pod mierzwą sierści zafalowały potężne mięśnie. Odnóże podniosło się, trójpalca racica plasnęła w błoto.

Mimo że te dziwaczne stworzenia władały językiem oloneckim, nic a nic nie łączyło ich z ludźmi. Myśli w ich głowach biegły innymi szlajami. Starzy myśliwi wiedzieli, że w ich potężnych torsach wnętrzości znajdują się powyżej płuc. Ich jakby mechaniczny chód wskazywał na połączenie stawowe odmienne niż u ludzi. W stawach u człowieka znanych jako łokieć i kolano, fagorze przedramię lub goleń wykręcały się pod nieprawdopodobnym kątem. Dość było tego jednego dziwactwa natury, żeby wywołać paniczny lęk w sercach małych chłopców. Przez chwilę dotykali nieznanego. Cofnąwszy ręce, jakby sparzył ich ogień – w rzeczywistości temperatura ciała ancipity jest niższa niż u człowieka – urwisy wymieniły spłoszone spojrzenia, po czym rozryczały się ze strachu. Dly Hoin porwała chłopców w ramiona. Tymczasem Dresyl z kompanami odholowali straszycło kawałek dalej. Mimo że szarpał się w pętach, wepchnęli wielkiego fagora w drzwi wieży. Na placu podniecony tłum nasłuchiwał zgiełku z wieży, przemieszczającego się ku jej szczytowi. W gęste od zapachów i dymu powietrze wleciał okrzyk radości, gdy pierwszy z łowców stanął na dachu. Za plecami gapiów skwierczała zostawiona bez opieki tusza kaidawa; woń pieczystego zmieszana z dymem ogniska zasnuła krąg placu, pełen zadartych w górę twarzy. Drugi radosny okrzyk, jeszcze głośniejszy, powitał wywleczonego wodza fagorów, który ukazał się czarny na tle nieba.

– Na dół go! – zawyły połączone nienawiścią gardła. Olbrzymi wódz stawiał czoło ławie oprawców. Zaryczał, kłuty sztyletami. Wtem, jak gdyby uświadomiwszy sobie, że gra skończona, wskoczył na blankę i stając na krawędzi zmierzył nienawistnym spojrzeniem cisnący się w dole tłum. W ostatnim porywie wściekłości rozerwał pęta. Rozpostarłszy ramiona odbił się potężnie i wspaniałym susem poszybował daleko od wieży. Tłum zbyt późno próbował się rozproszyć. Wielkie cielsko runęło w dół, miażdżąc pod sobą troje ludzi, mężczyznę, kobietę i dziecko. Dziecko zginęło na miejscu. Z piersi zebranych wyrwał się jęk przerażenia i rozpacz.

Ogromny zwierz żył mimo wszystko. Dźwignął się na zgruchotane nogi, naprzeciw łowcom i ich sztyletom zemsty. Kłuli go wszyscy, kłuli gęste futro, kłuli prężne mięśnie. Szarpał się, a gęsta, żółta posoka płynęła niepowstrzymaną strugą na zdeptaną ziemię.

W czasie, gdy rozgrywały się te okropne wypadki. Mały Juli przebywał w komnacie z Loila Bry i maleńką córką. Ilekroć sięgał po ubranie, żeby wziąć udział w walce. Loila Bry uderzała w płacz, że się źle czuje i żeby nie zostawiała jej samej. Uwiesiwszy się na nim zamknęła mu bladymi wargami usta, nie puszczając go od siebie.

Odtąd Dresyl miał w pogardzie swego cioteczno brata. Jednak go nie zabił, choć miał ochotę, a czasy były okrutne. Nie zapomniał bowiem lekcji i wiedział, że przelana krew dzieli plemię. Za rządów jego synów zapomniano o tym.

Wyrozumiałość Dresyla, oparta na zrodzonej w dzieciństwie przyjaźni, kiedy Dresyl jeszcze nie dorobił się siwych włosów w brodzie ani nawet brody, oddziaływała korzystnie na wspólnotę i przysporzyła mu szacunku. A to, czego Juli nauczył się kosztem własnego ducha bojowego, miało zaowocować w przyszłych latach.

Wkrótce po wstrząsie wywołanym pojawieniem się wśród nich wodza fagorów, społeczność przeżyła kolejny cios. Połowę mieszkańców Oldorando powaliła zagadkowa choroba z objawami gorączki, skurczów i wysypki. Pierwsi padli jej ofiarą łowcy, którzy wpychali fagora na szczyt Zielnej Wieży. W związku z tym przez wiele dni prawie nie polowano. Pod nóż szły udomowione świny i gęsi. Zmarła pewna kobieta w ciąży i po odejściu do świata dolnego drogocennych dwóch

istot cała osada okryła się żałobą. Juli, Loila Bry i ich córki uniknęli choroby. Niebawem społeczny krwiobieg pozbył się dolegliwości i życie wróciło do normy. Ale wieść o zabiciu fagora ruszyła z osady w świat.

I przez jakiś czas klimat nadal był okrutny dla rodzaju ludzkiego. Mroźne podmuchy zawsze wciskały się w każdą najmniejszą szparę w źle zszytym ubiorze.

Dwoje strażników światła, Freyr i Bataliksa, pełniło wyznaczoną im służbę, a Świstek Czasu gwizdał regularnie jak zwykle. Przez pół roku strażnicy razem świecili na niebie. Po czym pory ich zachodów rozchodziły się stopniowo, aż wreszcie Freyr zawładnął niebiosami dnia, a Bataliksa – nocy; noc była wówczas niepodobna do nocy, dzień ledwo zasługiwał, by go nazwać dniem. Następnie strażnicy pogodzili się: dni stały się jasne dwojgiem słońc, noce jak smoła.

Pewnej kwadry, kiedy jedynie bystrookie gwiazdy spoglądały z wysoka na Oldorando, zmarł stary lord Wali Ein Den; zszedł do świata dolnego, zostając mamikiem i tonąc do prakamienia.

Jeszcze jeden rok dobiegł końca i jeszcze jeden. Jedno pokolenie dorosło, drugie się zestarzało. Pod spokojnymi rządami Dresyła z wolna rosły szeregi współplemieńców, podczas gdy słońca pełniły swą wartowniczą służbę nad ich głowami. Bataliksa co prawda ukazywała większą tarczę, ale Freyr zawsze dawał więcej światła i więcej ciepła. Bataliksa była starą strażniczką, Freyr był młody i pełen wigoru. Między jednym pokoleniem a drugim żaden człowiek nie mógł z ręką na sercu przysiąc, że Freyr rośnie dla rodzaju ludzkiego, ale tak głosiły legendy. Ludzkość trwała w doli i niedoli, z pokolenia na pokolenie, i żyła nadzieją, że w świecie górnym Wutra odniesie zwycięstwo i na zawsze zachowa Freyra. Legendy kryły w sobie ziarno prawdy, jak pączek kryje w sobie kwiat. Tak więc ludzie wiedzieli nie wiedząc, że wiedzą.

Zaś co się tyczy ptaków i zwierząt, nadal liczego pogłowia choć nielicznych gatunków, ich zmysły były sprzęgnięte z wahaniami pola magnetycznego globu ściślej niż zmysły człowieka. One także wiedziały nie wiedząc, że wiedzą. Instykt mówił im, że już nieuchronnie nadciąga odmiana – w samej rzeczy już się zjawiała pod ziemią, w obiegu krwi, w powietrzu, w stratosferze i we wszystkim, co należało do biosfery.

Ponad stratosferą szybował mały samowystarczalny świat, zbudowany z pierwiastków metalicznych zebranych na bogatych polach międzygwiazdnych. Z powierzchni Helikonii jawił się on na nocnym niebie jako gwiazda, szybko przemierzająca podniebne szlaki. Była to Ziemska Stacja Obserwacyjna „Ayernus”.

Obserwatorzy z „Avernusa” bacznie śledzili gwiazdę podwójną – Freyra i jego partnerkę Bataliksę. Ale przede wszystkim obserwowali od dawna Helikonię, dłużej niż przez jeden długi, helikoński Wielki Rok czasu obiegu planety wokół Freyra, czyli Gwiazdy A, jak zwany był w stacji. Ludzie z Ziemi szczególnie interesowali się Helikonią, nigdy zaś bardziej niż obecnie.

Helikonią krążyła wokół Bataliksy – Gwiazdy B, według nazewnictwa stacji. I słońce, i planeta zaczynały przyspieszać na swoich orbitach. Wciąż znajdowały się w niemal sześćset razy większej odległości od Freyra niż Ziemia od swego Słońca. Lecz ta odległość kurczyła się z tygodnia na tydzień.

Planeta była już kilka stuleci po za apastronem, najzimniejszym punktem swojej orbity. Korytarze stacji obserwacyjnej ożywiały nowy duch; każdy mógł odczytać przesłanie w coraz pomyślniejszych gradientach temperatury.

IV. KORZYSTNE GRADIENTY TEMPERATURY

Dzieci idą w ślady rodziców albo nie. Laintal Ay wyrósł w przekonaniu, że matka jest kobietą cichą, rozmiłowaną w duchowej samotności, podobnie jak jej matka i ojciec. Lecz Loilanun nie była taka, dopóki nie oberwała od życia. Jako podłotek buntowała się przeciwko troskliwej opiece Loily Bry i Małego Juliego. Darła się na całe gardło, że nienawidzi dusznej atmosfery ich komnaty, którą im byli starsi, tym mniej chętnie opuszczali. Uciekła z domu po gwałtownej kłótni i zamieszkała z krewnymi w innej wieży.

Roboty nie brakowało. Loilanun pracowała przy żarnach i wyprawianiu skór. Szyjąc myśliwskie buty poznała i pokochała ich przyszłego użytkownika, choć jeszcze nie przestąpiła progu dojrzałości. Wychodziła do swojego łowcy w noc tak jasne, że nikt nie mógł spać. Po raz pierwszy świat roztoczył przed nią całe swoje urzekające piękno. Została kochanką łowcy, gotowa oddać za niego życie.

W Oldorando zmieniały się obyczaje. Łowca zabrał Loilanun na polowanie na jelenie. Kiedyś Dresyl nigdy by nie pozwolił kobiecie biegać z mężczyznami za zwierzyną, ale Dresyl był stary i miał coraz mniejszy posłuch. W wąskim parowie łowcy jeleni zesłi się z kołatką. Na oczach Loilanun stwór przewrócił i przebił rogiem jej kochankę. Młody łowca zmarł, nim doniesiono go do domu.

Ze złamanym sercem Loilanun wróciła do rodziców. Przyjęli ją z otwartymi ramionami, utulili w żalu. Gdy leżała wśród pachnidła i cieni, w jej łonie poruszało się życie. Poczęte dziecko. Wspominała chwile tamtych rozkoszy, kiedy nadeszła pora rozwiązania i rodziła syna. Nazwała go Laintalem Ayem i on także został przyjęty z otwartymi ramionami przez jej rodziców. Była wiosna 13 roku po Zjednoczeniu albo roku 31 wedle starego lordarza.

– Dorośnie w lepszym świecie – powiedziała córce Loila Bry, przyglądając się dziecku swymi błyszczącymi oczyma. – Dzieje wieszczą porę z hukiem pękających radżabab i powietrza ciepłego ciepłem ziemi. Porę dostatku pożywienia, pożegnania śniegów i powitania nagości dla kochanków. Jakże ja tęskniłam do tych dni, kiedy byłam młoda. Laintal Ay pewnie ich doczeka. Tak żałuję, że nie jest dziewczynką-dziewczynki czują i widzą więcej niż chłopcy.

Dziecko lubiło gapić się na porcelanowe okno w komnacie babki. Jedyne w całym Oldorando, aczkolwiek Mały Juli utrzymywał, że ongiś było ich o wiele więcej, tylko wszystkie się wytlukły. Mijał rok za rokiem, a dziadkowie Laintala Aya, podnosząc oczy znad swoich starodawnych ksiąg patrzyli, jak okno różowieje, staje się pomarańczowe i obleka purpurą zachodu słońca, gdy Freyr albo Bataliksa nurzały się w ognistej kąpieli. Barwy gasły. Noc kładła czerń na porcelanę.

Dawnymi czasy widywali marzyska szybujące wokół wieżyc Oldorando, takie same zjawy, jakie pierwszy Juli oglądał podczas wędrówki z ojcem przez białe pustkowia. Marzyska widywało się tylko nocą. Podlatywały znieścacka do porcelanowego okna sypiąc w nie skrami jak pierzem, kołując z wolna, bijąc swoim pojedynczym skrzydłem. Czy też może nie było to skrzydło? Bo kiedy ludzie wybiegali popatrzeć, widzieli jeno złudne kontury, do końca nieuchwytnie.

Marzyska budziły dziwne rojenia w umysłach ludzi. Leżąc na kobiercach i futrach Juli z Loila Bry czuli, jak w ich głowach ożywają naraz wszystkie myśli. Oglądali obrazy rzeczy zapomnianych i

obrazy nigdy nie widziane. Loila Bry często zakrywała z krzykiem oczy. Mówiła, że to jest jak wywołanie tuzina mamunów za jednym zamachem. Później pragnęła przeżyć niektóre z zaskakujących wizji jeszcze raz, lecz one nigdy więcej nie dały się już przywołać; ich niepokojące piękno ulatywało niczym woń pachnideł.

Marzyska odpływały w dal. Nikt nie wiedział, skąd przychodzą ani dokąd odchodzą. Ich naturalnym środowiskiem były górne rejony troposfery. Czasami siły elektryczne zmuszały marzyska do zejścia nad powierzchnię planety. Znęcone neuroprądami w mózgach ludzi i zwierząt schodziły jeszcze niżej, kołując chwilę nad żywą istotą, jakby w nich samych tliła się iskra inteligencji. Wkrótce jednak wzbijały się w górę i niknęły z oczu. W zależności od lokalnych anomalii, potężnych burz magnetycznych szalejących w układzie Helikonii, marzyska mogły szybować w każdym kierunku, na wprost i w górę, dryfując z magnetycznymi prądami, krążąc bez postrzegania, bez potrzeby odpoczynku.

Ale nie wiecznie. Ponieważ elektryczne istoty, zwane przez ludzi marzyskami, były niezmiennie. A zatem zupełnie nieodporne na zmiany.

W każdym rejonie tropikalnego kontynentu Kampannat i o każdej porze występowały ogromne różnice temperatur. W łagodny letni dzień w Oldorando, gdzie Loilanun bez przekonania niańczyła synka, temperatura na powierzchni ziemi podnosiła się do kilku stopni powyżej zera. Stosunkowo niedaleko, bo zaledwie parę mil na północ, nad jeziorem Dorzin mogło być z dziesięć stopni mrozu. Latem, gdy strażnicy uwijali się dzień i noc, w miejscach zacisznych w ogóle nie było mrozu i dojrzewały zboża.

Trzy tysiące mil od Oldorando, w Nktryhku, dzienne temperatury wykazywały ogromne wahania, od minus dwunastu stopni do minus stu pięćdziesięciu, a więc blisko temperatury skraplania się kryptonu.

Zmiana narastała początkowo, rzec by można, w utajeniu. Później, kiedy gradienty temperatury w górnych warstwach atmosfery zareagowały na wzrost promieniowania Freyra, jej skutki okazały się gwałtowne. Proces zachodził powoli, lecz nieodwracalnie. Pewnego razu Ziemska Stacja Obserwacyjna „Avernus” odnotowała dwunastostopniowy przyrost temperatury na wysokości równikowej 16,6 mili w ciągu godziny.

Przy takim ociepleniu stratosferyczna cyrkulacja silnie się wzmogła i planetę omiatały huragany. Zaobserwowano wysokościowe nawałnice nad Nktryhkiem, wiejące z prędkością ponad dwustu siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Nagle przepadły marzyska. Zaczątki tego, co dla ludzi i zwierząt miało oznaczać odrodzenie, przyniosły zgubę marzyskom. Ich wirowe jądra piezoelektrycznego pyłu i cząstek naładowanych były zbyt wątle, aby przetrwać w układzie dynamicznym. Układ, który je zrodził, w ciągu roku poszedł w rozsypkę. Marzyska zniknęły, zostawiając po sobie ulotne warkocze iskier w rozrzedzonych górnych warstwach atmosfery. Iskry szybko pogasły.

Juli i Loila Bry nadaremnie wyglądali marzysk. Laintal Ay niebawem zapomniał, że je w ogóle widział.

Hordy fagorów gromadziły się pod nieboskłonem zielonkawej barwy najczęściej spotykanej na tej wysokości, gdzie mrowie lodowych kryształków załamywało promienie strażników, gdy tylko przebiły się przez chmury. Fagory, bykuny i gildy pospołu, swym nieczłowieczym krokiem stawały w kolumnach marszowych. Liczne ptaki siadały na ramionach lub krążyły nad głowami swoich panów. Ptaki i fagory były białe, teren w bieli, brązie i wyblakłej czerni, niebo w górze sinozielone. Na tle lodowca Hhryggt żywe istoty rysowały się jak cienie. Lodowiec rozszczeniał się na zagrządzającym

mu drogę masywie skały głębinowej. Łód pożłobił jej mury, lecz przetrwała wieki obłęzenia, do nieba wznosząc las wieżyc jak warownia diabła. W widłach lodowca u jej stóp powstało pole firnowe. Tu stał zastygły w bezruchu przywódca ancipitów, podczas gdy jego kohorty ścigały na krucjatę.

Były to komponenty kzahhnów Hrastyprtu, którzy pierwsi postanowili zadać śmierć Synom Freyra, zamieszkującym dalekie równiny. Młody kzahhn zwał się Hrr-Brahl Yprt. To on miał poprowadzić krucjatę. To jego prabykun, wielki kzahhn Hrr-Tryhk Hrast zginął z rąk owych dalekich Synów. Pod wodzą Hrr-Brahla Yprta wyruszą legiony pomsty. Albowiem pod jego wodzą komponent rozkwitał, odzyskując siły utracone po ostatnim pożarze świata w ogniu Freyra.

Zarówno liczebność szeregów, jak i świadoma decyzja skłoniła komponent do opuszczenia podniebnych warowni i podjęcia wędrówki na niespotykaną skalę. Zemsta wypełniała ich szleje, pomyślnie gradienty temperatury w stratosferze pchnęły do działania. Ciepła nowina dreszczem obiegnęła pięćsetmilowy lodowiec, spływający z bezpowietrznej wyżyny Wysokiego Nktryhku do wyżłobionych dolin na wschód od równiny Oldorando, i wywabiła ancipitów spod nawisów i szczelin.

Hrr-Brahl Yprt stał bez ruchu. On także słyszał ciepłą nowinę, jak szła przez oktawę śródpowietrzną.

Zwiastowanie wielkiej klimatycznej zmiany ożywiło inne formy życia w tym regionie, formy, które dla fagorów stanowiły źródło białka. Usianą głazami narzutowymi krainę lodowców zamieszkiwały również pragностyczne szczepy Madisów. Drobni, wiecznie niedożywieni, oni też powracali do życia nomadów. Wiedli ze sobą kozy i arangi, czworonogi żywiące się porostami i drobnymi skorupiakami. Madisów nęciły nizinne pastwiska. Czekali tylko na wolną drogę po wymarszu fagorzej krucjaty.

Młody Hrr-Brahl Yprt krótkim warknięciem rozkazał osiąść wierzchowców. Starczyło ich tylko dla wybranych dostojników. W mgnieniu oka cała fagorza starszyzna siedziała na grzbietach rdzawo-rudych kaidawów, tuż za ich garbami.

Rozkaz ów zabrzmiał w roku 13 skromnego kalendarza Loily Bry. Ancipitarz wskazywał kanon śródpowietrzny, czyli rok 353 od Małej Apoteozy Wielkiego Roku 5634000 po Katastrofie. Zgodnie z nowszą rachubą było to pod koniec roku 433. Laintal Ay trzymał się wówczas kolan owdowiałej matki. Czekał go dzień, w którym miał stanąć oko w oko z całą potęgą Hrr-Brahla Yprta...

Przy kaidawie kzahhna stał czaban, czyli chorąży, młody bykun, wysoko dzierżący sztandar. Hrr-Brahl Yprt miał wzrost postawnego człowieka, ważył zaś prawie półtora raza więcej. Trójpalce, keratynowe racice dźwigały grube łądzwie, potężną muskulaturę, pierś szerszą niż ludzka. Imponujące wrażenie sprawiała wciśnięta pomiędzy krzepkie barki głowa. Długa, koścista, z wypukłymi łukami brwiowymi, które przydawały siły oczom osłoniętym przez długie rzęsy, migotliwe od szronu. Osadzone za uszami rogi zawijały się najpierw w przód, a dopiero potem do góry, w sposób charakterystyczny dla jego rodu. Z szarymi żyłkami wyglądały jak wytoczone z marmuru, zaś krawędzie miały ostre jak sztylety. Stanowiły oręż do walki tylko pomiędzy fagorami, nigdy przeciwko wrogom z obcej rasy, a już przenigdy nie mogły się splamić czerwoną krwią Synów Freyra. Wydatny pysk Hrr-Brahla Yprta był czarny od chrap po oczy, tak jak u jego prabykuna. Czerń podkreślała władczość spojrzenia. Najmniejszy gest młodego kzahhna budził ślepy posłuch.

Na tę krucjatę zbrojmistrze wykuli mu misterny naczółek. Metal przybrał jego długie czoło kształtem lilii. Owijał się u nasady rogów, wypuszczając na boki dwa własne, ostre rogi z żelaza. Udzielając podwładnym reprimendy kzahhn unosił górną wargę obnażając tępe, wzdłużnie

karbowane zębiska w dwóch szeregach obramowanych długimi siekaczami.

Odziany był w zbroję, na którą składał się kaftan bez rękawów, wykonany z trzech warstw twardej kaidawiej skóry, oraz szeroki pas przechodzący w rodzaj saka na genitalia, dyndające mu u miednicy pod mierzwą sztywnych kłaków.

Kaidaw kzahhna nosił imię Rukk-Ggrl. Dosiadłszy Rukka-Ggrla, młody kzahhn uniósł rękę. Niewolnik zadał w ogromny, kręty róg kołatka. Dwutonowy sygnał odbił się echem w szarych pustkowiach. Na ten żałobny zew z jaskini w masywie plutonitu wyszli niewolnicy niosący figurki ojca i praprabykuna Hrr-Brahla Yprta. Ci przesławni antenaci przebywali w stanie uwięzi, opadając powoli ku ostatecznym wirom nieistnienia. Tak istotny zanik procesów życiowych spowodował skurczenie się przodków. Praprabykun skeratynił się już niemal całkowicie.

Na widok totemów zafalowały szeregi zebranego komponentu samców i samic. Ciągnęły się przez pole lodolodu oblegając pobliskie granie i piargi, stercząc tam na tle nieba i rozplywając się w spiętrzonych, oślepiająco białych chmurach. Ponad wspartymi na włóczniach sylwetkami krążyły wielkie ptaki. Fagory obróciły się w miejscu, kierując wszystkie spojrzenia ku swemu młodemu wodzowi i wodzom z przeszłości. Zastygły we właściwym tej rasie upiornym bezruchu. Jedyne przypadkowe trzepnięcia uchem świadczyły o tym, że są żywe.

Przyniesiono totemy kzahhnowi. Niewolnicy z rasy ludzkiej klękli przed nim w pokorze. Hrr-Brahl Yprt zsiadł z wierzchowca, stając pomiędzy swymi przodkami a swoim kaidawem. Złożywszy ukłon posłusznie wtulił twarz w rudą sierść na boku Rukka-Ggrla. Rozum opuścił jego szleje. W swoistym transie kzahhn wezwał duchy ojca i praprabykuna do żywej terażniejszości.

Duchy przybyły. Małeńkie, wąsate zjawy, nie większe od śnieżnego królika. Zapiszczały na powitanie. Przyszły na czworakach, czego nigdy nie robiły za życia.

– O święci przodkowie moi, łączący się teraz z ziemią – zawołał młody kzahhn w chrapliwym języku fagorzej rasy – nareszcie idę pomścić tego, który powinien stać w tej chwili pośród was, mego mężnego prabykuna. Wielkiego Kzahhna Hrr-Tryhka Hrasta, zabitego przez gołoskórych Synów Freyra. Przed nami lata trudów. Przydajcie siły memu ramieniu, strzeżcie nas przed niebezpieczeństwem, rogi noście wysoko.

Jego praprabykun zdawał się przebywać we wnętrzu Rukka-Ggrla.

– Idź – rzekła keratynowa figurka – noś rogi wysoko, nie zapomnij nienawiści. Strzeż się przyjaźni z Synami Freyra.

Uwaga owa była bez znaczenia dla Hrr-Brahla Yprta. Nawet nie próbował wyobrazić sobie innego niż nienawiść uczucia do odwiecznych wrogów. Ci w uwięzi nie zawsze są mądrzejsi od tych w śródpowietrzu.

Keratynowy wizerunek ojca był większy od praprabykuna, ponieważ ojciec później pograżył się w uwięzi. Złożył synowi pokłon i przemówił, malując w synowskich szlejach rozmaite obrazy.

Hrr-Anggl Hhrot pokazał swemu synowi obraz, który młody kzahhn jedynie w części rozumiał. Człowiek nie rozumiałby nic a nic. A przecież był to obraz znanego wszechświata, tak jak wyobrażała go sobie rasa ancipitów, obraz, który w wielkiej mierze warunkował ich stosunek do życia.

Jakiś ruchliwy organ pulsowała wigorem, wzdymając się i kurcząc. Każda z jego części przypominała trochę ludzką mocno zaciśniętą pięść. Łączyła je wzajemna zależność i dzieliły barwy. Szara pięść przedstawiała znajomy świat, oślepiająco biała – Batalikse, czarna w cętki – Freyra. Kiedy Freyr puchł, kurczyły się pozostałe części; kiedy rosła Bataliksa, rósł z nią świat.

Ruchliwy organ tonął w oparach. Wśród oparów połyskiwały złote nitki oktafów śródpowietrznych. Oktawy śródpowietrzne wiły się jakby pierzchając przed Freyrem, niemniej

jednak opłotły go miejscami. Freyrowa pięść wyciągnęła czarne szpony, ściągając oktawy śródpowietrzne bliżej świata. Burzyła się, rosła.

Obrazy te były znajome młodemu kzahhnowi i miały mu dodać pewności siebie przed wymarszem. Czytał w nich również przestrożę, że oktawy śródpowietrzne, czyli drogi wyprawy, gmatwają się coraz bardziej i że doskonały zmysł kierunku jego rasy ulegnie zakłóceniu. Będą wędrować powoli, przez wiele kanonów śródpowietrznych, czyli lat.

Hrr-Brahl Yprt podziękował keratynowej figurce niskim, gardłowym pomrukiem. Hrr-Anggl Hhrot odsłonił dalsze sceny. Otaczała je aura rzeczy starodawnych. Zostały zaczerpnięte z niezapomnianej krynicy mądrości, z heroiczných wieków, gdy Freyr się nie liczył. Na potwierdzenie tych obrazów wyszły podobne anielskim zastępy keratynowych przodków.

Hrr-Anggl Hhrot pokazywał, co się stanie, kiedy troisty organ przeżyje tyle prawie kanonów, ile bykun liczy palców i racic. Czarno cętkowany Freyr schowa się z wolna i zniknie za plecami Bataliksy. Będzie tak znikał przez dwadzieścia kanonów pod rząd. Taki to straszny paradoks: mimo że rośnie, Freyrowa pięść będzie znikwała za malejącą Bataliksą. Dwadzieścia zniknięć wyznaczało początek okrutnej pory dominacji Freyra. Po dwudziestym zniknięciu komponenty ludów ancipitalnych ulegną potędze Synów Freyra. Tak brzmiało ostrzeżenie – ale kryła się w nim nadzieja.

Głupawi Synowie przerażą się zniknięć Freyra, swego sojusznika. Trzecie zniknięcie porazi ich najbardziej. Oto pora uderzenia na nich, oto pora, w której trzeba stanąć pod miastem, gdzie poległ wielki kzahhn Hrr-Tryhk Hrast. Oto pora odwetu. Pora pożogi i krwi. Nie zapomnij. Bądź mężny. Noś rogi wysoko. Zaczęła się wojna.

Hrr-Brahl Yprt zachowywał się tak, jak gdyby strumień mądrości spływał nań po raz pierwszy. A spływał wiele razy. Nigdy nie wysechł. Zastępował mu myśli. Cały jego komponent z przodkami w uwięzi odbierał te same wizje po wielekroć w minionych kwadrach. Wizje pochodziły z ich świata, ze śródpowietrza, od dawno umarłych. Były nieomyślne. Wszelkie decyzje komponentu wynikały z takich strumieni mądrości pochodzących od keratynowych antenatów. Tych, co tworzyli przeszłość, było więcej niż żywych. Dawni bohaterowie żyli w bohaterskich czasach niemocy Freyra.

Młody kzahhn ocknął się ze swego momentu uwięzi. Otaczające go zastępy drgnęły, trzepnęły uszami. Nad nimi wisiały nieruchomo ich ptaki. Ponownie zagrał dysonansowy róg i kukiełkowe wizerunki powędrowały z powrotem do czeluści naturalnej fortecy. Czas było ruszać. Hrr-Brahl Yprt wskoczył na wysoki zad Rukka-Ggrrla. Tym ruchem strącił

Zzhrrka, swego białego kraka. Zzhrrk zatoczył w powietrzu koło i powrócił na ramię Hrr-Brahla Yprta. Wiele fagorów w hordzie miało własne kraki. Chrapliwy głos kraka pieścił fagorze ucho. Dziób kraczy oczyszczał fagorze futro z pasożytujących w nim kleszczy.

Ów kleszcz, stworzenie nie rzucające się w oczy, stanowił kluczowe ogniwo w złożonej strukturze ekologicznej tego świata – a zarazem skrytą więź pomiędzy śmiertelnymi wrogami.

W czasie gdy młody kzahhn był pogrążony w uwięziopodobnej rozmowie ze swymi przodkami, nad śnieżnym pejzażem zawisły sine chmury. Promienie światła odbijały się tam i z powrotem pomiędzy chmurami a ziemią. W rozproszonej, nie spolaryzowanej iluminacji, w której nie padał żaden cień, a żywe istoty stawały się widmami, ludzie potraciliby głowy. Nie było horyzontu. Sama perłowa szarość. Wszechobecne zabielenie nic nie znaczyło dla armii ancipitów, mającej oktawy śródpowietrzne za drogowaskazy. Teraz, po zakończonym obrzędzie rozmowy, piesza służba przywiodła przez żywioł bieli cztery źrebce kaidawa. Pojedyncze garby zwierząt ledwo były umięśnione, ich szorstka sierść jeszcze pstrokata. Na każdym źrebcu siedziała na oklep jedna z czterech fild kzahhna. We włosy na głowie każda miała wpięte orle pióro lub blade kwiatek skalny.

Ten kwartet młodych krasawic został wybrany przez komponent do towarzyszenia kzahhnowi Hrr-Brahl Yprtowi w wieloletniej krucjacie. Od lodowcowych szczytów na wschodzie ciągnął powiew czterdziestostopniowego mrozu, strosząc delikatny puch futer ancipitalnych panienek. Pod puszką znajdowała się gęsto zbita sierść fagorza, niemal nie przepuszczająca zimna, chyba że nasiąknięta wodą.

Powiew rozgonił pokrywę chmur. Jakby otworzył okiennicę, przywracając znajome kształty świata. Ukazały się zastępy fagorów, za nimi pionowe ściany Hhryggta oraz cztery fildy – wszystko blade z początku i widmowe. Biel opadła jak mgła. W przodzie widać było posępne przełęcz, wiodące dwanaście tysięcy metrów w dół, w kierunku miejsca przeznaczenia.

Rozwinięto sztandar Hrastyprtu. Młody kzahhn dał znak wyciągniętą ręką, wskazując naprzód. Wbił rogowe racice w boki Rukka-Ggrrla. Kaidaw zadarł rogaty łeb i ruszył z kopyta po kruchym firnie. Armia fagorza też ruszyła z wolna owym nienaturalnym, posuwistym krokiem. Łupek zgrzytał, lód dzwonił. Kraki szybowały wysoko w prądach wstępujących. Zaczęła się krucjata. Jak przepowiedziały wizerunki przodków, spełnić się miała w porze, kiedy Freyr po raz trzeci zniknie za Bataliksą. Wówczas armia kzahhna uderzy na Synów Freyra zamieszkujących dalekie, przeklęte miasto, w którym zabity został szlachetny prabykun Hrr-Brahla

Yprta. Ten dawny wielki kzahhn został zmuszony do skoku ze szczytu wieży na spotkanie śmierci. Pomsta była w drodze: miasto zniknie z powierzchni ziemi. Może i nie dziwota, że maleńki Laintal Ay zapłakał u kolan matki.

Rok za rokiem posuwała się krucjata. Mieszkańcy Oldorando pozostawali nieświadomi owej odległej nemesis. Dresyl nie był już tak energicznym przywódcą jak niegdyś. Coraz częściej nie wysuwał nosa z miasta, za to wtykał go w organizacyjne drobiazgi przedsięwzięć, które szły gładko, dopóki się w nie nie wtrącił. W łowach zastępowali ojca synowie. Wisząca w powietrzu zmiana podminowała wszystkich. Młodzi ludzie chcieli uciekać z wyrobniczych cechów do łowiectwa i traperstwa. Młodzi zaś łowcy źle się prowadzili. Dresyl miał obecnie w swej drużynie pewnego łowcę, który zmaistrował nieślubną córkę żonie starszego mężczyzny. Takie obyczaje stawały się nagminne i rodziły bójki.

– Za moich młodych lat było to nie do pomyślenia – Dresyl zmywał głowę Aozowi Roonowi, zapominając o własnych młodzieńczych wybrykach. – Jeszcze trochę, a zaczniemy się mordować jak dzikusy z Quzint.

Dresyl sam nie wiedział, czy lepiej złamać Aoza Roona, czy go ugłaskać. Skłaniał się ku temu drugiemu, bowiem Aoz Roon cieszył się coraz większą sławą łowiecką, lecz takie postępowanie ojca złościło syna Dresyla, Nahkriego, który był wrogo nastawiony do Aoza Roona z powodów znanych wyłącznie obu młodzieńcom.

Dly Hoin, nieudana żona Dresyla, zachorowała i odeszła ze świata wraz z odejściem ze świata roku 17 po Zjednoczeniu. Przybył ojciec Bondorlonganon i pogrzebał ją, złożyłszy zwłoki na boku w ich oktawie śródziemnej. Gdy odeszła, w życiu Dresyla powstała pustka i po raz pierwszy poczuł miłość do żony. Odtąd smutek na zawsze zagościł w jego duszy. Mimo swych lat opanował sztukę wywoływania ojców i zapadł w pauk, żeby raz jeszcze porozmawiać z nieboszczką Dly Hoin. Spotkał jej mamika snującego się po świecie dolnym. Wyrzucała mu brak miłości, zmarnowane życie, oziębłość i wiele innych rzeczy, które leżały jej na sercu. Uciekł od jej złorzeczeń, od jej kłapiących zębów i od tej pory jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Czasami rozmawiał z Laintalem Ayem. Chłopak był bardziej rozgarnięty od Nahkriego czy Klilsa. Ale od swego starego brata cioteczkiego. Małego Juliego, trzymał się Dresyl z daleka; i jak przedtem gardził Julim, tak teraz mu

zazdrościł. Juli miał żywą kobietę, miał kogo kochać i uszczęśliwiać.

Juli i Loila Bry pozostawali w swej wieży i starali się nie dostrzegać swoich siwych włosów. Loilanun nie spuszczała oka z Laintala Aya, nadzorując niewyszukane zabawy młodego pokolenia, które pochłaniały go coraz bardziej.

W głębinach Quzint żyła religijna sekta poborców. Pierwszy Juli ujrzał ich ongiś na mgnienie oka. Bezpieczni w gigantycznej grocie, ogrzanej ciepłem ziemi, poborcy byli z pozoru nieczuli na gradienty temperatury w górnych warstwach atmosfery. Utrzymywali jednak potajemne kontakty z Pannowalem, skąd dotarła do nich idea, która na swój sposób zapoczątkowała zmianę nie mniej ważką niż wszelkie gradienty temperatury. Mimo że idea stawiała wszystko na głowie, twardogłowi poborcy odkryli w niej piękno i, jak im się zdawało, prawdę idącą z tym pięknem w parze.

Poborcy, mężczyźni i kobiety, nosili wykwintne szaty okrywające ich od brody do stóp. Przypominali na pół otwarte kielichy kwiatów, odwrócone do góry dnem. Pod tą wierzchnią szatą, zwaną czarfralem, nie nosili nic więcej. Czarfral można uznać za symbol sposobu myślenia poborców. Wiele pokoleń ukształtowało ich światopogląd, wiele przekonań złożyło się na ich teologię. Byli wyuzdani i niewinni zarazem. Nawet ascetyczność ich religijnej hierarchii wartości kryła w sobie paradoksy i przerodziła się w formę neurotycznego hedonizmu. Wiara w Wielkiego Akhę nie kłóciła się z seksualnymi orgiami, z jednej podstawowej przyczyny: Wielki Akha nie zwracał uwagi na ludzi. Zwalczał zgubną światłość Wutry i służyło to interesom ludzi, ale nie dla ludzi, jeno dla samego siebie wojował Akha. Co robili ludzie, nie miało najmniejszego znaczenia. Etyka eudajmonizmu wyrosła z bezsilności człowieka.

Długo po swej śmierci prorok Naab zmienił to wszystko. Słowo Naaba dotarło w końcu do groty poborców. Prorok Obiecywał, że jeśli mężczyźni i kobiety wyrzekną się chuci i sypiania z kim popadnie, tak że nikt nie zna własnego ojca, natenczas Wielki Ojciec Akha we własnej osobie raczy zwrócić na nich uwagę. Pozwoli im jako wojownikom wziąć udział w wojnie z Wutrą. Wojna szybko się skończy. Ludzie – to było istotą przesłania Naaba – nie są bezsilni, chyba że sami wybierają słabość.

Ludzie nie są bezsilni. Dla zagrzebanych pod ziemią poborców przesłanie było objawieniem. Nigdy nie byłoby takim objawieniem w pannowalskiej Ziemi Świętej; tam ludzie zawsze przyjmowali za rzecz oczywistą, że potrafią działać. Ale w grocie w głębi ziemi zaczęto palić czarfrale. Nastąpiła cnota.

W ciągu jednego roku poborcy zmienili swoją naturę. Starą, ustaloną hierarchię nagięto do cnoty wstrzeźliwości na cześć boga z kamienia. Ci, którzy nie potrafili pogodzić się z nową etyką, dawali głowę pod miecz bądź uciekali przed mieczem. W ogniu i dialektyce rewolucji nie wystarczyło poborcom nawrócenie samych siebie. Nigdy nie wystarcza. Rewolucjoniści muszą maszerować naprzód i nawracać innych. Podjęto Pielgrzymkę Wiernych Naabowi Akhy.

Przez setki mil podziemnych korytarzy Pielgrzymka Wiernych niosła przesłanie. A pierwszy stanął na jej drodze Pannowal. Pannowal był nieczuły na powracające słowo własnego proroka, którego zabito i zapomniano dawno temu. Nie był jednak nieczuły na inwazję fanatyków.

Cała milicja stanęła pod bronią i rozgorzała bitwa. Fanatycy byli gotowi do walki. Niczego bardziej nie pragnęli, jak zginać za sprawę. Jeśli ginęli też inni, tym lepiej. Wyjące w czeluściach oktaw śródziemnych mamiki wiodły ich do zwycięstwa. Milicja stawała mężnie przez cały długi, krwawy dzień. Po czym dała nogę.

Tak oto Pannowal ugiął się przed siłą przesłania i nowego reżimu. Pośpiesznie szyto czarfrale, żeby mieć co palić. Ci, którzy się nie ugięli, uciekli albo zostali zabici. Ci, którzy uciekli, wyszli w

otwarty świat Wutry, na wieczne północne równiny. Wyszli w porze odwrotu śniegów. Rosły trawy. Para strażników czujniej strzegła niebios i sam Wutra zdawał się nie tak znów srogi. Przeżyli.

Rok za rokiem wędrowali coraz dalej na północ w poszukiwaniu pożywienia i zacisznego zakątka ziemi. Wędrowali na wschód z biegiem rzeki Lasvalt, ku wielkim równinom. Ich łupem padały wędrowne stada jajaków i gunandu. I ciągnęli ku przesmykowi Chalce.

W tym samym czasie wyższe temperatury ruszyły ludy zimnego kontynentu Sibornal. Fala za falą obszarpani koloniści parli na południe, przesmykiem Chalce do Kampanlat. Pewnego dnia, pod samotnie panującym na niebie Freyrem, najbardziej wysunięte na północ plemię z Pannowalu spotkało się z najbardziej wysuniętą na południe falą migracji sibornalskiej. Co zdarzyło się wówczas, zdarzało się już wiele razy przedtem – i miało zdarzać potem. Wutra i Akha czuwali nad tym pospołu.

W takim to stanie znajdował się świat, kiedy odszedł z niego Mały Juli. Do Oldorando ściągnęli handlarze soli z Quzint, przynosząc wieści o lawinach i niezwykłych wydarzeniach. Juli – bardzo już sędziwy – pośpieszył na dół wysłuchać przybyszów, pośliznął się na którymś schodku i złamał nogę. Tydzień później zawitał ojciec święty z Borlien, a Laintal Ay podziwiał ruszającego mordką pieska z rogu kaidawa. Odchodziła epoka. Nadchodziły rządy Nahkriego i Klilsa.

V. ZACHÓD DWOJGA SŁOŃC

W komnacie Wieży Zielnej Nahkri i Klils rzekomo sortowali skóry. W rzeczywistości wyglądali przez okno, kręcąc głowami.

– Oczom nie wierzę – rzekł Nahkri.

– I ja nie wierzę własnym oczom – rzekł Klils. – W ogóle nie daję temu wiary.

Śmiał się dopóty, dopóki brat nie walnął go w plecy. Przyglądali się wysokiej, starczej postaci, która jak szalona biegła brzegiem Voralu. Sąsiednie wieże przesłoniły im widok, lecz po chwili ujrzeli ją znowu, jak wymachuje chudymi rękami i nogami. W pewnym momencie pochyliła się, zaczerpnęła błota i wysmarowała sobie głowę, po czym – chwiejnym kłusem pobiegła dalej.

– Zwariowała – powiedział Nahkri, przyglądając z zadowoleniem wąsy.

– Jeszcze gorzej, moim zdaniem. Wariatce odbiły szleje.

Druga spokojniejsza, postać – chłopak u progu dojrzałości – deptała po piętach biegnącej.

Laintal Ay deptał swojej babce po piętach, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Biegła przed nim z głośnym lamentem. Chłopak podążał za nią ponury, milczący, sumienny.

Pokręciwszy głowami Nahkri i Klils zbliżyli je do siebie.

– Nie rozumiem, czemu Loila Bry się tak wygłupia – powiedział Klils. – Pamiętasz, co mówił ojciec?

– Nie.

– Mówił, że Loila Bry tylko udaje, że kocha stryja Juliego. Mówił, że ona go nigdy nie kochała.

– Aha, przypominam sobie. To dlaczego dalej udaje po jego śmierci? To nie ma sensu.

– Coś tam wymyśliła chytrego w tej swojej mądrej głowie. Kiwa i nas. – Nahkri podszedł do otwartej kłapy. Na doie pracowały kobiety. Kopniakiem zamknął kłapę i obrócił się do młodszego brata.

– Nieważne, co wyprawia Loila Bry. Nikt nic rozumie, co robią baby. Ważne jest to, że stryj Juli nie żyje i teraz ty i ja będziemy rządzić Embruddockiem.

Klils wyglądał na wystraszonego.

– A Loilanun? Laintal Ay... co z nim?

– To jeszcze dzieciak.

– Już niedługo. Za dwie kwadry skończy siedem lat i obędzie łowcą.

– To szmat czasu. W tym nasza szansa. Jesteśmy mocni... ja przynajmniej. Ludzie przystaną na nas. Nie chcą, żeby rządził nimi dzieciak, i skrycie gardzą jego dziadkiem, który życie przeleżał w barłogu z tą wariatką. Musimy wymyślić, co im powiedzieć, co obiecać. Czasy się zmieniają.

– No właśnie, Nahkri. Powiedz im, że czasy się zmieniają.

– Potrzebujemy poparcia cechmistrzów. Pójdę teraz, pogadam z nimi... ty lepiej się nie wychylaj, bo przypadkiem wiem, że rada uważa cię za głupiego rozrabiakę. Później skaptujemy kilku czołowych łowców, jak Aoz Roon i paru innych, i po sprawie.

– Co z Laintalem Ayem?

Nahkri przyłożył bratu.

– Przestań powtarzać w kółko to samo. Pozbędziemy się go, gdyby przeszkadzał.

Tegoż wieczoru, po zejściu z nieba strażniczki, kiedy Freyr chylił się ku monochromatycznemu wieczorowi, Nahkri zwołał zgromadzenie. Łowcy powrócili z wyprawy, traperzy ściągnęli do domów. Kazał zamknąć bramy. Stał na cokole Wielkiej Wieży, przed zbierającym się na placu

tłumem. Dla dodania sobie powagi na futro ze skór jelenia zarzucił burkę z czerwono-żółtego sukna. Był średniego wzrostu, nogi miał grube, twarz brzydką, wielkie uszy. W charakterystyczny sposób wysuwał dolną szczękę, przybierając groźną, dętą minę.

Przemówił do tłumu z namaszczeniem, wychwalając wielkie zalety starego triumwiratu Walia Eina, swojego ojca Dresyla i stryja Juliego. Oni trzej połączyli męstwo z mądrością. Teraz plemię jest zjednoczone; męstwo i mądrość są cechami powszechnymi. On, Nahkri, będzie podtrzymywał tradycję, ale w nowym duchu nowej epoki. Będzie rządzić razem z bratem i z radą, i zawsze będzie dawał ucha temu, co każdy człowiek ma do powiedzenia. Przypomniał im wszystkim, że najazdy fagorów stanowią nieustanne zagrożenie i że handlarze soli z Quzint opowiadają o wojnach religijnych w Pannowalu. Oldorando musi pozostać zjednoczone i dalej rosnąć w siłę. Potrzebne są dalsze wysiłki. Każdy musi więcej pracować. Kobiety muszą pracować więcej. Przerwał mu głos kobiety:

– Złaz z tego cokołu i sam weź się do jakiejś roboty. Nahkri zbaraniał. Gapił się na tłum, zapomniawszy języka w gębie.

Z tłumu odezwała się Loilanun. Ze wzrokiem wbitym w ziemię stał przy niej Laintal Ay. Loilanun dygotała ze strachu i złości.

– Nie masz prawa stać tam na górze, ani ty, ani twój braciszek pijanica! Ja jestem krwią z krwi Juliego, jestem jego córką. Tu stoi znany wszystkim mój syn Laintal Ay, który za dwie kwadry będzie dorosłym mężczyzną. Mam tyle samo rozumu i wiedzy co mężczyzna – po moich rodzicach. Zachowaj triumwirat zgodnie z wolą twojego ojca Dresyla, którego wszyscy szanowali. Żądam dla siebie udziału w triumwiracie – my kobiety też powinnyśmy mieć głos, mnie też leży na sercu dobro naszej wspólnej rodziny. Wstawcie się za mną wszyscy, dopilnujcie; żeby nie pozbawiono mnie moich praw. Potem, kiedy Laintal Ay będzie pełnoletni, niech rządzi zamiast mnie. Wychowam go jak należy.

Spuściwszy głowę Laintal Ay rozglądał się wstydliwie po ludziach, czując ogień na policzkach. Złowił pełne współczucia spojrzenie Oyre, która pomachała mu ukradkiem. Wiele kobiet i mężczyzn zaczęło gardłować za Loilanun, lecz Nahkri przekrzyczał wszystkich. Odzyskał już pewność siebie.

– Kobieta nie będzie nikim rządziła, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia. Słyszał to kto? Loilanun, ty chyba zgłupiałaś do reszty, jak twoja matka, że ci coś takiego przyszło do głowy. Wszyscy wiemy, jakie spotkało cię nieszczęście, wiemy, jak zginął twój mężczyzna, i współczujemy ci, ale pleciesz bzdury.

Oczy zebranych jak na komendę obróciły się ku wymizerowanej i pokraśnionej twarzy Loilanun. Hardo nie spuściła wzroku.

– Czasy się zmieniają, Nahkri – powiedziała. – Głowy są równie potrzebne, jak pięści. Szczerze mówiąc, wielu z nas nie ufa tobie i temu twojemu durnemu bratu.

Liczne głosy poparły Loilanun, lecz jeden z łowców. Faralin Ferd, huknął gburowato:

– Mną ona nie będzie rządzić, nie będę słuchał baby. Wolę już znosić tych dwóch nicponiów.

Życzliwe śmiechy skwitowały jego słowa i Nahkri był górą. Przecisnąwszy się przez rozwiwatowany tłum, Loilanun umknęła popłakać sobie gdzieś na osobności. Laintal Ay szedł za nią jak na ścięcie. Żał mu było ubóstwianej matki, ale sam przyznawał w szlejach, że tylko kobieta niespełna rozumu może wpaść na pomysł rządzenia w Oldorando. Nikt nigdy o czymś takim nie słyszał, jak powiedział wuj Nahkri.

Kiedy przystanął na skraju tłumu, podeszła do niego kobieta imieniem Shay Tal i dotknęła jego rękawa. Ta młoda przyjaciółka matki miała delikatną cerę i bystre, jastrzębie oczy. Znał ową dziwną i życzliwą kobietę, gdyż czasami zachodziła ona do jego babki, roznosząc chleb.

– Pójdę z tobą pocieszyć twoją matkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekła Shay Tal. – Wiem, że wprawiała cię w zakłopotanie. ale ludzie często wprawiają nas w zakłopotanie, kiedy mówią ze szczerego serca. Podziwiam twoją matkę, tak jak podziwiałam twoich mądrych dziadków.

– Tak, ona jest dzielna. A mimo to ludzie się śmiali. Shay Tal spojrzała na niego badawczo.

– Mimo to ludzie się śmiali, tak. Ale wielu z tych prześmiewców zarazem ją podziwia. Oni się boją. Większość ludzi zawsze się czegoś boi. Nie zapominaj o tym. Musimy jakoś zmienić w nich ducha.

Laintal Ay kroczył przy niej z lekkim nagle sercem, roześmiany, zapatrzony w poważne oblicze swojej towarzyszki.

Los był łaskawy dla Nahkriego i Klilsa. Tej nocy dał z południa potężny wicher, niezmordowanie gwizdząc wśród wież niczym sam Świstek Czasu. Nazajutrz rybacy zameldowali o ławicach ryb w rzece. Kobiety wybrały się z koszami i naznosiły srebrzystych żywych wrzecion. Ich niespodziewane bogactwo uznano za dobry znak. Mnóstwo ryb zasolono, a i tak zostało dosyć na wieczorną ucztę, podczas której pito jęczmienne wino za nowe rządy Nahkriego i Klilsa.

Jednakże Klils za grosz nie miał rozsądku, a Nahkri mądrości. Co gorsza, obaj niewiele mieli serca dla swoich współplemieńców. Obaj w niczym nie przodowali na łowach. Często kłócili się ze sobą, gdy trzeba było coś postanowić. A ponieważ podświadomie zdawali sobie sprawę ze swoich wad, pili nad miarę, przez co kłócili się jeszcze bardziej. Ale szczęście ich nie opuszczało. Pogoda stale się poprawiała, co jakiś czas trafiali na większe stado jeleni, nie wybuchła też żadna zaraza. Napaści fagorów ustały, chociaż bywało, że widywano je nie dalej niż parę mil od miasta. W Oldorando zagościła nuda obfitości.

Panowanie braci nie wszystkim się podobało. Nie podobało się niektórym łowcom, nie podobało się kobietom i nie podobało się Laintalowi Ayowi.

Wśród łowców zawiązała się grupa młodzików, którą Nahkri usiłował rozbić wszelkimi sposobami. Przewodził jej Aoz Roon, już w kwiecie wieku męskiego. Wielki i potężny, o szczerzej twarzy, na swoich dwóch nogach potrafił biec tak szybko, jak knur na czterech. Wyróżniał się sylwetką; postać w futrze z czarnego niedźwiedzia widać było z daleka.

Z owym niedźwiedziem zmagał się i zabił go w pojedynkę. Dumny z wyczynu, przydzwigał ze wzgórz zwierzę na własnych plecach i cisnął przed pełnymi podziwu przyjaciółmi na podłogę wieży, którą z nimi dzielił. Po bełtelowej libacji wezwał mistrza Datnila, by ściągnął skórę.

Poniekąd wyróżnił się już Aoz Roon osiadając w owej wieży. Ród swój wywodził od wuja Walia Eina, który był lordem Brassimip Brassimipami zwano zarówno tereny, jak i rosnące tam rośliny o podstawowym znaczeniu dla miejscowej gospodarki, bowiem karmiono nimi lochy dające mleko na bełtel. Lecz Aoz Roon stwierdził, że rodzina go tyranizuje, wcześniej zbuntował się i w oddalonej wieży znalazł kąt dla siebie i dobranego grona rówieśników: wesołka Elina Tala, kochliwego Faralina Ferda, spokojnego Tantha Eina. Pili za głupotę Nahkriego i jego brata. Ich popijawy powszechnie uchodziły za niedoścignione. Także pod innymi względami Aoz Roon był niedościgniony. Słynął z odwagi w gromadzie, dla której odwaga była chlebem powszednim. Podczas plemiennych tańców potrafił wywinąć salto w powietrzu. Mocno też wierzył w jedność plemienia. I nawet nieślubna córka Oyre nie pozbawiła go uwielbienia kobiet. Wpadł w oko Shay Tal, przyjaciółce Loilanun, a i sam zapalił się do jej niezwykłej urody, ale serca nie oddał nikomu. Przewidywał, że pewnego pięknego dnia Nahkriemu i Klilsowi powinie się noga i że już się nie podniosą. Ponieważ rozumiał – czy też wydawało mu, się, że rozumie – czym jest dobro plemienia, sam pragnął rządzić i dlatego nie mógł pozwolić, aby jakakolwiek kobieta rządziła jego sercem. Z

myślą o przyszłości zjednywał sobie prawdziwą przyjaźń towarzyszy, jak również wziął pod swoje skrzydła Laintala Aya, namówiwszy go na wspólną wyprawę łowiecką, gdy tylko chłopak osiągnął zwyczajowy wiek łowcy.

Tropiąc jelenia na południowy wschód od Oldorando Aoz Roon i Laintal Ay zgubili resztę drużyny. Musieli kluczyć w trudnym terenie, naszpikowanym wielkimi bębami radżabab. Tam natknęli się na grupę dziesięciu pijanych jak bela kupców, leżących pokotem wokół ogniska z traw. Aoz Roon dwóch wyprawił na tamten świat, nie budząc reszty kompanii. Po czym z Laintalem-Ayem wyskoczyli na nich z wrzaskiem, zasłaniając twarze czaszkami zwierząt. Pozostała ósemka kupców poddała się i zabobonnej trwogi. Przez wiele lat opowiadano sobie w Oldorando tę historię jako przedni dowcip

Wymieniona ósemka handlowała bronią, zbożem, skórą oraz wszystkim, co wpadło im w ręce. Byli Borlieńczykami, którzy tradycyjnie uchodzili za nację tchórzów, a wędrowali znad południowych mórz do Quzint na północy. Prawie wszyscy byli znam w Oldorando jako oszuści i wydrwigrosze. Aoz Roon i Laintal Ay przywiedli ich, żeby służyli jako niewolnicy, zaś ich towary porozdawali.

Na swojego niewolnika Aoz Roon zatrzymał młodzieńca imieniem Kalary, niewiele starszego od Laintala Aya. Po tym wydarzeniu Aoz Roon cieszył się jeszcze większym mirem. Wkrótce osiągnął taką pozycję, że mógłby rzucić wyzwanie Nahknemu i Klilsowi, maskował się jednak swoim zwyczajem poprzestając na towarzystwie kamratów.

W cechach wyrobniczych narastał ferment. Głośny stał się przypadek młodzika imieniem Dathka, który usiłował wyzwolić się z cechu wyrobników metali, odmawiając długoletniego terminowania. Został doprowadzony przed braci. Nie zdołali złamać jego uporu Dathka zniknął ludziom z oczu. Po dwóch dniach pewna kobieta doniosła, że w nie używanej komórce leży w pętach, z sińcami na twarzy Wówczas Aoz Roon wybrał się do Nahknego z prośbą, ażeby pozwolono Dathce przejść do łowców. Rzekł.

– Łowcy nie mają lekkiego życia. Zwierzyny wciąż nie brakuje, ale przez kaprysy pogody w ciągu ostatnich paru lat zmieniła swoje pastwiska. Musimy się dobrze za nią nabiegać, mech więc dołączy do nas, skoro takie jest pragnienie chłopaka. Czemu me? Jeśli będzie do niczego, wyrzucimy go i wrócimy do sprawy. Jest mniej więcej w wieku Laintala Aya, mogą tworzyć parę.

W półmroku, gdzie stał Nahkn, nadzorowani przez niego niewolnicy doili lochy na bełtel. W powietrzu unosił się kurz. Nahkn stał nieco pochylony, gdyż strop był niski. Jak gdyby kulił się przed żądaniem Aoza Roona.

– Dathka winien przestrzegać praw – powiedział Nahkn, urażony niepotrzebnym wspomnieniem Laintala Aya.

– Pozwól mu polować, to będzie przestrzegał praw. Zapracuje na swoje utrzymanie, nim zdąży wygoić ślady, którymi naznaczyłeś mu gębę.

Nahkn splunął.

– Nie był uczony na łowcę. To wyrobnik. Wszystkiego trzeba się uczyć

Nahkn obawiał się, żeby nie wyszły na jaw jakieś sekrety wyrobników metali; cechy pilnie strzegły tajemnic swego kunsztu, umacniając tym samym potęgę władcy.

– Skoro nie chce pracować, niech posmakuje naszego twardego życia; zobaczymy, czy je wytrzyma – nie ustępował Aoz Roon.

– To gburowaty milczek.

– Milczenie jest zaletą na szlaku.

W końcu Nahkri wypuścił Dathkę. Jak zapowiedział Aoz Roon, Dathka chodził w parze z

Laintalem Ayem. Rozkochany w łowieckim rzemiośle opanował je po mistrzowsku. I choć pozostał milczkiem, Laintal Ay traktował go jak brata. Nie było między nimi ani milimetra różnicy wzrostu i nie więcej niż rok różnicy wieku. Tylko że Laintal Ay miał twarz szeroką i wesołą, a Dathka pociągłą i spojrzenie stale utkwione w ziemi. O wyczynach tej pary na łowieckim szlaku zaczęły krążyć legendy. A ponieważ tak wiele przebywali razem, stare baby gadały, że pewnego dnia spotka ich ten sam los – jak to kiedyś przepowiadano Dresylowi i Małemu Juliemu. Historia lubi się powtarzać: losy dwóch nowych przyjaciół potoczyły się zupełnie inaczej. Oni tylko pozornie byli do siebie podobni w wiośnie swego życia.

Dathka poczynił tak wielkie postępy, że aż próżny Nahkri z dumą przyznawał się do chłopaka niczym jego opiekun i napomykał czasami, jakiego to miał nosa zwalniając młodzika z cechowego terminu. W obecności Nahkriego Dathka milczał i patrzył w ziemię, i zawsze pamiętał, kto go pobił. Niektórzy ludzie nigdy nie zapominają.

Loila Bry zmieniła się nie do poznania po śmierci ukochanego mężczyzny. I jak poprzednio nie opuszczała swej wonnej komnaty, tak teraz chętnie błędziła po dzikich polach kielkującej zieleni wokół Oldorando, gadając sama do siebie lub podśpiewując. Wiele osób obawiało się o nią, ale nikt nie śmiał do niej przystąpić, poza Laintalem Ayem i Shay Tal.

Pewnego razu zaatakował ją niedźwiedź, wypłoszony z gór niedawnymi lawinami. Poturbowaną, wlokącą się ostatkiem sił, zwietrzyły dzikie psy, zagryzły i w połowie zeżarły. Kobiety znalazły rozwłócone szczątki, pozbierały je i z płaczem poniosły do domu. Po czym szaloną Loilę Bry pogrzebano zgodnie z obyczajem.

Wiele kobiet ją opłakiwało, chyląc czoło przed samotnością tej zrodzonej w porze śniegów istoty, która wśród współplemieńców potrafiła żyć swoim własnym życiem. Niezdolne udźwignąć tak bezmiernej samotności kobiety, jak gdyby przeżywały ją za pośrednictwem tej wielkiej samotniczki, ku pokrzepieniu swych serc. n?

Wszyscy poważali uczoność Loily Bry. Ostatni hołd swej wiekowej ciotce przyszli złożyć Nahkri i Klils, aczkolwiek nie zawracali sobie głowy ściąganiem na jej pogrzeb ojca Bondorlonganona. Przystanęli na uboczu tłumu żałobników, poszeptując między sobą. Shay Tal i Laintal Ay podtrzymywali na duchu Loilanun, która bez jednej łzy bez słowa patrzyła, jak spuszczano jej matkę do grząskiej ziemi. Odchodząc już po wszystkim z tego miejsca, Shay Tal usłyszała chichot Klilsa i jego skierowane do brata słowa:

– Jednakowoż, braciszku, baba to tylko baba...

Shay Tal zaczerwieniła się, potknęła i chybaby upadła, gdyby Laintal Ay nie objął jej wpół. Poszła prosto do pełnej przeciągów izby, w której mieszkała ze starą matką, i przyłożyła czoło do ściany.

Była kobietą dobrze zbudowaną, chociaż nie miała figury – jak to mówią – do rodzenia. Miała za to inne wdzięki kobiece: wspaniałe czarne włosy, delikatne rysy i nosiła się jak wielka pani. Swoją dumną postawą przyciągała niektórych mężczyzn, lecz jeszcze skuteczniej studziła ich zapalę. Shay Tal odrzuciła zaloty swego wesołego krewniaka Elina Tala. Dała mu kosza dostatecznie dawno temu, aby zauważyć już brak innych wielbicieli – z wyjątkiem Aoza Roona. Swej hardej duszy nie potrafiła jednak ukorzyć nawet przed nim.

Stojąc teraz pod wilgotnym murem, który siwe porosty okleiły zwidami kwiatów, postanowiła wziąć przykład z niezależności Loily Bry. Ona, Shay Tal, nie będzie „tylko babą”, obojętne, co powiedzą nad jej grobem.

Codziennie skoro świt kobiety zbierały się w tak zwanym domu kobiet, będącym swego rodzaju

manufakturą. Z chyłających się ku ruinie wież wymykały się z pierwszym brzaskiem opatulone w futra postacie, często zakutane dodatkowo w koce dla ochrony przed zimnem, i brnęły do miejsca pracy.

Wypełniała owe poranki mżysta mgła, widmami wież podzielona na uliczki. Ociężałe białe ptaki przemykały w niej niczym obłoki. Kamienie ociekały wilgocią, spod nóg wypływało błoto. Dom kobiet stał na końcu głównej ulicy, w sąsiedztwie Wielkiej Wieży. Trochę dalej za nim, u stóp pochyłości, przy zniszczonym kamiennym nabrzeżu płynął Voral. Podążającym do pracy kobietom wychodziły na spotkanie gęsi – ptactwo Embruddocku – gęganiem i ksykaniem domagając się pokarmu. Kobiety rzucały im okruchy.

W domu, za ciężkimi wrotami, które skrzypiały przy zamykaniu, kobiety oddawały się swym odwiecznym zajęciom: meły ziarno na mąkę, gotowały i piekły, szyły odzież i buty, garbowały skóry. Roboty garbarskie były szczególnie skomplikowane i nadzorował je mężczyzna Datnil Skar, mistrz cechu garbarzy i białoskórników. Proces garbowania wymagał soli, toteż garbarze tradycyjnie mieli sól w swej pieczy. Wymagał również moczenia skór w gęsim łajnie, czynności zbyt poniżającej dla mężczyzn. Mozolną harówkę ożywiały plotki matek i córek, omawiających przywary mężów i sąsiadów.

Loilanun musiała podjąć tu pracę z innymi kobietami. Bardzo schudła, a jej twarz nabrała żółtawej barwy. Nienawiść do Nahkriego i Klilsa zżerała ją od środka tak bardzo, że niemal przestała się odzywać, nawet do Laintala Aya, który chadzał teraz własnymi drogami. Przyjaźniła się jedynie z Shay Tal. W Shay Tal było coś nie z tego świata i jej duch był daleki od tępej rezygnacji dominującej w charakterze embruddowianek.

Pewnego mroźnego świtu Shay Tal ledwie zdążyła podnieść się z łóżka, gdy z dołu doleciało ją stukanie w drzwi. Do wieży przenikały mgliste opary, osiadając paciorkami wody na ścianach i sprzętach izby, w której sypiała razem z matką. Siedząc w usianej perlami ciemności wciągała buty, gdy stukanie się powtórzyło.

Na dole Loilanun pchnęła drzwi i przez stajnię i izbę ponad stajnią podreptała do sypialni Shay Tal. W mroku szurały i pochrząkiwały niespokojnie domowe śwynie i trzeszczały schody, którymi szła po omacku. Shay Tal podniosła się na spotkanie Loilanun i w progu uścisnęła jej zimną dłoń. Nakazała gestem ciszę, wskazując najciemniejszy kąt, gdzie spała matka. Ojciec był na łowach. W zalatującym gnojem pomieszczeniu widziały tylko swoje szare sylwetki, lecz Shay Tal dostrzegła, że Loilanun ugina się pod brzemieniem jakiegoś nieszczęścia. Jej niespodziewane najście nie wróżyło nic dobrego.

– Chora jesteś, Loilanun? – wyszeptwała.

– Zmęczona, po prostu „zmęczona. Shay Tal. przez całą noc rozmawiałam z mamcią mojej matki.

– Rozmawiałaś z Loila Bry! Ona już tam jest... Co powiedziała?

– Oni wszyscy tam są, nawet teraz, tysiące ich, pod naszymi stopami, czekają na nas... Na samą myśl o nich ogarnia mnie strach.

Loilanun dygotała. Shay Tal objęła starszą przyjaciółkę ramieniem i zaprowadziła do posłania na podłodze, gdzie usiadły przytulone. Na dworze gęgały gęsi. Dwie kobiety spragnione pociechy zwróciły ku sobie twarze.

– Nie pierwszy raz od jej śmierci byłam w pauk – powiedziała Loilanun. – Przedtem nigdy jej nie odnalazłam... tylko pustkę tam w dole, gdzie powinna być... zupełną pustkę... Mamunka babki zawodziła, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jest bardzo samotna tam w dole...

– A gdzie Laintal Ay?

– Och, na polowaniu – odparła zdawkowo, wracając natychmiast do swej historii. – Tyle ich

jest, tyle ich się snuje, ale mam wrażenie, że się do siebie nie odzywają. Dlaczego umarli mieliby się nienawidzić, Shay Tal? My się nie nienawidzimy... prawda?

– Jesteś zdenerwowana. Chodź, pójdziemy do roboty i zjemy coś.

W sączącej się do środka szarówce rysy Loilanun przypominały twarz Loily Bry.

– Może nie mają sobie nic do powiedzenia. Zawsze tak rozpaczliwie chcą rozmawiać z żywymi. Tak jak moja biedna matka.

Zaczęła płakać. Shay Tal objęła ją zerkając na swoją uśpioną matkę, czy jej nie zbudziły.

– Musimy iść, Loilanun. Spóźnimy się.

– Matka uległa wielkiej przemianie, strasznej przemianie, biedna zjawa. Zniknął cały ten cudowny majestat, jaki miała w sobie za życia. Ona zaczęła... zaczęła się kurczyć. Och, Shay Tal, strach pomyśleć, jak tam jest i że jest się tam na zawsze...

Tę ostatnią uwagę wyrzuciła z siebie na cały głos. Matka Shay Tal przekręciła się na drugi bok i chrząknęła. Na dole chrząkały świny. Zagwizdał Świstek Czasu. Sygnał dla kobiet, że już czas do pracy. Ramię przy ramieniu zlazły po schodach. Shay Tal uspokoiła świny, wołając na nie cichutko po imieniu. Powietrze było mroźne i szron osypywał się z desek pod ich palcami, gdy razem napały na drzwi, żeby je domknąć. W szarościach i w śryżu wczesnego poranka ku swemu domowi brnęły inne kobiety jak zjawy bez rąk, którymi przytrzymywały na sobie koce. Podążając wśród anonimowych postaci Loilanun odezwała się do swej towarzyszki:

– Mamica Loily Bry mówiła mi o swej długotrwałej miłości do mojego ojca. Mówiła o mężczyznach i kobietach, i ich wzajemnych stosunkach, mówiła wiele rzeczy, których nie rozumiem. Mówiła okrutne rzeczy o moim mężczyźnie, już umarłym.

– Nigdy z nim nie rozmawiałaś?

Loilanun pominęła to pytanie.

– Matka prawie mi nie dawała dojść do słowa. Jak umarli mogą się tak zacietrzewiać? Czy to nie straszne? Ona mnie nienawidzi. Wszystko prócz zacietrzewienia przemija, jak choroba. Mówiła, że mężczyzna i kobieta razem tworzą jedną osobę... nie rozumiem. Powiedziałam jej, że nie rozumiem. Musiałam jej zamknąć usta.

– Kazałaś mamicy matki zamknąć usta?

– Nie rób takiej przerażonej miny. Mój chłop mnie bijał. Bałam się go...

Zamilkła zdyszana.

Z ulgą dobiły do ciepłego domu. Garbarski dół namokowy buchał parą. We wnękach grube świece, wytapiane z gęsiego łoju. płonęły trzeszcząc jak skóra odzierana z sierści. Tutaj ziewało i drapało się dwadzieścia kilka zebranych kobiet.

Shay Tal i Loilanun. zanim zabrały się do swych kamieni żarnowych, wzięły sobie po kawale chleba i porcji bełteli. czyli świńskiego rozumu. Wyraźniej teraz widoczna twarz starszej kobiety była śmiertelnie blada, oczy zapadnięte, włosy zmierzwiłone.

– Czy mamica powiedziała coś pożytecznego? Coś poradziła? Czy mówiła coś o Laintalu Ayu?

– Mówiła o wiedzy, że musimy ją gromadzić. I szanować. Drwiła ze mnie – ciągnęła Loilanun z ustami pełnymi chleba. – Powiedziała, że wiedza jest ważniejsza niż jedzenie. Otóż ona twierdzi, że wiedza sama jest jedzeniem. Pewnie jej się poplątało, odwykła tam w dole od wszystkiego. Trudno zrozumieć, co one tam mówią...

Na widok nadzorcy przeniosły się do żaren. Shay Ta! spojrzała z ukosa na przyjaciółkę, której doły pod oczami wypełniło szare światło ze wschodniego okna.

– Wiedza nie może być jedzeniem. Choćbyśmy nie wiem ile wiedziały, nadal musiałybyśmy mleć ziarno dla ludzi.

– Matka za życia pokazała mi rysunek machiny, którą porusza wiatr. Machina męła ziarno, a kobiety nie kiwnęły nawet palcem, tak powiedziała. Pracował za nie wiatr.

– Dla mężczyzn to bez różnicy – roześmiała się Shay Tal.

Wbrew rozsądkowi Shay Tal utwierdziła się w swoim postanowieniu, zostając najbardziej wśród kobiet nieprzejednanym wrogiem wszystkiego, co bezmyślnie przyjmowano na wiarę. Pracowała w warzelnii. Tam mąkę zagniecioną z dodatkiem smalcu i soli warzono w parze nad rynnami rwącej wody z gorących podziemnych źródeł. Po ostudzeniu ciemnobrunatne chleby zabierała smukła dziewczyna imieniem Vry, rozdzielając je pomiędzy mieszkańców Oldorando. Shay Tal słynęła z mistrzowskiego wypieku chleba i jej bochenki uchodziły za smaczniejsze od innych. Obecnie uwagę Shay Tal bardziej zaprzętały tajemnice świata niż wypieku chleba. Codzienna praca już jej nie zadowalała, i widać było, że coraz bardziej ucieka od codzienności.

Gdy Loilanun zapadła na wyniszczającą chorobę, Shay Tal wzięła ją z Laintalem Ayem do swego domu, pomimo sprzeciwu ojca, i cierpliwie doglądała przyjaciółki. Rozmawiały godzinami. Laintal Ay przysłuchiwał się od czasu do czasu i najczęściej znudzony wychodził.

Shay Tal zaczęła zarażać swoimi ideami kobiety z warzelnii, zwłaszcza Vry, młodziutką i chętną. Mówiła o ludzkiej skłonności do przedkładania prawdy nad kłamstwo i światła nad ciemność. Kobiety słuchały, poszeptując z zakłopotaniem. I nie tylko kobiety słuchały. Od odzianej w czarne futro Shay Tal bił majestat odczuwany również przez mężczyzn – między innymi przez Laintal Aya. Jej dumna postawa szła w parze z dumną mową. I wygląd, i mowa pociągały Aoza Roona. Przysłuchiwał się i spierał. Budził w Shay Tal ducha kokieterii, którą reagowała na jego pewność siebie. Podobało jej się to, że poparł Dathkę przeciwko Nahkriemu, co duchowo zbliżyło ich do siebie. Ale nie godziła się na zbliżenie cielesne, bowiem co ciało lubi, to ducha gubi.

Tydzień za tygodniem potężne wichury ryczały nad wieżami Embruddocku. Głos Loilanun słabł coraz bardziej, aż pewnego popołudnia pożegnała się z życiem. Podczas choroby zdążyła przekazać Shay Tal i przesiadującym u jej łoża kobietom część wiedzy, Loily Bry. Sprawiała, że przeszłość stała się dla nich jak jawa, zaś każde jej słowo zapadało w mroczną wyobraźnię Shay Tal. Gasnąca Loilanun pomogła Shay Tal założyć tak zwaną akademię.

Akademia przeznaczona była dla kobiet, które miały w niej wspólnie walczyć o odmianę samych siebie i swego losu, które nie chciały być tylko popychadłami. Tymczasem popychadła obsiadły gromadą łoża śmierci Loilanun, tak lamentując, aż wytracona tym z równowagi Shay Tal wyrzuciła je za drzwi.

– Możemy obserwować gwiazdy – powiedziała Vry, podnosząc swoją twarzą bezdomnego dziecka. – Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak też one wędrują po ustalonych szlakach? Chciałabym lepiej zrozumieć gwiazdy.

– Rzeczy wartościowe pogrzebane są w przeszłości – rzekła Shay Tal, nie odrywając oczu od rysów swojej zmarłej przyjaciółki. – Nasz świat zwiódł Loilanun i nas zwodzi. Czekają na nas mamice. Jakże ograniczone jest nasze życie! Musimy stworzyć lepszych ludzi, tak samo jak musimy wypiekać lepszy chleb.

Zerwała się i pchnęła wysłużoną okiennicę na oścież. Byстрыm umysłem pojęła od razu, że akademia nie zyska zaufania mężczyzn Embruddocku, zwłaszcza Nahkriego i Klilsa. Poprze ją tylko żółtodziób Laintal Ay, chociaż miała nadzieję przeciągnąć na swoją stronę Aoza Roona i Elina Tala. Pojęła, że będzie musiała walczyć o swoją akademię i że walka jest konieczna, aby tchnąć we wszystko nowego ducha. Wypowie wojnę powszechnej apatii; nadszedł czas postępu.

Shay Tal działała pod wpływem natchnienia. Na pogrzebie swej nieszczęsnej przyjaciółki,

stojąc z dłonią na ramieniu Laintala Aya, napotkała spojrzenie Aoza Roona. Dała się porwać słowom. Zabrzmiały gwałtownie i głośno pośród gejzerów.

– Tę kobietę życie zmusiło do niezależności. Wiedza dała jej siłę. Nie wszystkie jesteśmy niewolnicami, które można posiadać na własność. Marzy nam się coś lepszego. Oto co wam powiadam: świat się zmienia.

Gapili się na nią uradowani tak niecodziennym wybuchem.

– Warn się zdaje, że żyjemy pośrodku wszechświata. Ja powiadam, że żyjemy pośrodku podwórza. Upadliśmy tak nisko, że niżej już nie można. To wam powiadam. Jakaś katastrofa zdarzyła się w przeszłości, zamierzchłej przeszłości. Katastrofa tak doszczętna, że teraz nikt wam nie powie, ani co to było, ani jak do tego doszło. Wiemy tylko, że nastąpiły, po niej długotrwałe ciemności i zimno. Staracie się żyć jak najlepiej. Dobrze, bardzo dobrze, życie dobrze, kochajcie się, bądźcie dobrzy. Ale nie łudźcie się, że katastrofa nie ma z wami nic wspólnego. Wprawdzie zdarzyła się dawno temu, ale zatruwa każdy dzień naszego życia. Ona nas postarza, niszczy, zżera, odbiera nam nasze dzieci, jak odebrała Loilanun. Nie tylko utrzymuje nas w niewiedzy, ale w niewiedzy nas rozkochuje. Jesteśmy zarażeni niewiedzą.

Chcę zaproponować wyprawę po skarb – krucjatę, jeśli wolicie. Krucjatę, w której każdy z nas może wziąć udział. Chcę, abyście uświadomili sobie nasz upadek i nieustannie poszukiwali klucza do jego istoty. Musimy złożyć obraz tego, co zaszło i sprowadziło nas na to zimne podwórze; wówczas poprawimy naszą dolę i dopilnujemy, żeby katastrofa nie spotkała ponownie nas i naszych dzieci. Oto skarb, jaki wam ofiarowuję. Wiedza. Prawda. Boicie się jej, zgoda. Ale musicie jej szukać. Musicie ją pokochać. Musicie dążyć ku światłu!

Jako dzieci Oyre i Laintal Ay często robili wypadki za obwałowania. W bezludnej okolicy spotykali kamienne słupy, stygmaty dawnych traktów, grzędy zajęte przez wielkie ptaszyska pilnujące swoich rewirów. Dzieciaki buszowały wśród pustych ruin, czerepów domostw, kręgosłupów wiekowych murów, którym mróz skruszył baszty bramne, a czas ponadgryzał resztę. Mało je to wszystko obchodziło. Dziecięcy śmiech dzwonił echem wśród tych opuszczonych szkieletów.

Dziś i w śmiechu, i w eskapadach wyczuwało się skrępowanie. Laintal Ay osiągnął wiek męski; pił rytualną krew i został pasowany na łowcę. Oyre stała się kapryśna, a jej kroki bardziej rozhuśtane.

Stracili serce do zabawy, dawne gry poszły w zapomnienie, jak ruiny, w których grasowali. Pakt niewinności między nimi wygasł ostatecznie, gdy przed jedną z wycieczek Oyre uparła się, żeby towarzyszył im niewolnik ojca, Kalary. Taki miała początek ich ostatnia wspólna wyprawa, choć żadne nie zdawało sobie wówczas z tego sprawy; bawili się w poszukiwanie skarbu, jak dawniej.

Wyszli na stertę gruzów, w której zaginął wszelki ślad po drewnie. Liście brassimip sterczały spośród szczątków pomnika dawnej fachowej murarki, obróconej w kupę gliny. Kiedyś założyli tu swój warowny zamek; jako załoga odpierali szturm za szturmem fagorzyczych zastępów, radośnie naśladując odgłosy wymyślonej bitwy.

Laintala Aya bez reszty zaprzętała panorama bardziej niepokojąca, jaka otwierała się w jego umyśle. W owej panoramie, trochę jak w chmurze, a trochę jak w orędziu Shay Tal czy może starożytnej, rytej gdzieś w skale deklaracji, on i Oyre, i ich osowiały niewolnik, i Oldorando, a nawet fagory i nieznanne istoty zamieszkujące dzikie krainy – wszystko to wirowało w jakimś wielkim tyglu... tylko że dalej światło jego rozumu nie sięgało, pozostawiając go na krawędzi otchłani, groźnej i pięknej zarazem.

Stał na kupie gruzów i patrzył w dół na Oyre. Zgięta we dwoje myszkowała niżej, szukając nie

wiadomo czego u stóp rumowiska.

– Czy to możliwe, że było tu kiedyś wielkie miasto? Czy jacyś ludzie odbudują je kiedyś w przyszłości? Ludzie podobni do nas, lecz opływający w bogactwa?

Nie uzyskawszy odpowiedzi przykucnął na murze i gapiąc się na plecy dziewczyny w dole zasypał ją dalszymi pytaniami.

– Co ci wszyscy ludzie jedli? Myślisz, że Shay Tal wie o takich rzeczach? Czy tutaj ukryty jest jej skarb?

Cała w futrze, pochylona, Oyre była z góry bardziej podobna do zwierzaka niż do dziewczyny. Zupełnie nie zwracając na niego uwagi, szperała w jamie między kamieniami.

– Kapłan borlieński twierdzi, że Borlien zajmowało ongiś ogromny obszar całego Oldorando, dalej niż jastrząb doleci. – Potoczył bystrym spojrzeniem po okolicy, mrocznej pod grubą warstwą chmur. – Bzdura.

Pewnie w przeciwieństwie do Oyre wiedział, że jastrzębie terytorium jest jeszcze bardziej ograniczone niż terytorium ludzi. Apel Shay Tal skierował jego uwagę ku innym ograniczeniom w życiu, nad którymi dumal teraz bezowocnie, patrząc spode łba na postać w dole. Zły podświadomie na Oyre pragnął dotrzeć do niej w jakiś sposób, znaleźć język wyrażający to, co kryje się w milczeniu.

– Chodź, zobacz, co znalazłam, Laintalu Ayu!

Zadarła ku niemu śniadą, rozradowaną twarz. Ostatnio jej rysy wypiękniały po kobiecemu. Cała złość go opuściła i zjechał po pochyłości muru do dziewczyny. Wyciągnięte z nory malutkie nagie zwierzątko rozpaczliwie wyrywało się jej z rąk, wykrzywiając z przerażenia różowy, szczurkowaty pyszczek.

Pochyleni nad tym noworodkiem świata, muskali się włosami. Laintal Ay ujął jej dłonie w swoje i palce ich splotły się na wierzgającej istocie. Podniósłszy wzrok zajrzała mu w oczy, uśmiechając się leciutko rozchylonymi wargami. Objął ją wpół.

Lecz stał przy nich niewolnik z wypisanym na twarzy ponurym zrozumieniem iskry, jaka roznieciła nowy żar w ich żyłach. Oyre odstaąpiła na krok, po czym bez ceregieli wcisnęła małego gryzonia z powrotem do nory. Nachmurzone spojrzenie utkwiała w ziemi.

– Twoja ukochana Shay Tal nie wie wszystkiego. Ojciec powiedział mi w sekrecie, że jego zdaniem to skończona wariatka. Chodźmy już do domu.

Przez jakiś czas Laintal Ay mieszkał u Shay Tal. Śmierć rodziców i dziadków przecięła nić jego dzieciństwa, jednak obaj z Dathką byli już łowcami całą gębą. Wydziedziczony przez wujów, postanowił dowieść, że im dorównuje. Wyrósł i wydorósł wcześniej, wciąż z tą samą dziecinną radością na obliczu. Miał wydatną szczękę, wyraziste rysy. Wkrótce jego siła i szybkość zaczęły zwracać powszechną uwagę. Śmiały się do niego oczy wielu dziewcząt, lecz on widział tylko córkę Aoza Roona. Mimo że cieszył się ogólną sympatią, miał w sobie coś, co trzymało ludzi na dystans. Wziął sobie do serca śmiałe słowa Shay Tal. Niektórzy mówili, że zanadto przejął się pochodzeniem od Wielkiego Juliego. Był samotny w największej kompanii. Jedyńm jego przyjacielem został awansowany z brata cechowego na łowcę Dathką Den, a Dathką nawet do Laintala Aya rzadko otwierał usta. Jak ktoś słusznie zauważył: jeśli nikogo nie ma, to znaczy, że jest tylko Dathką.

Niebawem Laintal Ay zamieszkał z paroma kompanami w Wielkiej Wieży, nad izbą Nahkriego i Klilsa. Tam po wielokroć słuchał dawnych opowieści i nauczył się śpiewać stare pieśni łowieckie. Lecz najchętniej brał prowiant i śnieżne rakiety i włóczył s ę po miejscami zielonej już okolicy. W tych wyprawach nie szukał towarzystwa Oyre.

Nikt poza nim nie wyruszał wówczas w teren samopas. Łowcy polowali razem, świniarze i gęsiarze mieli stałe ścieżki w pobliżu osady, przy brassimipach też pracowano w grupach. Niebezpieczeństwo i śmierć zbyt często towarzyszyły samotnikom. Laintal Ay zyskał opinię dziwaka, jego reputacja jednak nie ucierpiała, gdyż znacznie powiększył kolekcję czaszek zwierzęcych na palisadach Oldorando.

Wyły wichury. Laintal Ay zapuszczał się daleko, nie bacząc na wrogość przyrody. Zapuszczał się w dziewicze doliny i w rumowiska prastarych miast, z dawien dawna opuszczonych przez mieszkańców, którzy zostawili swe siedziby wilkom i niepogodom.

W porze święta Zachodu Obojga Słońc zyskał sobie sławę nie lada wyczynem, bo pobiciem i pojmaniem, wespół z Aozem Roonem, borlieńskich kupców. Przemierzając w pojedynkę wzgórze na północny wschód od Oldorando, wpadł w głębokim śniegu do leja, który nagle otworzył mu się pod stopami. Na dnie leja warował kołatek, stęskniony za kolejnym posiłkiem. Kołatki do złudzenia przypominają zawałone drewniane szopy, naprędce pokryte strzechą. Jako niezwykle powolne posilają się rzadko, za to osiągają ogromne długości i niewielu mają wrogów poza człowiekiem. Ze zwiniętego na dnie swej jamy kołatka Laintal Ay dojrzał jedynie asymetrycznie rogaty łeb, rozdziawioną gębę i zębiska jak drewniane kołki. Wyrwał spomiędzy nich nogę i poturlał się na bok. W krępującym ruchy kopnym śniegu wznosił oszczep i wepchnął drzewce głęboko pomiędzy zawiasy paszczęki. Rytmiczne wymachy łba były powolne, lecz potężne. Kołatek ponownie obalił Laintala Aya, nie mógł jednak zewrzeć pyska. Umknąwszy spod ostrych rogów Laintal Ay wskoczył na kark stworzenia, chwytając się kęp sztywnej szczeciny, które wyrastały ze spoin ośmiobocznych płyt pancerza. Wyciągnął zza pasa nóż.

Uwieszony szczeciny jedną ręką zaczął odrzynać włókniste zaczepy najbliższej płyty. Kołatek wrzasnął z wściekłości. Jemu również zawadzał śnieg i nie mógł się przeturlać tak, żeby zmiażdżyć napastnika. Laintal Ay oderwał jakoś płytę z jego karku. Była łupliwa jak drewno. Wepchnął ją zwierzakowi w gardło, po czym przystąpił do odrzynania niezgrabnej głowy. Wreszcie odpadła. Miast krwi popłynęła wodnista, biaława posoka. Ten osobnik miał dwie pary oczu – w przeciwieństwie do poprzedniego gatunku z jedną parą. Dwoje oczu w czaszce patrzyło w przód, dwoje pozostałych, osadzonych w podobnych do rogów wyrostkach z tyłu czaszki, patrzyło wstecz. Wszystkie te ślepia potoczyły się w śnieg, skąd nie przestały nadal łpać z niedowierzaniem. Pozbawiony łba tułów w najwyższym pośpiechu zakopywał się w zaspę. Laintal Ay podążał za nim przez zwały śniegu, aż razem wynurzyli się na światło dnia.

Kołatek miał przysłowiowo twardy żywot. Jeszcze długo będzie tak wędrować i wędrować, nim rozleci się w kawałki. Laintal Ay wydał okrzyk radości. Dobywszy krzesiwa, wskoczył po raz drugi na kark stworzenia i podpalił szczecinę, która zapłonęła z gwałtownym skwierczeniem. Śmierzący dym poszybował w niebiosa. Przypiekając zwierzakowi to jeden, to drugi bok na przemian. Laintal Ay mógł nim jako tako sterować. Bezgłowy stwór tyłem sunął do Oldorando.

Z wysokich wież zagrały rogi. Pojawiły się opary gejzerów. Zamajaczyła palisada, obwieszczona pomalowanymi jaskrawo czaszkami. Kobiety i łowcy wybiegli na powitanie. Laintal Ay pomachał im futrzaną czapką. Rozsiadłszy się na rozpalonym końcu gorejącej drewnianej gąsienicy, triumfalnie przejechał na niej rakiem uliczkami Embruddocku. Śmiechu było co niemiara. Ale musiało minąć parę dni, nim z izb położonych przy trasie jego wjazdu wywietrzał smród. Nie dopalone szczątki kołatka Laintala Aya zostały zużyte podczas obchodów Zachodu Obojga Słońc. Nawet niewolnicy świętowali to wydarzenie – jednego z nich złożono Wutrze w ofierze.

Zachód Obojga Słońc w Oldorando przypadał na dzień Nowego Roku. Miał to być wedle nowego kalendarza rok 21 i nie zaniedbano uroczystej ceremonii. Na przekór wszystkim przeciwnym

siłom natury życie nie było złe, więc należało je okupić złożeniem ofiar. Od tygodni Bataliksa doganiała na niebie powolniejszego współstrażnika. W środku zimy trzymały się już razem, a dni i noce były równej długości, bez dzielącego je półdnia.

– Dlaczego słońca chadzą w ten sposób? – spytała Vry.

– Zawsze chadzały w ten sposób – odparła Shay Tal.

– Pani nie odpowiada na moje pytanie – rzekła Vry.

Z podnieceniem oczekiwano święta Zachodu, bowiem biesiadę poprzedzić miało złożenie ofiary. Przedtem wokół wielkiego ogniska na placu odbyły się tańce, do których przygrywały bębenki, piszczałki i horn – ten ostatni instrument według niektórych wynalazł sam Wielki Juli. Tancerzom podano bełtel, po czym wszyscy, od potu mokrzy i lśniący na twarzach, przenieśli się za palisadę.

Kamień ofiarny leżał pod wschodnią ścianą starej piramidy. Zebrali się wokół niego, zachowując nakazaną szacunkiem odległość, czego pilnował jeden z cechmistrzów. Niewolnicy wcześniej ciągnęli losy. Zaszczytu bycia ofiarą dostąpił Kalary, młody niewolnik rodem z Borlien, należący do Aoza Roona. Ze spętanymi z tyłu rękami przyprowadzono go na czele podekscytowanego tłumu.

Powietrze zastygło w zimnym bezruchu. Nad głowami ludzi wisiały szare pasma chmur. Na zachodzie para strażników opadała ku horyzontowi. Ludzie trzymali pochodnie ze skorupy kołatka. Laintal Ay ze swym milczącym przyjacielem Dathką trzymał się boku Aoza Roona, ponieważ u boku Aoza Roona była jego piękna córka.

– Chyba żałujesz, że musisz stracić Kalarego, Aozie Roonie – powiedział Laintal Ay, robiąc przy tym słodkie oczy do Oyre. Aoz Roon klepnął go w ramię.

– Ja nigdy niczego nie żałuję, taką już mam zasadę. Żal zabija łowcę, jak zabił Dresyla. W przyszłym roku nałapiemy niewolników do woli. Co tam Kalary.

Nie pierwszy raz Laintal Ay nie wierzył w szczerłość starego przyjaciela. Aoz Roon zerknął na Elina Tala i obaj wybuchnęli śmiechem, chuchając oparami bełtelu. Wszyscy przepychali się naprzód i weselili, oprócz jednego Kalarego. Korzystając z tłoku Laintal Ay złapał Oyre za rękę i uściskał. Odwzajemniła się uściskiem i uśmiechem, nie mając śmiałości spojrzeć mu w oczy. Rozpierała go radość. Życie naprawdę jest piękne. Nie przestać szczerzyć zębów, mimo że ceremonia róż – poczęła się nie na żarty. Wkrótce Freyr i Bataliksa jednocześnie odejdą z królestwa Wutry i niczym mamik z mamicią zatoną w ziemi. Nazajutrz wzejdą razem, o ile ofiara zostanie przyjęta, i przez jakiś czas razem będą paradować po niebie, razem świecić, noc ustąpiwszy ciemnościom. Z wiosną ponownie się rozejdą i Bataliksa rozpocznie półdzień.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że pogoda jest łagodniejsza. Gęsi były tłustsze. Mimo to nabożna cisza ogarnęła zwrócony ku zachodowi tłum, kiedy cienie się wydłużyły. Para strażników odchodziła z królestwa światłości. Choroby i złe siły tylko na to czekały. Trzeba było złożyć jakieś życie w ofierze, aby strażnicy nie odeszli na zawsze. W miarę jak wydłużały się dwoiste cienie, tłum coraz bardziej nieruchomiał, przestępując z nogi na nogę, niczym ogromna bestia. Prysnał wesóły nastrój. Zniknęły twarze w dymie uniesionych pochodni. Cienie rozrosły się. Scenę okryła szarość, której już nie mogły rozproszyć pochodnie. Ludzi połączył wieczór i zbiorowa psychoza.

Starsi rady, siwi i przygarbieni, wystąpili w szeregu i wielkimi acz trzęsącymi się głosami zaintonowali modły. Czterech niewolników doprowadziło Kalarego. Potykał się wśród nich idąc ze zwieszoną głową; po brodzie ciekła mu ślina. Stado ptaków skręciło nad nimi szumiąc skrzydłami, jakby szła ulewa, i rozpląnęło się w złocie zachodu. Na ofiarnym kamieniu w kształcie rombu położono ofiarnego Kalarego, ku zachodowi głową, która spoczęła w zagłębieniu wyżłobionym w

liszajowatej powierzchni kamienia. Zamknięte w drewnianych dybach stopy wskazywały stronę – ciemnoszarą już od nadciągającej nocy – w której strażnicy pojawią się następnym razem, jeśli ukończą swą niebezpieczną podróż. Tak oto własnym ciałem, z jego wylotami i tunelami, ofiara symbolizowała mistyczną jedność dwojga niezgłębionych tajemnic życia ludzkiego i kosmicznego: jako na górze, tak i – wysiłkiem wspólnej woli – na dole. Ofiara już zatraciła swoją indywidualność. Wprawdzie Kalary toczył oczyma, ale nie wydał z siebie głosu, zastygły, jakby poraziła go obecność Wutry. Odeszła czwórka niewolników, a zbliżyli się Nahkri z Klilsem. Na futra zarzucili płaszcze z farbowanego na czerwono sukna. Do skraju tłumu towarzyszyły im żony, dalej kroczyli już sami. Rzadkie fryzowane brody raz przynajmniej dodawały powagi ich obliczom; prawdę powiedziawszy, byli nie mniej bladzi niż ofiara, z której Nahkri, ujmując topór, nie spuszczał wzroku. Zważył w dłoni wspaniałe narzędzie. Uderzył gong. Nahkri jak wrośnięty w ziemię stał ze wzniesionym oburącz toporem, przesłaniając sobą drobniejszą postać brata. Chwila przedłużała się i tłum zaczął szemrać. Głowa musiała spaść od topora w wyznaczonym czasie: przegapi ten moment, a kto wie, co się stanie ze strażnikami. Szmer wyrażał niemal powszechny brak wiary w parę rządzących braci.

– Bij! – krzyknął ktoś ze stłumionych szeregów.

Zagwizdał Świstek Czasu.

– Nie mogę tego zrobić – rzekł Nahkri, opuszczając topór. – Nie zrobię tego. Fugasa, tak. Ale nie człowieka, choćby to był Borlieńczyk. Nie mogę.

Młodszy brat wychylił się zza niego, wyrwał mu z rąk toporzysko.

– Ty tchórze... robisz z nas durniów na oczach ludzi. Sam to załatwię, a hańba dla ciebie. Pokażę ci, który z nas jest mężczyzną, ty babska słabizno!

Szczerząc zęby, zarzucił topór na ramię. Utkwił wzrok w zastygłej twarzy ofiary, która wytrzeszczyła oczy ze swego kamiennego zagłębienia niczym z grobu. Mięśnie Klilsa przebiegły skurcz, jakby odmawiały mu posłuszeństwa. Ostrze topora odbiło promienie zachodzących słońc. Po czym spoczęło na kamieniu, a Klils z jękiem wsparł się na toporzysku.

– Za mało wypilem bełtelu...

Odpowiedział mu jęk tłumu. Strażnicy zahaczali już tarczami o nierówności horyzontu. Słysząc było pojedyncze okrzyki:

– Para błaznów...

– Za dużo słuchali Loily Bry, mówię wam.

– To ojciec tyle im dowalił rozumu do głowy, że nie mają siły ruszyć ręką.

– Za długo wysiadywałeś jaja na babskim gnieździe, Klils?

To rubaszne, głośnie pytanie wzbudziło śmiech i przerwało ponury nastrój. Tłum zacieśniał krąg, gdy Klilsowi topór wypadł z dłoni w stratowane błoto. Aoz Roon zostawił przyjaciół, doskoczył do topora. Warknął jak pies i obaj bracia cofnęli się przed nim niemrawo protestując. Po chwili czmychnęli jeszcze dalej, zasłaniając się ramionami – Aoz Roon wzniosł topór nad głową.

Słońca tonęły, aureolą pograżone do połowy w morzu czerni. Ich światłość rozlewała się niczym żółtka dwóch gęsich jaj, czerwono-złota, jak gdyby fagorza i ludzka krew mieszały się w martwych pustkowiach. Śmigwały nietoperze. Łowcy podnieśli pięści, wiwatując na cześć Aoza Roona. Cień od wierzchołka piramidy jak ostroga dzielił rzekę promieni słonecznych. Dwa potoki jasności omywały boki zmurszałego kamienia ofiarnego, dokładnie zarysowując jego kształt. Sama ofiara była w cieniu. Ostrze narzędzia śmierci przecięło blask, zapadło w cień. Czystemu stuknięciu topora odpowiedział jednogłośnie okrzyk tłumu, echo uderzenia wydarte z oddychających unisono płuc, jakby wszyscy zebrani również oddali ducha. Odrąbana głowa opadła na bok i zdawało się, że całuje kamień swej kołyski. Buchająca z rany krew zatapiała głowę i przelewając się ściekała na

ziemię. Nadal ciekła, gdy ostatni skrawek słońca zatonął za horyzontem. Chodziło właśnie o rytualną krew, magiczny płyn do przewyciężenia niebytu, drogocenną ludzką krew. Miała tak skapywać przez całą noc, podtrzymując ogień pary strażników i przez wyloty i tunele prakamienia wiodąc ich bezpiecznie do najbliższego poranka.

Ludziom ciężar spadł z serca. Z uniesionymi wysoko pochodniami wracali za palisady do starożytnych wież, czerniejących teraz jak osmalone na tle chmurowiska, bądź splamionych widmowym blaskiem sunących pochodni. Dathka szedł przy Aozie Roonie, któremu tłum z szacunkiem ustępował z drogi.

– Jak mogłeś ściąć własnego niewolnika? – spytał. Starszy łowca rzucił mu wyniosłe spojrzenie.

– Czasami trzeba podjąć decyzję.

– Ale Kalarego... – sprzeciwiła się Oyre. – To było straszne.

Aoz Roon zlekceważył skrupuły córki.

– To nie na dziewczyński rozum. Napompowałem Kalarego bimbomem i bełtelem przed ceremonią. Nic nie czuł. Pewnie wciąż mu się zdaje, że leży w objęciach jakiejś borlieńskiej panny – zaśmiał się.

Zakończyli obrzędy. Nikt już teraz nie wątpił, że Freyr z Bataliksą wzejdą o poranku. Zbierali się, żeby to uczcić, opić z radością tym większą, że mogli sobie pogwarzyć o nowym skandalu, o zniewieściałym sercu swoich przywódców. Nie było miłszego tematu do rozmów nad kubkiem świńskiego rozumu przed podjęciem Wielkiej Opowieści.

Jeden Laintal Ay o czymś innym poszeptywał do Oyre, obściskując ją w mroku.

– Pokochałaś mnie widząc, jak wjeżdżam na kołatku, którego pojmałem własnymi rękami?

Pokazała mu język.

– Chwalipięta! Wyglądałeś na nim jak głupi.

Zrozumiał, że świętowanie będzie miało także swoje cienie.

VI. „GDYM ZALAŁ SIĘ JAK GŁUPPOCK...”

Na wprost widział jedynie ziemię, która stając dęba wytyczała mu ostry łuk horyzontu przed samym nosem. Drobne, sprężynujące pod stopą roślinki porastały ziemię po horyzont i w dole za nim calutką dolinę. Laintal Ay przystanął z dłońmi wspartymi na kolanie i obejrzał się za siebie łapiąc oddech. Oldorando leżało o sześć dni marszu.

Przeciwny stok doliny skąpany był w czystym, błękitnym świetle, z niezwykłą ostrością dobywającym wszelkie szczegóły. Niebo nad nim siną purpurą zwiastowało zamiecie. Tu, gdzie stał, wszystko krył cień.

Podjął mozolną wspinaczkę. Znad półkola pobliskiego horyzontu wynurzyła się ziemia, czarna, nie do zdobycia. Nigdy tutaj nie był. W miarę jak ów bliski horyzont obniżał się z każdym jego krokiem, przed Laintalem Ayem wyrastał szczyt wieży. Kamienna wieża w ruinie, wzniesiona dawno temu na wzór oldorandzkich; takie same nachylone do środka ściany, okna w każdym z czterech narożników na każdym piętrze. Zostały tylko cztery piętra.

Wreszcie Laintal Ay pokonał zbocze. Wielkie szare ptaki obsiadły ściany wieży, otoczonej gruzowiskiem z własnych murów. Za nią niedostępna, olbrzymia góra błyszcząca czernią pod sinymi niebiosami. Pomiędzy nim a nieskończonością stał rząd radzabab. Zimny wiatr świstał mu między zębami, toteż zacisnął wargi. Co robiła ta wieża tak daleko od Oldorando?

Nie tak daleko, jeśli jest się ptakiem, wcale nie tak daleko. Nie tak daleko, jeśli jest się fagorem dosiadającym kaidawa. Całkiem blisko, jeśli jest się bogiem.

Jakby natchnione tą myślą ptaki wzbiły się z łopotem i odleciały nisko nad ziemią. Patrzył za nimi, dopóki nie zniknęły mu z oczu, pozostawiając go samego w przestworzach krajobrazu.

Och, Shay Tal musi mieć rację. Inny był kiedyś świat. Zagadnięty o jej przemowę Aoz Roon powiedział, że są to sprawy bez żadnego znaczenia, bo nie ma się na nie wpływu, że jedyne, co ma znaczenie, to przetrwanie i jedność plemienia, a gdyby Shay Tal dano wolną rękę, to byłoby po jedności. Shay Tal twierdziła, że jedność się nie liczy wobec prawdy.

Z głową nabitą myślami, które gonili w jego świadomości jak cienie chmur po krajobrazie, wszedł do wieży i zadarł głowę. Z wieży pozostał tylko szkielet. Drewniane stropy zostały wyrwane na opał. Złożywszy w kącie sakwę i oszczep, wykorzystując najmniejsze oparcie dla stóp, wspinał się po nie ciosanych kamieniach muru na jedną ze ścian i stanął na samym szczycie. Rozejrzał się wokoło. Głównie wypatrywał fagorów – to były ich tereny – ale gdziekolwiek spojrzał, widział jedynie gołe, nieożywione kształty.

Shay Tal nigdy nie wyszła poza osadę. Może musiała wymyślać zagadki. A przecież tu była zagadka. Ogarniając wzrokiem gigantyczne formy terenu ze zgrozą zadawał sobie pytania: Kto je ukształtował? Po co?

Wysoko na olbrzymim kopcu – nawet nie będącym podgórzem podgórza Nktryhku – dostrzegł ruchome krzewy. Maleńkie, blado-zielonkawe w mętym świetle. Wyteżając wzrok rozpoznał piagnostyków odzianych we włochate burki, zgiętych we dwoje podczas wspinaczki. Pędzili przed sobą stadko kóz czy leż arangów.

Rozmyślnie trwonił czas, miał wrażenie, że czas odpływa w świat, gdy on tak się wpatruje w oddalone istoty, jak gdyby one znały odpowiedź na jego pytania czy na pytania Shay Tal. Owe istoty zapewne należały do wędrownych plemion Nondadów, mówiących językiem nie spokrewnionym z

olonetem. Jak długo patrzył, brnęli przez swój kawałek pejzażu, jakby nie posuwając się wcale do przodu.

Okolice Oldorando obfitowały w stada jeleni, dostarczających mieszkańcom podstawowego pożywienia. Istniało kilka sposobów zabijania jeleni. Ulubionym sposobem Nahkriego i Klilisa była metoda na wabia. Do pasącego się stada łowcy podprowadzali pięć oswojonych łani na skórzanych lejcach. Pochyleni za łaniami mogli kierować swą ruchomą osłoną i podejść blisko zwierząt. Wówczas wyskakiwali i miotany z wyrzutników oszczepami kładli trupem jak najwięcej sztuk. Tusze zabierano do domu, ładując je na grzbiety oswojonym łaniom, które musiały dźwigać trupy pobratymców.

Sypał śnieg. Lekka odwilż w środku dnia utrudniła pochód. Jeleni było mniej niż zwykle. Łowcy w trudnym terenie niezmordowanie maszerowali na wschód, wiodąc swoje łanie-wabiki przez trzy dni, nim wypatrzyli małe stadko. Łowców było dwudziestu. Nahkri i jego brat odzyskali względy po nocy Zachodu Obojga Słońc, dzięki szczodremu szafowaniu bełtelem. Laintal Ay z Dathką trzymali się boku Aoza Roona. Na łowach mówili niewiele, lecz wzajemne zaufanie zastępowało im słowa. Aoz Roon w swoim czarnym futrze rysował się na tle pustkowi jak posąg odwagi i młodszy łowcy nie odstępował go na krok, wierni niczym Kurd, ogromne psisko Aoza Roona.

Stadko pasło się przy grani niewielkiego wzniesienia przed nimi, po zawietrznej. Łowcy musieli obejść je z prawa od nawietrznej i od strony szczytu, skąd wiatr nie niósłby ich woni. Dwóch ludzi zostawiono z psami. Reszta grupy ruszyła pod górę w topniejącym, na palec głębokim, śniegu. Grań rysowała się poszarpaną linią pniaków i gdzieniegdzie resztek murów, które stulecia i żywioły obtoczyły w krągłe kopczyki. Przebywali w martwym polu i zobaczyli stadko dopiero wówczas, gdy – już na czworakach, wlokąc po ziemi swoje oszczepy i wyrzutniki – wypełzli na szczyt wzniesienia i rozejrzeli się w terenie.

Stado liczyło dwadzieścia dwie łanie i trzy byki, które podzieliły je między siebie, od czasu do czasu urągając jeden drugiemu głośnym rykiem. Zwierzęta były rachityczne, ze skołtunioną sierścią, żebra im sterczały, rudawe grzywy wisiały w strzępach. Łanie pasły się błogo, prawie nie podnosząc łbów. Pasły się pod wiatr, dmuchający w twarze przyczajonym łowcom. Pomiędzy kopytami zwierząt łąziły wielkie czarne ptaki.

Nahkri dał znak. Bracia poprowadzili dwie oswojone łanie zachodząc stadko z lewej flanki, ukryci przed żerującymi jeleniami, które podniosły łby, żeby zobaczyć, co się dzieje. Aoz Roon, Dathką i Laintal Ay wiedli pozostałe trzy, oskrzydłając stadko z prawa.

Aoz Roon wiódł swoją łanię trzymając ją krótko przy pysku. Niezbyt mu się podobała ta sytuacja. Stadko pierzchając będzie uciekać od linii łowców, zamiast biec na nich; łowcy zostaną pozbawieni nie tylko dreszczu emocji, ale i możliwości działania. Gdyby on tym kierował, więcej czasu poświęciłby na wstępne kroki, jednak Nahkriemu brakowało pewności siebie, żeby zwlekać. Pastwisko miał Aoz Roon po lewej ręce; rzadki zagajnik dennisonowy oddzielał je od nierównego, skalistego terenu z prawej strony. W dali wznosiły się surowe klify i oparte na nich wzgórza, coraz dalsze i dalsze, aż po szczyty gór spiętrzonych hen na horyzoncie pod pióropuszcami sinych obłoków. Drzewa dawały jaka taką osłonę odchodzącym łowcom. Srebrzyste, potrzaskane pnie odarte były z kory. Minione zamiecie skosiły korony. Większość drzew przypadła do ziemi wyciągając gałęzie, byle dalej od wiatrów. Niektóre legły splecione, jak gdyby zwały się w odwiecznym boju, a czas i żywioły tak nadgryzły wszystkie, że przypominały miniaturowe łańcuchy górskie przeorane chtonicznym wypiętrzeniem.

Skradając się pod osłoną swej łani Aoz Roon badał każdy szczegół tej scenerii. Dawniej zaglądał tu często, gdy drogi były lepsze i pokrywa śniegu solidniejsza; zaciszne miejsce zapewniało

dobrą widoczność, wabiąc tym stada. Zauważył, że na pozór martwe, a nawet skamieniałe dennisony wypuściły już zielone pędy, które spływając po pniach przytulały się do ziemi od ich zawietrznej strony.

W przodzie coś się poruszyło. Pojawił się byk samotnik, zniecka wychynawszy spośród drzew. Aoz Roon zaleciała woń zwierzęcia – i jakiś skisły odór, zrazu trudny do zidentyfikowania. Przybysz dość niepewnie dobił do stada, gdzie już go oczekiwał najbliższy z trzech stadnych byków. Stadnik ruszył do przodu, grzebiąc kopytami, rycząc, potrząsając łbem, żeby jak najkorzystniej zaprezentować swoje poroże. Samotnik stawiał mu czoło nie przyjmując zwyczajowej postawy obronnej. Stadnik zaszarżował i szepił się porożem z intruzem. Tuż przed zetknięciem się ich wieńców Aoz Roon wypatrzył skórzany rzemień rozpięty na tykach przybysza. Błyskawicznie przekazał łanię Laintalowi Ayowi, a sam zniknął za najbliższym pniakiem. Od kotwiczącego pniak kłębowiska korzeni przeskoczył do następnej w szeregu dennisony. Była poczerniała i martwa. Przez jej rozdarty na wręgi pień Aoz Roon dostrzegł kępę żółtawego włosia pomiędzy dalszymi drzewami. Ścisnąwszy w prawicy oszczep zaczął biec tak, jak tylko on to potrafił. Czuł ostre głązy w śniegu pod stopami, słyszał ryk szepionych byków, widział, jak wyłania się przed nim ogromny martwy pień – i przez cały czas pędził jak najszybciej i jak najciszej. Ale nie ustrzegł się cichego chrzęstu śniegu. Zniknęła kępa kłaków, w jej miejsce pojawiło się kudłate ramię. Fagor obrócił się, łyskając czerwienią wielkich ślepi. Nastawił długie rogi i szeroko otworzył ramiona na przyjęcie napastnika. Aoz Roon wsadził mu oszczep pod żebra. Olbrzymi ancipita wrzasnął chrapliwie i runął na wznak. Padł również Aoz Roon. Fagor opasał go ramionami, twarde jak rogi dłonie wbijając mu w plecy. Zaczęli się tarzać w śniegowej brei. Biała istota z czarną splotły się w jednego potwora, który wśród pierwotnego krajobrazu walczył teraz sam ze sobą, usiłując rozedrzeć własne ciało na połowę.

Wyrznawszy w srebrzysty korzeń, rozpadł się z powrotem na dwoje – czarna połowa pod białą. Biała odchyliła głowę w tył, z rozdziawionymi szczękami gotując się do zadania ciosu. Rzędy żółtych zębów jak łopaty w szarawobiałych działkach zajrzały Aozowi Roonowi w oczy. Uwolniwszy jakoś rękę złapał kamień i wbił go pomiędzy grube wargi, pomiędzy siekacze zamykające mu się już na głowie. Odepchnął fagora, zmacał oszczep nadal tkwiący pod żebrami przeciwnika i ze wszystkich sił naparł na drzewce. Fagor z charkotem wyzionął ducha. Żółta posoka chlusnęła mu z rany. Rozłożył ramiona i Aoz Roon dysząc dźwignął się na nogi. Z ziemi nie opodał poderwał się krak i ciężko machając skrzydłami odleciał na wschód. Aoz Roon zdążył jeszcze zobaczyć, jak Laintal Ay zabija drugiego fagora. Jeszcze dwa wyskoczyły z kryjówki w leżącej pokotem dennisonie. Pocwałowały na kaidawie w stronę klifów. Za nimi frunęły białe ptaszyska zamasyście bijąc skrzydłami i odwrzaskując echom, którymi same napełniały pustkowia.

Nadszedł Dathka i bez słowa uściśnął rękę Aozowi Roonowi. Popatrzyli na siebie z uśmiechem. Mimo bólu Aoz Roon błysnął białymi zębami. Wargi Dathki pozostały zaciśnięte. Przybył rozradowany Laintal Ay.

– Zabiłem go. Odwalił kitę! – wołał. – One mają flaki w piersi, płuca w brzuchu...

Aoz Roon odepchnął nogą trupa fagora i oparł się o pniak. Oddychał głęboko, na przemian ustami i nosem, aby pozbyć się mdlącego, mlecznego odoru przeciwnika. Dłonie mu drżały.

– Wezwijcie Elina Tala – rzekł.

– Zabiłem go, Aozie Roonie! – powtórzył Laintal Ay, wskazując za siebie na leżące w śniegu zwłoki.

– Sprowadźcie Elina Tala – nalegał Aoz Roon.

Dathka podszedł do dwóch byków, które złączone opuszczonymi rogami, wciąż mocowały się w wydeptanej racicami kałuży. Dobył noża i poderżnął im gardła jak stary wyga. Brocząc żółtą posoka

zwierzaki stały dopóty, dopóki mogły ustać na nogach, po czym osunęły się na ziemię i zdechły szczone tak do samego końca.

– Rzemień pomiędzy tyki – stara sztuczka łowiecka fugasów – rzekł Aoz Roon. – Jak tylko zobaczyłem ten rzemień, wiedziałem, że kręcą się w pobliżu...

Nadbiegł Eline Tal w towarzystwie Faralina Ferda i Tantha Eina. Odtrąciwszy młokosów podtrzymali Aoza Roona.

– Mamy zabijać tę padlinę, a nie obściskować się z nią – powiedział Eline Tal.

Reszta stada już dawno uciekła. Bracia ubili do spółki trzy łanie i triumfowali. Nadeszli pozostali łowcy ciekawi wyniku polowania. Pięć tusz stanowiło niezgorszy łup; Oldorando naje się po powrocie łowców do syta. Ścierwa fagorze zostaną tu, gdzie padły, i tu zgniją. Ich skór nie chciał nikt.

Laintal Ay z Dathką przytrzymali oswojone łanie, zaś Elin Tal z przyjaciółmi przystąpił do zbadania Aoza Roona. Ten odtrącił ich dłonie.

– Spieprzajmy stąd – rzekł z grymasem bólu łapiąc się za zębra. – Gdzie są cztery, tam może być więcej tej padliny.

Ruszyli w powrotną drogę; ubite łanie zarzucili na grzbiety oswojonym, byki wlekli po śniegu. Lecz Nahkri był zły na Aoza Roona.

– Te pieprzone byki zdychały z głodu. Mięso będzie jak stary rzemień.

Aoz Roon milczał.

– Tylko sępy wolą żreć byki niż łanie – powiedział Klils.

– Cicho bądź, Klils – krzyknął Laintal Ay. – Nie widzisz, że Aoz Roon jest ranny? Lepiej byś sobie poćwiczył machanie toporem.

Aoz Roon patrzył w ziemię bez słowa, czym jeszcze bardziej rozżłościł starszego z braci. Odwieczny pejzaż otaczał ich ciszą.

Kiedy wreszcie podeszli na odległość wzroku do Oldorando i jego opiekuńczych gorących źródeł, z wież zagrały czatownicze rogi. Czatownikami zostawali mężczyźni starzy lub zbyt schorowani, aby polować. Nahkri dał im łżejsze zajęcie, lecz jeśli na widok powracających łowców nie zadęli w rogi, wstrzymywał im przydział bełteli. Głos rogów był dla młodych kobiet sygnałem do rzucenia roboty i wyjścia przed palisady na spotkanie mężczyznom. Drżały na myśl, że któryś mógłby nie wrócić – wdowieństwo oznaczało czarną robotę posługaczki, wegetację na granicy głodu, wczesny zgon. Tym razem weseliły się, policzywszy głowy. Nikogo nie brakowało. Tej nocy będą ucztować. Niektóre z nich może zajdą w ciążę.

Eline Tal, Tanth Ein i Faralin Ferd pokrzykiwali na swoje kobiety, po równo obdzielając je czułościami i wymysłami. Aoz Roon człapał samotny, nie mówiąc słowa, chociaż spod swoich czarnych brwi rozglądał się, czy nie przyszła Shay Tal. Nie przyszła.

Żadna kobieta nie witała też Dathki. Z ponurą miną i marsem na czole przepychał się przez ciżbę witających, w nadziei, że wypatrzy gdzieś samotniczkę Vry, przyjaciółkę Shay Tal.

Aoz Roon w skrytości gardził Dathką za to, że żadna kobieta nie wybiegła i nie uwiesiła się jego ramienia, chociaż sam był w podobnej sytuacji. Spod owych czarnych brwi widział, że któryś z łowców chwyta dłoń Dol Sakil, córki położnej. Widział swoją własną córkę, jak podbiega i łapie za rękę Laintala Aya; przyznawał w duchu, że para to dobrana, i dopatrywał się pewnych korzyści w ich związku. Rzecz jasna, dziewczyna jest uparta niczym kozioł, zaś Laintal Ay potulny jak cielę. Da mu w kość, nim zgodzi się zostać jego żoną. Oyre pod tym względem przypominała tę diabolicę Shay Tal – krnąbrna, śliczna, samowolna. Ze spuszczoną głową wkuśtykał w szerokie wrota, wciąż trzymając się za zębra. Idący w pobliżu Nahkri i Klils opędzali się od swych piszczących małżonek. Obaj

rzucili mu groźne spojrzenia.

– Nie pchaj się, Aozie Roonie – powiedział Nahkri.

Roztrącił ich ramieniem, patrząc w drugą stronę.

– Miałem już topór w garści i klnę się na Wutrę, że jeszcze nim wywinę.

Wszystko skakało mu przed oczyma. Wypił duszkiem kubek bełteli i drugi wody, lecz wciąż zbierało mu się na wymioty. Poszedł na górę do dzielonej z kompanami kwatery, zobojętniały po raz pierwszy na to, jak rozbiorą upolowaną przy jego udziale zwierzynę. W izbie runął jak długi. Nie pozwolił jednak niewolnicy rozciąć na sobie ubrania ani opatrzyć ran. Leżał trzymając się za zębra. Po godzinie wyszedł samotnie i odszukał Shay Tal.

Słońce chyliło się ku zachodowi, więc szła z okruchami chleba nad Voral nakarmić ptactwo. Rzeka była szeroka. Odmarzła w ciągu dnia, ukazując mroczną toń w obrzeżach białego lodu, po którym z gęganiami łążyły gęsi. Za młodych lat obojga rzeka zawsze stała skuta lodem od brzegu do brzegu.

– Chodźcie na dalekie wyprawy łowieckie – powiedziała Shay Tal – a ja dziś rano widziałam zwierzynę za rzeką. Chyba mustangi i dzikie konie.

Posępny i markotny Aoz Roon spojrzał krzywo i chwycił ją za rękę.

– Ty, Shay Tal, zawsze myślisz na przekór. Sądzisz, że jesteś mądrzejsza od łowców? Dlaczego nie wyszłaś na granie rogów?

– Byłam zajęta.

Uwolniła rękę i zaczęła kruszyć jęczmieńne skórki cisnącym się do niej gęsiom. Aoz Roon odpędził je nogą i znowu chwycił ją za rękę.

– Dziś zabiłem fugasa. Jestem silny. Zranił mnie, ale zabiłem bydlaka. Wszyscy łowcy patrzą we mnie jak w obraz, i wszystkie panny. Lecz ja chcę ciebie, Shay Tal. Dlaczego mnie nie chcesz?

Podniosła twarz i oczy jak sztylety ku jego oczom, nie rozgniewana, ale powściągnąwszy gniew.

– Co z tego, że chcę ciebie, skoro ty złamałbyś mi rękę, gdybym ci się sprzeciwiła... a my zawsze będziemy się spierać. Nigdy nie przemówisz do mnie czule. Umiesz się śmiać i umiesz patrzeć wilkiem, ale nie umiesz prawić słodkich słówek. Ot co!

– Nie jestem z tych, co prawią słodkie słówka. Ani nie złamałbym ci twojej ślicznej raczki. Dałbym ci coś tak wspianiałego, że nie myślałabyś o niczym innym.

Nic nie odrzekła, tylko dalej karmiła gęsi. Tonąca w śniegu Bataliksa złociła luźne pasma jej włosów. W tej jakby wyczelowanej w świetle, zastygłej scenie, sunęła jedynie czarna żyła wody. Aoz Roon stał i pożerał dziewczynę wzrokiem, w zakłopotaniu przestępując z nogi na nogę; wreszcie rzucił:

– Czym tak bardzo byłaś wcześniej zajęta?

Nie patrząc na niego odparła żywo:

– Słuchałeś moich słów w owym smutnym dniu pogrzebu Loilanun. Kierowałam je przede wszystkim do ciebie. Żyjemy sobie na tym naszym podwórku. Ja chcę zobaczyć, co się dzieje za płotem, na świecie. Chcę poznać jak najwięcej. Potrzebuję twojej pomocy, lecz ty nie jesteś stworzony do udzielania pomocy. W wolnych chwilach nauczam więc inne kobiety, bo w ten sposób sama się uczę.

– Co dobrego z tego przyjdzie? Napytasz tylko biedy.

Milczała zapatrzona w rzekę, na której kładły się resztki dziennej poźłoty.

– Powiniennem położyć cię na kolanie i przylać ci w tyłek.

Stał niżej na pochyłym brzegu, podnosząc ku niej oczy. Zerknęła na niego gniewnie, ale niemal natychmiast twarz jej się odmieniła. Wybuchnęła śmiechem ukazując mu białe zęby i różowe karby

podniebienia, tylko na chwilę, bo zaraz przesłoniła dłonią usta.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

Wykorzystał ten moment i chwycił ją mocno w objęcia.

– Dla ciebie znajdę słodkie słówka i nie tylko słówka. Wszystko dla twych powabów i oczu błyszczących jak toń teł rzeki. Rzuć nauki, bez których wszyscy mogą się obejść, i zostań moją kobietą.

Zakręcił się wokół, aż frunęła w powietrze, a gęsi rozpierzchły się zgorzone, wyciągając szyje ku dalekiej linii horyzontu.

– Proszę, Aozie Roonie – rzekła stanąwszy ponownie na ziemi – rozmawiaj ze mną w normalny sposób. Moje życie ma jakby podwójną wartość, a oddać się mogę tylko raz. Wiedza dużo znaczy dla mnie – dla każdego. Nie zmuszaj mnie do wyboru pomiędzy tobą a nauką.

– Kocham cię od dawna, Shay Tal. Wiem, że oburza cię sprawa z Oyre, lecz nie powinnaś mnie odtrącać. Zostań moją kobietą już teraz, bo – ostrzegam cię – znajdę sobie inną. Krew mam gorącą. Zamieszkać ze mną, a wywietrzeje ci z głowy ta cała akademia.

– Och, ty w kółko swoje. Jeśli mnie kochasz, postaraj się wysłuchać tego co mówię.

Zawróciła w górę skarpy, w kierunku swojej wieży. Lecz Aoz Roon ją dogonił.

– Odchodzisz, Shay Tal, teraz, kiedy zmusiłaś mnie do nagadania tych wszystkich głupstw, ty sobie tak po prostu odchodzisz?! – Potulniejąc, prawie nieśmiało dodał: – A co byś zrobiła, gdybym był tutaj panem, lordem Embruddocku? To nie jest wykluczone. Wtedy musiałabyś zostać moją kobietą.

Patrząc w oczy Shay Tal, kiedy się na niego obejrzała, zrozumiał, dlaczego jej pragnie; przez krótką chwilę zaglądał w głąb jej duszy, gdy mówiła łagodnie:

– Więc to ci się śni, Aozie Roonie. Cóż, wiedza i mądrość to sny innego rodzaju, więc każdemu z nas sążone śnić osobno. Ja również cię kocham, ale cenię sobie własną wolność, tak jak ty swoją.

Milczał. Zrozumiała, że uznał, czy też wydaje mu się, że uznał jej uwagę za trudną do przyjęcia, lecz jego myśl podążyła inną drogą i rzekł z twardym błyskiem w oku:

– Ale Nahkriego nienawidzisz, prawda?

– On mi nie zawadza.

– Ach tak, a mnie zawadza.

Jak zwykle po powrocie z łowów ucztowano, popijając i jedząc do późna w nocy. Był zwyczajowy bełtel, świeżo uwarzony przez cech browarników, a ponadto ciemne wino z jęczmienia. Były przyśpiewki, tańczono hopaka i kurzyło się z głów coraz mocniej. U szczytu popijawy większość mężczyzn zalewała się w Wielkiej Wieży, z której roztaczał się widok na całą główną ulicę. W uprzątniętej dolnej izbie płonął ogień, śląc kłęby dymu pod krokwie w metalowych kotwach. Aoz Roon nie odzyskał humoru i uciekł od śpiewów. Laintal Ay widział jego odejście, ale był nazbyt zajęty chodzeniem za Oyre, żeby chodzić za jej ojcem. Aoz Roon wspiał się po schodach i minawszy wszystkie kondygnacje wyszedł na płaski dach łyknać świeżego powietrza. Głuchy na muzykę Dathka podążył za nim w mrok. Jak zwykle milczał. Wsunął dłonie pod pachy, spoglądając na niewyraźnie majaczące kształty nocy. Wysoko na niebie wisiał baldachim mętnej zielonkawej zorzy, skrzydłami niknąc w stratosferze. Aoz Roon zatoczył się w tył z głośnym rykiem. Dathka złapał go i przytrzymał, lecz starszy mężczyzna opędził się od niego.

– Co cię gryzie? Podpiłeś, co?

– Tam! – Aoz Roon wskazał w ciemną pustkę. – Już poszła, bodaj ją szlag. Baba z łbem świni. Na łon, jak ona patrzyła!

– Aha, masz majaki. Jesteś pijany.

Aoz Roon odwiódł się ze złością,

– Nie nazywaj mnie pijakiem, dzieciuchu! Widziałem ja, powiadam ci. Goła, wysoka, cienkie nogi, owłosiona od szpary po brodę, czternaście cyców... szła prosto na mnie.

Biegał po tarasie wymachując lękami. Z włazu wyszedł Klils na nieco chwiejnych nogach, z nie dojezdzonym udźcem jelenim w garści.

– Wy dwaj nie macie nic do roboty tu na górze To jest Wielka Wieża. Tu przychodzą panowie Oldorando.

– Ty zasrańcu – powiedział Aoz Roon podchodząc do niego. – Upuściłeś topór.

Klils grzotnął go z całej siły kością jelenią w szyję. Aoz Roon z łykiem chwycił Klilsa za gardło, próbując go udusić. Ale Klils kopniakiem w kostkę i serią ciosów w dołek rzucił Aoza Roona na okalający taras, miejscami wykruszony parapet. Aoz Roon rozłożył się na wznak z głową zwieszoną w powietrzu.

– Dathka! – zawołał. – Pomóż mi!

Bez słowa Dathka zaszedł Klilsa od tyłu, złapał go oburącz w kolanach i podniósł za nogi. Przerzucił je za parapet, siedem piętr nad ziemią.

– Nie, nie! – wrzasnął Klils walcząc zaciekle, kurczowo oplatając ramionami szyję Aoza Roona.

Trzej mężczyźni mocowali się w zielonkawym mroku, przy akompaniamencie śpiewów z dołu; dwaj – zamroczeni bełtelem – przeciwko gibkiemu Klilsowi. Wreszcie wzięli nad nim górę, rozerwawszy chwyt, którym trzymał się życia. Wydawszy ostatni krzyk Klils spadł jak kamień. Słyszeli, jak ciało uderza w dole o ziemię. Aoz Roon z Dathka przysiedli zziajani na parapecie.

– Sprzątnęliśmy drania – powiedział w końcu Aoz Roon. Chwycił się za obolałe zebra. – Dzięki, Dathka.

Dathka milczał. Po chwili Aoz Roon rzekł:

– Zabiją nas za to zasrańce. Nahkn nie puści tego płazem, zabiją nas. Ludzie już mnie nienawidzą. – I po kolejnej chwili ciszy wybuchnął ze złością: – To wszystko przez tego głupka Klilsa. Rzucił się na mnie. To przez niego. – Nie mogąc znieść milczenia zerwał się i krążąc po tarasie mrucał coś pod nosem. Podniósł obgryziony udziec i cisnął daleko w ciemność. Zwrócił się do nieporuszonego Dathki – Słuchaj, zejdziesz i pogadasz z Oyre. Ona robi, co każe. Niech ściągnie tu Nahkriego. Przyprawiłby sobie świński ryj na jedno jej skinienie – widziałem, jak zasraniec wodzi za nią ślepiami.

Dathka wzruszył ramionami i odszedł bez słowa. Oyre pracowała obecnie w domostwie Nahkriego, ku wielkiemu oburzeniu Laintala Aya; jako ładna dziewczyna, miała służbę lżejszą niż inne kobiety.

Objąwszy się za zebra, rozdygotany Aoz Roon do powrotu Dathki chodził po dachu ciskając w ciemność przekleństwa.

– Prowadzi go – rzekł krótko Dathka. – Ale to nierozważne, cokolwiek zamierzasz. Nie biorę w tym udziału.

– Zamknij się.

Dathce jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś kazał mu zamknąć gębę. Odmaszerował w najgłębszy cień, gdy z włazu zaczęły wychodzić kolejno trzy osoby. Oyre pierwsza. Za nią wyszedł Nahkri, z pełnym kubkiem w dłoni, potem Laintal Ay, który postanowił za nic nie opuszczać dziewczyny. Miał wściekłą minę i wcale nie złagodniał na widok Aoza Roona, który spiorunował chłopaka spojrzaniem.

– Ty zostań na dole, Laintalu Ayu. Po co się pchasz, gdzie nie trzeba – powiedział szorstko Aoz Roon.

– Tu jest Oyre – nie ruszając się z miejsca odparł Laintal Ay, jakby to wyjaśniało wszystko.

– On mnie pilnuje, tato – powiedziała Oyre.

Aoz Roon odsunął ją na bok i stanąwszy przed Nahkrim rzekł:

– No, Nahkri, zawsze mieliśmy ze sobą na pieńku. Stawaj do walki, jeden na jednego.

– Wynoś się z mego dachu – rozkazał Nahkri. – Zabraniam ci tu przebywać. Twoje miejsce jest na dole.

– Stawaj do walki.

– Zawsze byłeś bezczelny, Aozie Roonie, i jeszcze śmiesz pyskować po tym, jak zawaliłeś polowanie.

Nahkriemu głos ochrypł od wina i bełteli.

– Śmiem, śmiem i jeszcze raz śmiem! – wrzasnął Aoz Roon i skoczył na Nahkriego.

Nahkri cisnął mu w twarz kubkiem. Oyre i Laintal Ay chwycili Aoz Roona za ręce, ale wyrwał im się i trzasnął Nahkriego w gębę. Nahkri upadł, przewrotem w tył podniósł się i wyciągnął zza pasa nóż. Za całe światło mieli odbłask łojowego kaganka płonącego w izbie pod nimi. Zalśnił na ostrzu noża. Zielonkawe płachty na niebie nie przydawały ludzkim sprawom nic prócz kolorytu.

Aoz Roon kopnął mierzając w nóż, nie trafił i ciężko zwałił się na Nahkriego, pozbawiając go tchu. Nahkri zaczął z jękiem wymiotować i Aoz Roon musiał się odturlać od przeciwnika. Obaj wstali, dysząc.

– Przestańcie, jeden z drugim! – zawołała Oyre, ponownie uwiesiwszy się ojca.

– I po co ta awantura? – zapytał Laintal Ay. – Niepotrzebnie z nim zaczęłaś, Aozie Roome Racja jest po jego stronie, chociaż to dureń

– Ty zamknij się, jeśli chcesz mojej córki – ryknął Aoz Roon i zaatakował. Nahkri wciąż z trudem łapiący oddech, był bezbronny. Stracił nóż. Grad ciosów zmiotł go na parapet. Oyre krzyknęła. Przez moment Nahkri chwiał się przy parapecie, a potem zmiękł w kolanach. Po chwili już go nie było. Usłyszeli gruchnięcie u stóp wieży. Stanęli jak wryci, patrząc niespokojnie po sobie. Z wnętrza wieży doleciał ich pijacki śpiew

Gdym zalał się jak głuppock

Na drodze do Embruddock

Zoczyłem świniaka jak tańczy hopaka

I padłem na mój duppock

Aoz Roon wychylił się przez krawędź parapetu

– Zdaje się, że koniec z tobą, lordzie Nahkri – powiedział trzeźwym głosem

Przyciskał dłońmi zebra i dyszał ciężko. Obrócił wzrok ku trojgu świadków, na każdym z osobna zatrzymując szalone oko. Laintal Ay i Oyre w milczeniu tulili się do siebie Oyre pochlipywała. Wychynąwszy z cienia Dathka przemówił beznamiętnym głosem.

– Ani słowa o tym, Laintalu Ayu i ty, Oyre, jeśli wam życie miłe – widzieliście, jak łatwo je stracić. Ja rozpowiem, że byłem świadkiem kłótni Nahkriego z Klilsem. Że pobili się i razem wypadli za parapet. Nie mogliśmy ich powstrzymać Zapamiętajcie moje słowa i zapamiętajcie sobie taką scenę. I ani słowa. Aoz Roon zostanie lordem Embruddocku i Oldorando

– Zostanę i będę lepiej rządził niż ta para durni – rzekł Aoz Roon, słaniając się na nogach.

– Twoja w tym głowa – powiedział spokojnie Dathka – bo my tu obecni znamy prawdę o tym

podwójnym mordzie. Pamiętaj, że nie mamy z nim nic wspólnego: to była twoja sprawka, od początku do końca. I nie zapominaj o nas.

Lata panowania Aoza Roona w Oldorando miały upływać tak samo, jak mijały za poprzednich władców; życie ma swoje prawa i władza nie tu nie zmienia. Jedynie pogoda stała się bardziej kapryśna. Ale pogoda, jak i wiele innych rzeczy, była poza zasięgiem władzy każdego lorda.

Gradienty temperatury w stratosferze uległy zmianom, troposfera ociepliła się, temperatury przygruntowe zaczęły wzrastać. Siekące deszcze lały tygodniami bez przerwy. Śnieg zniknął z nizin w strefach tropikalnych. Lodowce cofnęły się w wyższe partie gór. Zazieleniła się ziemia. Kiełkowały wysokopienne rośliny. Nigdy dotychczas nie widziane ptaki i zwierzęta śmigały ponad lub między ostrokołami starożytnej osady. Zmieniały się wszelkie przejawy życia. Nic nie zostało takie, jak było.

Starsi ludzie na ogół niechętnie patrzyli na te zmiany. Wspominali bezkresne śnieżne przestrzenie z czasów swojej młodości. Ci w średnim wieku witali zmiany z radością, ale kręcili głowami, że to zbyt dobre, aby trwało dłużej. Młódz nigdy nie zaznała niczego innego. Młodzi mieli więcej urozmaiconego jadła i płodzili więcej dzieci, a dzieci mniej umierało. Co się tyczy strażników, Bataliksa wyglądała tak samo, jak zawsze. Za to z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, z godziny na godzinę Freyr stawał się coraz jaśniejszy, coraz gorętszy.

Wśród tego misterium pogody toczył się dramat ludzki, w którym każdy z żyjących musiał grać do końca, ku swojej satysfakcji bądź rozczarowaniu. Dla większości ludzi ów splot drobnych okoliczności był sprawą największej wagi, bowiem każdy widział się na środku sceny. Na całym wielkim globie Helikonii, gdzie tylko małe grupki mężczyzn i kobiet walczyły o byt, tak właśnie było. A Ziemska Stacja Obserwacyjna wszystko to rejestrowała.

Zostawszy lordem Oldorando Aoz Roon zatracił pogodę ducha. Stał się markotny, przez jakiś czas stroniąc nawet od świadków i współników swojej zbrodni. Ale i ci, którzy utrzymali z nim jakiś kontakt, nie mieli pojęcia, jak wiele na dobrowolnej izolacji zaważyło ciężące mu coraz bardziej poczucie winy; ludzie nie zadają sobie trudu, żeby się nawzajem zrozumieć. Zabójstwo było silnym tabu w maleńkiej społeczności, w której wszyscy są bliżej lub dalej spowinowaceni, w której silnie odczuwa się stratę choćby jednej pełnosprawnej osoby i w której więź społeczna jest tak silna, że nawet umarli nie mogą na dobre opuścić żywych.

Los chciał, że ani Klils, ani Nahkri nie mieli dzieci ze swoimi kobietami, toteż tylko one pozostały do rozmowy z mamikami mężów. Obie przekazały ze świata duchów tylko niepoohamowany gniew. To ciężkie brzemie, taki gniew mamików, albowiem nie sposób go uśmierzyć. Gniew przypisywano furii, jaka musiała ogarnąć braci w opilczym szale bratobójstwa. Żony zwolniono z dalszych kontaktów. Bracia i im straszny koniec przestali stanowić powszechny temat rozmów. Sekret zabójstwa pozostał na razie sekretem. Lecz Aoz Roon nigdy nie zapomniał. O świcie w dzień po zabójstwie wstał wyczerpany i zmoczył twarz w lodowatej wodzie. Ale chłód wzmógł jedynie gorączkę, do której się nie przyznawał. Ból hulał mu po całym ciele, jakby przechodząc z jednego do drugiego organu. Dygocząc od katuszy skrywanych przed towarzyszami, pośpiesznie opuścił więź ze swym psem Kurdem u nogi. Wyszedł na uliczkę w widmowe opary brzasku, w których majaczyły jedynie sylwetki zakutanych kobiet z wolna sunących do pracy. Schodząc im z drogi Aoz Roon powlókł się w stronę bramy północnej. Musiał minąć Wielką Wieżę.

Ani się obejrzał, jak stanął nad pogruchotanym, rozciągniętym ciałem Nahkriego, z oczami wciąż wytrzeszczonymi w przerażeniu. Odszukał szpetne zwłoki Klilsa, po drugiej stronie wieży.

Ciał jeszcze nie odkryto i nie podniesiono alarmu. Kurd skomlał i obskakiwał trupa zapitego Klilisa. Aozowi Roonowi zaświtała w skołowanej głowie myśl. Nikt nie uwierzy, że bracia pozabijali się nawzajem, jeśli zostaną znalezieni po dwóch stronach wieży. Złapał Klilisa za ramię i spróbował przesunąć zwłoki. Były sztywne i unieruchomione. Jakby przyrosłe do ziemi. Musiał się nachylić, dotykając niemal twarzą mokrych obrzydliwie włosów, aby chwycić trupa pod pachy. Szarpnął ponownie. Coś się stało z jego wielką wrodzoną siłą. Klilisa ani drgnął. Sapiąc i stękając, zaszedł zwłoki z drugiego końca i pociągnął za nogi. W dali rozgęgały się gęsi, szydząc z próżnych wysiłków. Wreszcie uniósł ciało. Klilisa, runąwszy na twarz, przymarzył dłońmi i połową twarzy do błota. Po oderwaniu zwłoki stuknęły o gołą ziemię. Cisnął je obok brata – nieruchomy, bezsensowny przedmiot, którego wizerunek starał się wymazać z pamięci. Następnie pognął ku bramie północnej.

Sporo walących się wież stało za palisadami, często okolonych, a właściwie rozwalonych przez radżababy górujące nad ruiną. W jednym z takich pomników czasu wznoszącym się nad lodową tonią Voralu znalazł kryjówkę. Obskurna izba na pierwszym piętrze była w nienaruszonym stanie. Wprawdzie po drewnianych schodach dawno ślad zaginął, ale on poradził sobie wślaząc na stertę gruzu, z której wciągnął się do kamiennej komnaty. Wstał i trzymając się ściany łapał oddech. Po czym dobył noża i jak szalony przystąpił do rozcinania na sobie futra. Niedźwiedź oddał w górach życie, aby odziać Aoza Roona. Nikt inny nie nosił takiej czarnej niedźwiedzi. Pruł ją jak popadło. Wreszcie stanął nagi. Nawet sam przed sobą wstydził się tego widoku. Na nagość zabrakło miejsca w ich kulturze. Pies przysiadł zziębnięty, nie spuszczać z niego oczu i skowycząc.

Ognisty ornament wysypki trawił ciało Aoza Roona, jego wklęsły brzuch i wydatne mięśnie. Języki płomieni lizały wszystko. Płonął od kolan po gardło. W męce złapał się za członek i biegał po izbie wyjąc, jakby go obdzierano ze skóry.

Pożar ciała był dla Aoza Roona piętnem winy. Mord! A oto i skutek; nieoświecony umysł pochopnie skojarzył go sobie z przyczyną. Ani przez chwilę Aoz Roon nie wrócił pamięcią do wypadków na łowach, kiedy to starł się pierś w pierś z wielkim białym fagorem. Ani przez chwilę nie przyszło mu na myśl, że trapiące kudłatą rasę wszy przeniosły się na jego ciało. Zabrakło mu wiedzy niezbędnej do takich skojarzeń.

Ziemska Stacja Obserwacyjna szybowała w niebiosach, obserwując. Przyrządy pokładowe pozwalały obserwatorom planety pod nimi poznawać rzeczy, o jakich nie wiedzieli sami mieszkańcy na jej powierzchni. Obserwatorzy poznali cykl życiowy kleszcza, który przystosował się do pasożytowania i na fagorze, i na człowieku. Przeprowadzili analizę składu andezytowej skorupy Helikonii. Od najbliższego po najistotniejszy, wszystkie fakty trzeba było gromadzić, analizować i przekazywać na Ziemię. Wydawało się, że Helikonię można rozebrać, atom po atomie, i wysłać przez galaktykę gdzieś indziej. Naturalnie, odtwarzano ją w pewnym sensie na Ziemi, w encyklopediach i środkach masowego nauczania.

Kiedy z „Avernusa” obserwowano, jak na wschodzie para słońc wstaje nad bastionami łańcucha Nktryhk, których niejeden szczyt górował w stratosferze, kiedy blask i cień ze słońc zrodzony zarzucał w głębiny atmosfery sieć tajemnicy, wówczas co romantyczniejsze dusze z pokładu „Avernusa” zapomniały o swoich faktach i marzyły o uczestnictwie w prymitywnych procesach zachodzących tam w dole. na dnie oceanu powietrza.

Opatulone postacie, klnąc i utyskując, ciągnęły w mroku do Wielkiej Wieży. Mroźny wiatr dmuchał ze wschodu, poświszcząc wśród starożytnych wież, bił w twarze i zdobił szronem okolone brodami wargi. Siódma godzina, wiosenny wieczór, najgłębsza ciemność.

Przybywający zatrzasowali za sobą wykoślawione drewniane drzwi. prostowali się i obwoływali swe przybycie. Następnie wchodzili po kamiennych stopniach do komnaty Aoza Roona. Ogrzewała ją gorąca woda, która płynęła w kamiennych rurach z piwnicy. Górne izby, aż po szczyt wieży, położone dalej od źródła ciepła, były zimniejsze. Lecz tej nocy wichura wciskająca się setkami szpar wyziębiła wszystko.

Aoz Roon jako lord Oldorando przewodniczył pierwszemu zebraniu rady. Ostatni przybył stareńki mistrz Datnil Skar, głowa cechu garbarzy i białoskórników. Był także najstarszy z obecnych. Powoli wstąpił w krąg światła, zerkając nieufnie na wszystkie strony. Jakby się spodziewał pułapki. Starzy zawsze podejrzliwie witają zmianę rządów.

Na środku podłogi z przepychem zasłanej skórami płonęły w lichtarzach dwie świece. Chybotliwe płomyki odchyłały się ku zachodowi, śladem dwóch smużek dymu. W niepewnym blasku świec mistrz Datnil ujrzał zasiadającego na drewnianym krześle Aoza Roona oraz dziewięć osób siedzących na skórah. Poznał sześciu mistrzów pozostałych sześciu cechów wyrobniczych i pokłonił się im z osobna, uprzednio złożywszy pokłon Aozowi Roonowi. Dwaj łowcy, Dathka i Laintal Ay, zasiedli tuż obok siebie, jakby się mieli na baczności. Datnil Skar nie lubił Dathki z tej prostej przyczyny, że chłopak rzucił cech dla – zdaniem mistrza – poronionego życia łowcy, a w ogóle to mistrz nie lubił milczków. Jedyna w tym towarzystwie kobieta. Oyre, z zakłopotaniem utkwiała posępne spojrzenie w podłodze. Siedziała nieco za krzesłem ojca, pod osłoną tańczących na ścianie cieni. Te wszystkie twarze znajome były staremu mistrzowi, tak jak i te upiorne, zawieszzone pod belkami stropu czaszki fagorów i innych wrogów osady. Mistrz Datnil siadł na dywanie przy swojej cechowej braci.

Aoz Roon klasnął w dłonie i z piętra zeszła niewolnica niosąc tacę, a na niej dzban i jedenaście rzeźbionych w drewnie pucharów. Mistrz Datnil odbierając swoją porcję beltelu uprzytomnił sobie, że puchary należały niegdyś do Walia Eina.

– W wasze ręce – rzekł głośno Aoz Roon i wznosił puchar. Wszyscy wypili do dna słodki, mętny trunek. Aoz Roon przemówił. Powiedział, że zamierza rządzić twardszą ręką niż jego poprzednicy. Jak dawniej będzie zasięgał opinii rady, jak dawniej złożonej z mistrzów siedmiu cechów wyrobników. Będzie bronił Oldorando przed wrogami. Nie pozwoli kobietom ani niewolnym mącić obyczajnego życia. Zapewnia, że nikt nie zazna głodu. Pozwoli ludziom zasięgać rady swoich mamików, kiedy tylko zechcą. Uważa akademię za stratę czasu w sytuacji, gdy kobiety mają co innego do roboty.

Większość tego, co mówił, nie miała żadnego znaczenia czy też znaczyła jedynie, że Aoz Roon zamierza rządzić. Rzucano się w oczy, że przemawia jakoś dziwnie, jakby zmagął się z demonami. Często oczy wychodziły mu z orbit i ścisnął poręcze krzesła, cierpiąc jakieś wewnętrzne katusze. Toteż mimo że jego wypowiedzi same w sobie były banalne, sposób ich wygłaszania aż przerażał oryginalnością. Wicher wył, głos Aoza Roona to dudnił, to znów cichł.

– Laintal Ay i Dathka są moimi namiestnikami i pilnują wykonania moich rozkazów. Są młodzi i rozsądni. Ale dość gadania.

Mistrz cechu browarników przerwał mu jednak stanowczym głosem.

– Działasz, panie, nazbyt szybko dla tych z nas, co myślą powoli. Niektórzy z tu obecnych mieliby pewnie ochotę zapytać, dlaczego mianujesz swymi namiestnikami dwie sadzonki, mając wokół siebie mężczyzn jak dęby, zdutniejszych do tej służby.

– Dokonałem wyboru – rzekł Aoz Roon, plecami trać o oparcie krzesła.

– Ale być może dokonałeś go nazbyt szybko, panie. Zważ, jak wieki mamy zdutnych ludzi... co powiesz o tych z twojego pokolenia, jak Elin Tal i Tanth Ein?

Aoz Roon uderzył pięściami w poręcz krzesła.

– Trzeba nam młodości, wigoru. Taki jest mój wybór. Możecie już odejść, wszyscy.

Z wolna podniósł się Datnil Skar.

– Wybacz mi, panie, ale taka pośpieszna odprawa tobie przynosi ujmę, nie nam. Czy jesteś chory, czy cierpisz ból?

– Na łon, człowieku, odejdz, gdy proszą. Oyre...

– Obyczajem twojej rady mistrzów jest wypić, panie, na twoją cześć. Wnieść toast za pomyślność twojego panowania.

Lord Embruddocku wywrócił oczy ku belkom powały i z powrotem w dół.

– Mistrzu Datnilu. wiem, że wy. starcy, macie krótki oddech, a długą mowę. Dajcie mi spokój. Odejdz, proszę, nim zostanę zmuszony i ciebie zastąpić. Wynoście się wszyscy, dziękuję wam i do widzenia, wynoście się, bo pogoda podła.

– Ależ...

– Precz!

Z jękiem objął się ramionami. Grubiańsko odprawieni starcy z rady wyszli szemrząc, wydymając w oburzeniu bezzębne usta. Niedobry to znak... Laintal Ay i Dathka odeszli kręcąc głowami.

Pozostawszy sam na sam z córką, Aoz Roon padł na podłogę drapiąc się i tarzając od ściany do ściany, jęcząc i wierzgając.

– Masz ten lek z gęsiego sadła od pani Datnilowej? – spytał córkę.

– Mam, ojczu.

Oyre wyjęła skórzane puzderko pełne tłustej maści.

– Będziesz musiała natrzeć mi tym ciało.

– Nie mogę tego zrobić, ojczu.

– Ależ możesz i zrobisz to.

W jej oczach pojawiły się błyskawice.

– Nie zrobię. Słyszałaś, co powiedziałam. Zawołaj sobie niewolnicę. Od tego przecież jest. Albo wezwę Rol Sakil. Doskoczył do niej warcząc jak pies.

– Ty to zrobisz. Nie mogę pozwolić, aby ktoś inny zobaczył mnie w takim stanie, bo wieść zaraz się rozniesie. Wszystko by się w y d a ł o, n i e r o z u m i e s z? Zrobisz to, zarazo, albo ci skręcę ten twój łośński kark. Upartaś jak Shay Tal.

Jej płaczące protesty wywołały tylko nowy wybuch gniewu.

– Zamknij oczy, skoroś taka wstydliva, zrób to z zamkniętymi ślepiami Nie musisz patrzeć Ale pośpiesz się, zanim wyskoczę ze szlei. Ściągając już z siebie skóry, wciąż z szaleństwem w oku, rzekł:

– A ciebie związę z Laintalem Ayem, zamykając wam obojgu usta. Bez żadnego ale. Widziałem. Jak na ciebie patrzy. Pewnego dnia wy będziecie rządzić Oldorandem.

Spuścił spodnie, stając przed nią całkiem nagi. Ze wstrętu zrobiło jej się niedobrze, zacisnęła mocno powieki na takie poníženie i odwróciła głowę. Nie zdołała jednak odegnąć widoku tego silnego, szczupłego, bezwłosego ciała, które zdało się wic pod własną skórą. Jej Ojca od stóp po szyję okrywały szkarłatne płomienie.

– Bierz z się do roboty, ty głupia fildo. Konam z bólu, psiakrew, umieram!

Oire wyciągnęła rękę i zaczęła nakładać mu lepki łój na pierś i brzuch. Gdy skończyła, wybiegła na dwór miotając przekleństwa i wystawiwszy twarz na zimny wicher zwymiotowała z obrzydzenia.

Takie były pierwsze dni panowania jej ojca.

Gromadka Madisów w swoich niezgrabnych okryciach leżała pogrążona w niespokojnym śnie. Spoczywali w kamienistej kotlinie, milami bezdroży oddzielonej od Oldorando. Wartownik drzemał. Otaczały ich łupkowe ściany. Zęby mrozu skruszyły łupek na cienkie płytki, które chrzęściły pod stopami. Roślinności tutaj nie było. oprócz nielicznych karłowatych ostrokrzewów, o liściach zbyt gorzkich nawet dla wszystkożernych arangów.

Madisów zaskoczyła gęsta mgła, jaka często nawiedza te górskie rejony. Nadciągnęła noc, więc podupadli na duchu pozostali na miejscu. Batahksa już weszła nad światem, lecz mrok i mgła jeszcze królowały w zimnej szczelinie kanionu, gdzie pragnostycy wciąż zażywali nerwowej drzemki.

Na wzniesieniu wiele stóp ponad mmi Yohl-Gharr Wyrrijk, komendant z krucjaty młodego kzhahna, stał obserwując, jak mieszany oddział gild i czabanów z jego rozkazu podkrada się do bezbronnej gromadki.

Przyczajona w mroku rodzina liczyła dziesięcioro dorosłych, niemowlę i troje dzieci. I siedemnaście krzepkich arangów, podobnych do kóz zwierząt o gęstym futrze, które zaspokajały większość skromnych potrzeb nomadów. W rodzinie Madisów panowała całkowita swoboda seksualna. Warunki bytowania sprawiły, że parzyli się z kim popadło, nie istniały też żadne tabu kazirodztwa. Leżeli ciasno przytuleni do siebie dla zachowania ciepła, a ich rogate czworonogi podczołgały się blisko, tworząc jak gdyby zewnętrzny pierścień ochronny przed zimnem przenikającym do szpiku kości. Tylko wartownik przebywał na zewnątrz tego pierścienia. a i on przysnął jak niewinne niemowlę, wsparłszy głowę na kudłatym boku aranga. Pragnostycy nie mieli broni. Ich jedyną obroną była ucieczka. Zdali się na osłonę mgły. Ale bystre oczy fagorów wypatrzyły Madisów.

W trudnym terenie Yohl-Gharr Wyrrijk odbił od głównych sił armii Brahla Yprta. Wojownicy Wyrrijka niemal tak samo przymierali głodem jak pragnostycy, których podchodzili. Ściskali pałki i oszczepy. Chrapanie i posapywania Madisów tłumiły chrzęst kroków na łupkowej ściółce. Jeszcze chwila. Wartownik obudził się z drzemki i siadł pełen przerażenia. Z wilgotnej mgły jak duchy wyłaniały się odrażające postacie. Wrzasnął. Jego towarzysze skoczyli na równe nogi. Za późno. Z dzikimi okrzykami (agory runęły do ataku, bijąc bez litości. Niemal w mgnieniu oka wszyscy pragnostycy leżeli martwi, a wraz z nimi ich maleńkie stado. Dostarczyli białka krucjacie młodego kzhahna. Yohl-Gharr Wyrrijk zszedł ze szczytu skały pokierować rozdziałem łupu. Z mgły wypłynęła Bataliksa. mętna czerwona kula, i zajrzała do żałobnego kanionu.

Był to rok 361 Małej Apoteozy Wielkiego Roku 5634000 od Katastrofy. Krucjata już od ośmiu lat zdążała do celu. Jeszcze pięć lat i stanie pod miastem Synów Freyra. Ale jak dotąd żadne ludzkie oko nie dopatrzyło się związku pomiędzy losem Oldorando, a tym co zaszło w dalekim bezlistnym kanionie.

VII. ZIMNE POWITANIE FAGORÓW

– Lord czy nie lord, to on będzie musiał do mnie przyjść – powiedziała dumnie Shay Tal, kiedy razem z Vry nie mogły zasnąć w ciszy półdnia.

Lecz nowy lord Embruddocku również miał swoją dumę i nie przyszedł. Jego panowanie okazało się ani lepsze, ani gorsze od panowania poprzedników. Nadal miał z jednych powodów na pieńku z radą, a ze swymi młodymi namiestnikami z innych. Rada i lord zgadzali się, gdzie tylko mogli, dla świętego spokoju, a jedyną kwestią, w której zgadzali się bez zastrzeżeń, była kłopotliwa akademia. Niezadowolenie należy dusić w zarodku. Potrzebując kobiet do zbiorowej pracy nie mogli im zakazać zgromadzeń, toteż zakaz niczego nie załatwiał. Nie został jednak odwołany i to rozdrażniło kobiety. Shay Tal i Vry spotkały się na osobności z Laintalem Ayem i Dathką.

– Rozumiecie, o co nam chodzi – powiedziała Shay Tal. – Namówcie tego uparciucha, żeby zmienił zdanie. Jest z wami w dobrej komitywie, a ze mną na noże.

Spotkanie dało tylko tyle, że Dathką zaczął robić słodkie oczy do małomówniej Vry. A Shay Tal zhardziała jeszcze bardziej.

Kilka dni później, wracając z jednej ze swoich samotnych wędrówek, Laintal Ay wstąpił po Shay Tal. Zabłocony siedział pod domem kobiet, dopóki nie wyszła z warzelni. Pojawiła się w towarzystwie dwóch niewolnic z tacami pełnymi bochenków świeżego chleba. Za niewolnicami jak cień kroczyła Vry. Znów oto Oldorando miało swój chleb i Vry znów ruszała dopilnować podziału, jednak Shay Tal zdążyła jeszcze porwać dodatkowy bochenek dla Laintala Aya. Podała mu chleb z uśmiechem, odrzuciwszy niesforny lok z czoła

Pałaszował chleb ze smakiem, przytupując dla rozgrzewki. Łagodniejsza pogoda, tak jak i nowy lord, przyniosła więcej zamieszania niż pożytku. Teraz było znów zimno i krople wilgoci zamarły na czarnych rzęsach Shay Tal. Wszystko jak okiem sięgnąć spowiła biel. Rzeka nadal toczyła fale, szeroka i ciemna, ale przy brzegach szczyrzyła lodowe zęby.

– Jak tam mój młody namiestnik? Ostatnio rzadziej cię widuję.

Przełknął resztkę chleba, pierwszy posiłek od trzech dni.

– Łowy są ciężkie. Musimy zapuszczać się coraz dalej w teren. Teraz, gdy znowu jest zimniej, może jelenie podejść bliżej domu.

Miał się na baczności, patrząc na stojącą przed nim kobietę w za luźnym futrze. W jej zewnętrznym spokoju i wewnętrznym napięciu było coś, co przyciągało do niej ludzi i odpychało zarazem. Jeszcze nim przemówiła, uświadomił sobie, że przejrzała jego wykręty.

– Mam o tobie wysokie mniemanie, Laintalu Ayu, tak jak miałam o twojej matce. Wspomnij jej mądrość. Wspomnij jej przykład i nie obracaj się przeciwko akademii wzorem niektórych swoich przyjaciół.

– Wiesz, jak uwielbia cię Aoz Roon – wyrwało mu się.

– Wiem, jak to okazuje.

Widząc jego zakłopotanie złagodniała i wzięwszy go pod rękę zaczęła wypytywać, skąd wraca. Idąc z nią, raz po raz zerkając na jej ostry profil, opowiadał o zrujnowanej osadzie, którą napotkał wśród pustkowi. Na wpół zarzucone głazami opuszczone uliczki biegingy jak wyschnięte łożyska potoków, mające domy bez dachów za nabrzeża. Wszystkie drewniane elementy zostały wyrwane bądź zbutwiały. Kamienne schody wznosiły się ku piętróm, które zniknęły dawno temu, okna wyglądały na krajobraz skalnych rumowisk. W progach rosły trujące grzyby, wiatry zawiwały śniegiem paleniska, ptaki uwiły gniazda w wyrwach.

– To pozostałość po katastrofie – rzekła Shay Tal.

– To dzień dzisiejszy – odparł naiwnie i zaczął opowiadać o spotkaniu z małą grupką fagorów – nie wojowników, tylko nędznych grzybojadów, które wystraszyły się jego tak samo, jak on ich.

– Niepotrzebnie ryzykujesz życiem.

– Muszę... muszę się czasem wyrwać.

– Nigdy nie wysunęłam nosa z Oldorando. Muszę, muszę... pragnę wyrwać się tak jak ty. Jestem uwięziona. Pocieszam się tylko, że wszyscy jesteśmy więźniami.

– Nie rozumiem tego, Shay Tal.

– Zrozumiesz. Najpierw los kształtuje nasz charakter, potem charakter kształtuje nasz los. Ale skończmy z tym... jesteś jeszcze za młody.

– Nie jestem za młody, aby ci pomóc. Wiesz, dlaczego boją się akademii? Może zakłócić spokojny bieg życia. A ty nam powiadasz, że wiedza służy ogólnemu dobru, czyż nie tak?

Patrzył na nią na pół z uśmiechem, na pół kpiąco, aż zajrzawszy w jego oczy pomyślała: Tak, teraz rozumiem, co czuje do ciebie Oyre. Skinęła głową, odwzajemniając jego uśmiech.

– Zatem musisz udowodnić swoją rację.

Uniosła cienką brew, nic nie mówiąc. Wyciągnąwszy do niej pięść otworzył brudne palce. Na jego dłoni leżały kłosa dwóch traw, jeden z nasionami zebranych w delikatne dzwoneczki, drugi w kształcie miniaturowej miotełki.

– No więc, co nam powie o nich akademie szanownej pani, czy zna ich nazwy?

Po chwili wahania rzekła:

– To jest owies i żyto, zgadza się? – Poszukała w skarbnicy ludowej mądrości. – Stanowiły ongiś dziedzinę... rolnictwa.

– Zerwałem je pod zrujnowaną osadą, rosły dziko. Kiedyś mogły ich być całe pola... przed tą twoją katastrofą... Tam są jeszcze inne dziwne rośliny, pną się w osłoniętych miejscach po gruzach. Można zrobić z tych ziaren dobry chleb. Jeleniom one smakują – kiedy pastwiska obrodzą, łanie wybierają owies, zostawiając żyto.

Poczuła łaskotanie wąsów żyta, gdy przerzucił kłosa na jej dłoń.

– Dlaczego mnie je przyniosłeś?

– Zrób nam lepszy chleb. Znasz sekrety wypieku. Ulepsz chleb. Udowodnij wszystkim, że wiedza służy ogólnemu dobru. Wówczas zakaz działalności akademii zostanie uchylony.

– Łebski z ciebie chłopak – powiedziała. – Nadzwyczajny. Pochwały wprawiły go w zakłopotanie.

– Och, w dzikiej głuszy wschodzi wiele roślin, które można wykorzystać z pożytkiem dla nas. Zbierał się do odejścia.

– Oyre ostatnio jest jakaś markotna – zauważyła Shay Tal. – Co ją gryzie?

– Jesteś mądra... myślałem, że zgadniesz.

Ścisnęła kłosa, obciągnęła na sobie futro.

– Przychodź do mnie częściej porozmawiać – powiedziała ciepło. – Nie odrzucaj mojej przyjaźni.

Niewyraźnie uśmiechnąwszy się, poszedł w swoją stronę. Nie mógł wyjawić ani Shay Tal, ani nikomu, że obecność przy zabójstwie Nahkriego rzuciła cień na jego duszę. Głupcy bo głupcy, Nahkri i Klils byli mu przecież wujami i cieszyli się życiem. Ten koszmar ciągnął się za nim, choć minęły już dwa lata. Podejrzewał, że i jego kłopoty z Oyre mają to samo źródło. Do Aoza Roona żywił teraz skrajnie sprzeczne uczucia. Mord odstręczył nawet Oyre od własnego ojca. Trzymając język za zębami Laintal Ay czuł się współnikiem zbrodni potężnego protektora. Stał się niemal takim samym

milczkiem, jak Dathka. Kiedyś na samotną włóczęgę gnały go radość życia i żądza przygód, obecnie smutek i niepokój.

– Laintal Ay!

Obejrzał się na wołanie Shay Tal.

– Zajdź do mnie, to poczekamy na Vry.

Zaproszenie ucieszyło go i zażenowało. Pośpiesznie przemknął za nią do nędznej izby nad świniami, mając nadzieję, że nie widzi go nikt z łowieckiej kompanii. Po zimnie na dworze poczuł się senny w zaduchu izby. Stara, zwiędła matka Shay Tal siedziała w kącie na dziurze ustępu, przez którą odchody leciały na dół wprost między zwierzęta. Świstek Czasu odgwiżdżał godzinę, zapadał już mrok. Laintal Ay pozdrowił staruszkę i siadł na skórkach przy Shay Tal.

– Zbierzemy więcej takich nasion i założymy poletka żyta i owsa – powiedziała.

W jej głosie wyczuł zadowolenie. Niebawem przyszły Vry i Amin Lim, pulchna, macierzyńska młoda dziewczyna, która mieniła się pierwszą adeptką Shay Tal. Amin Lim z miejsca podążyła w głąb izby i siadła oparta plecami o ścianę, pragnąc jedynie słuchać i widzieć Shay Tal.

Vry też nie pchała się nigdy na plan pierwszy. Drobną z niej była dziewczyna. Pod srebrzystoszarym futrem sterczały jej piersi, jak dwie cebule za pazuchą. Wąska buzia Vry mimo bladości mogła się podobać, gdyż opromieniał ją blask głęboko osadzonych oczu. Nie pierwszy raz Laintal Ay pomyślał, że Vry jest podobna do Dathki; może Dathkę to właśnie w dziewczynie pociągało. Włosy stanowiły jej prawdziwą ozdobę. Gęste i ciemne, w promieniach słońca nabierały kasztanowej barwy, w przeciwieństwie do czarnych jak noc włosów oldorandek. To jedynie wskazywało na mieszane pochodzenie Vry, której matką była jasnowłosa i jasnolica branka z południa Borlien, wcześniej zmarła w niewoli.

W Oldorando wszystko zachwycało maleńką Vry. zbyt małą, aby żywić urazę do krzywdzicieli. Zwłaszcza kamienne wieże i rury z gorącą wodą budziły jej dziecięcy zachwyt. Zасыpywała wszystkich pytaniami, ale serce oddała Shay Tal, która zawsze znalazła na wszystko odpowiedź. Shay Tal doceniła bystrość umysłu dziewczynki. Nauczyła ją czytać i pisać. Vry została jedną z najzagorzalszych orędowniczek akademii. A że ostatnimi laty przychodziło na świat więcej dzieci, uczyła je oloneckiego abecadła.

Vry i Shay Tal wdały się w rozmowę o swoim odkryciu systemu korytarzy pod miastem. Wszystkie wieże łączyła z północy na południe i ze wschodu na zachód sieć tuneli – to znaczy łączyła ongiś; trzęsienia ziemi, powodzie i inne klęski żywiołowe zatarasowały bowiem wiele przejść. Shay Tal marzyli o dotarciu do na wpół zasypanej piramidy przy ołtarzu ofiarnym, kryjącej – jak przypuszczała – nieprzebrane skarby, jednak wszystkie korytarze do piramidy po samo sklepienie wypełniał il.

– Jest wiele rozmaitych połączeń, o jakich nam się nie śniło. Laintalu Ayu – powiedziała. – Żyjemy na powierzchni ziemi, ale słyszałam, że w Pannowalu ludzie pędzą wygodny żywot pod ziemią i podobnie – zdaniem przejezdnych kupców – w Ottassolu na południu. Być może tunele łączą się ze światem dolnym, zamieszkanym przez mamiki i mamimy. Gdyby tak, jak dla ducha, udało się odnaleźć do nich drogę dla naszego ciała, sięgnęlibyśmy po tkwiącą w ziemi wielką wiedzę. Aoz Roon byłby zadowolony.

Ciepło rozebrało Lamtala Aya, więc senny kiwał jedynie głową.

– Wiedza to nie tylko coś, co tkwi w ziemi jak brassimipa – wtrąciła Vry – Wiedzę można tworzyć poprzez obserwacje. Moim zdaniem i w powietrzu istnieją korytarze na kształt tych pod nami. Nocą obserwuję gwiazdy, jak wschodzą i zachodzą. Jak wędrują po niebie. Pewne gwiazdy wędrują własnymi korytarzami.

– One są za daleko, żeby miały na nas jakiś wpływ.

– Wcale nie. Wszystkie należą do Wutry. A to, co Wutra czym w górze, musi mieć na nas wpływ.

– Bałaś się podziemi – rzekła Shay Tal

– A pani boi się gwiazd – odpaliła bez namysłu Vry. Laintal Ay był zdumiony słysząc, jak jego rówieśniczka, ta nieśmiała, młodzianka kobieta odrzuca zwykłą sobie potulność i odzywa się w ten sposób do Shay Tal; dziewczyna zmieniła się tak samo, jak ostatnio pogoda. Shay Tal jakby to nie przeszkadzało.

– Do czego nadają się te podziemne korytarze – zapytał. – Jakie mają znaczenie?

– Są tylko pamiątką po jakiejś dawno minionej przeszłości. Przyszłość leży w niebiosach – powiedziała Vry Ale Shay Tal oświadczyła stanowczo

– One dowodzą tego. czemu zaprzecza Aoz Roon: że to podwórko, na którym żyjemy, to był niegdyś wspaniały ogród. pełen sztuk i nauk. i ludzi, lepszych od nas. Ludzi było więcej, musiało być ich więcej – tyle jest teraz mamunów – i byli wspaniale odziani, jak Loila Bry. I mieli w głowach więcej myśli jak ogniste ptaki. My, z naszym błotem w głowach, jesteśmy tym, co po nich zostało.

W trakcie rozmowy Shay Tal co chwila wymieniała imię Aoza Roona, za każdym razem ze spojrzeniem wbitym w ciemny kąt izby.

Minęły mrozy i przyszły deszcze, a po nich znów mrozy, jak gdyby pogoda specjalnie uwzięła się na mieszkańców Embruddocku. Kobiety pchały swój kierat i marzyły o innych miejscach.

Fałdy Wzgórz jak pręgi biegły przez nizinę mniej więcej ze wschodu na zachód. Resztki zasp śnieżnych wciąż zalegały synkliny w górnych partiach stoków od północnej strony – nędzne resztki śnieżnego całunu, nie tak dawno otulającego całą krainę. Teraz śnieg był dziobaty, podziurawiony przez zielone kielki, z których każdy uformował sobie maleńką okrągłą kotlinkę i królował w niej niepodzielnie. Poniżej linii śniegów ciągnęły się olbrzymie rozlewiska – najbardziej uderzający element nowego pejzażu. Poprzecinały cały krajobraz równoległymi jeziorami w kształcie ryby, w których przeglądały się skrawki zachmurzonego nieba. Okolica stanowiła kiedyś bogate tereny łowieckie. Ze śniegami odeszła zwierzyna, przenosząc się na suchsze pastwiska wśród wzgórz. Jej miejsce zajęły stada czarnych ptaków, flegmatycznie brodzących u brzegów okresowych jezior.

Dathka z Laintalem Ayem leżeli na grani i obserwowali maszerujące sylwetki. Młodzi łowcy byli przemoczeni do suchej nitki i w złych humorach. Dathka nachmurzył czoło i oczy zwęziły mu się w pociągłej, posępnej twarzy. Malutkie sierpy wody wypełniały zagłębienia odcisnięte palcami w grząskim gruncie. Wokół gulgotała opita ziemia.

Nieco niżej sześciu zgorzkniałych łowców przysiadło na piętach, kryjąc się za granią; obojętnie wyczekiwali komendy swoich przywódców, chuchając na wilgotne kciuki i śledząc wzrokiem ptaki przelatujące po niebie.

Wyśledzone sylwetki maszerowały na wschód grzbietem sąsiedniego pasma wzgórz, jedna za drugą w rzędzie, z opuszczonymi głowami dla osłony przed mżawką. Za rzędem sylwetek szerokim zakolem rozlał się Voral. Przycumowane na brzegu rzeki stały trzy łodzie, które przywiozły nieproszonych gości na odwieczne tereny łowieckie oldorandczyków. Pochodzenie intruzów zdradzały wysokie buty z grubej skóry i kapelusze w kształcie garnka.

– To Borlieńczycy – powiedział Laintal Ay. – Przegrali stąd całą zwierzynę. Teraz my musimy ich przegnać.

– Jak? Za mało nas – rzekł Dathka nie odrywając oczu od maszerujących w dali sylwetek. –

Tereny są nasze. Ale ich jest ponad cztery garście...

– Jedno na pewno możemy zrobić: spalić im łodzie. Głupcy zostawili tylko dwóch ludzi na straży. Tych załatwimy.

Zamiast na zwierzynę, której nie było, równie dobrze mogli zapolować na Borlieńczyków. Od jednego z pojmanych niedawno południowców dowiedzieli się o nieszczęściu Borlien. Ludzie mieszkali tam w budynkach z gliny, na ogół jednopiętrowych – na dole zwierzęta, na piętrze gospodarze. Ostatnie niespotykane ulewy doszczętnie rozmyły lepianki; cała ludność została bez dachu nad głowią.

Oddział Laintala Aya skradał się do łodzi nad Vorałem w przybierającym na sile deszczu. Był początek zimy. Z południa szła ulewa. Kapryśnie zacinając skraplała piechurów coraz rzęsiściej, aż lunawszy wreszcie ciężkimi kroplami zabębniła im po plecach, zalewając twarze. Zdmuchiwała krople wody z płaskich nosów. Jeszcze kilka lat temu żaden z nich nie wiedział, co to deszcz; w grupie nie było łowcy, który by nie tęsknił do rześkich dni dzieciństwa, ze śniegiem po kolana i stadami jeleni po horyzont. Teraz horyzont zniknął w brudnoburej pomroce, a grunt spływał wodą.

Już pod osłoną szarugi dotarli nad brzeg rzeki. Tu człowiekowi po kolana sięgały gęste, mimo niedawnych mrozów, i soczyste trawy, pochylone i migotliwe w strugach deszczu. Biegając nie widzieli nic prócz falujących traw, ciężarnych chmur i mętnej wody tej samej barwy, co chmury. Ryby chlupały głośno w rzece, wyczuwając rozrastanie się ich żywiołu.

Dwaj borlieńscy wartownicy, skuleni w łodzi na deszczu, zginęli bez stawiania oporu; być może woleli umrzeć, niż dalej moknąć. Ciała wyrzucono za burtę. Unosiły się przy łodziach plamiąc nurt krwią, podczas gdy krześnik łowców daremnie usiłował skrzesać ogień; płytka w tym miejscu rzeka nie chciała zabrać trupów, mimo że odpychano je wiosłami. Powietrze uwięzione pod ubraniem ze skór utrzymywało zwłoki tuż przy krostowatej od kropli deszczu powierzchni wody.

– Dobrze, już dobrze – powiedział zniecierpliwiony Dathka. – Zostaw to krzesanie. Lepiej rozbierzmy łodzie na kawałki, chłopaki.

– Sami możemy skorzystać z tych łodzi – rzucił myśl Laintal Ay. – Powiosłujemy sobie do Oldorando.

Reszta biernie śledziła spór dwóch młodzików.

– Co powie Aoz Roon, jak wrócimy, do domu bez mięsa?

– Pokażemy mu łodzie.

– Nawet Aoz Roon nie jada łodzi.

Uwagę przyjęto śmiechem. Wleźli do łodzi i niewprawnie wzięli się do wiosła. Trupy zostały za nimi. Dopłynęli jakoś do Oldorando, pod siekący im w twarze deszcz. Aoz Roon ponuro powitał swych podwładnych. Popatrzył na Laintala Aya i pozostałych łowców w milczeniu, które uważali za gorsze od obelg, gdyż odbierało im możliwość obrony. W końcu odwrócił się do nich tyłem, przez otwarte okno wyglądając na ulewę.

– Możemy głodować. Głodowaliśmy nieraz. Ale szykują nam się inne kłopoty. Grupa Faralina Ferda powróciła z wyprawy łowieckiej na północ. Wypatrzyli z daleka bandę fugasów na kaidawach, zmierzającą w naszą stronę. Mówią, że wyglądało to na wyprawę wojenną.

Łowcy popatrzyli po sobie.

– Ile ich było? – spytał któryś.

Aoz Roon wzruszył ramionami.

– Czy jechały od jeziora Dorzin? – zapytał Laintal Ay.

Aoz Roon ponownie wzruszył ramionami, jakby uważał pytanie za nieistotne. Obrócił się do słuchaczy, przygważdżając ich ponurym spojrzeniem.

– Jaką taktykę uważacie za najlepszą w tych warunkach?

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytanie, sam sobie jej udzielił:

– Nie jesteśmy tchórzami. Wyruszymy naprzeciw i zaatakujemy, zanim dotrą tutaj i spróbują spalić Oldorando, czy co im tam chodzi po ich tępych szlejach.

– Nie napadną nas w taką pogodę – odezwał się starszy wiekiem łowca. – Nie cierpią wody. Tylko w szalonej furii wyskoczy fugas na ulewę. Woda uszkadza im futra.

– Czasy są szalone – rzekł Aoz Roon, chodząc niespokojnie tam i z powrotem. – Świat tonie w deszczu. Kiedy ten łoński śnieg ma zamiar wrócić?

Odprawiwszy wszystkich pobrnął po błocie w odwiedzinach do Shay Tal. Siedziały u niej Vry i jeszcze jedna bliska przyjaciółka. Amin Lim, zajęte kopiowaniem jakichś hieroglitów. Shay Tal odprawiła obie bez ceregieli. Spoglądali na siebie z rezerwą, ona na jego mokrą twarz i minę kogoś, kto ma więcej do powiedzenia, niż umie wyrazić. on na jej zmarszczki pod oczami, na pierwsze siwe włosy połyskujące w jej czarnych lokach.

– Kiedy deszcz przestanie padać?

– Pogoda znowu się psuje. Chcę zasiać żyto i owies.

– Jesteś podobno bardzo mądra – ty i twoje kobiety... Powiedz mi, co to będzie.

– Nie wiem. Idzie zima. Może zrobi się zimniej.

– A śnieg? Dałbym nie wiem co, żeby ten przeklęty śnieg wrócił, a deszcz poszedł w cholere.

Gniewnym ruchem wznosił pięść i zaraz ją opuścił.

– Jeśli zrobi się zimniej, z deszczu zrobi się śnieg.

– Na gówna Wutry, to ci kobieca logika Znikąd pewności na tym cholernie niepewnym świecie Nie jesteś tego pewna, Shay Tal?

– Nie bardziej niż ciebie.

Obrócił się na pięcie, ale jeszcze przystanął w drzwiach.

– Jeśli twoje kobiety nie będą pracować, nie będą jeść. Nie możemy pozwalać ludziom na leniuchowanie, sama rozumiesz.

Odszedł, nawet się nie obejrząwszy. Podążyła za nim do drzwi i w progu przystanąła z marszem na czole. Była zła. bowiem nie miała okazji raz jeszcze dać mu kosza, raz jeszcze podbudować wiarę w siebie. I czuła, że tak naprawdę nie o mej myślał, tylko o ważniejszych sprawach. Obciągnęła na sobie lichy przyodziewek i wróciwszy do izby siadła na pościeli. W tej pozycji pozostała do nadejścia Vry. lecz na widok młodej przyjaciółki poderwała się z poczuciem winy.

– Nigdy nie traćmy pewności – powiedziała. – Gdybym była czarodziejką, przywróciłabym śniegi Aozowi Roonowi.

– Jesteś czarodziejką – z wiarą odparła Vry.

Wiść o nadciąganiu fagorów rozeszła się szybko. Kobiety, które pamiętały ostatnią napaść na miasto, nie mówiły o niczym innym. Gadały nocą, opite bełtelem, przewracając się na pościeliach, gadały o tym skoro świt, mieląc ziarno przy gęsiej łożówce

– Stać nas na więcej niż gadanie – oznajmiła im Shay Tal. – Macie mężne serca, kobiety, nie tylko ostre języki. Pokażemy Aozowi Roonowi, co potrafimy. Posłuchajcie, jaki mam pomysł.

Uradziły, że akademia, która stale musi usprawiedliwiać swoje istnienie wobec mężczyzn, przedstawi plan walki i ocalenia Oldorando. Wybrawszy odpowiedni teren kobiety w jakimś bezpiecznym miejscu wystawią się fagorom na widok. Kiedy fagory się zbliżą, wpadną w zasadzkę i zostaną wyrżnięte w pień przez zacząjonych z obu stron łowców. Omawiając ten plan kobiety darły się i domagały krwi. Ustaliwszy wszystkie szczegóły ku ogólnemu zadowoleniu, wybrały na wysłanniczkę do Aoza Roonu jedną z najładniejszych dziewcząt, prawie w wieku Vry wybór padł na

Dol Sakil, córkę starej położnej Rol Sakil. Oyre odprowadziła Dol pod wieżę ojca, któremu dziewczyna miała przekazać ukłony od Shay Tal i jej prośbę o przybycie do domu kobiet, gdzie zostanie mu przedstawiony plan pobicia wroga.

– Myślisz, że on w ogóle zwróci na mnie uwagę? – odezwała się Dol.

Oyre z uśmiechem popchnęła ją do drzwi.

Kobiety czekały; na dworze lał deszcz. Koło południa wróciła Oyre. Sama i wściekła. W końcu wywaliła całą prawdę: ojciec odrzucił zaproszenie... a przyjął Rol Sakil. Uznał ją za dar od akademii. Dol zamieszkała z nim na stałe.

Na tę wieść Shay Tal ogarnął szał wściekłości. Tarzała się po podłodze. Skakała jak opętana. Wrzeszczała i rwała włosy z głowy. Wygrażała i klęła, przysięgając zemstę wszystkim debilowatym mężczyznom. Prorokowała, że fagory żywcem pożrą ich wszystkich, podczas gdy rzekomy lord gnije sobie w łóżku, kopulując z debilowatym dzieciakiem. Wygadywała straszne rzeczy. Przyjaciółki nie mogąc jej uspokoić odeszły przerażone. Vry i Oyre przepędziła sama.

– To przykre – powiedziała Rol Sakil – ale przyjemne dla Dol. Po czym Shay Tal ogarnęła na sobie ubranie i z krzykiem wypadła na ulicę, zatrzymując się pod Wielką Wieżą, w której mieszkał Aoz Roon. Z twarzą w strugach deszczu, na całe gardło wyklinała jego skandaliczny postępek, domagając się, by do niej wyszedł. Krzyczała tak wielkim głosem, że towarzysze cechowi i łowcy wybiegli na dwór posłuchać. Chroniąc się przed deszczem pod ściany zniszczonych budynków, stali z założonymi rękami i szczyrzyli zęby pośród ulewy przygniatającej parę z gejzerów do samej ziemi i pośród błota, które bulgotało im spod butów.

Aoz Roon wychylił się z okna wieży. Spojrzał z góry i kazał Shay Tal się wynosić. Wrzasnęła, że jest ohydny, a jego postępowanie ściągnie zgubę na cały Embruddock. W takiej to krytycznej chwili przybył Laintal Ay, ujął Shay Tal za ramię i zagadnął łagodnie. Słuchając przestała na moment krzyczeć. Nie ma co rozpaczać – mówił. Łowcy wiedzą, jak sobie poradzić z fagorami, wie i Aoz Roon. Ruszą do walki, gdy tylko poprawi się pogoda.

– Gdy! Jeśli! A coś ty za jeden, żeby stawiać warunki, Laintalu Ayu? Wy, mężczyźni, jesteście słabi jak dzieci! – Wzniósła pięści do nieba. – Albo wykonacie mój plan, albo spotka was zguba... i ciebie, Aozie Rooney, słyszysz? Widzę to wszystko wyraźnie oczyma duszy.

– Tak, owszem – próbował ją uspokoić Laintal Ay.

– Nie dotykaj mnie! Wykonajcie plan. Plan albo śmierć! A jeśli ten dureń lord poroniony ma nadzieję pozostać lordem, musi pozbyć się Dol Sakil ze swego wyrka. Gwałciciel dzieci! Biada nam! Biada!

Ciskała złowróżbne klątwy z obłąkaną pewnością siebie. Nie przerywała oracji, wyklinając na różne sposoby głupich i zezwierzęconych mężczyzn. Wszyscy byli pod wrażeniem. Ulewa przybrała na sile. Wieże ociekały wodą. Łowcy szczyrzyli do siebie zębami niewesoło. Na ulicy przybywało widzów żądnych sensacji. Laintal Ay krzyknął do Aoza Roona, że jest przekonany o słuszności tego, co mówi Shay Tal i że radzi mu podporządkować się przepowiedniom. Plan kobiet wydawał się dobry.

Aoz Roon ponownie stanął w oknie. Twarz miał tak ciemną jak futro, które nosił. Mimo gniewu panował jednak nad sobą. Zgodził się wykonać plan kobiet, gdy poprawi się pogoda. Nie wcześniej. Na pewno nie wcześniej. Ponadto ani myśli oddawać Dol Sakil. Jest w nim zakochana i potrzebuje jego opieki.

– Barbarzyńca! Ciemny barbarzyńca! Wszyscy jesteście barbarzyńcy, nadajecie się tylko do tego śmierdzącego podwórka. Nikczemność i ciemnota przywiodły nas do upadku.

Shay Tal maszerowała uliczką tam i z powrotem po błocie, pokrzykując. Pierwszym

barbarzyńcą był dziki gwałcieciel, którego imienia brzydziła się nawet wymówić. Wszyscy żyli na podwórzu zadowoleni jak świnie w błocie, zapomniawszy o wspaniałości niegdysiejszego Embruddocku. Całe te ruiny za żalonymi palisadami to są dawne piękne, obleczone w złoto wieżycy, wszystko, co teraz jest błotem i łajnem, krył kiedyś piękny marmur. Miasto było wtedy cztery razy większe niż obecnie i wszystko było piękne – czyste i piękne. Nie hańbiono kobiet.

Przycisnęła do ciała przemoczone futro i zaszłochała. Nie będzie dłużej żyła w takim plugawym miejscu. Zamieszka daleko stąd, za palisadami. Jeśli nocą nadejdą fagory albo napadną ją podstępni Borlieńczycy – cóż jej za różnica? Po co ma żyć? Są dziećmi katastrofy, oni wszyscy.

– Spokój, kobieto, spokój – powtarzał Laintal Ay, który brnął za nią przez błoto.

Odrzuciła go ze wzgardą. Jest tylko starzejącą się kobietą, której nikt nie kocha. Ona jedna widzi prawdę. Pożalują dopiero, gdy odejdzie. Po czym Shay Tal od słów przeszła do czynów i zajęła się przenoszeniem swych niewielu rzeczy do jednej z chylących się ku ruinie wież pośród radżabab, na północny wschód za palisadą. Vry i inne kobiety pomagały jej, kursując w deszczu ze skromnym dobytkiem.

Nazajutrz plucha ustała. I zaszły dwa nadzwyczajne wydarzenia. Nadleciały stadem nad Oldorando małe ptaszki nieznanego gatunku i krążąc wokół wież wypełniały powietrze świergotem. Chmara ptactwa nie chciała siadać w obrębie osady. Oblepiła opuszczone wieże poza jej obrębem, a zwłaszcza ruinę, do której poszła na dobrowolne wygnanie Shay Tal. Tutaj ptaki podniosły niezwykłą wrzawę. Miały krótkie dzioby i czerwone łebki, czerwone i białe piórka w skrzydłach oraz śmigły lot. Kilku łowców wybiegło z sieciami, próbując je łowić, ale bez powodzenia. Uznano to za omen.

Drugie wydarzenie wzbudziło jeszcze większą trwogę. Wylał Voral. Rzeka wezbrała po deszczach. Świstek Czasu odgwizdał południe, gdy z biegiem rzeki, od strony jeziora Dorzin, nadeszła wielka fala. Stara

Molas Ferd, zajęta zbieraniem gęsiego łajna nad brzegiem rzeki, dostrzegła tę falę pierwsza. Wyprostowała się, na ile jej wiek pozwalał, i w osłupieniu wlepiła oczy w walącą się na nią ścianę wody. Wystraszone gęsi i kaczki z wrzaskiem pouciekały na palisadę. Lecz stara Molas Ferd z szufelką w garści i otwartymi ustami stała i gapiła się w otchłań wód. Porwały ją i cisnęły o ścianę domu kobiet. Nim opadły, wezbrana fala runęła na osadę, zmywając ziarno, wdzierając się do ludzkich siedzib, topiąc maciory. Molas Ferd zginęła zgruchotana na miazgę. Osada zmieniła się w grzęzawisko. Lawina błotnistej wody oszczędziła jedynie wieżę obroną przez Shay Tal na siedzibę.

Okres ten ugruntował na dobre początki sławy Shay Tal jako czarodziejki. Wszyscy, którzy słyszeli, jak wyklinała Aoza Roona, szemrali nie opuszczając swoich kątów. Tego wieczora, gdy Bataliksa, a za nią Freyr schodziły z nieba na zachodzie, zamieniając wody w krew, gwałtownie spadła temperatura. Wszystko pokrył cienki, kruchy lód.

Nazajutrz o wschodzie Freyra osadę obudziły gniewne krzyki Aoza Roona. Usłyszały je przy wciąganiu butów wychodzące do pracy kobiety i struchlałe obudziły swoich mężczyzn. Aoz Roon brał przykład z Shay Tal:

– Wyłazić, psia wasza mać! Bijecie się dziś z fagorami, wszyscy co do jednego! Już ja wam zagram do tańca. Pobudka, wstawać wszyscy, zbierać się do walki. Zachciało się wam fagorów, to będziecie bić fagory. Ja szedłem na nie w pojedynkę, wy, gnojki, możecie iść kupą. To będzie wielki dzień w dziejach, słyszycie mnie, wielki dzień, nawet jeśli nikt nie wróci żywy!

Wielki, w czarnym futrze, stał na szczycie wieży, wygrażając pięścią pod sunącymi z porannym wiatrem złowrogimi chmurami. Drugą ręką ścisnął wierzgającą Dol Sakil, która szamotała się i

darła, że jej zimno. Za nimi sterczał Eline Tal, głupkowato szczerząc zęby.

– Tak, wyrzniemy te w mlecz szarpane fagory zgodnie z planem kobiet, słyszycie to, gnuśne piczki akademicki? Bijemy się zgodnie z planem bab, wykonam go co do joty. Na prakamięń, zobaczymy, co nam przyniesie dzisiejszy dzionek, przekonamy się, czy Shay Tal mówi do rzeczy czy też od rzeczy, przekonamy się, co warte jej proroctwa!

Cienki lód chrząścił pod stopami wychodzących pojedynczo postaci, które podnosiły oczy na swego lorda. Ludzie bojaźliwie zbijali się w grupki, tylko stara Rol Sakil, matka Dol, zachichotała.

– Ten to faktycznie musi mieć dużego, sądząc po tym wrzasku... Dol już się zdążyła pochwalić. Ryczy jak byk!

Wciąż pokrzykując Aoz Roon przywlókł za sobą Dol do samego parapetu i mierzył ich z góry spojrzeniem bazyliuszka.

– Tak, zobaczymy, co warte jej słowa, sprawdzimy ją. Sprawdźmy Shay Tal w boju, skoro wam wszystkim wydaje się taka wspaniała. Słyszysz mnie, Shay Tal? Dziś wóz albo przewóz i niech popłynie krew, czerwona albo żółta.

Splunął na nich i wlaź z powrotem do wieży, trzaskając za sobą klapą w dachu.

Posiliwszy się ciemnym chlebem wszyscy ruszyli w drogę za łowcami. Miny mieli nietęgie, nawet Aoz Roon. Wy wrzeszczał z siebie cały animusz. Zmierzali na południowy wschód. Temperatura utrzymywała się poniżej zera. Wiatr ucichł, słońca zniknęły w chmurach. Grunt był twardy i lód trzaskał im pod nogami. Idąca z nimi Shay Tal nie odstępowała kobiet, usta miała zaciśnięte, poły futra obijały jej się o szczupłe ciało. Szli powoli, gdyż kobiety nie przywykły do pokonywania pieszo odległości, które nie czyniły żadnego wrażenia na mężczyznach. Dotarli w końcu na skraj falistej niziny, gdzie łowcy Laintala Aya wypatrzyli Borlieńczyków zaledwie dwa dni przed wylewem Voralu. Tu ciągnęły się szeregiem długie grzbiety, a pomiędzy nimi płytkie rozlewiska lśniły jak wyrzucone na brzeg ryby. Tutaj mogli urządzić zasadzkę. Mróz wywabi fagory, jeśli jeszcze gdzieś w okolicy były.

Bataliksa zaszła nie wiadomo kiedy. Przemierzali wyżynę, mężczyźni na przedzie, za nimi kobiety w luźnych grupkach. Wszyscy czuli się nieswojo pod ołowianym niebem. Na skraju pierwszego rozlewiska kobiety przystały, obracając na Shay Tal niezbyt przyjazne spojrzenia. Uprzytomniły sobie całą groźbę własnego położenia, gdyby nadciągnęły fagory – zwłaszcza jeśli nadjadą wierzchem. Najbystrzejsze nawet oczy nie ostrzegą ich w tym miejscu przed niczym, wzgórza bowiem ograniczały pole widzenia. Znalazły się między młotem a kowadłem.

Temperatura wciąż wynosiła dwa lub trzy stopnie poniżej zera. Panowała cisza, powietrze zastygło. Płytkie jezioro leżało uśpione u ich stóp. Liczyło jakieś czterdzieści metrów wszerz i ze sto metrów długości, wypełniając swoją nieprzyjazną tonią zagłębienie pomiędzy dwoma garbami pagórków. Zamarłe, lecz wciąż nie zamrożone, bez najmniejszej zmarszczki lustro wody odbijało niebiosą. Ich posępny obraz wzmagął w kobietach jakąś zabobonną trwożę, gdy patrzyły, jak łowcy znikają za granią. Nawet zwarzona na mrozie trawa pod nogami zdawała się zaklęta tak jak i ptaki, z których żaden nie zawołał. Bliskość kobiet gnębiła mężczyzn. Stali w sąsiedniej kotlinie, sarkając na swojego przywódcę.

– Fagorów ani śladu – rzekł Tanth Ein, chuchając na paznokcie. Wracajmy. A jeśli one zniszczyły Oldorancelo pod naszą nieobecność? Ładnie by to wyglądało.

Złączeni nad głowami obłokiem pary z oddechów, wsparci na oszczepach łowcy z wyrzutem patrzyli na Aoza Roona, który chodził tam i z powrotem na stronie, ponury jak chmura gradowa.

– Wracać? Gadacie jak baby. Przyszliśmy się bić i bić się będziemy, choćbyśmy mieli oddać przy tym życie Wutrze. Jeśli (agory są gdzieś niedaleko, przywołam je. Zostańcie na miejscu.

Wbiegł pędem na szczyt wzniesienia, skąd mając oko na kobiety zamierzał krzyknąć na całe gardło i obudzić wszystkie echa pustkowi. Ale wróg już się pokazał. Teraz, zbyt późno, Aoz Roon zrozumiał, dlaczego nie wypatrzyli ani jednego z borlieńskich włóczęgów – po prostu się wynieśli. Jak starą Molas Ferd widok tali, tak Aoza Roona wprowadził w osłupienie widok odwiecznego wroga człowieka.

Na jednym brzegu jeziora o rybim kształcie biegały kobiety, na drugim skupili się ancipici. Kobiety miały się przerażone i niespokojne, ancipici zastygli w bezruchu. Kobiety, nawet w zaskoczeniu, zareagowały indywidualnie; fagory istniały tylko jako grupa. Nie sposób było ocenić liczbę wrogów. Rozpływali się w przedwieczornej mgłę zasnuwającej kotlinę, w strzępach szarości i błękitów otoczenia. Któryś z nich zaniósł się ochrypłym kaszlem; poza tym nie dawały znaków życia. Po chwilowej przepychance na grani za nimi usadowiły się w równych odstępach białe ptaki, karnie zwrócone dziobami w jedną stronę, niczym duchy tych, co odeszli.

Nad oszronionymi sylwetkami wyraźnie górowały trzy – zapewne przywódcy – na kaidawach. Swoim zwyczajem siedziały pochylone do przodu, głowami niemal wsparte o łby wierzchowców, jakby w duchowym z nimi zespoleniu. Pieszce fagory, przygarbione, przywarły do boków kaidawów. Były bardziej skamieniałe niż pobliskie głazy. Kasłacz ponownie zakasłał. Aoz Roon odzyskał głos i krzyknął na swych ludzi. Pokonawszy wzniesienie łowcy z trwogą spojrzeli ze szczytu na wroga.

W odpowiedzi fagory nagle ożyły. Osobliwie powiązane członki przeszły z letargu do działania bez żadnej fazy pośredniej. Płytkie jezioro nie na długo wstrzymało pochód fagorów. Ich powszechnie znany wstręt do wody nie uległ zmianie, ale czasy się zmieniły; szleje mówiły im: „Naprzód”. Sprawę przesądził widok trzydziestu ludzkich gild zdanych na ich łaskę. Ruszyły do ataku. Jeden z trójki jeźdźców wywinął mieczem nad głową. Z chrapliwym okrzykiem uderzył piętami kaidawa i wierzchowiec skoczył naprzód. Pozostałe fagory jak jeden runęły za nim, te na wierzchowcach i te na własnych nogach. Naprzód – w wody płytkiego jeziora.

Kobiety pierzchły w popłochu. Teraz, gdy przeciwnik siedział im na karku, rozbiegły się – po kotlinie na wszystkie strony. Część włąziła na jeden stok, część na drugi, piszcząc rozpaczliwie jak spłoszone ptaki. Tylko Shay Tal nie ruszyła się z miejsca, stawiając czoło szarzy, a Vry i Amin Lim przylgnęły do niej, zakrywając twarze z przełazenia.

– Uciekaj, głupia babo! – ryczał Aoz Roon, zbiegając na łeb na szyję.

Shay Tal nie słyszała jego krzyku pośród pisków i gwałtownego chlupotania. Stanąwszy jak opoka nad brzegiem jeziora o rybim kształcie, wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby gestem powstrzymując hordę fagorów.

I nagle ta przemiana. Nagle ta chwila w kronikach oldorandzkich odtąd po wsze czasy zwana cudem na Rybim Jeziorze.

Jedni twierdzili później, że ostry dźwięk przeszył mroźne powietrze, inni słyszeli cieniutki głosik, jeszcze inni przysięgali, że to sprawka Wutry.

Cała gromada fagorzyc maruderów w liczbie szesnastu wkroczyła do jeziora za trzema jadącymi wierzchem bykunami. Poniesieni własną furią we wrogi żywioł, tkwili w nim po uda, kotłując toń w szalonej szarzy, gdy nagle całe jezioro zamarzło. Idealnie spokojne i płynne, dopóki nie zmacone, rozlewało wolną od lodu toń przy trzech stopniach poniżej temperatury zamarzania wody. Wzburzone – zastygło w jednej chwili. Kaidawy pospołu z fagorami utknęły w żelaznym uścisku. Jeden kaidaw upadł i już się nie podniósł. Dwa pozostałe zamarły w pełnym biegu, z jeźdźcami na grzbiecie. Wywijające bronią bykuny uwięzły za nimi w kleszczach żywiołu, którego spokój naruszyły. Żaden nie zrobił już ani kroku. Żaden nie wyrwał się i nie osiągnął zbawczego brzegu. Niebawem ścięła im się w żyłach krew, pomimo sekretów starożytnych biochemii,

barwiących ją i chroniących przed zimnem. Szorstkie białe runa pokryły się runem szronu, wytrzeszczone oczy lodem. Co było organiczne, połączyło się w jedno z wielkim wszechwładnym żywiołem matem nieorganicznej. Jakby ktoś wyczarował w lodzie żywy obraz gwałtownej śmierci. W górze białe ptaki krążyły nurkując i wrzeszcząc rozdziawionymi dziobami, by wreszcie poszybować na wschód sierocym lotem.

Nazajutrz rano troje ludzi wcześniej wyrzało spod skór namiotu. W nocy spadł sypki śnieg, przez co pustkowia wyglądały jak oproszone mąką. Freyr wstał nad horyzontem, rzucając na nizinę cienie pastelowej purpury. Kilka minut po nim drugi wierny strażnik również przedarł się do królestwa Wutry.

Aoz Roon, Laintal Ay i Oyre byli już na nogach; zabijali ręce i przytupywali, żeby pobudzić krążenie krwi. Milczeli, pokaszując tylko od czasu do czasu. Spojrzawszy po sobie bez słowa ruszyli w drogę. Aoz Roon pierwszy wszedł na zamrzniętą taflę jeziora, która zadzwoniła mu pod stopami. We troje podeszli do jakby żywego, zaklętego w lodzie obrazu. Patrzyli nie dowierzając własnym oczom. Mieli przed sobą monumentalne dzieło rzeźbiarskie, prawdziwe w najdrobniejszym szczególe, szalone, jeśli chodzi o wizję. Prawie pod kopytami dwóch kaidawów leżał trzeci, większą częścią tułowia pod szklanymi falami, zadarłszy w trwodze łeb o rozdętych chrapach. Jeździec, ledwo uczepony jego grzbietu, przerażający w swej martwocie, usiłował opanować wierzchowca. Wszystkie postacie zostały uchwycone w pełnym ruchu, z uniesioną bronią, z oczami utkwionymi prosto w przeciwległy brzeg, do którego nie miały nigdy dotrzeć. Wszystkie otulił szron. Stały jako pomnik brutalnej siły. Wreszcie Aoz Roon kiwnął głową i przemówił. Głos miał przytłumiony.

– To się zdarzyło naprawdę. Teraz uwierzyłem. Wracajmy.

Cud z roku 24 został potwierdzony. Poprzedniego wieczoru Aoz Roon odesłał swoją wyprawę pod dowództwem Dathki z powrotem do Oldorando. Dopiero po przespanej nocy zdołał do końca uwierzyć, że to nie był sen. Jego towarzysze milczeli. Uratował ich cud; myśl o tym mąciła im w głowach, zawiązywała języki. Odeszli od przerażającej rzeźby bez słowa.

Natychmiast po przybyciu do Oldorando kazał Aoz Roon parze łowców zaprowadzić jednego ze swoich niewolników nad Rybie Jezioro, na miejsce cudu. Kiedy niewolnik na własne oczy obejrzał ów żywy obraz, zawiązano mu ręce na plecach, ustawiono twarzą na południe i poczęstowano kopniakiem na drogę. Po powrocie do Borlien miał opowiedzieć swoim ziomkom o potężnej czarodziejce, która stoi na straży Oldorando.

VIII. OBSYDIANIADA

Shay Tal stała wyprostowana w komnacie starszej nad wszelkie oldorandzkie rachuby czasu. Urządziła ją jak mogła: na ścianie antyczna tkanina, ongiś własność Loily Bry, potem Loilanun – znakomitego rodu zmarłych kobiet; w kącie jej nędzne wyrko plecione ze sprowadzanej z Borlien orlicy (orlica odstraszała szczury); mały kamienny stolik z przyborami do pisania; kilka skór na podłodze, gdzie przysiadło teraz bądź przykucnęło trzynaście kobiet. Odbywało się zebranie akademii.

Żółtobiały porost okrywał ściany komnaty liszajem, który od wąskiego okna począwszy w ciągu nieprzeliczonych lat zajął cały wolny mur. Pajęczne sieci po kątach w większości nie miały gospodarzy; pomarli z głodu dawno temu.

Za plecami trzynastu kobiet siedział Laintal Ay z podwiniętymi pod siebie nogami; brodę wsparł na pięści, łokieć na kolanie. Patrzył w podłogę. Większość kobiet gapiała się bezmyślnie na Shay Tal. Vry i Amin Lim – te dwie słuchały; co do reszty nie miała pewności.

– Skutki są w naszym świecie sprawą złożoną. Możemy się oszukiwać, że wszech-przyczyną jest wola Wutry odwiecznie wojującego w niebiosach, bo tak nam najłatwiej. Najlepiej uczynimy same odnajdując sens rzeczy. Potrzebny nam jest inny klucz do rozumienia. Czy Wutra odpowiada za wszystko? A może za własne czyny odpowiadamy my same...

Przestała słuchać tego, co mówi. Postawiła odwieczne pytanie. Chyba każda kiedykolwiek żyjąca istota ludzka musiała sobie postawić to pytanie i znaleźć na nie własną odpowiedź: czy sami odpowiadamy za swoje czyny? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Poczula, że nie nadaje się do nauczania innych.

Jednak jej słuchali. Wiedziała, dlaczego jej słuchają, nawet jeśli nic z tego nie rozumieją. Słuchają dlatego, że została uznana za wielką czarodziejkę. Od cudu na Rybim Jeziorze wszyscy odgradzili się od niej murem powszechnego szacunku. Sam Aoz Roon traktował ją z jeszcze większą rezerwą. Wyjrzała przez zrujnowane okno na ruinę starego porządku, na świat, otrząsający się z ostatnich chłódów, na jego błota i śniegi upstrzone już zielenią, na rzekę w smugach mułu niesionego z dalekich miejsc, których ona nigdy nie odwiedzi. Miejsc pełnych cudów. Cuda zaczynały się za jej oknem. A ona... czy dokonała cudu, jak powszechnie uważano? Shay Tal przerwała wykład w połowie zdania. Uprzytomniła sobie, że istnieje sposób sprawdzenia własnej nadprzyrodzonej mocy. Fagory szarżujące przez Rybie Jezioro obróciły się w lód. Za sprawą czegoś w niej... czy czegoś w nich? Wspomniała opowieści o ich strachu przed wodą, być może dlatego, że woda zamienia je w lód. To było do sprawdzenia: Oldorando miało w niewoli ze dwa stare fagory. Spławi na próbę jednego w Voralu i zobaczy, co się stanie. Tak czy inaczej, dowie się prawdy.

Trzynaście par oczu wlepiało się w nią czekając na dalszy ciąg. Laintal Ay miał niewyraźną minę. Zapomniała, o czym mówiła. Uświadomiła sobie, że musi przeprowadzić eksperyment dla spokoju ducha.

– My musimy robić, co nam każą... – głosem tępej i speszzonej uczennicy stwierdziła któraś z siedzących na podłodze kobiet.

Shay Tal nasłuchiwała stąpania ciężkich kroków na schodach. W żaden sposób nie mogła uprzejmie odpowiedzieć na stwierdzenie, któremu zaprzeczała od ostatniego sygnału Świstka Czasu; wszelka przerwa była w tym momencie wybawieniem. Niektóre kobiety są beznadziejnie głupie.

Odskoczyła kłapa włazu. Niby czarny niedźwiedź wyłonił się najpierw Aoz Roon, potem jego pies. Za psem wyszedł Dathka; z kamienną twarzą pozostał przy włazie, nie zerknąwszy nawet na

Laintala Aya. Laintal Ay podniósł się dość zakłopotany i oparty plecami o zimny mur czekał na rozwój wydarzeń. Kobiety spoglądały na intruzów z otwartymi ustami; niektóre zaczęły chichotać nerwowo. Aoz Roon niemal wypełnił niską komnatę. Nie zwracając uwagi na kobiety płochliwie wyciągające ku niemu szyje, zmierzał ku Shay Tal. Cofnęła się pod okno i z czołem podniesionym stała na tle panoramy pogrążonej w błocie osady, fumaroli i dropiatych nizin ciągnących się po horyzont.

– Czego tu chcesz? – spytała.

Widok Aoza Roona przyprawił ją o bicie serca. Przeklinała swoją nową sławę nade wszystko za to, że skończył z zaczepkami, braniem jej za rękę, a nawet chodzeniem za nią. Całe jego zachowanie zapowiadało wizytę oficjalną i nieprzyjemną.

– Chcę, abys pani wróciła za osłonę palisady – rzekł. – Nie jesteś bezpieczna w tej ruinie. W razie jakiejś napaści nie mogę cię bronić.

– Vry i ja wolimy mieszkać tutaj.

– Mimo całej twojej sławy sprawuję tu władzę nad tobą i Vry także, i muszę was bronić ze wszystkich sił. I wy, pozostałe kobiety... nie powinnyście tu przebywać. Za palisadami jest zbyt niebezpiecznie. Gdyby nastąpił niespodziewany atak... no cóż, możecie się domyślić, co by z wami było. Shay Tal, jako nasza potężna czarodziejka, musi słuchać siebie. Reszta musi słuchać mnie. Zabraniam wam tu przychodzić. To zbyt ryzykowne. Rozumiecie?

Unikały jego spojrzenia, oprócz starej położnej Rol Sakil.

– Wszystko to nonsens, Aozie Roonie. Ta wieża jest całkiem bezpieczna. Shay Tal przepłoszyła fugasów, wszyscy o tym wiemy. Przecież nawet ty bywałeś tu czasami, czyżbyś przestał?

Ostatnie słowa wypowiedziała Rol Sakil z drwiącym uśmieszkiem. Aoz Roon puścił to mimo uszu.

– Mówię o dniu dzisiejszym. Teraz nic nie jest bezpieczne, kiedy pogoda się zmienia. Czyja noga tu choć raz jeszcze postanie, ten będzie miał kłopoty.

Zawrócił do wyjścia, kiwnąwszy palcem na Laintala Aya.

– Ty idziesz ze mną.

Bez pożegnania zszedł na dół, a za nim Laintal Ay i Dathka. Na dworze przystanął, szarpiąc brodę. Spojrzał w górę na okno Shay Tal.

– W dalszym ciągu jestem lordem Embruddocku, radzę ci o tym nie zapominać,

Usłyszała go, ale nie stanęła w oknie. Nie ruszając się z miejsca, samotna mimo towarzystwa, powiedziała na tyle głośno, żeby i on usłyszał:

– Lord zakichanego podwórka.

Dopiero gdy skrzywienie trzech par butów zaczęło się oddalać, raczyła wyjrzeć przez okno. Odprowadziła spojrzeniem jego szerokie plecy, kiedy brnął w kierunku bramy północnej ze swymi młodymi namiestnikami i z nieodłącznym Kurdem u nogi. Rozumiała jego samotność. Jak nikt. Zostając jego żoną z pewnością nie straciłaby pozycji, czy jak tam zwało się to, co tak wysoko sobie ceniła. Za późno, żeby o tym teraz myśleć. Między nimi otwarła się przepaść, a łóżko grzeje mu mała głupia gaska – Wracajcie lepiej wszystkie do domu – powiedziała, nie mając śmiałości spojrzeć kobietom w oczy.

Na głównym placu, zamienionym w bajoro błota, Aoz Roon polecił Laintalowi Ayowi omijać akademię z daleka. Laintal Ay pokraśniał na twarzy.

– Czy nie najwyższy już czas tobie i radzie pozbyć się uprzedzeń do akademii? Miałem nadzieję, że zmienisz zdanie po cudzie na Rybim Jeziorze. Po co gnębić kobiety? Znienawidzą cię za to. W najgorszym razie akademia daje im zadowolenie.

– Rozleniwia baby. Powoduje rozłam. Laintal Ay zerknął na Dathkę, szukając u niego poparcia, ale Dathka przyglądał się swoim butom.

– To chyba już prędzej twoje stanowisko powoduje rozłam, Aozie Roonie. Wiedza nigdy nikomu nie zaszkodziła, a nam trzeba wiedzy.

– Wiedza stanowi powoli działającą truciznę... jesteś za młody, żeby to zrozumieć. Nam trzeba dyscypliny. To ona zachowuje nas przy życiu, teraz i zawsze. Trzymaj się z daleka od Shay Tal – ona ma magiczną władzę nad ludźmi. Kto w Oldorando nie pracuje, ten nie je. Zawsze wyznawano tę zasadę. Shay Tal i Vry przestały pracować w warzelni, więc niedługo nie będą miały co jeść. Zobaczmy, jak im się to spodoba.

– Umrą z głodu.

Aoz Roon zmarszczył brwi i utkwiał w Laintalu Ayu oczy jak sztylety.

– Wszyscy umrzemy z głodu, jeśli nie będziemy wspólnie pracować. Te baby trzeba nauczyć moresu i zakazuję ci stawać po ich stronie. Jeszcze jedno słowo sprzeciwu, a dostaniesz w łeb.

Gdy Aoz Roon odszedł, Laintal Ay złapał Dathkę za ramię.

– Z nim jest coraz gorzej. Wydał prywatną wojnę Shay Tal. Jak myślisz?

Dathka pokręcił głową.

– Ja nie myślę. Ja robię, co mi każą.

Laintal Ay rzucił przyjacielowi uszczypliwe spojrzenie.

– A co ci każą robić teraz?

– Idę na zagon brassimipy. Zabiliśmy kołatka. – Pokazał krwawiącą dłoń.

– Będę tam za chwilę.

Zamiast z przyjacielem, Laintal Ay poszedł sobie brzegiem Voralu, od niechcienia gapiąc się na gęsi, jak pływają i defilują. W duchu przyznawał, że rozumie racje zarówno Aoza Roona, jak i Shay Tal. Aby żyć, wszyscy muszą wspólnie pracować, czy jednak warto żyć po to tylko, aby wspólnie pracować? Ta sprzeczność przygnębiała go, budziła w nim chęć opuszczenia osady – co pewnie by uczynił, gdyby tylko Oyre zgodziła się odejść razem z nim. Czuł się za młody, żeby przewidzieć, jak zakończy się i spór, i coraz silniejszy rozłam. Rozejrzawszy się, czy nikt go nie widzi, ukradkiem wyciągnął z kieszeni pieska – dar kapłana z Borlien. Trzymając psa przed sobą poruszył jego ogonem. Pies zaczął wściekle ujadać na pobliskie gęsi.

Ujadanie psa-zabawki usłyszała jeszcze jedna osoba zmierzająca ku brassimipom. Dostrzegła też plecy Laintala Aya między dwiema wieżami. Nie spotkali się, ponieważ Vry wybrała inną drogę. Obeszła gorące źródła i Świstek Czasu. Wschodni wiatr porywał bijące z ziemi opary, z sykiem niosąc je na mokre skały. Kropelki wody jak perły lśniły na każdym włosku w futrze Vry. Woda bulgotała w szczelinach, kredowo-żółta, pełna zaraźliwej siły, nie pozwalającej ustać w miejscu. Vry przykucnęła na skałę machinalnie zanurzyła rękę w strumieniu. Gorący nurt obmył jej palce i połaskotał dłoń. Oblizła mokry palec. Siarkowy smak był jej znajomy z dzieciństwa. Teraz też bawiły się tutaj dzieci, ganiające po śliskich kamieniach i ruchliwe jak arangi. Mimo zimnego powiewu, co odważniejsze wciskały się na golasa pomiędzy głazy. Spienione kaskady spływały po brzuchach i ramionach jeszcze bezpłciowych ciał.

– Idzie Świstek! – zawołały do Vry. – Niech pani uważa, bo panią skapie.

Na samą myśl o tym dzieciarnia wybuchnęła radosnym śmiechem. W porę ostrzeżona Vry oddaliła się czym prędzej. Przyszło jej do głowy, że ktoś obcy przypisałby tutejszym dzieciom jakiś szósty zmysł, który pozwala im dokładnie przewidywać, kiedy Świstek Czasu zagwiżdże. Wystrzelił litym słupem wody, mulistej przez mgnienie oka, lecz już po chwili czystej jak kryształ. Bijąc w górę gwizdał na wznoszącą się nutę – swoją niezmienną nutę o niezmiennym czasie trwania. Nim zaczęła

opadać, woda wlatywała na przynajmniej trzykrotną wysokość człowieka. Wiatr odchylił ten strumień ku zachodowi, chłuszcząc skały, dopiero co opuszczone przez Vry. Gwizd ucichł. Słup wody powrócił do gardzieli ziemi, z której buchnął. Pomachawszy dzieciom Vry oddaliła się brassimipową ścieżką. Nie dziwiło jej, skąd dzieciaki wiedziały, kiedy nastąpi wybuch gejzeru. Pamiętała wciąż dreszcz rozkoszy, gdy nago wiała się między ochrowymi głazami, w objęciach spływającej strumieniami ziemi, pamiętała grząski, gorący muł pod palcami nóg i łaskotki pękających bąbelków. Dygotanie gruntu zwiastowało nadchodzący moment. Nagus przywierał do skały, każdym włókmem ciała odczuwając moc bogów ziemi wyężdżających swoje siły do triumfalnego wytrysku gorących wód.

Ścieżkę snującą się przed Vry wydeptały głównie kobiety i śwynie. Snuła się tędy i owędy, niepodobna prościej szlakiem łowców, jako że bieg jej podyktowała nader kapryśna istota – czarna, włochata embruddocka locha. Idąc tak przed siebie, można by zejść aż – nad jezioro Dorzin. gdyby ścieżka na długo przedtem nie kończyła się w brassimipowym polu. Dalej były mokradła i bezdroża, gdzie wciąż jeszcze trzymał mróz.

Idąc tą ścieżką Vry zastanawiała się, czy wszystkie stworzenia dążą do najwyższego poziomu i czy istnieje przeciwna siła, która nieustannie ściąga je w dół. Spojrzeniem sięgamy gwiazd, kończymy jako mamiki i mamuny. Świstek Czasu obrazował te dwie przeciwstawne siły. Jego fontanny zawsze spadały z powrotem na ziemię. Vry siłą woli wyniosła swoją duszę pod niebo, studiując za plecami Shay Tal owe obszary majestatycznego ruchu, zagadkową kolebkę gwiazd i słońc, labirynt korytarzy równie tajemniczych, jak korytarze ciała.

Z naprzeciwka szli dwaj mężczyźni. Schodzili chwiejnie ze wzgórza tak objuczeni, że widać im było same nogi, łokcie i czubki głów. Jedynie po pająkowatych nogach rozpoznała Sparata Lima. Nieśli płaty kołatka. Kroczący za nimi Dathka niósł tylko oszczep. Dathka wyszczerzył zęby w powitalnym uśmiechu i ustąpił z drogi, mierząc dziewczynę spojrzeniem ciemnych oczu. Krwawiła mu prawica i cienka strużka krwi spływała po drzewcu oszczepu.

– Zabiliśmy kołatka – to wszystko, co rzekł.

Jak zwykle zrobiło się Vry i nieswojo, i raźniej na duszy od jego małomówności. Miłe było w nim to, że nigdy się nie chełpił, w przeciwieństwie do wielu młodych łowców, ale już mniej miłe, że nigdy nie zdradzał swoich myśli. Zapragnęła okazać mu trochę serca. Przystanąła.

– Pewnie był wielki.

– Pokażę ci. Jeśli pozwolisz – dodał.

Zawrócił ścieżką, a Vry podążyła za nim, niepewna, czy ma się odzywać, czy milczeć. Głupia jesteś – powiedziała sobie; dobrze wiedziała, że Dathka pragnie z nią rozmawiać. Zagadnęła o pierwszą rzecz, jaka jej przyszła na myśl.

– Jak sądzisz, Dathka, skąd się wzięli ludzie na świecie? Nie obejrząwszy się, odparł:

– Wyrośliśmy z prakamienia.

Powiedział to bez namysłu, jakiego pragnęła od niego w tak ważkiej sprawie, i na tym rozmowa utknęła. Żałowała, że w Oldorando nie ma kapłanów, z nimi mogłaby podyskutować. Legendy i pieśni głosiły, że w Embruddocku kwitł ongiś prężny stan kapłański służący skomplikowanej religii, która wiązała Wutrę z żywymi tego świata i mamunami świata dolnego. W pewnym mrocznym okresie przed panowaniem Walia Ein Dena, kiedy to oddechy zamarzały ludziom na wargach, wierni zbuntowali się i wyrznęli kapłanów. Od tamtej pory przestano składać ofiary, z wyjątkiem świąt. Dawny bóg Akha już nie miał wyznawców. Bez wątpienia przepadła również wiedza. Świątynia została splądrowana. Trzymano w niej teraz śwynie. Zapewne jacyś inni wrogowie wiedzy byli w pobliżu. kiedy śwynie przedkładano nad kapłanów. Zaryzykowała drugie pytanie, kierując je do

wspinających się przed nią pleców.

– Chciałbyś poznać sens życia?

– To jasne.

Pograżała się w zadumie nad lakoniczną odpowiedzią; to jasne, że chciałby poznać, czy to sens życia jest dla niego jasny – zadawała sobie pytanie.

Moce, które wypiętrzyły góry Quzint. pofałdowały skorupę ziemską we wszystkich kierunkach, sprawiając, że jej uboczne odkształcenia niby przypory czy korzenie drzew rozciągały się na wiele mil od łańcucha gór. Między dwiema takimi skalnymi ekstruzjami rosły szpalerem brassimipy, z dawien dawna stanowiące podstawę miejscowej gospodarki. Dzisiaj teren był sceną niewielkiego zamieszania, toteż wokół otwartych wierzchołków brassimip przystanęło wiele kobiet, które wygrzewając się i doglądając świń obserwowały postępy roboty. Dathka Wskazał, że tam właśnie zabili kołatka. Jego gest wcale nie był potrzebny. Stosy ściierwa zawały nagie zbocze, jak okiem sięgnąć. Od ogona badał je sam Aoz Roon w towarzystwie swojego płowego psa. Gromada mężczyzn stała nad padliną, śmiejąc się i żartując. Niewolni ludzie i fagory wywijali toporami pod nadzorem Gojdzę Hina. Rąbano ścierwo, żeby znieść je w kawałkach do osady. Włóknisto-drzewny miąższ kołatka sięgał im do kolan. Wielkie drzazgi fruwały w powietrzu przy ćwiartowaniu ostatnich segmentów. Dwie staruchy kręciły się z wiadrami, zbierając gąbczaste, białe wnętrzości. Później wygotują je w osadzie i odparują z nich nie oczyszczony cukier. Włókno przyda się na sznury i maty, miąższ na paliwo dla różnych cechów. Z płetwiastych odnóży grzebnych kołatka uzyskiwano oleje do produkcji odurzającego napoju zwanego bimbomem. Starsze kobiety wymieniały obraźliwe uwagi ze szczerzącymi zęby mężczyznami, którzy w niedbałych pozach rozstawili się na stoku.

Kołatki nader rzadko zapuszczały się w pobliże ludzkich siedzib. Były łatwe do ubicia i każda ich część przydawała się w wątlej gospodarce. Ten osobnik trzydziestometrowej długości miał zaspokajać potrzeby osady przez najbliższe dni.

Pod nogami Vry plątały się świny, pokwikując i ryjąc we włóknistych odpadkach. Świniarki pracowały we wnętrzu brassimip. Z olbrzymich drzew wystawały nad powierzchnię ziemi jedynie grube, wyłożone jak kołnierz, pomarszczone jak grzyby liście. Falowały niczym wielkie uszy. nie tyle w podmuchach wiatru, co w powiewie ciepłego powietrza. idącym z głębi drzew. Pole liczyło kilkanaście brassimip. Te drzewa rzadko rosły pojedynczo. Wokół każdego z nich grunt był wybrzuszony i spękany, świadcząc o znacznej masie podziemnej części rośliny. Ciepło zasysane przez drzewa w górę do liści pozwalało im roztopiać zmarzlinę, toteż rosły bez przeszkód nawet w warunkach wiecznego mrozu. Pod skórzastymi liśćmi znalazły schronienie skakanki. Korzystając z ciepłego parasola zakwitły skromnymi, brązowo-niebieskimi kwiatkami. Vry schyliła się i zerwała sobie jeden kwiatek, a wówczas Dathka obejrzał się za nią.

– Wchodzę do drzewa – rzekł.

Przyjęła to jako zaproszenie i poszła za nim. Niewolnica wyciągała ze środka skórzane wiadra pełne wiórów i sypała je świniom. Miazga brassimipy żywiła świny embruddockie przez mroczne stulecia.

– Oto co zwabiło kołatka – powiedziała Vry. Monstrualne zwierzęta przepadały za miąższem brassimipy tak samo jak świny.

W głąb drzewa wiodła drewniana drabina. Schodząc po szczeblach Vry przez chwilę oglądała świat z poziomu ziemi. Jakby w niej tonąc, patrzyła na morze skórzastych liści, które falowały wokoło. Za grzbietami świń odziani w futra mężczyźni stali pośród szczątków olbrzymiego kołatka. Dalej śnieżyste grzbiety pagórków, a nad wszystkim łupkowej barwy niebo. Wsunęła się do drzewa.

Aż zamrugła powiekami, gdy w twarz uderzył ją ciepły prąd powietrza, przynosząc słodkawo-

zgniłą woń, odpychającą i upojną zarazem. Prąd szedł z wielkiej głębi; korzenie brassimipy wwierały się głęboko w skorupę ziemi. Z wiekiem drzewa w jego miękiszu zachodziła fermentacja, w trakcie której wydzielala się substancja podobna do keratyny. W rdzeniu brassimipy powstawały tunele. Wytwarzała się pompa ciepła, ogrzewająca liście i podziemne konary ciepłem przechwytywanym z niższych poziomów. W tym korzystnym środowisku znalazły schronienie różnego rodzaju stworzenia, niektóre zdecydowanie nieprzyjemne.

Dathka podał Vry rękę. Na dole dziewczyna stanęła przy nim w naturalnej komorze o kształcie bańki. Pracowały tutaj trzy brudnawe kobiety. Powitawszy Vry wróciły do zeskrobywania mięszu brassimipy ze ścian drzewa, ładując wióry do wiadra. Brassimipa smakowała trochę jak pasternak albo rzepa, tylko miała więcej goryczy. Ludzie jadali ją wyłącznie w okresach głodu. Z reguły stanowiła karmę dla świń, zwłaszcza dla loch, których mleko przeznaczono do wyrobu bełteli, podstawowego napoju zimowego w Oldorando.

W bocznej ścianie ział wąski wylot chodnika. Prowadził w głąb najwyższego konara, do którego należała kępa liści wyrzynających się z gruntu kawałek dalej. Dorosłe brassimipy miały sześć konarów. Najwyższym na ogół dawano rosnać w spokoju; jako najbliższe powierzchni ziemi stanowiły siedlisko paskudztwa wszelkiego rodzaju. Dathka wskazał główny szyb opadający w ciemność. Zszedł w dół. Po chwili wahania Vry ruszyła w jego ślady, widząc uśmieški na twarzach kobiet; przerwały swe zajęcia i, patrzyły za nią ni to ze współczuciem, ni to drwiąco.

W szybie ogarnęły ją z miejsca ciemności. W dole była jedynie wieczna noc ziemi. Pomyślała, że sprzeniewierzając się swoim przekonaniom ona również, tak jak Shay Tal, musi oto zejść do świata mamunów po garść wiedzy. Progi pierścieni wzrostu sterczały w szybie jak stopnie schodów. Dzięki jego niewielkiej szerokości można było schodzić i wychodzić, zapierając się plecami o przeciwległą ścianę. Bijący z dołu prąd powietrza szeptał w uszach. Coś pajęczynowatego, jakiś żywy duch musnął policzek Vry. Zdławiła odruchowy krzyk. Opuścili się do drugiego konara. Tu bańka komo. y była jeszcze mniejsza od górnej; stali przyciśnięci do siebie, głowa przy głowie. Vry poczuła zapach Dathki i dotyk jego ciała.

– Widzisz światełka? – spytał Dathka nieswoim głosem. Hamowała się, przestraszona wzbierającą w niej falą pożądania. Gdyby tylko ją dotknął ten milczący mężczyzna, padłaby mu w ramiona, zdarłaby z siebie futra i rozebrana do naga, kopulowałaby z nim do upadłego w mroku tej podziemnej łożnicy. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy sprośnych rozkoszy.

– Chcę wracać na górę – powiedziała z trudem dobywając głos.

– Nie bój się. Spójrz na światełka.

Rozejrzała się nieprzytomnie, wciąż odurzona jego zapachem. Utkwiła spojrzenie w tunelu drugiego od góry konara. Plamki światła, jak gwiazdy... galaktyki rubinowych gwiazd, uwięzione w drzewie.

Dathka zaszurał przed nią nogami, przesłaniając gwiazdozbiory barkiem. Wcisnął jej w ręce coś, co było jak poduszka. Było leciutkie, pokryte jakby włosem, jakby sztywną szczecią kołatka. To coś oczyma jak gwiazdy spoglądało na nią bez zmrużenia. Zmieszana nie rozpoznała podarunku.

– Co to?

W odpowiedzi – być może wyczuł mimo wszystko jej pożądanie, lecz jeśli tak, to czyż nie mógł wykrzesać z siebie choć odrobinę więcej ognia? – Dathka z niezgrabną czułością pogłaskał ją po policzku.

– Ach, Dathko – westchnęła.

Wstrząsnęło nią drzenie poczęte w trzewiach i ogarniające całą łoż. Nie mogła się opanować.

– Zabierzemy to na górę. Nie bój się.

Wynurzyli się na światło dnia płosząc czarnokudłe świnię, które czmychnęły w liście brassimipy. Świat wydał się oślepiająco jasny, huk toporów ogłuszający, woń skakanek aż za upojna.

Vry przysiadła na ziemi i apatycznie spoglądała na maleńkie krystaliczne stworzonko w swych dłoniach. Przebywało w stanie podobnym fagorzej uwięzi, zwinięte w kłębuszek, z nosem wtulonym w ogon, z czterema łapkami splecionymi równiutko na brzuszku. Było nieruchome i w dotyku przypominało porcelanę. Nie mogła go rozwinąć. Wlepiało w nią niewidzące ślepka z nieruchomą powieką. Przez matowoszare futerko przebijały prążki wyblakłych kolorów. W pewnym sensie było jej nienawistne, jak i nienawistny był Dathka, tak niewrażliwy na uczucia niewieście, że jej drzenie wziął za dreszcz strachu. Wdzięczna mu była jednak za tę głupotę, która ustrzegła ją od pewnej hańby, była wdzięczna, a zarazem ją przeklinała.

– Mumik – powiedział Dathka, który kucnąwszy obok zerkał jej w twarz, jakby czegoś nie rozumiał.

– Mamik?

Przez chwilę zastanawiała się, czy on czasem w nietypowy dla siebie sposób nie próbuje być dowcipny.

– Mumik. One śpią całą zimę w brassimipach, bo tam jest ciepło. Weź go sobie.

– Widziałyśmy je z Shay Tal na zachodnim brzegu rzeki. Mustangi. Tak się nazywają po wyjściu z zimowego snu. A co by Shay Tal pomyślała, gdyby...

– Weź go – powtórzył. – W prezencie ode mnie.

– Dziękuję ci – rzekła z politowaniem.

Wstała. Namiętności już w niej wygasły. Odkryła, że ma krew na policzku, gdzie ją pogłaskał zranioną dłonią. Niewolnicy nadal rąbali olbrzymie ściervo. Przybyły tymczasem Laintal Ay rozmawiał z Aozem Roonem i Tanthem Einem. Aoz Room energicznie przyzywał Dathkę, kiwając na niego ręką. Obdarzywszy Vry na pożegnanie pełnym rezygnacji spojrzeniem Dathka odszedł w kierunku lorda Embruddocku.

Pilne sprawy mężczyzn nic jej nie obchodziły. Przyciskając mumika do drobnych piersi skierowała się w dół stoku, w stronę oddalonych wież. Usłyszawszy, że ktoś ją pędem dogania, powiedziała sobie: no tak, teraz choćby nie wiem jak gonił, już nie dogoni – ale to był Laintal Ay.

– Odprowadzę cię, Vry – powiedział. Odniosła wrażenie, że jest w beztróskim nastroju.

– Zdawało mi się, że masz kłopoty z Aozem Roonem.

– E tam, on jest zawsze trochę przewrażliwiony, od kiedy się pożarł z Shay Tal. W gruncie rzeczy równy z niego chłop. Cieszę się także z kołatka. Teraz przy coraz cieplejszej pogodzie ciężko na nie trafić.

Dzieciarnia jeszcze dokazywała pod gejzerami. Zachwycony jej mumikiem, Laintal Ay odśpiewał mu strofę pieśni łowieckiej:

Kiedy śniegu moc,

Mumik śpi dzień i noc.

Aż ulewy go zbudzi łoś

I mustangi wnet krokiem

Pocwałują wysokim

Poprzez błoń, pośród kwiatów powodzi, przez błoń

– Humor ci dopisuje! To Oyre była taka miła dla ciebie?

– Oyre zawsze jest miła.

Rozeszli się każde w swoją stronę; Vry ku rozsypującej się wieży, gdzie pokazała Shay Tal

prezent. Shay Tal zbadała małe krystaliczne stworzonko.

– W tym stadium życia nic nadaje się do jedzenia. Mięso może być trujące.

– Nie zamierzam go jeść. Chcę go pielęgnować, dopóki się nie zbudzi.

– Życie to nie zabawa, moja kochana. Może czeka nas głód. Jeśli Aoz Roon uweźmie się na nas.

– Chwilę przyglądała się Vry bez słowa, jak to miała coraz częściej w zwyczaju. – Będę głodować, a nie ustąpię mu. Nie potrzebuję dóbr materialnych. Potrafię być dla siebie tak samo okrutna jak on dla mnie.

– Ale on przecież...

Słowa zawiodły Vry. Nie znajdowała ich na pocieszenie starszej kobiety, która ciągnęła z determinacją:

– Jak ci mówiłam, mam dwie pilne sprawy»do załatwienia. Najpierw zamierzam przeprowadzić naukowe doświadczenie, żeby zbadać moje moce. Następnie zejdę do świata mamików na naradę z Loilanun. Ona na pewno dużo wie o tym, o czym ja nie wiem nic. W ten sposób dowiem się też, czy nie powinnam na dobre opuścić Oldorando.

– Och, proszę nas nie opuszczać. Czy pani jest pewna, że tak należy postąpić? Jeśli pani odejdzie, przysięgam, że odejdę z panią!

– To się jeszcze okaże. A teraz zostaw mnie samą. Vry, przybita, wspięła się po drabinie do swej nędznej izby. Rzuciła się na posłanie.

– Potrzebuję kochanka, oto czego mi trzeba. Kochanka... Życie jest takie puste...

Ale po chwili podniosła się i wyjrzała przez okno na niebo, po którym szybowwały obłoki i ptaki. W każdym razie lepiej być tutaj niż w świecie dolnym, dokąd wybiera się Shay Tal. Wspomniała piosenkę Laintala Aya. Pisząca te strofy kobieta – jeśli to była kobieta – wiedziała, że śniegi kiedyś znikną i że pojawią się kwiaty i zwierzęta. Może to nastąpi.

Z jej własnych nocnych obserwacji wynikało, że na niebie zachodzą zmiany. Gwiazdy to nie mamuny, lecz ognie, ognie płonące nie w skale tylko w powietrzu. Wyobraźmy sobie wielki ogień płonący w ciemnościach na dworze. Gdyby się przybliżył, odczulibyśmy jego ciepło. Może dwoje strażników przybliży się i ogrzeje świat. Wówczas mumiki ożyją, zmienią się w mustangi cwałujące wysokim krokiem, tak jak w pieśni. Postanowiła poświęcić się astronomii. Gwiazdy wiedziały więcej niż mamiki, obojętne, co na ten temat mówiła Shay Tal, aczkolwiek wstrząsnęło ją odkrycie, że nie zgadza się z tak ważną osobą.

Wcisnąwszy mumika w ciepły kąt przy swym posłaniu otuliła wzruszające maleństwo w futro, tak że wystawał mu tylko pyszczek. Dzień w dzień modliła się, żeby ożył. Szeptala mu i dodawała odwagi. Pragnęła zobaczyć, jak rośnie i bryka po izbie. Lecz po paru dniach światełka w oczach mumika zmętniały i zgasły; zwierzątko wyzionęło ducha nawet nie mrugnawszy okiem. Zrozpaczona Vry wniosła je na rozwalony szczyt wieży i cisnęła jak najdalej. Cisnęła je otulone w futro, jak gdyby o było martwe niemowlę.

Shay Tal trawił gorączkowy niepokój. Coraz częściej jej słowa przypominały egzorcyzmy. Mimo że kobiety znosiły jej jedzenie, wołała głodować, sposobiąc się do zapadnięcia w głęboki pauk, żeby odbyć naradę z przesławną zmarłą. Jeśli tam nie znajdzie mądrości, poszuka dalej w świecie, poza tym podwórkiem. Najpierw postanowiła wypróbować swoje czarodziejskie moce. O parę mil na wschód leżało Rybie Jezioro miejsce jej cudu. Podczas gdy ona sama zadręczała się wątpliwościami co do prawdziwej natury tego wydarzenia, mieszkańcy Oldorando nie żywili żadnych. Przez całą tę zimną wiosnę pielgrzymowali do lodowego dziwa, by pogapić się na nie z bojaźnią, ale i nie bez dumy. Spotykali tu licznych pielgrzymów z Borlien, również spragnionych

widoku osobliwości. Na przeciwległym brzegu wypatrzone kiedyś dwa fagory, które stały w osłupieniu, pożerając swoich szklistych zmarłych oczyma; na ramionach fagorów siedziały równie nieruchome kraki ze złożonymi skrzydłami.

Z ponownym nadejściem ocieplenia żywy obraz zaczął się rozłazić i przemieniać w martwą naturę. Groza przechodziła w groteskę. Pewnego ranka lód zniknął, a po rzeźbach została kupa gnijącego ścierwa. Pielgrzymi nie znajdowali już nic ciekawszego nad żeglujące po wodzie oko bądź kępę sierści. Samo Rybie Jezioro wyszło i zniknęło niemal tak nagle jak powstało. Jedyнным śladem po cudzie był stos kości i zakrzywione kaidawie rogi. Pozostał jednak w pamięci, wyolbrzymiany we wspomnieniach. I pozostały wątpliwości Shay Tal.

Zjawiała się na placu po południu, w porze, kiedy zwabieni łagodniejszą pogodą ludzie wychodzili na dwór, żeby sobie pogawędzić, czego dawniej nie mieli w zwyczaju. Kobiety i córki, mężczyźni i synowie, łowcy i towarzysze cechowi, młodzi i starzy, spacerowali dla zabicia czasu. Niemal każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, stawiliby się na wezwanie Shay Tal, ale nikt jakoś nie miał ochoty z nią porozmawiać.

Stojący z Dathką w roześmianej gromadce przyjaciół Laintal Ay zauważył spojrzenie Shay Tal i jej przyzywający gest i podszedł do niej z ociąganiem.

– Przeprowadzam właśnie eksperyment, Laintalu Ayu. Chcę, abyś był przy mnie jako wiarygodny świadek. Nie będziesz miał przeze mnie nowych kłopotów z Aozem Roonem.

– Żyję z nim w zgodzie.

Wyjaśniła, że eksperyment odbywa się nad Yoralem, ale ona przedtem pragnie zwiedzić starą świątynię. Szli razem przez tłum, Laintal Ay w milczeniu.

– Krępuje cię moje towarzystwo?

– Twoje towarzystwo jest mi zawsze miłe, Shay Tal.

– Nie musisz silić się na uprzejmości. Czy uważasz mnie za czarodziejkę?

– Jesteś niezwykłą kobietą. Za to cię szanuję.

– Kochasz mnie?

Teraz poczuł się skrępowany. Utkwił spojrzenie w błocie i nie odpowiadając wprost, wymamrotał:

– Od śmierci mojej matki ty mi ją zastąpiłaś. Po co pytać o takie rzeczy?

– Chciałabym być twoją matką. Miałabym powód do dumy. Ty również, Laintalu Ayu, masz w sobie duchową głębię. Czuję to. Ta głębia przysporzy ci zmartwień, ale to ona daje ci życie, ona jest życiem. Nie lekceważ jej, pielęgnuj ją. W tym tłumie, przez który przepychamy się, większość ludzi nie ma głębi duchowej.

– Czy głębia duchowa to to samo co duchowy konflikt?

Przycisnęła ręce do piersi i wybuchnęła gwałtownym śmiechem.

– Posłuchaj, tkwimy jak w pułapce w tej nędznej osadzie, wśród tych nędznych osobników. Gdzieś, być może obok nas, dzieje się mnóstwo wielkich rzeczy. Czeka nas ogrom pracy. Może odejdę z Oldorando.

– Dokąd pójdziesz?

Potrząsnęła głową.

– Czasami odnoszę wrażenie, że sam natłok głupich ludzi rozsadzi nas i rozproszy po świecie. Zważ, jak wiele dzieci przybyło w ciągu ostatnich lat.

Rozglądając się po tych wszystkich znajomych, przyjaznych twarzach w uliczce powziął podejrzenie, że Shay Tal mówi tak dla efektu, chociaż dzieciarni jakby łąziło więcej. Barkiem otworzył na oścież wierzeje dawnej świątyni. W milczeniu przystanęli za piegiem. W środku był

jakiś ptak. Zatoczył parę kółek śmigając tuż przy nich, jak gdyby badał intruzów, po czym wzbił się i wyleciał przez dziurę w dachu. Dziurami w dachu sączyło się z góry światło stawiając w półmroku kolumny pełne wirujących drobin pyłu Wprawdzie świnie ostatnio wyprowadzono stad do chlewów, ale smród po nich pozostał. Shay Tal niezmordowanie krążyła wewnątrz świątyni, podczas gdy Laintal Ay został w progu i wyglądał na ulicę, wspominając, jak bawił się tutaj w dzieciństwie.

Ściany zdobiły monumentalne malowidła. Wiele uległo zniszczeniu. Shay Tal podniosła oczy ku szczytowi głównej nawy, w której stał ołtarz ofiarny z kamieniem wciąż poczet małym od czegoś, co mogło być krwią. Wysoko poza zasięgiem rąk obrazoburców wisiała podobizna Wutry. Shay Tal zatrzymała się przed nią z zadartą głową, pięściami wsparta pod boki. Malowidło przedstawiało Wutrę – głowę i barki – w futrzanym płaszczu. Z wysoka patrzyły na ma bazylijskowe oczy i długa, jakby zwierzęca twarz z dziwnym wyrazem, kto wie, czy nie współczucia. Twarz miała barwę idealnego błękitu nieba, gdzie bóg oblat sobie siedzibę. Korona siwych, zmierzwionych włosów przypominała grzywę, jednak najbardziej wstrząsające odstępstwo od wizerunku człowieka stanowią para sterczących z czaszki logów ze srebrnymi dzwoneczkami na końcach. Za plecami Wutry tłoczyły się inne postacie zapomnianej mitologii – na ogół straszliwe demony, hulające po niebie. Na ramionach Wutry przysiadła para strażników. Bataliksę odmalowano z głową siwej brodatej krowy, a z jej włóczni biły płomienie światła Większy Freyr był samcem małpy z zawieszoną na szyi klepsydra. Jego włócznia, dłuższa od włóczni Bataliksy, również wysyłała promienie światła Shay Tal zawróciła do drzwi.

– Czas na mój eksperyment, jeśli Gojdzia Hin jest gotów – powiedziała wojowniczo.

– Znalazłaś to czego szukałaś? – był zaskoczony jej obcesowością.

– Nie wiem. Może będę wiedziała później. Wejdę w pauk. Chciałabym zapytać któregoś z dawnych kapłanów, czy Wutra miał również królować w świecie dolnym, tak jak króluje na ziemi i niebie... Tyle białych plam w tym wszystkim.

Gojdzia Hin tymczasem wyprowadzał Myka ze stajni pod wielką wieżę. Był Gojdzia Hin nadzorcą niewolników i ta profesja odcisnęła piętno na całej jego postaci. Niski był, lecz jak skała zwalisty, o pękających nogach i ramionach. Czoło też miał niskie i jakby rozdeptane rysy twarzy, którą zdobiły przypadkowe kępy bokobrodów. Strój nosił skórzany, a nawet śpiąc nie wypuszczał z ręki skózanego knuta. Wszyscy znali Gojdzę Hina, mężczyznę niewrażliwego na razy i myśli.

– Chodź. Myk, bydlaku, czas żebyś się na coś przydał – warknął charakterystycznym dla siebie, gardłowym basem.

Wyrosły w niewoli Myk z miejsca poczłapał za nim. Nikt nie przebywał w oldorandzkiej niewoli dłużej od fagora, który pamiętał jeszcze poprzednika Gojdzi Hina, człowieka bez porównania straszliwszej postaci. W pstrej sierści Myka pojawiły się już czarne włosy. Twarz miał pomarszczona, worki pod oczyma zasmarowane nieżywą wydzieliną. Zawsze był potulny. Tym razem towarzyszyła mu Oyre w roli niańki. Oyre głaskała Myka po zgarbionych plecach, a Gojdzia Hin szturchał go kijem To Oyre, jako wysłanniczka Shay Tal, uprosiła ojca o zgodę na użycie fagora w eksperymencie. Nie cackając się Aoz Roon pozwolił jej wziąć Myka, bo już stary. Dwoje ludzi powiodło Myka nad zakole Voralu, do znanej głębiny, opodal rudery Shay Tal. Laintal Ay i Shay Tal już czekali na ich przybycie. Shay Tal stała nieruchomo zapatrzona w rzeczną toń, jakby usiłując odczytać jej sekrety; policzki miała zapadnięte, minę grobową

– No i co, Myk – powiedziała zaczepnie, kiedy stworzenie do niej podeszło

Krytycznie przyglądała się fagorowi, zwłaszcza płaskim fałdom zwisającym na jego piersi i brzuchu. Gojdzia Hin zdążył już skrępować mu ręce na plecach Myk strachliwie kręcił głową wciśniętą między zgarbione ramiona. Ujrzawszy Voral kilkakrotnie raz po raz przejechał nerwowo

mleczem po nozdrzach, wydając cichy okrzyk trwogi. Czyżby się bał, że woda obróci go w posąg

Gojdzia Hin niedbale powitał Shay Tal

– Spętaj mu nogi – poleciła.

– Nie zrób mu zbyt wielkiej krzywdy – powiedziała Oyre. – Znam Myka z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką, on jest całkiem łagodny. Woził nas na barana, pamiętasz, Lamtalu Ayu?

Tak przyzwany na pomoc Laintal Ay zbliżył się do nich.

– Shay Tal nie zrobi mu krzywdy – orzekł uśmiechając się do Oyre. Dziewczyna zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Oczekując silnych wrażeń zebrały się na brzegu liczne grupki kobiet i chłopaków, żeby zobaczyć wszystko z bliska. Głęboki nurt w zakolu podmywał brzeg o niecałą piędź poniżej twardego gruntu pod nogami gapiów. Przy drugim brzegu rzeki, na płyciźnie, została cienka tafla lodu, osłonięta skalnym nawisem od promieni słonecznych. Tafla sięgała ku, głębszej wodzie szklistymi esami-floresami, jakby to sama rzeka wycięła je nożem.

Spętawszy nieszczęsnemu Mykowi nogi Gojdzia Hin popchnął go nad samą wodę. Myk wystawił długą głowę, odwinął dolną wargę na szczeciniastą brodę i wydał ryk strachu. Oyre uczepiła się futra fagora błagając Shay Tal, żeby nie wyrzuciła mu krzywdy.

– Odsuń się – rzekła Shay Tal.

Skinęła na Gojdzę Hina, żeby zepchnął fagora. Gojdzia Hin trącił Myka swoim masywnym ramieniem pod żebra. Fagor zachwiał się i chlupnął do rzeki. Shay Tal władczym gestem uniosła rękę. Gapiące się kobiety nadbiegły z krzykiem. Była wśród nich Rol Sakil. Shay Tal powstrzymała je gestem. Utkwiwszy wzrok w toni patrzyła, jak Myk rzuca się pod wodą. Pasma jego futra falowały we wzburzonym nurcie, muskając powierzchnię jak żółtawe wodorosty. Woda pozostawała wodą. Fagor pozostawał przy życiu.

– Wyciągnij go – rozkazała.

Gojdzia Hin trzymał Myka na podwójnej smyczy. Kiedy szarpnął, Laintal Ay pośpieszył mu z pomocą. Głowa i barki starego fagora ukazały się nad wodą. Myk wydał patetyczny okrzyk:

– Nie ubijtopcie o ja biedaka!

Wywlekli go na brzeg, gdzie padł dysząc u stóp Shay Tal. Przygryzła dolną wargę, patrząc kosym okiem na Voral. Magia nie działała.

– Wrzucie go jeszcze raz – zawołał ktoś z gapiów.

– Koniec z wodą albo koniec ze mną – wychrypiał Myk.

– Zepchnij go jeszcze raz – zarządziła Shay Tal. Myk chlupnął po raz drugi i po raz trzeci. Ale woda pozostała wodą. Żaden cud nie nastąpił, a Shay Tal musiała ukryć swoje rozczarowanie.

– Wystarczy – rzekła. – Gojdzio Hinie, zabierz Myka i nakarm go dodatkowo.

Oyre uklękła ze współczuciem przy szyi Myka, głaszcząc fagora i pochlipując. Z ust Myka popłynęła strużka ciemnej wody i fagor zaczął pokastywać. Laintal Ay ukląkł przy Oyre i otoczył ją ramieniem.

Shay Tal oddaliła się wyniośle. Eksperyment wskazał, że fagor plus woda nie równa się lód. Proces nie był samoistny. Co zatem zdarzyło się na Rybim Jeziorze? Nie zdołała podobnie obrócić Voralu w lód, mimo że wyteżyła całą swoją wolę. A zatem eksperyment nie wykazał, że jest czarodziejką. Nie wykazał też, że nie jest czarodziejką; może dowiódł, że potrafi zamienić fagory w lód na Rybim Jeziorze, o ile nie wchodziły tam w grę jakieś inne czynniki, które uszły jej uwagi. Przystanąwszy w wejściu do swej wieży położyła dłoń na nie obrobionym kamieniu, czując pod nią chropawość porostów. Dopóki nie znajdzie innego wyjaśnienia, będzie musiała traktować swoją osobę tak, jak ją traktują inni jako czarodziejkę. Im bardziej morzyła się głodem, tym większy miała do siebie szacunek. Oczywiście pisane jej jest, jako czarodziejce, zachować dziewictwo, stosunek

płciowy zniweczyłby jej czarodziejskie moce. Otułiła swą chudą postać zbyt luźnym futrem i podążyła na górę wytartymi schodami.

Kobiety nad rzeką spoglądały to na podtopionego Myka w coraz szerszej kałuży, to na oddalającą się sylwetkę Shay Tal.

– Po co to całe zawracanie głowy? – zagadnęła swoje towarzyski stara Rol Sakil. – Jakim cudem nie utopiła przyzwoicie tego głuptaka, skoro się do tego wzięła?

Na najbliższym zebraniu rady Laintal Ay wstał i palnął mowę. Oświadczył, że słuchał wykładów Shay Tal. Że wszyscy wiedzą o jej cudzie na Rybim Jeziorze, którym ocaliła wielu ludzi. I że ona nigdy niczym nie zaszkoziła wspólnocie. Wniósł o uznanie i udzielenie pomocy akademii.

Aoz Roon siedział wściekły podczas jego przemowy, Dathka sztywny i milczący. Starcy z rady zerkali spod krzaczastych brwi jeden na drugiego i szeptali bojaźliwie; Eline Tal śmiał się.

– Jakiej pomocy żadasz od nas dla tej akademii? – zapytał Aoz Roon.

– Świątynia stoi pusta. Dajmy ją Shay Tal. Pozwólmy jej odbywać tam zebrania po południu, w porze spacerów. Wykorzystajmy to miejsce jako forum, gdzie każdy może zabierać głos. Zimno odeszło, ludzie mają więcej wolnego czasu. Otwórzmy świątynię jako akademię dla wszystkich, dla mężczyzn, kobiet i dzieci.

Gdy przebrzmiał jego donośny głos, zapanowała głucha cisza. Przerwał ją Aoz Roon.

– Nie wolno jej korzystać ze świątyni. Nie chcemy nowej bandy kapłanów. W świątyni trzymamy świnie.

– Świątynia stoi pusta.

– Od dzisiaj będą w niej świnie.

– Zły to dzień, w którym świnie stawia się wyżej niż ludzi. Ostatecznie Aoz Roon wyszedł z izby i zebranie skończyło się ogólnym zamieszaniem.

Czerwony na twarzy Laintal Ay zwrócił się do Dathki:

– Dlaczego mnie nie poparłeś?

Dathka, ze wzrokiem utkwionym w stole i z uśmiechem zakłopotania, szarpał skąpą brodę.

– Nie wygrałbyś, choćby poparło cię całe Oldorando. On już skreślił akademię. Szkoda twoich słów, przyjacielu.

Opuszczającego wieżę, oburzonego na cały świat Laintala Aya złapał za rękaw Datnil Skar, mistrz cechu garbarzy i białoskórników.

– Dobrze mówiłeś, młodzieńcze, ale i Aoz Roon słusznie prawił. Czy też, jeśli nie słusznie, to nie od rzeczy. Gdyby Shay Tal nauczala w świątyni, zostałaaby kapłanką i obiektem kultu. Tego nie chcemy – nasi przodkowie kilka pokoleń temu pozbyli się kapłanów.

Laintal Ay uważał mistrza Datnila za życzliwego i zacnego człowieka. Powściągając wzburzenie zajrzał w jego steraną twarz i spytał:

– Dlaczego mi to mówisz?

Mistrz Datnil rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje.

– Kult powstaje z ciemnoty. Wiara w coś ustalonego raz na zawsze jest oznaką ciemnoty. Szanuję próby wbijania ludziom faktów do głowy. Pragnę wyrazić żal z powodu twojej porażki, aczkolwiek nie zgadzam się z twoją propozycją. Chętnie zabiorę głos w akademii Shay Tal, jeśli ona mnie dopuści.

Zdjąwszy futrzaną czapkę położył ją na liszajowatym parapecie. Przyglądał rzadkie siwe włosy i odchrząknął. Powiódł spojrzeniem dokoła, uśmiechając się nerwowo. Złe się czuł w roli mówcy,

nimo że wszystkich zebranych w izbie znał od urodzenia. Przystąpił z nogi na nogę, skrzypiąc sztywną skórą odzienia.

– Nie obawiaj się nas, mistrzu Datnilu – powiedziała Shay Tal.

– Obawiam się jeno pani nietolerancji – odparł, a kilka spośród siedzących na podłodze kobiet przesłoniło dłońmi uśmieški.

– Wiecie, co robimy w naszych cechach, gdyż niektóre z was pracują u mnie – rzekł Datnil Skar. – Członkostwo cechu jest zastrzeżone oczywiście wyłącznie dla mężczyzn, bowiem tajniki naszej profesji przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Zwłaszcza mistrz przekazuje wszystko, co wie, swojemu przybocznemu nowicjuszowi, inaczej zwanemu starszym terminatorem. Kiedy umiera albo ustępuje mistrz, wówczas starszy terminator zostaje po nim mistrzem, tak jak Raynil Layan obejmie wkrótce moje stanowisko...

– Kobieta nadaje się do tego równie dobrze jak każdy mężczyzna – powiedziała Cheme Phar. – Pracuję u ciebie wystarczająco długo, Datnilu Skarzę. Znam wszystkie sekrety dołów solankowych. Mogłabym piklować sama w razie potrzeby.

– No tak, ale musimy dbać o zarządzanie i ciągłość, Cheme Phar – rzekł mistrz łagodnie.

– Już ja bym pozarządzała, spokojna głowa – powiedziała Cheme Phar i wszyscy wybuchnęli śmiechem, po czym spojrzeli na Shay Tal.

– Opowiedz nam o ciągłości – odezwała się Shay Tal. – Wiemy od Loilanun, że część z nas pochodzi od Juliego Kapłana, który przybył z północy, z Pannowaju. Znad jeziora Dorzin. To jedna ciągłość. A jak wygląda ciągłość w cechach, mistrzu Datnilu?

– Wszyscy członkowie cechu rodzili się i kształcili w Embruddocku, jeszcze zanim nastąpiło tu Oldorando. Przez wiele pokoleń.

– Jak wiele pokoleń?

– Ach, naprawdę wiele...

– Powiedz nam, skąd to wiesz? Wytarł dłonie o spodnie.

– Mamy kronikę. Każdy mistrz prowadzi kronikę.

– Pisaną?

– Zgadza się. Pisaną w księdze. Sztuka jest przekazywana. Ale kroniki nie wolno pokazywać obcym.

– Dlaczego, jak myślisz?

– Oni się boją, że kobiety zabiorą im robotę i zrobią ją lepiej – rzuciła któraś i znowu gruchnęła śmiech.

Datnil Skar uśmiechnął się z zakłopotaniem i nic nie rzekł.

– Przypuszczam, że tajemnica służyła w swoim czasie celom samoobrony – powiedziała Shay Tal. – Pewnych sztuk, jak kucia metali i garbarstwa, nie można zaniechać nawet w ciężkich czasach, pomimo głodu czy najazdów fagorów. Zapewne w przeszłości były bardzo ciężkie czasy i niektóre sztuki zanikały. Nie umiemy już wyrabiać papieru. Choć kiedyś istniał chyba cech papierników. A szkło. Nie potrafimy wyrabiać szkła. A przecież wokół walają się odłamki szkła – wszyscy wiemy, co to jest szkło. Dlaczego tak się dzieje, że jesteśmy głupszy od naszych przodków? Czy żyjemy i pracujemy w jakiejś nie sprzyjającej sytuacji, której sobie nie uświadomiamy w pełni? To jedna z podstawowych kwestii, o których nie wolno nam zapominać.

Umilkła. Nikt się nie odzywał, co ją zawsze irytowało. Tęskniła do byle jakiej uwagi, która posunęłaby dyskusję do przodu. Wreszcie odezwał się Datnil Skar:

– Matko Shay, o ile wiem, masz rację. Rozumiesz, że jako mistrza wiąże mnie przysięga, aby nikomu nie ujawniać sekretów mojej sztuki. przysięga, jaką złożyłem przed Wutrą i Embruddockiem.

Ale wiem, że były kiedyś ciężkie czasy, o których nie wolno mi mówić...

Urwał, mimo że dodawała mu otuchy uśmiechem.

– Czy wierzysz, mistrzu, że Oldorando było ongiś większe niż obecnie?

Przekrzywił głowę, nie spuszczając oka z Shay Tal.

– Wiem, że nazywasz to miasto podwórkiem. A przecież ono wciąż żyje... Jest środkiem kosmosu No tak, ale to nie jest odpowiedź na twoje pytanie. Proszę koleżanek, znalazłyście żyto i owies, rosnące na północ od osady, pomówmy więc o nich. O ile wiem, w tamtym rejonie były niegdyś starannie uprawiane pola, ogrodzone przed dzikimi zwierzętami. Póła należały do Embruddocku. Rosło tam wiele innych zbóż. Dziś wy je ponownie uprawiacie, mądrze czyniąc. Wiadomo wam, że w naszym garbarstwie potrzebujemy kory. Musimy się nieźle namęczyć, żeby ją zdobyć. Ja wierzę mocno... no dobrze, ja wiem... – Umilkł na chwilę, po czym podjął cichym głosem: – Ogromne bory pełne wysokich drzew rosły na zachodzie i północy, dostarczając kory i drewna. Kraina zwała się Kasją. Gorąca była wówczas, nie zimna. Któraś powiedziała:

– Czasy gorąca to legenda pozostała po kapłaństwie. Coś w rodzaju zabobonów, z którymi walczyliśmy w akademii. My wiemy, że kiedyś było zimniej niż obecnie. Zapytajcie moją babkę.

– Ja chcę powiedzieć, że o ile mi wiadomo, gorąco było, zanim nastąpiła zimna – rzekł Datnil Skar, skrobiąc się z wolna w tył siwej głowy. – Powinniście postarać się to zrozumieć. Wiele żywotów przeminęło, wiele lat. Kawał historii gdzieś się zapodział po drodze. Wiem, że wy, kobiety, uważacie mężczyzn za wrogów waszego pędu do wiedzy, i tak może i jest, ale ja was szczerze namawiam do popierania Shay Tal na przekór najrozmaitszym trudnościom. Jako mistrz wiem, że nie ma rzeczy cenniejszej niż wiedza. A zdaje się, że wyciekła z gleby naszej społeczności, niczym woda z dziurawego buta.

Wstały, żegnając go uprzejmymi oklaskami.

Dwa dni później, o zachodzie Freyra, Shay Tal krążyła niespokojnie po swej samotni. Z dołu doleciał ją okrzyk. Natychmiast pomyślała o Aozie Roonie, chociaż głos nie należał do niego. Zaciekawilo ją, kto o zmierzchu wybrał się za palisady. Wychyliwszy głowę z okna ujrzała majaczącą w mroku sylwetkę Datnila Skara.

– Hej, przyjacielu, proszę na górę – zawołała.

Zeszła mu na spotkanie. Datnil Skar uśmiechnął się nerwowo, ściskając jakąś szkatułę. Usiedli naprzeciwko siebie na kamiennej posadzce i Shay Tal poczęstowała go bełtelem. Po krótkiej, zdawkowej pogawędce rzekł:

– Jak sądzę, wiesz, że mam wkrótce ustąpić ze stanowiska cechmistrza garbarzy i białoskórników. Mój starszy terminator zajmie moje miejsce. Starzeję się, a on dawno już poznał wszystkie tajniki zawodu.

– Dlatego tu przychodzisz?

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Przychodzę tu, matko Shay, dlatego że..., że ja, starzec, żywię uwielbienie dla ciebie, dla twojej osoby i twoich zalet. Nie, nie przerywaj, pozwól mi to powiedzieć. Zawsze służyłem naszej społeczności i darzę ją miłością, i wierzę, że ty czynisz tak samo, chociaż masz przeciwko sobie wielu mężczyzn. Zapragnąłem więc wyświadczyć ci przysługę, dopóki jest to w mojej mocy.

– Zacny z ciebie człowiek, Datnilu Skarzę. Wie o tym Oldorando. Społeczności potrzebni są zacni ludzie.

Wzdychając, pokiwał głową.

– Służyłem Embruddockowi – a raczej Oldorando, jak winniśmy je zwać – każdego dnia mego

życia i nigdy nie opuściłem osady. A przecież nie było chyba dnia... – Urwał ze zwykłą sobie wstydlivością, uśmiechnął się. – Wierzę, że do pokrewnej duszy kieruję te słowa..., że nie było chyba dnia, abym nie umierał z ciekawości... ciekawości, co dzieje się w innych miejscach, daleko stąd.

Umilkł, odchrząknął i podjął żywiej: – Opowiem ci pewną historię. Jest króciutka. Pamiętam jednej strasznej zimy, gdy byłem dzieckiem, napaść fagorów, a potem zarazę i głód. Zmarło mnóstwo ludzi. I fagory także umierały, chociaż wówczas o tym nie wiedzieliśmy. Było bardzo ciemno, słowo daję, dni są teraz jaśniejsze... Tak czy owak, z rzezi ocalało ludzkie pachole. Na imię miało... wstyd mi przyznać, że zapomniałem, lecz o ile pamiętam, coś jak Krindlesheddy. Długie imię. Kiedyś wiedziałem dokładnie. Z latami uleciało mi z pamięci.

Krindlesheddy pochodził z dalekiej północnej krainy Sibornal. Mówił, że Sibornal jest krainą wiecznego lodu. Mnie wybrano wówczas na starszego terminatora w moim cechu, on zaś miał zostać w Sibornalu kapłanem, a zatem każdy z nas był poświęcony swemu powołaniu. On – Krindlesheddy czy jak mu tam było na imię – uważał nasze życie za wygodne. Oldorando ogrzewały gejzery.

Jako młody członek kasty kapłańskiej mój przyjaciel przyłączył się do kolonistów, którzy wyruszyli na południe, uciekając przed mrozami, aż dotarli do gościnniejszej ziemi nad jakąś rzeką. Tam musieli stoczyć bój z miejscową ludnością zamieszkującą królestwo zwane... no tak, mniejsza o nazwę po tylu latach. Rozgorzała krwawa bitwa, w której Krindlesheddy – o ile tak miał na imię – został ranny. Niedobitki kolonistów uciekły po to tylko, żeby wpaść w łapy hordy fagorów. To był czysty przypadek, że uszedł tutaj przed nimi. A może go zostawiły, jako rannego.

Udzieliliśmy chłopakowi wszelkiej pomocy, ale zmarł miesiąc później. Opłakiwałem go. Sam byłem młody. A jednak nawet i wtedy zazdrościłem mu tego, że zwiedził kawał świata. Opowiadał mi, że w Sibornalu lód występuje w wielu kolorach i jest piękny

Mistrz Datnil skończywszy swą opowieść siedział w milczeniu u boku Shay Tal. gdy w drodze na swoje górne piętro weszła do izby Vry. Uśmiechnął się do niej miło i powiedział do Shay Tal:

– Nie odprawiaj jej. Wiem, że Vry jest twoją starszą terminatorką i że jej ufasz tak, jak ja chciałbym móc ufać mojemu starszemu terminatorowi. Pozwól jej wysłuchać, z czym przyszedłem – Położył drewnianą szkatułę na podłodze przed sobą. – Przyniosłem Księgę Mistrza naszego cechu, żeby ją wam pokazać.

Shay Tal mało nie zemdląła. Jeśli wypożyczenie księgi wyjdzie na jaw, cechy wyrobników zabiją mistrza bez wahania.. Domyślała się, jaką starzec musiał stoczyć ze sobą walkę wewnętrzną, zanim przyniósł księgę Vry podeszła i uklękła przy nim; na jej twarzy malowało się podniecenie.

– Pokaz – sięgnęła ręką zapominając o swej nieśmiałości.

Położył dłoń na jej dłoni, powstrzymując dziewczynę.

– Najpierw rzućcie okiem na drewno, z jakiego wykonano tę szkatułę. To nie radzababa, zbyt piękne ma słoje. Popatrzcie na te rzeźbienia Spójrzcie na delikatny grawerunek metalowych okuć w rogach. Czy cech naszych wyrobników metalu potrafiłby dzisiaj wykonać tak misterną robotę

Kiedy obejrzały wszystko dokładnie, otworzył szkatułę Wydobył dużą księgę oprawioną w grubą skórę, tłoczoną w skomplikowane ornamenty

– To ja sam wykonałem, matko. Zmieniłem oprawę księgi Środek jest stary.

Stronice były starannie, często ozdobnie, wykaligrafowane przez wiele różnych rąk. Datnil Skar przerzucał pośpiesznie karty księgi, jeszcze teraz ociągając się przed pokazaniem zbyt wiele. Ale kobiety wyraźnie widziały daty, imiona, rejestry, rozmaite nagłówki i ryciny. Zajrzał im w oczy uśmiechając się niewesoło

– Na swój sposób ta księga opowiada historię Embruddocku na przestrzeni lat. A każdy z ocalałych cechów posiada podobną księgę. tego jestem pewny.

– Co było, to nie jest. My teraz wyglądamy tego, co będzie – rzekła Vry. – Nie chcemy tkwić w przeszłości. Chcemy z niej wyjść... – Niezdecydowanie zawiesiła głos, nie kończąc zdania, żałując, że w podnieceniu zwróciła na siebie uwagę. Patrząc na ich twarze zrozumiała, że są starsi i nigdy się z nią nie zgodzą. Mieli wspólne cele, ale szli do nich różnymi drogami.

– Kluczem do przyszłości jest przeszłość – powiedziała Shay Tal pobłażliwie, lecz kategorycznie, gdyż niejedną raz wbijała to Vry do głowy – Mistrz Datnilu – zwróciła się do starca – chylimy czoło przed wspaniałomyślnym gestem, na jaki się zdobyłeś pozwalając nam zajrzeć do tajnej księgi. Może któregoś dnia pozwolisz nam przestudiować ją dokładniej Czy możesz powiedzieć, ilu było mistrzów w twoim cechu od początków tej kroniki

Zamknął księgę i zaczął ją pakować do szkatuły. Ze starczych ust pociekła ślina, ręce zaczęły dygotać

– Syczury znają sekrety Oldorando... Narażam się na niebezpieczeństwo, przynosząc tę księgę tutaj Po prostu zgłupiałem na stare lata. Słuchajcie, moje drogie, dawno, dawno temu żył sobie wielki i potężny król. panujący nad całym Kampanlat, niejaki król Denms. Przewidział on, że świat – ten świat, który ancipici zwą Hrrm-Bhhrd Ydohk – utraci swoje ciepło, tak jak wiadra traci wodę, gdy niesiemy je ulicą. Przystąpił więc do stanowienia naszych cechów i obowiązujących w nich żelaznych reguł Wszystkie cechy wyrobników miały przechowywać mądrość przez mroczne dni, do powrotu ciepła. – Recytował monotennie, jak gdyby powtarzał z pamięci. – Nasz cech przetrwał od panowania dobrego króla, chociaż zdarzały się okresy, że nie miał czym garbować skór. Wedle tej tu kromki, nasze szeregi stopniały pewnego razu do mistrza i ucznia, którzy mieszkali pod ziemią, daleko stąd.. Straszne to były czasy. Ale przetrwaliśmy

Otarł usta Shay Tal spytała, o jak długi okres tu chodzi. Datnil Skar zapatrzył się w ciemniejący prostokąt okna. jak gdyby rozważał ucieczkę przed tym pytaniem

– Nie rozumiem wszystkich zapisków w mojej księdze. Znasz bałagan z kalendarzem Jak uczy nas dzień dzisiejszy, nowe kalendarze wprowadzają sporo zamieszania... Embruddock – darujcie, że boję się powiedzieć za dużo – otóż Embruddock nie zawsze należał do ludzi naszego pokroju

Potrząsnął głową, obrzucając izbę spłoszonym wzrokiem. Pośród wiekowych, mrocznych murów kobiety wyczekiwały w bezruchu, niczym fagory Wreszcie Datnil Skar podjął.

– Wielu ludzi umarło Był wielki pomór. Tłusta Śmierć. Najazdy. . Siedem Ślepot.. pasma nieszczęść. Mamy nadzieję, że nasz obecny lord – ponownie rozejrzył się po izbie – okaże się równie mądry jak król Denniss Dobry król założył nasz cech w roku nazwanym 249 przed Nadirem Nie wiemy, kim był Nadir Wiemy tylko tyle, że ja – pomijając lukę w zapisie – jestem sześćdziesiątym ósmym mistrzem cechu garbarzy i białoskórników. Sześćdziesiątym ósmym... – wlepił w Shay Tal krótkowzroczne spojrzenie.

– Sześćdziesiąty ósmy... – Starając się pokryć lęk i zdumienie Shay Tal charakterystycznym ruchem zebrała na sobie fałdy futra. – To wiele pokoleń, sięgających wstecz aż do starożytności.

– Tak, tak, daleko wstecz. – Mistrz Datnil przytaknął z lubością, jakby był za pan brat z tymi bezmiarami czasu. – Blisko siedem stuleci minęło od założenia naszego cechu. Siedem stuleci, a noce wciąż są zimne.

Embruddock tkwił wśród pustkowi jak statek na mieliźnie, który wciąż daje załodze schronienie, ale nigdy więcej nigdzie nie pożegluje. Czas doszczętnie ogołocił świetną ongiś metropolię i obecni jej mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy, że to, co uważają za miasto jest zaledwie ruiną pałacu stojącego niegdyś w kolebce cywilizacji startej z powierzchni ziemi przez klimat, szaleństwo i wieki.

Trwała poprawa pogody zmusiła łowców do coraz dalszych wędrówek w poszukiwaniu zwierzyny. Niewolnicy pielęgnowali poletka i śnili o niedostępnej wolności. Kobiety przesiadywały po domach, hodując nerwice.

Podczas gdy Shay Tal pościła i żyła w coraz większej samotności, tłumiona energia rozpieierała Vry, żyjącą w coraz większej przyjaźni z Oyre. Gadała z nią o tym wszystkim, co powiedział mistrz Datnil, znajdując w przyjaciółce wdzięczną słuchaczkę. Zgadzały się, że historia kryje zagadkowe tajemnice, choć Oyre trochę w to powątpiewała.

– Datnil Skar jest zramolały i odrobinę stuknięty, ojciec zawsze to powtarza – rzekła i naśladowując kroczyki mistrza zaczęła kuśtykać po izbie, wykrzykując piskliwym głosem: – Nasz cech jest tak ekskluzywny, że nie przyjęliśmy – samego króla Dennissa...

Vry parsknęła śmiechem, a Oyre rzekła już poważniej:

– Mistrz Datnil mógłby dać głowę za pokazywanie ludziom cechowej Księgi Mistrza, to dowód, że jest stuknięty.

– Ale nawet nie dał nam obejrzeć jej dokładnie. – Vry umilkła, by po chwili wybuchnąć: – Gdybyśmy tak powiązały te wszystkie fakty. Shay Tal zbiera je tylko, zapisuje. Musi być jakiś klucz do złożenia ich w jakąś... jakąś całość. Ileż tego zaginęło. .. Mistrz Datnil ma tutaj rację. Zimno było tak dotkliwie, że niemal wszystko, co daje się palić, zostało dawno, dawno temu spalone: drewno, papier, wszystkie kroniki. Zdajesz sobie sprawę, że my nawet nie wiemy, który mamy rok? A przecież gwiazdy mogłyby nam powiedzieć. Kalendarz Loily Bry jest idiotyczny, kalendarze winny opierać się na latach, nie na ludziach. Ludzie są jakże omylni... i ja też. Och, zwariuję, słowo daję!

– Nie znam osoby przy zdrowszych zmysłach, ty wariatko – powiedziała Oyre zaśmiewając się i obściskując Vry.

Przysiadłszy obok siebie na gołej podłodze znów pograżyły się w rozmowie o gwiazdach. Oyre opowiedziała o fresku w starej świątyni, który oglądała z Laintalem Ayem.

– Strażnicy wymalowani są wyraźnie, Bataliksa z Freyrem jak zwykle, tyle że prawie się stykają ponad głową Wutry.

– Z każdym rokiem słońca coraz bardziej się do siebie zbliżają – stwierdziła stanowczo Vry. – W zeszłym miesiącu dosłownie zetknęły się, gdy Bataliksa przeganiała Freyra, a nikt nie zwrócił na to większej uwagi. Za rok się zderzą. Co wtedy?... Być może, jedno przejdzie za drugim.

– A może to właśnie mistrz Datnil nazywa Ślepotą? Nagle zapadłby półdzień, prawda, gdyby jeden strażnik zniknął? Może nadejdzie Siedem Ślepot, jak kiedyś. – Oyre z wystraszoną miną przysunęła się do przyjaciółki. – To będzie koniec świata. Zjawi się Wutra, wściekły, rzecz jasna.

Vry zerwała się na nogi z głośnym śmiechem.

– Świat nie skończył się wtedy i nie skończy się tym razem. Nie, to może oznaczać początek nowego. – Jej twarz rozpromieniła się. – Oto dlaczego pory roku są coraz cieplejsze. Jak tylko Shay Tal przejdzie ten swój upiorny pauk, wrócimy do tej sprawy. Zabieram się do mojej arytmetyki. Niech przybywają Ślepoty – w to mi graj!

Tańczyły po izbie, zaśmiewając się jak szalone.

– Tak chciałabym przeżyć coś wielkiego! – zawołała Vry.

Tymczasem pod skórą Shay Tal wyraźniej niż zwykle znać było drobne ptasie kości i ciemne futro luźniej wisało na jej ciele. Kobiety przynosiły jedzenie, ale ona nie chciała jeść.

– Głodówka odpowiada mojej zgłodniałej duszy – powiedziała chodząc tam i z powrotem po zimnej komnacie, kiedy Vry z Oyre robiły jej wymówki, zaś Amin Lim stała potulnie obok. – Jutro zapadam w pauk. Wy trzy oraz Rol Sakil możecie być przy mnie. Zaczepnę starożytnej wiedzy ze

studni przeszłości. Poprzez mamuny dotrę do pokolenia, które pobudowało nasze wieże i korytarze. Zejdę na stulecia w głąb, jeśli będzie trzeba, i stanę przed samym królem Dennissem.

– Wspaniale! – zawołała Amin Lim.

Na Wykruszonym parapecie w oknie przysiadły ptaki, dziobiąc chleb, którego Shay Tal nie chciała tknąć.

– Niech pani nie schodzi w przeszłość – radziła Vry. – To droga starych ludzi. Trzeba patrzeć w dal, prosto przed siebie. Nic nie przyjdzie nikomu r wypytywania umarłych.

Tak odwykła Shay Tal od dyskusji, że z trudem powstrzymała się od zrugania swej uczennicy. Nie mogła oderwać oczu od Vry, ze zdumieniem odkrywając, że to zahukane młode stworzenie nagle stało się kobietą. Vry miała bladą twarz, oczy podkrążone, podobnie Oyre.

– Co wyście obie takie blade? Coś wam dolega?

Vry pokręciła głową.

– Dziś w nocy przed północy jest godzina ciemności. Pokażę pani wtedy, co robimy z Oyre. Kiedy cały świat śpi, my pracujemy.

Freyr zaszedł na bezchmurnym niebie. Ciepło opuszczało świat, gdy obie dziewczyny wiodły Shay Tal na szczyt zrujnowanej wieży. Wachlarz widmowej poświaty rozpostarł się w górę na pół drogi do zenitu ponad horyzontem, za który zapadł Freyr. Niewiele obłoków przesłaniało nieboskłon; gdy oczy przywykły do ciemności, jasne gwiazdy zapłonęły w górze jak lampy. W niektórych połaciach nieba były rzadko rozsiane, w innych wisały ich całe grona. Hen wysoko rozpięty od jednego krańca horyzontu po drugi, widniał szeroki, nieregularny świetlisty pas, gdzie gwiazd było jak piasku i gdzie tu i ówdzie płonęły jaskrawe ognie.

– To najwspanialszy widok na świecie – powiedziała Oyre. – Nie sądzi pani?

– W świecie dolnym mamuny wiszą jak gwiazdy. Są duchami Umarłych. Tutaj widzicie duchy nie narodzonych. Jako w górze, tak i na dole.

– Moim zdaniem, musimy kierować się całkowicie odmienną zasadą w objaśnianiu nieba – rzekła stanowczo Vry. – Tu wszelkie ruchy są regularne. Gwiazdy wędrują wokół tej jasnej gwiazdy, którą nazywamy gwiazdą polarną. – Wskazała gwiazdę wysoko nad ich głowami. – Przez dwadzieścia pięć godzin doby wykonują gwiazdy jeden obrót, wschodząc na wschodzie i zachodząc na zachodzie, tak jak oboje strażników. Czyż to nie dowodzi, że są podobne do pary strażników, tylko dużo dalej od nas?

Pokazały Shay Tal sporządzoną przez siebie mapę nieba, cienki pergamin, na którym zaznaczyły odpowiednie pozycje gwiazd. Shay Tal okazała małe zainteresowanie.

– Gwiazdy nie mają na nas takiego wpływu jak mamiki – rzekła. – I co ma ta wasza zabawa wspólnego z wiedzą? Lepiej byście zrobili wysypiając się po nocach.

Vry westchnęła.

– Niebo żyje. To nie grób, jak świat dolny. Oyre i ja z tego miejsca widziałyśmy. Jak buchają ogniem lądujące na ziemi komety. I są tam cztery jasne gwiazdy, czterej wędrowcy opiewani w starych pieśniach, chadzający własnymi drogami. Ci wędrowcy czasami zawracają na swych niebieskich szlakach. A jeden przelatuje bardzo szybko. Zaraz go ujrzymy.

Wydaje nam się, że jest blisko nas, i nazywamy go Kaidawem, z racji jego chyżości.

Shay Tal zatarła dłonie, rozglądając się nieufnie.

– Hm, zimno tu na górze.

– Jeszcze zimniej jest na dole u mamików – odparła Oyre.

– Uważaj na swój język, młoda panno. Nie sprzyjasz akademii, odciągając Vry od ucziwej pracy.

Twarz jej stała się zimna i drapieżna; odwróciła się szybko, jakby kryjąc ją przed Oyre i Vry, i już bez słowa zeszła schodami na dół.

– Oj, zapłacę ja za to – powiedziała Vry. – Będę musiała nieźle się upokorzyć, aby to odrobić.

– Jesteś zbyt pokorna, Vry, a ją rozpiera pycha. Pluń na jej akademię. Ona boi się nieba, jak większość ludzi. Jej sprawa – czy jest czarodziejką czy nie. Otacza się idiotkami, jak Amin Lim, bo przed nimi łatwiej zadzierać nosa.

Schwyciwszy Vry z jakąś gniewną pasją, poczęła zaliczać kolejno wszystkie swoje znajome do idiotek.

– Złości mnie tylko, że nawet nie miałyśmy kiedy pokazać jej naszej lunety – powiedziała Vry.

Ta właśnie luneta dokonała największego przełomu w astronomicznych zainteresowaniach Vry. Kiedy Aoz Roon został lordem i zamieszkał w Wielkiej Wieży, Oyre mogła swobodnie plądrować w przeróżnym dobytku niszczącym tu po skrzyniach. Luneta wyrzała na światło dzienne spod stosu pociętych przez mole rozsypujących się w rękę ubrań. Prostej roboty, zapewne dawno wymarłego cechu szklarzy – ot, ledwie skórzana rura z o&adzoną w niej parą soczewek – skierowana na gwiazdy, całkowicie odmieniła widzenie Vry. Wędrowcy ukazali bowiem wyraźne tarcze. Pod tym względem przypominali strażników, mimo że nie świecili. Z tego odkrycia Vry i Oyre wywnioskowały, że wędrowcy są blisko ziemi, a gwiazdy daleko – niektóre bardzo daleko. Od traperów obchodzących sidła przy świetle gwiazd dowiedziały się imion wędrowców: Hipokrena, Pogan, Asjopeja. I był jeszcze chyży Kaidaw, którego same tak nazwały. Teraz poszukiwały dowodów, że to są światy, jak ich własny, może nawet zamieszkane przez ludzi.

Zerkając na przyjaciółkę Vry widziała jedynie kontury owej ślicznej buzi i mądrej głowy, i uprzytomniła sobie, jak bardzo Oyre przypomina Aoza Roona. Zdawało się, że córkę i ojca przepelnia ta sama siła witalna – chociaż córka była z nieprawego łoża. Vry zastanawiała się, czy jakimś trafem – jakimś ślepym trafem – Oyre nie bawiła z mężczyzną w mrokach brassimipy albo gdzieś indziej. Prędko odegnawszy frywolne myśli obróciła spojrzenie na niebo.

Czekały z pewnym namaszczeniem na kolejny Świstek Czasu. Parę minut później wzeszedł Kaidaw i poszybował ku zenitowi.

Ziemska Stacja Obserwacyjna „Avernus” – Kaidaw dla Vry – szybowała wysoko ponad Helikonią, ponad przesuwającym się pod nią kontynentem Kampanlat. Załoga stacji śledziła przede wszystkim planetę pod sobą, ale i pozostałe trzy planety podwójnego układu znajdowały się pod stałym nadzorem automatycznych przyrządów. Na wszystkich czterech planetach wzrastały temperatury. Ogólna poprawa była procesem ciągłym i tylko wrażliwe ciała na powierzchni planety odbierały ją jako anomalie.

Helikoński dramat męki pokoleń rozgrywał się pod dyktando i w scenerii określonej przez kilka dominujących czynników. Rok planety na orbicie wokół Bataliksy – gwiazdy B dla uczonych głów z „Avernusa” – trwał 480 dni (mały rok). Ale Helikonią miała również Wielki Rok, o którym w obecnej sytuacji nic nie wiedzieli mieszkańcy Embruddocku. Wielki Rok był to czas potrzebny gwiazdzie B razem z jej planetami na przebycie orbity wokół Freyra. Ów wielki rok trwał 1825 helikońskich małych lat. Ponieważ jeden helikoński mały rok liczył sobie 1, 42 roku ziemskiego, stanowiło to 2592 ziemskie lata w wielkim roku – okres na rozkwit i zejście wielu pokoleń ze sceny życia.

Wielki rok odpowiadał ogromnej eliptycznej drodze. Z masą równą 1,28 masy Ziemi była Helikonią nieco większą, lecz pod wieloma względami siostrzaną planetą Ziemi. Atoli w swej eliptycznej podróży przez tysiące lat stawała się jak gdyby dwiema różnymi planetami – jedną

wyźbioną w apastronie, największym oddaleniu od Freyra, drugą przegrzaną w periastronie, najbliżej Freyra.

Z każdym małym rokiem Helikonią coraz bardziej zbliżała się właśnie do Freyra. Niebawem wiosna miała w spektakularny sposób zaznaczyć swe przybycie.

W pół drogi pomiędzy gwiazdnymi szlakami na wysokości a mamunami z wolna opadającymi do prakamienia dwie kobiety przysiadły na piętach po dwóch stronach posłania z orlicy. Przez zamknięte okiennice wpadała do izby niska poświata, w której kobiety wyglądały jak dwie bezimienne płaczki siedzące po bokach wyciągniętej na posłaniu sylwetki. Dawało się jedynie zauważyć, że jedna jest pulchna i nie pierwszej młodości, a drugą dosięgnął już proces starczego usychania. Rol Sakil Den pokręciła siwą głową i spojrzała z żalobnym współczuciem na leżącą postać.

– Kochane biedactwo, taka była z niej śliczna dziewczyna, nie ma prawa zamęczać się w ten sposób.

– Pilnowałyby swoich chlebów i już – odparła druga kobieta dla świętego spokoju.

– Pomacaj tylko, jaka ona chuda. Pomacaj jej biodra. I jak tu miała nie zdziwaczeć.

Rol Sakil sama miała ciało wyschnięte jak mumia, kości przeżarte artretyzmem. Była położną w osadzie, zanim na stare lata nie podupadła na siłach. Nadal doglądała wszystkich w pauk. Wyprawiwszy z domu Dol kręciła się teraz przy akademii, zawsze skora do krytyki, nieskora do przemyśleń.

– Takie to teraz wąskie, że patyka nie wydałaby z tego swojego łona, nie mówiąc już o dziecku. A o łono trzeba dbać, to najważniejsza część kobiety.

– Nie dzieci jej w głowie – powiedziała Amin Lim.

– Och, mam tyle samo szacunku dla wiedzy co każdy inny, ale kiedy wiedza odbiera ci wrodzony dryg do kopulacji, to winna iść w ką.

– Jeśli o to chodzi – z pewną opryskliwością odparła Amin Lim z drugiej strony posłania – ten wrodzony dryg odebrała jej twoja Dol, gdy weszła Aozowi Roonowi do łóżka. Ona żywi do niego głębokie uczucie, zresztą nie ona jedna. Przystojny chłop z Aoza Roona, i lord Embruddocku na dodatek.

Rol Sakil prychnęła.

– To nie powód, by od razu żadnemu nie dawać. Zawsze mogłaby wypełnić sobie czas kimś innym, żeby nie wyjść z wprawy. Poza tym o n nie przyjdzie więcej pukać do jej drzwi, zważ moje słowa. Ma pełne ręce roboty z naszą Dol. – Stara kiwnęła palcem na Amin Lim, aby powiedzieć jej coś w zaufaniu, więc zetknęły się głowami ponad nieruchomym ciałem Shay Tal.

– Dol nie daje mu odsapnąć – i z czystej ochoty, i z wyrachowania. I to bym zaleciła każdej kobiecie, nie wyłączając ciebie. Amin Lim. Założę się, że folgujesz sobie co i rusz – nie bałabyś kobietą nie folgując sobie w tym wieku. Trzeba wymagać od chłopca.

– Och, z pewnością nie ma kobiety, która nie leciałaby na Aoza Roona, mimo jego humorów.

Shay Tal westchnęła w swoim pauk. Rol Sakil ujęła jej dłoń w swoje wyschnięte palce i wciąż poufnym tonem szeptała:

– Dol mówi, że on strasznie mamrocze przez sen. Powiadam jej, że to oznacza wyrzuty sumienia.

– A skąd u niego wyrzuty sumienia? – spytała Amin Lim.

– A właśnie... tutaj mogłabym ci opowiedzieć pewną historię... Owego ranka po tej wielkiej popijawie i awanturach byłam wcześniej na nogach, jak to stara. Wychodzę na dwór, grubo opatulona

od porannego chłodu, w mroku potykam się o kogoś i mówię sobie: No i mamy głupka. śpi na ziemi pijany jak kozioł. U podnóża Wielkiej Wieży.

Urwała patrząc, jakie wrażenie wywarły jej słowa na Amin Lim, która z braku lepszego zajęcia słuchała z zapartym tchem. Zmrużywszy swoje małe oczka Rol Sakil podjęła opowieść.

– Tyle by mnie to obchodziło, co zeszłoroczny śnieg, bo i sama lubię sobie golnąć świńskiego rozumu. Ale z drugiej strony za wieżą na co się nadziewam, jak nie na drugiego gagatka. To razem już dwa głupki śpią na ziemi, pijane jak kozły – powiadam sobie. I tyle by mnie to obchodziło, co zeszłoroczny śnieg, gdyby się nie rozeszło, że znaleziono trupy młodego Klilsa i jego brata Nahkriego, jeden przy drugim u stóp wieży – a to już inna para butów... – Prychnęła.

– Wszyscy mówili, że tam właśnie ich znaleziono.

– Aha, ale to ja pierwsza ich znalazłam i oni wcale nie leżeli razem. A więc nie pobili się ze sobą, tak czy nie? To podejrzana historia. Nie sądzisz. Amin Lim? Więc tak sobie myślę, że ktoś wziął i zepchnął obu braci ze szczytu wieży. Kto to był, kto najlepiej wyszedł na ich śmierci? No tak, dziewczyno, takie sprawy zostawiam innym do rozstrzygnięcia. Jedno powiadam, i powiadam to naszej Dol: Pamiętaj, że masz lęk wysokości, Dol. Nie zbliżaj się, proszę, do żadnych parapetów wież, a włos ci z głowy nie spadnie... Tak właśnie powiadam.

Amin Lim pokręciła głową.

– Shay Tal nie kochałaby Aoza Roona, gdyby zrobił coś takiego. A wiedziałyby. Jest mądra, wiedziałyby na pewno.

Podniósłszy się Rol Sakil pokuśtykała nerwowo po kamiennej izbie, z powątpiewaniem potrząsając głową.

– Gdy chodzi o chłopów, Shay Tal jest taka sama, jak my wszystkie. Nie zawsze myśli w swoich szlejach, czasami zamiast nich posługuje się tym, co ma między nogami.

– Och, dajże spokój.

Amin Lim ze smutkiem popatrzyła na swą przyjaciółkę i nauczycielkę. Po cichu życzyła Shay Tal, aby jej życie układało się bardziej według recepty Rol Sakil: wówczas pewnie byłaby szczęśliwsza. Leżała w pozycji pauk: sztywna, wyciągnięta na lewym boku. Oczy jakby lekko nie domknięte. Oddech prawie nieuchwytny, z przeciągłym westchnieniem co jakiś czas. Zapatrzonej w surowe rysy tej drogiej twarzy Amin Lim zdawało się, że ogląda kogoś, kto z zimną krwią stawia czoło śmierci. Jedyne zaciśnięte chwilami wargi świadczyły o niemożliwej do opanowania trwodze przed mieszkańcami świata dolnego. Amin Lim weszła wprawdzie kiedyś w pauk za czyjąś namową, lecz ponowny widok ojca nappełnił ją takim przerażeniem, że starczyło jej na całe życie. Dodatkowy wymiar był już przed nią zamknięty, nigdy więcej nie odwiedzi tamtego świata. dopóki nie otrzyma ostatecznego wezwania.

– Biedactwo, małe biedactwo – szepnęła i pogłaskała przyjaciółkę po głowie, patrząc na siwe włosy z czułością i z nadzieją, że ulży jej w drodze przez czarne królestwo pod powierzchnią życia.

Mimo że dusza nie ma oczu. to jednak widzi w ośrodku, w którym strach zastępuje widzenie. Zaglądając w dół opadała w przestrzeń rozleglejszą niż nocne niebo. Wutra nigdy nie zaglądał do tej przestrzeni. Tu istniał region, którego istnienia Wutra Nieśmiertelny nie przyjmował do wiadomości. Ze swym błękitnym obliczem, śmiałym spojrzeniem, z wysmukłymi rogami przynależał do wielkiej mroźnej bitwy toczącej się zupełnie gdzie indziej. Nie było tu Wutry, więc było piekło. Każda zapalona tu gwiazda była śmiercią. Każda śmierć miała tu swoje stałe miejsce. Strach zastąpił wszelkie zapachy. Komety nie rozświetlały tego królestwa kresu entropii, ustania zmian, ostatecznej śmierci życia, na którą życie mogło odpowiedzieć tylko strachem. Jak to właśnie czyniła dusza.

Oktawy śródziemne meandrowały skroś terytorium rzeczywistości. Przypominały ścieżki, a jeszcze bardziej kręte ściany dzielące świat bezkresnym labiryntem, szczytami tylko wynurzone na powierzchnię życia. Ich realna tkanka tonęła w głąb litej ziemi, sięgając prakamienia, na którym spoczywa tarcza świata. W prakamieniu, na dni właściwych im oktaw śródziemnych, tkwiły mamiki i mamuny, niczym mrowie niedbale zakonserwowanych much.

Wymizerowana dusza Shay Tal tonęła w głębi przeznaczonej sobie oktawy śródziemnej, lawirując wśród mamunów. Widziała zapadnięte brzuchy i oczodoły, i dyndające kościste stopy tych niby-mumii, którym spod chropowatej jak stary worek i zarazem przezroczystej skóry przeświecały fosforyzujące narządy wewnętrzne. Otwarte niczym u ryby usta wciąż jakby żyły inną chwilą, kiedy to mogły zaczerpnąć powietrza. Mniej sędziwe mamiki miały usta pełne czegoś, co przypominało robaczki świętojańskie i co wylatywało w tumanach pyłu. Mimo że wszystkie te stare wyrzucone za burtę istoty nie poruszały się, zbłąkana dusza wyczuwała ich wściekłość – wściekłość straszną, nie znaną żadnej istocie, dopóki nic zabrał jej obsydian. Osiadłszy w ich rzeszy spostrzegła, że wiszą w nieregularnych szeregach, ciągnących się do miejsc, do których ona nie mogła zawędrować, do Borlien, do mór, do Pannowalu, do dalekiego Sibornalu, a nawet do lodowych pustkowi na wschodzie. Wszystkie zesłane tutaj tworzyły ogniwa jednego wielkiego łańcucha pod właściwą im oktawą śródziemną.

Dla żywych zmysłów nie było tu kierunków. A jednak jakiś kierunek był. Dusza musiała szybować w jakimś kierunku. I musiała się mieć na baczności. Mamun posiadał woli nie więcej niż drobina pyłu, ale wściekłość uwięziona w jego łoni dawała mu moc. Mógł połknąć duszę szybującą nazbyt blisko, a uwolniwszy się w ten sposób znów chodził po ziemi, siejąc strach i mór, gdziekolwiek stąpnął. Aż nadto świadoma niebezpieczeństwa dusza tonęła w świecie obsydianu, w tym, co Loilanun zwała wyskrobaną pustką. Stała wreszcie przed mamicą matki Shay Tal.

Zrudziały stwór wyglądał jak uwity z łozy i łyka, które tworzyły deseń podobny wysuszonej sieci rozpiętej na piersiach i sterzających kościach biodrowych. Wlepił wzrok w duszę swojej córki. Wyszczrzył stare, brunatne zęby w opadłej szczęce. Sam w sobie stanowił brunatną plamę. Jednak wszystkie szczegóły rysowały się w niej tak wyraźnie, jak w deseni porostów na ścianie rysuje się czasem wizerunek człowieka lub cmentarne widmo. Matczyny mamik zanosił się lamentem nieustannej skargi.. Mamiki są zaprzeczeniem ludzkiego życia i dlatego mają je za nic. Uważają, że trwało za krótko i że nie osiągnęły zasłużonego szczęścia na ziemi. I że nie zasłużyły sobie na takie zapomnienie. Mamik łaknie żywych dusz. Tylko żywe dusze mogą słuchać mamicznej skargi bez końca.

– Matko, oto wracam posłusznie, żeby słuchać twoich żalów.

– Ty niewierna córko, kiedy tu byłaś ostatnio, tak dawno i niechętnie, jak za owych niewdzięcznych dni... jaka ja byłam głupia.., żeby wbrew swojej woli rodzić nowego potomka, wyciskać z moich nieszczęsnych, obolałych łędźwi...

– Wysłucham twoich żalów...

– Phi, owszem, niechętnie, jak twój ojciec, który nic się nie wzruszał moim cierpieniem, nic nie wiedział, nic nie robił, jak wszyscy mężczyźni, ale gdzie jest powiedziane, że dzieci są lepsze, wysysają z ciebie życie... och, byłam głupia... mówię ci, że gardziłam tym bęcwałem, który nic, tylko chciał, chciał wszystkiego, więcej niż miałam do dania, wiecznie, wiecznie mu było mało, nieszczęsne noce i dni, w pułapce, właśnie, w pułapce, i ty przychodzisz tutaj zastawiać na mnie pułapkę, okradać mnie z mej młodości, urody, tak, tak, byłam urodziwa, gdyby nie ta przeklęta choroba... widzę, że teraz śmiejesz się ze mnie, mało cię obchodzi...

– Obchodzisz mnie, obchodzisz, matko, to udręka widzieć cię tutaj!

– Tak, ale ty razem z nim podstępnie pozbawiliście mnie tego, pozbawiliście mnie wszystkiego, co miałam, i wszystkiego, o czym marzyłam, on ze swoją chucią, sprośny wieprz, niechaj na mężczyzn spadnie cała nienawiść, jaką wzbudzają biorąc nas gwałtem, zajeżdżając nas w czarnej ciemności nie do zniesienia, i ty, zafajdany szczył, z tą swoją gębą wiecznie przyssaną do mego cycka, wiecznie ci było mało, tobie i jego kutasowi, a mnie, na moją cierpliwość, o wiele za dużo było tego twojego paskudzenia, wiecznego podcierania, ty kwiląca kretynko, nienasycony sraluchu, dni, lata. przeklęte lata, wysysające ze mnie soki, och, moje soki, moje słodkie soki i ja, taka kiedyś śliczna, wszystko skradzione, żadnej przyjemności nie zostało w życiu, jaka ja byłam głupia, nie takie życie matka obiecała mi przy piersi, a potem ona też nie lepsza od innych, konająca, szlag by ją trafił, konająca, przeklinam śmierdzącą bezmieczną sukę, która mnie zrodziła, konającą, kiedy jej potrzebowałam...

Głosik małego stworka docierał do duszy jak skrobanie po szklawie obsydianu.

– Boleję nad tobą. matko. Zadam ci teraz pytanie, które pomoże ci zapomnieć o twej bolesti. Poproszę cię o przekazanie tego pytania twojej matce i matce twojej matki, i matce matki twojej matki, i tak do dna niezmiernych głębi. Musisz mi znaleźć odpowiedź na to pytanie, a wtedy będę z ciebie dumna. Chcę się dowiedzieć, czy Wutra istnieje naprawdę. Czy Wutra istnieje i kim lub czym on jest? Musisz to pytanie przekazywać coraz dalej i dalej, aż jakiś odległy mamun nadeśle odpowiedź. Odpowiedź musi być pełna. Chcę zrozumieć, jak działa świat. Muszę otrzymać odpowiedź. Rozumiesz?

Odpowiedział jej wrzask, jeszcze zanim skończyła mówić.

– Dlaczego mam cokolwiek robić dla ciebie po tym, jak zmarnowałaś mi życie, dlaczego, dlaczego i co mnie tu na dole obchodzą twoje głupie problemy, ty wredna zafajdana sikso, tu na dole jest się na wieki, słyszysz, na wieki, i moja boleść także na wieki...

Dusza przerwała ów monolog:

– Słyszałaś moje żądanie, matko. Jeśli go nie spełnisz co do joty, nigdy więcej nie odwiedzę cię w świecie dolnym. Nikt więcej nigdy się do ciebie nie odezwie.

Mamik kłapnął z nagłą usiłując połknąć duszę. Nieporuszona, poza jego zasięgiem, obserwowała, jak z pozbawionych tchnienia ust wylatują pyliste skry. Bez dalszych słów mamik zajął się przekazywaniem pytania Shay Tal i mamuny w dole zakłapały na to z wściekłości. Wszystko tkwiło zawieszony w obsydianie. Dusza wyczuwała w pobliżu inne mamuny, wiszące niczym sfatygowane kaftany na kołkach w czarnej jak smoła sieni. Byli tu Loilanun i Loila Bry, i Mały Juli. Gdzieś tutaj wisiał sam Wielki Juli, przemieniony w oszalałą ze wściekłości zjawę. Mamik ojca duszy był opodal, jeszcze straszniejszy od mamika matki – jego gniew zalewał duszę jak fala. Głos mamika ojca również przypominał drapanie paznokciem po szybie.

– .. i jeszcze jedno, niewdzięczna dziewczyno, dlaczego nie jesteś chłopcem, ty żalonna pomyłko, wiedziałaś, że pragnąłem chłopca, chciałem chłopca, dobrego syna, aby przedłużyć nieszczęścia i cierpienia naszego rodu. a teraz jestem pośmiewiskiem wśród moich przyjaciół, co nie znaczy, że mnie obchodzi ta banda nędznych tchórzy, wiali przed niebezpieczeństwem, aż się kurzyło, wiali przed wyciem wilków i ja wiałem z nimi, nie wiedząc, czy znów ujdę z życiem... znów życie, o. tak, znów moje przeklęte życie... i rzeński wiatr w płucach, i wszystkie stawy ciała w ruchu, na tropie śmigłych jak wiatr jeleni, migających białymi ogonami... och, znów życie... i nie mieć nic wspólnego z tą bezpłciową bezbiustą klempą, którą zowiesz matką, tutaj w okowach pozbawionego oddechu kamienia, nienawidzę jej, nienawidzę jej, nienawidzę też ciebie, gaworzący sraluchu, sama będziesz tu wkrótce pewnego dnia tak tutaj na zawsze w grobie... zobaczysz...

Dochodziły inne posłania z innych wyschniętych ust, echa pomruków szpikujące jej tkanekę, jak

ziemię szpikują stare kości zwierząt, okryte patyną piachu, lat, toni, zawiści, pałace jadem przy dotyku. Dusza Shay Tal czekała pośród tych jądów, w trzepocie, czekała na odpowiedź. I wreszcie wiadomość przekazywana od jednych wysuszonych, nieczułych ust do drugich nieczułych ust przewędrowała obsydian, przynosząc ze skryształizowanych stuleci coś na kształt odpowiedzi.

– .. wszystkie nasze bolesne sekrety dlaczego miałabyś z nami dzielić, ty wścibska suko o zaplutyh szlejach, dlaczego pchasz się do tej odrobiny, jaka jeszcze pozostała nam, nędzaczom pozbawionym słońca? Co niegdyś było wiedzą, przepadło, wyciekło przez dziurę w dnie wiadra wbrew wszystkim obietnicom, a tego, co pozostało, nie pojmiesz, nie zrozumiesz, kurwo, nic nigdy nie zrozumiesz, z wyjątkiem ostatecznego bólu w ustającym sercu, pomimo twoich wielkich aspiracji, a Wutra. co Wutra, nie pomógł naszym dalekim mamunom za ich życia. W dawnych czasach okrutnego zimna przybyły z pomroki białe fagory i zajęły miasto szturmem, obróciwszy ludzi w swoich niewolników, którzy czcili nowych panów pod imieniem Wutry, ponieważ panowali bogowie lodowatych wichrów...

– Dość, dość, nie chcę więcej słyszeć!... – zawołała zdruzgotana dusza.

Lecz fale nienawiści zalewały ją ze wszystkich stron.

– Pytałaś, pytałaś, nie możesz znieść prawdy, śmiertelna duszo, zrozumiesz, jak tu przyjdiesz. By zaspokoić swój głód zbytecznej wiedzy, powinnaś odbyć długą drogę do dalekiego Sibornalu i tam szukać wielkiego koła, gdzie wszystko jest dokonane i znane, i rozumiane wszystkie rzeczy odnoszące się do istnienia po twojej stronie gorzkiego grobu goryczy, ale dobrego nic dobrego to nic nie da tobie, ty wścibska wyschnięta piździsko, ty pomyłko córki trupa, bo co jest realne albo prawdziwe, albo sprawdzone, albo co jest dziedzictwem czasu, nawet samym Wutrą, jeśli nie to więzienie, w którym my wszyscy siedzimy bez winy...

Wylękniona dusza poszybowała w górę przez widmowe dworzyszczka, pośród szeregów wrzaskliwych ust. Od dalekich mamunów przybyło słowo, zatrute słowo. Sibornal i wielkie koło musi być jej celem. Mamuny zwodzą, lecz kłamcami są marnymi, gdyż ponosi je bezgraniczna wściekłość i pragną dokuczyć za wszelką cenę. Wyglądało na to, że Wutra istotnie opuścił nie tylko żywych, ale i umarłych.

Na powierzchni ziemi procesy zmian, nie kończące się okresy wrzenia dawały o sobie znać za pośrednictwem organizmów żywych, takich jak zwierzęta, ludzie i fagory. Zachęcenie przejściowym ociepleniem do szukania gościnniejszych terenów Sibornalczyki z północnego kontynentu ciągnęli falą za falą zdradliwym przesmykiem Chatce na południe. Na północ szli przez wielkie niziny osadnicy z Pannowalu. Gdzie indziej z niezliczonych zacisznych siedlisk też zaczęli wysypywać się ludzie. Na południu kontynentu Kampannat, w takich przybrzeżnych fortcach, jak Ottassol, ludzie mnożyli się i opływali w dostatek dzięki bogactwom mórz.

W owym rajach życia – oceanie – rozbudziły się przeróżne stworzenia. Pozbawione ludzkich twarzy istoty o ludzkich kształtach wychodziły na brzeg lub wyrzucone sztormową falą pojawiały się w głębi ładu. No i fagory. Zmiana klimatu popchnęła i te dzieci zimy do zmiany siedlisk, do wędrówki szlakami sprzyjających oktafów śródpowietrznych. Na wszystkich trzech przeogromnych kontynentach Helikonii ruszyły się fagorze komponenty, mnożyły się i wojowały z Synami Freyra.

Krucjata kzhahna .Hrastypрту, młodego Hrr-Brahla Yprta, powoli zeszła z wysokich grzbietów Nktryhku, zapuszczając się w góry, zawsze szlakiem oktafów śródpowietrznych. Kzhahn i jego doradcy wiedzieli, że Freyr z wolna bierze górę nad Bataliksą, tym samym obracając się przeciwko nim, ale to nie miało żadnego wpływu na tempo pochodu. Często przerywali marsz, aby napadać po drodze na gromady pragnostyków, bosonogich pariasów przemierzających śnieżne rozłogi, lub na współbraci o

wrażej, obcej im woni. W ich bladych szlejach nie płonęło światelko pośpiechu, lecz ogień celu.

Hrr-Brahl Yprt siedział na grzbiecie Rukka-Ggrla, a na ramieniu Hrr-Brahla Yprta siedział jego krak. Niekiedy z łopotem skrzydeł podrywał się i szybował nad oddziałem i oczami jak paciorki patrzył z góry na piesze w większości bykuny i gildy, na ich długą kolumnę ciągnącą się od czoła aż po wysokogórskie przełęcz hen z tyłu. W prądzie wstępującym Zzhrrk. nieruchomo rozpostarłszy skrzydła, unosił się całymi godzinami nad swoim panem i tylko łbem kręcił na boki, śledząc pobliskie kraki w powietrzu.

Bywało, że białe skrzydła spozrzegali z daleka pragnostycy, najczęściej Madisi, w małych grupkach przepędzający swoje kozy od jednej do drugiej kępy cierni czy krzewów lodowych. Nawołując się, wskazywali je sobie palcami. Wszyscy wiedzieli, co zwiastują kraki na niebie. I umykali póki czas od śmierci lub niewoli. Tak oto marny kleszcz, żerujący na fagorach, kryjący się w ich futrach kąsek dla kraków, bezwiednie ratował życie wielu pragnostykom. Sami Madisi też byli zakażeni pasożytami. Lękali się wody, a całoroczny okład z koziego łajna na wychudłych ciałach bardziej służył pasożytom, niż przed nimi chronił. Jednak własne robactwo Madisów nie odgrywało znaczącej roli w historii.

Dumny Hrr-Brahl Yprt, w przepysznym naczółku na długiej czaszce, podniósł wzrok na szybującego hen w górze ulubieńca i ponownie zapuścił spojrzenie w dal przed sobą, wypatrując ewentualnych zasadzek. W szlejach swej głowy widział potrójną pięść świata i miejsce, gdzie w końcu miał dotrzeć, gdzie mieszkają Synowie Freyra, zabójcy jego dziada. Wielkiego Kzahhna Hrr-Tryhka Hrasta, który życie poświęcił wyprawianiu na tamten świat nieprzeliczonych zastępów wroga. Wielki Kzahhn poległ z ręki Synów w Embruddocku i tak utracił szansę pogrążenia się w uwięzi, a zatem przepadł na zawsze. Młody kzahhn przyznawał w duchu, że jego ludy zaniedbały się nieco w zabijaniu Synów, bardziej odpowiadając na zew majestatycznych lodowców i zamieci Wysokiego Nktryhku, dla których została uwarzona ich żółta krew. Teraz te nadrabiali. Zanim Freyr nazbyt urośnie w siłę. Synowie Freyra w Embruddocku zostaną wybici. Wówczas sam Hrr-Brahl Yprt rozplynie się w wiekuistym spokoju uwięzi, bez plamy na sumieniu.

Gdy tylko odzyskała siły. Shay Tal. wsparta na ramieniu Vry, wyszła na ulicę i udała się do starej świątyni. Wrota były wyjęte i zastąpione ogrodzeniem. W mrocznym wnętrzu pokwikiwały i ryły świny. Aoz Roon nie rzucał słów na wiatr.

Kobiety przeszły ostrożnie między zwierzętami i stanęły w samym środku kałuży gnoju, a Shay Tal utkwiała spojrzenie w wielkiej ikonie Wutry z białym włosom, zwierzęcą twarzą i długimi rogami.

– A więc to prawda – powiedziała cichym głosem. – Mamuny mówiły prawdę, Vry. Wutra jest fagorem. Ludzkość modli się do fagora. Ciemności są o wiele czarniejsze, niż nam się zdawało.

Vry jednak z nadzieją spoglądała w górę na wymalowane gwiazdy.

IX. W MUSŁANGACH IBEZ

Zakłęte pustkowia zaczęły stroszyć brzegi swoich rzek soczystymi pędami drzew. Mgły i opary piły z budzących się do życia strumieni.

Wielki kontynent Kampanlat liczył sobie około czternastu tysięcy mil długości i jakieś pięć tysięcy mil wszerz. Zajmował większość obszarów tropikalnych całej jednej półkuli Helikonii. Oszalał skrajnościami temperatury, wysokości i głębi, ciszy i burz. I właśnie znowu budził się do życia.

Rzeka czasu zносиła kontynent ziarno po ziarnku, góra po górze na dno mętnych mórz oblewających jego brzegi. Podobny proces, równie bezwzględny, równie dalekosiężny, podnosił jego energetyczne poziomy. Zmiany klimatyczne przyspieszyły metabolizmy, a zaczyn dwóch słońc zafermentował w żyłach planety rodząc wstrząsy, wybuchy wulkanów, osiadanie gruntów, fumarole, rozległe wycieki lawy. Trzeszczało łożo olbrzyma.

Owe podskórne napięcia miały swój odpowiednik na powierzchni planety, gdzie wyrastały barwne kobierce z dawnych pól lodowych, wyrzynając się kielkami roślin szybciej, niż śniegi wsiąkały w glebę, tak nieodparty był zew Freyra. Nasiona w swych osłonach czekały właśnie na taką sprzyjającą chwilę. Na wezwanie gwiazdy odpowiedziały kwiatami.

Po kwiatkach – nowe nasiona. A nowe nasiona zaspokajały potrzeby kaloryczne nowych zwierząt, jakimi zaroiły się nowe stępy. Zwierzęta też w swych osłonach, też czekały” właśnie na taką sprzyjającą chwilę. W miejsce paru gatunków nastąpiła ich mnogość. Stany krystalicznej katalepsji ustępowały przed cwałującymi kopytami. Liniejące zwierzęta gubiły strzępki sierści, jakby specjalnie dla ptaków, które natychmiast porywały je do budowy gniazd, podczas gdy owady ucztowały na zwierzęcym łajnie. Leniwe mgły roily się od śmigających ptaków. Różnorodne skrzydlate życie migotało jak klejnoty rzucone na jeszcze wczoraj jałowe pola lodowe. W udręce życia ssaki wyciągały nogi w pełnym galopie, byle bliżej lata.

Umysł ludzki odwracał się od tylu wielorakich i skomplikowanych zmian na ziemi, wywołanych jedną zmianą w niebiosach. Ale dusza ludzka i wała się do nich i śmiały się do nich szeroko otwarte oczy mężczyzn i kobiet. Jak Kampanlat długi i szeroki obłapiano się z większym ogniem.

Ludzie byli zdrowsi, chociaż rozprzestrzeniała się zaraza. Sprawy miały się lepiej, chociaż miały się gorzej. Więcej ludzi umierało, a mimo to więcej ludzi żyło. Więcej było pożywienia, chociaż więcej ludzi głodowało. Mimo tych wszystkich sprzeczności żar wypełniał ciała. Na zew Freyra odpowiadali nawet głusi.

Nastąpiło przewidywane przez Vry i Oyre zaćmienie. Fakt, że tylko one w Embruddocku się tego spodziewały, spławił im wątpliwa satysfakcję, bo samo zaćmienie przeraziło je na łowni ze wszystkimi. Wyobrażały sobie, jak wielki strach przeżywać musieli niewtajemniczeni. Nawet Shay Tal legła na posłaniu, zakrywając oczy. Odważni łowcy nie wychodzili z domów. Starcy dostawali ataków serca.

Zaćmienie leszcze nie było całkowite.

Powolna erozja tarczy Freyra zaczęła się wczesnym popołudniem. Może właśnie powolność całego procesu tak niepokoiła jak i jego długotrwałość. Z godziny na godzinę erozja Freyra postępowała. Słońca zaszyły szczepione ze sobą. Nikt nie miał gwarancji, że się ukażą ponownie ani że się ukażą w całości. Większość mieszkańców wyległa na dwór obejrząc ten bezprzykładowy zachód słońca. W globalnej ciszy okaleczeni strażnicy obsunęli się za horyzont.

– To śmierć świata – krzyknął jakiś kupiec – jutro powróci lód!

Z nadejściem ciemności wybuchły zamieszki. Ludzie jak pomyleni ganiłi z pochodniami. Podpalono nowy budynek z drewna Tylko natychmiastowa interwencja Aoza Roona. Elma Tala i garstki ich uzbrojonych po zęby przyjaciół zapobiegła ogólnemu szaleństwu W pożarze zginął jeden człowiek i budynek uległ zniszczeniu, ale reszta nocy minęła spokojnie. Nazajutrz Bataliksa weszła jak zwykle, po niej Freyr w całości Wszystko było w porządku, poza tym, że gęsi embruddockie na tydzień przestały się nieść.

Co będzie w przyszłym roku – zadawały sobie pytanie Vry i Oyre. Za plecami Shay Tal zajęły się na serio tym problemem.

Dla Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej zaćmienia stanowiły po prostu element układu wyznaczonego przez dwie przecinające się ekliptyki Gwiazdy A i Gwiazdy B, nachylone względem siebie pod kątem 10 stopni Ekliptyki przecinały się 644 oraz 1428 ziemskich lat po apastronie, czyli w kategoriach helikońskich, 453 i 1005 lat po apastronie. Z obu stron punktu przecięcia występowały zaćmienia, imponująca parada dwudziestu zaćmień około roku 453. Częściowe zaćmienie roku 632, zwiastujące ciąg dwudziestu zaćmień, uczeni Stacji Obserwacyjnej śledzili bez emocjonalnego zaangażowania, jak uczonym przystoi. Niechlujni faceci miotający się po uliczkach Embruddocku zasłużyli sobie na uśmiechy politowania bogów szybujących wysoko nad nimi.

Po mgłach, po zaćmieniu – powódzie. Co było przyczyną, co skutkiem? Nikt z brodzących w szlamie nie miał pojęcia. Z terenów na wschód od Oldorando aż po Rybie Jezioro i dalej zniknęły stada jeleni i zaczęło brakować żywności. Wezbrany Voral zagradzał drogę na zachód, gdzie często widywano stada zwierzyny.

Aoz Roon zabłysnął talentem przywódcy. Pogodził się z Laintalem Ayem i Dathką i z ich pomocą zagonił mieszkańców do budowy mostu przez rzekę. Nigdy za ludzkiej pamięci nie podjęto takiego przedsięwzięcia. Brakowało drewna i trzeba było ciąć radżababę na kawałki odpowiedniej długości. Cech wyrobników metali sporządził dwie długie piły, za pomocą których porznięto pień wybranego drzewa. Między domem kobiet a rzeką założono prowizoryczny warsztat. Rozebrano starannie dwie skradzione borlieńskim maruderom łodzie i złożono z nich elementy nawierzchni mostu. Radżababę przerobiono na stosy podpórek, klinów, desek, belek, rozpór i pali. Na wiele tygodni plac stał się składowiskiem tarcicy, pomiędzy gęsiami płynęły rzeką skręty wiórów i całe Oldorando było pełne trocin, a palce oldorandzkich wyrobników pełne drzazg. Grube pale wleczono i z mozołem wbijano w dno rzeki. Niewolnicy stali po szyję w wodzie, powiązani ze sobą dla bezpieczeństwa; zdumiewające, ale nikt nie stracił życia. Powoli most rósł, a Aoz Roon dwoił się i troił, poganiając wszystkich krzykiem. Pierwszy rząd pali zabrała fala podczas burzy. Podjęto robotę od nowa. Drewno wbijano w drewno. Mordercze obuchy dwuręcznych młotów, zatoczywszy łuk w powietrzu, z-hukiem waliły w olbrzymie drewniane kliny, aż łby klinów pod wielokrotnymi uderzeniami rozłaziły się jak pierze. Nad tonią pełznął wąski pomost, mocny i bezpieczny. Na nim górowała obleczona w skórę niedźwiedzią postać Aoza Roona, wymachująca ramionami, pobijakiem lub biczem, ze słowami zachęty lub wiązaną przekleństw, bez chwili spoczynku. Wspominali go jeszcze długo potem nad kubkiem bełtelu, powiadając z uwielbieniem: „Ale był z niego diabeł!”

Robota udała się. Robotnicy wiwatowali. Na cztery deski szeroki most z pojedynczą balustradą spiał brzegi Voralu. Wiele kobiet wzdragalo się po nim przejść, nie cierpiąc widoku bystrej wody w szparach między deskami i stałego chlup-chlup nurtu o pale. Lecz droga do zachodnich nizin stanęła otworem. Zwierzyny było tam pod dostatkiem i głód przestał zaglądać ludziom w oczy. Aoz Roon

niał powody do zadowolenia.

Z nastaniem lata Freyr i Bataliksa rozdzieliły się, wschodząc i zachodząc o różnych porach. Dzień rzadko był jasny, noc rzadko całkowita. W pomnożonych godzinach światła dziennego wszystko się rozwijało.

Przez jakiś czas rozwijała się również akademia. W heroicznym okresie budowy mostu wszyscy pracowali razem. Brak mięsa sprawił, że po raz pierwszy silniej uświadomiono sobie znaczenie zbóż. Garść nasion, które Laintal Ay wcisnął Shay Tal, stała się załączkiem pól, gdzie obficie rosły jęczmień, owies i żyto, strzeżone przed rabusiami jako jedne z najcenniejszych skarbów plemienia Den.

Teraz, kiedy parę kobiet umiało rachować i pisać, zebrane ziarno po zważeniu składowano i dzielono sprawiedliwie, wszystkie dostarczone tusze wciągano do ewidencji, zapisywano połowy ryb. Każda świnia i każda gęś w osadzie figurowała w zestawieniu bilansowym. Rolnictwo i rachunkowość opłacały się z nawiązką. Krzatali się wszyscy. Vry i Oyre miały pod nadzorem łany zbóż oraz uprawiających je niewolników. Z bliższych pól widziały ponad falującymi kłosami Wielką Wieżę, a na niej czatownika. Nadal badały gwiazdozbiory, uzupełniając swą mapę nieba na miarę sił i możliwości. Do gwiazd często wracały, w rozmowie, brodząc wśród traw.

– Gwiazdy są w nieustannym ruchu, jak ryby w przezroczystym jeziorze – rzekła Vry. – Ryby w ławicy zawracają wszystkie naraz. Ale gwiazdy to nie są ryby. Zastanawiam się, czym są i w czym pływają.

Oyre przytknęła sobie źdźbło trawy do tak ubóstwianego przez Laintala Aya noska i zamknęła najpierw jedno, a potem drugie oko.

– Trawa porusza mi się przed oczami tam i z powrotem, choć cały czas trzymam ją nieruchomo przy nosie. Może gwiazdy są nieruchome, a my się poruszamy...

Vry przyjęła to milczeniem. Po chwili odezwała się cichym głosem:

– Oyre, ślicznotko, może tak właśnie jest. Może to ziemia jest w ruchu. Ale wobec tego...

– A strażnicy?

– No. oni też się nie ruszają.. Tak jest, to my jesteśmy w ruchu, my kręcimy się w kółko i w kółko, jak wir na rzece. A strażnicy są bardzo daleko, jak gwiazdy...

– ..Są coraz bliżej, Vry, bo robi się coraz cieplej...

Patrzyły na siebie z rozchyłonymi ustami, nieznacznie unosząc brwi, oddychając leciutko, opromienione urodą i inteligencją.

Łowcy, dla których most stanowił wrota na zachód, nie zawracali sobie głowy obrotami ciał niebieskich. Równiny stały przed nimi otworem. Wszędzie wschodziła zieleń, którą gnietli stopami w biegu, gnietli ciałami w spoczynku. Strzelały pąki kwiatów. Owady latające nie wyżej niż wzrost człowieka buszowały wśród białych płatków. W zasięgu ręki było pod dostatkiem zwierzyny, którą po ubiciu łowcy wlekli do osady, plamiąc nowy most matową posoką swej zdobyczy.

Popularność Aoza Roona wzrosła, przyćmiewając sławę Shay Tal. Odejście kobiet do pracy przy budowie mostu i uprawie roli osłabiło jej wpływ na życie umysłowe ziomek. Jakby nic sobie z tego nie robiła, od powrotu ze świata dolnego coraz bardziej usuwając się w cień. Unikała Aoza Roona, a wychudłą postać czarodziejki coraz rzadziej widywano na uliczkach. Kwitła tylko jej przyjaźń ze starym mistrzem Datnilem.

Wprawdzie mistrz Datnil nigdy więcej nie pozwolił jej choćby rzucić okiem na tajną księgę cechu, ale jego myśli często błędziły w przeszłości. Z upodobaniem słuchała, jak mistrz snuje

przędę swoich wspomnień zaludnionych imionami nieobecnych, uważając, że nie różni się to wiele od wizyty u mamunów. Co jej wydawało się ciemne, jaśniało dla niego.

– O ile mi wiadomo, Embruddock był ongiś bardziej rozoudowany niż obecnie. Potem nastąpiła katastrofa, jak wiem... Istniejący wówczas cech muratorów uległ zagładzie kilka stuleci temu. Mistrz cechu muratorów cieszył się wyjątkowym poważaniem.

Shay Tal już wcześniej polubiła jego nawyk opowiadania, jak gdyby był obecny przy opisywanych wydarzeniach. Domyślała się, że wspomina coś, o czym wyczytał w swojej tajnej księdze.

– Jak udało się pobudować tyle w kamieniu? – zapytała. – Znamy trud roboty w drewnie.

Znajdowali się w mrocznej izbie mistrza. Shay Tal siedziała przed nim na podłodze. Ze względu na wiek mistrz Datnil spoczął na ustawionym pod ścianą kamieniu, z którego lżej mu się wstawało. Zarówno stara żona mistrza, jak i jego starszy terminator Raynil Layan – dojrzały mężczyzna o widlastej brodzie i obłudnym obejściu – zaglądali do izby. w związku z czym mistrz trzymał język za zębami. Na pytanie Shay Tal zaproponował:

– Zejdźmy rozruszać trochę nogi w słońcu, matko Shay. Przekonałem się, że ciepło dobrze robi moim starym kościom.

Na dworze wziął ją pod rękę i poszli uliczką, przy której buszowały kudłate świnię. Nikogo w pobliżu nie było, gdyż łowcy bawili w zachodnich stepach, a większość kobiet w polu, dotrzymując towarzystwa niewolnikom. Wynędzniałe psy wylegiwały się w promieniach Freyra.

– Łowcy przebywają teraz poza domem tak często – powiedział mistrz Datnil – że kobiety źle się prowadzą podczas ich nieobecności. Nasi borlieńscy niewolnicy koszą i nasze żyto, i nasze kobiety. Nie wiem, dokąd zmierza świat.

– Ludzie parzą się jak zwierzęta. Zimno jest dla ducha, ciepło dla ciała.

Podniosła wzrok na małe ptaki, które uwijały się nad ich głowami, z owadami w dziobach nurkując do dziur w murach wież, do swoich piskląt. Poglaskał ją po ramieniu, zerkając na znękaną twarz.

– Nie trap się. Marzenie o podróży do Sibornalu to twoje zadośćuczynienie. Każdy musi coś mieć.

– Coś? Co? – Rzuciła mu chmurne spojrzenie.

– Coś, czego może się trzymać. Jakąś wizję, nadzieję, marzenie. Nie żyjemy samym chlebem, nawet najpodlejsi z nas. Każdy ma jakieś życie wewnętrzne – to właśnie żyje w nas nadal, kiedy zostajemy mamikami.

– Och, życie wewnętrzne... Można je zagłodzić na śmierć, nieprawda?

Przystanął pod Wieżą Zielną, więc przystanąła razem z nim. Wpatrywali się w kamienne bloki tworzące wieżę. Pomimo wieków stała mocno. Dokładnie spasowane ze sobą ciosy prowokowały pytania bez odpowiedzi. Jak dobywano i cięto kamień? Jak go spajano, żeby urosła wieża, która będzie stała przez dziewięć stuleci?

Wokół ich nóg brzęczały pszczoły. Stado wielkich ptaków przemknęło po niebie, znikając za jedną z wież. Shay Tal zdawało się, że na własne uszy słyszy, jak ucieka dzień, i zapragnęła, żeby porwało ją coś wielkiego i wszechogarniającego.

– Może by tak zbudować małą wieżę z ilitu. Ił wysycha na kość. Najpierw mała wieża z ilitu. Potem z kamienia. Aoz Roon powinien wybudować z ilitu mury wokół Oldorando. Obecnie wioska jest zupełnie otwarta. Droga wolna dla każdego. Kto zadmie w róg na alarm? Jesteśmy na łasce najeźdźców, ludzi i nie ludzi.

– Czytałem kiedyś, że uczonego człowieka z mego cechu sporządził model naszego świata w

postaci kuli obrotowej, na której widać lądy – gdzie kiedyś był Embruddock, gdzie Sibornal, i tak dalej. Model złożono w piramidzie z mnóstwem innych rzeczy.

– Król Denniss obawiał się nie tylko zimna. Obawiał się najeźdźców. Mistrz Datnilu, przez długi czas nie wyjawiałam wielu moich skrytych myśli. Ale one mnie dręczą i muszę mówić... Dowiedziałam się od mamunów, że Embruddock... – Umilkła przytłoczona ciężarem tego, co zamierzała powiedzieć, ale po chwili dokończyła: – , że Embruddockiem włądały ongiś fagory.

Po chwili starzec odparł lekkim, zdawkowym tonem:

– Za dużo już tego słońca. Wracajmy.

W drodze do swej izby przystanął na trzecim piętrze wieży. Tu mieściła się pracownia cechu, silnie zalatująca skórą. Stał nasłuchując. Wokół panowała cisza.

– Chciałem się upewnić, że nie ma mojego starszego terminatora. Chodź.

Z boku były drzwi do małej izdebki. Mistrz Datnil wyciągnął z kieszeni klucz, raz jeszcze rozejrzał się niespokojnie dokoła, po czym otworzył drzwi. Widząc spojrzenie Shay Tal, rzekł:

– Nie chcę, żeby ktoś nas nakrył. To. co robię, zdrada sekretów naszego cechu, karane jest, jak wiesz, śmiercią. Stary bo stary, pragnę pożyć te parę lat, jakie mi jeszcze zostały.

Shay Tal też się rozejrzała, zanim przestąpiła próg maleńkiej komórki w kącie pracowni. Mimo całej ostrożności, żadne z nich nie spostrzegło Raynila Layana, starszego terminatora cechu, który miał po rezygnacji mistrza Datnila przejąć togę starca. Stał w cieniu za słupem podporowym drewnianych schodów. Raynil Layan, człowiek przezorny, zawsze na miejscu, nigdy nie działający pochopnie, przez moment wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu nie mniejszym niż słup, który zapewnił mu częściową niewidzialność. Kiedy za mistrzem i Shay Tal zamknęły się drzwi izdebki, Raynil Layan wyszedł z jakąś dziwną skwapliwością i dziwnie lekkim jak na tak dużego mężczyznę kroczkiem. Przyłożył oko do szpary między dwiema deskami, którą sam zmajstrował dość dawno temu, aby lepiej śledzić poczynania tego, kogo miał zastąpić.

Wykrzywiając sobie twarz niemiłosiernym szarpaniem za widlastą brodę – nieprzyjaźni mu ludzie małpowali ten jego nerwowy tik – podglądał, jak Datnil Skar wyjmuje ze szkatuły tajną księgę cechu garbarzy i białoskórników. Starzec otworzył księgę przed oczyma kobiety. Kiedy ta informacja dotrze do Aoza Roona, będzie to oznaczać koniec starego mistrza – i początek panowania nowego. Raynil Layan zszedł na dół, stopień po stopniu, cicho i ostrożnie.

Drżącym palcem mistrz Datnil wskazał puste miejsce na stronicach swej poźółkłej ze starości księgi.

– Oto sekret ciążyący mi kamieniem od wielu lat, matko, a tuszę, że twoje barki udźwigną to brzemie. W najmroczniejszym, najzimniejszym okresie poprzedniej epoki Embruddock wpadł w ręce przeklętych fagorów. Nasz Embruddock to nic innego, jak przekręcona nazwa Hrrm-Bhhrd Ydohk w języku ancipitów. Nasz cech znalazł się wtedy na wygnaniu w jaskiniach pustkowi. Ale zarówno mężczyzn jak i kobiety trzymano tutaj. Nasz gatunek żył wówczas w niewoli, a fagory były panami... Czy to nie hańba?

Wspomniała czczonego w świątyni fagora – boga Wutrę.

– Hańba jeszcze trwa. Panowali nad nami – rzekła – i wciąż są darzeni czcią boską. Czyż to nie czyni z nas rasy niewolników po dziś dzień?

Z zakurzonego kąta wyleciała nie spotykana do niedawna w osadzie, błyszcząca, szmaragdowa mucha i bżyknąwszy siadła na księdze. Mistrz Datnil z nagłym lękiem podniósł wzrok na Shay Tal.

– Nie powinienem ulegać pokusie pokazania ci tej księgi. Do niczego ci to niepotrzebne. – Twarz miał nieprzytomną. – Wutra mi nie daruje.

– Wierzysz w Wutrę na przekór faktom?

Starzec zadrzał, jak gdyby usłyszał na schodach kroki własnej śmierci.

– On jest wszędzie wokół nas... Jesteśmy niewolnikami boga... Pacnął muchę, ale umknęła mu, odlatując zygzakami w kierunku odległego, tylko jej znanego celu.

Widok mustangów wprawiał doświadczonych łowców w osłupienie. Z wszelkiego życia, jakie nawiedziło zachodnie równiny, właśnie mustang w swej swawolności najbardziej ucieleśniał nowego ducha. Za osadą był most, za mostem były mustangi.

Freyr obudził mumiki z długiego snu. Sygnał przebiegł od słońca do gruczołów, drgnęło życie w toniach, mumiki rozwinęły się z kłębuszków, i, zmartwychwstałe, powyłaziły z ciemnych, przytulnych kryjówek, aby się przeciągnąć, nabrać ruchu, radować się i być mustangami. Być tabunami i tabunami mustangów, być swawolnym jak wietrzyk, pręgowanym i bezrogim, i przypominać osła albo kaidawiego żrebaka, galopować i brykać. i paść się, i nurzać po pęciny w przepysznej trawie. I od czubka nosa po koniec ogona pysznić się dwubarwnymi pręgami. Mogły to być pręgi cynobrowe i czarne albo cynobrowe i żółte, albo zielone i lazuruwe, albo lazuruwe i białe, albo białe i wiśniowe, albo wiśniowe i cynobrowe. Więc kiedy tabuny odpoczywały, rozwalone jak koty zwierzęta, z nogami wyciągniętymi niedbale, zlewały się z krajobrazem także strojnym w nowe szaty na nowy sezon. Jak mustang wyłonił się z mumika, tak i „powódź kwiatów” wróciła z piosnki na ziemię.

Początkowo mustangi nie czuły lęku przed łowcami. Galopowały wśród ludzi parszając wesoło, podrzucając łbami i potrząsając grzywami, i szczerząc zębiska szkarłatne od żucia maneczki, przetacznika i purpurowej psiajuchy. Zachwyty brał w łowcach górę nad żyłką myśliwską i przystawali jak urzeczeni, zaśmiewając się z rozhasanych zwierzaków. którym promienie strażników grały na zadach niczym na ognistych cytrach. Te zwierzęta sprowadziły świt na równiny.

Przy pierwszym z nimi spotkaniu oczarowanym łowcom wypadały oszczepy z dłoni. A mustangi puszczając wiatry robiły w tył zwrot jak spłoszone zefiry i już po chwili cwałowały gdzieś daleko pośród brunatnych kopczyków co krok wznoszonych przez mrówki, nawracały oglądając się łobuzersko, z rzeniem potrząsając grzywami, często szarżując ponownie na łowców, żeby przedłużyć zabawę. Albo znudzone już igraszkami, jak i popasem, mając dość nurzania miękkich chrap w trawie, żrebce dopadały swoich żrebic z uciechą obalając je w wysokie białe kwiaty orliczki. Wydając przenikliwe, jak śmiech perliste rzenie, zagłębiały w ochocze sromy klaczy swoje pasiaste prącia, po czym z kapiącymi jeszcze zrywały się do harców, nagradzane gromkimi wiwatami łowców.

Nastrój beztroski był zaraźliwy. Mężczyznom przestało się nagle spieszyć do domowych cel z kamienia. Ubiwszy któreś z rozhasanych zwierząt i piekąc je na ognisku, z rozkoszą wylegiwali się przy ogniu i gwarzyli sobie o kobietach, przechwalali się i śpiewali, wdychając zapach bylicy, psiajuchy i kwitnących wokół bikinek, które zgniecione ciężarem leżących rozsiewały upojne wonie. Rzec można, iż panowała ogólna idylla. Przybycie Raynila Layana – widok towarzysza cechowego na terenach łowieckich był czymś niecodziennym – trochę zwarzyło nastrój. Aoz Roon odszedł od kompanii i rozmawiał z Raynilem Layanem na stronie, obrócony twarzą do dalekiego horyzontu. Po tej rozmowie siadł wśród innych zasepiony, nie zdradzając ani Laintalowi Ayowi, ani Dathce, o czym była mowa.

Kiedy złudny wieczór zapadał nad Oldorando i jeden lub drugi strażnik rozsiewał popioły na zachodnim nieboskłonie, tabuny mustangów przeczuwały bliską próbę sił. Mustangi łowiły w chrapy rzeński powiew, wyczekując szablozorów.

Ich wrogowie również pysznili się jaskrawymi kolorami. Szablozory miały pręgi jak ich ofiary, zawsze czarne i drugiej barwy, barwy krwi, przeważnie szkarłatne lub soczyste rude. Z wyglądu były bardzo podobne do mustangów, tylko nogi miały krótsze i grubsze, a łby krągłejsze, co podkreślał

jeszcze brak widocznych uszu. Osadzony na krępejszy łeb krył główną broń szabłozora: szybki na krótkim dystansie zwierz potrafił wyrzucić z paszczy ostry jak nóż jęzor i odciąć nogę umykającemu mustangowi. Od kiedy ujrzeli go w akcji, łowcy z szacunkiem patrzyli na drapieżnika. Szabłozór ze swej strony nie okazywał ludziom ani strachu, ani wrogości; rodzaj ludzki nigdy nie figurował w jego jadłospisie, ani on sam, o ile mu było wiadomo, w jadłospisie rodzaju ludzkiego.

Okazało się, że przyciąga go ogień. Zwykle podchodziły pary, samiec z samicą, i siadały lub kładły się w pobliżu ogniska. Lizały się wzajemnie białymi brzytwami języków i pożerały kawałki mięsa rzucane im przez ludzi. Nigdy jednak szabłozór nie dał się pogłaskać i warcząc ustępował przed ostrożnie wyciągniętą ręką. Takie warknięcie stanowiło dla łowców wystarczające ostrzeżenie; widzieli, jaką może zadać ranę ów straszny ozór, użyty w złości.

W całej okolicy kwitły krzewy cierni i psiajuchy. Pod okapami ich gałęzi kładli się łowcy do snu. Spoczywali wśród ukwieconych krzewów i odurzających zapachów, wśród kwiatów, jakich nigdy nie widział i nie wahał nikt prócz dawno odeszłych mamunów. W zaroślach psiajuchy znajdowali gniazda dzikich pszczół, nierzadko wypełnione miodem. Miód łatwo fermentował, dając trutniok. Pijani lepkiem trutniokiem łowcy ganiali się po trawie, pokrzykując, śmiejąc się i mocując ze sobą, aż ciekawskie mustangi przychodziły zobaczyć, co to za heca. Mustangi również nie pozwalały się dotknąć człowiekowi, mimo że niejeden łowca w trutniokowym widzie gonił po stepie za hasającymi zwierzakami, dopóki padłszy jak długi nie zasnął na miejscu.

Dawnymi czasy powrót do domu stanowił radosne ukoronowanie łowów. Wrogość mroźnych pól śnieżnych porzucano dla ciepła i odpoczynku. Teraz było inaczej. Łowy stały się zabawą. Nie padali już ze zmęczenia i ciepło im było w kwitnącym stepie. W dodatku łowców coraz mniej ciągnęło do Oldorando. Osada stawiała się przeludniona, w miarę jak coraz więcej dzieci wychodziło bez szwanku z zasadzek pierwszego roku życia. Mężczyźni przedkładali wesołe trutniokowe popijawy w stepie nad narzekania, jakimi często witano ich w domu. Toteż nie wracali już chętnie dawną zwartą drużyną, lecz ściągali do osady samopas lub samowtór, z mniejszą paradą. Te powroty w nowym stylu budziły też, przynajmniej w kobietach, nowy dreszcz emocji, bo jeśli mężczyźni byli nieodpowiedzialni, to kobiety były próżne.

– Pokaż nam, co masz dla mnie!

Różnymi odmianami tego okrzyku witały kobiety swoich mężczyzn, bowiem wychodziły im na spotkanie z dziećmi. Szły aż do nowego mostu i tam, na wschodnim brzegu Voralu, podczas gdy dzieciarnia obrzucała kaczki i gęsi kamieniami, kobiety wystawały niecierpliwie oczekując powrotu mężczyzn z dziczyzną... i skórami. Mięso się należało, było niezbędne, zresztą cóż to za łowca, który powraca bez zwierzyny.

Ale tym, co wprawiało kobiety w prawdziwy zachwyt, były skóry, olśniewające skóry mustangów. Nigdy przedtem w ich ubogim życiu nie przyszła kobietom na myśl zmiana stroju. Nigdy przedtem nie było takiego zapotrzebowania na garbarzy. Nigdy przedtem nie pilono mężczyzn do zabijania dla samego zabijania. Każda kobieta pragnęła mieć skórę mustanga, najchętniej kilka skór, aby odziać w nie również – swoje potomstwo.

Rywalizowały między sobą o jak najjaskrawsze. Błękitne, karmazynowe, szmaragdowe, bordo. Szantażowały mężów tym, co mężczyźni tak lubią. Stroiły się, barwiły wargi. Puszyły się. Fryzowały włosy. Zaczęły się nawet myć.

Odpowiednie futro, z owymi szałowymi pasami biegnącymi pionowo na figurze, nawet z przysadzistej baby czyniło elegantkę. Futra musiały być dobrze skrojone. W Oldorando rozkwitało nowe rzemiosło: kuśnierstwo. Tak jak rozwinęły się kwiatowe kielichy, kłosa i koszycki w uliczkach między chylącymi się ku ruinie, starożytnymi wieżami, a kwitnące powoje opłotły same

wieże, tak i kobiety zaczęły coraz bardziej przypominać kwiaty. Przystroiliły się w żywe kolory, jakich oczy ich matek nigdy nie oglądały. Nie trzeba było długo czekać, żeby mężczyźni w odruchu samoobrony zrzucili stare ciężkie futra i również zagustowali w skórach musłangów.

W powietrzu zapanowała cisza jak przed burzą, tylko radżababy parowały spod płaskich pokryw. Oldorando zamarło pod kopułą kłębiastej chmury. Łowcy bawili na wyprawie. Shay Tal pisała coś, sama w izbie. Nie troszczyła się już o swój wygląd, donaszając stare futro, które wisiało na niej jak na kiju. Mamuny i mamiki rodziców wciąż przemawiały zgrzytliwymi głosy w jej głowie. Wciąż marzyły się jej ideały i podróże. Kiedy Vry i Amin Lim zeszły do niej z górnej izby, Shay Tal podniosła nagle wzrok.

– Vry, co myślisz o kuli jako modelu świata?

– To miałoby sens – odparła Vry. – Kula ze wszystkich brył toczy się najgładziej, no i każdy z wędrowców jest kulisty. Więc z nami musi być tak samo.

– A tarcza, a koło? Wychowano nas w wierze, że prakamień spoczywa na tarczy.

– Wychowano nas w wierze w mnóstwo nieprawdziwych rzeczy. Pouczałaś nas o tym, matko – powiedziała Vry. – Ja wierzę, że nasz świat kręci się wokół strażników.

Ze swego kąta Shay Tal świdrowała je wzrokiem, aż zaczęły się wiercić niespokojnie. Obie dziewczyny zrzuciły stare futra i wdziały jaskrawe kostiumy z musłanga. Pasy wiśniowe i szare biegły pionowo na figurze Vry. Uszy zabitego zwierzaka zdobiły jej ramiona. Pomimo wszelkich zakazów, jakimi Aoz Roon obłożył akademię. Dathka podarował Vry skóry. Dodawały jej pewności siebie. I uroku. Raptem zło krew zalała Shay Tal.

– Durne dziewczki, idiotki kokotki, macie mnie za nic. Nie udawajcie, że tak nie jest. Wiem, co się kryje za tymi potulnymi minami. Spójrzcie, jak wy się teraz nosicie! Nigdzie nie dojdziemy z naszym rozumem, nigdzie. Okazuje się, że wszystko wiedzie nas na nowe manowce. Będę musiała udać się do Sibornalu, by odszukać to wielkie koło, o którym gadają mamiki. Może tam przetrwała prawdziwa wolność, czysta prawda. Tutaj jest tylko przekleństwo głupoty... A wy dwie gdzie się wybieracie, jeśli można spytać?

Amin Lim rozłożyła ręce gestem świętej niewinności.

– Nigdzie, proszę pani, tylko na pole, sprawdzić, czy wypleniliśmy rdzę na owsie.

Dziewczyna była krągła, obecnie krągłejsza jeszcze z powodu nasienia, które zasiał w niej mężczyzna. Czekwała błagalnie, aż dostrzegła maleńką iskierkę przyzwolenia w oku Shay Tal, po czym razem z Vry niemal czmychnęły z tej izby tortur. Zmykając brudnymi kamiennymi schodami Vry powiedziała z rezygnacją:

– Znowu to samo, wybucha regularnie jak Świstek Czasu. Biedactwo, coś ją naprawdę trapi.

– Gdzie jest ta sadzawka, o której mówiłaś? Nie mam ochoty łązić daleko w moim stanie.

– Będziesz zachwycona. Amin Lim. To zaledwie parę kroków za północnymi polami i możemy iść spacerkiem. Umówiłam się tam z Oyre.

Powietrze osiągnęło taką gęstość, że już nie rozchodziła się w nim woń kwiatów, tylko jego własne metaliczne tchnienie. W fotochemicznej poświacie kolor aż raził oczy, nawet gęsi wydawały się nienaturalnie białe.

Dziewczyny przeszły pomiędzy kolumnami olbrzymich radżabab. Potężne bębny o wklęsłych ścianach lepiej pasowały do geometrii zimowego pejzażu – we wszechobecnej bujności ci raziły posępną bryłą.

– Nawet radżababy się zmieniają – powiedziała Amin Lim. – Od kiedy paruje im z wierzchołków?

Vry nie miała pojęcia i niewiele ją to obchodziło. Razem z Oyre odkryły ciepłą sadzawkę, jak dotąd zachowując to odkrycie dla siebie. W małej kotlinie, zamkniętej od strony Oldorando, były z ziemi nowe źródła, często o temperaturze bliskiej wrzenia, i w kłębach pary spływały licznymi strumieniami do Voralu. Jeden taki strumień napotkał na drodze skałę i popłynął w inną stronę, tworząc zaciszną sadzawkę, otoczoną pierścieniem zieleni, a otwartą do nieba. Ku tej właśnie sadzawce Vry prowadziła Amin Lim. Gdy rozgarnąwszy zarośla ujrzęły stojącą na brzegu jeziora postać. Amin Lim pisnęła i zatkała sobie dłonią usta. Na brzegu stała Oyre. Naga. Jej skóra lśniła od wilgoci, a strużki wody ściekały z pełnych piersi. Nie okazując żadnego wstydu obróciła się i radośnie pomachała przyjaciółkom.

– Chodźcie, czemu tak długo? Woda dziś wspaniała.

Amin Lim stała jak słup soli rumieniąc się, wciąż przyciskając dłoń do ust. Nigdy jeszcze nikogo nie widziała nago.

– Nic w tym złego – Vry parsknęła śmiechem na widok miny przyjaciółki. – W wodzie jest cudownie. Rozbieram się i wskakuję. Patrz na mnie, jeśli się nie wstydzisz.

Pobiegła do Oyre i zaczęła rozsznurowywać wiśniowo-szary strój. Z musłangów szyto ubiór jednoczęściowy, do wciągania i ściągania w całości. Po chwili jej kombinezon leżał na ziemi, a Vry stała naga, wiotka przy bujnych wdziękach Oyre. Zaśmiała się z uciechy.

– Chodź, Amin Lim, nie cudacz. Popluskaj się dla zdrowia dziecka. Razem z Oyre wskoczyły jednocześnie do wody. Zanurzając się obie pisnęły z rozkoszy. Osłupiała Amin Lim pisnęła ze zgrozy.

Kończyli wielkie żarcie, kawały mięsa przegryzając cierpkimi jagodami. Twarze lśniły im od tłuszczu. Łowcy byli tężsi niż w poprzednim sezonie. Jadła mieli aż za dużo. Żeby ubić mustanga, nie trzeba było biegać. Barwnie przegowane zwierzęta nadal podchodziły blisko łowców i tarzały się na skórkach zdartych ze swych współbraci.

Aoz Roon w swej nieodłącznej czarnej niedźwiedzi odbył na stronie rozmowę z Gojdzą Hinem, nadzorcą niewolników, którego szerokie plecy wciąż widzieli, uchodzące w stronę odległych wież Oldorando. Aoz Roon wrócił do kompanii. Z jeszcze skwierczących na kamieniu żeberek urwał kawałek i legł z nim w trawie. Wielki pies myśliwski Kurd obskakiwał swego pana warcząc niby to groźnie, dopóki Aoz Roon nie odgrodził się gałęzią wonnej psiajuchy od amatora na jego pieczyście. Po przyjacielsku trącił nogą Dathkę.

– To jest życie, brachu. Leż i zryj, ile wlezie, do powrotu lodów. Na prakamień, do końca życia nie zapomnę tego sezonu.

– Świetny.

To było wszystko, co powiedział Dathka. Skończył jeść i objąwszy ramionami kolana obserwował mustangi, których tabun nawracał pędem wśród traw nie dalej niż o ćwierć mili.

– Cholera z tobą, nigdy nic nie powiesz – rubasznie zawołał Aoz Roon, szarpiąc mięso mocnymi zębami. – Pogadaj ze mną.

Obróciwszy głowę Dathka wsparł policzek na kolanie i zmierzył Aoza Roona domyślnym spojrzeniem.

– No to powiedz, co knujecie z Gojdzą Hinem?

– To sprawa między mną a nim.

– Widzę, że ty też nie chcesz gadać.

Dathka odwrócił głowę i ponownie zapatrzył się na musłangi nawracające pod kłębiastą chmurą spiętrzoną na zachodnim horyzoncie. Powietrze wypełniała zielonkawa poświata, która odzierała

barwy mustangów z jaskrawości. Wreszcie, jak gdyby wyczuwał na plecach zasepiony wzrok Aoza Roona, nie obejrzawszy się, Dathka powiedział.

– Myślę.

Aoz Roon cisnął ogryzioną kość Kurdowi i wyciągnął się pod obsypaną kwiatami gałęzią.

– No dobra, gadaj więc. O czym tak myślisz i myślisz całe życie?

– Jak złapać żywego mustanga.

– Ha! I co ci z tego przyjdzie?

– Nie myślę o tym, co mi z tego przyjdzie, podobnie jak i ty nie myślałeś wzywając Nahkriego na szczyt wieży.

Zapadła głucha cisza, której Aoz Roon nie przerwał ani słowem. W końcu uczynił to odległy grzmot, a Elin Tal polał trutnioka. Aoz Roon z irytacją zwrócił się do całego towarzystwa:

– Gdzie jest Laintal Ay? Pewnie znowu się wałęsa. Dlaczego nie ma go z nami? Robicie się zbyt leniwi, chłopy, i nieposłuszni. Niektórych z was czeka niespodzianka.

Podniósł się i odszedł ciężkim krokiem, a za nim, w nakazanej szacunkiem odległości, podążył jego pies.

Laintal Ay nie podglądał mustangów, jak jego małomówny przyjaciel. Polował na inną zwierzynę. Od pamiętnej nocy sprzed czterech długich lat, gdy patrzył na zabójstwo stryja Nahkriego, prześladowało go to wspomnienie. Przestał winić za mord Aoza Roona, ponieważ lepiej teraz rozumiał, że lord Embruddocku jest człowiekiem udręczonym.

– On uważa się za przekłętego, jestem pewna – powiedziała mu kiedyś Oyre.

– Można mu wiele wybaczyć za most zachodni – odparł rzeczowo Laintal Ay.

Ale sam siebie uważał za okaleczonego przez bierny udział w morderstwie i coraz bardziej pogrążał się w milczeniu. Więz pomiędzy nim a piękną Oyre tyleż zbliżyła ich co oddaliła z powodu tamtej nocy, kiedy wypito zbyt dużo bełteli. Zaczął nawet jakby unikać Oyre.

Swoje kłopoty tłumaczył sobie po swojemu. Jeśli mam panować w Oldorando, do czego mam prawo z racji pochodzenia, to muszę zabić ojca dziewczyny, której pragnę za żonę. To niemożliwe! Bez wątpienia sama Oyre rozumiała jego dylemat. Jednak pisana była jemu i tylko jemu. Biłby się na śmierć i życie z każdym mężczyzną, który by się do niej zbliżył.

Pierwotne instynkty, intuicyjne wyczuwanie chytrej pułapki, niepostrzegalnego momentu, który zwiastuje katastrofę, pozwoliły mu ujrzeć tak wyraźnie, jak widziała to Shay Tal, że Oldorando pozostawało teraz bez żadnej obrony. W obecnym okresie ciepła nie czuwał nikt. Warty drzemały na posterunkach. Poruszył sprawę obrony z Aozem Roonem i otrzymał dość sensowną odpowiedź. Aoz Roon zbył całą rzecz mówiąc, że już nikt, przyjaciel czy wróg, nie podejmuje dalekich wypraw. Śniegowa szata pozwalała ludziom przemierzać dowolne odległości, dziś wszystko zawałiła roślinność, chaszczki gęstniały z dnia na dzień. Czasy najazdów się skończyły. Poza tym – dodał – nie mieli najazdów fagorów od dnia, w którym matka Shay uczyniła cud na Rybim Jeziorze. Są bezpieczniejsi niż kiedykolwiek. I podał Laintalowi Ayowi kufel trutnioka.

Odpowiedź nie zadowoliła Laintala Aya. Wuj Nahkri czuł się tamtej nocy zupełnie bezpieczny, wchodząc na schody Wielkiej Wieży. W parę minut później leżał ze skrzyconym karkiem w uliczce pod wieżą.

Z dzisiejszą wyprawą łowców Laintal Ay zabrał się nie dalej niż do mostu. Tam chyłkiem zawrócił z silnym postanowieniem, że dokona rekonesansu i zobaczy, jak by to wyglądało w razie niespodziewanego ataku.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył maszerując rubieżą osady, był pióropusz jasnej pary na Voralu. Na pewnym odcinku płynął z nurtem prosto jak po sznurku, muskając powierzchnię ciemnej, bystrej

toni, wciąż jednak w jednym i tym samym miejscu. Stamtąd strzępy oparów snuły się wzdłuż brzegu rzeki. Laintal Ay nie umiał orzec, co to mogło znaczyć. Poczł się nieswojo i przyspieszył kroku. Coraz duszniej było w powietrzu. Z rumowisk po niegdysiejszych budynkach wyrastały młode drzewka. Widział ocalałe wieże pomiędzy smukłymi pniami. Aoz Roon miał rację pod jednym względem: trudno było dzisiaj obejść Oldorando. Wyobrażenia podsuwała jednak Laintalowi Ayowi ostrzegawcze obrazy. Ujrzał fagory na kaidawach, jak przesadzają zawady i szarżują główną ulicą. Ujrzał łowców, jak wracają do domu, jak ciągną objuczeni barwnymi skórami, jak głowy im ciężą od nadmiaru trutnioka. Zdążyli jeszcze rzucić okiem na swoje spalone domostwa, na swoje pomordowane kobiety i dzieci, zanim stratowały ich okrutne kopyta.

Przedarł się przez kolczaste zarośla.

Cóż za jeźdźcy z tych fagorów! Cóż może być cudowniejszego nad dosiadanie kaidawa i jazdę, panowanie nad zwierzęciem, dzielenie jego siły, zespolenie z jego pędem. Te dzikie bestie dały się dosiadać tylko fagorowi, a przynajmniej tak głosiły legendy, i nigdy nie słyszał o człowieku na kaidawie. Od samej myśli aż kręciło się w głowie. Ludzie chodzili pieszo... Ale człowiek dosiadłszy kaidawa nie tylko dorównałby, lecz przewyższyłby fagora.

Na wpół schowany za krzakami miał na oku północną bramę, otwartą i nie strzeżoną. Na jej szczycie siadła ze świergotem para ptaków. Zastanawiał się, czy dziś rano nie wystawiono wartownika, czy też opuścił on swój posterunek. Cisza w dusznym powietrzu nabrała właściwości gromu. W polu widzenia Laintala Aya pojawiła się powłócząca nogami postać. Bez trudu rozpoznał w niej nadzorcę niewolników Gojdzę Hina. Wiódł na linie Myka. Laintal Ay usłyszał słowa nadzorcy:

– No, spodoba ci się dzisiejsza robota.

Gojdzę Hin zatrzymał się za bramą i przywiązał fagora do niewielkiego drzewka. Poklepał Myka niemalże z czułością. Myk rzucił mu wystraszone spojrzenie.

– Myk może posiedzieć trochę na słońcu.

– Nie posiedzieć, postać. Postoisz, Myk, zrobisz, co ci kazano, albo wiesz, co cię czeka. Zrobimy dokładnie tak, jak każe Aoz Roon, bo obu nas spotka przykrość.

Stary fagor wydał z siebie pomruk.

– Przykrość jest zawsze wszędzie wokół nas w oktavach śródpowietrznych. Czymże jesteście wy, Syny Freyra, jak nie przykrość?

– Jeszcze słówko, a zedrę z ciebie tę twoją śmierdzącą skórę – rzekł Gojdzę Hin bez żadnej złości. – Zostajesz tu i robisz, co nam przykazano, a niezadługo odegrasz się na jednym z nas. Synów Freyra.

Zostawił stworzenie ukryte przed wzrokiem i odmaszerował na swych płaskich stopach w kierunku wież. Myk natychmiast legł na ziemi i zniknął Laintalowi Ayowi z oczu. Podobnie jak smuga pary spływająca Vorałem, tak i to zajście zafrasowało Laintala Aya. Stał wyczekując, nasłuchując, dumając. Kilka lat temu uważałby taką świergotliwą ciszę za rzecz nienaturalną. Wzruszył ramionami i podążył dalej.

Oldorando było nie strzeżone. Należało w jakiś sposób obudzić w łowcach poczucie zagrożenia. Popatrzył, jak para snuje się z koron obnażonych radżabab. Jeszcze jeden zwiastun nie wiadomo czego. Usłyszał grzmot daleko na północy, a mimo to bliski groźbą.

Przeprowadził się przez strumyk, który bulgotał i buchał parą, kłębiącą się wśród zębatych liści paproci wyrosłych na brzegu. Pochylił się i zanurzył dłoń w wodzie; była znośnie ciepła. Śnięta ryba przepłynęła ogonem do góry, tuż pod powierzchnią. Przykucnął popatrując na szczyty wież za gęstwiną świeżej zieleni. Przedtem nie było tu żadnego gorącego źródła.

Grunt zadygotał. Wodorosty ścieliły się w toni i rozwijały w nieskończoność; traszki przemknęły w nich i zaraz znikły. Ptaki wzbiły się z wrzaskiem ponad wieże i ponownie siadły. Kiedy wyczekiwał powtórnego wstrząsu, usłyszał pobliski Świstek Czasu, głos Oldorando, jaki pamiętał od kołyski. Gwizdał odrobinę dłużej niż zwykle. Laintal Ay dokładnie wiedział, ile trwa gwizd; tym razem brzmiał mu o sekundę dłużej. Podniósłszy się ruszył w dalszy obchód. Zaplątany po uda w trawach maneczki usłyszał głosy. Znieruchomiał natychmiast w pół kroku, jak rasowy łowca, po czym przygięty do ziemi zaczął podchodzić zwierzynę. Miał przed sobą kawałek stromizny w kępach macierzanki. Opadł w wonne liście na ręce, by niepostrzeżenie wyjrzeć nad krawędzią. Poczuł, jak brzuch zahuśtał się pod nim, już nie zapadnięty, lecz wypełniony po ostatnich wyżerkach. Głosy... kobiece... znowu głosy. Wychylił głowę nad szczyt pagórka.

Cokolwiek spodziewał się ujrzeć, rzeczywistość była o niebo piękniejsza. Spoglądał w kotlinkę, na dnie której leżała głęboka sadzawka okolona gęstymi zaroślami. Smuzki pary unosiły się z toni i szybowały na ścianę zarośli, które ociekały wilgocią powracającą do sadzawki. Na drugim brzegu ubierały się w swoje skóry mustangów dwie kobiety, w których z miejsca rozpoznał brzemienią Amin Lim i jej przyjaciółkę Vry. Bliżej na skraju wody, odwrócona do Laintala Aya prześliczną pupą, stała jego ubóstwiana i uparta Oyre, zupełnie naga. Aż westchnął, gdy uprzytomnił sobie, kogo widzi, i nie ruszając się z miejsca pożerał wzrokiem owe ramiona, ów łuk pleców owe lśniące pośladki i nogi, zachwycony do utraty tchu.

Bataliksa przedarła się poza jeden z szanćów purpurowych chmur, zalewając ziemię złotem. Ukośne promienie strażniczki zasypały cynamonową skórę Oyre, perlącą się na ramionach i piersiach kropelkami wody. Strumyczki wody biegnęły w dół meandrami jej ciała, aby rozlać się w końcu po skale u jej stóp, jak gdyby łącząc ją, najadzie podobną, z pobliskim wspólnym żywiołem. Stała w swobodnej pozie, na lekko rozstawionych nogach. Uniesioną dłonią ocierała wodę z rzęs patrząc, jak przyjaciółki zbierają się do odejścia. Beztroska Oyre była beztroską łani, nieświadomej wlepionych w nią drapieżnych oczu łowcy, jednak za najmniejszym szmerem gotowej rzucić się do ucieczki. Mokre czarne włosy przylgnęły jej do głowy, oblepiając ramiona i szyję wilgotnymi kosmykami, upodabiając dziewczynę do wydry. Twarzy nie widział dokładnie ze swej kryjówki. Nigdy w życiu nie oglądał nagości, ani mężczyzny, ani kobiety; zimno wyгнаło nagość z Oldorando, a obyczaj zamknął za nią bramy. Oszołomiony widokiem wcisnął czoło w wonne macierzanki. Waliło mu w skroniach. Wreszcie uniósł ponownie głowę i patrzył, jak dziewczyna macha przyjaciółkom na pożegnanie i odwraca się, jak przy tym ruszają się jej pośladki, urzekając w nim duszę. Jakby nie oddychał powietrzem. Oyre tymczasem przyglądała się sadzawce, zapatrzona w czystą toń niemal ospale, tylko rzęsy jej lśniły na tle policzków. Przy następnym poruszeniu pokazała mu całutki srom w mokrych włoskach, jej wspaniały brzuch i zgrabniutką muszelkę pępka. Wszystko mu pokazała na chwilę, gdy wyrzuciwszy w górę ręce wskoczyła do wody. Pozostał sam na sam z blaskiem słońca i toczącymi się w krzaki kłębami oparów aż do wypłynięcia roześmianej dziewczyny. Wyszła na brzeg blisko niego, kołysząc piersiami, które obijały się leciutko jedna o drugą.

– Oyre, o złota Oyre! – zawołał w ekstazie.

Podniósł się.

Znieruchomiła pochylona przed nim; tylko maleńkie zagłębienie pulsowało jej w szyi. Wlepiła w niego czarne, błyszczące oczy, nieprzytomne, ale z jakimś zmysłowym w nich przymgleniem od nieokreślonej, rozlewającej się w niej fali ciepła. Na nowo pił urodę pełnego owalu jej twarzy, okolone? przylizanym jak u wydry włosem, pił słodycz brwi i powiek. Te brwi były obecnie uniesione, lecz chwilowe zaskoczenie minęło bez lęku, jedynie przyglądała mu się z rozchyłonymi wargami, wyczekując jego następnego kroku, jakby zaintrygowana tym, co teraz nastąpi. Wtem,

poniewczasie, opuściwszy dłoń przykryła sobie szparkę, gestem bardziej zalotnym niż obronnym. W pełni świadoma własnej urody, ani trochę, nie była zmieszana. Cztery małe, lubieżne ptaszki sfrunęły pomiędzy nich, zmożone duchotą popołudnia. Laintal Ay przekroczył trawy i przygarnawszy Oyre do siebie utopił rozpalony wzrok w jej oczach, przez futro czując nagie ciało dziewczyny. Porwał ją w ramiona i ucałował namiętnie w usta. Oyre cofnęła się o krok, oblizwała wargi, uśmiechnęła się leciutko mrużąc oczy.

– Rozbierz się. Pokaż, co masz, Bataliksie – powiedziała. Słowa zabrzmiały trochę jak zaproszenie, trochę jak drwina. Rozwiązał troki pod szyją, po czym ująwszy oburącz bluzę szarpnął, rozpruwając szwy. Z głośnym trzaskiem zdarł z siebie bluzę i cisnął na ziemię. Podobnie spodnie, które odrzucił kopnięciem. Zbliżał się do niej czując, jak mu sterczy stwardniały korzeń. Oyre złapała za wyciągniętą ku niej rękę, szarpnęła jednocześnie kopiąc w goleń i usunawszy się szybko z drogi zwała go na łeb do wody. Wilgotne usta sadzawki zamknęły się za Laintalem Ayem. Były wyjątkowo gorące. Wyplął z wrzaskiem łapiąc oddech. Uśmiechnięta nachyliła się nad nim, wsparłszy dłonie na zgrabnych kolanach.

– Nim do mnie przystąpisz, potop wpierw swoje pchły, mości rycerzu!

Ochlapał ją nie wiedząc, czy się śmiać, czy gniewać. Pomagając mu wyleźć była o wiele delikatniejsza. I śliska w jego objęciach. Gdy przyklękli na trawie, wsunął dłoń pomiędzy jej uda, pieszcząc delikatne zakamarki. Ani się obejrzał, jak zrosił trawę nasieniem.

– Och, ty matole jeden, ty matole! – Grzmotnęła go w pierś, a jej twarz wykrzywiła się rozczarowaniem.

– Nie, Oyre, nie, nic się nie stało. Proszę, poczekaj chwilkę. Kocham cię, Oyre, całą moją łonią. Pragnę cię nieustannie. Chodź do mnie, rozpal mnie jeszcze raz.

Lecz Oyre wstała pełna irytacji i niedoświadczona. Pomimo miłosnych zaklęć wezbrała w nim wściekłość na dziewczynę, na samego siebie. Zerwał się na nogi.

– Bodaj cię, nie powinnaś być taka ładna, ty chutliwa kozo! Chwycił ją za ramię, okręcił brutalnie i popchnął w stronę sadzawki. Wczepiła mu się we włosy, wyzywając go i pieszcząc. Razem chlupnęli do wody. Objął ją w pół, przycisnął do siebie pod wodą, pocałował, gdy się wynurzyli, i lewą dłonią złapał za pierś. Roześmiani wyleźli razem, zwalając się na mulisty brzeg. Nogą zahaczył za nogę Oyre i zgarnął ją pod siebie. Wpiła się w jego wargi, wpychając mu język do ust w tej samej chwili, gdy w nią wchodził. Ukojeni rozkoszą, kochali się w tym ukrytym zakątku. Muł oklejał im boki i wydawał pod nimi miłe odgłosy, jakby pełen był żyjatek, które kopulowały na potęgę, aby wyrazić radość życia.

Ociężale wciągała swoje mustangi. Miękkie skóry naznaczone były w wyraźne ciemnobłękitne i jasnobłękitne pasy różnej szerokości, biegnące pionowo wzdłuż jej ciała. Popołudnie zrobiło się duszne i coraz bliżej było dudnienie grzmotu, przechodzące w trzaski piorunu podobne przeraźliwym okrzykom protestu. Wyciągnięty przy niej Laintal Ay śledził ruchy Oyre spod półprzymkniętych powiek.

– Zawsze cię pragnąłem – rzekł. – Od lat. Ciało masz jak gorące źródło. Zostaniesz moją żoną. Będziemy tu przychodzić każdego popołudnia.

Nic nie odpowiedziała. Zaczęła nucić cichutko:

Z biegiem strumyka

Dzionek umyka..

– Strasznie cię pragnę, Oyre, i w dzień, i w nocy. Ty też mnie pragniesz, prawda?

Zmierzyła go spojrzeniem,

– Tak, owszem, Laintalu Ayu, pragnę cię. Ale nie mogę zostać twoją kobietą.

Poczuł, jak zadrżała pod nim ziemia.

– Co ty mówisz?

Po chwili jakby wahania nachyliła się nad nim. Odruchowo wyciągnął po nią rękę, ale się wymknęła, powtykała piersi w bluzę i rzekła:

– Kocham cię, Laintalu Ayu, ale nie zostanę twoją żoną. Zawsze podejrzewałam, że akademia jest tylko zabawą, na pociechę dla takich głupich gęsi, jak Amin Lim. Wystarczyło trochę pięknej pogody, żeby się rozleciała. Prawdę mówiąc, to wszystko bawi jedynie Vry i Shay Tal... i może jeszcze starego mistrza Datnila. Ja jednak cenię sobie Shay Tal i naśladowuję jej niezależność. Shay Tal nie ulegnie mojemu ojcu, chociaż przypuszczam, że pożąda go do szaleństwa, jak zresztą wszystkie – a ja idę za jej przykładem: jeśli zostanę twoją własnością, będę niczym.

Z nieszczęśliwą miną dźwignął się na kolana.

– Nic podobnego. Ty będziesz... wszystkim, Oyre, wszystkim. Bez siebie oboje jesteśmy niczym.

– Przez kilka tygodni, zgoda.

– Co ci odbiło?

– Co mi odbiło... – Z ciężkim westchnieniem podniosła w górę oczy. Przyglądała wciąż wilgotne włosy i obróciła spojrzenie na młode krzewy, na niebo, na ptaki.

– Wcale nie mam o sobie wygórowanego mniemania. Wiem, że niewiele umiem. Zachowując niezależność wzorem Shay Tal, może do czegoś dojdę.

– Nie mów tak. Kobieta potrzebuje obrońcy. Shay Tal, Vry – one nie są szczęśliwe. Shay Tal nigdy się nie uśmiechnie, nie widzisz tego? Na dokładkę jest stara. Ja bym się troszczył o ciebie i dał ci szczęście. O niczym innym nie marzę.

Zapinając bluzę spuściła oczy na wymyślone przez siebie (ku zdumieniu kuśnierza) przetyczki, dzięki którym ubiór dawał się zakładać i zdejmować bez kłopotu.

– Och, Laintalu Ayu, wiem, że jestem okropna. Sama siebie nie znoszę. Sama dobrze nie wiem, czego chcę. Mam ochotę roztopić się i popłynąć, jak ta cudowna woda. Kto wie, skąd przybywa, dokąd zmierza?... z samej toni ziemi, być może... Wszakże kocham cię na swój okropny sposób. Posłuchaj, zawrzemy umowę. – Przerwała manipulacje przy zapinkach i wyprostowana spoglądała na niego z góry, dłonie wsparłszy na biodrach. – Zrób coś wielkiego i niezwykłego, jedną rzecz, jeden czyn, a zostanę twoją żoną, na zawsze. Rozumiemy się? Jakiś wielki czyn, Laintalu Ayu – jeden wielki czyn, a jestem twoja. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Wstał i cofnął się o krok, wlepiwszy w nią oczy.

– Wielki czyn? Jaki wielki czyn masz na myśli? Na prakamięn, Oyre, dziwna z ciebie dziewczyna.

Potrząsnęła mokrymi splotami włosów.

– Gdybym ci powiedziała, wówczas nie byłby już wielki. Rozumiesz? Poza tym ja sama nie wiem, co mam na myśli. Rusz się, rób coś... Brzuch ci już rośnie, jakbyś był w ciąży...

Stał bez ruchu, z kamienną twarzą.

– Jak to jest: ja mówię, że cię kocham, a ty mi w zamian ubliżasz?

– Mówisz mi – mam nadzieję – prawdę i ja ci mówię prawdę. Wcale nie chcę cię zranić. W gruncie rzeczy jestem delikatna. Po prostu obudziłeś we mnie lichy, coś, o czym z nikim nie rozmawiałam. Pragnę... nie, nie umiem powiedzieć, po co mi to pragnienie... sławy. Zrób coś wielkiego, Laintalu Ayu, błagam cię, coś wielkiego, zanim się zestarzejemy.

– Jak zabijanie fagorów?

Niespodziewanie zaśmiała się z jakąś chrapliwą nutą, mrużąc oczy. Przez chwilę do złudzenia przypominała Aoza Roona.

– Skoro tylko to potrafisz wymyślić. Pod warunkiem, że zabijesz ich milion.

Zrobił głupią minę.

– Mniemasz więc, że jesteś warta miliona fagorów?

Oyre palnęła się żartobliwie w czoło, jakby puściły jej szleje.

– To wszystko nie dla mnie, nie rozumiesz? Dla samego siebie. Dokonaj jednej wielkiej rzeczy dla swojego własnego dobra. Ugrzęźliśmy tu, mówiąc słowami Shay Tal, na podwórzu zagrody – spraw, aby to podwórze przynajmniej weszło do legendy.

Znowu grunt zadrżał.

– Do licha – rzekł. – Ziemia rusza się jak żywa. Wyrwani ze sprzeczki, zapomnieli o sobie. Bura ćma rozprzestrzeniała się z napowietrznych szańców, które zsiniały teraz w środkach i pożółkły na obrzeżach. W dokuczliwym upale stali pośród przygniatającej ciszy tyłem do siebie, rozglądając się wokoło.

Kolejne już plaśnięcie sprawiło, że obrócili się ku sadzawce. Jej lustro szpeciły żółtawe pęcherze, które wypływały, rosły i pękały, mącąc brudem przejrzystą do niedawna toń. Bąble wydzielające smród zgniłych jaj dobywały się z głębin, coraz prędzej i coraz czarniejsze. Gęsta mgła wypełniła kotlinkę. Z wody strzeliła struga błota, rozpryskując się w powietrzu. Bryzgi mazistego ukropu chlapały i plamiły zielen wszędzie wokoło. Przerażeni rzucili się do ucieczki, Oyre w stroju barwy nieba w pełni lata. W chwilę później sadzawkę wypełniła czarna bulgotliwa kipiela. Nim zdążyli dobiec do Oldorando, niebiosa rozwarły się i lunął deszcz, posępny i przejmujący zimnem.

Na schodach Wielkiej Wieży usłyszeli z góry głosy, wśród których wybijał się głos Aoza Roona. Właśnie wrócili, on i jego kompania, Tanth Ein, Faralin Ferd i Elin Tal, krzepcy wojownicy i wytrawni łowcy co do jednego, zeszyli się też ich kobiety, czyniąc zgiełk nad nowymi skórami mustangów i tylko Dol Sakil siedziała zaszępiła z dala od wszystkich na okiennym parapecie, obojętna na zacinającą ulewę. W izbie był również Raynil Layan w idealnie suchym odzieniu; skręcał w palcach widlastą brodę i nerwowo strzelał oczami na prawo i lewo – nie odzywał się ani on sam, ani nikt do niego.

Aoz Roon ledwo raczył zerknąć na swą nieślubną córkę, z miejsca naskakując na Laintala Aya.

– Znów się urwałeś.

– Na trochę, owszem. Przepraszam. Sprawdzaliśmy naszą gotowość do obrony. Ja...

Aoz Roon roześmiał się grubiańsko i patrząc po swoich kompanach rzekł:

– Kiedy przychodzisz rozgogolony, z elegantką Oyre w rozsznurowanym przyodziewku, wierzę, że coś sprawdzałeś, ale to nie była gotowość do obrony. Nie łżyj mi, czupurny kutasiku!

Mężczyźni zarechotali. Laintal Ay spiekł raka.

– Nie jestem łgarzem. Poszedłem sprawdzić nasz system obronny, ale nic takiego nie istnieje. Nie ma posterunków, nie ma wartowników, a wy sobie leżycie i popijacie na łonie natury. Jeden zbrojny Borlieńczyk może zdobyć Oldorando. Bimbamy na wszystko, a ty dajesz zły przykład.

Poczuł miarkującą go dłoń Oyre na ramieniu.

– On teraz rzadko bywa w domu – zawołała złośliwie Dol, lecz Aoz Roon ją zignorował i zwrócił się do swych towarzyszy.

– Widzicie, co muszę znosić od moich tak zwanych namiestników. Zawsze pyskuje. Oldorando jest teraz ukryte i chronione przez zielen, rosnącą coraz wyżej z tygodnia na tydzień. Kiedy powróci wojenna pogoda, a powróci na pewno, wtedy będzie czasu dość na wojaczkę. Próbujesz narobić

kłopotów, Laintalu Ayu.

– Nic podobnego. Próbuję im zapobiec.

Aoz Roon stanął przed nim, górując swą ogromną, czarną postacią nad młodzikiem.

– To milcz. I nie pouczaj mnie.

W szum ulewy wtargnęły krzyki z ulicy. Wyjrzawszy przez okno Dol zawołała, że coś się komuś stało. Oyre podbiegła do niej.

– Stać! – wrzasnął Aoz Roon, lecz trzy pozostałe kobiety również pchały się do okna. W izbie pociemniało.

– Pójdziemy zobaczyć, co się dzieje – powiedział Tanth Ein. Ruszył na dół, wielkimi barami niemal zatykając właz przy schodzeniu, za nim Faralin Ferd i Elin Tal. Raynil Layan pozostał w cieniu, patrząc, jak odchodzą. Aoz Roon uczynił krok, jakby chciał ich zatrzymać, po czym niezdecydowany przystanął pośrodku mrocznej izby, śledzony jedynie przez Laintala Aya. Chłopak podszedł do niego.

– Uniosłem się gniewem – rzekł. – Nie powinieneś nazywać mnie łgarzem. I nie powód to, żeby lekceważyć moje ostrzeżenie. Mamy obowiązek czuwać nad bezpieczeństwem osady, tak jak dawniej.

Aoz Roon zagryzł dolną wargę, nie zwracając na nic uwagi.

– Ta cholerna baba Shay Tal zawróciła ci w głowie. Mówił nieobecny myślami, jednym uchem nasłuchując zgiełku pod wieżą. Do poprzedniej wrzawy dołączyły teraz męskie głosy. Kobiety pod oknem również podniosły wielki lament i biegały w kółko, czepiając się to Dol, to siebie nawzajem.

– Jazda stąd! – wrzasnął Aoz Roon ze złością szarpiąc Dol. Ogromny płowy Kurd zaczął wyć.

Świat jakby dostał płasawicy od bębnienia ulewy. Sylwetki pod wieżą były szare w tym potopie. Dwaj z trójki zwałistych łowców dźwigali z błota zwłoki, trzeci, Faralin Ferd, usiłował objąć ramionami dwie stare kobiety w przemoczonych deszczem futrach i wprowadzić je pod dach. Obojętne na niewygody staruszki w rozpaczach wzniosły w górę twarze, a deszcz lał im się do otwartych ust. Można było rozpoznać żonę Datnila Skara i sędziwą wdowę, ciotkę Faralina Ferda. To one wspólnie przywlokły trupa spod północnej bramy, po drodze upaprawszy błotem i zwłoki, i siebie. Łowcy wyprostowali się ze swoim brzemieniem i odsłoniли nieboszczyka. Twarz miał wykrzywioną i zalaną krwią tak już zgęstniałą, że nie zmywały jej strugi deszczu. Głowa opadła mu w dół, gdy go dźwignęli. Krew wciąż zalewała twarz i ubranie. Gardło było równo wycięte, zupełnie tak, jakby ktoś odgryzł kawałek jabłka. Dol rozdarła się histerycznie. Aoz Roon odepchnął ją, wcisnął szerokie bary w otwór okienny i krzyknął do ludzi na dole:

– Nie wnoście tu tego paskudztwa!

Mężczyźni udawali, że go nie słyszą. Spieszyli pod najbliższą osłonę. Potoki deszczu rzygały z parapetów na ich głowy. Tonęli w brei ze swym ubłoconym ciężarem. Aoz Roon zaklął i wypadł z izby, Kurd za nim. Wstrząśnięty wydarzeniem Laintal Ay poszedł w ich ślady, za nim Oyre, Dol i pozostałe kobiety, tłocząc się na wąskich schodach. Raynil Layan bez pośpiechu zszedł na samym końcu.

Łowcy w asyście staruszek wciągnęli zwłoki pod niską powalę stajni, gdzie rzucono je na garść słomy. Mężczyźni odstąpili na bok ocierając dłońmi twarze, od trupa zaś płynęły strugi wody z wężykami krwi, unosząc żdźbła słomy, które tańczyły i kolebały się na fali, niczym łodzie w poszukiwaniu cichej przystani. Groteskowe, podobne do tłumoczków staruchy wielkim głosem wypłakiwały się na ramieniu jedna drugiej. Mimo że twarz trupa była oblepiona krwią i włosami, rozpoznano ją bez wahania. Leżał przed nimi martwy mistrz Datnil Skar, któremu Kurd obwąchiwał wystygłe ucho.

Farayl Musk, przystojna żona Tantha Eina, wybuchnęła przeciągłym zawrotem głowy, którego nie mogła opanować. Trudno było w tej śmiertelnej ranie na szyi nie rozpoznać gryzu fagora. Dla porządku Juli Kapłan wprowadził ową pannowalską metodę wykonania kary śmierci, ale wypadki, kiedy trzeba z niej było korzystać, zdarzały się nader rzadko. Gdzieś tam na dworze w potokach ulewy był Wutra i patrzył. Wutra wieczny wojownik. Laintal Ay wspomniał o zatrważającej rewelacji Shay Tal, że Wutra jest fagorem. Może bóg naprawdę istnieje, może naprawdę jest fagorem. Wrócił pamięcią do poranka, zanim jeszcze natknął się na gołą Oyre, kiedy to widział, jak Gojdzia Hin wyprowadza Myka za północną bramę. Nie wątpiąc już, kto odpowiada za tę śmierć, pomyślał, że oto Shay Tal będzie miała nowy powód do rozpacz. Popatrzył na wstrząśnięte twarze wokół siebie – i triumfującą Raynila Layana – i zebrał się na odwagę. Na cały głos rzekł:

– Aozie Rooney, ciebie oskarżam o zabójstwo tego zacnego starca. Wskazał na Aoza Roona, jakby mu się przywidziało, że ktoś z obecnych nie zna wymienionej przez niego osoby. Wszystkie oczy obróciły się na lorda Embruddocku, który stał z pobladałą twarzą, dotykając głową krokwi. Powiedział ochryple:

– Nie waż się występować przeciwko mnie. Jeszcze jedno twoje słowo, Laintalu Ayu, a oberwiesz.

Lecz Laintala Aya nie można było powstrzymać. Ogarnięty gniewem, zawołał szyderczo:

– Czy to jeszcze jeden z twoich okrutnych ciosów wymierzonych w wiedzę – w Shay Tal?

Zebrani szemrali, wierząc się niespokojnie w ciasnym pomieszczeniu.

– Takie jest prawo – rzekł Aoz Roon. – Doniesiono mi, że Datnil Skar pozwolił obcym czytać w tajnej księdze swego cechu. To czyn zabroniony. Prawo karze za to dziś i zawsze karało śmiercią.

– Prawo! Czy tak wygląda prawo? Ten cios bardziej przypomina skrytobójstwo. Widzicie wszyscy – dokonano tego tak samo, jak mordu na...

Właściwie spodziewał się ataku Aoza Roona, jednak furia tej napaści przełamała jego obronę. Oddał cios mierząc w tańczącą mu przed oczami, pociemniałą z wściekłości twarz Aoza Roona. Usłyszał pisk Oyre. Po czym pięść wylądowała mu na szczęce. Jak przez mgłę docierało do niego, że cofa się na miękkich nogach, potyka o nasiąknięte wodą zwłoki i bezradnie rozciąga na klepisku stajni. Docierały do niego piski, krzyki, tupot butów wokoło. Czuł kopniaki na żebrach. W ogólnym zamęcie dźwignięto go tak samo, jak rzucone tu przedtem zwłoki – wiedział, że próbuje osłaniać głowę przed rozwaleniem o ścianę – i wyniesiono na ulewę. Usłyszał grzmot podobny uderzeniu serca olbrzyma. Ze schodków cisnęli go w błoto. Deszcz smagał mu twarz. Rozciągnięty w błocie uprzytomnił sobie, że już nie jest namiestnikiem Aoza Roona; że wzajemna wrogość jest od tej chwili jawna i nich samych, i dla wszystkich.

Deszcz lał bez przerwy. Gęste ławice chmur przeciągały nad centralnym kontynentem. Życie Oldorando utknęło w martwym punkcie. Daleka armia młodego kzhahna Hrr-Brahla Yprta musiała przerwać pochód i zapaść wśród skał na wschodzie. Komponenty wolały pograć się w stanie podobnym uwięzi, niż stawić czoło ulewie. Fagory również odczuły wstrząsy podziemne, które pochodziły z tego samego źródła co wstrząsy nawiedzające Oldorando. Hen na północy stare regiony tektoniczne Chalce przechodziły gwałtowne wypiętrzenia. Zrzuciwszy brzemień lodu ziemia otrząsała się i dźwigała. W tym okresie ocean opasujący Helikonię był już wolny od lodu nawet poza szerokimi strefami tropików, które sięgały od równika po trzydziesty piąty stopień szerokości północnej i południowej. Zachodnia cyrkulacja wód oceanicznych zrodziła fale sejsmiczne, pustoszące rejony przybrzeżne na całym globie. Powodzie często sprzymierzały się z wulkanami, zmieniając powierzchnię lądów.

Wszystkie te wydarzenia rejestrowały instrumenty Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej, którą Vry zwała Kaidawem. Odczyty wędrowały na Ziemię. Nie było w galaktyce planety obserwowanej pilniej niż Helikonii. Odnotowano kurczenie się stad jajaków i bijajaków, zamieszkujących północną nizinę Kampanlat; ich pastwiskom groziła zagłada. Kaidawy natomiast mnożyły się, bowiem jałowe dotychczas rubieże zapewniały im teraz pożywienie.

Istniały na kontynencie tropikalnym dwa rodzaje społeczności ancipitów: osiadłe komponenty bez kaidawa, trzymające się swoich terenów, oraz wędrowne, czy też koczownicze, z kaidawem. Kaidaw był wielkim tułaczem nie tylko na wolności; udomowiony też potrzebował paszy, zmuszając tych, którzy go udomowili, do nieustannej wędrówki w poszukiwaniu nowych pastwisk.

Armia młodego kzhahna, na przykład, składała się z licznych drobnych komponentów skazanych na wędrowny i często wojowniczy tryb życia. Ich kruczata stanowiła tylko jeden z elementów migracji, obliczonej na dziesięciolecia wędrówki ze wschodu na zachód, przez cały kontynent. Wstrząsy podziemne i wywołane nimi trapiące armię kzhahna lawiny oznaczały kres wypiętrzania się skorupy planety, które zmieniło bieg rzeki powstałej z topniejącego lodowca Hhrygg. Otworzyła się nowa dolina. Popłynęła nią nowa rzeka, tocząca odtąd swoje wody na zachód zamiast, jak dotychczas, na północ. Rzeka ta spłynęła przełomem stając się dopływem Takissy, która podążała na południe i uchodziła do Morza Orłów. Wody Takissy przez wiele lat były czarne od niesionych z nurtem dziesiątków ton kruszonej dzień po dniu góry.

Wylew nowej rzeki przełomem nowej doliny zmusił jedną z mało znaczących grup fagorzycy nomadów do rezygnacji ze wschodniej marszruty i rozproszenia się w kierunku Oldorando. W niedalekiej przyszłości los miał ich postawić na drodze Aoza Roona. Wprawdzie ów zwrot marszruty wydawał się wówczas nieistotny nawet dla samych ancipitów, to jednak miał on odmienić społeczną historię całego regionu.

Co prawda byli na „Avernusie” i tacy, którzy badali społeczny historię helikońskich kultur, ale to heliografowie uważali swoją domenę za królową nauk. Najpierwsze ze wszystkiej rzeczy jest światło.

Gwiazda B, którą tubylcy na dole zwali Bataliksą, była skromnym słońcem widmowego typu G4. W kategoriach fizycznych nieco ustępowała Słońcu; nieco mniejszy miała promień (0,94 promienia Słońca) i pozorną wielkość dla obserwatora z powierzchni Helikonii (76 procent wielkości Słońca obserwowanego z powierzchni Ziemi). Przy temperaturze fotosfery 5 600 kelwinów, jej jasność sięgała tylko 0,8 jasności Słońca. Bataliksą liczyła sobie około pięciu miliardów lat.

Gwiazda B krążyła wokół obiektu o wiele bardziej imponującego dla obserwatorów z „Avernusa”, znacznie odleglejszego, znanego helikończykom jako Freyr. Ta Gwiazda A była jaskrawo białym superolbrzymem widmowego typu A, o promieniu sześćdziesięciopięciokrotnie większym od promienia Słońca i o jasności sześćdziesiąt tysięcy razy większej. Masa Freyra była 14,8 razą większa niż masa Słońca, a temperatura powierzchni wynosiła 11000 K wobec 5 780 K na Słońcu.

Aczkolwiek Gwiazda B miała swych wiernych badaczy. Gwiazda A silniej przyciągała uwagę, zwłaszcza obecnie, kiedy „Avernus” zbliżał się do superolbrzyma wraz z całym układem Gwiazdy B. Freyr liczył jakieś dziesięć do jedenastu milionów lat. W swej ewolucji zszedł z ciągu głównego gwiazd i wkroczył już w okres starości. Tak intensywnie wyrzucał energię, że oglądany z powierzchni Helikonii dysk Gwiazdy A stale jaśniał silniej od Gwiazdy B, mimo że nigdy nie dorównywał jej wielkością z powodu znacznie większego oddalenia. Godny był to obiekt grozy dla

Vry stała samotna na szczycie wieży, ze swoją lunetą u boku. Czekwała. Obserwowała. Czuła, że relacje między obiektami i zjawiskami natury jak zamulona rzeka płyną w przyszłość; co było krystalicznie czyste u źródła, zbrukał po drodze osad czasu. W bierności Vry kryła się niewypowiedziana tęsknota za czymś potężnym, co by ją porwało i otworzyło przed nią horyzonty szersze, czystsze od dostępnych ułomnej naturze ludzkiej. Z nadejściem nocy znów będzie patrzeć na gwiazdy – pod warunkiem, że rozstąpią się chmury.

Oldorando otoczyły teraz, palisady zieleni. Z dnia na dzień wypuszczały nowe liście i pięły się wyżej, jak gdyby przyroda umyśliła sobie pogrzebać miasto w lesie. Zieleń porosła już kilka odleglejszych wież.

Nad jednym z takich pagórków spostrzegła dużego białego ptaka, który sam w sobie nie budził w niej większego zainteresowania. Śledziła jego lot i podziwiała lekkość, z jaką unosił się ponad ziemią.

Z oddali dobiegły męskie śpiewy; Łowcy wrócili z polowania na mustangi i Aoz Roon wydawał biesiadę. Biesiada była na cześć jego trzech nowych namiestników, Tantha Eina, Faralina Ferda i Elina Tala. Ci przyjaciele z lat młodości zastąpili Dathkę i Laintala Aya, przeniesionych obecnie do naganki.

Vry starała się zająć myśli czymś abstrakcyjnym, lecz one wciąż krążyły wokół bardziej wzruszającej historii zawiedzionych nadziei – jej własnych, Laintala Aya i Dathki, który jej pożądał i którego nie potrafiła ośmielić. Nastrój Vry harmonizował z przeciągającym się w nieskończoność wieczorem. Bataliksa zaszła, drugi strażnik miał pójść w jej ślady za godzinę. Była to pora, kiedy ludzie i zwierzęta sposobią się do przetrwania tyranii nocy. Pora, kiedy stawiamy ogarek świecy na jakiś nieprawdopodobny nagły wypadek bądź postanawiamy spać do jasności poranka. Ze swego orlego gniazda Vry widziała, jak prości mieszkańcy Oldorando – jeszcze pełni nadziei, a może już nie – wracają do domów. Wśród nich była wychudła, pochylona sylwetka Shay Tal.

Cała zabłocona i strudzona Shay Tal wróciła do wieży w towarzystwie Amin Lim. Od zabójstwa mistrza Datnila coraz bardziej odsuwała się od ludzi. Spadła też na nią klątwa milczenia. Idąc za wskazówką zamordowanego mistrza, podjęła obecnie próbę odkopania piramidy króla Dennissa przy ofiarnym kręgu. Mimo pomocy niewolników nic nie wskórała. Przychodzący tam gapie śmiali się ukradkiem albo i otwarcie na widok zwałów dobywanej ziemi i schodkowych ścian piramidy opadających w głąb bez końca i bez śladu jakichkolwiek skarbów. Z każdą piędzią wykopu usta Shay Tal wykrzywił coraz głębszy grymas.

Z litości i pod wpływem własnego osamotnienia Vry zeszła pogadać z Shay Tal. Czarodziejka jakoś za grosz nie miała w sobie nic czarodziejskiego; chyba jako jedyna spośród oldorandzkich kobiet nosiła stare ciężkie futro, niezgrabne i niemodne. Wszyscy chodzili w mustangach. Przejęta opłakanym stanem starszej przyjaciółki Vry nie mogła się powstrzymać od udzielenia rady.

– Pani się nazbyt unieszczęśliwiała. Proszę zostawić to grzebanie się w ziemi – tam jest tylko mrok i przeszłość.

– Żadna z nas nie uważa szczęścia za swój podstawowy obowiązek – z przebłytkiem humoru rzekła Shay Tal.

– Pani oczy patrzą jedynie w dół. – Wskazała za okno. – Proszę spojrzeć, z jaką gracją tamten biały ptak szybuje w powietrzu. Czy to nie budujący widok? Chciałabym być tym ptakiem i pofrunąć do gwiazd.

Shay Tal ku niejakiemu zaskoczeniu Vry podeszła do okna i spojrzała we wskazanym kierunku.

Po chwili obróciła się, odgarnęła z czoła włosy i rzekła spokojnie:

– Wiesz, że pokazałaś mi kraka?

– Chyba tak. I co z tego?

– Czyżbyś zapomniała Rybie Jezioro i inne spotkania? Te ptaszki są pupilami fagorów.

Mówiła spokojnie swym beznamiętnym, pouczającym tonem. Vry poczuła lęk na myśl o tym, jak musiała się zatracić w sobie, że przegapiła taki podstawowy fakt. Podniosła dłoń do ust, oczy jej biegały od Shay Tal do Amin Lim i z powrotem.

– Nowy najazd? Co zrobimy?

– Ja, zdaje się, urwałam kontakty z lordem Embruddocku czy też on ze mną. Vry, musisz iść i zawiadomić go, że być może nieprzyjaciel stoi u bram, podczas gdy on ucztuje z przyjaciółmi. Będzie wiedział, że nie ma co liczyć na powstrzymanie bestii przeze mnie, jak kiedyś. Leć co tchu.

Deszcz zaczął siąpić od nowa, gdy Vry śpieszyła ścieżką. Kierowała się śpiewami. Aoz Roon z kompanią zasiadali w najniższej izbie wieży cechu wyrobników metali. Obrzękłe z przejedzenia twarze, przed nimi trutniok. Na drewnianym półmisku góra gęsi nadzianych maneczką i bikinką stanowiła danie główne; od samego zapachu ślina napłynęła zgłodniałej Vry do ust. Wśród obecnych byli trzej nowi namiestnicy ze swoimi kobietami, Raynil Layan, najnowszy mistrz w radzie, oraz Dol i Oyre. Tylko one dwie sprawiały wrażenie uradowanych jej przybyciem. Wiedziała, że Dol nosi teraz w łonie dziecko Aoza Roona, co Rol Sakil z dumą obwieściła wszem i wobec.

Na stołach płonęły już świece, w cieniu pod stołami krążyły psy. Mieszały się wonie pieczonych gęsi i świeżych psich szczyn. Co prawda oblicza mężczyzn były czerwone i świecące, lecz pomimo wodnego ogrzewania w izbie panował chłód. Deszcz zacinał do środka, zbierając się w strumyki, które płynęły między kamiennymi płytami posadzki. Była to mała obskurna izba z girlandami pajęczyn w każdym kącie. Vry obejmowała to wszystko spojrzeniem, nerwowo przekazując Aozowi Roonowi wiadomości. Niegdyś znała każdy ślad ciesielskiej siekiery na belkach powały. Jej matka służyła jako niewolnica wyrobnikom metali, ona zaś mieszkała w tej izbie, a raczej w kącie tej izby i co noc patrzyła na poniżenie swej matki.

Chociaż przed chwilą wyglądał, jakby miał nieźle w czubie, Aoz Roon poderwał się w mgnieniu oka. Kurd zaczął ujadać jak szalony, więc Dol uciszyła psa kopniakiem. Pozostali biesiadnicy dość głupawo spoglądali po sobie, nie kwapiąc się z przyjęciem do wiadomości nowiny Vry. Aoz Roon obchodził stół dokoła, wydając każdemu rozkazy poparte kuksańcem w plecy.

– Tanth Ein, alarm dla wszystkich i zbierasz łowców pod bronią. Na łon boską, dlaczego nie czuwamy tak, jak trzeba? Postaw warty na wszystkich wieżach, melduj po wykonaniu. Faralin Ferd, spędź wszystkie kobiety i dzieci. Zamknij je bezpiecznie w domu kobiet. Dol, Oyre, obie zostajecie tutaj, i wy kobiety również. Elin Tal, ty masz najdonośniejszy głos, stań na szczycie tej wieży i przekazuj wszelkie niezbędne wieści... Raynil Layan, stajesz na czele braci cechowych. Natychmiast zrób im zbiórkę. Odmaszerować.

Sypnąwszy tym gradem poleceń, poderwawszy ich krzykiem do działania, sam przemierzał izbę wielkimi krokami. Wtem zwrócił się do Vry:

– No dobrze, dziewczyno, chcę się zorientować w terenie na własne oczy. Twoja wieża jest najdalej wysunięta na północ – z niej się rozejrzę. Ruszajmy więc i miejmy wszyscy nadzieję, że to fałszywy alarm.

Jak burza pognał do wyjścia, tylko jego wielki pies śmignął przodem. Vry deptała mu po piętach. Niebawem krzyki odbiły się echem pośród zmurszałych starych murów. Deszcz ustawał. Żółte kwiaty w zaułkach popodnosiły głowy.

Oyre dogoniła Aoza Roona równając z nim krok i uśmiechając się, chociaż warknęła, żeby

wracała. W jasno – i ciemnobłękitnych mustangach pomykała przy nim jak na skrzydłach.

– Nieczęsto widzę cię zaskoczonego, ojczu.

Posłał jej jedno ze swych ponurych spojrzeń. Pomyślała, że po prostu zestarzał się ostatnio. Pod wieżą Aoz Roon zatrzymał córkę gestem i wbiegł do środka. Słyszając go na wykruszonych schodach Shay Tal stanęła w progu swej izby. Zbył ją ledwie kiwnięciem głowy i nawet nie zwolnił w drodze na szczyt. Wchodząc za nim czuła jego zapach.

Stał przy parapecie i wpatrywał się w mroczniejący krajobraz. Daszkiem z obu dłoni osłonił oczy, łokcie miał rozstawione, nogi w szerokim rozkroku. Nisko zawieszony Freyr przeświecał przez rozdarcia chmur na zachodzie. Krak nadal kołował w pobliżu. W zaroślach pod jego skrzydłami nic się nie poruszyło. Zza szerokich pleców Aoza Roona odezwała się Shay Tal:

– Tam jest tylko ten jeden ptak. Nie odpowiedział.

– Więc chyba nie ma fagorów. Nie oglądając się, rzekł:

– Jak to się wszystko zmieniło od czasów naszego dzieciństwa.

– Tak. Niekiedy żal mi tej całej bieli. Kiedy się wreszcie obrócił, miał wypisaną na twarzy gorycz, którą opanował z widocznym wysiłkiem.

– Cóż, chyba nic nam nie grozi. Chodź, przekonamy się, jeśli chcesz. Ruszył nagle na dół, jakby go kto gonił, jakby żałował, że ją zaprosił. Kurd trzymał się jego nogi jak cień. Shay Tal dotarła na miejsce, gdzie czekały obie dziewczyny. Nadszedł Laintal Ay z włócznią w dłoni, zwabiony krzykami. Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie spode łba. Żaden się nie odezwał. Wtem Aoz Roon dobył miecza i ruszył ścieżką w stronę kraka. Ścieżka gęsto zarosła. Z chaszczy leciała na nich woda. Mężczyźni na czele roztrącali gałęzie sprawiając za swoimi plecami rześisty prysznic kobietom, które wyszły na tym najgorzej. Minęli zakręt i gąszcz młodych damaszek o pniach cieńszych niż ramię człowieka. Na wprost wznosiła się rozwalona wieża, właściwie tylko dwa jej piętra, tonące w roślinności. Pod wieżą, przy liszajowatym murze siedział na kaidawie fagor. Z góry dobiegło ostrzegawcze krakanie i pomiędzy gałęziami wypatrzyli kraka. Wszyscy stanęli. Kobiety instynktownie przytuliły się do siebie. Kurd przywarował, warcząc.

Fagor siedział na swym wysokim rumaku, obie rogowate dłonie wsparłszy na kuli siodła. Za nim wisiały przytroczone włócznie, których nie było już kiedy sposobić. Rozszerzył czerwonawe oczy i strzepnął uchem. Poza tym nawet nie drgnął. Deszcz mu przemoczył siwe futro i posklejał skołtunioną sierść w kępy. Migotliwa kropla deszczu zawisała na czubku jednego z wygiętych w przód rogów. Zastygł w bezruchu również kaidaw z wyciągniętym przed siebie łbem zbrojnym w rogi, które spod żuchwy zawijały się do góry. Kaidawowi sterczały żebra, był zbryzgany błotem i okryty ranami pełnymi zakrzepłej żółtej posoki.

Tę nierealną scenę zakłóciła nieoczekiwanie Shay Tal. Przepchnęła się między Aozem Roonem i Laintalem Ayem, samotnie stając przed nimi na ścieżce. Władczym gestem wzniosła nad głowę prawą dłoń. Fagor jakby jej nie widział; w każdym razie nie zamienił się w lód.

– Wracaj, o pani – zawołała Vry, widząc, że czar nie działa. Jakby pod przymusem Shay Tal ruszyła naprzód, całą swoją siłę woli skupiwszy na wraźym jeźdźcu i jego rumaku. Skradał się zmierzch, dogasające światło dawało przewagę wrogowi, który widział w ciemnościach. Podchodziła krok za krokiem, nie spuszczać oczu z fagora, aby przed nim w porę uskoczyć. Jego bezruch sprawiał niesamowite wrażenie. Z bliższej odległości dostrzegła, że to samica. Spod przemoczonego futra wystawały obwisłe brązowe sutki.

– Zawracaj, Shay Tal! – Z krzykiem i z mieczem w garści Aon Roon wyminął ją na ścieżce.

Wreszcie gilda drgnęła. Wzniosła zakrzywiony brzeszczot i spięła wierzchowca. Kaidaw ruszył jak wiatr. W jednej chwili nieruchomy, już w następnej rwał na ludzi wąską ścieżyną, nastawiwszy

rogi. Kobiety z wrzaskiem dały nura w mokre zarośla.

Bez słowa rozkazu Kurd przemknął pod długą żuchwą kaidawa, żeby dobrać mu się do pęciny. Z siekaczami obnażonymi po dżiąsła gilda wychyliła się z siodła i cięła Aoza Roona. Rzucając się w tył Aoz Roon poczuł, jak sierpowata głownia śmiga mu przed nosem. Dalej na ścieżce Laintal Ay zaparł tylec włóczni w ziemię i przyklękawszy mierzył grotem w pierś kaidawa. Skulony, wyczekiwał szarzy. Lecz Aoz Roon uchwycił się za ramię popręgu na brzuchu rozpedzonego zwierzęcia i wykorzystując tę siłę pędu kaidawa skoczył mu na grzbiet tuż zajeżdżcem, który już nie zdążył wziąć zamachu po raz drugi. Przez moment zdawało się, że Aoz Roon przeleci na drugą stronę. Jednak utrzymał się, zarzuciwszy lewe ramię na szyję gildy, głowę odsuwając jak najdalej od morderczych ostrych rogów. Gilda tłukła łbem na oślep. Czaszkę miała twardą jak maczuga. Jednym ciosem ogłuszyłaby człowieka, ale Aoz Roon skulił się za jej plecami i zacisnął dusicielski chwyt na szyi. Kaidaw stanął równie nagle, jak poprzednio ruszył, o piędź od grotu Laintala Aya. Napastowany przez Kurda, rozjuszony kręcił się w kółko, usiłując wziąć na rogi wielkiego ogara. Stanął dęba, a wtedy Aoz Roon zebrał wszystkie siły i wraził miecz pomiędzy żebra gildy, w płataninę wnętrzości. Podniosła się w skórzanych strzemionach i wrzasnęła chrapliwie, rozdzierająco. Ramiona wyrzuciła w górę, a jej jatagan poleciał w pobliskie krzaki. Przerażony kaidaw stanął na zadnich nogach. Fagorzycza runęła, pociągając za sobą Aoza Roona. Zamortyzowała jego upadek, gdyż obrócił się z nią w powietrzu. Wyrznęła lewym barkiem w ziemię, aż huknęło. Z głośnym skrzeczeniem krak zleciał z mrocznego nieba na pomoc swej pani. Pikował na twarz Aoza Roona. Kurd dał wysokiego susa i schwycił ptaka za nogę. Krak orał go zakrzywionym dziobem, bił jak oszalały skrzydłami po łbie, lecz pies zacisnąwszy szczęki ściągnął go na ziemię. Szybko zmienił chwyt, łapiąc za gardło. W mgnieniu oka wielki biały ptak legł martwy, ze skrzydłami rozpostartymi nieruchomo w poprzek błotnistej ścieżki. Gilda również leżała martwa. Aoz Roon stanął nad nią, ciężko dysząc.

– Na kamień, za gruby jestem do takiej gimnastyki – wysapał.

Shay Tal szlochała na stronie. Vry i Oyre oglądały zabitego stwora, jego rozdziawioną gębę, z której ciekła żółtawa posoka. Z oddali doleciało ich wołanie Tantha Eina i coraz bliższe okrzyki w odpowiedzi. Aoz Roon nogą przewrócił na plecy trupa gildy; spomiędzy jej szczęk wysunął się gruby biały mlecz. Twarz była cała zryta bruzdami, skóra jak u robaka szara w miejscach, gdzie rozciągały ją kości. Liniejaca sierść odsłaniała nagie placki.

– Chyba ma jakąś paskudną chorobę – powiedziała Oyre. – Dlatego była taka nieruchawa. Uciekajmy od niej, Laintalu Ayu. Niewolnicy zakopią ścierwo.

Lecz Laintal Ay na klęczkach odwijał linkę, okręconą na brzuchu trupa. Podniósł wzrok i rzekł z zawziętością:

– Chciałaś, abym dokonał jakiegoś wielkiego czynu. Może i dokonam.

Linka była cienka i jedwabista, cieńsza niż wszelkie oldorandzkie powrozy skręcane z kołatkowego włókna. Zwinął ją na przedramieniu. Kurd osaczył kaidawa. Wierzchowiec, wyższy w kłębie od przeciętnego mężczyzny, stał i dygotał z zadartym łbem, wywracając oczyma, nie podejmując próby ucieczki. Laintal Ay zawiązał arkan i zarzucił pętlę na szyję zwierzęcia. Zaciągnął ją mocno i zbliżył się krok po kroku do dygocącego stworzenia, aż wreszcie mógł je poklepać po boku.

Aoz Roon odzyskał zimną krew. Otarł o nogawicę miecz i wsuwał go właśnie do pochwy, gdy dołączył do nich Tanth Ein.

– Wystawimy warty, ale to pojedyncza sztuka – wypędek bliski śmierci. Mamy pretekst do dalszej zabawy, Tancie Einie.

Pokleпали się po ramionach, zaś Aoz Roon powiódł wokoło spojrzaniem. Ignorując Laintala Aya, zatrzymał wzrok na Shay Tal i Vry.

– Nie ma między nami wojny, obojętne, co tam sobie myślicie – rzekł do kobiet. – Dobrze się sprawiłyście podnosząc alarm. Chodźcie z Oyre i ze mną, zapraszam was na ucztę, moi namiestnicy ucieszą się z waszego przybycia.

Shay Tal pokręciła głową.

– Vry i ja mamy co innego do roboty.

Vry wspomniała nadziewane gęsi. Jeszcze czuła ich woń. Warto było ścierpieć nawet ową znienawidzoną izbę za kęs takiego wspaniałego mięsiwa. Zerknęła w udręce na Shay Tal. ale żołądek zwyciężył.

– Ja pójdę – odparła, oblewając się rumieńcem. Laintal Ay nie odejmował dłoni od drżącego boku kaidawa. Przy nim stała Oyre. Obróciła się do ojca i powiedziała oziębło:

– Ja nie idę. Wolę zostać z Laintalem Ayem.

– Zrobisz, co zechcesz, jak zwykle – rzucił jej i odmaszerował rozmokłą ścieżką z Tanthem Einem, nie troszcząc się o poniżoną Vry, która musiała dobrze wyciągać nogi, żeby za nimi nadążyć.

Kaidaw potrząsał wielkim rogatym łbem do góry i na dół, zezując ku Laintalowi Ayowi.

– Będziesz chodził za mną jak pies – rzekł chłopak. – Pojedziemy na tobie, Oyre i ja, pojedziemy po górach i dolinach.

Wyszli z rosnącej gromady gapiów, którzy cisnęli się do trupa pokonanego wroga. Razem wracali do Embruddocku, do wież sterczących Jak zepsute zęby na tle pożegnalnej łuny zachodu Freyra. Zapomniawszy w tej przełomowej chwili o nieporozumieniach trzymali się za ręce i razem ciągnęli za sobą dygocącego zwierzaka.

X. WIELKI CZYN LAINTALA AYA

Wszędobylskie kwiaty opanowały step jak okiem sięgnąć i jeszcze dalej, niż mógł się zapuścić na swoich dwóch nogach człowiek. Płatki białe, żółte, pomarańczowe, niebieskie, czerwone, nawałnica płatków toczyła się na przestrzeni wielu mil i uderzała w mury Oldorando, zatapiając osadę w powodzi barw. Deszcz przyniósł kwiaty i odszedł. Kwiaty zostały, ciągnąc się po horyzont, gdzie lśniły gorejącymi łańcami, jakby dal wymalowała się na wiosnę.

Skrawek tej panoramy ogrodzono. Laintal Ay z Dathką skończyli robotę. W towarzystwie przyjaciół oglądali swoje dzieło. Postawili ogrodzenie z młodych drzewek i cierni. Karczowali żywe zarośla, aż sok roślin po ostrzach noży spływał im do rękawów. Ogłowione drzewka poszły na poziome żerdzie płotu. Wypełniono je plecionymi na krzyż gałęziami i całymi krzakami cierniowymi. Otrzymali niemal lity mur, wysoki na człowieka. Ogrodzili z hektar powierzchni.

Pośrodku tej nowej zagrody stał kaidaw, urągając wszelkim próbom ujeżdżania. Jego panią, gildę, wedle obyczaju zostawiono, aby zgniła tam, gdzie padła. Dopiero w trzy dni później wysłano Myka i jeszcze dwóch niewolników do zakopania ścierwa, które zaczęło już cuchnąć.

Z pyska kaidawa niczym ślina zwisał wzgardzony wiecheć traw. W szczykniętej kępcie różowiło się kwiecie. W niewoli wyraźnie mu nie smakowało, gdyż wielki wymizerowany zwierzak z wysoko podniesionym łbem stał gapiąc się w dal ponad szczytem płotu, zapomniawszy o przeżuwanii. Co jakiś czas z wysokim wykrokiem przebiegał parę jardów, po czym wracał na wyjściowy, dogodny punkt obserwacyjny, błyskając białkami oczu. Raz gniewnym potrząśnięciem łba uwolnił jeden z zakręconych w dół rogów, który uwiązał mu w cierniach. Siły miał dość, żeby przebić się przez ogrodzenie i pogalopować na wolność, brakło mu tylko woli. Wyglądał jedynie ku wolności, wydając westchnienia z rozdętych chrap.

– Skoro mogą na nim jeździć fagory, możemy i my. Jeździłem już na kołatku – rzekł Laintal Ay. Przytargał wiadro trutnioka i postawił je przed zwierzęciem. Kaidaw powąchał i cofnął się zjeżony.

– Idę pokimać – powiedział Dathka. Były to jego pierwsze słowa od wielu godzin. Przełazi pod ogrodzeniem, uwalil się w trawie, ręce założył pod głowę, zamknął oczy. Wokół brzęczały owady. Obaj z Laintalem Ayem nie posunęli się ani o krok w obłaskawieniu tego bydlaka, za to guzów i siniaków zarobili co niemiara.

Laintal Ay otarł czoło i ponowił próbę zbliżenia się do jeńca. Kaidaw spuścił podłużny łeb, jak gdyby chciał mu zajrzeć w oczy. Sapał cichutko. Przemawiając pieszczotliwie Laintal Ay zdawał sobie sprawę z wymierzonych w siebie rogów, gotów w każdej chwili uskoczyć. Ogromny zwierz strzepnął uszami i oddalił się. Laintal Ay uspokoił oddech i znowu ruszył naprzód. Od czasu kiedy kochali się z Oyre nad wodą, jej uroda wciąż grała mu w łoni Jak muzyka.

Obietnica dalszych miłosnych igraszek przesłaniała mu niebo jak konar, którego nie mógł dosięgnąć. Musi wykazać się owym urojonym wielkim czynem, jak tego zażądała. Co rano budził się odurzony marzeniami o jej ciele, jakby tonął w kwieciu psiajuchy. Jeśli ujeździ i obłaskawi kaidawa, Oyre będzie jego.

Lecz kaidaw wciąż opierał się wszelkim zakusom człowieka. Stał i czekał na zbliżającego się Laintala Aya. Drgały mu pod kolanami ścięgna. Dosłownie w ostatniej chwili bryknął przed wyciągniętą ręką i stając dęba wychylił ku niemu rogi ponad kłębem. Zeszłej nocy Laintal Ay spał w jego zagrodzie, a raczej przysypiał budząc się co chwila w strachu, że stratują go kopyta. Jednak zwierzę nie przyjęło od człowieka ani stawy, ani napoju i dawało drapakę przy każdej próbie podejścia. Zabawa powtarzała się setki razy. Zostawiwszy drzemiącego Dathkę Laintal Ay wrócił do

Oldorando z nowym pomysłem w głowie.

Trzy godziny później, równo z gwizdem Świstka Czasu, dziwny jakiś fagorzy pokurcz zbliżył się do zagrody. Niezdarnie przełazi ogrodzenie, wydzierając sobie na cierniach kłębki mokrej, żółtawej sierści, które zawisły wśród gałęzi jak martwe ptaki. Powłóczące nogami dziwadło podeszło do kaidawa.

W skórze było gorąco i śmierdziało. Laintal Ay obwiązał sobie twarz szmatą, wkładając pod nos gałązkę maneczeki. Z jego polecenia dwaj borlieńscy niewolnicy odkopali trzydniowe zwłoki i zdarli z nich skórę. Raynil Layan wykapał skórę w solance, żeby usunąć z niej nieprzyjemne substancje. Do zagrody Laintal Ay wrócił w towarzystwie Oyre, stojącej teraz z Dathka w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

Kaidaw spuścił łeb i parsknął cichutko, pytająco. Zawiązane popręgi nadal trzymały siodło i ozdoby strzemiona po jego martwej pani. Przystąpiwszy do skołowanego zwierzaka Laintal Ay niezwłocznie wsadził stopę w lewe strzemie i wskoczył na siodło. Nareszcie siedział na grzbiecie wierzchowca, przed pojedynczym płaskim garbem. Fagory jeżdżą bez cugli, przytulone do kaidawich karków lub trzymając się szorstkich, kręconych kudłów grzywy. Laintal Ay uczeplił się tych kudłów z całej siły, czekając na dalszy bieg wypadków. Kątem oka widział innych ludzi z osady, jak ciągnęli przez most na Voralu, żeby dołączyć do Oyre i Dathki i obejrzyć widowisko.

Kaidaw stał ze spuszczonego wciąż łbem, bez ruchu, jak gdyby ważył swoje nowe brzemie. Po czym powolutku i absurdalnie zaczął wyginać szyję do tyłu, zadzierając łeb coraz wyżej i wyżej, aż z odwróconej pozycji mógł podnieść oczy i utkwic je w jeźdźcu. Oczy jego i Laintala Aya spotkały się. Zwierz zastygł w swej niezwykłej pozie, ale zaczął się trząść. Trzęsły nim gwałtowne drgawki, które pozornie brały początek w sercu, rozchodząc się od środka na wszystkie strony, bardzo podobnie do trzęsienia ziemi na maleńkiej planecie. Mimo to nie mógł oderwać oczu od stworzenia na swoim grzbiecie ani poruszyć się z własnej woli. Laintal Ay również nie uczynił żadnego ruchu, tylko trząsnął się z kaidawem. Siedział wpatrzony z góry w jego wykręcony i zadarty pysk, na którym malowała się – jak to później sobie uprzytomnił – głęboka boleść.

Kiedy wreszcie kaidaw ożył, to jakby wystrzeliła w górę zwolniona sprężyna. Jednym płynnym ruchem wyprostował się i dał wysokiego susa w powietrze, jak kot wyginając grzbiet i podkulając swe niezgrabne nogi pod brzuchem. Oglądali na żywo legendarną lansadę kaidawa. Lansada przeniosła go jak ptaka na drugą stronę zapory. Nawet nie musnął najwyższych gałązek cierni. Łądując wcisnął łeb pomiędzy przednie nogi, rogami do góry, i spadł na kark. Jeden z rogów przeszył mu natychmiast serce. Runąwszy ciężko na bok, wierzgnął raz i drugi. Laintal Ay szczupakiem wpadł w koniczynę. Zanim dzwignął się na drżące nogi, już wiedział, że kaidaw jest martwy. Ściągnął z siebie cuchnącą fagorzą skórę. Zakręcił nią ponad głową i cisnął jak najdalej. Zawisała w gałęziach młodych drzewek. Zaklął rozczarowany, w głowie czuł straszliwy żar. Nigdy wrogość między człowiekiem a fagorem nie objawiła się wyraźniej, niż w owym akcie samounicestwienia kaidawa. Laintal Ay zrobił krok w stronę biegnącej mu na spotkanie Oyre. Za nią zobaczył ludzi i łany barw. Barwy wzbiły się, rozwinęły skrzydła, stały się niebiosami. Poszybował ku nim.

Przez sześć dni Laintal Ay leżał w malignie. Ciało pokrywał mu ognisty rumień. Stara Rol Sakil przychodziła nacierać go gęsim łojem. Oyre siedziała przy nim kamieniem. Aoz Roon wpadł i popatrzył nań z góry, bez słowa. Przeprowadził ze sobą Dol w widocznej już ciąży, ale nie pozwolił jej zostać. Wyszedł gładząc brodę, jakby coś sobie przypominał. Siódmego dnia Laintal Ay znowu wdział swoje mustangi i wrócił w step z głową pełną nowych pomysłów. Postawione przez nich ogrodzenie wyglądało teraz naturalniej, całe obsypane zielonymi pędami. Poza ogrodzeniem tabuny

mustangów pały się na olśniewająco barwnych pastwiskach.

– Nie poddam się – powiedział Laintal Ay do Dathki. – Skoro nie możemy jeździć na kaidawach, będziemy jeździć na mustangach. Nie są nam wrogie, jak kaidawy – mają czerwoną krew jak my. Zobaczmy, czy nie uda nam się schwytać jakiego do spółki.

Obaj byli odziani w skóry mustangów. Wybrali jednego w białe i czerwone pasy i podkradli się na czworakach. W ostatniej chwili mustang wstał i odszedł z niesmakiem. Podchodzili go wielokrotnie z różnych stron, podczas gdy reszta stada przyglądała się tej zabawie. Raz Dathka zbliżył się na tyle, że dotknął sierści zwierzęcia. Wyszczrzyło zęby i pierzchło.

Przynieśli zabraną gildzie linę i próbowali łapać zwierzaki na arkan. Ganiali za mustangami po równinie przez kilka godzin. Włazili na młode drzewa, zaczajając się wśród gałęzi z arkanem w ręku. Mustangi po sportowemu podbiegały blisko, rżąc i popychając się nawzajem, ale żaden nie zaszedł pod konary. O zmierzchu obaj byli u kresu sił i wytrzymałości nerwowej. Opodal kilka uczenie wyglądających sępów łykało wydzierane ze ścierwa kaidawa strzępy mięsa złotawej barwy, która tworzyła kontrast z ciemnymi strojami ptaków. Przybyłe wkrótce szablozory odegnały ptaszyska i teraz same wadziły się między sobą o żer. Obaj łowcy wycofali się na spoczynek do stosunkowo bezpiecznej zagrody, gdzie zjedli podpłomyki i gęsie jaja z solą i legli do snu.

Dathka pierwszy zbudził się o świcie. Z zapartym tchem uniósł się na łokciu, nie wierząc własnym oczom. W brzasku chłodnego poranka barwy dopiero wracały na świat. Osady nie było widać spoza warstwy ścielących się szarych mgieł. Ziemia tonęła w rośnym siwozielonym tumanie, typowym dla bataliksowych wschodów o tej porze roku. Nawet cztery mustangi, które ze smakiem szczypały trawę w zagrodzie, sprawiały wrażenie odlanych w cynie posągów.

Trącił butem Laintala Aya. Przeczozłgali się na brzuchach po mokrej trawie i przez cierniową barykadę. Rozradowani wstali cichutko za ogrodzeniem ściskając jeden drugiego za ramię, aby nie gruchnąć śmiechem. Niewątpliwie mustangi szukały w nocy schronienia przed szablozorami. I wpadły z deszczu pod rynnę. Dwaj łowcy dobyli noży i nacięli świeżych naręczy cierni, nie zważając na raniące ciało kolce. Łykowate krzewy cierniste rosły nawet w śniegach, dla osłony zwinawszy grona pączków liściowych w kolce. Teraz kolce rozwinęły się w rdzawozielone liście, obnażając srebrzyste haki prawdziwych cierni.

Mustangi zrobiły wyrwę w ogrodzeniu, przez którą wlażyły do środka. Bez trudu dało się załatać dziurę splecionymi gałęziami. Niebawem mieli w zamknięciu cztery zwierzaki.

Tu Laintal Ay z Dathką wdali się w spór. Dathka twierdził, że należy trzymać zwierzęta bez wody, aż osłabną i pogodzą się z niewolą. Laintal Ay drogę do sukcesu upatrywał w dokarmianiu i wiadrach wody. Ostatecznie jego metoda zwyciężyła jako pewniejsza. Wciąż jednak daleko im było do ujeżdżenia dzikich rumaków. Przez dziesięć dni pracowali ręka w rękę, sypiając nocami na ziemi w zagrodzie, a noce stawały się coraz krótsze.

Pojmanie mustangów wzbudziło sensację; przez most na Voralu tłumnie waliła cała ludność, zwabiona niezwykłym wydarzeniem. Aoz Roon z namiestnikami przychodził dzień w dzień. Oyre przyglądała się z początku, ale przestała ją to interesować, mustangi bowiem dzielnie broniły się przed zakusami kandydatów na jeźdźców. Często zaglądała Vry, przeważnie w towarzystwie Amin Lim z nowo narodzonym niemowlęciem na ręku.

Bitwa o oswojenie została wygrana dopiero po tym, jak młodzi łowcy wpadli na pomysł, aby podzielić zagrodę nowym płotem na cztery kojce. Rozłączone zwierzaki zaraz straciły ducha, osowiały zwiesiły łby i przestały skubać trawę. Laintal Ay karmił je chlebem jęczmiennym. Do tej diety dodał bełtel. Zapasy bełteli stale rosły w Wieży Prasta. Sami mężczyźni woleli teraz słodszy trutniok bądź jęczmienne wino i tradycyjny napój embruddocki wychodził z mody. Dla kobiet skutek

tego był taki, że z brassimipowego zagonu przeszły do pracy na nowych polach. Nie brakło bełteli dla czwórki mustangów.

Niewielka jego ilość z pokruszonym chlebem wystarczyła, aby pojmane zwierzęta wesoło brykały, tarzając się co krok. a później robiły się niemrawe i ospałe. Wykorzystując ich stan ospałości Laintal Ay zarzucił rzemień na szyję klaczy, którą nazwali Złotą. Dosiadł Złotej. Stawała dęba i wierzgała. Utrzymał się przez jakąś minutę. Za drugim razem wytrwał dłużej. Zwyciężył. Wkrótce Dathka siedział na Iskrze.

– Na łon boską, to jest lepsze od wygrzewania tyłka na płonących kołatkach – zawołał Laintal Ay, gdy kłusowali wokół zagrody. – Możemy jechać dokądkolwiek: do Pannowalu, do kresu łądów, do granicy mórz!

Wreszcie zsiadli, by wśród śmiechów i wzajemnych kuksańców nacieszyć się swoim wyczynem.

– Zaczekaj, niech no tylko Oyre zobaczy, jak wjeżdżam do Oldorando. Już mi się nie oprze.

– Dziwne, jak wielu rzeczom potrafią się oprzeć kobiety – powiedział Dathka.

Gdy mieli już dostateczne zaufanie do swych rumaków, przekłusowali po moście i ramię przy ramieniu wjechali do miasta. Mieszkańcy wylegli wiwatując, jakby świadomi nadejścia wielkiego społecznego przełomu. Od owego dnia wszystko miało ulec zmianie. Aoz Roon przybył z Elinem Talem i Faralinem Ferdem i wziął sobie jednego z dwóch wolnych mustangów, nazwanego przez nich Siwka. Namiestnicy wszczęli kłótnię o ostatnie zwierzę.

– Przykro mi, koledzy, ostatni jest dla Oyre – rzekł Laintal Ay.

– Oyre nie będzie jeździła na mustangu – powiedział Aoz Roon. – Daj sobie z tym spokój, Laintalu Ayu. Mustangi są dla mężczyzn... To nasza olbrzymia szansa. Dosiadając mustangów jesteśmy na równej stopie z fagorami, Chalceńczykami, Pannowalczykami i kim tam jeszcze.

Siedział okrakiem na Siwce, wzrok miał utkwiony w ziemi. Widział już dzień, kiedy powiedzie nie paru łowców, lecz całą armię... setkę. nawet dwie setki jezdnych, budzących grozę w sercach wrogów. Widział Oldorando bogatsze i bezpieczniejsze z każdym nowym podbojem. Oldorandzkie sztandary powiewające na bezkresnych równinach. Spojrzał na Laintala Aya i Dathkę, którzy stali pośrodku uliczki, z cugłami w dłoniach. Szeroki uśmiech ozdobił zmarszczkami jego ogorzałą twarz.

– Zuchy z was. Zostawmy dzień wczorajszy wczorajszym śniegom. Jako lord Embruddocku mianuję was obu lordami Zachodniego Stepu. – Pochyliwszy się uściśnął dłoń Laintalowi. – Przyjmij nową godność. Ty i twój milczący przyjaciel jesteście od dzisiaj panami wszystkich mustangów. Są wasze – ode mnie w darze. Dam wam też pomocników. Będziecie mieli obowiązki i przywileje. Jestem sprawiedliwym człowiekiem, wiesz o tym. Chcę jak najszybciej posadzić wszystkich łowców na ujeżdżonych mustangach.

– Ja chcę twoją córkę za żonę, Aozie Roonie.

Aoz Roon podrapał się w głowę.

– Weź się za mustangi. Ja wezmę się za moją córkę.

Coś zatajonego w spojrzeniu mówiło, że Aoz Roon nie zamierza popierać tej miłości; jeśli miał rywala do władzy, to nie był nim żaden z trzech usłużnych namiestników, tylko młody Laintal Ay. Połączyć go z Oyre to zwiększyć owo ciche zagrożenie. Jednak Aoz Roon był nazbyt przebiegły, aby czynnie występować przeciwko uczuciu swej nieślubnej córki. Chciał mieć zadowolonego Laintala Aya i armię jeźdźców – wojowników. Wprawdzie jego wizja w swej wspaniałości była nierealna, ale miała nadejść epoka, w której to wszystko, o dokonaniu czego marzył, zostanie dokonane przez innych, i to po stokroć. A początki tej epoki rodziły się w chwili, kiedy on i Dathka, i Laintal Ay po raz pierwszy siedli okrakiem na wełnistych grzbietach klaczy mustangów.

Ożywiany tym marzeniem Aoz Roon otrząsnął się z apatii, jaka ogarnęła go wraz z poprawą pogody, i znowu był człowiekiem czynu. On to pchnął swoich ziomków do budowy mostu – teraz przysła kolej na stajnie, zagrody i manufakturę, gdzie wyrabiano uprząż i siodła. Za wzór dla wszystkich siodeł oldorandzkich posłużyło siodło zabitej gildy, ze strzemionami o regulowanej długości. Oswojone mustangi, podobnie jak trzymane w niewoli jelenie posłużyły na wabia i z ich pomocą nałapano więcej dzikich rumaków. Wbrew protestom łowców wszyscy musieli opanować sztukę jeździecką; wkrótce każdy miał własnego mustanga. Przeminał wiek pieszych łowów.

Pojawił się wielki problem paszy. Zapędzono kobiety do obsiewania nowych pól owsem. Nawet starym ludziom przydzielono robotę na miarę ich sił. Pola otoczono płotami, żeby nie dopuścić do nich mustangów i innych szkodników. Gdy tylko przekonano się, że mustangi jedzą brassimipową mączkę – paszę z roślin, które dawały schronienie ich mumikom w mroczniejszych czasach, ruszyły wyprawy na poszukiwanie nowych zagonów brassimipy. Wszystkie te nowe procesy rozwojowe wymagały energii. Najważniejszym wynalazkiem okazał się kierat: jeden mustang chodząc mozolnie w kółko mełł całe potrzebne ziarno i kobiety zostały uwolnione od swojej odwiecznej porannej harówki. W ciągu kilku tygodni, a nawet dni, mustangowa rewolucja ruszyła pełną parą.

Oldorando stało się innym miastem. Liczba mieszkańców się podwoiła – na każdego człowieka przypadał jeden mustang. W każdej wieży na dole oprócz świń i kóz stały mustangi. W każdej uliczce szczypały trawę spętane mustangi. Na brzegach Voralu mustangi pojono i mustangami handlowano. Za bramami miasta urządzano prymitywne rodea i pokazy cyrkowe z mustangami w rolach głównych. Mustangi były wszechobecne – w wieżach, w rozmowach, w snach.

Podczas gdy rozkwitały pomocnicze rzemiosła dla zaspokojenia nowej pasji, Aoz Roon nie zaniebował planów stworzenia ze swoich łowców lekkiej kawalerii. Musztrowali się bez przerwy. Dawne cele poszły w zapomnienie. Mięso stało się rzadkością, nadzieje na obfitość mięsa wzrosły. Aby uciszyć skargi, Aoz Roon zorganizował swoją pierwszą kawaleryjską wyprawę łupieską. Lord i jego namiestnicy jako cel wybrali niewielką osadę Waniian na południowym wschodzie, w prowincji Borlien. Waniian leżało w dolinie, nad szeroko rozlanym w tym miejscu Voraitem. Od wschodu broniły go wysokie zwietrzałe urwiska skalne, podziurawione jaskiniami. Mieszkańcy przegrodzili rzekę tamą, zakładając szereg płytkich stawów, w których hodowali ryby, podstawę swego pożywienia. Niekiedy kupcy dostarczali suszone ryby do Oldorando. Licząca ponad dwie setki ludności Waniian była większa od Oldorando, ale nie miała fortec równych wieżom z kamienia. Można ją było zdobyć przez zaskoczenie.

Łupieżczy szwadron liczył trzydziestu jeden jeźdźców. Uderzyli o wschodzie Bataliksy, kiedy waniańczycy przebywali z dala od swych jaskiń, zajęci połowem ryb. Mustangi z łatwością pokonały otaczające osadę fosy i stromy wał za nimi i runęły na bezbronnych ludzi niosąc jeźdźców, którzy wydawali dzikie okrzyki i kłuli włóczniami.

W dwie godziny było po Waniian. Mężczyźni wybici do nogi, kobiety zgwałcone. Spalono chaty, podłożono ogień w jaskiniach, zburzono groble regulacyjne sztucznych stawów. Na zgliszczach urządzono ucztę na cześć zwycięstwa, żłopiąc mnóstwo miejscowego cienkusa. Aoz Roon palnął mowę wynosząc pod niebiosa swoich ludzi i ich wierzchowce. Ani jeden jeździec nie poległ, aczkolwiek waniański miecz ranił śmiertelnie mustanga. Zwycięstwo przy wielkiej przewadze liczebnej nieprzyjaciela przyszło im tak łatwo dlatego, że widok jaskrawo odzianych wojowników wjeżdżających na jaskrawych rumakach wprowadził mieszkańców osady w osłupienie. Z rozdziawionymi ustami czekali na śmiertelny cios.

Oszczędzono jedynie młodych i dzieci obojga płci. Na rozkaz zegnali oni cały żywy inwentarz i

wyruszyli w kierunku Oldorando, pędząc swoje świnie, kozy i bydło. Pod strażą sześciu kawalerzystów wybranych do eskorty, cały dzień maszerowali drogą, którą Aoz Roon i jego triumfujący namiestnicy przebyli w godzinę. Waniian okrzyknięto wielką Wiktoria. Wezwano do dalszych podbojów. Aoz Roon mocniej ujął cugle władzy i ludność dowiedziała się, że podboje wymagają wyrzeczeń. Lord wygłosił do poddanych przemówienie na ten temat, kiedy powrócił ze swą kawalerią z innego zwycięskiego wypadu.

– Nigdy więcej nie zaznamy biedy – oznajmił. Stał wzięwszy się pod boki, na rozkraczonych nogach. Za nim niewolnik trzymał cugle Siwki.

– Oldorando będzie wielkim miastem, tak jak według legend wielki był Embruddock w zamierzchłych czasach. Jesteśmy teraz jak fagory. Każdy będzie drżał ze strachu przed nami, a my będziemy się bogacili.

Weźmiemy sobie więcej ziemi i więcej niewolników do jej uprawy. Niebawem najedziemy samo Borlien. Jest nas za mało, potrzebujemy więcej ludzi. Wy, kobiety, musicie rodzić swoim mężom więcej dzieci. Wkrótce, gdy wszystkie drogi staną przed nami otworem, dzieci będą przychodzić na świat w siodle.

Wskazał nieszczęsną gromadkę jeńców pod strażą Gojdzę Hina, Myka i innych.

– Ci ludzie będą pracować dla nas, tak jak pracują dla nas mustangi. Ale przez jakiś czas wszyscy musimy pracować ze zdwojonym wysiłkiem i jeść mniej, aby się to wszystko ziściło. Nie chcę słyszeć żadnych narzekań. Tylko bohaterowie zasługują na wielkość, która wkrótce stanie się naszym udziałem.

Dathka podrapał się w udo i uniósłszy jedną brew popatrzył na Laintalę Aya.

– Aleśmy piwa nawarzyli.

Laintala Aya porwał jednak entuzjazm. Bez względu na swój stosunek do Aoza Roona uważał, że starszy mężczyzna powiedział wiele słów prawdy. Zaiste nie było nic równie podniecającego, jak gnać na grzbiecie mustanga, w zespoleniu z żywym jak iskra zwierzęciem, czuć pęd powietrza na policzku i słyszeć dudnienie uciekającej spod kopyt ziemi. Nic tak cudownego nigdy nie wymyślono, z jednym wyjątkiem. Przygarnął do siebie Oyre.

– Słyszałaś, co mówił twój ojciec. Dokonałem wielkiej rzeczy, jednej z największych w historii. Oswoiłem mustangi. Tego właśnie chciałaś, prawda? Teraz musisz być moja.

Ale Oyre go odepchnęła.

– Śmierdzisz mustangami, jak mój ojciec. Od swojej choroby nigdy nie mówisz o niczym innym, tylko o tych głupich stworzeniach, przydatnych jedynie na skóry. Ojciec gada wciąż o Siwce, ty w kółko o Złotej. Zrób coś, żeby życie było lepsze, a nie gorsze. Nawet gdybym została twoją żoną, i tak byśmy się nie widywali, bo jeździsz gdzieś przez całe noce i dni. Wy, mężczyźni, dostaliście bzika na punkcie mustangów.

Większość kobiet myślała tak jak Oyre. One ponosiły smutne konsekwencje mustangomanii, nie dzielając jej uciech. Zmuszone do pracy na polach, nie spędzały już mile sennych popołudni na zebraniach akademii. Jedna Shay Tal zainteresowała się bliżej tymi zwierzętami. Tabuny dzikich mustangów były teraz mniej liczne niż na początku. Poznawszy w końcu strach wywędrowały ku nowym pastwiskom na zachodzie i południu, aby uniknąć niewoli lub rzezi. Wtedy to Shay Tal wpadła na pomysł hodowli zarodowej, poprzez stanowienie klaczy. W sąsiedztwie piramidy króla Dennissa założyła stadninę, w której niebawem zaczęły się rodzić źrebaki. Otrzymała rasę domowych i łagodnych zwierząt, łatwych w szkoleniu do najprzeróżniejszych robót. Jednej z najlepszych klaczy nadała imię Wierna. Wszystkimi źrebakami opiekowała się bardzo troskliwie, lecz najwięcej serca okazywała Wiernej. Wiedziała, że teraz trzyma jakby na postronku swoją szansę opuszczenia

Oldorando i dotarcia do dalekiego Sibornalu.

XI. ODCHODZI SHAY TAL

W słońcu i w deszczu rozrosło się Oldorando. Zanim zapracowani mieszkańcy zdali sobie z tego sprawę, przeszło rzekę Voral, przeskoczyło jej bagniste dopływy na północy, rozciągnęło się po corrale na stepie i brassimipowe zagony wśród niewysokich pagórków. Stały kolejne mosty. Już nie tak heroiczne jak pierwszy. Cechy na nowo odkryły sztukę tarcia bali, pojawili się cieśle – zarówno spośród ludzi wolnych, jak niewolników – dla których łuki, połączenia i przyczółki niewiele miały tajemnic.

Za mostami założono i ogrodzono pola uprawne, pobudowano chlewnie dla świń i kojce dla gęsi. Trzeba było na gwałt zwiększyć produkcję żywności, aby wykarmić rosnące pogłowie udomowionych musłangów i niewolników niezbędnych do uprawy dodatkowych pól. Wokół i wśród pól wzniesiono przy starych uliczkach Embruddocku nowe wieże mieszkalne dla niewolników i ich dozorców. Wieże stawiano metodą opracowaną w akademii, z glinianych cegieł w miejsce kamienia i wznosząc je tylko na dwa piętra zamiast pięciu. Co jakiś czas ulewne deszcze rozmywały ich mury. Oldorandczycy nie przejęli się tym zbyt, skoro w nowych murach mieszkali sami niewolnicy. Za to przejęli się tym niewolnicy i udowodnili, że można zabezpieczyć i zachować lepianki w nienaruszonym stanie nawet podczas największej nawałnicy, stosując nawisowe strzechy ze słomy po skoszonych łąkach zbóż. Dalej niż pola i nowe wieże biegły jedynie szlaki patrolowe kawalerii Aoza Roona. Oldorando było nie tylko miastem, lecz i obozem warownym. Nikt nie wszedł ani nie wyszedł stąd bez pozwolenia, z wyjątkiem dzielnicy handlowej, powstającej na południowych przedmieściach, potocznie zwanej Pauk.

Na każdego dumnego wojownika dosiadającego grzbietu wierzchowca sześć ludzkich grzbietów musiało się zginać przy pracy w polu. Ale plon zbierano dobry. Po długim odpoczynku ziemia rodziła obficie. Wieża Prasta w zimnych czasach była składem najpierw soli, później bełtelu; teraz składowano w niej zboże. Na klepisku pod wieżą kobiety z niewolnikami pracownicy oczyszczały olbrzymią górę ziarna z plew. Niewolnicy szufłowali ziarno za pomocą drewnianych łopat, kobiety machały rozpiętymi na ramach skórąmi, odwiewając plewy. Gorąco było przy tej robocie. Skromność poszła w ką. Kobiety, przynajmniej co młodsze, zrzuciły swoje sztywne kubraki i pracowały z gołymi piersiami.

Kurzyło się jak z komina. Drobną pył osiadał na spoconej skórze kobiet, pudrując twarze i przydając aksamitności ciałom. Wzbijał się w powietrze i wisiał nad tą sceną wyzłoconym w promieniach słonecznych obłokiem, zanim rozproszony nie opadł gdzieś indziej, tłumiąc kroki na schodach, smużąc liście.

Nadjechali Tanth Ein z Faralinem Ferdem, tuż za nimi Aoz Roon i Elin Tal, a dalej Dathka z gromadą młodszych łowców. Wracali z polowania, ubiwszy kilka jeleni. Przez chwilę nie schodzili z siodeł, z lubością podglądając zapracowane kobiety. Uwijające się wśród nich małżonki trzech namiestników puszczały mimo uszu żartobliwe zaczepki swoich panów. Wachlarze owiewały ziarno, mężczyźni pożądliwie wychylali się do przodu w siodłach, plewy i pył szybowwały pod niebo jak cętki na słonecznym blasku.

Ukazała się idąca powoli, brzemienna Dol i stary fagor Myk, który obok pędził jej gęsi. Szła w towarzystwie Shay Tal, jakby chudszej niż zwykle przy brzuchatej dziewczynie. Na widok lorda Embruddocku i jego świty obie przystanąły, zerkając na siebie.

– Nic nie mów Aozowi Roonowi – ostrzegła Shay Tal przyjaciółkę.

– Akurat teraz jest ustępliwy – powiedziała Dol. – Cieszy się na syna.

Podeszła do samego boku Siwki. Aoz Roon spojrział na nią bez słowa. Klepnęła go w kolano.

– Kiedyś mieliśmy tu kapłanów, by błogosławili plony w imię Wutry. Kapłani błogosławili też nowo narodzone dzieci. Kapłani otaczali opieką wszystkich – i mężczyzn, i kobiety, i tych na górze, i tych na dole. Są nam potrzebni. Nie mógłbyś upolować nam paru kapłanów?

– Wutra! – Aoz Roon splunął w kurz.

– To nie jest odpowiedź.

Szybujący w powietrzu złocisty pył siadał mu na czarnych brwiach i rzęsach, spod których przeniósł posępne spojrzenie poza Dol, tam gdzie stała Shay Tal, na jej mroczną twarz, pustą jak uliczka wiodąca donikąd.

– Nagadała ci, co? Cóż ty wiesz i co cię obchodzi Wutra? Wielki Juli wyrzucił go na zbity pysk, a nasi pradziadowie wyrzucili kapłanów. To są darmozjady. Dlaczego my jesteśmy silni, a Borlien słabe? Bo nie mamy kapłanów. Nie zwracaj sobie i mnie głowy tymi głupstwami.

Dol zrobiła nadąsaną minę.

– Shay Tal powiada, że mamiki są zagniewane przez to, że nie mamy kapłanów. Prawda, Shay Tal?

Błagalnie obejrzała się na starszą kobietę, która wciąż stała nieporuszona.

– Mamiki są zawsze zagniewane – rzekł Aoz Roon, odwracając głowę.

– Skikają tam w dole jak pchły w worku – przytaknął Elin Tal, ze śmiechem wskazując na ziemię. Duży był z niego chłop, rumiany, i kiedy się śmiał, drgały mu policzki. To on stawał się coraz bliższym druhem Aoza Roona, zaś pozostali namiestnicy jakby schodzili na dalszy plan. Shay Tal zrobiła krok naprzód.

– Mimo tej całej pomyślności, Aozie Roonie, my, oldorandzycy, wciąż jesteśmy podzieleni. Nie tego pragnął Wielki Juli. Może kapłani przyczyniliby się do większej jedności naszej wspólnoty.

Popatrzył na nią z góry, po czym powoli zlął ze swego mustanga i stanął naprzeciw niej. Odsunął Dol na bok.

– Jeśli uciszę ciebie, uciszę i Dol. Nikt nie chce powrotu kapłanów. Ty jedna chcesz, żeby wrócili, bo podsyciliby twoją własną żądzę wiedzy. Wiedza to luksus. Mnoży darmozjadów. Wiesz o tym, ale taka z ciebie uparta cholera, że nie popuścisz. Głoduj sobie do woli, ale reszta Oldorando pławi się, jak widzisz, w dostatku. Pławimy się w dostatku bez kapłanów, bez twojej wiedzy.

Twarz Shay Tal skurczyła się.

– Nie pragnę wojny z tobą, Aozie Roonie – powiedziała cichym głosem. – Mam jej powyżej uszu. Ale mówisz nieprawdę. Powodzi nam się częściowo dzięki zdobyciom wiedzy. Mosty, domy – to dała ludziom akademia.

– Nie drażnij mnie, kobieto.

Ze wzrokiem utkwionym w ziemi rzekła:

– Wiem, że mnie nienawidzisz. Wiem, że z tego powodu został zabity mistrz Datnil.

– Ja nienawidzę tylko podziału, nieustannego podziału – ryknął Aoz Roon. – Utrzymujemy się i zawsze utrzymywaliśmy się przy życiu wspólnym trudem.

– Ale rozwijać się możemy tylko dzięki indywidualnym zdolnościom – odparła Shay Tal.

Policzki jej poblady, jemu zaś krew napłynęła do twarzy. Zatoczył gwałtownie ręką.

– Rozejrzyj się wokół siebie, w imię Juliego! Przypomnij sobie, jak wyglądało to miasto, kiedy byłaś dzieckiem. Spróbuj zrozumieć, jak wspólnym wysiłkiem uczyniliśmy je takim, jakie jest teraz. Nie wmawiaj mi w żywe oczy, że jest inaczej. Spójrz na kobiety moich namiestników – pracują ze wszystkimi, aż im się cycki majtają. Dlaczego ciebie nigdy nie ma wśród nich? Wiecznie na uboczu, wiecznie niezadowolona, wiecznie tylko psioczysz.

– Nie ma czym majtać – uśmiechnął się pod wąsem Elin Tal. Jego uwaga była pomyślana ku ciesze przyjaciół, Tantha Eina i Faralina Ferda, ale dotarła również do bystrych uszu młodych łowców, a ci gruchnęli szyderczym śmiechem – wszyscy oprócz Dathki, który siedział milczący, przygarbiony w swym siodle, bacznie przypatrując się aktorom tej krótkiej odsłony dramatu. Shay Tal też podchwyciła słowa Elina Tala. Ukłuły ją tym bardziej, że był jej dalekim krewnym. Oczy rozbłyły jej łzami i oburzeniem.

– Dość tego! Nie będę dłużej znosić zniewag od ciebie i twoich przyjaciół. Nie będę ci się dłużej naprzykrzać. Nigdy więcej nie będę się z tobą spierać. Po raz ostatni mnie widzisz, ty tępogłowy i podły kacyku od siedmiu boleści – i od tej twojej cielnej krowy kochanicy! Jutro o wschodzie słońca na zawsze opuszczam Oldorando. Odejdę sama, odjadę na mej Wiernej, i więcej mnie nie zobaczycie.

Aoz Roon podniósł dłonie wymownym gestem.

– Nikt nie opuszcza Oldorando bez mojego pozwolenia. Nie odejdziesz stąd, dopóki nie padniesz mi do nóg, błagając o pozwolenie.

– Przekonamy się rano – rzuciła zimno Shay Tal. Obróciła się na pięcie i zebrawszy fałdy luźnego czarnego futra odmaszerowała w stronę północnej bramy. Dol pokraśniała na twarzy.

– Puść ją, Aozie Roonie, wypędź ją. Nic tu po niej. Cielna krowa, dobre sobie, ty sucha szczapo!

– Nie wtrącaj się. Załatwię to po swojemu.

– Pewnie każesz ją zabić, jak innych. Uderzył ją w twarz, lekko i na odczepnego, nie spuszczać oczu z sylwetki odchodzącej Shay Tal.

Pora była nocna, godzina snu dla wszystkich, mimo nisko płonącej na niebie Bataliksy. I chociaż niewolnicy wiercili się w majakach półdziennego snu, to niejeden wolny o tej porze był jeszcze na nogach.

W izbie na szczycie Wielkiej Wieży zebrała się w komplecie rada złożona z mistrzów siedmiu starych cechów i dwóch nowych, młodszych mistrzów siodlarzy i rymarzy oraz pasamoników. Przybyli też trzej namiestnicy Aoza Roona i jeden z jego lordów Zachodniego Stepu – Dathka. Lord Embruddocku przewodniczył zgromadzeniu, a służebne dziewczki bez ustanku napełniały drewniane kubki trutniokiem bądź cienkim piwem. Po długiej dyskusji głos zabrał Aoz Roon.

– Ingsanie Atrayu, czekamy na twoją opinię w tej sprawie.

Zwracał się do sędziwego mistrza z siwą brodą, który rządził cechem wyrobników metali, a jak dotąd jeszcze nie powiedział ani słowa. Lata przygięły plecy Ingsana Atraya i pobielły mu skąpe włosy, podkreślając szerokość łysej czaszki, z której to powodu uchodził za mędrca. Dużo się uśmiechał, jak miał w zwyczaju, chociaż jego oczy, przysłonięte pomarszczonymi powiekami, niczego nie przegapiły. Teraz też się uśmiechnął, wygodnie rozparty na stosie skór, którymi specjalnie dla niego wymoszczono posadzkę.

– Lordzie Embruddocku – rzekł – cechy embruddockie tradycyjnie stoją po stronie kobiet. W końcu kobiety to nasze ręce do pracy, kiedy łowcy bawią w terenie, no i tak dalej. Oczywiście, czasy się zmieniają, tu zgadzam się z tobą. Inaczej było w czasach lorda Walia Eina. Ale kobiety są również piastunkami wiedzy. Nie mamy ksiąg, lecz kobiety uczą się na pamięć i przekazują z pokolenia na pokolenie legendy plemienne, o czym można się przekonać, ilekroć opowiadamy Wielką Opowieść w dniach uroczystości...

– Do rzeczy, proszę, Ingsanie Atrayu...

– Ach, właśnie zmierzałem do tego, zmierzałem do tego. Z tej naszej Shay Tal to może i trudny

człowiek, czarodziejka i kobieta uczona, ciesząca się wielkim rozgłosem. Nie robi nic złego. Jeśli odejdzie, pójdą za nią inne kobiety, no i tak dalej, i to będzie nasza strata. My, mistrzowie, przychyłamy się do opinii, że słusznie zakazałeś jej odejścia.

– Oldorando to nie więzienie! – zawołał Faralin Ferd.

Aoz Roon zbył go kiwnięciem głowy i powiódł wzrokiem wokoło.

– Zwołaliśmy zebranie, ponieważ moi namiestnicy nie zgadzali się ze mną. Kto zgadza się z moimi namiestnikami?

Pochwycił spojrzenie Raynila Layana, nerwowo szarpiącego swą widlastą brodę.

– Mistrzu cechu garbarzy, ty zawsze lubisz zabierać głos – co nam powiesz?

– Jeśli o to chodzi... – Raynil Layan machnął z lekceważeniem ręką. – Sęk raczej w tym, jak zapobiec odejściu Shay Tal. Z łatwością może się wymknąć, jeśli taka jej wola. Istnieje też uniwersalna zasada... Inne kobiety pomyślą... Otóż nie chcemy niezadowolenia wśród kobiet. Ale jest przecież Vry, na przykład, druga rozumna kobieta, a przy tym ładna, no i nie sprawia żadnych kłopotów. Gdybyś zrewidował swoją decyzję, zaskarbiłbyś sobie wdzięczność wielu...

– Wal bez ogródek i nie cackaj się ze słowami – rzekł Aoz Roon. Jesteś teraz mistrzem, tak jak pragnąłeś, i nie musisz się przed nikim płaszczyć.

Nikt nie zabierał głosu. Aoz Roon mierzył ich wściekłym wzrokiem. Unikali jego spojrzenia, kryjąc gęby w kubkach. Odezwał się Eline Tal:

– Czym my się przejmujemy? Co nam za różnica? Niech sobie idzie.

– Dathka! – warknął lord. – Może nas dzisiaj zaszczycisz choćby jednym słowem, skoro nie pokazał się twój przyjaciel Laintal Ay?

Dathka odstawił kubek i spojrzał Aozowi Roonowi prosto w oczy.

– Całą tę dyskusję, tę gadaninę o zasadach... uważam za brednie. Wszystkim nam wiadomo, że ty i Shay Tal prywatnie macie ze sobą na pieńku. Sam więc decyduj, co zrobić. Wyrzuć ją na zбитy łeb, skoro masz okazję. Po co nas w to mieszasz?

– Bo to dotyczy was wszystkich! – Aoz Roon wyrzwał pięścią w podłogę. – Na kamień, dlaczego ta baba tak się zawzięła na mnie... na nas wszystkich? Nie rozumiem. Co za parszywy robak toczy jej szleje? Ma tę swoją akademię, czy nie? Uważa się za spadkobierczynię długiej linii intrygantek... Loilanun, Loily Bry, która została żoną Małego Juliego... Ale dokąd ona pójdzie? Co się z nią stanie?

Wyrzucał z siebie te pytania jakoś bez ładu i składu. Nikt mu nie odpowiedział. Dathka zrobił to już za nich, choć w skrytości byli zaszokowani jego słowami. Aoz Roon nie miał nic więcej do powiedzenia. Zakończył zebranie. Wymykającego się Dathkę złapał za rękaw Raynil Layan.

– Chytrą mowę wygłosiłeś – szepnął. – Po usunięciu Shay Tal ta, na którą masz ochotę, stanie na czele akademii, no nie? Wówczas potrzebne jej będzie twoje poparcie...

– Chytróść pozostawiam tobie, Raynilu Layanie – powiedział Dathka, wyszarpując rękę. – Tylko nie wchodź mi w drogę.

Bez trudu odnalazł Laintala Aya. Mimo późnej pory Dathka wiedział, dokąd się udać. W swej rozwalonej wieży Shay Tal pakowała manatki w otoczeniu licznych przyjaciół, którzy przybyli ją żegnać. Była Amin Lim z dzieckiem i Vry, i Laintal Ay z Oyre, i jeszcze parę innych kobiet.

– No i jaki wyrok? – spytał Laintal Ay, podchodząc do niego na stronie.

– Nijaki.

– Nie zatrzyma jej, jeśli ona nie zmieni zdania?

– Zależy, ile wypiją, on i Eline Tal, i reszta bandy... no i jeszcze ten podły lizus Raynil Layan.

– Ona nie jest już młoda, Dathka. Czy powinniśmy ją puścić?

Dathka wzruszył ramionami, uciekając się do jednego ze swych ulubionych gestów, zerkając przy tym na Vry i Oyre, które w pobliżu nadstawiwały uszu.

– Odejdźmy z Shay Tal, zanim Aoz Roon nas pozabija – ja jestem gotów, jeśli te dwie panny pójdą z nami. Udamy się do Sibornalu, całą gromadką.

– Mój ojciec nigdy nie zabije ciebie ani Laintala Aya – wtrąciła Oyre. – Pleciesz i tyle, obojętne co było w przeszłości.

Dathka znowu wzruszył ramionami.

– Jesteś gotowa ręczyć za jego czyny po odejściu Shay Tal? Czy możemy mu zaufać?

– Tamto minęło i nie wróci – rzekła Oyre. – Ojciec ustatkował się, jest już szczęśliwy z Dol i nie kłóć się tyle, co kiedyś – nie teraz, gdy ona spodziewa się dziecka.

– Oyre – powiedział Laintal Ay – świat jest długi i szeroki. Odejdźmy z Shay Tal, jak radzi Dathka, i zacznijmy nowe życie. Zabierz się z nami, Vry, tutaj nie będziesz bezpieczna bez wsparcia Shay Tal.

Vry dotąd milczała. Swoim zwyczajem trzymała się na uboczu, jakby jej w ogóle nie było, teraz jednak rzekła stanowczo:

– Ja nie mogę stąd odejść. Pochlebia mi twoja, Dathko, miła propozycja, ale ja muszę zostać bez względu na to, co robi Shay Tal. Moja praca przynosi wreszcie owoce, co mam nadzieję niebawem ogłosić.

– Ciągłe nie możesz znieść mojego towarzystwa, prawda? – powiedział z ponurą miną.

– Och, byłabym o czymś zapomniała – rzekła słodko. Odeszła unikając zaszępienia wzroku Dathki i precyzyjnie się między kobietami do Shay Tal.

– Musisz wymierzyć cały dystans, Shay Tal. Nie zapomnij. Każ niewolnikowi codziennie zliczać kroki mustanga w ustalonym kierunku. Zapisuj dane co wieczór. Ustal odległość do krainy Sibornalu. Jak najdokładniej.

Shay Tal patetycznie królowała wśród paplaniny i szlochów wypełniających izbę. Ilekroć zwracano się do niej, jej jastrzębie oblicze pozostawało nieprzeniknione, jak gdyby duchem była już daleko. Mówiła niewiele i owo niewiele wypowiadała beznamiętnie.

Równie beznamiętnie Dathka popatrzył na ściany, na zawile desenie porostów. W końcu spojrzął na Laintala Aya i kiwnął na niego wskazując dyskretnie drzwi. Kiedy Laintal Ay pokręcił głową, Dathka skrzywił się, jak to on, i wyszedł cichaczem

– Szkoda, że kobiet nie można tresować tak jak mustangi – rzucił na odchodne.

– On ma duszę tak samo szpetną jak gębę – rzekła Oyre ze wzgardą. Razem z Vry zaciągnęły Laintala Aya do kąta i szeptem zaczęły mu tłumaczyć: Nie wolno dopuścić do odejścia Shay Tal jutro rano, musi im pomóc w przekonaniu Shay Tal, żeby zaczekała do następnego dnia.

– Nonsens. Skoro chce jechać, to niech jedzie. Chyba nie będziemy tego wałkować od początku. Najpierw wy nie chcecie odejść, teraz nie chcecie, żeby ona odeszła. Hen za palisadą jest świat, o którym nie macie zielonego pojęcia.

Spokojnie zdjęła z niego jakąś słomkę po mustangu.

– Tak, świat podbojów. Wiem... w kółko o nim słyszę od ojca. Chodzi o to, że jutro będzie zaćmienie.

– To rzecz powszechnie wiadoma. Minął rok od ostatniego.

– Jutrzejsze będzie trochę inne, Laintalu Ayu – rzekła ostrzegawczo Vry. – My tylko chcemy, aby Shay Tal przełożyła swoje odejście. Jeśli odejdzie w dniu zaćmienia, ludzie skojarzą te dwa fakty. Podczas gdy my wiemy, że nie ma między nimi związku.

Laintal Ay zmarszczył, czoło.

– I co z tego?

Popatrzyły na siebie z zakłopotaniem.

– Uważamy, że jeśli odejdzie jutro, może to sprowadzić na nas nieszczęście.

– Ha! Więc jednak uważacie, że jest jakiś związek... Typowo babska logika! Skoro taki związek istnieje, to chyba nie ma żadnego sposobu, aby go uniknąć?

Oyre zakryła twarz w przesadnym oburzeniu.

– Męska logika... Każdy wykręt dobry, aby nic nie robić, prawda?

– Wy, jędze, zawsze wściubiacie nosy w nie swoje sprawy.

Obrażone zostawiły go w kącie i z powrotem wmieszały się w tłumek otaczający Shay Tal. Stare kobiety trajkotały jak najęte, gadając o cudzie na Rybim Jeziorze, gadając obłudnie, patrząc obłudnie, czy ich wspominki docierają do zaaferowanej Shay Tal, która niczym nie zdradzała ani tego, że je słyszy, ani że widzi.

– Wyglądasz na porządnie znudzoną życiem – zauważyła Rol Sakil. – Może po dotarciu do tego Siboralu wyjdiesz za mąż i będziesz żyła szczęśliwie, o ile mężczyźni są tam zbudowani tak jak tutaj.

– Może tam są zbudowani lepiej – odparła wśród chichotów któraś z bab. Prześcigały się w propozycjach rozmaitych ulepszeń. Shay Tal dalej pakowała się bez uśmiechu. Rzeczy miała niewiele. Zebrała je w końcu do dwóch skórzanych worków i zwróciła się do tłumku kobiet w izbie z prośbą, aby sobie poszły, gdyż pragnie odpocząć przed podróżą. Podziękowała im za przybycie, pobłogosławiła i obiecała, że ich nigdy nie zapomni. Złożyła pocałunek na czole Vry. Po czym przyzwała do siebie Oyre i Laintala Aya. Ująwszy dłoń Laintala Aya w swych szczupłych dłoniach, spojrzała mu w oczy z niezwykłą czułością. Przemówiła dopiero wówczas, gdy wszyscy prócz Oyre opuścili izbę.

– Bądź ostrożny we wszystkim, co robisz, ponieważ jesteś za mało samolubny, za mało troszczysz się o siebie samego. Rozumiesz, Laintalu Ayu? Cieszę się, że nie walczyłeś o władzę, którą masz prawo uważać za swoje dziedzictwo, a która nie przyniosłaby ci nic prócz żalości. – Zwróciła pełną powagi twarz do Oyre. – Jesteś mi droga, bo wiem, jak droga jesteś Laintalowi Ayowi. Na pożegnanie przyjmij ode mnie radę: jak najszybciej zostań jego żoną. Nie wyznaczaj ceny na swoje serce, jak uczyniłam to ja, jak uczynił ongiś twój ojciec – to droga ku nieuchronnej zgubie, co pojmujemy poniewczasie. Byłam zbyt dumna za młodu.

– Nie jesteś zgubiona. Masz jeszcze dość dumy w sobie – powiedziała Oyre.

– Można być i zgubioną, i mieć w sobie dumę. Zważ, co mówię ja, która rozumiem twoje opory. Laintal Ay jest mi niemal synem i nigdy nie będę miała innego. On cię kocha. Kochaj go – nie tylko duszą, ale i ciałem. Ciała są po to, żeby płonęły w ogniu, nie wędziły się w dymie.

Spojrzała w dół na swoje własne wyschnięte ciało i skinęła im na pożegnanie. Zachodziła Bataliksa, zapadała prawdziwa noc.

Kupcy przybywali do Oldorando coraz liczniej i ze wszystkich stron świata. Cenną sól przywożono z północy i z południa, często kozią karawaną. Regularny szlak handlowy biegł teraz przez step od Oldorando na zachód, wydeptany przez kupców z Kace, którzy sprowadzali przedmioty zbytku, takie jak klejnoty, szkło barwione, zabawki, instrumenty muzyczne błyszczące jak srebro oraz trzcinę cukrową i owoce; od handlu wymiennego woleli pieniądze, którego Oldorando nie miało, więc jako zapłatę przyjmowali zioła, skóry futerkowe, zamsz i zboże. Niekiedy kaceńczycy używali kołatków jako zwierząt jucznych, ale w miarę ocieplania się klimatu zwierzęta te występowały coraz rzadziej. Nadal ścigali kupcy i kapłani z Borlien, chociaż z dawien dawna pozostał w nich strach

przed podstępny sąsiadem z północy. Na sprzedaż mieli broszury i karty z wierszowanymi opowieściami grozy, a także garnki i patelnie ze szlachetnych stopów metali. Przeróżnymi drogami ze wschodu ciągnęli liczni kupcy, a czasami i karawany. Czarnoskórzy mali mężczyźni z grupami niewolnych Madisów lub fagorów kursowali regularnie po trasach, na których Oldorando było zaledwie krótkim postojem na szlaku. Sprzedawali misternej roboty biżuterię i ozdoby, za którymi szalały oldorandzkie kobiety. Chodziły słuchy, że niektóre z nich zabierały się w dalszą drogę z czarnymi mężczyznami, a pewne było, że ci ludzie wschodu handlowali młodymi Madiskami, które ogniste i cudnej urody więdły jednak zamknięte w wieży. Mimo złej sławy tolerowano owych handlarzy ze względu na ich towary – nie tylko ozdoby, ale i tkane kobierce, dywany, gobeliny, szale, jakich Oldorando nigdy jeszcze nie widziało.

Wszyscy ci podróżni potrzebowali kwater. Ich obozowiska stały się plagą. Niewolnicy oldorandcy w pocie czoła wzniesli osobne miasteczko w cieniu południowych wież, szyderczo nazwane Pauk. Tu odbywał się cały handel, tu w sąsiedztwie stajni i karczem, w wąskich zaułkach handlarze skór i inni kupcy załatwiali swoje interesy, przez jakiś czas bowiem nie mieli prawa wstępu do właściwego Oldorando. Ich szeregi jednak rosły i niektórzy osiedlali się w mieście, przenosząc tam swoją profesję i swoje grzechy. Oldorandzcy również uczyli się sztuki handlowania. Nowi kupcy stawali przed Aozem Roonem z petycjami o specjalne przywileje, łącznie z prawem bicia monety. Sprawa ta zaprzętała ich umysły daleko bardziej niż jakiegokolwiek problemy z akademią, którą uważano za stratę czasu.

Grupa takich oldorandzkich kupców w liczbie sześciu, wygodnie rozpartych w siodłach, wracała do Oldorando z udanej wyprawy. O wschodzie Freyra zatrzymali mustangi na wzgórzu od północy, w pobliżu brassimipowego zagonu, skąd widać było skraj miasta w szarówce chłodnego świtu. W nieruchomym powietrzu dolatywały do nich głosy z oddali.

– Patrzenie – wykrzyknął jeden z młodszych kupców, osłaniając oczy. – Jakieś zamieszanie pod bramą. Lepiej jedźmy inną drogą.

– Chyba nie fugasy, co?

Wszyscy wyteżyli wzrok. Widać było gromadę ludzi, mężczyzn i kobiet, wysypujących się z miasta. Za bramą część z nich niezdecydowanie przystanąła, powodując rozdział na dwie grupy. Reszta podążała dalej.

– To nic poważnego – stwierdził młody kupiec i spiął mustanga ostrogami. W Embruddocku miał kobietę, a w kieszeni nową błyskotkę dla niej, i bardzo spieszył się na spotkanie. Odejście Shay Tal nic dla niego nie znaczyło. Wkrótce weszła Bataliksa, doganiając swego towarzysza na niebie.

Zięb, blady świt z deszczem wiszącym w powietrzu, dreszcz przygody, ona sama, wszystko wydawało jej się nierealne. W milczącym pożegnaniu przycisnęła do piersi Vry, nie czując żadnego wzruszenia. Usłużna niewolnica Maysa Latra pomogła jej znieść na dół skromny dobytek. Pod wieżą, trzymając za cugle dwa mustangi, swojego i Shay

Tal, czekała Amin Lim, z wielkim smutkiem żegnająca męża i maleńkie dziecko; oto – pomyślała Shay Tal – poświęcenie większe niż moje. Ja się cieszę, że odchodzę. Dlaczego Amin Lim idzie ze mną, nigdy się nie dowiem. Ale poczuła przyływ sympatii do przyjaciółki – sympatii i zarazem pewnego lekceważenia.

Odchodziły z nią cztery kobiety; Maysa Latra, Amin Lim oraz dwie młode uczennice, gorliwe adeptki akademii. Wszystkie na mustangach i w towarzystwie niewolnika, rzezańca Hamadranabaila, który pieszo wiódł dwa juczne mustangi i parę ostrych psów myśliwskich w kolczastych obrozach. Orszak ten odprowadzały kobiety i kilku starszych mężczyzn, wykrzykując słowa pożegnania, a nawet

rady, poważne lub żartobliwe – co komu przyszło do głowy.

Laintal Ay i Oyre, blisko siebie, ale jakby nie widząc się nawzajem, czekali w bramie, żeby po raz ostatni rzucić okiem na Shay Tal. Pod bramą tkwił w swym czarnym futrze Aoz Roon we własnej osobie, z założonymi rękami, z brodą opuszczoną na piersi. Przy nim Siwkę trzymał Eline Tal, który tym razem nie wyglądał weselej niż jego lord. Za swoim milczącym przywódcą stali gromadą mężczyźni, poważni, dłonie wsunąwszy pod pachy.

Aoz Roon wskoczył na siodło natychmiast po przejeździe Shay Tal i ruszył stępą nie za nią, tylko obok gościńca, nieco ukosem. Jadąc tak oboje musieliby się spotkać w miejscu oddalonym o kawałek drogi, na skraju lasu. Zanim dotarł do tego miejsca, Aoz Roon odbił od gościńca, obierając niemal równoległą trasę pomiędzy drzewami. Kobięca kawalkada Lłkającą bezgłośnie Amin Lim na czele podążała spokojnie gościńcem. Ani Aoz Roon, ani Shay Tal nie próbowali zagadnąć się czy choćby spojrzeć na siebie.

Freyr jeszcze nie wyszedł zza chmur poranka, toteż świat był nadal wyprany z barw. Grunt podnosił się, gościniec zwężał, drzewa rosły coraz gęściej. Potem grunt opadł i zjechali na bezdrzewne, grząskie dno kotliny, Żaby uskakiwały z chlupotem przed nadciągającą kawalkadą. Mustangi powoli brnęły p zez mokradła, z obrzydzeniem nurzając kopyta i wzbijając żółty muł, który mącił lustro wody. Las na drugim brzegu moczaru zmusił jeźdźców do zwarcia szyków. Jak gdyby dopiero teraz zauważając Aoza Roona, Shay Tal zawołała dzwicznym głosem:

– Nie musisz nas ścigać.

– Konwojuję panią, nie ścigam. Wyprowadzam bezpiecznie z Oldorando. Ten zaszczyt słuszenie się pani należy.

Na tym zakończyli rozmowę. Posuwając się dalej, wjechali na porośnięte chaszczami wzniesienie. Od jego szczytu mogli podążać wygodnym szlakiem kupców wiodącym w kierunku północno-wschodnim do Chalce i dalekiego Sibornalu – jak dalekiego, tego nikt nie wiedział. Na opadającym za granią stoku znowu zaczynał się las. Aoz Roon pierwszy osiągnął grań i zatrzymał się tam z posępną miną, ustawivszy Siwkę wzdłuż grzbietu, przez który przejeżdżały kobiety. Shay Tal zawróciła Wierną i z jasną, pogodną twarzą podjechała mu na spotkanie.

– Ładnie z twojej stopy, że pofatygowałeś się taki kawał drogi.

– Życzę bezpiecznej podróży – odparł sztywno, wciągając brzuch i prostując się w siodle. – Zauważ, że nie próbujemy przeszkodzić ci w odejściu.

Jej głos złagodniał.

– Nigdy już się nie zobaczymy, umarliśmy od dziś dla siebie. Czyżbyśmy zniszczyli sobie nawzajem życie, Aozie Roonie?

– Nie wiem, o czym mówisz?

– Wiesz, dobrze wiesz. Od małości skakaliśmy sobie do oczu. Rzeknij mi słówko, przyjacielu, na pożegnanie. Nie unos się dumą, jak ja zawsze czyniałam; nie w takiej chwili.

Zacisnąwszy szczęki spoglądał na nią w milczeniu.

– Proszę cię, Aozie Roonie, jedno szczere słowo na pożegnanie. Wiem aż za dobrze, że powiedziałaś ci „nie” o jeden raz za dużo.

Kiwnął głową.

– Masz swoje szczere słowo.

Obejrzała się nerwowo, po czym pchnęła Wierną krok bliżej, aż ich mustangi zetknęły się bokami.

– Teraz, gdy odchodzę na zawsze, powiedz mi przynajmniej, że w głębi serca żywisz do mnie to samo uczucie, co kiedyś, gdy byliśmy młodzi.

Parsknął śmiechem.

– Zwariowałaś. Nigdy nie patrzyłaś realnie na świat. Byłaś zbyt pochłonięta sobą. Teraz nie żywię do ciebie żadnego uczucia, ani ty do mnie, tylko ty boisz się spojrzeć prawdzie w oczy.

Wyciągnęła do niego ręce, lecz cofnął się, szczerząc zęby niczym pies.

– Kłamstwo, Aozie Roonie, wierutne kłamstwo! Zdobądź się chociaż na gest... zdobądź się, ty okrutniku, na pożegnalny pocałunek, gdy odchodzę, ja, która tyle przez ciebie wycierpiałam. Gesty są więcej warte niż słowa.

– Wielu myśli inaczej. Słowo wypowiedziane zostaje na zawsze.

Łzy popłynęły jej z oczu i rozmazały się po wychudłych policzkach.

– Bodajby cię pożarły mamuny!

Szarpnięciem cugli zawróciła klacz w miejscu i galopem pognęła w las, za swoją małą karawaną.

Wyprostowany w siodle, jakby kij połknął, przez chwilę nie ruszał się z miejsca i patrzył przed siebie, ściskając w garści wodze, aż zbieleły mu kłykie. Potem delikatnie ściągnął wodze i pchnął Siwkę między drzewa, ukosem oddalając się od Oldorando, nie troszcząc się o Elina Tala, który czekał w pełnej poszanowania odległości. Siwka nabierała rozpędu na zboczu, poganiana przez jeźdźca. Wkrótce przeszła w pełny galop, ziemia uciekała im spod kopyt i wszyscy ludzie zniknęli z oczu. Aoz Roon wzniósł wysoko prawą pięść.

– Wiedźma z głowy, duszy lżej! – zawołał. Dziki śmiech wyrwał mu się z gardła, gdy tak pędził na złamanie karku.

Z góry Ziemska Stacja Obserwacyjna „Avernus” widziała wszystko. Przekazywano na Ziemię wszystkie zmiany i wszystkie dane. Członkowie ośmiu uczonych rodów „Avernusa” skrzętnie opracowywali nowe fakty naukowe. Kreślili migracje nie tylko ludzkich populacji, ale również populacji fagorów, zarówno białych jak i czarnych. Każdy marsz naprzód lub odwrót przetwarzany był na impulsy, które przewędrowawszy lata świetlne docierały w końcu do globu i komputerów Helikońskiego Instytutu Centronicznego Ziemi.

Z okien stacji załoga mogła obserwować planetę w dole i postępujące zaćmienie, które szarym całunem zasnuwało oceany i tropikalny kontynent. Na jednym zespole monitorów obserwowano inne postępy – kruczaty kzhahna przeciwko Oldorando. Zgodnie ze swym własnym osobliwym czasem podróży, kruczata znajdowała się obecnie o jeden rok od wytkniętego celu, od zniszczenia starodawnej metropolii.

Zakodowane w sygnałach wieści wędrowały na Ziemię. Tam, wiele stuleci później, zebrali się widzowie, by śledzić końcowe akty helikońskiej tragedii.

W tyle zostały posępne regiony Mordriatu, pełne ech wąwozy, pogruchotane ściany skalne, nieoczekiwane zaciszne wrzosowiska, szare głębokie doliny, w których wiecznie kłębiły się dymy, jakby to ogień, a nie lód modelował twarde rysy pustkowi. Kruczata, rozbita ha wiele grup i grupiek, z mozołem przedzierała się przez płaskowyż, bezludny, jeśli nie liczyć Madisów z ich stadami, i chmar ptactwa. Obojętne na otoczenie fagory niezmordowanie parły na południowy wschód.

Kzhahn Hrastypрту, Hrr-Brahl Yprt, wiódł swoje zastępy wciąż naprzód. Brnęli wśród powodzi wschodniej równiny oldorandzkiej, które nie wygasły ognia zemsty w ich szlejach, choć wielu padło. Choroba i ataki bezlitosnych Synów Freyra przerzedziły szeregi ancipitów. Nie przyjmowały ich też z otwartymi ramionami niewielkie komponenty fagorów, przez których tereny wędrowali. Pozbawione kaidawów, za to często posiadając liczne rzesze niewolników, ludzi bądź Madisów.

komponenty te prowadziły osiadły tryb życia i zaciekle broniły swoich terytoriów przed wszelkimi intruzami.

Hrr-Brahl Yprt ze wszystkich opałów wychodził zwycięsko. Jedyne nad chorobą nie miał władzy. Jego kohorty wyprzedzała wieść o pochodzie, idąca z falą uciekinierów przez pół kontynentu. Hrr-Brahl Yprt właśnie stanął ze swymi dowódcami na brzegu szeroko rozlanej rzeki. Fagorza horda nie wiedziała, że lodowaty nurt spływał z tych samych wyżyn Nktryhk, z których wyruszyła kruczata przeciwko Synom Freyra, o tysiąc mil stąd.

– Tu nad tymi wodami staniemy na dwie wędrówki Bataliksy po niebie – rzekł Hrr-Brahl Yprt do swych dowódców, – Przednie straże rozejdą się brzegiem w obie strony i znajdą suchą drogę. Wskaż ją oktawy śródpowietrzne.

Gwizdnięciem wezwał kraka, który zabrał się do czyszczenia mu futra z kleszczy. Kzahhn zrobił to z roztargnieniem, gdyż inne rzeczy chodziły mu po szlejach, ale te drobne stworzenia stały się nagle dokuczliwe, Może za sprawą ciepła w otaczającej ich dolinie. Wraże ciepło zbierało się w kręgu jej wysokich zielonych ścian jak woda w studni. Czekala ich niebawem trzecia ślepotą. Później odwrót na chłodniejsze leże. Ale wprzód zemsta. Zgonił Zzhrrka i wyruszył rozejrzeć się w położeniu, a ptak wisiał nad nim bijąc z rzadka skrzydłami. Mogli tu zaczekać, aż dołączy reszta sił, rozciągniętych na przestrzeni paru dziesiątków mil. Zatknięto sztandary, puszczone kaidawy na popas. Służba rozbiła namioty dla starszyny. Ustalono porządek posiłków i rytualnych ceremonii.

Bataliksa z wrednym Freyrem stały wysoko nad obozem, gdy kzahhn Hrastyprtu wkroczył do swego namiotu i odpiął naczółek. Znad krzepkich barków wysunął do przodu długą głowę, pożądliwie nachylając się całym swoim masywnym ciałem, wychudzonym teraz po trudach wędrówki. Powłóczył rzęsy opuścił tworząc czerwone szparki z oczu, którymi wzdłuż nosa zezował na swoje cztery fildy. Czochrały się i poszturchiwały, oczekując w namiocie jego nadejścia. Zzhrrk wpadł do namiotu, lecz Hrr-Brahl Yprt zrzucił go na ziemię. Ptak zatrzepotał skrzydłami, łapiąc równowagę, niezdarnie wylądował i czym prędzej wydreptał z namiotu. Hrr-Brahl Yprt przesłonił za nim wyjście kocem. Zaczął zdejmować rynsztunek, swój kaftan bez rękawów i pas ze skórzaną torbą, nie odrywając oczu od czwórki oblubienic, przenosząc władcze spojrzenie z jednej na drugą. Wciągnął w nozdrza zapach każdej z nich. Ukrywały podniecenie iskając się z kleszczy lub poprawiając sobie włosy długiej białej sierści, aby mignąć mu pełnymi wymionami przed oczyma. Chyliły się ku niemu orle pióra na ich głowach. Fildy paraskały, zapuszczając w nozdrza białawe mleczce.

– Ty! – rzekł wskazawszy jedną z samic w pełnej rui. Jej towarzyszek przycupnęły w kącie namiotu, gdy tymczasem wybranka obróciła się tyłem do młodego kzahhna i wypięła zad. Przystąpił i w podsunięte mu ciało wsadził trzy palce, po czym wytarł je w czarną sierść pyska. Bez dalszych ceregieli dosiadł i przygiął fildę swym ciężarem, aż opadła na czworaki. Z wolna chyląc się coraz niżej pod jego pchnięciami, wsparła szerokie czoło na dywanie. Po skończonej kopulacji, gdy pozostałe fildy przybiegły obwąchiwać siostrę, Hrr-Brahl Yprt naciągnął rynsztunek i wymaszerował z namiotu. Nawrót chuci miał nastąpić za trzy tygodnie.

Komendant kruczaty, Yohl-Gharr Wyrrijk oczekiwał go z kamiennym spokojem. Stanęli twarzą w twarz, oko w oko. Yohl-Gharr Wyrrijk wskazał na niebo.

– Dzień idzie – powiedział. – Oktawy się zacieśniają. Kzahhn podniósł wzrok i pomachał pięścią, oczyszczając z kraków niebo nad głową. Patrząc na uzurpatora Freyra uświadomił sobie, że on podkrada się z każdym dniem coraz bliżej do Bataliksy, jak pajak do swojej ofiary w sieci. Niedługo już, niedługo, Freyr skryje się w brzuchu przeciwniczki. Wtedy zastępy będą już u celu. Wtedy uderzą i wybiją cały pomiot Freyra osiadły w miejscu, w którym poległ szlachetny prabykun

Hrr-Brahla Yprta, i wtedy spalał miasto i wymazał je z pamięci. I dopiero wtedy on i jego drużyna dostąpią zaszczytnej uwięzi. Takie myśli drażyły mu szleje niczym krople wody powoli skapujące z lodowych sopli, które topnieją i znikają z pluskiem, zapładniając ziemię swoją rosą.

– Dwaj siewcy zbliżają się do siebie – warknął.

Później kazał niewolnemu człowiekowi zadać w kołatkowy róg i przynieść keratynowe figurki ojca i praprabrykuna. Młody kzahhn zauważył, że mimo troskliwej opieki obie figurki uległy zniszczeniu w trakcie długiej wędrówki. Przed szeregi komponentu, zebranego nad czarną wodą, Hrr-Brahl Yprt pokornie zapadł w trans. Zgodnie ze swoją naturą wszyscy zamarli jak jeden mąż, jakby ocean powietrza skuł ich lodem. Nie większa od śnieżnego królika zjawa praprabrykuna przyszła na czworakach, jak to ongiś bywało u fagorów, dawno, dawno temu, kiedy Bataliksa jeszcze nie wpadła w pajęczą sieć Freyra.

– Rogi do góry – powiedział śnieżny królik. – Nie daruj wrogom, nie daruj nadchodzącej zieleni, zroś zielen czerwonymi sokami Synów Freyra, który ją sprowadził w miejsce lubej bieli.

Przyszedł także keratynowy ojciec, niewiele większy, wyczarowując synowi w białych szlejach ciąg obrazów. Przed zamkniętymi oczyma

Hrr-Brahla Yprta pojawił się świat, pulsujący w każdej ze swych trzech części. Z oparów jego jestestwa biegly złote wstęgi oktafów śródpowietrznych, niczym zwoje długich nitok wokół zaciśniętej pięści, i wokół zaciśniętych pięści innych sąsiednich światów, oplątując równo i umiłowana Bataliksę, i pajaka Freyra. Wszom podobne istoty mknęły po nitkach z piskliwym kwileniem.

Hrr-Brahl Yprt podziękował ojcu za obrazy migające w szlejach. Widywał je już wielokrotnie. Znali je wszyscy obecni. Trzeba je było powtarzać. Stanowiły gwiazdy przewodnie krucjaty. Bez powtórki ich światła gasły, a nabita szlejami czaszka zmieniała się w jakąś jaskinię zapomnienia, zawałoną ścierwem zdechłych węży. Dzięki powtórkom jasno sobie uświadamiano, że potrzeby jednego fagora są potrzebami całego świata, który ci, co przenieśli się na świat sąsiedni, nazwali Hrl-Ichor Yhar, zaś potrzeby Hrl-Ichor Yhar są potrzebami fagora. Przyszła kolej na obrazy zaludnione Synami Freyra: oktawy śródpowietrzne pałają, Synowie wałają się na ziemię chorzy, wałają się i albo mrą, albo przybierają mniejszą postać. Czas taki już kiedyś nadszedł. Czas taki nadejdzie niebawem. Przeszłość i przyszłość stanowią dzień dzisiejszy. Tak się stanie, gdy Freyr cały zniknie w Bataliksie. I wtedy nadejdzie czas, aby uderzyć – uderzyć na wszystkich, ale przede wszystkim na tych, których ojcowie zabili Wielkiego Kzahnna Hrr-Tryhka Hrasta.

Pamiętaj. Bądź dzielny, bądź nieubłagany. Nie odstęp ani o włos od planu przekazanego przez długi szereg przodków.

Powiało dawnymi dniami, czymś dalekim, przytęchłym, a prawdziwym. Jak gromada aniołów mignęli antenaci na lodowych prapolach szczęśliwości. Śródpowietrzne kanony szły milionami, bez ustanku.

Pamiętaj. Gotuj się na nowe czasy. Rogi do góry.

Młody kzahhn powoli wyszedł z transu. Biały krak przysiadł na jego lewym ramieniu. Haczykowanym dziobem pieszczotliwie rozczesał sierść na barkach swego pana i zabrał się do kleszczy. Ponownie zadęto w róg, śląc żałobny ton za lodowatą rzekę. Smętną nutę słyhać było daleko, tam gdzie gromadka fagorów odbiła od macierzystego komponentu. Było ich ośmioro, sześć gild i dwa bykuny. Jeden stary rudy kaidaw, za stary pod wierzch, dźwigał im broń i prowiant. Kilka dni wcześniej, za pomyślnego panowania Bataliksy na niebie, pojмали szóstkę Madisów, mężczyzn i kobiet, którzy razem ze swymi zwierzętami wlekli się w ogonie migracyjnej karawany, zdążającej ku przesmykowi Chalce. Zwierzęta upiekli i zjedli na miejscu, swoim zwyczajem wygryzłszy im gardła. Nieszczęsnych Madisów powiązali gęsiego i pognali w dalszą drogę. Jednak z powodu opóźnienia

marszu przez poganianych, jak i zwłoki na ucztę zgubili swój komponent. Zapędzili się niewłaściwym brzegiem strumienia, który rwał jak górski potok. W górach spadły ulewne deszcze, strumień wystąpił z brzegów i zostali odcięci.

Tej bataliksowej nocy fagory rozbiły obóz na mrocznej polance u podnóża wysokich radżabab, uwiązując Madisów do cienkiego drzewka, pod którym pragnostycy mogli się jako tako przespać na kupie. Same legły opodal wyciągnięte na wznak; kraki sfrunęły im na piersi i pochowały głowy w ciepłym futrze. Fagory z miejsca zapadły w kamienny sen bez marzeń, jakby sposobily się do uwięzi. Zbudziło ją skrzeczenie kraków i wrzaski Madisów. Przerażeni Madisi urwali się z powroza i skoczyli na swoich ciemiężców – nie pomsty szukać, lecz ratunku u swoich wrogów w obliczu większego zagrożenia.

Pękała jedna z radżabab. Trzaski ginącego drzewa wypełniały powietrze. Z pionowych rys i szczelin jak ropa tryskały brunatne soki. Klęby pary przesłoniły coś, co konwulsyjnie wyrywało się z wnętrza radżababy.

– Wij Wutry! Wij Wutry! – wrzeszczeli pragnostycy do zbierających się z ziemi fagorów. Ich dowódca podszedł do spętanego kaidawa i sprawnie zaczął rozdzielać włócznie. Ogromny bęben rodzącej radżababy miał trzydzieści stóp wysokości. Nagle jej wieko rozsypało się w kawałki, niczym strzaskana pokrywa garnka, i z korony wychynał wij Wutry. Polanę zalała charakterystyczna mieszanina zapachów, smród gnoju, fetor zepsutej ryby i odór zgniłego sera. Potworny łeb wznosił się na giętkiej węzowej szyi rozbłyskując w słońcu. Wij zakołysał łbem i radżababa rozpekłszy się z hukiem odsłoniła jego kolejne oślizłe sploty, które prostował zrzucając przy tym skórę. Ryjąc pod ziemią wtargnął od korzeni do wnętrza radżababy i tam się zagnieździł. W wyższej temperaturze rozpoczął zrzucanie skóry i metamorfozę. Teraz musiał się pożywić, zgodnie z regułami życiowego cyklu w swoim nowym stadium rozwoju.

Fagory zdążyły już chwycić za broń. Ich przywódczyni, krępa gilda, której białe futro przetykane było czarnym włosem, wydała rozkazy. Dwóch najlepszych miotaczy cisnęło w wiją Wutry włóczniami. Wij gibnął się, włócznie przeleciały obok, nawet go nie drasnawszy. Spostrzegł pod sobą jakieś postacie i wyrzutem łba w dół natychmiast zaatakował. Fagory uprzytomniły sobie jego prawdziwe rozmiary dopiero wtedy, gdy zajrzały im w oczy dwie pary ślepi osadzonych nad grubymi, mięsistymi czułkami sterczącymi z pyska. Atakujący wij przebierał nimi jak palcami. Gęba, pełna skierowanych do tyłu zębów, dziwnie workowata, schodziła się nie tylko w kącikach, ale również pośrodku.

Przekrzywiona na bok głowa sunęła jak ogon merdającego asokina. Przed chwilą jeszcze ponad wierzchołkami drzew, leciała teraz na szereg fagorów. Śmignęły fagorze włócznie. Kraki rozpierchły się na wszystkie strony.

Pozbawiona szczęk, poruszająca się w niecodzienny sposób gęba przypominała studnię bez dna. Zacisnęła się na pierwszej z brzegu fagorzycy i na wpeł dźwignęła ją w powietrze. Mięśnie giętkiej szyi okazały się zbyt słabe, aby dźwignąć ciężką gildę. Wleczona po grząskim gruncie charczała i biła wiją jednym ramieniem po nozdrzach.

– Zabić go! – krzyknęła gilda przywódczyni, ze wzniesionym nożem rzucając się naprzód.

Ale w mętym mule wijowych szlei dojrzała decyzja. Z furią odgryzł to, co trzymał w gębie, porzucając resztę. W górę, w bezpieczne rejony poderwał łeb razem z wąsami, po których ściekała żółta posoka. To, co pozostało z gildy, tłukło przez chwilę pięściami w ziemię, po czym legło bez ruchu. Jeszcze przetykając swój kasek wij zaczął się już przepoczwarzać, runawszy splotami na pobliskie młode drzewka. Strach nie leży w naturze fagorów, jednak ocalała siódemka padła z przerażenia. Wij dzielił się na dwoje. Okrwawionym pyskiem szorował dokoła po trawie. Darł błony

z przeciągłym trzaskiem. Jakby maska jakaś zliniała ze łba, który stał się groteskową parą łbów. Leżąc jeden na drugim wciąż jeszcze przypominały dawną postać; wtem nowy górny łeb uniósł się i podobieństwo zniknęło. Szczęki łbów wypuściły mięsiste czułki, które rozrastając się gwałtownie na boki i sztywniejac uformowały pierścień kolców, a w nim chrzestny otwór szeroko rozwany, bez możliwości zamknięcia. Ów szkaradny otwór był gębą głowy z parą poziomo osadzonych ślepi. Po wyschnięciu odkrytej pod rozerwanymi błonami warstwy śluzu zaszła nieznaczną zmianą kolorów. Jedną głowę przybrała barwę niebieskawo-zieloną, druga zielonkawobłękitną. Głowy uniosły się i odskoczyły od siebie z basowym rykiem. Ten ich ruch nie tylko rozpruł pozostałe błony na całej długości starego odwłoka, ale odstąpił dwa nowe odwłoki, zielony i błękitny, oba smukłe i uskrzydłone. Epileptyczne drgawki podobne śmiertelnym konwulsjom wstrząsnęły starym ciałem. W górę wystrzeliły z niego dwa nowe ciała jak oszczepy, rozwijając błoniaste skrzydła. Głowy zawisły nad zgruchotaną radzababą, biły błoniaste skrzydła. Osiem kraków latało wokół nich skrzecząc, jakby chciały porozdzierać sobie dzioby.

Stwory jakby okrępeły naprzeciw siebie. Po chwili oderwały się długowąsami ogonami od ziemi. Frunęły w górę, a promienie Freyra roziskrzyły łuski i siatkowane skrzydła. Jeden potwór, ten zielony, był samcem, z podwójnym rzędem mackowatych wyrostków zwisających mu ze środkowej części odwłoka, drugi, błękitny, był samicą o mniej jaskrawych łuskach.

Skrzydła nabrały miarowego rytmu, unosząc stwory ponad wierzchołki drzew. Rozwarta gęba wciągała z przodu powietrze, wyrzucane tchawkami z tyłu. Stworzenia obleciały polanę w przeciwnych kierunkach, odprowadzane bezsilnymi spojrzeciami bandy fagorów. Po czym wyruszyły w swój dziewiczy lot. Odtruwały niby jakieś latające węże, jeden ku dalekiej północy, drugi hen na południe, posłuszne tajemniczej muzyce swoich własnych oktav śródpowietrznych, i nagle piękne w swej mocy. Ich długie, smukłe odwłoki falowały na wietrze. Nabierając wysokości, wzbiły się ponad dolinę. Wreszcie zniknęły, każde w poszukiwaniu współmałżonka na rubieżach przeciwnych biegunów. Imago zapomniały o swoich poprzednich bytach, uwięzionych w ziemi przez stulecia zimy.

Mrucząc fagory wróciły do bardziej przyziemnych spraw. Omiotły spojrzeciami polanę. Ich spętany kaidaw nadal ze spokojem szczypał trawę. Madisi zniknęli. Korzystając z okazji, pragmatycy dali drapak w las.

Madisi zazwyczaj kojarzą się w pary na całe życie i rzadko wstępują po raz wtóry w związek małżeński; najczęściej wdowa bądź wdowiec zapadają na pewien rodzaj głębokiej melancholii. Uciekało trzech mężczyzn ze swoimi kobietami. Starsza o kilka lat od innych para nazywała się Kathkaarnit, co było wspólnym imieniem ślubnym; jego zwano Kathkaarnitem, ją Kathkaarnitką.

Wszyscy sześcioro byli szczupli i niskiego wzrostu. Wszyscy ciemnoskórzy. Transludscy pragmatycy, których jedno z plemion stanowili Madisi, wyglądem niewiele odróżniali się od prawdziwych ludzi. Zasznurowane usta, co wynikało z ukształtowania kości czaszki i układu zębów, nadawały ich twarzom tęskny wyraz. Mieli po osiem palców u dłoni, czwórkami przeciwstawnymi, dających im niezwykle silny chwyt; również ich stopy miały cztery palce skierowane w przód i cztery w tył.

Biegli równym truchtem od polany fagorów, w tempie, jakie w potrzebie mogli utrzymywać godzinami. Biegli na przełaj przez zagajniki i mokradła, kolumną dwójkową, na czele Kathkaarnitowie, potem młodsza para i na końcu najmłodsza. Rozmaite dzikie zwierzęta, głównie jelenie, z łomotem uciekały im z drogi. Raz wypłoszyli odyńca. Biegli bez odpoczynku.

Uciekali z grubsza na zachód; wspomnienie ośmiu tygodni niewoli dodawało skrzydeł. Ominąwszy rozlewiska, pieśli się na ścianę wielkiego spodka ziemi, na którego dnie podjęli ucieczkę.

Upał zelżał. Jednocześnie wznoszący się nieznacznie, ale stale teren wyczerpał ich siły. Z truchtu przeszli w szybki marsz. Palila ich skóra. Zwiesiwszy głowy parli naprzód, ciężko oddychając nosem i ustami, co jakiś czas potykając się na nierównościach gruntu. Wreszcie ostatnia para klapnęła bez tchu na ziemię, dysząc ciężko i trzymając się za brzuchy. Czwórka towarzyszy spostrzegła, że już niewiele im zostało do szczytu, za którym najpewniej czekał równy grunt. Nie ustawali, nisko pochyleni, aż pokonawszy stok padli na samym progu równiny. Ziajali jak miechy.

Stąd mogli objąć spojrzeniem widok roztaczający się za nimi w przejrzystym jak kryształ powietrzu. Para ich wyczerpanych przyjaciół leżała trochę niżej, pod samą krawędzią olbrzymiej niecki. Ściany tej niecki poźłobione były parowami, którymi spływała woda. Strumienie wpadały do dwóch ogromnych zakoli rzeki, powstałej dość niedawno, bowiem sterczały z niej jeszcze na pół zatopione drzewa. Na rzece tworzyły się zawady z gałęzi i gruzu skalnego. Rozlane fale opływały fałd wzgórza, niknąc z oczu. Szum wód wypełniał dolinę.

Widzieli miejsce, gdzie stały potężne radżababy. Gdzieś wśród owych radżabab kryła się banda fagorów, od której uciekli. Za radżababami gęsty młodnik porastał przeciwległe stoki doliny. Drzewa były jednolicie ciemnozielone, szereg za szeregiem, z ogniskami jaskrawo-złotego listowia drzew znanych Madisom, pod nazwą kaspja; jej goryczkowate pąki jadali w okresach głodu.

Ale krajobraz nie kończył się na lesie. Dalej widać było skalne ściany, tu i ówdzie obrócone w rumowiska, którymi schodziły ryzykowne ścieżki zwierząt i ludzi. Skalne ściany stanowiły część łańcucha wzgórz, wypełniających łagodnymi grzbietami horyzont od krańca do krańca. Miękkie skały ich podnóża popękały, tworząc jary pełne bujnej roślinności. Tam, gdzie roślinność była najbujniejsza, a rumowiska podnóża wzgórz najbardziej malownicze, pozyskiwał dopływ rzeki, pienistą kaskadą spadającej wąwozami ku dolinie. Za i ponad tymi gąbczastymi wzgórzami wznosiły się inne szczyty, odleglejsze i surowsze, o stokach z twardych bazaltów, okaleczonych stuleciami niedawnej zimy. Nie okrywała ich żadna szata zieleni. Pozostały nieujarzmione, tylko drobne górskie kwiatki gdziegdzie krasiały je żółtą, pomarańczową lub białą barwą, czystą dla oka nawet z odległości wielu mil.

Ponad wieżycami tych bazaltowych szczytów rysowały się kolejne łańcuchy, sine, posępne, straszne. I jak gdyby dla pokazania żywym istotom, że świat nie ma końca, owe łańcuchy odsłaniały widok na rzeczy dalsze – krainę wielkiej dali i wielkich wysokości, i korowodu turni jak wyszczerzone zęby. To były bastiony materii, spiętrzone w palących mrozach tropopauzy.

Bystre oczy Madisów wysledziły w tym pejzażu maleńkie cętki bieli wśród pobliskich drzew, pomiędzy kapsjami, wzdłuż skalnych krawędzi, na wysokich przełęczach gór, nawet w dali, gdzie dopływ rzeki lśnił po wąwozach. W tych plamkach bieli Madisi bezbłędnie rozpoznali kraki. Gdzie kraki, tam fagory. Na przestrzeni wielu mil, jak okiem sięgnąć, kraki zwiastowały ukradkowy pochód zastępów Hrr-Brahla Yprta. Nie było widać ani jednego fagora, a przecież w tym wspaniałym krajobrazie czaiło się ich blisko dziesięć tysięcy.

Kiedy tak sobie Madisi odpoczywali podziwiając widoki, jeden po drugim zaczęli się drapać. Najpierw jakby od niechcienia, potem coraz bardziej gorączkowo, kiedy trochę odsapnęli. Niebawem tarzali się drapiąc i klnąc, zlewani potem, od którego piekła ich zasypana śladami ukąszeń skóra. Zwinięci w kłębki, drapali się palcami i stóp, i dłoni. Takie szalone swędzenie nachodziło ich z przerwami od chwili, kiedy wpadli w łapy fagorów. Trąc krocza, wściekle szorując się pod pachami i orząc paznokciami czupryny, ani przez chwilę nie zastanowili się nad przyczyną i skutkiem, ani przez chwilę nie skojarzyli swej wysypki z kleszczem, którego odziedziczyli po swoich niedawnych panach.

Kleszcz ów był w zasadzie nieszkodliwy, a przynajmniej u ludzi i pragnostryków wywoływał

tylko niegroźną gorączkę lub wysypkę, rzadko trwającą dłużej niż kilka dni. Ale Helikonia była coraz bliżej Freyra i zmieniały się bilanse cieplne. Ixodidae mnożyły się: samica kleszcza składała miliony jaj w dani Wielkiemu Freyrowi. Wkrótce błąhy kleszcz, na tyle pospolity, że nie zwracał na siebie uwagi, miał zostać nosicielem wirusa powodującego tak zwaną gorączkę kości, która odmieni świat.

Wirus wkraczał w aktywne stadium rozwoju z wiosną wielkiego roku Helikonii, w okresie zaćmień. Każdej wiosny ludzka populacja zapadała na gorączkę kości; na to, że ją przeżyje, liczyć mogła tylko połowa populacji. Plaga była tak powszechna, a jej skutki tak dotkliwe, że sama wymazywała się, rzecz by można, z tych skąpych zapisków, jakie prowadzono.

Drapiąc się i tarzając wśród listowia Madisi nie zwracali uwagi na nie znany im jeszcze teren za plecami. Tam, z dala od upału doliny, rosły soczyste trawy, a wśród nich zarośla wybujałej prosiężówki, o kolankowej, pustej w środku, drewniejącej z wiekiem łodydze. Z kępy prosiężówki wyłonili się chyłkiem ludzie w butach o wysokich, wywiniętych cholewach, lekko odziani, ze sznurami w dłoniach. Skoczyli na Madisów.

Para ze stoku zaryzykowała ucieczkę w dół, chociaż był to powrót w stronę fagorzyc zastępów. Czwórka ich przyjaciół czochrała się nadal – tyle że już w niewoli. Dla nich krótkie, wyczerpujące uroki wolności dobiegły końca.

Tym razem przeszli na własność istot ludzkich, porwani jak małe drobiny przez inną lawinę cyklicznych wydarzeń – inwazję Sibornalczyków na południe. Mimo woli przyłączyli się do kolonialnej armii kapłana wojownika Festibariyatida. Mało to obchodziło Kathkaarnitów i dwoje ich towarzyszy, i tak już przygiętych pod górami prowiantu dźwiganego na grzbietach. Nowi panowie pognali ich w drogę. Leźli na południe, wciąż drapiąc się, jakby mało było najnowszych niedoli. Kiedy w pocie czoła okrążali wielką dolinę, na niebo wypłynął Freyr. Wszystko zapuściło drugi cień, który skurczył się, gdy Freyr stanął w zenicie.

Świat lśnił w słońcu. Koło południa wzrosła temperatura. Zapomniane kleszcze roiły się w miliardach zapomnianych zakamarków.

XII. LORD WYSPY

Był z Elina Tala chłop na schwał i wesolek, wierny i niezawodny, i trochę bez wyobraźni. Był odważny, świetnie poczynił sobie na łowach, z fasonem dosiadał mustanga. Nie brakło mu nawet szczypty inteligencji, chociaż na akademię patrzył podejrzliwie, a czytać nie umiał. Własną żonę i dzieci też odwiódł od nauki czytania. Był bez reszty oddany Aozowi Roonowi, ogarnięty tylko tą jedną ambicją, aby służyć mu ze wszystkich sił.

I tylko zrozumieć Aoza Roona nie był w stanie. W pewnej odległości za lordem Embruddocku stał cierpliwie i czekał przy swoim jaskrawo pręgowanym wierzchowcu. Widział jedynie plecy Aoza Roona, który z brodą na piersi zapatrzył się tępo przed siebie. Lord jak zwykle nosił stare śmierzące czarne futro, ale na ramiona zarzucił żółtą sukienną burkę, chyba podświadomie pragnąc jakoś uhonorować odchodzącą czarodziejkę. Pies Kurd dygotał u pęcín Siwki.

Stał więc Eline Tal w należyтым oddaleniu i z braku innego zajęcia bezmyślnie dłubał palcem w zębie.

Aoz Roon zaklął w głos jeszcze parę razy i spał wierzchowca. Ze ściągniętymi czarnymi brwiami obejrzał się przez ramię, jednak nie zwracając uwagi na wiernego namiestnika, a jeśli już, to nie większą niż na Kurda. Puścił Siwkę w cwał ku szczytowi wzniesienia, szarpiąc cugle z taką wściekłością, że stanęła dęba.

– Suka wiedźma! – krzyknął na całe gardło.

Echa powtórzyły okrzyk. Rozmiłowany w brzmieniu swojej skargi zaryczał echem w odpowiedzi, niepomny, że klacz unosi go coraz dalej od Oldorando, i nie zważając na to, czy pies i giermek za nim podążają. Raptem ściągnął cugle Siwki, aż piana pociekła jej z pyska po wędzidle. Był dopiero śródranek, a pomroka jakaś padła na ziemię i na wszystko, co żywe. Podniósł ponury wzrok ku niebu w prześwicie kolczastych gałęzi i zauważył, że mroczna kula wygryzła kawałek Freyra, z wojna wyprzedzając go w przestworzach. Szła ślepotą. Kurd z trwożliwym skowyttem przypadł do nóg mustanga.

Z gęstwiny powalonego opodał modrzewia wyleciała nocna sowa, pomykając tuż przy ziemi. Miała upierzenie w cętki i skrzydła o rozpiętości większej niż ramiona człowieka. Hukając śmignęła pomiędzy nogami Siwki i wbiła się pod ziemiste niebo.

Siwka stanęła dęba, po czym pełnym galopem poniosła na łeb na szyję, nie słuchając wędzidla. Aoz Roon wyteżał siły, żeby się utrzymać w siodle, mustang wyteżał siły, żeby go zrzucić. Równie zaniepokojony zjawiskiem w niebiosach Elin Tal ruszył ich śladem, łamiąc opór swego ogiera Łazika. Gnał jak południowy wicher, trop w trop za Siwka. Wreszcie Aoz Roon zapanował nad spłoszonym wierzchowcem i trochę przeszedł mu wisielczy nastrój. Zaśmiał się niewesoło, poklepał mustanga i przemówił do niego z łagodnością, jakiej nie znalazłby dla własnych współbraci. Powolutku, chyłkiem, Batalisa wygryzała coraz większy kawałek Freyra. Gryz fagora – przypomniał sobie, że wedle starych legend strażnicy to nie towarzysze broni, lecz wrogowie, skazani na wieczny, śmiertelny pojedynek. Skulony, pozwolił nieść się uspokojonemu zwierzęciu, gdzie je oczy poniosą. Czemu nie? Może wrócić do Oldorando i rządzić jak dotychczas. Ale czy miasto będzie takie samo teraz, gdy ona odeszła, suka? Cóż Dol, tę biedną głupiutką gąskę, obchodzi, kim jest Aoz Roon. W domu tylko niebezpieczeństwo czeka i rozczarowanie. Szarpnąwszy wodze pchnął klacz w gęstwinę psiajuchy i cierni, bezlitośnie wystawiając twarz na siekące gałęzie. Świat stał na głowie ponad jego

rozumienie.

W gałęzie zaplątane były trzciny, trawy i słoma. Tak ciężko było mu na duszy, że nie dostrzegł tych świadectw niedawnej powodzi.

Srebrny płomień okolił dolną krawędź Bataliksy, dalej pożerającej Freyra. Wkrótce ją samą zaćmiły sunące ze wschodu czarne chmury. Spadł deszcz i wzmagał się, zalewając poszarzałe zarośla. Ze spuszczoną głową Aoz Roon parł naprzód. Deszcz szumiał w gęstwinie. Wutra okazywał swą nienawiść.

Trąciwszy Siwkę piętami Aoz Roon wyprowadził ją z gąszczu i zatrzymał nagle, gdy pod kopytami chlupnęła woda w bujnej trawie. Eline Tal powoli zajechał od tyłu. Ulewa przybrała na sile, potokami spływając z mustangów na ziemię. Spod ociekających brwi lord Embruddocku ujrzał po jednej stronie wyniosłość stoku, gdzie zalegały głazy i rosły drzewa. U podnóża usypano prymitywne schronisko z odłamków skalnych. Niżej ciągnęły się mokradła, poprzecinane krętymi strugami. Krajobraz tonął w szarości ulewy, rozmywającej kontury schroniska. Jednak nie na tyle, by przeoczyć majaczące u wejścia sylwetki. Stały nieruchomo. Patrzyły. Musiały słyszeć, jak nadjeżdża, na długo przedtem? nim je zobaczył. Kurd przywarował z groźnym warknięciem. Nie oglądając się Aoz Roon dał znak Elinowi Talowi, żeby dołączył.

– Zastrane fugasy – powiedział Eline Tal, dość niefrasobliwie.

– Nie cierpią wody, może nie wyleżą stamtąd na taką chlapę. Śmiało naprzód.

Przywołał Kurda do nogi i ruszył wolnym stępem, dyktując tempo. Nie zawróci ani nie okaże strachu. Bagniska mogą być nieprzejezdne. Najlepiej pokonać stok. Już od szczytu – jeśli fagory dadzą im dojechać tak daleko – mogą ruszyć z kopyta. Nie miał bronii, jeśli nie liczyć sztyletu za pasem.

Jechali naprzód ramię przy ramieniu, pies, warcząc, za nimi. Wjeżdżając na stok musieli się zbliżyć do prymitywnej budowli. Wyglądało na to, że pod nędznym dachem przycupnęło nie więcej niż pięć czy sześć fagorów, ale w szarej pomroce łatwo było o pomyłkę. Przy ścianie kryjówki dwa kaidawy otrząsały łby z deszczu, co i rusz trykając się rogami; trzymający je niewolnik – człowiek lub pragnostyk – apatycznie spozierał na Aoza Roona i Elina Tala.

Para kraków przycupnęła na dachu, jeden przy drugim. Dwa inne były się na ziemi o kupę kaidawiego łajna. Nieco dbalej na głazie piąty szarpał i pożerał, jakiegoś drobnego gryzonia, którego sobie upolował. Fagory ani drgnęły. Ludzi dzieliła od nich odległość mniejsza niż o rzut kamieniem i mustangi zmieniały już krok na stromiźnie, gdy Kurd śmignął spod nóg Siwki, z wściekłym ujadaniem gnając w stronę kryjówki.

Sprowowane zaczepką Kurda fagory wybiegły spod dachu i rzuciły się do ataku. Nie pierwszy raz sprawiały wrażenie, że potrzeba im podniety do działania, jak gdyby ich system nerwowy nie reagował poniżej pewnego minimalnego poziomu bodźców. Na widok pędzących ku nim fagorów Aoz Roon krzyknął komendę i z Elinem Talem skierowali wierzchowce pod górę.

Była to ryzykowna jazda. Młode drzewa, nie wyższe od człowieka, rozpościerały korony na kształt parasoli. Należało jechać z pochyloną głową. Skalne odłamki stanowiły nieustanne zagrożenie dla kopyt mustangów. Musieli przytomnie kierować Siwką i Łazikiem, aby w ogóle utrzymały jakiegokolwiek tempo. Z tyłu dochodziły odgłosy pogoni. Tuż przy nich śmignęła samotna włócznia i utkwiała w ziemi. Bardziej złowieszczy był tętent zbliżających się kaidawów i gardłowe okrzyki ich jeźdźców. W płaskim terenie kaidaw prześcigał mustanga. Wśród niskich drzew większe kaidawy były w gorszej sytuacji. Ale choć pędził rącho, Aoz Roon nie mógł zgubić prześladowców. Wkrótce obaj klęli, i on, i Eline Tal, i pocili się nie mniej od swoich wierzchowców.

Wypadli na pochyłość, którą spływał potok. Aoz Roon obejrzał się korzystając z okazji. Dwa

białe kosmate potwory galopowały za nimi na swych rumakach, wielkimi, wzniesionymi nad głowy łapskami parując smagnięcia gałęzi. W wolnych łapach trzymały włócznie przyciśnięte do kaidawich boków, kierując zwierzętami za pomocą kolan i zrogowaciałych stóp. Pieszce fagory drałowały pod goi ę, kawał drogi w tyle, niegroźne.

– Śmierdziele nigdy nie rezygnują – powiedział Aoz Roon. – Ruszaj się. Siwka, gangreno jedna!

Pędzili naprzód, lecz fagory skracaly dystans. Ulewa przycichła, po czym chlusnęła z Jeszcze większą siłą. Nie miało to żadnego znaczenia. Woda leciała na nich z drzew. Grunt dla kopyt był lepszy, za to głązy trafiały się częściej. Dwa fagory na kaidawach doszły ich na odległość rzutu włócznią.

Ścisnąwszy mocno wodze Aoz Roon stanął w strzemionach. Mógł się rozejrzeć ponad parasolami drzew. Z lewej strony ich zwarte szeregi były rozerwane. Krzyknąwszy na Elina Tala skręcił w lewo i na jakiś czas zgubił fagory za przyzmami głązów, których kontury złudnie falowały pod nawalą ulewy.

Trafili na jakiś szlak i pomknęli nim skwapliwie, znowu gnając pod górę. Drzewa przerzedziły się po obu stronach. W przedzie grunt opadał, spływając strugami błota. Właśnie gdy zaświtała im nadzieja i zagrzewali swoje zwierzęta do większego wysiłku, ścigające ich fagory wypadły spod parasoli drzew. Aoz Roon pogroził prześladowcom pięścią i wysforował się naprzód. Wielkie płowe psisko dotrzymywało kroku Siwce, jak cień pomykając u jej boku. Wkrótce był zjazd i drobny żwir pod kopytami. Przed uciekającymi roztoczył się usiany radżababami i przesłonięty koronami drzew rozległy smętny pejzaż o silnych pionowych akcentach, które równoważyła szeroka pozioma wstęga wody. Wszystko w odcieniu zgaszonych zieleni.

Środkiem tej panoramy toczyła fale burzliwa, szeroko rozlana rzeka, odnogami lustrzanych meandrów zapuszczająca się pomiędzy kępy modrzewi. Za nią ciemne szeregi drzew ginęły w dali i tumanach mgły, w których tonął wzrok. Po niebie przewalały się chmury mrocząc ziemię i kryjąc parę szczepionych ze sobą strażników.

Aoz Roon otarł dłonią twarz z deszczu i potu. Wiedział, gdzie znajdują bezpieczne schronienie. Na rzece zobaczył wyspę pełną skał i czarnolistnych drzew. Jeśli zdoła z Elinem Talem przepłynąć się na wyspę – a jej bliższy skraj leżał w niewielkiej odległości od brzegu rzeki – będą uratowani. Krzyknął chrapliwie, wskazując na wprost.

W tejże samej chwili uprzytomnił sobie, że pędzi sam. Obracając się w siodle przeczuwał już, co zobaczy za swoimi plecami. Jaskrawe poziome pasy Łazika migaly trochę dalej w lewo. Zwierzak bez jeźdźca galopował na oślep ku rzece.

U szczytu skarpy, gdzie zatrzymały się parasole drzew, leżał na ziemi Eline Tal. Okrążali go dwaj kudłaci wojownicy. Jeden zeskoczył z kaidawa. Eline Tal wymierzył mu kopniaka, lecz fagor potężnym szarpnięciem dźwignął go na nogi. Ramię Eline Tal miał czerwone – wysadzili go włócznią z siodła. Ostatkiem sił szarpał się z fagorem, który pochylił rogi, szykując się do śmiertelnego pchnięcia. Drugi fagor nie czekał na dobiecie przeciwnika. Zwinnie zatoczył wierzchowcem i z włócznią na sztorc ruszył w kierunku Aoza Roona.

Lord w jednej chwili spał Siwkę. W niczym już nie mógł pomóc swemu pechowemu namiestnikowi. Pochyliwszy się nad karkiem Siwki galopował w stronę wyspy, popędzając zwierzę i czując, jak ono słabnie. Przewaga była po stronie fagora. Na otwartej przestrzeni kaidaw nie dawał musłangowi żadnych szans, choćby najściglejszemu. Żółta burka łopotala Aozowi Roonowi na wietrze, gdy zagrzewał siebie i wierzchowca do wyścigu ku rzece. Tak już blisko, tak blisko, coraz bliżej! Wiry na toni, ociekające wodą listowie, zamglony obraz dali, jakiś gryzoń zmykający do nory w trawie – wszystko przeleciało mu przed oczyma. Zrozumiał, że nie zdąży. W oczekiwaniu na

śmiertelny cios włóczni czuł, jak pot spływa mu pomiędzy łopatkami. Szybki rzut oka wstecz. Bestia już prawie siedziała mu na karku, widział wyraźnie ścięgną wyciągniętego łba i szyi kaidawa, jak pnąca owinięta na pniu drzewa. Zaraz piekielnik zrówna się. by tym pewniej uderzyć i zabić. Wytrzeszcza ślepią.

Choć już nie młodzik, szybkością reakcji Aoz Roon górował nad każdym fagorem. Raptownie ściągnąwszy cugle, z dziką siłą zadarł łeb Siwce łamiąc jej galop i zmuszając do zwolnienia przed nosem prześladowcy. W tej samej chwili dał szczupaka z siodła, przewrotką amortyzując upadek na grząskim gruncie, po czym szybko zabiegł drogę kaidawowi. Zerwawszy z ramion nasiąkniętą wodą burkę zakręcił nią młyńca z dołu do góry na spotkanie włóczni. Gruba tkanina owinęła się na wyciągniętym za włócznią ramieniu wroga. Aoz Roon pociągnął. Fagor kiwnął się w przód. Wolną ręką ucapił za grzywę kaidawa. Szarpnięciem Aoz Roon uwolnił burkę, schwycił ją za oba końce i zarzucił bestii na szyje. Znow pociągnął, rudy wierzchovec fagora bryknął przed siebie, a jeździec wyleciał jak z procy i gruchnął na ziemię. Aoza Roona owionął mdlący mleczno-moczowy fetor. Niezdecydowany stał i patrzył z góry na fagora. Niezbyt już daleko z tyłu biegly z odsieczą pozostałe fagory. Siwka pocwałowała w dal. W jego rozpaczliwym położeniu nic a nic się nie zmieniło. Przywołał Kurda, lecz pies rozdygotany zapadł w trawach i nie wracał na wołanie. Gdy fagor dźwigał się z ziemi, Aoz Roon porwał włócznię i popędził ku rzece. Jedną miał szansę – dostać się wpław na wyspę. Nim dobiegł do wody, zrozumiał, jak ryzykowna to przeprawa. Czarna powodziowa fala niosła nie tylko gęsty muł. Niosła potopione zwierzęta i na pół zanurzone konary, z którymi musiałby walczyć pływak. Wahał się chwilę. I w tej chwili wahania dopadł go fagor.

Przypomniały mu się zapasy zjedna z tych bestii dawno temu, jeszcze przed wstydliwą gorączką. Tamten przeciwnik był ranny. Za to ten... nie młokos, Aoz Roon wyczuł to instynktownie, kiedy chwyciwszy fagora za ramię kopnął go obutą nogą. Tego zdąży wrzucić do wody, zanim pozostałe siadały mu na karku.

Okazało się, że nie takie to łatwe. Bydlę było stare, ale jare. Raz człowiek brał górę, raz fagor. Aoz Roon nie mógł użyć włóczni ani dobyć noża. Walczyli postępując i przesuając się z miejsca na miejsce, to w podskokach, to drobnymi kroczkami, a fagor próbował zrobić użytek ze swoich rogów.

Aoz Roon ryknął z bólu, gdyż fagor zdołał wykręcić mu ramię. Upuścił włócznię. Z rykiem uwolnił łokieć. Uderzył nim od dołu w podbródek przeciwnika. Zatoczyli się w tył parę kroków, niemal po kolana włączając w wodę. Rozpaczliwie przyzywał Kurda, ale pies biegał tam i z powrotem. i wściekłym ujadaniem trzymał w szachu zbliżające się na piechotę trzy fagory. Nagle podpłynęło wielkie drzewo, które prąd toczył obracając nim nieustannie. Ociekający konar wynurzył się niczym ramię i uderzył fagora i człowieka, splecionych ze sobą na płyciźnie. Gwałtowne uderzenie skosiło obu i obu przykryły wartkie fale. Drugi konar podniósł się z nurtu, po czym także opadł, tworząc żółtawe wiry w miejscu zatonięcia.

Przez cztery godziny Bataliksa jak pies w gnat wgrzyzała się w bok Freyra. W końcu połknęła jaśniejszą gwiazdę. Siny półmrok zalegał ziemię całe wczesne popołudnie. Nawet owad się nie poruszył.

Na trzy godziny Freyr zniknął ze świata, skradziony z dziennego nieba. Okrojony pojawił się o zachodzie. Nikt nie mógł zaręczyć, że kiedykolwiek będzie znowu cały. Gęste chmury wypełniły niebiosa od horyzontu do horyzontu. Tak skończył się dzień – dzień trwogi. Dorosły czy dzieciak, każda istota ludzka w Oldorando szła spać z duszą na ramieniu. Potem zerwał się wiatr, zacinając deszczem, wzmagając niepokój. W starym mieście zdarzyły się trzy wypadki śmierci, w tym jeden samobójczej, i spłonęło bądź płonęło nadal kilka budynków. Jedynie gwałtowna ulewa zapobiegła

gorszym burdom.

Łuna jednego z pożarów, na nowo rozdmuchanego przez wiatr, odbijała się w tafli deszczowej wody pod Wielką Wieżą. Odblask rzucał cienie na sufit izby, w której Oyre leżała na łóżku, nie mogąc zasnąć. Dał wiatr, trzaskała okiennica, iskry wlatywały kominem nocy. Oyre czuwała. Prześladowały ją komary, najnowsi obywatele Oldorando. Każdy tydzień przynosił coś, czego nikt jeszcze nie przeżył.

Migotliwy odblask z dworu łączył się z plamami na suficie, malując złudny wizerunek starca o długich potarganych włosach, odzianego w długą szatę. Wyobrażała sobie, że starzec osłania głowę podniesionym ramieniem, i dlatego nie widać jego twarzy. Był czymś zajęty. Nogi poruszały mu się wraz z marszczeniem przez wiatr powierzchni kałuży na dworze. W milczeniu spacerował pośród gwiazd. Znudzona tą zabawą odwróciła spojrzenie, rozmyślając o swoim ojcu. Spojrzawszy ponownie na sufit dostrzegła swoją pomyłkę; znad ramienia starzec świdrował ją wzrokiem. Twarz miał dziobatą i pomarszczoną ze starości. Szedł teraz szybciej, okiennica trzaskała w rytm jego kroków. Maszerował przez świat prosto ku niej. Ciało miał pokryte jadowitą wysypką. Oyre ocknęła się i usiadła. Komar bzykał jej nad uchem. Drapiąc się w głowę spojrzała w drugi kąt izby, na dyszącą ciężko Dol.

– Jak tam u ciebie, panno?

– Bóle są coraz częstsze.

Oyre naga wylazła z łóżka, narzuciła długi płaszcz i poczłapała przez izbę tam, gdzie blade majaczyła twarz przyjaciółki.

– Posłać po Mamę Bikinę?

– Jeszcze nie. Porozmawiajmy. – Dol wyciągnęła rękę i Oyre ujęła jej dłoń. – Jesteś teraz moją najlepszą przyjaciółką, Oyre. Bardzo dziwne rzeczy chodzą mi po głowie, kiedy tak leżę. Ty i Vry... Wiem, co o mnie myślicie. Obie jesteście dobre, a jakże inne... Vry taka niepewna siebie, ty zawsze taka pewna...

– Bierzesz to wszystko na opak.

– Tak. nigdy nie byłam zbyt mądra. Ludzie zawodzą się nawzajem w najokropniejszy sposób, prawda? Mam nadzieję, że nie zawiodę dziecka. Zawiodłam twojego ojca, wiem. A teraz ten łajdak mnie zawiódł... Nie mogę uwierzyć, że go nie ma przy mnie, akurat tej nocy ze wszystkich.

Ponownie stuknęła okiennica piętro niżej. Obie jednocześnie skuliły się. Oyre położyła dłoń na wydętym brzuchu przyjaciółki.

– Jestem pewna, że nie odszedł z Shay Tal, jeśli to cię trapi. Dol wsparła się na łokciach, odwracając twarz do Oyre.

– Czasami – powiedziała – nie mogę znieść własnych uczuć... ten ból to nic w porównaniu z nimi. Wiem, że nawet w połowie jej nie dorównuję. Jednak to ja powiedziałam „tak” a ona powiedziała „nie” i to się liczy. Ja zawsze mówiłam „tak”, a nie ma go przy mnie... Myślę, że on mnie nigdy nie kochał...

Nagle rozszlochała się gwałtownie, łzy popłynęły jej ciurkiem z oczu. Oyre widziała, jak połyskują w migotliwej łunie, kiedy Dol obróciła się, by wtulić twarz w bujną pierś przyjaciółki. Wiatr zawył posępnie i znowu huknął okiennicą.

– Pozwól mi posłać niewolnicę po Mamę Bikinę, kochanie – rzekła Oyre. Mama Bikinka przejęła obowiązki położnej, od kiedy matka Dol zniedołężniała.

– Nie, jeszcze nie.

Stopniowo łzy jej przestały płynąć. Westchnęła głęboko.

– Czasu dość. Dość czasu na wszystko.

Oyre wstała, owinięła się szczelnie płaszczem i bosy poszła umocować Okiennicę. Uderzył ją w twarz wilgotny wiatr, potężnie dmący z południa, i chciwie odetchnęła pełną piersią. Wiatr przyniósł odwieczny głos embruddockich gęsi, które znalazły schronienie pod żywopłotem.

– A czemu ja bronie swej samotności? – zapytała nocy. Zakładając rygiel poczuła gorzkawy swąd spalenizny. Budynek w sąsiedztwie wciąż kopał, przypominając o powszechnym szaleństwie dnia. Kiedy wróciła do obskurnej izby. Dol siedziała na łóżku, ocierając sobie twarz. 9

– Lepiej sprowadź Mamę Bikinę, Oyre. Przyszły lord Embruddocku dobija się na świat.

Oyre pocałowała ją w policzek. Twarze obu kobiet były blade, oczy szeroko otwarte.

– On wróci niebawem. Mężczyźni są tacy... nieodpowiedzialni.

Wiatr stukający w okiennicę Oyre przybywał z daleka i daleka czekała go droga do wapiennych grzbietów Quzint. Miejsce jego narodzin znajdowało się ponad niezgłębionymi toniami morza, które przysli żeglarze nazwą Gorejącym, Sunął wzdłuż równika na zachód, nabierając prędkości i wilgoci, aż wpadłszy na wielką zaporę Wschodniej Tarczy Kampanlat, Nktryhk, rozdzielił się na dwa wichry.

Północny prąd powietrza zahulał nad zatoką Chalce i wyczerpał siły topiąc wiosenne-przymrozki Sibornalu. Południowy prąd powietrza opłynął przylądki Vallgos, najpierw Morzem Bułackim, a potem północno-wschodnim rejonem Morza Orłów, by owiać zapachem ryb niziny pomiędzy Keevasien i Ottassol. Huczał po pustkowiach, które pewnego dnia będą wspaniałą krainą Borlien, wzdychał nad Oldorando, stukając do okna Oyre. Poleciał dalej w swoją drogę, nie czekając na pierwsze krzyki syna Aoza Roona. Ten ciepły prąd powietrza niósł ze sobą ptaki, owady, zarodniki, pyłek kwiatowy i mikroorganizmy. Żył na świecie parę godzin i niewiele dłużej w pamięci ludzi, mimo to odegrał swą rolę w burzeniu starego porządku rzeczy.

Po drodze przyniósł odrobinę nadziei podupadłemu na duchu człowiekowi siedzącemu w konarach drzewa. Drzewo to rosło na wyspie, pośrodku bystrzyny, która powoli przeradzała się w potężny dopływ rzeki Takissy. Człowiek miał zranioną nogę i cierpiąc tkwił w bezpiecznym dla siebie miejscu.

Pod drzewem przykucnął wielki samiec fagor. Być może, wyczekiwał okazji do ataku. Tak czy owak siedział zastygły w bezruchu, strzepując jedynie co jakiś czasu uchem. Jego krak przysiadł na gałęzi drzewa, jak najdalej od rannego człowieka.

Człowieka i fagora, na wół utopionych, wyrzuciła tu woda. Pierwszy z nich wlaź na drzewo, gdyż było to jedyne bezpieczne miejsce dla kogoś w jego stanie. Trzymał się pnia drzewa, gdy dmuchał wiatr. Wiatr był zbyt ciepły dla fagora. Wreszcie fagor drgnął, szybko wstał i ani razu nie obejrzawszy się za siebie odszedł klucząc ostrożnie między gałęziami, które zawały całą niemal powierzchnię wąskiej wyspy. Krak, wyciągnawszy szyję, przez jakiś czas śledził go wzrokiem, po czym rozpostarł skrzydła i pofrunął za swym żywicielem.

Gdybym tak złapał i zabił to ptaszysko – myślał człowiek – byłoby to już jakieś zwycięstwo... i byłoby coś na ząb. Aoz Roon miał jednak bardziej palące problemy niż głód. Najpierw musiał zwyciężyć fagora. Spod osłony liści patrzył o świcie na brzeg rzeki, z którego został zmyty. Tam, na podmokłym gruncie, stały cztery fagory, każdy z krakiem na ramieniu, czy też leniwie kołującym mu nad głową; jeden trzymał kaidawa za grzywę. Sterczeli tam od wielu godzin, niemal bez ruchu, z oczyma utkwionymi w wyspę. W bezpiecznej od nich odległości kręcił się na skraju-wody Kurd. Pies był niespokojny, to przysiadł i skowyczał, to truchtał tam i z powrotem, przepatrując ciemne wiry.

Przygryzając z bólu dolną wargę Aoz Roon usiłował przesunąć się dalej na konarze, aby śledzić

odejście bliższego przeciwnika. Ten szedł powoli. Ponieważ na wyspie nie było dokąd pójść, Aoz Roon sądził, że łotr po prostu zrobi kółko i wróci; gdyby był w lepszej formie, przygotowałby mu jakąś niemiłą niespodziankę na powitanie. Spojrzał zezem w niebo. Freyr wyplątywał się z zasieków drzew, najwyraźniej bez szwanku po przejściach dnia wczorajszego. Bataliksa zdążyła już wzejść i kryła się za chmurą. Miał wielką ochotę przysnąć sobie, ale nie śmiał. Fagor zapewne odczuwał tę samą potrzebę. Łajdaka nie było ani widać, ani słyszeć. Jedyнным słyszalnym odgłosem było niezmordowane bulgotanie wody rwącej na południe. Zimnej jak lód – co Aoz Roon pamiętał doskonale. Jego wróg odchoruje tę kąpiel.

Ani chybi coś knuje. Mimo bólu Aoza Roona korciło, żeby zleźć z drzewa na zwiady. Podjąwszy decyzję odczekał chwilę, zbierając siły. I drapiąc się.

Ruch sprawiał mu trudności. Członki miał zeszywniałe. Ogromne czarne futro wciąż było ciężkie od wody. Najbardziej dokuczała mu lewa noga, boleśnie obrzmiała i twarda, unieruchomiona w kolanie. Mimo to jakoś zjechał, a pod koniec zleciał z drzewa na ziemię. Leżał wijąc się z bólu i łapiąc oddech, niezdolny się podnieść, w każdej chwili oczekując podstępnego ataku fagora i śmierci. Z brzegu nawoływały fagory obserwujące jego poczynania Jęcz ich głosy, nie tak donośne jak głos człowieka, ledwo docierały zza rwącej wody. Zawył też Kurd.

Aoz Roon stanął na nogi. Nad brzegiem spienionej toni znalazł odarty z gałązek konar, którym podparł się niczym kulą. Lęk, zimno, słabość, wszystko zakotłowało się w nim jak wiry powodzi, omal go nie przewracając. Czuł, że własne ciało mu ciąży, zziębnięte a rozpalone. Drapiąc się z szeroko otwartymi ustami, z rozpaczą toczył okiem wokoło, wypatrując napastnika. Nigdzie nie było widać fagora.

– I tak cię załatwię, gnoju, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu... Jeszcze jestem lordem Embruddocku...

Pokuśtykał, kryjąc się za stertami kamieni zawałających środek wyspy, niewidoczny dla czatujących na brzegu fagorów. Skalny rumosz i skąpa trawa po prawej stronie schodziły w ton, której zdradliwe gładzie biegły pod daleki drugi brzeg. Mgły jednały się z wodą wełnami nad jej marmurową taflą.

Rachityczne młodziutki i starsze drzewa dzieliły z nim los rozbitka na tym niby wraku, niektóre jak maszty, złamane pod ciosami głazów toczonych falami poprzednich powodzi. To pobojuwisko żywiołów miało w najszerszym miejscu nie więcej niż dwanaście metrów, za to długością – niczym wystający grzbiet jakiejś wielkiej podwodnej istoty – dzieliło nurt dalej, niż sięgał wzrok.

Jak zraniony niedźwiedź kuśtykał Aoz Roon na ten rozpaczliwy rekonesans, ostrożnie posuwając się samym skrajem wody, aby zachować jak największy dystans pomiędzy sobą a zaczajonym gdzieś fagorem.

Z kępy paproci tuż przed nim szusnął jelen z uniesionym łbem, z ogniem w oku. Aoz Roon stanął jak wryty; byk chlupnął w fale i po chwili nad powierzchnią toni sterczał tylko rdzawy łeb, dźwigający wieniec o trójgrotowych koronach. Z żalonym rykiem byk zdał swoje potężne ciało na łaskę jeszcze większej potęgi wód, które poniosły go szerokim łukiem. Wydawało się, że nie zdoła osiągnąć drugiego brzegu, gdy w tumanach mgły zniknął Aozowi Roonowi z oczu, wciąż dzielnie płynąc.

Przełaząc po jakimś czasie przez zwałony pień Aoz Roon znów ujrział kraka. Ptak przyglądał mu się diamentowym okiem bazyliuszka z wysokości krytego darnią i kamieniami dachu jakiejś chaty. Chata miała ściany ze skalnych ciosów; gruby żwir w stertach, paprocie i koślawe drzewka usiłowały przeobrazić ją w twór przyrody. Aoz Roon zaszedł kołem od frontu, pewien, że w środku siedzi fagor. Grunt opadał i woda kłębiła się o trzy stopy od progu. W tym miejscu wyspa tonęła.

Wynurzała się parę metrów dalej w górę nurtu, podejmując wyznaczony kurs jak wąska łódź z ładunkiem nikomu niepotrzebnych kamieni. Obie części dzielił wir wody najwyżej po kolana. Człowiek-niedźwiedź mógł przejść w bród na drugą stronę, gdzie będzie bezpieczny. Fagor z właściwym jego rasie wodowstrętem przenigdy za nim nie polezie.

Zięb nurtu niczym zęby aligatora przenikał kości. Słaniając się i głośno jęcząc Aoz Roon dobrnął do drugiej wyspy. Upadł. Nie wstawał, tylko gramolił się po kamieniach, wykręcając szyję, aby nie tracić chaty z oczu. Wróg musiał być w chacie – chory, ranny, tak jak i on. Dźwignął się wreszcie na nogi i łażąc po wyspie szukał czegoś jak ogłupiały, a nie znalazłszy wyciął nożem dwie mocne żerdzie. Z wetkniętymi pod pachę żerdziami wpakował się z powrotem w lodowaty nurt, kuśtykając z pomocą swego szczudła. Wzrok miał utkwiony w drzwiach chaty. U progu przemknął mu nad głową cień. Pikujący z góry krak rozorał mu skroń haczykowatym dziobem. Puściwszy żerdzie i szczudło machnął nożem w powietrzu. Nurkującemu po raz drugi krakowi rozplątał pierś. Ptak w kalekim przechyle wylądował na kłodzie, siejąc pióra skropione czerwoną krwią.

Aoz Roon dowlókł się do drzwi i fachowo zaparł żerdzie, jedną pod klamkę, drugą pod górny zawias. Drzwi zatrzasnęły się natychmiast. Potem rozległo się łomotanie i ryk usiłującego wywalić je fagora. Żerdzie nie puściły. Aoz Roon podniósł szczudło. Już miał wracać na swoją wysepkę, gdy jego spojrzenie padło na kraka. Brocząc krwią z piersi ptak przeskakiwał z nogi na nogę. Aoz Roon wziął zamach szczudłem i silnym ciosem dobił ptaszysko. Z krakiem pod pachą po raz trzeci zanurzył nogi w lodowatej wodzie. Po drugiej stronie klapnął na ziemię, żeby masażem przywrócić w nich trochę czucia. Przeklinał ból w kościach. Łomotanie do drzwi chaty nie ustawało. Prędzej czy później któraś z żerdzi puści ale na razie fagor był unieszkodliwiony, a lord Embruddocku triumfował.

Z krakiem w garści wpłynął między dwa pochylone razem drzewa, ściągając zewsząd kamienie dla osłony. Ogarniały go fale słabości. Zapadł w sen, z twarzą wtuloną w pierze na nie ostygłej jeszcze ptasiej piersi. Obudził się zziębnięty i zdrętwiały. Freyr tonął w złotej mgle nisko na zachodnim nieboskłonie. Przekręciwszy się w swej kolibie Aoz Roon mógł obserwować pobliski brzeg. Fagory tkwiły na posterunku. Za ich plecami widział skarpe i nawet miejsce, gdzie padł Elin Tal. Za tym wszystkim wielki strażnik pławił się we mgle. Ani śladu Kurda na brzegu.

Noga jakby mniej go bolała. Wlokąc martwego ptaka wypełznął z kryjówki i dźwignął się z ziemi. Fagor czekał o parę zaledwie metrów, po drugiej stronie przesmyku. Za fagorem widać było nie naruszone drzwi chaty. W dachu ziała wybita dziura, zwalone na bok kamienie wskazywały drogę ucieczki fagora. Parsknąwszy fagor obrócił głowę w jedną stronę. potem w drugą, błyskając w słońcu rogami podczas tego zagadkowego gestu. Z sierścią zbitą w kołtun po niedawnej kąpieli w rzece, przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Gdy tylko człowiek cały wystawił się na cel, rzucił prymitywną włócznią. Nazbyt odrętwiały Aoz Roon nawet nie uchylił głowy, ale włócznia minęła go z daleka. Zobaczył, że to jedna z żerdzi, jakie wyciął do zaklinowania drzwi chaty. Być może fagor zranił sobie ramię i dlatego spudłował tak haniebnie. Aoz Roon pogroził mu pięścią. Niebawem miała zapaść krótka noc. W naturalnym odruchu zapragnął rozniecić ognisko. Wziął się do roboty dziękując Wutrze za poprawę samopoczucia, chociaż wciąż odczuwał dziwne mdłości. Na pewno z głodu – rzekł sobie, a jedzenie będzie miał, gdy tylko rozpali ogień. Nazbierał chrustu i spróchniałego drewna i osłoniwszy wybrane miejsce kamieniami, zaczął wprawnie kręcić patykiem w dłoniach, jak dobry krześnik. Zatliła się hubka. Stał się zwykły cud i buchnął płomyczek. Surowe rysy twarzy Aoza Roona złagodniały nieco, kiedy patrzył w dół na żar pomiędzy swymi dłońmi. Fagor przyglądał mu się nieporuszony z odległości paru kroków.

– Zynu Freyra, ty grzejesz się sobie – zawołał.

Podnosząc wzrok Aoz Roon ujrzał jedynie sylwetkę wroga, zarysowaną na tle złotego nieba o zachodzie.

– Ano grzeję się, a co więcej, zaraz sobie upiekę i zeżrę twojego kraka, śmierduchu.

– Ty daj krak mój kawałek.

– Wody opadną za dzień czy dwa. Wtedy obaj możemy wracać do domu. Na razie siedź tam, gdzie siedzisz.

Fagor miał twardą wymowę. Odrzekł coś, lecz Aoz Roon nie zrozumiał. Siedział przy swym ognisku, spozierając ponad ciemną wodą na przeciwnika, którego sylwetka zlewała się już z konturami drzew i wzgórz, czarnych na tle zachodzącego słońca. Siedział i drapał się pod futrem, i kiwał w przód i w tył.

– Ty, Zynu Freyra, jezdeż złaby i umrzesz w nocy.

Miał trudności z wymową syczących głosek, brzmiały jak twarde „z”.

– Złaby? Niech ci będzie, że jezdem złaby, ale umrę lordem Embruddocku, a ty zasańcem.

Zawołał parę razy na Kurda, ale pies nie odpowiadał. Przy ziemi było zbyt ciemno, aby zobaczyć, czy grupka fagorów nadal czatuje na brzegu rzeki. Cały świat zapadał się w nocy, zostawiając po sobie chaos tajemniczych cieni. Słabość rodziła w Aozie Roonie lęk i wrażenie, że fagor gotuje się do skoku i zaraz przesadzi dzielącą ich wodę. Pogroził mu pięścią.

– Nie włącz na moją ziemię, a ja nie wleżę na twoją. Samo wygłoszenie tych słów go wyczerpało. Przycisnął dłonie do oczu i dyszał, jak zwykły dyszeć Kurd po skończonych łowach. Fagor milczał przez dłuższą chwilę, jakby ważył w myślach propozycję człowieka, w końcu postanawiając ją odrzucić. Uczynił to bez żadnego gestu, mówiąc:

– My żyjemy i my umieramy na tej zamej ziemi, na tej zamej ziemi. Dlatego muzimy walczyć.

Słowa doleciały przez wodę do Aoza Roona. Nie mógł doszukać się w nich sensu. Pamiętał tylko, jak krzyczał do Shay Tal, że przeżyją dzięki jedności. Teraz wszystko mu się plątało. To cała ona, nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna.

Obróciwszy się do ogniska przyklęknął, dorzucił gałęzi i przystąpił do krwawego dzieła ćwiartowania ptaka. Wyrwane udo ze zwisającymi ścięgnami nadział na patyk. Zanim umieścił je nad ogniem, poczuł we wszystkich kościach katusze niedawnej wysypki na ciele, jakby to jego szkielet był w ognisku. Mdłości podeszły mu do gardła. Nagle na samą myśl o jedzeniu zrobiło mu się niedobrze.

Powstał chwiejnie z ziemi, wdepnął w ognisko, zabrnął w wodę, z krzykiem zakręcił się w kółko, wnosząc zakrwawione ptasie udo do nieba. Woda huczała. Zdawało mu się, że rzeka stoi w miejscu, że wyspa jak wąskie czółno pruje toń jeziora, a on nie jest w stanie powstrzymać biegu czółna po jeziorze, które ciągnie się bez końca w głąb ogromnej jaskini ciemności. Gardziel jaskini połknęła Aoza Roona.

– Masz gorączkę kości – rzekł fagor. Nazywał się Yhamm-Whrrmar. Nie był wojownikiem. Należał do wędrownych drwali i grzybiarzy. Skradziono im kaidawy. Kiedy dwaj Synowie Freyra napatoczyli się ich gromadce, fagory spełniły po prostu swój święty obowiązek, co dla Yhamma-Whrrmara skończyło się pewnymi kłopotami.

Siły wyższe rzuciły grzybiarzy na zachód. Podążając w przeciwnym kierunku szlakami pomyślnych oktaw śródpowietrznych, od napotkanych podobnych sobie hołyszów usłyszeli o pochodzie wielkiej krucjaty, która niszczy wszystko na swej drodze. Zaniepokojeni tym grzybiarze nie przerwali wprawdzie wędrówki w poszukiwaniu chłodniejszych terenów, zboczyli jednak w długą dolinę, gdzie oktawy śródpowietrzne przestały im sprzyjać. Nadeszły powodzie, więc musieli

kluczyć. Niepomyślność i niepewność zagnieździły się w ich toniach.

Yhamm-Whrrmar stał nieruchomo na brzegu rozlewiska, czekając na śmierć Freyra, siewcy zła. Ciemności niosły ukojenie. Poruszył się i rozmasował obolałe ramię. Cieszył się z nadejścia nocy. Wróg jego bez życia leżał opodal na kupie kamieni. Z tej strony nie będzie już więcej kłopotów. Ostatecznie, choć to dokuczliwa plaga. Synowie Freyra zasługiwali na litość: w końcu sama obecność rasy ancipitalnej porażała ich wszystkich słabością. Zwykła sprawiedliwość. Yhamm-Whrrmar stał jak posąg, nie licząc godzin.

– Jesteś zły i umrzesz – zawołał.

Lecz on również czuł w sobie złe śródpowietrze. Podrapał kark zdrową ręką i rozejrzał się po ogromnych przestworzach mroku. Ciemności już ustępowały. Gdzieś na wschodzie Bataliksa, ta dzielna amazonka Bataliksa, matka rasy ancipitalnej, rozsyłała już blade wici o swoim powrocie. Yhamm-Whrrmar wszedł do chaty i pod rozwalonym dachem legł na ziemi, zamykając karmazynowe oczy; spał bez ruchu i bez sennych marzeń.

Ponad bezmiar wód zakradła się nikła łuna zwiastująca wschód Bataliksy. Wiele jeszcze razy wschodzić miała Bataliksa, zanim opadną fale powodzi, bowiem fale te czerpały soki z kolosalnych zasobów wód w rezerwuarach dalekiego Nktryhku. Nadejdzie czas, kiedy fale wyżłobią sobie regularne koryto rzeki. Jeszcze później przesuną się masy ziemi i skierują rzekę gdzie indziej. W odległym wciąż o wiele stuleci apogeum Freyrowej chwały kraina ta wyschnie i powstała z niej pustynię Madurę będą przemierzać ludy z nie narodzonej jeszcze przyszłości.

Kiedy tak sobie spali, człowiek i fagor, żadnemu się nawet nie śniło, że fale będą obmywać lichy spłachetek ich wyspy przez całą przyszlą epokę. Była to chwilowa powódź, ale ta chwila trwać miała dwieście lat Bataliksy.

XIII. WIDOK Z PÓŁROONÓWKI

W Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej doskonale znano termin „gorączka kości”. Stanowiła element mechanizmu choroby wywołanej przez wirusa, którego uczone rody na „Avernusie” znały pod nazwą wirusa helikoidalnego, i lepiej rozumiały jego działanie niż ci, którzy zarażeni nim cierpieli i marli na planecie w dole.

Badania w dziedzinie mikrobiologii helikońskiej były tak dalece zaawansowane, że Ziemianie wiedzieli już o dwukrotnym ujawnianiu się wirusa w ciągu 1825 lat każdego wielkiego roku Helikonii. Wprawdzie Helikończykom mogło wydawać się inaczej, ale ujawnienia te nie zachodziły przypadkowo. Występowały niezmiennie w okresie dwudziestu zaćmień, zwiastujących początek prawdziwej wiosny, i po raz drugi w okresie sześciu lub siedmiu zaćmień pod koniec Wielkiego Roku. Równoczesne zaćmieniom klimatyczne zmiany działały jak wyzwalacie dwóch faz wirusowej hiperaktywności, z których jedna stanowiła niejako lustrzane odbicie drugiej, o skutkach równie zabójczych, mimo że całkowicie odmiennych w odmiennych okresach.

Dla mieszkańców planety w dole obie te plagi uchodziły za odrębne zjawiska. Szalały w odstępie ponad pięciu małych stuleci helikońskich (to znaczy nieco ponad siedmiu stuleci ziemskich). Toteż i nazwy miały odrębne, „gorączka kości” i „tłusta śmierć”.

Chorobowa rzeka wirusów jak niepowstrzymana powódź zmieniała dzieje tych wszystkich, których ziemią popłynęła. Jednakże pojedynczy wirus, niczym pojedyncza kropla wody, nie wyglądał imponująco. Żeby mogło go zobaczyć ludzkie oko, helikoidalny wirus musiałby zostać powiększony dziesięć tysięcy razy. Jego wielkość wynosiła dziewięćdziesiąt siedem milimikronów. Składał się z cząsteczki RNA w dwudziestościennej osłonie zbudowanej z lipidów i białek, i pod wieloma względami przypominał pleomorficznego helikoidalnego wirusa wywołującego wygastą ziemską chorobę zwaną świnką.

I uczeni na „Avernusie”, i obserwatorzy Helikonii z dalekiej Ziemi zdawali sobie sprawę, jaką rolę odgrywa ten zabójczy wirus. Niczym starożytny hinduski bóg Siwa, wirus uosabiał ancipitalne żywioły zagłady i odrodzenia. Zabijał, a jego śladem szło życie. Swą obecnością na planecie helikoidalny wirus zapewniał ciągłość życia obu rasom – ludzkiej i fagorzej. Z powodu jego obecności żaden osobnik z Ziemi nie mógł postawić stopy na Helikonii, chyba że za cenę życia. Helikonii władał wirus helikoidalny, stanowiąc sanitarny kordon wokół planety.

Jak dotąd gorączka kości nie dotarła do Embruddocku. Nadciągała jednak tak samo nieubłagane, jak kruczata młodego kzhahna Hrr-Brahla Yprta. Uczone głowy z „Avernusa” zadawały sobie pytanie, co uderzy pierwsze.

Inne pytania zaprzętały mieszkańców Embruddocku. Mężczyźni u szczytu chwiejnej hierarchii łamali sobie głowy, jak dojść do władzy i jak ją potem utrzymać. Na szczęście dla losów ludzkości nigdy nie znaleziono ostatecznej odpowiedzi na to pytanie. Ale Tanth Ein i Faralin Ferd, chłopcy pazerne i samolubne, nie interesowali się teoretyczną stroną tego zagadnienia. Czas mijał, nieobecność Aoza Roona przedłużyła się do ponad pół roku i nadszedł nowy rok – złowróźbny rok dwudziesty szósty wedle nowego kalendarza – a dwaj namiestnicy rządzą wszystkim w myśl zasady „aby do jutra”. To im odpowiadało.

Mniej odpowiadało to Raynilowi Layanowi. Z jego zdaniem coraz bardziej liczyli się zarówno obaj regenci, jak i starsi rady. Raynil Layan widział potrzebę zaprowadzenia w Oldorando nowego

ladu”, który wyniósłby go do władzy poniekąd bez użycia siły, co mu najbardziej odpowiadało. Niby to pod naciskiem kupców on, Raynil Layan, wybije pieniądz, którym zastąpi stary jak świat handel wymienny. Odtąd nic w Oldorando nie będzie za darmo.

Za chleb płacimy pieniądzem Raynila Layana.

Zadowoleni, że dostaną swoją działkę, Tanth Ein i Faralin Ferd przyklasnęli propozycji. Miasto rozrastało się z dnia na dzień. Nie dało się dłużej ograniczać handlu do przedmieść, handel był już centrum życia i żył w centrum. I można go było opodatkować zgodnie z nowatorskim pomysłem Raynila Layana.

– Nie godzi się płacić za żarcie. Powinno być za darmo, jak powietrze.

– Przecież mają nam dać pieniądze na kupno jedzenia.

– Coś mi tu śmierdzi. Raynil Layan się obłowi – rzekł Dathka.

On i drugi lord Zachodniego Stepu szli spacerkiem w kierunku wieży Oyre, po drodze dokonując inspekcji podległych im rewirów. Rewiry rozrastały się wraz z Oldorandem. Wszędzie widać było nowe twarze.

Uczeni starcy z rady szacowali – biadając nad tym co niemiara – że rodowici mieszkańcy stanowią nieco ponad jedną czwartą ludności. Reszta to obcy, wielu tylko przejazdem. Oldorando leżało na skrzyżowaniu kontynentalnych szlaków, które właśnie zaczynały ożywać. Tam, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu widniały szczerze pola, teraz urządzono pola namiotowe i stawiano chaty. Niektóre zmiany sięgały głębiej. Dawna łowiecka reguła, surowa i sybarycka na przemian, skończyła się z dnia na dzień. Mustangi Laintala Aya i Dathki karmili niewolnicy. Zwierzyny było jak na lekarstwo, kołatki zniknęły, a koczownicy dostarczali bydło, zwiastujące bardziej osiadły tryb życia.

Uroki targowiska zniszczyły więź łowieckiej drużyny. Ci, których żywiołem w czasach Aoza Roona było uganianie się z wichrem w zawody po nowo odkrytej prerii, obecnie poprzestawali na szlifowaniu bruków, zajmując się za kramarzy albo stajennych, rzeźmieszków lub alfonsów.

Lordowie Zachodniego Stepu odpowiadali dziś za porządek w rozrastającej się dzielnicy miasta na zachodnim brzegu Voralu. Mieli do pomocy szeryfów. Biegli w murarce niewolnicy z południa wznosili dla nich wieżę mieszkalną. W brassimipach założono łomy kamienia. Nowa wieża, naśladująca kształtem stare, miała się wznosić na trzy piętra i górować nad namiotami tych, których lordowie próbowali utrzymać w ryzach.

Po sprawdzeniu dziennego postępu robót i wymianie żartów z nadzorcą, Laintal Ay i Dathka podążyli ku staremu miastu, przepychając się w ciżbie pielgrzymów. Tutejsze budy przygotowane były do obsługi tego rodzaju wędrowców. Każdy kram miał wydany przez urząd Laintala Aya patent, którego numer widniał na szyldzie. Napływała kolejna fala pielgrzymów. Laintal Ay zszedł im z drogi, opierając się plecami o świeżo postawioną płócienną ścianę. Pięta zawisła mu w powietrzu, obsunął się i wylądował na dnie dołu ukrytego za płóciennym parawanem. Dobył miecza. Trzej bladzi młodzieńcy z obnażonymi torsami patrzyli na niego przerażeni, gdy obrócił się do nich z mieczem w dłoni. Dol był głęboki po pas, wielkości małej izby. Młodzieńcy mieli na środku czoła namalowane oko. Zza rogu płóciennej ściany wyszedł Dathka i zajrzał do wykopu, rozbawiony tym, co spotkało przyjaciela.

– Co wy tu robicie? – spytał trójcę trójokich Laintal Ay. Ochłonawszy z wrażenia trzej cyklopi postawili się hardo. Jeden z nich rzekł:

– To będzie świątynia poświęcona wielkiemu Akhce Naaba, zatem ziemia to święta. Musimy cię prosić o bezzwłoczne jej opuszczenie.

– To moja ziemia – powiedział Laintal Ay. – Pokażcie no mi patent na jej dzierżawę.

Młodzi ludzie wymienili między sobą spojrzenia, a tymczasem wokół jamy wyrósł tłumek

pielgrzymów, gapiących się w dół. Słysząc było gniewne pomruki. Wszystkich okrywały białoczarne szaty.

– Nie mamy patentu. My niczego nie sprzedajemy.

– Skąd jesteście?

Rosły mężczyzna w czarnym turbanie na głowie stanął na skraju wykopu w towarzystwie dwóch starszych kobiet, dźwigających jakiś spory pakunek. Napuszczonym głosem zawołał:

– Jesteśmy wyznawcami wielkiego Akhy Naaba i podążamy na południe, niosąc słowo. Zamierzamy wnieść tutaj małą kapliczkę i żądamy, abys natychmiast usunął swą niegodną osobę.

– To moja ziemia, każda jej garść. Dlaczego kopiecie w dół, skoro macie wznosić kaplicę do góry? Czy wy, barbarzyńcy, nie odróżniacie ziemi od nieba?

– Akha jest bogiem ziemi i podziemi – pokorniej ozwał się jeden z młodych kopaczy – a my żyjemy w jego żyłach. Poniesiemy zwiastowanie do wszystkich ziem. Czyż nie jesteśmy poborcami z Pannowalu?

– Nie pobierzecie sobie tej dziury bez pozwolenia! – ryknął Laintal Ay. – Jazda stąd, wszyscy!

Rosły, – napuszczony mężczyzna podniósł krzyk, lecz Dathka dobył miecza. Sięgnął głównią. Pakunek, dźwigany przez dwie kobiety, okrywała szmata. Nadziawszy ją na sztych Dathka zerwał tkaninę. Ukazała się półludzka postać w cudacznym przysiadzie, o żabich oczach, ślepych a wybałuszonych. Wyrzeźbiono ją w czarnym kamieniu.

– To ci śliczności! – gruchnął śmiechem. – Nie dziw, że taką szkaradną gębę musicie zasłaniać ścierką!

Pielgrzymi wpadli w szal. Akha obrażony, Akha zbezczeszczony promieniami słońca. Rzucili się kupą na Dathkę. Wskoczywszy z dołu Laintal Ay z krzykiem natarł na pielgrzymów, płazując mieczem na prawo i lewo. Burda ściągnęła szeryfa w asyście dwóch chwatów z pałkami i po krótkim a tęgim laniu pielgrzymi obiecali dobrze sprawować się w przyszłości. Laintal Ay z Dathka ruszyli w swoją drogę do nowej kwatery Oyre w odbudowanej wieży Vry. Oyre przeprowadziła się, bowiem plac pod Wielką Wieżą, pełen drewnianych jatek i szynków, stał się zbyt gwarny. Z Oyre przeniosła się też Dol z synkiem Rastilem Roonem Denem i ze swą wiekową matką Rol Sakil. Dol bała się mieszkać pod jednym dachem z parą namiestników, Faralinem Ferdem i Tanthem Einem, którzy pod przedłużającą się nieobecność Aoza Roona zaczęli sobie za dużo pozwalać.

Przed wejściem do wieży, wciąż zwanej Wieżą Shay Tal, trzymali straż czterej rośli młodzi borlieńscy wyzwoleńcy. Postawił ich tu Laintal Ay. Zasalutowali mu, gdy wchodził z Dathka do wieży.

– Jak tam Oyre? – spytał już ze schodów.

– Wraca do sił.

Zastał swą ukochaną w łóżku, u jej wezgłowia siedziały Vry, Dol i Rol Sakil. Zbliżył się i Oyre oplótła go ramionami.

– Och, Laintalu Ayu... to było takie straszne. Tak strasznie się bałam.

Patrzyła mu w oczy. Dostrzegł na jej twarzy piętno zmęczenia w nieuchwytnych zmarszczkach pod dolnymi powiekami. Tym, którzy wywoływali ojców, przybywało lat po takiej próbie.

– Myślałam, że już nigdy nie wrócę do ciebie, ukochany – powiedziała. – Świat dolny jest coraz gorszy przy każdej następnej wizycie.

Starość zgięła Rol Sakil we dwoje. Na twarz opadły jej długie siwe włosy, spod których sterczał tylko nos. Siedziała przy posłaniu, tuląc wnuka.

– Jedynie starym, Oyre, tylko im nie udaje się powrócić. Oyre siadła, mocniej przywierając do Laintala Aya. Czuł, jak dziewczyna dygoce.

– Wyglądało to dwakroć straszniej tym razem... bez słońc. Świat dolny jest odwróceniem naszego, prakamień jak słońce w dole pod wszystkim, czarny, świeci czarnym światłem. Wszystkie mamuny wiszą tam jak gwiazdy... nie w powietrzu, tylko w skale. Wszystkie z wolna wsysane do czarnej dziury prakamienia... Są takie złośliwe, nienawidzą żywych.

– To prawda – przytaknęła Dol, uspokajając starą matkę. – Nienawidzą żywych i pożarłyby nas, gdyby mogły.

– Próbują cię chapnąć, gdy przechodzisz.

– W ślepiach mają pełno okropnego pyłu.

– W gębach też...

– A twój ojciec? – nie wytrzymał Laintal Ay, przypominając, po co zapadła w pauk.

– Spotkałam w dolnym świecie matkę... – przez chwilę Oyre nie mogła nic więcej z siebie wydusić.

Obłapiła Laintala Aya, lecz świat – powietrza, do którego on należał, wciąż wydawał jej się mniej rzeczywisty niż świat, z którego powróciła. Ani jednego dobrego słowa nie miała dla niej matka, jeno potępienie i złorzeczenia, i nienawiść tak wściekłą, jakiej nie spotyka się wśród żywych.

– Powiedziała, że okryłam hańbą jej imię, że wpędziłam ją w niesławie do grobu. Ja ją zabiłam, ja jestem winna jej śmierci, nie cierpiała mnie, od kiedy poczuła „pierwsze moje drgnienie w swym łonie... Wszystko złe, wszystko najgorsze, całe moje dzieciństwo... moja bezradność... zafajdane pieluchy... Och, och, nie mogę uwierzyć...

Zaniosła się łkaniem, we łzach szukając ujścia dla rozpacz. Vry podbiegła ją podtrzymać razem z Laintalem Ayem.

– To wszystko nieprawda, Oyre, wszystko to przywidziało ci się.

Została jednak odtrącona przez szlochającą przyjaciółkę. Każdy z obecnych kiedyś tam przebywał w pauk. Patrzyli z ponurym współczuciem, pogrążeni we własnych wspomnieniach.

– A twój ojciec? – powtórzył Laintal Ay. – Spotkałeś go?

O tyle przyszła do siebie, że trzymając Laintala Aya na długość ramion, obróciła ku niemu zaczerwienione oczy i twarz błyszczącą od rozmazanych łez, zasmarkaną.

– Nie było tam ojca, dzięki Wutrze, nie było go tam. Jeszcze nie pora mu zejść do świata dolnego.

Popatrzyli na siebie, nie wierząc własnym uszom. Oyre gadaniem próbowała uśpić podejrzenia, że Aoz Roon przebywa, mimo wszystko, z ShayTal.

– On chyba nie zostanie takim złym mamikiem, chyba życie pełnią życia uchroni go od przemiany w kłębek złości. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas nie grozi mu taki los. Ale gdzież on jest, przez te wszystkie długie tygodnie?

Dol zaraziła się od Oyre łzami i wyrwawszy matce Rastii Roona zaczęła go kołysać, łkając:

– Czy on jeszcze żyje? Gdzie jest? Wcale nie był taki zły, jak czasem wygadywałam... Jesteś pewna, że go nie ma tam, w dole?

– Mówię ci, że nie ma. Laintalu Ayu, Dathko, on nadal żyje, chociaż jeden Wutra wie gdzie, ale na pewno gdzieś na tym świecie.

Uwolniona teraz od niemowlęcia Rol Sakil podniosła lament.

– My wszyscy musimy zejść w to straszne miejsce, prędzej czy później. Dol, och Dol, twoja biedna stara matka jest następną w kolejce... Obiecuj, że zejdiesz mnie odwiedzić, obiecuj, a ja obiecuję, że nie powiem na ciebie złego słowa. Nigdy cię nie potępię za to, że związałaś się z tym okropnym człowiekiem, który zatrzał nam wszystkim życie...

Kiedy Dol pocieszała matkę, Laintal Ay spróbował pocieszyć Oyre, lecz dziewczyna

odepchnęła go nagle 4 wstała z łóżka, ocierając sobie twarz i oddychając głęboko.

– Nie dotykaj mnie, śmierdzą światem dolnym. Daj mi się umyć.

Podczas tych wszystkich lamentów Dathka stał oparty o chropawą ścianę w końcu izby jak wykuty z kamienia. Teraz wyszedł z kąta.

– Uciszcie się wszyscy, spróbujcie ruszyć głową. Grozi nam niebezpieczeństwo i musimy obrócić tę wiadomość na naszą korzyść. Skoro Aoz Roon żyje, to potrzebny nam jest plan działania do jego powrotu. jeśli uda mu się wrócić. Być może pojmały go fugasy. Ostrzegam was, Faralin Ferd z Tanthem Einem planują podstępnie zagarnąć władzę w Oldorando. Najpierw umyślili założyć mennicę pod zarządem tej gadziny, Raynila Layana. – Jego spojrzenie pobiegło ku Vry i umknęło z powrotem. – Raynil Layan zagonił już kuźników do bicia monet. Wystarczy, że położą na tym łapy i opłacą swoich ludzi, a staną się wszechmocni. Kiedy wróci Aoz Roon, zamordują go jak nic.

– Skąd ty to wiesz? – spytała Vry. – Faralin Ferd i Tanth Ein są jego starymi przyjaciółmi.

– Jeśli o to chodzi... – Dathka urwał i roześmiał się. – Lód jest twardy, dopóki się nie stopi. – Stał bacznie przyglądając się każdemu z obecnych, wreszcie zatrzymał spojrzenie na Laintalu Ayu. – Nadeszła chwila, abyśmy pokazali, co naprawdę jesteśmy warci. Nie mówmy nikomu, że Aoz Roon żyje. Nikomu. Lepiej, żeby tamci pozostawali w niepewności. Niech wszyscy pozostają w niepewności. Wieści Oyre pchnęłyby namiestników do natychmiastowego zagarnięcia władzy. Ruszą się, żeby ubiec Aoza Roona przed jego powrotem.

– Nie sądzę... – zaczął Laintal Ay, lecz Dathka, tak niespodziewanie odnalazszy język w gębie, nie dopuścił nikogo do głosu.

– Kto ma największe prawo do władzy po śmierci Aoza Roona? Ty, Laintalu Ayu. I ty, Oyre. Syn Loilanun i córka Aoza Roona. Groźne jest to niemowlę Dol, rada może się ucześcić jego kandydatury. Laintalu Ayu, ty i Oyre musicie natychmiast wziąć ślub. Dostyc kręcenia. Ściągniemy tuzin kapłanów z Borlien na ceremonię, a wy ogłosicie, że stary lord nie żyje, więc oboje przejmujecie po nim władzę. Ludzie wam przyklasną.

– Faralin Ferd i Tanth Ein także?

– Poradzimy sobie z Faralinem Ferdem i Tanthem Einem – rzekł groźnie Dathka. – Iz Raynilem Layanem. Oni nie cieszą się powszechnym poparciem, tak jak wy.

Spoglądali po sobie wszyscy ze śmiertelną powagą. Wreszcie Laintal Ay przerwał ciszę.

– Nie zamierzam uzurpować sobie tytułu Aoza Roona, kiedy on jeszcze żyje. Doceniam twą bystrość, Dathka, ale nie wykonam twojego planu.

Dathka wsparł się pod boki i uśmiechnął drwiąco.

– Rozumiem. Więc tobie nie przeszkadza, że namiestnicy zagarną władzę? Zabiją cię, jeśli do tego dojdzie... i mnie zabiją.

– Nie wierzę.

– Wierz sobie, w co chcesz, i tak cię zabiją. Ciebie i Oyre, i Dol, i tego dzieciaka. Pewnie Vry także. Obudź się ze swych mrzonek. To twardzi faceci, a działać muszą prędko ze względu na ślepoty i pogłoski o gorączce kości. Zrobią swoje, kiedy ty będziesz siedział z założonymi rękami i żył nadzieją.

– Lepiej byłoby ściągnąć ojca z powrotem – powiedziała Oyre, nie patrząc na Laintala Aya, tylko na Dathkę. – Wszystko się wali... potrzebujemy rządów naprawdę silnej ręki.

Dathka zgryźliwym śmiechem skwitował jej słowa i w milczeniu czekał, jak je przyjmie Laintal Ay. Wszyscy czekali w głębokiej ciszy. W końcu Laintal Ay powiedział z zakłopotaniem:

– Bez względu na to, co zrobią czy mogą zrobić namiestnicy, ja nie będę ubiegał się o władzę. Zasiałbym tylko waśnie.

– Waśnie? – rzekł Dathka. – Miasto już jest zwaśnione, pogrąża się w chaosie, tyłu w nim przybłędów. Jesteś głupcem, jeśli kiedykolwiek wierzyłeś w bajkę Aoza Roona o jedności.

Całą tę sprzeczkę Vry przesiedziała cicho jak trusia tuż przy włączu, plecami oparta o ścianę. Teraz wyszła na środek izby.

– Popelniasz błąd myśląc jedynie o sprawach przyziemnych. – Wskazała na dziecko. – Dokładnie w dniu narodzin Rastia Roona zniknął jego ojciec. To znaczy trzy kwartały temu. Przeminęła pora zachodów dwojga słońc. Trzy zatem kwadry, przypominam ci, minęły od ostatniego zaćmienia czy ostatniej ślepoty, jeśli wolisz dawną nazwę. Muszę cię przestrzec, że nadchodzi kolejne zaćmienie. Zrobiłyśmy z Oyre wyliczenia...

Stareńka matka Dol zaczęła biadolić.

– Dawnymi czasy nie trapiły nas takie nieszczęścia... cóżeśmy uczynili, żeby na nie zasłużyć dzisiaj? Jeszcze jedno, a koniec z nami. Dlaczego?

– Nie potrafię wyjaśnić „dlaczego”, dopiero zaczynam pojmować „jak” – powiedziała Vry, rzuciwszy pełne współczucia spojrzenie na staruszkę. – I jeśli się nie mylę, następne zaćmienie będzie trwało o wiele dłużej niż ostatnie, Freyr schowa się całkowicie na bite pięć i pół godziny, i zjawisko to wypełni większą część dnia, poczynając od wschodu słońca. Nietrudno sobie wyobrazić, jaką to wywoła panikę.

Rol Sakil i Dol uderzyły w bek. Dathka uciszył je bezceremonialnie.

– Całodniowe zaćmienie? Za parę lat nie będziemy w ogóle mieli Freyra, tylko same zaćmienia, jeśli się nie mylisz. Skąd ty to wiesz, Vry?

Obróciła się do niego, badawczo zaglądając w posępne oblicze. Spłoszona tym, co dostrzegła, długo szukała słów, w których wiedziała, że i tak nie zostaną przyjęte.

– Stąd, że wszechświat nie jest splotem przypadków. Jest machiną. Przeto możemy poznać jej mechanizmy.

Tak głęboko rewolucyjnego stwierdzenia od wieków nie słyszano w Oldorando. Dathce zupełnie nie mieściło się to w głowie.

– Skoroś tego pewna, musimy złożyć ofiarę dla odwrócenia losu.

Nie podejmując z nim dyskusji Vry zwróciła się do pozostałych:

– Zaćmienia nie będą wieczne. Potrważą przez dwadzieścia lat. Od dwunastego coraz krótsze, po dwudziestym już nie powrócą.

Marna to była pociecha. Twarze im się wydłużyły na myśl, że za dwadzieścia lat zapewne nikogo z nich już nie będzie wśród żywych.

– Skąd ty to możesz wiedzieć, Vry, co przyniesie jutro? Nawet Shay Tal tego nie potrafiła przewidzieć – rzekł zgnębiony Laintal Ay.

Miała ochotę go dotknąć, ale nie śmiała. – To kwestia obserwacji, gromadzenia faktów z przeszłości i ich kojarzenia. Zrozumienia tego, co wiemy, zobaczenia tego, co widzimy. Freyr i Bataliksa są daleko od siebie, chociaż nam się wydaje, że jest inaczej. Każde balansuje na krawędzi ogromnego kolistego pola. Pola te są nachylone do siebie pod pewnym kątem. W miejscu ich przecięcia występują zaćmienia, kiedy nasza planeta znajduje się w jednej linii z Freyrem, a Bataliksa pomiędzy nimi. Rozumiesz?

Dathka przemierzał izbę tam i z powrotem wielkimi krokami.

– Posłuchaj, Vry – rzekł z irytacją – zabraniam ci głosić publicznie takie zwariowane teorie. Ludzie zabiją cię. Oto do czego doprowadziła akademia. Nie chcę o tym więcej słyszeć.

Rzucił jej ponure spojrzenie, zawzięte, a jednak dziwnie błagalne. Stała jak sparaliżowana. Dathka wyszedł z izby bez słowa, pozostawiając za sobą głuchą ciszę. Zaledwie w chwilę po jego

wyjściu na ulicy pod wieżą wybuchło zamieszanie. Laintal Ay szybko zbiegł na dół zobaczyć, co się dzieje. Podejrzał, że Dathka wkroczył do akcji, lecz przyjaciel gdzieś zniknął. Jakiś człowiek spadł z wierzchowca i głośno wzywał pomocy – cudzoziemiec, sądząc po stroju. Wokoło zebrał się tłum ludzi, niektórzy znani Laintalowi Ayowi z widzenia, ale nikt nie śpieszył podróżnemu z pomocą.

– To mór – powiedział ktoś do Laintala Aya. – Kto udzieli pomocy temu obwiesiowi, sam zaniemoże przed zachodem Freyra.

Sprowadzeni dwaj niewolnicy zawlekli nieszczęśnika do domu zdrowia. Był to pierwszy publiczny przypadek gorączki kości w Oldorando. Laintal Ay wrócił do izby, gdzie Oyre, zdjawszy mustangi, myła się w misce za kotarą, pokrzykując do Vry i Dol. Uderzyła go determinacja Dol – po raz pierwszy zobaczył na jej buzi coś więcej niż śliczne dołeczki. Odjawszy Rastila Roona od piersi dziewczyna przekazała dziecko matce.

– Posłuchaj, mój przyjacielu, musisz coś zrobić. Zwołaj ludzi i przemów do nich. Wyjaśnij im. Nie zważaj na Dathkę.

– Ona ma rację, Laintalu Ayu – krzyknęła Oyre. – Przypomnij wszystkim, że Aoz Roon zbudował Oldorando, że ty jesteś wiernym

Aozowi Roonowi namiestnikiem. Odrzuć plan Dathki. Zapewnij wszystkich, że Aoz Roon nie umarł i że niebawem powróci.

– Tak jest – rzekła Dol. – Przypomnij ludziom, jak wielkim cieszy się szacunkiem i jak zbudował most. Posłuchają ciebie.

– Widzę, że do spółki znalazłyście lekarstwo na nasze kłopoty – powiedział Laintal Ay. – Ale jesteście w błędzie. Aoza Roona nie ma zbyt długo. Połowa ludzi w mieście nie bardzo wie, kto to taki. To są przybysze, kupcy bawiący przejazdem. Wybierzcie się do Pauk i zapytajcie pierwszego lepszego przechodnia o Aoza Roona – nie będzie wiedział, o kim mowa. I stąd właśnie wziął się problem władzy w naszym mieście.

Stał przed nimi niewzruszony, pewny swoich racji. Dol pogroziła mu pięścią.

– Jak śmiesz tak mówić! To kłamstwa. Jeśli... kiedy on wróci, będzie rządził jak przedtem. Już ja dopilnuję, żeby wykopał Faralina Ferda i Tantha Eina. Że nie wspomnę tego nędznika, Raynila Layana.

– Na dwoje babka wróżyła. Dol. Sęk w tym, że Aoza Roona nie ma. A Shay Tal? Kto dziś ó niej pamięta? Pewnie brakuje jej tobie, może jeszcze Vry, ale innym nie.

Vry pokręciła głową.

– Jeśli chcesz znać prawdę – powiedziała cicho – nie brak mi ani Shay Tal, ani Aoza Roona. Uważam, że oni zatruli nam życie. Ona w każdym razie zatrula moje... och, wina była też i moja, wiem, i wiele jej zawdzięczam, ja, córka zwykłej niewolnicy. Ale zbyt niewolniczo podążałam za Shay Tal.

– No właśnie – pisnęła stara Rol Sakil, potrząsając dzieckiem. – Była złym przykładem dla ciebie, Vry, zanadto dziewczęca była nasza Shay Tal, o wiele zanadto. Ty idziesz tą samą drogą. Musi masz już z piętnaście lat, jesteś w kwiecie wieku, i wciąż nie przejechała. Pośpiesz się z tym, nim będzie za późno.

– Mama ma rację, Vry. Po kłótni z tobą Dathka wyleciał stąd jak oparzony. To dlatego że jest w tobie zakochany. Kobieta ma się oddawać mężczyźnie, nie na odwrót, no nie? Zarzuć mu ręce na szyję, a dostaniesz, czego pragniesz. Na moje oko chłopak z niego ognisty.

– Ja ci radzę, zarzuć mu nogi na szyję, nie ręce – zachichotała Rol Sakil. – Do Oldorando zlatują się teraz ślicznotki jak pszczoły, jest w czym przebierać, inaczej, niż za naszej młodości bywało. A czego to się nie wyprawia na bazarze! Nie dziwota, że chłopcy chcą monet. Już ja wiem, w jaką

szparkę je wcisną...

– Przestańcie! – Vry była cała czerwona. – Poradzę sobie z własnym życiem bez waszych ordynarnych rad. Szanuję Dathkę, lecz wcale za nim nie przepadam. Zmieńcie temat.

Laintal Ay uspokajającym gestem wziął Vry za ramię, a zza kotary wyłoniła się Oyre z włosami upiętymi wysoko na czubku głowy. Zrzuciła skóry mustanga, które obecnie uchodziły za co nieco staromodne w kręgach oldorandzkiej młodzieży. Zamiast nich wdziała zieloną wełnianą suknię, opadającą niemalże do ziemi.

– Radzą Vry, żeby szybko wzięła sobie męża... zresztą tak samo, jak tobie – powiedział Laintal Ay.

– Przynajmniej Dathka jest dorosły i ma własne zdanie. Laintal Ay spochmurniał. Odwróciwszy się plecami do Oyre, poprosił Vry;

– Wy tłumacz mi te dwadzieścia zaćmień. Nie zrozumiałem nic z tego, co powiedziałaś. Jak świat może być machiną? Zmarszczyła brwi.

– Słyszałeś już – rzekła po chwili – o podstawach tej nauki, ale nie chciałeś usłyszeć. Musisz być gotowy uwierzyć, że świat jest dziwniejszy, niż ci się wydaje. Spróbuję to jasno wyłożyć. Przyjmijmy, że oktawy śródziemne ciągną się w powietrzu wysoko nad nami, tak samo jak w ziemi. Załóżmy, że nasz świat, zwany przez fagory Hrl-Ichor, regularnie wędruje swoją własną oktawą. W rzeczywistości jego oktawa owija się i owija wokół Bataliksy. Hrl-Ichor okrąża Bataliksę co czterysta osiemdziesiąt dni – to jest nasz rok, jak wiesz. Bataliksa się nie porusza. To my się poruszamy.

– A kiedy Bataliksa zachodzi co wieczór, to co?

– Bataliksa jest nieruchoma na niebie. To my się ruszamy.

Laintal Ay parsknął śmiechem.

– A Święto Podwójnego Zachodu? Co się wtedy porusza?

– Tak samo. My. Bataliksa i Freyr stoją w miejscu. Dopóki w to nie uwierzysz, nie potrafię niczego więcej wyjaśnić.

– Wszyscy całe życie gonimy wzrokiem sunących po niebie strażników, szanowna panno Vry, dzień w dzień. Załóżmy, że wierzę, że oboje stanęli jak skuta lodem rzeka, to co dalej?

Po chwili wahania powiedziała:

– No więc w rzeczywistości Bataliksa i Freyr jednak się poruszają, bo Freyr staje się coraz jaśniejszy.

– Zaraz, zaraz... najpierw każesz mi uwierzyć, że oni się nie ruszają, potem, że się ruszają. Daj spokój. Vry – uwierzę w twoje zaćmienia, jak nastaną, nie wcześniej.

Z okrzykiem zniecierpliwienia uniosła szczupłe ramiona ponad głowę.

– Och, jacy z was głupcy. Niech Embruddock ginie, co mnie to obchodzi! Nie potraficie pojąć jednej prostej rzeczy.

Wyleciała z izby jeszcze bardziej rozeźlona niż Dathka.

– Są pewne proste rzeczy, których ona też nie pojmuje – rzekła Rol Sakil, tuląc do siebie dziecię.

Stara izba Vry ukazywała przemiany, jakie zaszły w Oldorando. Już , nie była taka ponura. Zdobiły ją to tu, to tam wyszukane rupiecie. Vry odziedziczyła po Shay Tal trochę rzeczy Loilanun. Niektóre wyszperała na bazarach. Przy oknie wisiała wykreślona przez nią mapa nieba, z naniesionymi torami ekliptyk obu słońc. Boczna ścianę zdobiła starożytna mapa, podarunek od nowego wielbiciela. Namalowano ją barwnymi tuszami na welinie. Była to ottaassaalska mapa

świata, której Vry nigdy nie mogła się dość nadziwić. Przedstawiała świat okrągły, z obszarami lądów oblanych przez ocean. Świat spoczywał na większym od siebie prakamieniu, z którego wyrósł czy może został wyrzucony. W uproszczone kontury lądu wpisano nazwę Sibornal, niżej Kampannlat i osobno na dole Hespagorat. Dokładnie zaznaczono szereg wysp. Jedyнным naniesionym miastem było Ottaassaal, w samym środku koła.

Vry zastanawiała się, jak daleko trzeba stanąć, aby zobaczyć prawdziwy świat w takiej postaci. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Bataliksa i Freyr też są takimi kulistymi światami. One jednak nie spoczywają na prakamieniach, dlaczego więc ten świat potrzebuje prakamienia?

W ściennej niszy obok mapy stała maleńka figurynka ofiarowana jej przez Dathkę. Zdjęła ją i jakoś machinalnie ważyła w dłoni. Figurynka przedstawiała parę, która zażywała rozkoszy kopulacji na siedząco. Mężczyzna i kobieta wyrzeźbieni zostali w jednej bryle kamienia. Wygładzeni dotykiem wielu dłoni, przetrwawszy wiele wieków, oboje utonęli w anonimowości, tracąc rysy twarzy. Odtwarzali najwyższy akt współistnienia i Vry tęsknym okiem spoglądała na spoczywającą w jej dłoni rzeźbę.

– To jest jedność – szepnęła cichutko.

Przyjaciółki podkpiwały z niej, a przecież ona rozpaczliwie pragnęła tego, co zaklęto w ten kamień. Przekonała się, tak jak przed nią Shay Tal, że ścieżka wiedzy to ścieżka osamotnienia. Czy rzeźbiarzowi pozowali prawdziwi kochankowie, których imiona zaginęły w pomroce dziejów? Dziś nikt już się nie dowie. Przeszłość kryła odpowiedzi na wiele dzisiejszych pytań. Z poczuciem bezsilności spojrzała na ustawiony pod wąskim oknem stół i leżący na nim zegar gwiazdowy, jaki mozolnie kleciła z drewna. Nie dość, że brak jej było wprawy w obróbce drewna, to wciąż jeszcze nie mogła pojąć zasady utrzymywania się i świata, i trzech wędrownych planet, i pary strażników na ich ścieżkach. Nagle uzmysłowiła sobie, że jedność istnieje wśród globów – wszystkie są z jednego tworzywa, jak ta para kochanków z jednego kamienia. I siła równie potężna jak popęd seksualny w tajemny sposób wiąże je wszystkie ze sobą i kieruje ich ruchem.

Siadła za stołem i zabrała się do wyrywania prętów i pierścieni, usiłując złożyć je w nowy układ. Była tym zajęta, gdy ktoś cichutko zapukał do drzwi. Bokiem wsunął się Raynil Layan, stwierdziwszy pośpiesznym rzutem oka, że jest sama w pokoju. W bladoniebieskim prostokącie okna widział jej sylwetkę, profil twarzy zalanej światłem. W dłoni trzymała drewnianą gałkę. Ujrzawszy go kątem oka na wpół zerwała się i zauważył – podpatrywał bowiem ludzi bacznie – że zwykła rezerwa opuściła ją po raz pierwszy. Uśmiechnęła się nerwowo, wygładzając skóry mustłanga – na wypukłościach piersi. Zamknął za sobą drzwi. Mistrz garbarzy porósł ostatnio w strojne piórka. Widlastą brodę wiązał dwiema wstążeczkami, na modłę przejętą od cudzoziemców, i nosił jedwabne spodnie. Ostatnio też umizgał się do Vry, obsypując dziewczynę podarunkami w rodzaju ottaassaalskiej mapy kupionej w Pauk oraz słuchając uważnie jej teorii. Wszystko to jakoś rozpalało w niej krew. Chociaż nie ufała jego gładkim manierom, podniecały ją, tak jak i jego zainteresowanie tym, co robiła.

– Przepracowujesz się, Vry – powiedział unosząc palec i brew. – Więcej ruchu na świeżym powietrzu przywróciłoby kolory temu nadobnemu liczku.

– Wiesz, ile mam zajęć, po odejściu Amin Lim i Shay Tal cała akademia jest na mojej głowie, no i mam własną pracę.

Akademia kwitła jak nigdy przedtem. Posiadała własny budynek, a większość zajęć prowadziła jedna z asystentek Vry. Zapraszano uczonych mężów do prowadzenia wykładów, nagabywany bywał każdy, kto tylko przejeżdżał przez Oldorando. W warsztatach pod salą wykładową sporządzono prototypy wielu praktycznych wynalazków. Raynil Layan miał oko na wszystko, co się wokół działo.

Nic nie umknęło temu oku. W bałaganie na stole wypatrzyło kamiennych kochanków, i oglądało figurynkę długo i dokładnie. Pokraśniała Vry wierciła się nerwowo.

– To jest bardzo stare.

– Ale wciąż cieszy się wielkim powodzeniem.

Zachichotała.

– Miałam na myśli robotę.

– Ja miałem na myśli ich robotę.

Odstawił rzeźbę, mierząc Vry rozbawionym spojrzeniem, i przysiadł na krawędzi stołu, tak że ich nogi się zetknęły. Vry przygryzła wargę i spuściła oczy. Miewała erotyczne fantazje, związane z tym mężczyzną, którego niezbyt lubiła, a które teraz opadły ją ze wszystkich stron. Ale Raynil Layan swoim zwyczajem zmienił taktykę. Po chwili milczenia cofnął nogę, odchrząknął i przemówił poważnie.

– Vry, wśród pielgrzymów ostatnio przybyłych z Pannowalu jest pewien człowiek nie tak zaślepiony religią, jak reszta tej bandy. Wytwarza zegary, obrabiając je precyzyjnie z metalu. Drewno nie nadaje się do twojej roboty. Pozwól, że przyprowadzę mojego mistrza i on fachowo zbuduje ci ten model ściśle według twoich wskazań.

– To nie jest zwykły zegar, Raynilu Layanie – powiedziała podnosząc wzrok na opartego o jej krzesło mężczyznę i zastanawiając się, czy w jakiejś mierze można przyjąć, że ona i on są zrobieni z połówek tego samego kamienia.

– To dla mnie zrozumiałe. Ty objaśnisz temu człowiekowi swój mechanizm. Ja zapłacę mu w brzęczącej monecie. Wkrótce obejmę ważne stanowisko, dające mi władzę i możliwości korzystania z niej wedle mej woli.

Wstała, aby tym lepiej ocenić jego odpowiedź.

– Słyszysz się, że masz zarządzać oldorandzką mennicą.

Patrzył na nią zmrużonymi oczyma, na pół z uśmiechem, na pół ze złością.

– Kto ci to powiedział?

– Wiesz, że wieści rozchodzą się szybko.

– Faralin Ferd znowu miele ozorem nie pytany.

– Nie myślisz o nim najlepiej, ani o Tancie Einie, prawda? Zbył pytanie lekceważącym gestem i ujął jej dłonie.

– Ja myślę tylko o tobie, przez cały czas. Będę miał władzę, a w przeciwieństwie do różnych głupców – w przeciwieństwie do Aoza Roona – wierzę, że wiedzę można skojarzyć z władzą dla umocnienia władzy... Zostań moją żoną, a będziesz miała, co zechcesz. Będziesz miała lepsze życie. Dokonamy wszelkich odkryć. Rozłupiemy piramidę, na co mój poprzednik, Datnil Skar, nigdy się nie zdobył, mimo całego gadania.

Odwróciła twarz myśląc tylko o tym, czy jej szczupłe ciało, czy jej nierozruszana dziurka zdołają skusić i pomieścić mężczyznę. Odsunęła się od niego, wyrwawszy z uścisku ręce. Wolne teraz dłonie jak ptaki fruwały do jej twarzy, gdy próbowała skryć ogarniające ją podniecenie.

– Nie kuś mnie, nie igraj ze mną.

– Wymagasz kuszenia, moja łanio.

Mrużąc oczy otworzył sakiewkę u pasa i wyjął kilka monet. Wyciągnął je ku niej, jak łowca wabiący smakołykiem dzikiego mustanga. Podeszła ostrożnie, aby je obejrzeć.

– Nowy pieniądz, Vry. Monety. Weź je. One odmienia Oldorando. Trzy monety były nieregularnie zaokrąglone i niedokładnie odcisnięte. Na małym krążku z brązu wytłoczono „Pół Roona”, na większym miedzianym „Jeden Roon”, a na małym złotym „Pięć Roonów”. Pośrodku

każdej monety wybito legendę:

OLD
ORAN
DO

Podeksycytowanej Vry rozbłysły oczy. Pieniądze w jakiś sposób wyobrażały władzę, postęp, wiedzę.

– Rooney! – wykrzyknęła. – Bogactwo.

– Klucz do bogactwa.

Położyła monety na odrapanym stole.

– Posłużę się nimi do sprawdzenia twojej inteligencji, Raynilu Layanie.

– Też znalazłaś sobie metodę uwodzenia mężczyzny!

Roześmiał się, lecz z jej wąskiej twarzy wyczytał, że mówi poważnie.

– Niech pół roona będzie naszym światem, Hrl-Ichor. Wielki jeden roon to Bataliksa. Małeńki ze złota – Freyr. – Palcem oprowadziła półroonówkę wokół roona. – Oto jak poruszamy się w górnej warstwie powietrza. Jedno okrążenie to jeden rok, w którym to czasie półroonówka okręciła się jak piłka czterysta osiemdziesiąt razy. Rozumiesz? Kiedy nam się zdaje, że widzimy, jak roon się porusza, to właśnie my sami jeździmy na półroonówce. Jednakże roon nie stoi w miejscu. Ma to związek z jakąś ogólną zasadą, bardzo podobną do miłości. Jak dziecko krąży wokół matki, tak pół roona wokół roona... i tak samo roon – wnioskuje – krąży wokół pięciu roonów.

– Wnioskujesz? Zwykły domysł?

– Nie. Zwykła obserwacja. Ale żadnej obserwacji, choćby najzwyklejszej, nie dokona ten, kto nie jest na nią przygotowany. Od zimowego do wiosennego przesilenia półroonówka przebiega maksymalnie z jednej do drugiej strony roona. – Pokazała średnicę tej orbity. – Wyobraź sobie, że za pięcioroonówką stoi szereg patyczków, przedstawiających nieruchome gwiazdy. A teraz wyobraź sobie, że stoisz na półroonówce. Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Więcej, potrafię sobie wyobrazić, że stoisz tam przy mnie.

Pomyślała, że bardzo jest bystry, i głos jej zadrżał, gdy podjęła:

– Stoimy tam, a półroonówka przechodzi najpierw z tej strony roona, a potem z drugiej... I co widzimy? Ano, że pięć roonów pozornie przesuwa się na tle nieruchomych gwiazd.

– Tylko pozornie?

– W tym przypadku tak. Ten ruch świadczy zarówno o tym, że Freyr jest bliżej w porównaniu z gwiazdami, jak i o tym, że to my w rzeczywistości poruszamy się, a nie strażnicy.

Raynil Layan wpatrywał się w monety.

– A ty twierdzisz, że te dwa drobne pieniążki poruszają się wokół pięcioroonówki?

– Jak wiesz, dzielimy grzeszny sekret. Chodzi o sprawę twojego poprzednika, który samowolnie przekazał Shay Tal informacje z waszej księgi cechowej... Z chronologii króla Dennissa dowiadujemy się, że ten rok nazwałby król rokiem 446. Jest to liczba lat po jakimś... Nadirze...

– Ja miałem dogodniejszą niż ty sposobność do odcyfrowania tej chronologii, moja łanio, i inne daty do porównań. Data Zero to rok największego zimna i ciemności według kalendarza Dennissa.

– Tak właśnie przypuszczałam. Dziś mija 446 lat od roku największej słabości Freyra. Bataliksa nigdy nie zmienia mocy swego światła. Freyr, z jakiegoś powodu, zmienia. Kiedyś sądziłam, że to, czy się rozjaśnia, czy przygasa, jest sprawą przypadku. Ale teraz uważam, że wszechświat nie jest bardziej przypadkowy niż strumień. Rzeczy mają swoje przyczyny, wszechświat jest jak maszyna, jak ten zegar gwiazdowy, który ma go naśladować. Freyr świeci coraz jaśniej, ponieważ zbliża się... nie, na odwrót... my się zbliżamy do Freyra. Ciężko uwolnić się od starych sposobów myślenia,

skoro tkwią one w mowie. W nowym języku półroonówka z roonem zbliżają się do pięciroonówki...

Bawił się wstążeczkami w brodzie. Vry nie spuszczała z niego oka, raz jeszcze rozważając swoje twierdzenie.

– Dlaczego teoria zbliżenia jest lepsza od teorii ciemno-jasno?

Klasnęła w dłonie.

– Bardzo mądre pytanie. Skoro Bataliksa nie podlega zmianom, od ciemnej do jasnej, dlaczego miałyby im ulegać Freyr? Półroonówka stale zbliża się do roona, chociaż roon stale jej umyka. Sądzę zatem, że roon zbliża się do pięciroonówki w ten sam sposób... zabierając ze sobą pół roona. Tu wracamy do zaćmień. – Ponownie puściła w koło obie drobniejsze monety. – Czy widzisz, jak każdego roku półroonówka osiąga punkt, w którym przebywający na niej obserwatorzy – ty i ja – nie zobaczą piątki, bo roon ją zasłoni? To jest zaćmienie.

– To dlaczego nie mamy zaćmienia każdego roku? Cała twoja teoria leży, jeśli jedna jej część jest błędna, tak jak musłang nie pobiegnie na trzech nogach.

Sprytny jesteś – myślała – o wiele sprytniejszy niż Dathka czy Laintal Ay... a ja lubię mądrych mężczyzn, nawet jeśli nie mają żadnych skrupułów.

– Och, istnieje ku temu przyczyna, której nie mogę odpowiednio zademonstrować. Właśnie w tym celu usiłuję zbudować ten mój model. Wkrótce ci wszystko pokażę.

Z uśmiechem ujął ponownie jej smukłą dłoń. Zadygotała na całym ciele, jak niegdyś na dnie brassimipy.

– Od jutra siedzi tu mój zegarmistrz i obrabia według twoich wskazań czyste złoto, jeśli tylko zgodzisz się być moją i pozwolisz mi ogłosić to publicznie. Chcę cię mieć przy sobie – w moim łóżku.

– Och, nie tak prędko... proszę... proszę...

Drżąca osunęła mu się w ramiona, gdy ją przygarnął do siebie. Jego dłonie wędrowały po jej ciele odkrywając smukłe kształty. Pragnie mnie – kołatało w głowie dziewczyny – pragnie mnie tak, jak Dathka nie ma odwagi mnie pragnąć. Jest dojrzalszy, o wiele inteligentniejszy. Ani w połowie taki zły, za jakiego uchodzi. Shay Tal myliła się co do niego. Myliła się co do wielu spraw. Poza tym obyczaje są dziś inne w Oldorando i skoro on mnie pragnie, to niech mnie bierze...

– Na łóżko – wydyszała rwąc na nim ubranie. – Szybko, zanim się opamiętam. Sama nie wiem, co robię... Szybko, jestem gotowa. Chodź.

– Ach, moje spodnie, uważaj... – Ale ten jej pośpiech był mu miły. Poczwała, zobaczyła, jak rośnie jego podniecenie, kiedy opadał na nią całym ciężarem. Roześmiał się, gdy jęknęła. Przywidziało jej się, że widzi ich oboje, jedno ciało, wirujące pośród gwiazd w mocy wszechpotężnej siły, bezosobowej, wiekuistej...

Dom zdrowia był całkiem nowy, nawet niezupełnie wykończony. Stał przy rogatce, rozbudowany z wieży za dawnych dni zwanej Wieżą Prasta. Tu trafiali podróżni, którzy zachorowali w drodze. Po drugiej stronie ulicy mieściła się lecznica, gdzie weterynarz przyjmował chore zwierzęta. Zarówno dom zdrowia jak i lecznica cieszyły się złą sławą – mówiono, że mają jedne instrumenty do spółki, choć różne profesje; niemniej dom zdrowia sprawnie prowadziła pierwsza kobieta w szeregach cechu aptekarzy, położna i bakalarka akademii, przez wszystkich zwana Mamą Bikinką, od kwiatów, jakimi przykazywała stroić sale pod swoim zarządem.

Do niej zawiódł niewolnik Laintala Aya. Powitała go krzepka niewiasta w średnim wieku, z obfitym biustem i o łagodnym spojrzeniu. Jedną z jej ciotek była żona Nahkriego. Laintala Aya od

wielu lat łączyły z Mamą Bikinką przyjazne stosunki,

– Chcę ci pokazać dwóch chorych w izolatkach – rzekła dobie rając klucze z pęku u paska. Zrezygnowała z musłangów na rzecz fartucha – długiej pomarańczowej sukni, prawie sięgającej podłogi.

Mama Bikinka otworzyła masywne drzwi na tyłach izby zarządczyni. Przeszli do starej wieży, dalej schodami na sam szczyt. Gdzieś, z dołu dolatywały dźwięki chordonu, na którym przygrywał jakiś ozdrowieniec. Laintal Ay rozpoznał melodię: „Stój, rzeko, stój, Voralu”. O szybkim rytmie, jednak pełna smętku, jakże stosownego dla nadaremnej prośby śpiewaczej. Rzeka toczy fale i nie stanie, o nie, ani za cenę miłości, ani samego życia...

Piętra wieży podzielono na małe salki czy też cele, z okratowanymi judaszami we wszystkich drzwiach. Mama Bikinka w milczeniu odsunęła pokrywę judasza i przyzwała Laintala Aya gestem. W celi na dwóch łózkach spoczywali dwaj mężczyźni. Obaj prawie nadzy. Leżeli wyprężeni, niemal sztywni, co nie znaczy, że choć przez chwilę nieruchomo. Bliżej drzwi mężczyzna z gęstą grzywą czarnych włosów leżał wygięty w pałąk, splótszy dłonie nad głową. Szorował kamienną ścianę – kłykciami, z których strużki krwi spływały na” sine, żyłaste ramiona. Toczył głową na sztywnym karku, przekrzywiając ją pod nienaturalnym kątem. Dostrzegła Laintala Aya w judaszu i usiłował zatrzymać na nim spojrzenie, lecz głowa latała mu na wszystkie strony w powolnych kurczach. Tętnice nabrzmiały mu na szyi niczym powrozy.

Drugi chory, pod oknem, przyciskał ręce do piersi. Na przemian to zwijał się-w kłębek to prostował jak długi, poruszając jednocześnie stopami tam i z powrotem, aż trzeszczało mu w kostkach. Niewidzącym okiem omiatał raz podłogę, raz sufit. Laintal Ay poznał w nim jeźdźca zabranego z ulicy. Obaj śmiertelnie bladzi, obaj lśniący od potu, którego ostry zapach wydobywał się z celi. Dalej zmagali się z niewidzialnymi napastnikami, gdy Laintal Ay zasuwał pokrywę judasza.

– Gorączka kości – rzekł.

W głębokim cieniu przysunął się blisko Mamy Bikinki, szukając potwierdzenia w jej twarzy. Kiwnęła tylko głową. Podążył za nią w dół schodni. Chordon nadal wygrywał rzewne tony.

Dokąd za falą biegnie

Tęsknota moja

Beze mnie...

– Pierwszy – powiedziała Mama Bikinka przez ramię – przybył do nas dwa dni temu, winnam była wezwać cię już wczoraj. Morzą się głodem, ledwo przełkną trochę wody. To jest jak długotrwały skurcz mięśni. Dostają od tego pomieszania zmysłów.

– Umrą?

– Z chorych na gorączkę kości połowa tylko pozostaje przy życiu. Czasami, utraciwszy jedną trzecią wagi ciała, po prostu zdrowieją. Wracają wtedy do normy przy nowej wadze. Inni dostają obłądu i umierają, jak gdyby gorączka zabijała wdarłszy się w szleje.

Laintal Ay przełknął ślinę, czując nagłą suchość w gardle. W izbie na dole pełną piersią wdychał woń bukietów bikinek i maneczek na parapecie okiennym, aby zapomnieć o wszelkich smrodach. Izba była wymalowana na białą.

– Co to za jedni? Kupcy?

– Obaj przybyli ze wschodu, z różnymi grupami Madisów. Jeden jest kupcem, drugi to śpiewak. Obaj mają fagorzyc niewolników, którzy przebywają obecnie w lecznicy weterynaryjnej. Zapewne wiesz, że gorączka kości może się szybko roznieść i przerodzić w plagę. Chcę tych chorych usunąć z

mego domu zdrowia. Potrzebujemy jakiegoś miejsca z dala od miasta, żeby ich odizolować. Na tych dwóch przypadkach się nie skończy.

– Mówiłaś o tym z Faralinem Ferdem? Nachmurzyła się.

– Szkoda gadać. Najpierw on i Tanth Ein orzekli, że chorych nie wolno stąd przenosić. Potem radzili zabić ich i wrzucić ciała do Voralu.

– Spróbuję coś znaleźć. Znam starą wieżę o jakieś pięć mil stąd. Może się nada.

– Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie. – Z uśmiechem położyła mu dłoń na rękawie. – Coś tę chorobę wywołuje. W sprzyjających warunkach zaraza szerzy się jak pożar. Mogłaby zabić połowę ludności – nie znamy przecież na gorączkę kości lekarstwa. Jestem przekonana, że te plugawe fagory ją roznoszą. Może przez zapach sierści. Tej nocy są dwie godziny ciemności Freyra; w tym czasie każę zabić i zakopać oba fagory z lecznicy. Chciałam zwrócić się do kogoś z władz, więc zwracam się do ciebie. Byłam pewna, że staniesz po mojej stronie.

– Sądzisz, że one rozniosą gorączkę dalej?

– Nie wiem. Po prostu nie chcę ryzykować. Przyczyna może być zupełnie inna – może to ślepotą przynosi mór. Może zsyła go Wutra. Przygryzła dolną wargę. W jej miłej twarzy wyczytał troskę.

– Zakopcie zwłoki głęboko, żeby psy nie wygrzebały ich z powrotem. Spodziewasz się wkrótce... – urwał niepewnie – .. nowych przypadków?

– Oczywiście – odparła, nie zmieniając wyrazu twarzy. Odchodząc słyszał coraz cichsze dźwięki chordonu, który gdzieś w głębi budynku wciąż wygrywał swą tęskną melodię.

Laintal Ay ani myślał uskarżać się Mamie Bikince, chociaż na owe dwie godziny Freyrowych ciemności zaplanował sobie już co innego. Słowa Dathki rankiem, kiedy Oyre wróciła z pauk po rozmowie z ojcami, głęboko go poruszyły. Przyznawał rację argumentom, że on i Oyre reprezentują bezspornych pretendentów do rządzenia w Oldorando. Chyba tak jak każdy pragnął tego, co mu się słusznie należało. A z pewnością pragnął Oyre. Ale czy pragnął władać Oldorandem? Wyglądało na to, że słowa Dathki nieuchwytnie zmieniły sytuację. Być może zdobywając teraz władzę tym samym zdobyłby Oyre. To właśnie zaprzętało jego myśli, kiedy zajął się sprawą Mamy Bikinki, będącą sprawą wszystkich.

Gorączkę kości znano wprawdzie z legendy, jednak fakt, że nikt się z nią w życiu nie spotkał, jeszcze bardziej pograżał ją w świat baśni. Ludzie zawsze umierali. Pomór stanowił jakby zwariowane przyspieszenie naturalnego procesu. Bez sprzeciwu przystąpił zatem do roboty, wciągając do pomocy Gojdzę Hina. Dozorca niewolników razem z Laintalem Ayem zabrali dwa fagory należące do ofiar gorączki kości i wpuścili je do izolatki. Tam fagory musiały owinać w rogożę i wynieść chorych panów z domu zdrowia. Niewinne dla oka rulony miały zapobiec wybuchowi paniki. Małą grupką opuścili miasto i ze swym ładunkiem skierowali się ku znanej Laintalowi Ayowi zrujnowanej wieży. Człapał z nimi stareńki fagor niewolnik, Myk, na zmiennika do niesienia chorych. Zamierzano w ten sposób przyspieszyć marsz, lecz Myk tak się zestarzał, że opóźniał cały pochód. Gojdzę Hin, również przygięty wiekiem, z włosami długimi do ramion i tak sztywnymi, że przypominał jednego ze swych nieszczęsnych podopiecznych, smagał Myka bezlitośnie. Ani bat, ani wyzwiska nie zmusiły stareńkiego, objuczonego niewolnika do przyspieszenia kroku. Dreptał bez słowa skargi, chociaż łydki miał pocięte biczem do żywego mięsa.

Kłopot ze mną, że nie chcę ani władać biczem, ani nim obrywać – powiedział sobie w duchu Laintal Ay. Nowe myśli snuły mu się po głowie jak tumany mgły o bezwietrznym poranku. Odkrył, że ma liczne ułomności. Niewiele chciał od życia. Był zadowolony z tego, co niesie każdy dzień. Chyba nazbyt zadowolony – myślał. Wystarczała mi świadomość, że Oyre mnie kocha i że leżę w jej ramionach. Wystarczało, że Aoz Roon był mi kiedyś niemal jak ojciec. Wystarczało, że klimat się

zmienił, wystarczało, że Wutra nakazywał swoim strażnikom trwać na posterunku w niebiosach. Teraz Wutra zostawił swych strażników samopas. Aoz Roon odszedł. A co miały znaczyć te kąśliwe słowa wcześniej rzucone przez Oyre – że Dathkajest dorosły, z czego wynikałoby, że ja nie? Och, ty mój druhu milczący, czy być dorosłym to mieć głowę nabitą mnóstwem chytrych planów? Czy zadowolenie z życia dorosłemu mężczyźnie nie przystoi? Zbyt wiele miał w sobie z dziadka. Małego Juliego, zbyt mało z Juliego Kapłana. I po raz pierwszy od dłuższego czasu wspomniął subtelne oczarowanie swego dziadka Loila Bry i ich wspólnie spędzane szczęśliwe chwile w komnacie z porcelanowym oknem. To była inna epoka. Wszystko było wtedy prostsze. Tak niewiele wystarczało im do wielkiego szczęścia.

Teraz wcale nie był zadowolony, że może umrzeć. Nie był zadowolony, że mogą go zabić namiestnicy, jeśli uznają w nim współnika knowań Dathki. Ani nie był zadowolony, że może umrzeć na gorączkę kości, zaraziwszy się od tych dwóch nieszczęśników, których wynoszą z miasta. Mieli jeszcze trzy mile do starej wieży.

Zatrzymał się. Fagory i Gojdzia Hin bezwiednie maszerowali dalej ze swymi upiornymi tobołami. I oto znów, raz jeszcze, pokornie robi to, co mu przykazano. Bez żadnego powodu. Musi przełamać ten idiotyczny nawyk posłuszeństwa. Krzyknął na fagory. Przystanęły. Tkwiły w miejscu bez najmniejszego poruszenia. Jedynie toboły skrzypiały im z cicha na ramionach. Oddziałek utknął na wąskiej ścieżynie, zarośniętej po obu stronach psiajuchą. Gdzieś tutaj kilka dni temu zostało pożarte dziecko;

ślady wskazywały, że ludojadem był szablozor – po przerzedzeniu mustangowych tabunów drapieżniki podchodziły teraz pod osiedla. Toteż mało ludzi włóczyło się w tej okolicy.

Laintal Ay skręcił w krzaki. Fagorom kazał wnieść tam chorych panów i złożyć w zaroślach. Stworzenia wykonały to obojętnie i po chwili chorzy wili się w kurczach na ziemi. Wargi sine, wywinięte, odsłaniały żółtawe zęby po dziąsła. W powykręcanych członkach trzeszczały kości. W pewnym stopniu świadomi swojego położenia, nie mogli jednak powstrzymać skurczów tężejących mięśni, od których wywracały się gałki oczne i napinała skóra na twarzach.

– Wiesz, co tym ludziom dolega? – zapytał Laintal Ay.

Gojdzia Hin kiwnął głową, złośliwym uśmiechem podkreślając swoją znajomość wiedzy ludzkiej.

– Są chorzy – rzekł.

Laintal Ay też nie zapomniął gorączki, jaką kiedyś zaraził się od fagora.

– Zabij ich. Każ fagorom wygrzebać łapami groby. Jak najszybciej.

– Tak jest.

Dozorca niewolników ruszył ciężkim krokiem. Laintal Ay nie czując nawet, że gałąź rżnie go w plecy, stał i patrzył, jak starzec robi to, co mu kazano. Jak Gojdzia Hin zawsze robił. Na każdym etapie tych poczynań Laintal Ay wydawał polecenie, które zostało wykonane. Czuł się w pełni współuczestnikiem tego wszystkiego i nie pozwolił sobie na odwrócenie wzroku. Gojdzia Hin dobył krótkiego miecza i dwakroć pchnął, przeszywając serca chorych ludzi. Fagory wygrzebały groby rogowatymi dłońmi dwa białe fagory i Myk, otyły jak jego pan, z czarnym ze starości, zjeżonym włosiem, powolny w ruchach. Fagory miały kajdany na nogach. Nogami wtoczyły zwłoki do dołów i nogami przysypały je ziemią, po czym swoim zwyczajem stanęły nieruchomo, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Polecono im wygrzebać jeszcze trzy doły pod krzakami. Uczyniły to jak nieme zwierzęta. Gojdzia Hin wraził miecz między żebra dwóch obcych fagorów, później otarł klingę rozmazując żółtą posokę na ich futrach. Mykowi kazano zepchnąć je do dołów i przysypać ziemią. Skończywszy Myk wyprostował się przed Laintalem Ayem, wsuwając białawy mlecz w prawe

nozdrze.

– Nie zabijać teraz Myk, panie. Odrąbać mu łańcuchy i pozwolić odejść i umrzeć.

– Co, puścić cię wolno, stary zasańcu, po tylu latach? – Gojdza Hin ze złością wznosił miecz.

Powstrzymawszy Gojdzę, Laintal Ay utkwiał wzrok w starym fagorze. Stworzenie wozilo go na barana, kiedy był dzieckiem. Poczul się wzruszony, że Myk nie próbuje mu o tym przypominać. Żadnego odwoływania się do sentymentów. Myk stał jak posąg, czekając na to, co nastąpi.

– Ile masz lat, Myk?

Sentymenty, moje sentymenty. Czyżby nie starczało mi odwagi do wydania koniecznego wyroku śmierci?

– Ja za więźnia, nie rozliczać z lat. – „Zety” bzykały, mu z gardła jak pszczoły. – Raz my ancipici rządzić Embruddock, a wy Syny Freyra być za naszych więźniów. Zapytaj matkę Shay Tal – ona znać.

– Mówiła mi. I wy zabijaliście nas, jak my was zabijamy. Szkarłatne oczy mrugnęły jeden jedyny raz.

– My zachować was przy życiu – warknęło stworzenie – przez stulecia, kiedy Freyr zachorować. Bardzo głupio. Teraz wy, Syny Freyra, umrzeć wszyscy. Wy rozciąć mi łańcuchy, pozwolić mi pójść zemrzeć w uwięzi.

Laintal Ay wskazał otwarty grób.

– Zabij go – rozkazał Gojdzii Hinowi.

Gojdza Hin stoczył wielkie cielsko nogą do dołu i butem nagarnął na nie piachu. Następnie wyprężył się pośród chaszczy, twarzą w twarz z Laintalem Ayem, oblizując wargi, nadrabiając miną.

– Znałem cię od małego, jasnie panie. Byłem dobry dla ciebie. Zawsze mówiłem, że to ty powinieneś być lordem Embruddocku... zapytaj mych kumpli, czy nie mówiłem.

Nie próbował się bronić. Wypuścił miecz z dłoni i osunawszy się na kolana, zaczął beczeć ze zwieszoną siwą głową.

– Myk pewnie miał rację – powiedział Laintal Ay. – Pewnie mamy zarazę w sobie. Pewnie już jest poniewczasie.

Nie obejrzawszy się zostawił klęczącego Gojdzę Hina i wielkimi krokami zawrócił do tłumnego miasta, wściekły na siebie, że nie zadał śmiertelnego ciosu.

Późno było, gdy wszedł do swej izby. Rozejrzał się wokoło, nie rozchmurzywszy ponurej twarzy. Poziome promienie Freyra, jasne jak ogień, oświetlały przeciwległy kąt, resztę pokoju pograżając w niesamowitym cieniu. Zacerpnął w dłonie zimnej wody z misy, obmył twarz i ręce, i pozwolił wodzie spływać po czole, powiekach, policzkach i ściekać po brodzie. Powtórzył to wiele razy, oddychając głęboko, czując, jak uchodzi zeń wściekłość, a pozostaje złość na samego siebie. Masując twarz zauważył z zadowoleniem, że przestały mu się trząść ręce.

Blask słoneczny z kąta przesunął się na ścianę i zmętniał w dymnej pozłocie, tworząc prostokąt nie większy od szkatuły, w której marniało złoto tego świata. Laintal Ay chodził po izbie, gromadząc jakieś drobiazgi na drogę, prawie bez zastanowienia. Ktoś zapukał do drzwi. Zajrzała Oyre. Przystanęła w progu, jakby od razu wyczuła napięcie w izbie.

– Laintalu Ayu... gdzie byłeś? Czekałam na ciebie.

– Musiałem coś zrobić.

Westchnęła z dłonią na klamce nie spuszczać z niego oczu. Pod światło nie mogła odgadnąć jego miny poprzez gęstniejący w izbie zmierzch, ale złowiła oschłość w głosie.

– Czy coś się stało, Laintalu Ayu?

Wcisnął swój stary łowiecki koc do sakwy, upchnął pięścią.

– Odchodzę z Oldorando.

– Odchodzisz...? Dokąd się wybierasz?

– Och... powiedzmy, że wybieram się na poszukiwanie Aoza Roona. – W tonie była gorycz. –

Nic mnie już tutaj... nie trzyma.

– Nie wygłupiaj się. – Postąpiła krok naprzód, aby go lepiej widzieć, myśląc o tym, jak wielki wydaje się w tej niskiej izbie. – Jak chcesz kogoś szukać po górach i lasach?

Zarzuciwszy sakwę na ramię, obrócił się do niej twarzą.

– Sądziysz, że głupiej szukać w prawdziwym świecie, niż zapadać w pauk między mamiki, jak ty zrobiłaś? Zawsze mi powtarzałaś, że muszę zrobić coś wielkiego. Nic cię nie zadowalało..., No więc teraz idę, po śmierć lub zwycięstwo. Czy to nie jest coś wielkiego?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie chcę, abyś odchodził. Chcę...

– Ja wiem, czego chcesz. Uważasz, że Dathka jest dorosły, a ja nie.

Cóż, do diabła, z tym. Mam dość. Odchodzę, co zawsze było moim pragnieniem. Spróbuj szczęścia z Dathką. z

– Kocham ciebie, Laintalu Ayu. Teraz wygłupiasz się, jak Aoz Roon.

Schwycił ją mocno.

– Przestań bez przerwy porównywać mnie do innych ludzi. Chyba nie jesteś taka mądra, – jak myślałem, bo wiedziałabyś, kiedy mnie ranisz. Ja też cię kocham, lecz odchodzę...

Podniosła krzyk.

– Dlaczego jesteś taki okrutny?

– Dostatecznie długo żyłem wśród okrutników. Przestań zadawać głupie pytania.

Przygarnął ją do siebie i mocno pocałował w usta, aż wargi jej się rozstały i zęby przejechały po zębach.

– Mam nadzieję, że wrócę.

Parsknął śmiechem z głupoty własnej wypowiedzi. Rzucił ostatnie spojrzenie i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Została sama w pustej izbie. Złoto rozsypało się w popiół. Była już prawie noc, chociaż nie pogasły jeszcze ogniste skry na dworze.

– A niech to licho – zakłęta. – Bodaj cię szlag trafił... i mnie też. Oprzytomniawszy nagle podbiegła do drzwi, pchnęła je na oścież i zawołała. Laintal Ay zbiegał po schodach, nie odpowiadając. Dogoniła go, złapała za rękaw.

– Laintalu Ayu, ty idioto, dokąd idziesz?

– Osiodłać Złotą.

Powiedział to z taką złością, otarłszy usta wierzchem dłoni, że stanęła jak wryta. Wówczas zaświtała jej myśl, że musi natychmiast odszukać Dathkę. Już on będzie wiedział, jak poradzić sobie z obłądem przyjaciela.

W ostatnich dniach Dathką stał się nieuchwytny. Czasami nocował w nie ukończonym budynku na drugim brzegu Voralu, niekiedy w jednej z wież, za każdym razem innej, to znów w którejś z podejrzanych spelunek, wyrastających jak grzyby po deszczu. Jedyne, co jej w tym momencie przychodziło do głowy, to pędzić do wieży Shay Tal i zobaczyć, czy nie ma go u Vry. Był, na szczęście. W samym środku awantury z Vry, która z pałającymi policzkami kulila się tak, jakby ją uderzył. Dathką miał twarz białą z wściekłości, ale Oyre wmieszała się bez ceregieli, wyrzucając z siebie nowinę. Dathką omal się nie zadławił.

– Nie możemy pozwolić mu odejść teraz, kiedy wszystko się wali.

Rzuciwszy Vry mordercze spojrzenie wybiegł z izby. Biegł całą drogę do stajni i zdążył złapać

Laintala Aya, gdy wyprowadzał Złotą. Zastąpił mu drogę.

– Zwariowałeś do reszty, przyjacielu! Przestań się wygłupiać. Opamiętaj się i pilnuj swoich interesów.

– Bokiem wyłazi mi słuchanie każdego, kto chce, abym coś zrobił. Chcesz, abym tu został, bo jestem ci potrzebny do twoich intryg.

– Potrzebujemy ciebie do trzymania w szachu Tantha Eina z jego kumplem i tej oślizłej ropuchy Raynila Layana, żeby nie zabrali nam wszystkiego, co mamy.

Twarz miał zawziętą.

– Nie macie szansy. Idę odszukać Aoza Roona. Dathka uśmiechnął się szyderczo.

– Zwariowałeś. Nikt nie wie, gdzie on jest.

– Przypuszczam, że z Shay Tal w Sibornalu.

– Głupcze! Pluń na Aoza Roona, jego gwiazda zaszła, jest stary. Tu chodzi o naszą skórę. Nawiewasz z Oldorando, bo masz pietra, może nie? Tak się składa, że zostało mi jeszcze paru wiernych przyjaciół, w tym jeden w domu zdrowia.

– O czym ty mówisz?

– O tym, o czym wiemy i ty, i ja. Nawiewasz, bo się boisz plagi. Później, do uprzykrzenia powtarzając w myśli te słowa wymówione w gniewie, Laintal Ay zdał sobie sprawę, że Dathka nie był wówczas w pełni sobą, tym Dathka, którego mało co wyprowadzało z równowagi. Lecz i on sam wówczas zareagował odruchowo. Uderzył Dathkę otwartą prawicą z całej siły, zadając przyjacielowi cios kantem dłoni od dołu, pod nasadę nosa. Usłyszał chrupnięcie kości. Dathka zatoczył się do tyłu i złapał za twarz. Krew chlusnęła mu po palcach. Laintal Ay wskoczył na siodło i śpiąwszy Złotą roztrącił gęstniejący tłumek gapiów. Podekscytowani otoczyli rannego, który na chwiejnych nogach i zgięty w pół klął z bólu.

Laintal Ay wyjeżdżał z miasta wściekły jak gradowa chmura. Niewiele wziął z rzeczy, które zamierzał zabrać ze sobą w drogę. W obecnym nastroju odczuwał satysfakcję, że odchodzi zabrawszy jedynie swój miecz i derkę. Jadąc wyciągnął niewielki przedmiot, który uwierał go przez kieszeń. W półmroku ledwo rozpoznał znajome od dziecka kształty. Pies otwierał i zamykał pysk, kiedy poruszało się jego ogonem do góry i na dół. Laintal Ay miał go od dnia śmierci dziadka. Cisnął psa w przydrożne krzaki.

XIV. PRZEZ UCHO IGIELNE

Rodzaj ludzki boi się gryzu fagora, atoli gryz fagorzeżo kleszcza winien budzić większą trwożę. Ukąszenie fagorzeżo kleszcza nie jest dokuczliwe dla fagora i niewiele dokuczliwsze dla istoty ludzkiej. W ciągu tysiącleci narządy gębowe kleszcza przystosowały się do takiego przekłuwania tkanki skórnej, żeby jak najmniej ją uszkodzić i bezboleśnie ssać odżywcze płyny potrzebne do utrzymania własnego, złożonego cyklu reprodukcji. Kleszcz ów ma wspaniale rozwinięte narządy rodne, za to nie ma głowy. Jego narządy gębowe składają się z dwóch par przekształconych odnóży. Jedna to przeobrażone szczypce, które wnikają do ciała i wstrzykują mieszanę środka znieczulającego z przeciwwkrzepliwym, druga składa się z narządów czuciowych, zaopatrzonych w brzeszczot ze skierowanymi do tyłu ząbkami, które przyczepiają kleszcza w dogodnej pozycji na żywicielu. Kleszcz przyczepia się i nie odczepi za nic, dopóki się nie obeżre – chyba że sondujący dziób kraka wytropi go i połknie ten kraczy przysmak.

Komórki kleszcza to jakby wiele Embruddocków helikoidalnego wirusa. Wirus bytuje w nich zamarty w oczekiwaniu na pewną tonację, która włączy go do orkiestry życia, aczkolwiek ruja fagorzeż samicy także wskrzesza wirusy do paraaktywności. Jedynie dwakroć w okresie wielkiego roku helikońskiego owa tonacja wyzwała fazę wirusowej aktywności. Rusza natenczas lawina wydarzeń, które w ostateczności zadecydują o losie całych narodów. Wutra – powiedziałby ktoś filozoficznie nastrojony – to wirus helikoidalny.

Odpowiadając na sygnał z zewnątrz wirusy ruszają lawiną z komórek kleszcza, przez jego narządy gębowe do ciała ludzkiego, gdzie rozchodzą się z prądem krwi. Jak gdyby podążając szlakami własnych oktaw śródpowietrznych, armia najeźdźców sunie przez ciało, docierając wreszcie do mózgowego pnia żywiciela, wpływa do podwzgórza i powoduje groźne zapalenie mózgu, a często zgon. Zająwszy podwzgórze, ów pradawny region świadomości, siedzibę gniewu i żądzy, wirus mnoży się z reprodukcyjną gwałtownością, którą można przyrównać do huraganów Nktryhku.

Wtargnięcie do komórki ludzkiej oznacza przekroczenie przez jeden system genetyczny granic drugiego; zaatakowana komórka kapituluje, stając się w samej rzeczy nową jednostką biologiczną o własnym rozwoju naturalnym, podobnie jak miasto podczas długotrwałej wojny może przechodzić z rąk do rąk, należąc to do jednej, to do drugiej strony.

Inwazja, potem gwałtowna reprodukcja, wreszcie zewnętrzne objawy tych wydarzeń. U chorego występują maniakalne naprężenia i skurcze ścięgien, jakie w domu zdrowia na własne oczy oglądał Laintal Ay – a przed nim wielu jego pobratymców. Na ogół ci, którzy to widzieli na własne oczy, z oczywistych powodów nie zostawiali żadnych pamiętników.

Fakty powyższe zostały ustalone w drodze żmudnych obserwacji i dedukcji. Uczone rody „Avernusa” były biegłe w takich sprawach i dysponowały wspaniałą aparaturą. Przeto pokonano w jakimś stopniu barierę uniemożliwiającą im postawienie stopy na powierzchni planety. Jednak uwięzienie w „Avernusie” miało dla nich inne ujemne strony, poza oczywistym aspektem psychologicznym. Weryfikacja hipotez u źródła była niemożliwa. Teorię epidemii tak zwanej gorączki kości ostatecznie zmąciły dodatkowe informacje. Ponownie rzecz stała się dyskusyjna. Ród Pinów zwrócił bowiem uwagę, że to właśnie w okresie dwudziestu zaćmień i ofensywy wirusa

nastąpiła – przynajmniej w Oldorando – zasadnicza zmiana w jadłospisie człowieka. Beltel wyszedł z mody. W niełaskę popadły brassimipy, żywiące społeczność przez stulecia zimy. Czy to – rzucili myśl Finowie – nie zmiana jadłospisu osłabiła odporność ludzi na ukąszenie kleszcza, a ściślej na pasożytującego w kleszczach wirusa? Toczyły się dyskusje nad tą kwestią, często gorące. Znow pojawiły się zapalone głowy, które w pogardzie mając niebezpieczeństwa, głosowały za nielegalną wyprawą na powierzchnię Helikonii.

Nie wszyscy zarażeni umierali. Dało się zauważyć, że gorączka kosiła ludzi na różne sposoby. Jedni mieli świadomość postępów choroby i czas na przeżycie strachu lub pojednanie się z Wutrą, jak kto wolał; inni padali w wirze zajęć, bez ostrzeżenia – w trakcie rozmowy z przyjaciółmi, w drodze przez pola, nawet w uściskach miłosnych. Ani stopniowy, ani gwałtowny przebieg choroby nie stanowił rękojmi przeżycia. Tak czy inaczej, tylko połowa chorych wracała do zdrowia. Co do reszty, to szczęśliwe były trupy – jak obu podopiecznych z domu zdrowia Mamy

Bikinki – jeśli znalazły sobie choćby płytki grób; na ogół leżały jak padlina, podczas gdy ogarnięta i porażona powszechną paniką ludność uciekała z domostw prosto w objęcia zarazy, która obstawiła wszelkie drogi. Tak było zawsze, od kiedy na Helikonii żyły istoty ludzkie.

Ozdrowieńcy wychodzili z pandemii ze stratą jednej trzeciej swej normalnej wagi ciała, aczkolwiek „normalna waga” jest tutaj określeniem względnym. Nigdy nie odzyskiwali utraconej wagi, ani oni, ani ich dzieci, ani dzieci ich dzieci. W końcu nadchodziła wiosna, lato było za pasem i przystosowanie sprowadzało się do ektomorfii. Smuklejsza sylwetka zapanowała na wiele generacji, tracąc co prawda z czasem na smukłości i porastając z wolna w sadło, sama zaś choroba trwała utajona w komórkach ozdrowieńców. Ten status quo utrzymywał się do późnego lata Wielkiego Roku. Po czym uderzała tłusta śmierć.

Jakby dla zrównoważenia dwóch tak krańcowo różnych sezonów, Helikończycy płci obojga byli zbliżeni pod względem wzrostu, postury i wagi mózgu. Osobnik w wieku dorosłym bez względu na płeć przeciętnie ważył około dwunastu oldorandzkich tuzów, z których po gorączce kości zostawało marne osiem. Młode pokolenie wchodziło w nową, kościstą figurę, następne ją stopniowo pogrubiały, aż do nadejścia znacznie plugawszej tłustej śmierci, w wyniku której zachodziła inna, drastyczniejsza przemiana.

Aoz Roon przeżył pierwszy atak tej cyklicznej pandemii. Po nim wielu setkom tysięcy pisana była choroba i śmierć lub powrót do życia. Niektórzy mogli ująć pladze, zaszydzi w zapomnianych zakątkach świata. Ale ich potomkowie mieli nikłą szansę przetrwania, upośledzeni w nowym świecie, traktowani jak potwory. Te dwie wielkie choroby, których pośrednim nosicielem był fagorzy kleszcz, w rzeczywistości stanowiły jedną chorobę, i ta jedna choroba, ten Siwa wśród chorób, ten zabójca i zbawiciel, na skrwawionym mieczu przynosił rodzajowi ludzkiemu zbawienie w osobliwych warunkach planety. Dwa razy w ciągu dwóch tysięcy pięciuset ziemskich lat Helikończycy musieli przechodzić przez ucho igielne fagorzego kleszcza. Taka była cena ich istnienia, ciągłości ich rozwoju. Z pogromu, z pozornej dysharmonii wyłaniały się zręby harmonii, jak gdyby pośród krzyków konania dochodził z najgłębszych źródeł jestestwa szept mówiący, że wszystko jest w cudownym porządku. Uwierzyć w takie zapewnienie mogli tylko ci, którzy w ogóle mogli jeszcze wierzyć.

Kiedy ucichła kakofonia trzeszczących mięśni, napłynęła przedziwnie wodna muzyka. Zająwszy ustronia bólu żywioł płynności objawiał się przede wszystkim uszom Aoza Roona. Wzrok powracał mu wielkim mętlikiem plamek, ciarek i prążków jednej matowej barwy. Nie miały żadnego sensu, ale on nie doszukiwał się w nich sensu. Po prostu trwał w swoim trwaniu, z plecami wygiętymi w

łuk, z otwartymi ustami czekając, aż gałki oczne przestaną skakać i pozwolą mu skupić spojrzenie. Wodne harmonie pomagały odzyskać przytomność. Mimo iż niezdolny poskładać w całość własne ciało, zdawał sobie sprawę, że jego ramiona więzi jakaś siła. Pojawiały się strzępy myśli. Obrazy biegnącego jelenia, on sam w biegu, w skoku, rozdający ciosy, śmiech dosiadanego kobiety, wiązki promieni słonecznych w koronach drzew wysokich na wzrost człowieka. Współczulne skurcze przebiegały mu mięśnie, jak staremu psu, który śni o czymś przy ognisku. Krągłe plamki przeistoczyły się w krągłe kamienie. Był pomiędzy nie wciśnięty jak jeszcze jeden kamień. Młode drzewko, wyrwane gdzieś w górze rzeki i odarte z kory, leżało szczepione w jedno z kamieniami i żwirem, on na tym wszystkim podobnie uwikłany, ramiona zagubiwszy gdzieś ponad głową. Troskliwie i z mozołem pozbierał swoje członki do kupy. Po chwili usiadł, dłonie wsparłszy na kolanach, i długo wpatrywał się w rozlaną rzekę. Siedział i słuchał jej muzyki i radość wypełniała go bez reszty. Na czworakach, płacząc się w za luźnym futrze, doszedł do wąziutkiego jak dłoń pasemka plaży. Z naiwną wdzięcznością utopił wzrok w niestrudzonej bystrzynie. Nadeszła noc. Złożył twarz na kamykach. I nadszedł świt. Dwa słońca obudziły go promieniami. Ogrzały. Wstał, czepiając się wyciągniętej ku górze gałęzi. Obrócił zarośniętą głowę, zachwycony łatwością, z jaką wykonał ten niewielki ruch. O parę jardów, za wąską, spienioną bystrzyną stał fagor, nie spuszczać zeń oczu.

– Znów zobie ożyteż – rzekł.

Przez całe lata i okresy hen w odległej starożytności, w wielu regionach Helikonii, a na kontynencie Kampannat nagninnie, panował wśród plemion zwyczaj zabijania króla, który wykazywał objawy wieku starczego. Zarówno kryteria jak i sposoby egzekucji różne były u różnych plemion. W przecinaniu nici królewskich żywotów nie przeszkadzała wiara w boskie pochodzenie władców, czy to od Akhy, czy od Wutry.

Kiedy król posiwał bądź nie potrafił już jednym ciosem topora strącić człowiekowi głowy z karku, kiedy nie udało mu się zaspokoić seksualnych apetytów tłumu małżonek lub nie zdołał przeskoczyć określonego strumienia, przepaści, czy jaki tam był ów plemienny probierz, wówczas króla duszono, wręczano mu puchar trucizny albo innymi sposobami wyprawiano na tamten świat.

Podobnie wyprawiano na tamten świat współplemieńców, u których wystąpiły objawy śmiertelnych chorób, kiedy zaczęli więc się i jęczeć. W dawniejszych czasach nie znano litości. Często losem chorego była śmierć w płomieniach, ponieważ wierzono w uzdrowicielską moc ognia, a z chorym na stos wędrowała cała rodzina, wszyscy domownicy. Ten okrutny rytuał ofiarny rzadko odwracał wybuch epidemii, toteż krzyki palonych zwykle wpadały do uszu, w których dzwoniły już pierwsze. sygnały choroby.

Pośród wszelkich przeciwności losu rodzaj ludzki stawał się coraz bardziej ucywilizowany. Było to wyraźne, jeśli wziąć pod uwagę, że pierwszą oznaką cywilizacji jest współczucie dla bliźnich, twórcza życzliwość dla ich słabości, bez których ludzie nie mogą żyć razem i panuje beznadziejna anarchia. Pojawiały się szpitale i lekarze, pielęgniarki i kapłani – wszystko po to, aby nieść ulgę w cierpieniu, a nie brutalnie kłaść mu kres.

Aoz Roon wyzdrowiał bez takiej pomocy. Być może pomógł mu w tym własny silny organizm. Nie zwracając uwagi na fagora chwiejnie zbliżył się do brzegu toni, pochylił z wolna i zaczerpnął wody w złożone dłonie, żeby ugasić pragnienie.

Strużka wody przeciekła mu między palcami, umykając od warg na brodę, skąd podmuch zwiął ją w bok i skąd z pluskiem spadła do rzeki, w macierzystą toń. Obserwowano lot tych uronionych przez niego kropli. Miliony oczu dojrzały drobny rozprysk. Miliony oczu śledziły każdy ruch Aoza Roona na skrawku wyspy, jak się prostuje i jak dyszy mokrymi ustami. Szeregi

monitorów Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej miały wiele rzeczy pod stałym nadzorem, łącznie z lordem Embruddocku. Do obowiązków „Avernusa” należała retransmisja do Instytutu Helikonijskiego wszystkich sygnałów otrzymywanych z powierzchni Helikonii. Odbiornik instytutu mieścił się na Charonie, księżycu Plutona, u samych krańców systemu słonecznego. Większość funduszy na ten cel dostarczał Kanał Kinoedukacyjny, transmitujący nieprzerwanie sage helikońskich wydarzeń dla widowni na Ziemi i pozostałych planetach w układzie słonecznym. Rozległe audytoria sterczały niczym postawione na sztorc konchy w piaskach każdej prowincji, mogąc pomieścić dziesięć tysięcy widzów każda. Ich spiczaste kopuły wznosiły się do nieba, skąd nadawał Kanał Kinoedukacyjny. Bywało, że audytoria przez długie lata świeciły pustkami. Po czym znów napływali widzowie, zwabieni jakimś nowym wydarzeniem na odległej planecie. Ludzie pielgrzymowali jak do miejsc, świętych. Helikonია stanowiła ostatnią formę wielkiej sztuki Ziemi. Każdy mieszkaniec Ziemi, od pana po pariasa, ppznał blaski i cienie helikońskiego życia. Imiona Aoza Roona, Shay Tal, Vry i Laintala Aya były na ustach wszystkich. Po śmierci ziemskich bogów opustoszały panteon zapelniał się nowymi twarzami. Widownie odbierały Aoza Roona jako współczesnego im człowieka, przeniesionego jedynie na inny glob, niczym ideał platoński, rzucający cień na rozległą jaskinię audytorium. Ludzie znów wypełniali audytoria po brzegi. Wchodzili w sandałach okrytych pyłem drogi. Pogłoski o nadciągającej zarazie, o zaćmieniu rozchodziły się po Ziemi niemal tak samo, jak po Oldorando, przyciągając tysiące tych, których życie odmieniła ciekawość i troska o Helikonię. Niewielu owych widzów pielgrzymów zastanawiało się nad paradoksem, jakim łudziły ich rozmiary wszechświata. Osiem uczonych rodów na „Avernusie” żyło w tym samym czasie, co Helikończycy. Ich żywoty współistniały pod każdym względem, chociaż helikoidalny wirus ustanowił na czas nieokreślony rozdział pomiędzy nimi a badaną przez nich siostrzaną planetą Ziemi. Jednak o ile większy był rozdział pomiędzy ósmioma rodami a jakże odległą Ziemią, ich macierzystą planetą. Przekazywali sygnały hen na Ziemię, gdzie ani jedno audytorium nie zostało zbudowane, gdzie nawet projektanci tych audytoriów jeszcze się nie narodzili. Dziesięć tysięcy lat potrzebował sygnał na pokonanie przestrzeni dzielących oba systemy. W czasie owych tysiącleci zmieniała się nie tylko sama Helikonია. A ci, którzy z zapartym tchem zasiedli teraz w audytoriach i patrzyli na wyolbrzymioną w holoeckranach postać Aoza Roona, patrzyli, jak on pije wodę, jak wiatr porywa mu krople wody od warg i te krople łączą się z tonią u jego stóp, tak jak to było dziesięć tysięcy lat temu w odległości tysięcy lat świetlnych. Uwięzione światło, jakie widzieli, nawet życie, które przeżywali, było cudem techniki, fizyczną konstrukcją. I jedynie jakiś metafizyk w swej wszechobecnej świadomości mógłby stwierdzić, kto żył w chwili powrotu kropli wody do rzeki: Aoz Roon czy jego publiczność.

Za to żadnej wielkiej sofistyki nie wymagało stwierdzenie, że pomimo dwuznaczności płynącej z ograniczeń widzenia, makrokosmos i mikrokosmos są współzależne, związane ze sobą takim zjawiskiem, jak wirus helikoidalny, którego skutki ostatecznie były uniwersalne, choć postrzegane jedynie przez zjawisko świadomości, słyszane tylko przez ucho igielne, którym makrokosmos i mikrokosmos przeciskały się ku rzeczywistej jedności. Świadomość na skalę boską mogłaby zlikwidować rozdziały pomiędzy nieskończonymi rzędami istot, podobnie jak ludzka świadomość właśnie doprowadziła przeszłość i terażniejszość do śmiałego zbratania. Wyobraźnia funkcjonowała, wirus był zaledwie funkcją.

Wyciągnąwszy szyje dwa jajaki podążały różnym kłusem. Chrapy miały rozdęte, ponieważ kłusowały już kawał drogi. Boki lśniły im od potu. Niosły dwóch jeźdźców w wysokich butach z

wywiniętymi cholewami r w długich płaszczach z szarej tkaniny. Ostre, blade twarze jeźdźców zdobiły spiczaste bródki. Nie można było nie rozpoznać Sibornalczyków. Jechali zwirową ścieżką w cieniu górskiego zbocza. Rytmiczne klap-klap-klap kopyt jajaków niesło się szeroko po okolicy pełnej drzew i strumieni.

Jeźdźcy byli zwiadowcami sił zbrojnych kapłana-wojownika Festibariaytida. Z przyjemnością wdychali rześkie powietrze, z rzadka zamieniając słowa podczas jazdy, nieustannie za to wypatrując wroga. Za nimi piesi Sibornalczycy pędzili drogą gromadkę pojmanych pragnostyków. Kręty szlak schodził do rzeki, za którą wznosił się skalny przylądek. Jego spadziste zbocza, uformowane z warstw skalnych, porozrywanych i poprzestawianych niemal pionowo, porośnięte były karłowatymi drzewami. Tu leżała osada, nad którą władzę sprawował Festibariaytid.

Zwiadowcy przebyli w bród płyciznę rzeki. Pokonując zbocza, jasaki ostrożnie wybierały drogę wśród stromych skał; te zwierzęta północnych równin nie czuły się najlepiej w górzystym terenie. Z coroczną falą kolonistów jasaki przybywały z północy do Chalce i prowincji pogranicznych Pannowalu, co tłumaczyło ich obecność tak daleko na południu.

Do rzeki zbliżyła się reszta oddziału. Czterech pikinierów eskortowało gromadkę pechowych pragnostyków, zgarniętych przez patrol do niewoli. Wśród pojmanych dreptali Kathkaarnit z Kathkaarnitką, wciąż drapiąc się mimo wielu tygodni marszu w grupie niewolników. Zachęceni grotem piki przebrnęli płyciznę, po czym pognano ich pod górę stromą ścieżką, której trzymał się jeszcze odór jajaków i którą, minawszy posterunki, wkroczyli do osady zwanej Nowy Ashitosh.

Do tego brodu, w to niebezpieczne miejsce, wiele tygodni później przybył Laintal Ay. Niewielu z bliskich mu nawet znajomych rozpoznałoby w nim dzisiaj dawnego Laintala Aya. Lżejszy o jedną trzecią wagi, szczupły, wręcz chudy jak patyk, bledszej karnacji, innego spojrzenia. A przede wszystkim poruszał się inaczej, co odmieniło go najbardziej, bo najbardziej rzucało się w oczy. Przeżył gorączkę kości.

Opuściwszy Oldorando jechał na północny wschód przez tereny znane później jako Rojsty Roona, drogą wybraną przez Shay Tal i jej orszak. Zabłądził i tułał się po bezdrożach. Okolica znana mu we wczesnej młodości, spowita wówczas w biel, otwarta szczerymi polami do nieba, zniknęła w gąszczu zieleni. Dawna samotnia stała się siedliskiem niebezpieczeństwa. Wyczuwał nieustanną krzątaninę, nie tylko spłoszonych zwierząt, lecz także istot ludzkich, półludzkich i ancipitalnych, wszystkich stworzeń poruszonych falą wiosny. Gdzie się obrócił, z zarośli wyzierały maleńkie wrogie oblicza. Każdy krzak miał oprócz liści jeszcze oczy i uszy. Złota denerwowała się w lesie. Mustangi były stworzeniami szerokich otwartych przestrzeni. Narowiła się coraz bardziej, aż wreszcie Laintal Ay zsiadł sarkając i poprowadził zwierzaka za kantar. Przez, zdawało się, nieskończony las brzóz i paproci dotarł w końcu pod wieżę z kamienia. Przywiązawszy Złotą do drzewa ruszył zorientować się w terenie. Wokoło panowała cisza. Wszedł do bepańskiej wieży i odpoczął, nie czując się dobrze. Potem ze szczytu już rozpoznał okolicę; to. była wieża, z której podczas swego łazikowania oglądał kiedyś puste horyzonty. Stroskany i słaby opuścił wieżę. Z wyczerpania przysiadł na ziemi, przeciągnął się i stwierdził, że nie może opuścić ramion. Targnęły nim kurcze, gorączka uderzyła jak obuchem i w delirium przegiął się do tyłu, jakby chciał złamać sobie kręgosłup. Maleńcy, ciemnoskórzy mężczyźni i kobiety wychynęli z ukrycia i podkradali się coraz bliżej, nie spuszczać z niego oczu.

Kosmate stworzenia, wzrostem sięgające Laintalowi Ayowi najwyżej do pasa, były pragnostykami z plemienia Nondadów. Mieli ośmiopalce dłonie, prawie ukryte w gęstych, rudawoblond frędzlach włosów, porastających im na kształt mankietów nadgarstki. Sterczące jak u asokinów mordki nadawały ich twarzom wyraz jakby tęsknoty, takiej samej, jaką obnoszą po świecie

Madisi. Ich mowę tworzyła mieszanina prychnięć, gwizdów i mlasków w niczym nie przypominająca olonetu, choć trafiały się nieliczne zapożyczenia ze starego języka. W końcu po naradzie postanowili zabrać Freyriana do siebie, ponieważ miał dobrą oktawę osobowości.

Na grani za wieżą rosły szpalerem dumne radżababy w kępach brzózek. U podnóża jednej z radżabab Nondadowie zeszli w głąb tunelu, wciągawszy ze sobą Laintala Aya wśród prychnia i chichotów z takiego mozołu. Próżno Złota parskała i szarpała lejce – jej pan zniknął.

W korzeniach wielkiego drzewa mieli Nondadowie swoje zaciszne królestwo. Swoje Osiemdziesiąt Mroków. Swoje posłania z orlicy, na której sypiali dla odstraszenia-gryzoni dzielących z nimi siedzibę. I swoje obyczaje wedle których żyli. Zgodnie z obyczajem przeznaczali wybrane noworodki na królów i wojowników, mających panować i walczyć w ich obronie. Owych panów od maleńkości sposobiono do okrucieństwa; w Osiemdziesięciu Mrokach toczyły się między nimi krwawe walki na śmierć i życie. Królowie jako przedstawiciele plemienia wyładowywali za swoich współplemieńców wrodzoną Nondadom agresję, dzięki czemu wszyscy szarzy obywatele Osiemdziesięciu Mroków byli łagodni i czuli, i trzymali się jak najbliżej siebie bez większego poczucia indywidualnej tożsamości. Idąc za głosem instynktu zawsze pielęgowali życie; pielęgowali życie Laintala Aya, aczkolwiek jeśliby zmarł, zjedliby go do ostatniej kosteczki. Taki mieli obyczaj.

Jedna z kobiet została snoktruikszą Laintala Aya, okrywając go własnym ciałem, pieszcząc go i głaszcząc, spijając gorączkę. Majaki zaczęły mu się wypełniać zwierzętami, i drobnymi jak myszy, i wielkimi jak góry. Budząc się w mroku odkrywał, że jest przy nim obca towarzyszka, bliska jak życie, która czyni wszystko, aby go ocalić i przywrócić mu zdrowie”. Miał wrażenie, że już został mamikiem, i skwapliwie przyjął nowy rodzaj istnienia, w którym niebo i piekło są jak dwa ramiona jednego uścisku. O ile ogóle zrozumiał to słowo, snoktruiksa oznaczała jakby zbawicielkę, a także uzdrowicielkę, koicielkę, żywicielkę i nade wszystko tulicielkę. Leżał w ciemnościach, w konwulsjach, z powykręcanyimi członkami, w siódmych potach. Wirus szalał jak pożar, przepychając go przez straszliwe ucho igielne Siwy. Armie bólu toczyły bój o ład ścięgien i mięśni zwany Laintalem Ayem. Jednak tajemnicza snoktruiksa trwała przy nim, dając mu swą obecność, żeby nie został całkiem samotny. Zbawiała go darem siebie.

Armie bólu ustąpiły o czasie. Stopniowo zaczął rozumieć głosy w Osiemdziesięciu Mrokach i pojmować, co się dzieje z nim samym. W osobliwej mowie Nondadów nie istniały słowa oznaczające jedzenie, picie, miłość, głód, zimno, ciepło, nienawiść, nadzieję, rozpacz, ból, chociaż zdawało się, że znali je królowie i wojownicy, toczący gdzieś w ciemnościach swoje bitwy. Pozostali Nondadowie poświęcali swój wolny czas, którego mieli mnóstwo, na przewlekłą dyskusję o Ultimach. Potrzeby życia pozostały bez słów, jako niegodne uwagi. Liczyły się tylko Ultimy.

Przyduszony przez swego sukkuba Laintal Ay nigdy nie opanował ich języka na tyle, aby pojąć Ultimę. Odnosił wrażenie, że w głównym wątku debaty – która również była obyczajem utrzymywanym od pokoleń – chodziło o rozstrzygnięcie kwestii, czy wszyscy powinni połączyć swoje tożsamości stanem istnienia w łonie wielkiego boga mroku Wiszramy, czy winni zachować byt odrębny. Długa była dysputa o tym odrębnym bycie, nie przerywana przez Nondadów nawet wówczas, gdy zasiadali do jedzenia. Że jedli Złotą, nie przyszło nawet Laintalowi Ayowi do głowy. Sam stracił apetyt. Medytacje na temat odrębnego bytu spływały po nim jak woda po gęsi. Ów odrębny byt odpowiadał jakoś całemu mnóstwu rzeczy, także wyjątkowo nieprzyjemnych, jak światło i walka; był to byt narzucony królom i wojownikom, dający się z grubsza przełożyć na osobowość. Osobowość przeciwstawiała się woli Wiszramy. Jednakże w jakiś sposób, tak przynajmniej to wyglądało w argumentacji równie poplątanej jak korzenie, wśród których ją rozwinięto,

przeciwstawianie się woli Wiszramy oznaczało również jej spełnienie.

Trudno było połapać się w tym wszystkim, zwłaszcza z małą włochatą snoktruiksa w ramionach. Ona nie umarła pierwsza. Wszyscy oni umierali cichuteńko, zaszywając się w Osiemdziesięciu Mrokach. Początkowo uświadamiał sobie jedynie, że dyskusja ma coraz mniej głosów w chórze. Potem zeszywniała też snoktruiksa. Przyciskał ją mocno do siebie, z boleścią, o jaką się nawet nie podejrzewał. Ale Nondadowie nie mieli odporności na chorobę, którą Laintal Ay przywłókł do ich świata; choroba i ozdrowienie nie były ich obyczajem.

W krótkim czasie umarła i snoktruiksa. Laintal Ay siedział i płakał. Nigdy nie widział jej twarzy, chociaż jej maleńkie drobne kształty, które kryły w sobie tyle słodczy, znajome były opuszkom jego palców. Dysputa o Ultimach dobiegła kresu. Ostatni mlask, prychnięcie, gwizd zamarł w Osiemdziesięciu Mrokach. Niczego nie rozstrzygnięto. W końcu i sama śmierć wykazała w tej kwestii pewne niezdecydowanie: była i odrębna, i wspólna.

Ogarnięty grozą Laintal Ay starał się nie oszaleć. Na czworakach pełzał po trupach swoich wybawców, szukając wyjścia. Przytłaczał go cały potworny majestat Osiemdziesięciu Mroków.

Ja mam osobowość – mówił do siebie, usiłując podtrzymać dysputę – bez względu na problemy drogich memu sercu przyjaciół Nondadów. Ja wiem, że jestem sobą, ja nie mogę unikać bycia sobą. Dlatego muszę żyć w zgodzie sam ze sobą. Nie muszę prowadzić tej wiecznej dysputy, jaką oni prowadzili. Wszystko jest rozstrzygnięte, jeśli o mnie chodzi. Cokolwiek się ze mną stanie, to przynajmniej wiem. Jestem wolnym człowiekiem, czy przeżyję, czy umrę, tak właśnie mam postępować. Nie ma sensu szukać Aoza Roona. On nie jest moim panem, ja sam jestem panem siebie. Oyre też nie ma aż tak wielkiej władzy nade mną, żebym musiał zostać wygnancom. Obowiązek nie jest niewolą...

I tak dalej, bez końca, aż słowa przestały cokolwiek znaczyć nawet dla niego samego. Labirynt wśród korzeni nie wiódł do żadnego wyjścia. Wiele razy, gdy wąski tunel skręcał ku górze, Laintal Ay z nadzieją czołgał się naprzód, żeby natknąć się jedynie na ślepą odnogę, w której leżały skulone zwłoki pośród szcurów, prowadzących na swój sposób dysputę nad wnętrzem człowieka. Pokonując szerszą komorę, napotkał króla. W mroku rozmiary mniej znaczyły niż w świetle. Król wydawał się olbrzymem, kiedy ryknął i skoczył z pazurami. Laintal Ay tarzał się, wierzgając i wrzeszcząc, usiłując dobyć sztyletu, podczas gdy coś straszego i bezkształtnego rwało mu się z zębami i pazurami do gardła. Przywalił to ciałem próbując zadusić bez skutku. Łokieć wsadzony w oko odebrał na chwilę zapał napastnikowi. I chwilę tylko miał Laintal Ay sztylet w garści, kopniakiem wytracony w następnym starciu. Palcami zamiast sztyletu zmacał korzeń. Przyparł i przygwoździł do korzenia ramię króla i tłukł w pełną ostrych kłów gębę. Rozjuszony król uwolnił się niespodziewanie i natarł na Laintala Aya z jeszcze większą furją. Złączeni nienawiścią w jedno ciało rozrzucali na wszystkie strony piach, odchody i smyrgające gryzonie. Wycieńczony gorączką kości i długim postem Laintal Ay czuł, że słabnie. Pazury rozorały mu bok. Nagle coś gruchnęło w ich splecione ciała. Komorę wypełniły dzikie ryki i mlaski. Stracił głowę i dopiero po chwili zorientował się, że w ciemnościach jest jeszcze jeden napastnik – któryś z nondadzkich wojowników, całą prawie zajadłość skupiający na królu. Dla Laintala Aya było to tak, jakby wpadł pomiędzy dwa jeżozwierze. Turlając się i kopiąc na prawo i lewo uszedł z bijatyki, złapał swój sztylet i brocząc krwią wpełznął do ciemnego kąta. Podkurczył nogi, goleniami osłoniwszy brzuch i twarz przed czołowym atakiem, i po omacku wyszukał wąski wylot za głową. Chyłkiem wśliznął się w tunel niewiele szerszy od tułowia. Przed gorączką za nic by się tam nie wcisnął, teraz dokonał tego wijąc się jak wąż, lądując na koniec w małej, okrągłej, ziemnej norze. Pod dłońmi poczuł zeschnięte liście. Legł na nich ziajany, z trwogą nasłuchując pobliskich odgłosów walki.

– Światło, na wszystkich strażników! – wysapał.

Nikła jak mglistość szarówka rozjaśniała norę. Przedarł się na skraj Osiemdziesięciu Mroków. Strach pchał go ku światłu. Wyczołgał się z ziemi i dygocąc stanął pod nagim, zapadniętym brzuchem radżababy. Hen z jeziora nieba płynęły kaskady światła. Przez długi czas oddychał głęboko, ocierając krew i piach z twarzy. Zerknął pod nogi. Dzika, ruchliwa twarz wyrzała za nim i zniknęła. Opuścił królestwo Nondadów, z których po jego wizycie pozostały prawie same trupy. Myśl o snoktruiksie napełniała go bólem. I żalem, i zdumieniem, i wdzięcznością. Jeden z pary strażników stał wysoko na niebie. Strażniczka Bataliksa nisko nad horyzontu kładła swoje promienie niemal poziomo na olbrzymi, nieruchomy las, dobywając złowieszcze piękno z morza liści.

Skóry ubrania miał w strzępach. Ciało w krwawych pręgach, rozorane królewskimi pazurami. Rozejrzał się wprawdzie i nawet raz zawołał na Złotą, ale bez przekonania. Nie łudził się, że ponownie ujrzy swego mustanga. Łowieckie instynkty ostrzegały przed pozostaniem w jednym miejscu; jeśli się nie ruszy, padnie czyjąś ofiarą, a był zbyt osłabiony, żeby stanąć do jeszcze jednej walki. Przysłuchał się radżababie. Coś w niej dudniło. Nondadowie przywiązywali wielką wagę do drzew, pod których korzeniami mieli siedziby, twierdząc, że Wiszrama zamieszkuje koronę bębna radżababy i od czasu do czasu wypada z furją na świat, jakże niesprawiedliwy dla pragnostyków. I co też pocznie Wiszrama – zastanawiał się Laintal Ay – skoro wszyscy Nondadowie mu pomarli? Nawet on będzie zmuszony do zmiany osobowości.

– Obudź się – rzekł, uprzytomniwszy sobie, że myślami buja w obłokach. Nigdzie nie dostrzegł śladu ruin wieży, jedyne drogowskazu w tym terenie. Zatem pokazawszy plecy Bataliksie, zapuścił się między cętkowane pnie drzew. W ciele i w członkach czuł przyjemną lekkość.

Mijały dni. Unikał band fagorów i innych wrogów. Nie odczuwał głodu; choroba zostawiła po sobie brak apetytu i jasność w głowie. Stwierdził, że umysł zaprzętają mu sprawy, o których opowiadały Vry i Shay Tal, matka i babka, i snoktruiksa... – jakże wiele zawdzięcza się kobietom – sprawy związane ze światem, który należy pojmować jako jeden z wielu światów i jako miejsce, w którym ma się nadzwyczajne szczęście żyć, miejsce pełne nadzwyczajnych niespodzianek i powietrza wypełniającego płuca falą oddechu. Poczucie szczęścia przenikało go do szpiku kości. Światy nieprzebrane otwierały się jeden po drugim.

I tak lekkim krokiem doszedł do brodu pod sibornalską osadą zwaną Nowym Ashkitosh.

Nowy Ashkitosh żył w poczuciu stałego zagrożenia. Kolonistom to odpowiadało. Osada rozłożyła się na znacznym obszarze. Miała kształt na tyle kolisty, na ile pozwalał teren. Chaty, strażnice i palisady zamykały kręgiem pola uprawne, poprzecinane drogami rozchodzącymi się promieniście od środka, jak szprychy koła. W środku mniejszy krąg manufaktur, magazynów i zagród dla jeńców otaczał centralną oś osady, którą stanowił okrągły kościół. Kościół Krwawego Pokoju.

Mężczyźni i kobiety krzatali się pilnie jak mrówki. Zbijanie baków było zabronione. Wróg – Sibornalczyki zawsze mieli wrogów – nie spał: ani zewnętrzny, ani wewnętrzny. Wrogiem zewnętrznym był ktokolwiek (lub cokolwiek) spoza Sibornalu. Nie żeby Sibornalczyki byli szowinistami, ale religia nakazywała im ostrożność wobec wszystkiego, co pannowalskie lub fagorze. W terenie krążyły na jajakach patrole zwiadowców. Zwiadowcy bez przerwy przynosili wieści o zbliżaniu się do osady luźnych band fagorzyc, a za nimi istnej armii ancipitów, schodzącej z gór. Wieść wzbudziła umiarkowany niepokój. Każdy był podminowany. Nikt nie uległ panice. Mimo że sibornalscy koloniści mieli nieprzyjazny stosunek, do dwurogich najeźdźców i vice versa, weszli z nimi w krępujący sojusz, ograniczając wrogość do minimum. W przeciwieństwie do mieszkańców Embruddocku, żaden Sibornalczyk nigdy z własnej nieprzymuszonej woli nie walczył z fagorem. Wolał handlować. Osadnicy byli świadomi, że odwrót do Sibornalu mają odcięty, o ile w

ogóle by tam mile przyjęto buntowników i heretyków. Przedmiotem handlu był żywy towar – ludzki bądź półludzki.

Osadnicy żyli na progu śmierci głodowej, nawet za najlepszych dni. Osada była wegetariańska, wszyscy doskonale znali się na uprawie roli. Plony mieli bogate. Jednak przeważająca część zbiorów szła na wykarmienie ich własnych wierzchowców. Musieli żywić ogromne stado jajaków, mustangów, koni i kaidawów (te ostatnie to kurtuazyjne podarunki od fagorów), aby osada w ogóle mogła przeżyć. Albowiem zwiadowcy nieustannie patrolujący okolice nie tylko na bieżąco informowali osadę o tym, co się dzieje poza nią, ale także brali w jasyr wszystko, co im wpadło w ręce. Środkowe zagrody trzeszczały w szwach od czerechy coraz to nowych jeńców. Tymi jeńcami płacono haracz fagorom. W zamian fagory zostawiały osadę w spokoju. Czemu nie? Kapłan-wojownik Festibariaytid chytrze założył osadę na fałszywej oktawie, żaden fagor nie miał ochoty tam włązić.

Ale nie pozbyto się z obozu wroga wewnętrznego. Para pragnostyków, którzy podali, że nazywają się Kathkaarnit i Kathkaarnitka, zaniemogła w dniu przybycia i wkrótce zmarła. Rządca zagród wezwał kapłana-medyka, ten zaś rozpoznał gorączkę kości. Gorączka szerzyła się z tygodnia na tydzień. Tego ranka w szałasie znaleziono zwiadowcę ze stężałymi w skurczu członkami, z oczyma w słup, zlanego potem.

Nieszczęście dotknęło osadników w nieodpowiedniej chwili, kiedy usiłowali zgromadzić stado jeńców w dani dla nadciągającej fagorzej krucjaty. Dowiedzieli się już imienia ancipitalnego kapłana-wojownika, którym był nie kto inny, jak sam Kzahhn Hrr-Brahl Yprt. Duża liczba zgonów mogła zmarnować okup. Z rozkazu Jego Świątobliwości Festibariaytida dodatkowo odśpiewywano hymny błagalne nad każdym przypadkiem.

Laintal Ay słyszał te modły wkraczając do osady i brzmiały mu miło. Z zaciekawieniem przyglądał się wszystkiemu wokoło, nie zwracając uwagi jedynie na dwóch zbrojnych wartowników, eskortujących go do głównej kordegardy, przed którą jeńcy zgrabiali łajna na kupę.

Dowódca warty nie bardzo wiedział, co począć z nie-Sibornalczykiem dobrowolnie przybywającym do obozu. Krótco przesłuchał Laintala Aya, próbując go zastraszyć, po czym pchnął podwładnego po żołnierza kościoła. Przez ten czas Laintal Ay oswajał się z faktem, że każdy, kto nie przeszedł zarazy, jest okropnie gruby w jego nowych oczach. Żołnierz kościoła był okropnie gruby. Potraktował Laintala Aya z góry, zadając mu w swoim mniemaniu podchwytliwe pytania.

– Miałem trochę kłopotów – powiedział Laintal Ay. – Przychodzę tu w poszukiwaniu schronienia. Potrzebuję odzieży. W lasach zrobiło się nazbyt tłoczno, jak na mój gust. Proszę o jakiegoś wierzchowca, najchętniej mustanga, i gotów jestem wszystko to odpracować. Potem odjeżdżam do domu.

– Z jakich ludzi pochodzisz? Czy przybywasz z dalekiego Hespagoratu? Dlaczego jesteś taki chudy?

– Miałem gorączkę kości.

Żołnierz kościoła skubnął wargę.

– Jesteś wojownikiem?

– Ostatnio wybiłem do nogi całe plemię Innych, Nondadów...

– Więc nie boisz się pragnostyków?

– Nic a nic.

Skierowano go do pilnowania i karmienia nieszczęsnych lokatorów zagród. W zamian otrzymał ubranie z szarej wełny. Zamysł żołnierza kościelnego był prosty. Ten, kto przeszedł gorączkę kości, mógł doglądać jeńców nie sprawiając kłopotu ani swą śmiercią, ani roznoszeniem pandemii. Coraz

więcej osadników i jeńców padało jednak ofiarą zarazy. Laintal Ay zauważył, że modły w Kościele Krwawego Pokoju stały się żarliwsze. Jednocześnie ludzie, zaczęli stronić od siebie. Chodził, gdzie chciał, nie zatrzymywany przez nikogo. Miał uczucie, że jakiś czar strzeże jego życia. Każdy dzień jakby otrzymywał w darze.

Zwiadowcy trzymali wierzchowce na ogrodzonym wybiegu. Nadzorował gromadkę jeńców, którzy dostarczali zwierzętom siano i obrok. Stąd brał się wielki problem żywności w osadzie. Akry łąki mógł wyżywić dziesięć sztuk dziennie. Osada miała pięćdziesiąt wierzchowców wykorzystywanych do przeczesywania coraz większego obszaru; zjadały one ekwiwalent dwóch tysięcy czterystu akrów rocznie, a nawet więcej, gdyż część pasła się poza osadą. Ten ważki problem sprawiał, że Kościół Krwawego Pokoju był zwykle pełen na pół zagłodzonych rolników – zjawisko rzadkie nawet na Helikonii.

Laintal Ay nie wydzierał się na jeńców; pracowali całkiem dobrze, zważywszy ich marny los. Wartownicy trzymali się z daleka. Głowy mieli pospuszczone z powodu mżawki. Tylko Laintal Ay zwracał uwagę na cisnące się ze wszystkich stron rumaki, które wyciągały miękkie chrapy, owiewając go delikatnym oddechem w oczekiwaniu na poczęstunek. Rychły był moment, kiedy wybierze sobie któregoś i ucieknie, gdy rozprężenie wart będzie już dostateczne, za dzień, za dwa, sądząc po tym, co się działo. Ponownie spojrzął na jedną z klaczy mustanga. Zbliżył się do niej z kawałkiem placka w dłoni. Pomarańczowe i na przemian błękitne pasy biegły od nosa do ogona zwierzęcia.

– Wierna!

Klacz podeszła, wzięła placek, po czym wsunęła mu pysk pod ramię. Wytargał ją pieszczotliwie za uszy.

– W takim razie gdzie jest Shay Tal?

Odpowiedź była oczywista. Sibornalczyki złapali ją i przehandlowali fagorom. Shay Tal już nigdy nie dotrze do swego Sibornalu. Była już mamikiem. Ona i jej maleńki orszak utonęli w rzece czasu.

Dowódca warty zwał się Skitosherill. Między nim a Laintalem Ayem zawiązała się krucha nieprzyjaźń. Laintal Ay widział, że Skitosherillem zawładnął strach; nie dotykał nikogo, a w kłapie nosił bukiet maneczek i bikinek, w którym często nurzał swój długi nos, mając nadzieję, że uchroni właściciela nosa od plagi.

– Czy wy, oldorandczycy, modlicie się do boga? – zapytał.

– Nie. Sami umiemy sobie radzić. Chwalimy Wutrę, to prawda, ale wszystkich jego kapłanów wykurzyliśmy z Embruddocku kilka pokoleń temu. Trzeba wam było zrobić to samo w Nowym Ashkitosh – mielibyście lepsze życie.

– Barbarzyński czyn! To za to złapałeś mór, rozgniewawszy boga.

– Wczoraj zmarło dziewięciu jeńców i sześcioro twoich ziomków. Coś te wasze modły nie wychodzą wam na zdrowie.

Skitosherill rozeźlił się. Stali na dworze, lekki podmuch marszczył im płaszcze. Z kościoła dolatywała ich modlitewna muzyka.

– Nie podziwiasz naszej świątyni? Jesteśmy jedynie skromną rolniczą gminą, a przecież kościół mamy piękny. Założę się, że w Oldorando nie ma nic takiego.

– To jest więzienie.

Ale mówiąc to Laintal Ay słuchał uroczystej melodii, która dobiegała z kościoła i wabiła go tajemnicą. Do instrumentów dołączyły głosy w podniosłym hymnie.

– Nie gadaj tak... bo ci przyłożę. W kościele jest Życie. Okrągłe Wielkie Koło Kharnabharu,

święta kolebka naszej wiary. Gdyby nie Wielkie Koło, nadal tkwilibyśmy w okowach śniegu i lodu.

Wskazującym palcem uczynił znak koła na swym czole.

– Jak to?

– To właśnie Koło stale zbliża nas do Freyra. Nie wiedziałeś o tym? Jako dziecko byłem zabrany na pielgrzymkę do Kharnabharu w górach Shiveniuk. Nie jesteś prawdziwym Sibornalczykiem, dopóki nie odbędziesz takiej pielgrzymki.

Następny dzień przyniósł siedem następnych zgonów. Skitosherill kierował oddziałem grabarzy złożonym z madiskich niewolników, którzy mieli dwie lewe ręce nawet do kopania grobów.

– Moją bliską przyjaciółkę – odezwał się Laintal Ay – schwytali twoi ludzie. Pragnęła odbyć pielgrzymkę do Sibornalu, by zasięgnąć rady kapłanów waszego Wielkiego Koła. Uważała, że oni mogą być źródłem wszelkiej mądrości. A twoi ziomkowie uwięzili ją i sprzedali śmierdzącym fagorom. Czy tak u was traktuje się ludzi?

Skitosherill wzruszył ramionami.

– Nie zwalaj winy na mnie. Pewnie wzięli ją za pannowalskiego szpiega.

– Jakim cudem wzięli ją za pannowalkę? Jechała na mustangu, tak jak i jej towarzyszki. Czy ktoś widział pannowalczyka na musłangu? Ja nigdy. To była wspaniała kobieta, a wy, zbójce, oddaliście ją fugasom.

– Nie jesteśmy zbójami. Pragniemy jedynie posiedzieć tu w pokoju i przenieść się dalej, kiedy już wyeksploatujemy ziemię.

– Chcesz powiedzieć, kiedy wyeksploatujecie miejscową ludność. Nie wstyd wam kupczyć kobietami za cenę własnego bezpieczeństwa?

Sibornalczyk uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Wy, barbarzyńcy z Kampanlat, nie cenicie swoich kobiet.

– Cenimy je bardzo wysoko.

– Czy one rządzą?

– Kobiety nie rządzą.

– W niektórych krainach Sibornalu rządzą. Sam widzisz, jak w naszej osadzie hołubimy swoje kobiety. Mamy kobiety kapłanki.

– Nie widziałem ani jednej.

– Właśnie dlatego, że je hołubimy. – Nachylił się. – Posłuchaj, Laintalu Ayu, ogólnie biorąc niezły z ciebie chłop, to widać. Chcę ci zaufać. Ja wiem, jak sprawy stoją. Wiem, jak wielu zwiadowców wyszło i nie powróciło. Zmarli od plagi w jakichś nędznych krzakach, bez pogrzebu, ciała ich pożarły pewnie ptaki albo Inni. Jestem człowiekiem religijnym i wierzę w modlitwę, ale gorączka kości jest tak silna, że nawet modlitwa przeciwko niej nic nie wskóra. Mam żonę, którą kocham nad życie. I mam dla ciebie propozycję.

Laintal Ay słuchał Skitosherilla na niewielkim pagórku, z którego spoglądał w dół na jałowy stok opadający ku brzegom strumienia, porośnięty rachitycznymi cierniami. Spomiędzy rozsianych po stoku głazów jeńcy odrzucali piach, zaś siedem trupów – owinięte w płótna zwłoki siedmiu Sibornalczyków – leżało pod gołym niebem czekając na pochówek. Nie dziwię się – myślał – że ten grubas pragnie dać nogę, lecz co on mnie obchodzi? Nie więcej niż jego obchodziła Shay Tal, Amin Lim i cała reszta.

– Co to za propozycja?

– Cztery jajaki, dobrze wypasione. Ja, moja żona, jej służebna, ty. Wyjeżdżamy razem – mnie warty przepuszczą bez kłopotu. Jedziemy z tobą do Oldorando. Ty prowadzisz, ja cię osłaniam, a moja głowa, żebyś miał dobrego rumaka. Inaczej nigdy ci nie pozwolą wyrwać się stąd, jesteś zbyt

cenny, zwłaszcza że robi się coraz gorzej. Umowa stoi?

– Kiedy zamierzasz wyjechać?

Wetknąwszy nos w bukietik Skitosherill zerknął badawczo na Laintala Aya.

– Słówko o tym komukolwiek, a zabiję cię. Słuchaj, według naszych zwiadowców, przed zachodem Freyra ma tędy rozpocząć przemarsz kruczata fagorzego kzahhna Hrr-Brahla Yprta. Nasza czwórka wyruszy w ślad za nimi – fagory nie zaatakują nas, jeśli pociągniemy w ogonie ich pochodu. Kruczata niech sobie idzie na złamanie karku, my podążymy do Oldorando.

– Czyżbyś chciał zamieszkać w takim barbarzyńskim mieście? – spytał Laintal Ay.

– Będziemy musieli wpierw zobaczyć, jak tam jest z tym barbarzyństwem, zanim ci odpowiem. Nie próbuj nabijać się ze swego zwierznika. Umowa stoi?

– Wolę mustanga od jajaka i sam go sobie wybiorę. Nigdy nie dosiadałem jajaka. I chcę miecz z białego metalu, nie z brązu.

– W porządku. No więc umowa stoi?

– Mamy uścisnąć sobie prawice na zgodę?

– Nie dotykam cudzych dłoni. Wystarczy ustna zgoda. W porządku. Jestem bogobożnym człowiekiem, nie zdradzę cię; uważaj, żebyś ty mnie nie zdradził. Pogrzeb te zwłoki, ja zaś pójdę przygotować żonę do drogi.

Zaraz po odejściu wysokiego Sibornalczyka Laintal Ay kazał jeńcom przerwać robotę.

– Nie jestem waszym panem. Taki sam ze mnie jeniec, jak wy. Nienawidzę Sibornalczyków. Wrzucie te trupy do wody i przywalcie kamieniami, mniej się naharujecie. Potem umyjecie ręce.

Miast podziękować zmierzli go podejrzliwymi spojrzeniami – tę wyniosłą postać w szarym odzieniu z wełny stojącą ponad nimi na skarpie, człowieka, który gawędził z sibornalskim wartownikiem jak równy z równym. Wyczuwał ich nienawiść, mało się nią przejmując. Życie jest tanie, skoro tanie było życie Shay Tal.

Krzążąc się przy trupach odchyłili z jednego skraj płótna i Laintal Ay ujrzał na mgnienie oka poszarzałą twarz, zastygłą w męczarniach. Za chwilę unieśli trupa za ręce i nogi i cisnęli do strumienia, gdzie bystra woda chciwie dopadła całunu oklejając nim zwłoki, które bez ceregieli potoczył nurt. Koryto strumienia wyznaczało granicę Nowego Ashkitosh; na drugim brzegu, za lichym parkanem, rozpoczynała się ziemia niczyja. Ukończywszy robotę Madisi zadumali się nad ucieczką, nad przejściem w bród strumienia i daniem nogi. Część zachęcała do takiego kroku stając na skraju wody i machając na współtowarzyszy. Bojaźliwi ociągali się, odmachując w stronę nieznanich niebezpieczeństw. Wszyscy co i rusz zerkali na Laintala Aya, który stał z założonymi rękami niczym posąg. Nie mogli się nijak zdecydować, czy działać w pojedynkę, czy w gromadzie, i w końcu nie robili nic, tylko biegali tam i z powrotem, pod górę i nad wodę, zawsze wracając jednak w zakłętą krąg niezdecydowania. Wahali się nie bez powodu. Po drugiej stronie strumienia kto żyw ciągnął ziemię niczyją na zachód. Przed nimi płoszone ciągłym zamieszaniem ptaki podrywały się i krążyły na niebie nie mogąc ponownie wylądować. Teren podnosił się łagodnie na sporej przestrzeni, po czym opadał gwałtownie, odsłaniając wiekowe radzababy, szereg bębnow i buchające parą korony. Za oparami krajobraz nabierał rozmachu, ukazując kopce wzgórz, dalekich i uspionych w przymglonym blasku. Osobliwie ciosane kamienne megality sterczące to tu, to tam znaczyły szlaki śródziemnych i śródpowietrznych oktaw. Zmierzający na zachód uciekinierzy odwracali twarze od Nowego Ashkitosh, jakby z lękiem przed miejscem o złej sławie. Niekiedy szli samotni, częściej jednak w kompanii, nierzadko w wielkich gromadach. Niektórzy gnali przodem swoje trzody albo swoje fagory. Czasami fagory były panami. Zdarzały się też przerwy w pochodzie. Jakaś duża grupa urządziła sobie postój na stoku w sporej odległości od Laintala Aya. Byстрыm okiem wypatrzył

oznaki lamentów, sylwetki na przemian bijące czołem o ziemię i wznoszące ramiona do niebios w rozpacz. Inne bandy nadciągały lub odchodziły, a ludzie przebiegali z jednej do drugiej. Plaga wędrowała wśród nich.

Przyląpał się na tym, że poszukuje w oddali czegoś, przed czym uciekinierzy uchodzili. Miał wrażenie, że w siodle między dwoma wzgórzami widzi ośnieżony szczyt w nieustannie zmieniającym się oświetleniu, jak gdyby jakieś zwiewne istoty harcowały tam po połoninach. Zabobonne lęki opadły jego duszę i rozproszyły się dopiero wówczas, gdy uzmysłowił sobie, na co patrzy: nie na szczyt górski, lecz na coś, co jest i znacznie bliższe, i znacznie mniej trwałe – przelot nad przełęczą i zbijanie się kraków w stado. To go wreszcie sprowadziło na ziemię. Zostawiwszy nad strumieniem pragnostyków z nadal nie rozstrzygniętym sporem, udał się pod wartownię. Nie miał wątpliwości, że hordy uciekinierów, zarażonych już w większości plagą, zwałą się na Oldorando. Musi wrócić jak najszybciej, aby Ostrzec Dathkę i namiestników, inaczej Oldorando zaleją fale zapowietrzonych, człowieczych i nieczłowieczych istot. Targał nim niepokój o Oyre. Za mało o niej myślał od dni spędzonych ze snoktruiksą. Promienie słońc grzały go w plecy. Ciężła mu samotność, lecz na to nie było teraz lekarstwa.

Podpierając ściany wartowni nadstawiał ucha na muzykę z kościoła, ale dochodziła stamtąd jedynie cisza. Nie miał pojęcia, w którym miejscu szerokiego obwodu mieszkali Skitosherill z żoną, więc pozostało mu tylko czekać na przybycie tej pary. Wyczekiwanie napełniało go złym przeczuciem.

Do osady wkroczyli trzej spieszeni zwiadowcy, prowadząc dwóch jeńców, z których jeden od razu zwalił się jak kłoda przed wartownią. Zwiadowcy gonili resztkami sił. Wczłapali do wartowni, nie rzuciwszy nawet okiem na Laintala Aya. Ten obojętnie spojrzął na drugiego z jeńców; jeńcy już go nie obchodzili. Po czym spojrzął po raz drugi.

Jeniec stał na rozstawionych nogach, hardo, mimo głowy zwieszanej ze znużenia. Był słusznego wzrostu. Szczupła sylwetka świadczyła o przebytej również gorączce kości. Miał na sobie ciężkie czarne futro, wiszące na nim w luźnych fałdach. Laintal Ay wsadził głowę w drzwi wartowni, gdzie nowo przybyli zwiadowcy, rozparci łokciami na stole, pokrzepiali się korzennym piwem.

– Zabieram niewolnika na pole do roboty, jest pilnie potrzebny.

Zniknął, nim zdążyli mu cokolwiek odpowiedzieć. Bez zbędnych słów Laintal Ay kazał jeńcowi maszerować do Kościoła Krwawego Pokoju. Wewnątrz przy głównym ołtarzu zastał kapłanów, lecz skręcił w półmrok do ławki pod ścianą. Mężczyzna siadł z wdzięcznością, osunąwszy się jak worek kości. Był to Aoz Roon. Twarz chuda i pobrużdżona, skóra na szyi obwisła, broda posiwiiała, jednak z tymi zmarszczonymi brwiami i grymasem ściągniętych ust nie można było wziąć lorda Embruddocku za kogoś innego. Aoz Roon zrazu nie dopatrzył się Laintala Aya w chudym człowieku, okrytym sibornalską szatą. Kiedy rozpoznał chłopaka, z łkaniem przycisnął go do rozdygotanej piersi. Opanowując się po chwili opowiedział Laintalowi Ayowi o swoich przypadkach i jak został wyrzucony na małą wysepkę pośród wezbranych wód.

Gdy dźwignął się z gorączki, zdał sobie sprawę, że dzielący z nim los fagor umiera z głodu. Ten fagor to nie był żaden wojownik, jeno biedny grzybiarz imieniem Yhamm-Whrrmar, który panicznie bał się wody i w związku z tym nie mógł czy też nie chciał jeść ryb. Natomiast Aoz Roon w ogóle prawie nie musiał jeść, odczuwając brak łaknienia typowy u tych, którzy wywinęli się gorączce. Rozmawiali ze sobą przez dzielącą ich wodę, aż wreszcie Aoz Roon przeszedł na większą z dwóch wysp, zawierając przymierze ze swoim onegdajszym wrogiem. Od czasu do czasu widywali ludzi i fagory na brzegach rzeki i wołali do nich o pomoc, ale nikt nie kwapił się do przeprawy przez rwące bystrzyny nurtu. Wspólnie podjęli budowę łodzi, tracąc na to wiele żmudnych tygodni. Pierwsze

próby poszły na marne. Splatając gałęzie i uszczelniając je suszonym mułem zbudowali w końcu czółno, które utrzymało się na wodzie. Po długich namowach Yhamm-Whrrmar wlaź do środka, lecz z przerażenia wyskoczył z powrotem. Mimo zażartej dysputy Aoz Roon odbił sam. Na środku rzeki cały muł puścił i łódź poszła pod wodę. Aozowi Roonowi udało się dopłynąć do brzegu w dole rzeki. Miał zamiar zdobyć linę i wrócić na ratunek Yhammowi-Whrrmarowi, ale wszystkie napotkane po drodze istoty albo były mu wrogie, albo uciekały przed nim. Tułał się tak długo, aż schwytali go sibornalscy zwiadowcy i zawlekli do Nowego Ashkitosh.

– Wrócimy razem do Embruddocku – powiedział Laintal Ay. – Oyre będzie zachwycona.

Aoz Roon zrazu nie odpowiedział.

– Ja... nie mogę wracać... Nie mogę... Nie mogę opuścić Yhamma-Whrrmara... Ty tego nie zrozumiesz...

– Ty wciąż jesteś lordem Embruddocku.

Aoz Roon z westchnieniem zwiesił głowę. Ponosił klęskę po klęsce. Pragnął teraz tylko spokojnego schronienia. Znów jego dłonie poruszyły się niepewnie na kolanach, mnąc wyświechtane futro niedźwiedzie.

– Nie ma spokojnych schronień – rzekł Laintal Ay. – Wszystko wywraca się do góry nogami. Wracamy razem do Embruddocku. Jak najprędzej.

Skoro Aoza Roona opuściła wola, musi podejmować decyzje za niego. Zdobędzie strój sibornalski z wartowni; w takim przebraniu Aoz Roon dołączy do drużyny Skitosherilla. Rozczarowany wstał z ławki. Nie tego się spodziewał.

Po wyjściu z kościoła spotkała go druga niespodzianka. Na zewnątrz kręgu drewnianych budynków wokół kościoła gromadzili się osadnicy. Obróceni tyłem do budynków, w anonimowej szarości ubraniowej wełny, patrzyli ponad ogrodzonymi polami w stronę ziemi niczyjej. Czekali na rychły przemarsz krucjaty młodego kzahhna fagorów.

Nadal szła fala uciekinierów. Niekiedy wśród ludzi, pragnostyków i Innych pomykał rącho przygodny jelen. Niekiedy uciekinierzy ciągnęli obok band fagorów z przedniej straży armii Hrr-Brahla Yprta. Jakiś mętnik krył się w jej pochodzie, jakieś gonienie w piętę. Bardziej imponowała liczebnością niż ordynkiem. Na pozór chaotycznie, w rzeczywistości podporządkowane oktawom śródpowietrzny, fagorze kohorty tratowały mnogie akry dziewiczej ziemi powolnym, nieubłaganym pochodem, powolnym, nienaturalnym krokiem. Pośpiech nie płonął w wyblakłych szlajach fagorów,

Droga przez góry i doliny, z niemal stratosferycznych wyżyn Nktryhk do nizin Oldorando mierzyła trzy i pół tysiąca mil. W trudnym terenie piesza w większości armia rzadko przekraczała dzienną normę marszową jedenastu mil, niczym się w tym nie różniąc od armii człowieczych. Większość czasu pochłaniały jej zwyczajowe gry i zabawy wielkich armii: plądrowanie okolicy i popasy. Aby zdobyć prowiant, fagory oblegały wiele biednych osad górskich przy szlakach przemarszu, zalegając wśród skał i turni i czekając, aż Synowie Freyra otworzą od środka bramy miasta i złożą broń. Dla kęsa strawy, dla paru sztuk wychudzonych arangów tropiono i ścigano po niebezpiecznych perciach nomadów, którzy zatrzymali się w przedśionku człowieczeństwa, wciąż nieświadomi mocy nasion i za tę nieświadomość skazani na tułaczę życie.

W początkach drogi opóźniały pochód śnieżyce, a u jej kresu znacznie groźniejsze, olbrzymie fale powodziowe, które z cofającego się czoła Hhrygg walały na niziny. Krucjatę nękały również choroby, wypadki, dezercje i napaści plemion, przez których terytoria przechodziła. Mieli teraz kanon śródpowietrzny 446 wedle nowożytnego kalendarza. W prawiecznych umysłach ancipitalnej rasy był to również rok 367 według Małej Apoteozy Wielkiego Roku 5634000 od Katastrofy. Trzydzieści kanonów śródpowietrznych minęło od dnia, w którym po raz pierwsza od lodowych ścian

ojczystego lodowca odbił się głos kołatkowej trombity. Tuż koło siebie Bataliksa i wraży Freyr wisiały nisko nad zachodnim horyzontem, gdy krucjata dobijała wreszcie do kresu wędrówki.

Teren był miękki jak kobiece łono w porównaniu z przebytymi już wyżynami Mordriatu i mniej brutalnie zdradzał obecność okrutnych zastępów. Mimo wszystko przypominał skopany i zgrabiony ogród. Co prawda wiosna wstawiła łaty drzew, strojnych w jadowicie zielone liście płasko rozcapierzające swoje blaszki, jakby pod naciskiem niewidzialnej prasy oktafów śródpowietrznych, jednak listowie nie mogło przykryć ogromu geologicznej anatomii i nazbyt świeżych blizn po korozji w niedawnych stuleciach mrozu. Była to ziemia gotowa wiecznie żywić niespokojnego ducha życia, obojętne, w jakim ciele by na nią zstąpił. Tworzyła manuskrypt wielkiej nie opublikowanej opowieści Wutry. Rozproszone oddziały fagorzej armii były solą tej ziemi. W porównaniu z nimi szaro odziani ludzie jawili się jako widmowe istoty, zwiewniejsze od tych, które przepływały obok siedzib osadników.

Laintal Ay z sibornalskim przebraniem dla Aoza Roona wracał kolistą uliczką, mając z jednej strony kościół, z drugiej krąg urzędów, wartowni i składów. W przerwach między budynkami otwierał się przed nim widok po krańce osady. Mieszkańcy Nowego Ashkitosh jak jeden mąż wylegli oglądać przemarsz kruczaty. Zastanawiał się, czy nie wyszli tam ze strachu, aby sprawdzić, czy danina ludzkiej krwi, jaką złożyli ancipitalnej nawale, rzeczywiście zapewniła im bezpieczeństwo.

Nieme białe stworzenia mijały osadę z obu stron. Szły równym krokiem, wpatrzone tępo przed siebie. Wyliniały futra, wychudłe szkielety, gołe głowy, które wydawały się za duże dla nich samych. Górą fruwały kraki, wzniecając ogromną wrzawę. Ptaki, łamiąc szyki, pikowały na sterty gnoju rozrzucone po polach, gdzie biły się o żer pośród wrzasków i łopotu skrzydeł. Jakby dla przeciwstawienia się osadnicy odpowiedzieli własnym głosem. Laintal Ay wychodził już z kościoła, gdy ze zwartych szeregów buchnęła pieśń. Słowa nie były oloneckie. Ich chropawe, a przy tym liryczne brzmienia współgrały z potęgą pieśni. Z hymnu przebijał wspaniały, nieuchwytny ton, ni to wyzwania, ni pokory. Głosy kobiece czysto wznosiły się ponad basy, które przeszły w powolny, jakby marszowy zaśpiew.

W chmarze wynędzniałych stworów nadciągali jeźdźcy na kaidawach, nie tyłu co na początku, ale dość wielu, aby rzucali się w oczy. W środku idącej w większym ordynku falangi, nisko zwisiwszy rudy łeb, stąpał Rukk-Ggrl, niosący młodego kzahna we własnej osobie. Za kzahnem jechali jego wodzowie, dalej jego osobiste fildy, z których dwie tylko przeżyły, już jako dumne gildy. Wzięci do niewoli ludzie brnęli w ciżbie, objuczeni ładunkami.

Hrr-Brahl Yprt trzymał głowę wysoko, a metalowa osłona jego twarzy lśniła w mdłym świetle. Zzhrrk trzepotał nad nim jak proporzec. Kzahhn nie raczył obdarzyć spojrzeniem siedliska ludzi, którzy płacili mu haracz. Jednakże gardłowa pieśń płynąca mu na powitanie ponad ziemią trąciła jakąś strunę w jego łoni, bowiem zrównawszy się mniej więcej z Kościołem Krwawego Pokoju wzniosł w swej prawicy miecz ponad głowę, ale czy salutując, czy grożąc, pozostało to na zawsze tajemnicą. Nie zwalniając podążył swoją drogą.

Wobec tego, że Aoz Roon nie odstępował go na krok, Laintal Ay poszedł z nim pod wartownię. Tam czekali, dopóki nie zjawił się Skitosherill z żoną i obładowaną bagażami służącą.

– A to kto? – zapytał Skitosherill, wskazując palcem na Aoza Roona. – Czyżbyś już łamał swoją część naszej umowy, barbarzyńco?

– Niech ci wystarczy, że to mój przyjaciel. Dokąd idą wasi przyjaciele fagory?

Sibornalczyk wzruszył jednym ramieniem, jakby przeczenie niewarte było ruszenia obydwoma.

– Skąd mam wiedzieć? Zatrzymaj ich i zapytaj, skoroś taki ciekawy.

– Idą na Oldorando. Wy tego nie wiecie?... Wy zbójce, tak zaprzyjaźnieni z bestiami,

wyśpiewujący pieśni na cześć ich przywódcy, nie wiecie tego?

– Gdybym wiedział, gdzie w głuszy leży każda barbarzyńska wioska, nie musiałbym brać ciebie na przewodnika.

Gotowych skoczyć sobie do oczu rozdzieliła żona Skitosherilla.

– Po co się kłócisz, Barboe? Róbmy, jak zamierzaliśmy. Skoro ten człowiek mówi, że potrafi wskazać nam drogę do Oldorando, nie odwodź go od tego.

– Oczywiście, kochanie – Skitosherill posłał jej uśmiech samych warg. Popatrzył spode łba na Laintala Aya i oddalił się, by niebawem wrócić ze zwiadowcą, który wiodł kilka jajaków. Małżonka mierzyła Laintala Aya i Aoza Roonę wyniosłym spojrzeniem i milczała równie wyniośle. Rosła kobieta, prawie tak wysoka jak mąż, kryła niewieście kształty pod szarym strojem. Niezwykle jasne proste włosy i jasnoniebieskie oczy czyniły ją powabną mimo nieprzystępnej miny. Laintal Ay przemówił do niej serdecznie:

– Doprowadzę was do Oldorando całych i zdrowych. Nasze miasto jest piękne i porywające, i słynie z gejzerów i wież z kamienia. Zadziwi cię Świstek Czasu. Wszystko, co tam ujrzysz, musi cię zachwycić.

– Mnie nic nie musi zachwycić – ucięła ostro. Jakby żałując tej odpowiedzi, cieplejszym tonem spytała go o imię.

– W drogę – rzekł dziarsko Skitosherill – zachód słońca za pasem. Wy dwaj barbarzyńcy pojedziecie na jajakach, nie ma wolnych mustangów. A ten zwiadowca będzie nam towarzyszył. Ma nas ustrzec od kłopotów.

– Tak jest, od wszelkich kłopotów – rzucił zwiadowca spod kaptura. Freyr dotykał horyzontu, gdy wyjechali w sześć osób i siedem jajaków, jeden juczny. Bez przygód minęli warty u zachodniej bramy osady. Wartownicy sterczeli jak cienie w zanikającym świetle, markotni, zapatrzeni w gęstniejący mrok. Kawalkada podążyła bezdrożami, śladem kudłatej armii kzhahna. Grunt był stratowany i splugawiony po przejściu licznych stóp. Laintal Ay jechał na czele. Nie zwracał uwagi na niewygodne siodło jajaka. Dławiący ciężar kładł mu się na sercu i łoni, gdy myślał o bezlitosnej armii gdzieś przed nimi i nabierał coraz większej pewności, że po drodze fagory zaleją Oldorando, bez względu na ostateczny cel wyprawy. Musiał popędzać jak najszybciej, obejść krucznię od skrzydła i ostrzec miasto. Uderzył jajaka piętami po żebrach, przynaglając go siłą woli. Oyre z roześmianymi oczyma uosabiała wszystko, co ukochał w rodzinnym mieście. Nie żałował swojej długiej nieobecności, gdyż dzięki niej zyskał nowe zrozumienie samego siebie i nowy szacunek dla intuicji dziewczyny; widząc jego niedojrzałość, jego zależność od innych życzyła mu czegoś lepszego, nie potrafiąc, być może, ubrać tego w słowa. Wróciwszy, przyniesie jej przynajmniej część tych niezbędnych zalet. Pod warunkiem, że przybędzie na czas.

Zanurzyli się w mroczny las, osnuty złotą pajęczyną blasku zachodzącej Bataliksy. Młode jeszcze drzewa rosły jak trawy, koronami niewiele przewyższając głowy jeźdźców. Nie opodał przemykały zjawy. Cieniutki potok pragnostyków płynął na wschód, korytem własnej, tajemniczej oktawy, jakoś unikając kzhahna i znajdując sobie wolną drogę przez jego szeregi. Wymizerowane twarze sunęły jak blade widma w cieniu młodych drzew. Obejrzał się, chyląc szczupłe ciało w siodle. Zamykali pochód, zwiadowca z Aozem Roonem, trudni do rozróżnienia w półmroku. Aoz Roon spuścił głowę załamany, bez życia. Przed nim jechała służąca z jucznym jakiem. Tuż za sobą miał Skitosherilla z żoną, w szarych kapturach ocieniających im twarze. Utkwił spojrzenie w bielejącej twarzy kobiety. Zalśniły jej niebieskie oczy, ale w rysach zastygło coś, co wzbudziło w nim strach. Czyżby śmierć już podkradała się do nich? Ponownie trącił piętami nieruchawego jajaka, popędzając zwierzę na spotkanie niebezpieczeństwa.

XV. SWĄD SPALENIZNY

Cisza panowała w Oldorando. Mało ludzi chodziła ulicami. Większość owych przechodniów trzymała przy twarzy jakieś panacea, czasami ukryte pod maską na nos i usta, chroniącą od moru, much i swądu wielkich ognisk. Wysoko nad dachami para strażników, o włos ledwie od siebie, płonęła jak gorejące ślepia. Mieszkańcy wyczekiwali pod dachami. Jako społeczność zrobili wszystko, co w ich mocy. Teraz pozostało tylko czekać.

Wirus przerzucał się w mieście z dzielnicy do dzielnicy. W jednym tygodniu większość zgonów ograniczała się do dzielnicy południowej zwanej Pauk, podczas gdy reszta miasta oddychała swobodniej. Po czym ciągi zbierał rejon na drugim brzegu Voralu, ku uldze pozostałych. Lecz po kilku dniach zaraza mogła nawiedzić błyskawicznie swoje poprzednie rewiry i znów ten sam lament wzbijał się z tych samych ulic, nawet z domostw tych samych, co przedtem.

Tanth Ein i Faralin Ferd, namiestnicy Embruddocku, Raynil Layan, mistrz menniczny, oraz Dathka, lord Zachodniego Stepu, utworzyli Komitet Gorączki, w którym też i zasiadali z garstką przydatnych mieszkańców, jak Mama Bikinka z domu zdrowia. Wspierały ich pomocnicze siły pielgrzymujących pannowalskich poborców, którzy zatrzymali się w Oldorando z kazaniem przeciwko nieśmiertelności miasta, komitet uchwalił reguły zwalczania skutków gorączki. Nad przestrzeganiem tych reguł czuwał specjalny kontyngent milicji. Na każdej ulicy, w każdym zaułku rozlepiono obwieszczenia zapowiadające jedną i tę samą karę za ukrywanie zwłok i za grabież: gryz fagora, prymitywny sposób egzekucji, który przyprawiał bogatych kupców o perwersyjny dreszczyk. Obwieszczenia na rogatkach ostrzegały wszystkich przybywających, że w mieście panuje zaraza. Niewielu uciekinierów ze wschodu śpieszyło się tak bardzo, by zlekceważyć ostrzeżenie – kreśląc znak koła na czole obchodzili miasto. Żłudna byłaby nadzieja, że obwieszczenia zatrzymają tych, którzy wobec miasta mają złe zamiary.

Pierwsze w Oldorando wozy, toporne dwukółki zaprzężone w mustangi, bez przerwy turkotały na ulicach. Zwożono nimiienne pokłosie; zarazy, tych złożonych w całunie na chodniku, i tych bezceremonialnie wyrzuconych nago za drzwi lub z górnych okien. Mąż, matka czy dziecko, obojętnie jak bardzo kochani za życia, konając budzili tylko wstręt i mdłości, po zgonie tym większe.

Wprawdzie nie znano przyczyn gorączki, ale istniało wiele teorii. Nikt nie wątpił, że choroba jest zaraźliwa. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej, uważając, że wystarczy widok trupa, by samemu pójść w jego ślady. Słuchacze ewangelii Akhy Naaba, która nagle trafiła na podatny grunt, wierzyli, że gorączkę łapie się od spółkowania. Obojętne, w co tam kto wierzył, wszyscy zgadzali się, że ogień jest jedynym środkiem na trupy. Wywożono je dwukółkami za miasto i tam ciskano w płomienie. Stos był podsycany na okrągło. Dym ze stosu, swąd, czarna tłusta sadza snuły się po ulicach przypominając mieszkańcom, że nie znają dnia ani godziny. W rezultacie ci, co jeszcze żyli, popadali w którąś z dwóch skrajności – czasami z jednej w drugą – umartwiając się lub nurzając w rozpuście. Nikt jak dotąd nie uwierzył, że gorączka osiągnęła już swoje szczyty, ani że nie będzie już gorzej. Strach szedł o lepsze z nadzieją. Bowiem rosły szeregi ludzi, przeważnie młodych, którzy przeszli piekło helikoidalnego wirusa i śmiało obnosili swoje smukłości po mieście. Do nich należała Oyre.

Oyre ścięło z nóg na ulicy. Dol Sakil wzięła chorą pod swoje opiekuńcze skrzydła, już zeszywniała w bolesnym skurczu. Pielęgnowała przyjaciółkę bez cienia lęku o siebie, z ową apatyczną obojętnością, jaka zdążyła wejść jej w krew. Na przekór przepowiedniom sama nie zaniemogła i cała i zdrowa powitała Oyre, szczupłą, a nawet kościstą, po drugiej stronie igielnego ucha. Jedynym środkiem ostrożności zastosowanym przez Dol było odesłanie dziecka, Rastila Roona,

do męża i synka Amin Lim.

Chłopiec już wrócił. Obie przyjaciółki spędzały czas przy nim, nie wychodząc z domu. Nastrój wyczekiwania na koniec świata nie był pozbawiony przyjemności. Pałac nudy ma wiele komnat balowych. Bawiły się z dzieckiem w prościutkie zabawy, przypominając sobie własne dzieciństwo. Kilka razy odwiedzała je Vry, lecz w tych dniach nieobecna duchem. Mówiła tylko o swej pracy i o wszystkich swoich ambitnych zamierzeniach. Kiedyś poniosło ją i w jakimś porywie wyznała swoją zażyłość z Raynilem Layanem, dla którego poprzednio nie miała dobrego słowa. Stosunki z nim wyprowadzały ją z równowagi, często budziły wstręt; nienawidziła mężczyznę po jego odejściu, jednak rzucała się na niego, gdy przychodził.

– Wszystkieśmy to robiły, Vry – zauważyła Dol. – Tyle, że ty jesteś nieco spóźniona, więc bardziej wszystko przeżywasz.

– Nie wszystkieśmy się narobiły do syta – cicho powiedziała Oyre. – Nie ma już we mnie pożądania. Uszło ze mnie... Może by wróciło, gdyby wrócił Laintal Ay.

Zapatrzyła się w błękitne niebo za oknem.

– Jestem cała roztrzęsiona – Vry pozostała myślami przy własnych kłopotach. – Mój dawny spokój diabli wzięli. Sama siebie nie poznaję.

W swoim wybuchu Vry ani słowem nie wspomniała Dathki, podobnie jak obie jej przyjaciółki. Miłość sprawiała jej więcej radości, gdyby Vry nie gryzła się Dathką; ciążył jej na sumieniu, a poza tym zaczął łązić za nią krok w krok. Obawiając się jakiegoś głupstwa z jego strony, bez trudu namówiła podszytego tchórzem Raynila Layana, żeby przenieść schadzki z mieszkań do zakonspirowanego pokoiku. W owym zakonspirowanym pokoiku Vry i jej widłobrody kochanek codziennie oddawali się miłości, podczas gdy miasto oddawało się zarazie, a przez otwarte okno dolatywało człapanie zwierząt pociągowych. Raynil Layan chciał zamknąć to okno, ale mu nie dała.

– Zwierzęta mogą roznosić chorobę – oponował.. – Wyjedźmy, moja łanio, wyjedźmy z miasta, jak najdalej od moru i wszystkich naszych zmartwień.

– I jak byśmy żyli? Tu jest nasze miejsce. Tu w tym mieście i jedno w ramionach drugiego. Uśmiechnął się markotnie.

– A przypuścimy, że jedno drugie zarazi morem? Rzuciła się w posłanie na wznak, aż jej piersi zatańczyły mu przed oczami.

– To umrzemy jedno na drugim, w trakcie kochania, zespoleni! Rozpal w sobie krew, Raynilu Layanie, rozpal od mojej. Spal się we mnie jeszcze i jeszcze!

Dłonią przejechała mu po owłosionym podbrzuszu, obłapiając nogami plecy kochanka.

– Ty nienasycona locho – powiedział z uwielbieniem i zwaliwszy się przy niej zagarnął dziewczynę pod siebie.

Dathką siedział na brzegu łóżka, wsparłszy głowę w dłoniach. Milczał, więc i dziewczyna na łóżku w milczeniu odwróciła twarz do ściany i podciągnęła kolana do piersi. Dopiero gdy wstał i zaczął się ubierać z pośpiechem typowym dla kogoś, kto nagle podjął decyzja, dopiero wtedy powiedziała:

– Nie mam moru, wiesz przecież.

Łypnął na nią pośepnym okiem, ale pośpiesznie, bez słowa kończył się ubierać. Obróciła głowę, zgarniając z twarzy długie włosy.

– Więc co ci jest. Dathka?

– Nic.

– Słaby z ciebie chłop.

Wciągnął buty. na pozór bardziej zajęty nimi niż dziewczyną.

– Pies z tobą tańczył, babo. Innej pożądam... nie ciebie. Wbij to sobie do głowy i zmiataj stąd.

Ze ściennej szafki wyjął pięknej roboty puginał o zakrzywionej głowni. Blask jego aż raził przy stoczonych przez robaki drzwiczkach szafki. Wsunął puginał za pas. Dziewczyna zawołała, pytając, dokąd się wybiera. Nie zwróciwszy na nią uwagi trzasnął drzwiami i głośno zbiegł po schodach.

Nie zmarnował tych paru ostatnich tygodni po odejściu Laintala Aya i po wykryciu tego, co uważał za zdradę Vry. Wiele czasu poświęcił na umacnianie swojej pozycji, pozyskując stronników wśród oldorandzkiej młodzieży, dogadując się z cudzoziemcami, których gniewało ograniczenie im przywilejów miejskich, bratając się z tymi – a było takich wielu – których bicie rodzimego pieniądza zmusiło do zmiany dotychczasowego trybu życia na pracę w pocie czoła. Mistrz menniczny Raynil Layan stanowił częsty obiekt jego krytyki.

Spokojnie było wokół, gdy wszedł w boczny zaułek, wyludniony, jeśli pominąć człowieka, którego opłacił do pilnowania bramy. Na rynku ludzie kręcili się z konieczności, dokonując codziennych zakupów. Maleńki kram apteczny, zastawiony imponującymi rzędami ampulek, nie narzekał na brak ruchu w interesie. Nadal było widać kupców w przebogatych kramach „T w przebogatych szatach na grzbiecie. Widać było też ludzi z tobołami na grzbiecie, opuszczających zapowietrzzone miasto w obawie przed pogorszeniem sytuacji.

Dathka nic z tego nie widział. Szedł jak pociągana sznurkami marionetka, z oczami utkwionymi przed siebie. Napięcie w mieście zlało się z napięciem w jego duszy. Osiągnęło punkt, w którym nie mógł już tego wytrzymać. Zabije Raynila Layana, a jeśli trzeba, to i Vry, i skończy z tym wszystkim. Wargi mu się uniosły i wyszczerzył zęby, przepowiadając sobie w myślach ten śmiertelny cios, raz, i jeszcze, i od nowa. Ludzie uskakiwali przed nim w strachu, przekonani, że ta zastygła twarz zwiastuje atak gorączki.

Wiedział, gdzie Vry ma swój sekretny pokój, szpiegowali go na bieżąco. Gdybym tu rządził – pomyślał sobie – zamknąłbym akademię raz na zawsze. Nikt nigdy nie miał odwagi tego zrobić. Ja miałbym. Teraz jest dobra pora, pod pretekstem, że zajęcia w akademii szerzą zarazę. To będzie dla niej dotkliwy cios.

– Opamiętaj się, bracie, opamiętaj! Módl się z poborcami o zbawienie, wysłuchaj świętej prawdy wielkiego Akhy Naaba...

Otarł się o ulicznego kaznodzieję. Tych durniów też by przepędził z ulicy, gdyby to od niego zależało. Pod stajnią muślangów w Alei Juliego przystąpił do niego znany mu mężczyzna, handlarz zwierząt i najemnik.

– I Jak?

– Jest tam na górze, kapitanie.

Mężczyzna ruchem brwi wskazał okienko poddasza jednego z drewnianych budynków naprzeciwko stajni. Były to przeważnie zajazdy, domy noclegowe lub winiarnie, które służyły za niby szacowniejszy fronton tancbudom burdelom na tyłach. Dathka niedostrzegalnie kiwnął głową.

Roztrąciwszy kurtynę z paciorków, z wiszącą na niej wiązką świeżych orliczek i bikinek, wkroczył do winiarni. W ciasnej mrocznej izbie nie było klientów. Zwierzęce czaszki szczyrzyły ze ścian zęby w zasuszonych uśmiechach. Właściciel z założonymi rękami stał za szynkwasem, gapiąc się na ścianę. Uprzednio wtajemniczony, pochylił tylko głowę, rozplaszczając oba swoje podbródki na piersi – znak dla Dathki, że ma wolną drogę i wolną rękę. Dathka minął karczmarza i wspiał się po schodach. Powitał go stęchły zapach kapusty i gorszych paskudztw. Szedł przy ścianie, jednak deski podłogi mimo to trzeszczały. Złowił głosy, przystanąwszy pod ostatnimi drzwiami. Nerwowo z

usposobienia Raynil Layan z pewnością nie omieszkiał ich zaprzec. Dathka zastukał w splekane drewno.

– Wiadomość dla jaśnie pana – powiedział stłumionym głosem. – Pilna, z mennicy.

Z upiornym uśmiechem stał pod drzwiami słuchając zgrzytania rygli po drugiej stronie. Gdy tylko drzwi uchyliły się na szparkę, wtargnął do środka, pchnąwszy je gwałtownie na oścież. Raynil Layan cofnął się z okrzykiem przerażenia. Zoczywszy puginał podbiegł do okna i raz jeden zawołał pomocy. Dathka ścisnął go za gardło i rzucił nim na łóżko.

– Dathka! – Vry siedziała na posłaniu goła, zasłaniając się prześcieradłem. – Wynos się stąd, ty pomioście szcurzej łoni!

W odpowiedzi Dathka zatrzasnął kopniakiem drzwi za sobą, nie obejrzawszy się nawet. Podszedł do Raynila Layana, który pojękując dźwigał się na nogi.

– Przyszedłeś mnie zabić, widzę to i czuję – powiedział mistrz mennicza, osłaniając się wyciągniętą, drżącą ręką. – Okaż miłosierdzie, nie jestem ci wrogiem. Mogę być sprzymierzeńcem.

– Zabiję cię równie miłosiernie, jak ty zabiłeś starego mistrza Datnila. Raynil Layan wstał powolutku, osłaniając nagość, nie spuszczając oczu z przeciwnika.

– Ja tego nie zrobiłem. Nie sam jeden. Aoz Roon skazał go na śmierć. W majestacie prawa, rzecz jasna, które zostało naruszone. Zabicie mnie jest bezprawiem. Powiedz mu. Vry. Słuchaj, Dathka... Mistrz Datnil zdradził tajemnice cechowe, pokazał Shay Tal tajemną księgę cechu. Nie całą. Nie to, co najgorsze. Powinieneś to poznać.

Dathka zawahał się.

– Tamten świat umarł, a z nim całe to szambo cechowe. Do mamunów z przeszłością. Jest martwa, jak ty za chwilę.

Vry natychmiast wyczuła jego wahanie. Odzyskała zimną krew.

– Posłuchaj, Dathka, daj mi wyjaśnić sytuację. Możemy ci pomóc, oboje. W tej księdze cechowej są sprawy, jakich mistrz Datnil nie śmiał zdradzić samej Shay Tal. Wydarzyły się dawno temu, ale przeszłość jest wciąż z nami. choćbyśmy pragnęli inaczej.

– Gdyby tak było, tobyś mnie nie odtrąciła. Ja już od tak dawna cię pożądam.

Raynil Layan owinął się szlafrokiem i nieco ochłonawszy, rzekł:

– Ze mną masz na pieńku, nie z Vry. W różnych księgach cechowych istnieją wzmianki o przeszłości Embruddocku. Świadczą o tym, że miasto należało ongiś do fagorów. Być może fagory je zbudowały – nie wiem, bo w zapisie są luki. Na pewno było ich własnością, razem z cechami i ludźmi.

Dathka stał i przyglądał im się. My wszyscy jesteśmy niewolnikami – to jedyne, co powiedział sobie w duchu, wiedząc, że mówi głupstwa.

– Jeśli Embruddock należał do fagorów, to kto je wybił? Kto odebrał im miasto? Król Denniss?

– Denniss panował przed tymi wszystkimi wydarzeniami. Tajemna księga podaje niewiele, historię notuje tylko na marginesie. Przypuszczamy, że fagory po prostu wyniosły się z własnej woli.

– Nie zostały pokonane? Odpowiedziała mu Vry.

– Wiesz, jak mało znamy te bestie. Może pozmiały się ich oktawy śródpowietrzne, i wszystkie odeszły. Ale musiało ich tu być moc. Gdybyś choć rzucił okiem na malowidło Wutry w starej świątyni, wiedziałbyś o tym. Wutra jest podobizną jakiegoś fagorze go króla.

Dathka przyłożył wierzch dłoni do czoła.

– Wutra fagorem? Niemożliwe. Tego już za wiele. Cholerna wiedza. potrafi z białego zrobić czarne. Wszystkie te brednie rodzą się w akademii. Skończyłbym z nią. Gdybym miał władzę, skończyłbym z akademią.

– Jeśli chcesz władzy, ja stanę po twojej stronie – rzekł Raynil Layan.

– Nie chcę ciebie po mojej stronie.

– No tak, oczywiście... – Gestem zawodu szarpał oba końce brody. – Bo widzisz, musimy rozwiązać pewną zagadkę. Wygląda bowiem na to, że fagory wracają. Zechcą, czy nie zechcą upomnieć się o swoje dawne miasto? Ja zgaduję, że zechcą.

– O co ci chodzi?

– To proste. Musiałeś słyszeć pogłoski. Oldorando trzęsie się od nich. Nadciąga wielka armia fagorów. Wyjdź za miasto i pogadaj z ludźmi na gościńcu. Sęk w tym, że Tanth Ein i Faralin Ferd nie myślą o obronie miasta, tylko o własnych interesach. Właściwie to oni są wrogami, nie ja. Gdyby jakiś silny człowiek zabił namiestników i zawładnął miastem, mógłby je ocalić. Tak mi to jakoś chodzi po głowie.

Nie spuszczał oka z Dathki, śledząc grę uczuć na jego twarzy. Pozwolił sobie na kusicielski uśmiech widząc, że wyłgał się od śmierci.

– Pomógłbym ci – rzekł. – Jestem po twojej stronie.

– Ja też jestem po twojej stronie, Dathko – powiedziała Vry. Przeszył ją tym swoim posępnie płonącym wzrokiem.

– Ty nigdy nie będziesz po mojej stronie. Nawet gdybym cały Embruddock rzucił ci do stóp.

Faralin Ferd i Tanth Ein popijali razem w „Złotym Kuflu”. Wraz z nimi wesoło spędzały wieczór kobiety, przyjaciele i pochlebcy. „Złoty Kufel” był jednym z nielicznych miejsc, gdzie w tych dniach dźwięczał śmiech. Tawerna zajmowała część nowego budynku ratusza, w którym mieściła się również nowa mennica. Większość pieniędzy na budowę wyłożyli bogaci kupcy, a kilku bawiło tu teraz z małżonkami. Sala miała sprzęty, jakich jeszcze niedawno nikt nie widział w Oldorando: owalne stoły, kanapy, kredensy, kunsztownie tkane makaty na ścianach. Płynął strumieniem importowany trunek, a jasnowłose młodzian z dalekich stron przygrywał na harfie. Niewolnica zamykała okiennice przed nocnym chłodem i swądem dymu z uliczek. Na głównym stole płonęła olejna lampa. Sterty jedzenia pozostały nietknięte. Jeden z kupców snuł długą opowieść o morderstwie, zdradzie i podróży.

Faralin Ferd siedział w rozpiętej zamszowej kurtce, pod którą miał wełnianą koszulę. Rozparł się łokciami na stole, na pół słuchając opowieści, podczas gdy jego spojrzenie wędrowało po sali.

Żona Tantha Eina, Farayl Musk, bezszelestnie obchodziła salę, niby doglądając zamykania okiennic. Farayl Musk przez rodzinę lorda Walia Ein Dena była luźno spokrewniona i z Tanthem Einem, i z Faralinem Ferdem. Mniej może miała urody, za to więcej dowcipu i charakteru, czym zjednywała sobie jednych, a zrażała drugich. Świecę w trzymanym lichtarzu osłaniała dłonią od przeciągu. Płomień i rozjaśniał blaskiem jej twarz, i rzucał na nią dziwne cienie, przydając rysom tajemniczości. Czując utkwiony w sobie wzrok Faralina Ferda, lecz znając korzyści z udawanej obojętności powściągała ochotę, żeby odwzajemnić jego spojrzenie.

Faralin Ferd nie pierwszy już raz dochodził do wniosku, że bardziej zasługuje na Farayl Musk niż na własną żonę, która mu się znudziła. Mimo związanego z tym ryzyka kochał się z Farayl Musk wiele razy. Teraz czas naglił. Za parę dni wszyscy mogą nie żyć – tej świadomości nie dało się utopić w kielichu. Znowu wzięła go chętka na Farayl Musk. Podniósłszy się nagle wymaszerował z sali, rzucając kobiecie wymowne spojrzenie. Druga opowieść dochodziła akurat do kolejnego już momentu kulminacyjnego, kiedy to pewien wielmoża został zaduszony ścierwem jednej ze swoich własnych owiec. Wokół stołu gruchnęły śmiechy. Mimo to czujne oczy widziały, jak znika namiestnik – i jak za nim znika małżonka drugiego namiestnika, odczekawszy chwilę dla niepoznaki.

- Myślałem, że będziesz się bała wyjść za mną.
- Ciekawość jest silniejsza od strachu. Mamy tylko chwilkę.
- Daj mi tutaj, pod schodami. W tym kącie, spójrz.
- Na stojąco, Faralinie Ferdzie?
- Pomacaj, panno – stoi, czy nie?

Przylgnęła do niego z westchnieniem, łapiąc za to, co jej oburącz podsunął. Jej słodki oddech przypomniawszy mu wszystkie spędzone z nią chwile.

– No to zajrzyjmy pod te schody.

Postawiła świecę na podłodze. Rozpięła stanik sukni, obnażając przed nim wspaniałe piersi. Objąwszy ją ramieniem i całując namiętnie, zaciągnął kobietę do kąta.

Tam ich zaskoczyło dwunastu ludzi pod wodzą Dathki, którzy wtargnęli z ulicy niosąc zapalone pochodnie i gołe miecze. Mimo oporu wywleczono Farayl Musk i Faralina Ferda spod schodów. Ledwo zdążyli podopinać na sobie ubrania, gdy wepchnięto ich z powrotem do sali biesiadnej, gdzie reszcie namiestnictwa zaglądały już w oczy głównie mieczy.

– To nie żadne bezprawie – powiedział Dathka, popatrując na nich tak, jak wilk popatruje na koźlą aranga. – Biorę w swoje ręce rządy w Embruddocku do czasu powrotu prawowitego lorda, Aoza Roona. Jestem odsuniętym od władzy, lecz służbą najstarszym namiestnikiem. Zamierzam dopilnować żeby miasto miało właściwą obronę przed najeźdźcami.

Raynil Layan stał tuż za nim, miecz miał w pochwie.

– A ja popieram Dathkę Dena – odezwał się głośno, – Niech żyje lord Dathka Den.

Wzrok Dathki padł na siedzącego w cieniu Tantha Eina. Starszy z pary namiestników nie powstał z całą resztą. Szedł spokojnie na swym miejscu u szczytu stołu, złożony ręce na poręczach fotela.

– Śmiesz mi urągać! – krzyknął Dathka i wzniósłszy miecz doskoczył do siedzącego. – Wstawaj, gnojku!

Tanth Ein ani się poruszył, jeśli pominąć skurcz bólu, jaki przebiegł mu po twarzy, i odrzucenie głowy do tyłu. Zaczął wywracać oczyma. Dathka kopnął fotel, a wówczas Tanth Ein osunął się sztywny na podłogę, nie próbując nawet powstrzymać upadku.

– Gorączka kości! – zawołał ktoś. – Dopadła nas!

Farayl Musk podniosła krzyk.

Do rana śmierć skosiła kolejne dwie ofiary i nad Oldorandem znów powiało spalenizną. Tanth Ein leżał w domu zdrowia pod opieką nieustraszonej Mamy Bikinki. Mimo lęku przed zarazą na ulicy Nadbrzeżnej zebrał się duży tłum, aby wysłuchać, jak Dathka publicznie proklamuje swoje panowanie. Niegdyś tego rodzaju zgromadzenia odbywały się pod wielką wieżą. Owe dni przeminęły bezpowrotnie. Ulica Nadbrzeżna była przestronniejsza i wytworniejsza. Po jednej stronie kilka jatek znaczyło brzeg rzeki. – Tam – jak dawniej – dumnie stąpały gęsi, świadome swoich starożytnych przywilejów. Drugą stronę ulicy zajmował rząd nowych budynków, za którymi sterczały pradawne wieże. Tu stała publiczna trybuna.

Na trybunie stał Raynil Layan, przestępując z nogi na nogę, obok niego Faralin Ferd ze skrępowanymi z tyłu rękami i sześciu młodych wojowników ze straży przybocznej Dathki, zbrojnych w schowane do pochew miecze i włócznie i mierzących tłum ponurymi spojrzeniami. W ciżbie krążyli sprzedawcy ziołowych amuletów. Pielgrzymi poborcy też tu byli, odziani w charakterystyczne czarno-białe szaty, również zbrojni, tyle że w transparenty nawołujące do pokuty. Dzieciaki harcowały na obrzeżach tłumu, naśmiewając się z poczynań dorosłych.

Z gwizdnięciem Świstka Czasu na trybunę wszedł Dathka i z miejsca przemówił do zebranych.

– Biorę na siebie brzemień władzy dla dobra miasta – rzekł.

Jakby opadła z niego dawna maska milczka. Mówił ze swadą. A jednak stał niemalże bez ruchu, bez gestów, nie korzystając z pomocy ciała w przekazywaniu treści słów, jak gdyby nawyk milczenia opuścił tylko jego język.

– Nie pragnę zastąpić prawdziwego władcy Embruddocku, Aoza Roona. Kiedy on wróci – jeśli wróci – to, co prawnie jest lorda, zostanie lordowi prawnie zwrócone. Ja jestem jego legalnym namiestnikiem. Ci, których postawił u władzy, podeptali jego dar, cisnęli do rynsztoka. Nie mogłem patrzeć na to z założonymi rękami. Trzeba nam prawości w tych ciężkich czasach. . z

– To co tam robi Raynil Layan koło ciebie, Dathka? – zawołał głos z tłumu, a po nim rne głosy, które Dathka usiłował przekrzyczeć.

– Wiem, że macie mnóstwo skarg. Wysłucham ich później – teraz wy mnie wysłuchajcie. Osądzmy samozwańcych namiestników Aoza Roona. Elin Tal miał odwagę pójść za swoim lordem w dzikie ostępy. Dwa szczury pozostały w domu. Tanth Ein ma gorączkę w nagrodę. Tu stoi trzeci z nich, najgorszy, Faralin Ferd. Popatrzcie, jak trzęsie portkami. Czy on w ogóle zwracał na was uwagę? Był zbyt zajęty swoimi lubieżnymi uciechami po kątach. Jestem łowcą, jak wam wiadomo. Z Laintalem Ayem, ujarzmiłszy zachodnie stępy. Faralin Ferd umrze od moru, tak jak jego kompan. Chcecie, aby rządziły wami trupy? Ja moru nie złapię. Zараżamy się przy spółkowaniu, ja zaś trzymam się od tych rzeczy z daleka. Działalność rozpocznę od przywrócenia wart wokół Embruddocku i szkolenia należytej armii. Żyjąc tak, jak żyjemy, aż się prosimy, żeby wpaść w łapy pierwszych lepszych napastników – ludzi czy nie ludzi. Lepiej zginąć w boju niż w łóżku.

Ta ostatnia uwaga wzbudziła falę zaniepokojenia. Dathka przerwał, mierząc tłum spojrzeniem. Oyre i Dol stały w ciżbie. Dol z Rastilem Roonem na rękę. Korzystając z przerwy Oyre głośno zawołała:

– Samozwaniec! A w czym ty jesteś lepszy od Tantha Eina albo Raynila Layana?

Dathka podszedł do brzegu trybuny;

– Niczego nie kradnę. Podniosłem to, co wyrzucono. – Palcem wskazał Oyre. – Ty pośród wszystkich ludzi, jako naturalna córka Aoza Roona, powinnaś wiedzieć, że oddam twemu ojcu, co jego, gdy powróci. On chciałby, żebym tak postąpił.

– Nie możesz mówić za Aoza Roona, kiedy go nie ma.

– Mogę i mówię.

– No to źle mówisz.

Inni, którym ta sprzeczka w» ogóle niewiele mówiła i których niewiele obchodził Aoz Roon, też zaczęli gromkimi głosy wykrzykiwać swoje . pretensje. Ktoś cisnął jakimś zgniłkiem. Straż wdała się w nieskuteczną przepychankę z tłumem. Z twarzy Dathki odpłynęła krew. Wzniósł nad głowę pięść, nie panując nad sobą.

– Dobrze, hołoto, to ja teraz powiem publicznie coś o czym zawsze milczałem. Nie boję się. Tak bardzo szanujecie Aoza Roona, taki on dla was wspaniały, a ja wam powiem, co to za człowiek. Był mordercą. Gorzej – był dwukrotnym mordercą.

Zamilkli, obracając ku niemu morze głów. Dygotał teraz, świadom, na co się porwał.

– Jak wam się wydaje, że Aoz Roon doszedł do władzy? Przez mord, krwawy mord ciemną nocą. Są wśród was tacy, którzy przypomną sobie Nahkriego i Klilsa, synów starego Dresyla z minionych dni. Nahkri z Klilsem panowali, kiedy Embruddock był zaledwie wiejskim podwórkiem. Pewnej ciemnej nocy Aoz Roon – młody natenczas – zrzucił obu braci ze szczytu Wielkiej Wieży, kiedy sobie podchmielili. Podwójna zbrodnia. A kto był tego świadkiem, kto to wszystko widział? Ja

widziałem... i ona – jego nieślubna córka.

Oskarżycielskim gestem wskazał smukłą postać Oyre, z przerażeniem tulącą się teraz do Dol.

– Zwariował – krzyknął jakiś dzieciak z końca tłumu. – Dathka zwariował!

Jedni z gapiów uchodzili, inni nadbiegali. Powstały tumult przerodził się w bójkę na stronie. Raynil Layan usiłował zapanować nad tłumem, potężnym – jak na swoją wątłą postać – głosem wykrzykując:

– Pomóżcie nam, to my wam pomożemy! Obronimy Oldorando!

Przez cały ten czas Faralin Ferd ze związanymi rękoma stał w milczeniu pod strażą na tyłach trybuny. Wyczuł swą szansę.

– Precz z Dathka! – zawołał. – Nigdy nie miał poparcia Aoza Roona i nie będzie miał naszego!

Dathka obrócił się ze zwinnością łowcy, w tymże samym mgnieniu oka wyciągając zakrzywiony puginał. Skoczył na namiestnika. Gdzieś z tłumu rozległ się przeraźliwy pisk Farayl Musk, a jednocześnie wiele głosów podjęło okrzyk:

– Precz z Dathka!

Prawie natychmiast umilkły, uciszone niespodziewanym atakiem Dathki. W ciszy szybował nad wszystkim dym. Nikt się nie poruszył. Dathka stał jak skamieniały, plecami do widzów. Na chwilę również, Faralin Ferd skamieniał. Nagle zadarł głowę i wydał głuchy jęk. Krew chlusnęła mu z ust. Obwisł, wypadł z rąk straży i runął do stóp Dathki. Zahuczało od krzyków. Krew przywróciła głos całej cizbie.

– Ty durniu, oni nas zamordują! – wrzasnął Raynil Layan. Pobiegnął na tył trybuny i zeskoczył. Nim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, już zniknął w bocznym zaułku. Straż kręciła się w kółko, nie słuchając rozkazów Dathki, podczas gdy tłum napierał na trybunę. Farayl Musk głośno domagała się uwięzienia Dathki. Widząc, że wszystko przepadło, on również zeskoczył trybuny i dał nogę. Na tyłach zbiegowiska, pod jatkami, podskakiwały wyrostki klaszcząc w dłonie z podniecenia. Tłum wszczął zamieszki, uważając je za lepszą zabawę od zabijania. Dathce nie pozostało nic innego, jak tylko sromotnie umykać.

Dyszając, sapiąc, mamrocząc bez ładu i składu, biegł wyludnionymi uliczkami, a jego trzy cienie – półcień-cień-półcień – zmieniały topologię u jego stóp. Rozpędzone myśli podobnie to puchły, to kurczyły się, gdy usiłował nie przyjmować porażki do wiadomości, wyrzygać klęskę z duszy. Minał jakichś ludzi, ich archaiczne sanie załadowane dobytkiem. Starzec prowadzący – dziecko za rękę krzyknął doń:

– Fugasy idą!

Za sobą usłyszał tupot biegnącej gromady – gromady mścicieli. Było tylko jedno miejsce, gdzie mógł znaleźć schronienie, jedna osoba, jedna nadzieja. Przeklinając Vry, biegł do niej.

Powróciła do swojej wieży. Siedziała jak w transie, świadoma – i wystraszona tą świadomością – że Embruddock zmierza do jakiegoś punktu krytycznego. Kiedy załomotał do drzwi, wpuściła go niemal z ulgą. Ani litując się, ani szydząc, stała i patrzyła, jak Dathka z łkaniem padł na jej łóżko.

– Poroniona historia – rzekła. – Gdzie Raynil Layan?

Łkał, waląc pięścią w materac.

– Przestań – powiedziała łagodniej.

Chodziła po izbie, zapatrzona w plamy na powale.

– Żyjemy poronionym życiem. Chciałabym być wolna od uczuć. Ludzie to poronione istoty. Lepiej nam się wiodło otulonym w śniegi, przemarzniętym, bez żadnej... nadziei. Chciałabym żeby istniała tylko wiedza, czysta wiedza bez żadnych uczuć.

Podniósł głowę.

– Vry...

– Nie mów do mnie. Nie masz mi nic do powiedzenia i nigdy nie miałeś, musisz się z tym pogodzić. Nie chcę słyszeć tego, co chcesz powiedzieć. Nie chcę wiedzieć, co zrobiłeś.

Gęsi na dworze podniosły ogromny raban. Z rozdziawionymi ustami siadł na łóżku.

– Jesteś tylko na pół kobietą. Jesteś zimna. Zawsze to wiedziałem, jednak nie mogłem wyzbyć się uczucia do ciebie...

– Z i m n a?... Ty bałwanie, „we mnie gotuje się jak w radżababie. Hałas na dworze stał się głośniejszy, na tyle głośniejszy, że rozróżniali poszczególne głosy. Dathka pobiegł do okna. Ludzie napływający z pobliskich uliczek byli mu obcy. Nie dostrzegał ani jednej bliskiej twarzy, ani swoich przyjaciół, ani Raynila Layana – co go akurat nie zaskoczyło – ani jednego człowieka, którego znałby chociaż z widzenia. Dawnymi czasy znał każdą twarz w mieście. Teraz obcy żądali jego krwi. Strach ścisnął mu serce, jak gdyby jedynym pragnieniem Dathki była śmierć z ręki przyjaciela. Znienawidzony przez obcych... to było ponad jego siły. Wychylił się z okna i urągliwie pogroził pięścią, ciskając wyzwiska na ich głowy. Twarze podniosły się ku górze, rozwarły usta niemalże unisono, jak ławica ryb. Rozwarły się i zajazgotały. Opuścił pięść i cofnął się przed wrzaskiem, ani myśląc ustąpić, a jednak ustępując. Oparł się o ścianę i obejrzał swoje szorstkie dłonie, pod których paznokciami nie obeschła jeszcze krew. Dopiero gdy z dołu usłyszał głos Vry, uprzytomnił sobie, że wyszła z izby. Otworzyła drzwi wieży i teraz z cokołu przemawiała do ludzi. Tłum napierał falą, ci z tyłu dociskali, aby słyszeć. Niektórzy wznieśli szydercze okrzyki, lecz sąsiedzi szybko uciszli krzykaczy. Ostry i dźwięczny głos Vry szybował ponad rozgorączkowanymi głowami.

– Może byście tak przystanęli i zastanowili się, co robicie! Nie jesteście zwierzętami. Spróbujcie być ludźmi. Jeśli mamy umrzeć, umrzyjmy z ludzką godnością, a nie skacząc sobie nawzajem do gardeł. Jesteście świadomi cierpienia. Zarówno cierpienie jak i świadomość to oznaki waszego człowieczeństwa. Bodaj was – bądźcie dumni i tacy umierajcie! Pamiętajmy o czekającym w dole świecie mamików, gdzie jest tylko płacz i zgrzytanie zębów, ponieważ umarli czują wstręt do własnego życia. Czy to nie straszne? Czy nie wydaje wam się, że to straszne czuć wstręt – wstręt i odrazę – do swojego własnego życia? Odmieńcie swoje własne życie od wewnątrz. Nie patrzcie na zewnętrzną pogodę, nie patrzcie, czy sypie śnieg, czy leje deszcz, czy świeci słońce – to przyjmijcie jako fakt, a dokonajcie przemiany w swoich duszach. Uczynicie w nich pogodę. Zastanówcie się. Czy Dathka albo jego śmierć władna jest uwolnić was od osobistych kłopotów? Tylko wy możecie tego dokonać. Waszym zdaniem źle się dzieje. Muszę was ostrzec, że czeka nas jeszcze niejedna ciężka próba. Oświadczam to mając za sobą cały autorytet akademii. Jutro, jutro w samo południe, nastąpi trzecia i najgorsza z dwudziestu ślepot. Nic jej nie powstrzyma. Człowiek nie ma władzy nad niebiosami. I co wtedy zrobicie? Czy będziecie ganiać jak obłąkani po ulicach, podrzynając sobie wzajemnie gardła, rozbijając co się da, paląc to, co lepsi od was zbudowali – jakbyście byli gorsi od fagorów?! Zdecydujcie się dziś, jak plugawi, jak podli będziecie jutro!

Patrzyli po sobie, szemrali. Nikt nie krzyknął. Odczekawszy, instynktownie uchwyciła odpowiedni moment, uderzając w inny ton.

– Wiele lat temu czarodziejka Shay Tal wystąpiła z orędziem do mieszkańców Oldorando. Dobrze pamiętam jej słowa, albowiem wierzę we wszystko, co mówiła. Ofiarowała nam skarb wiedzy. Ten skarb może należeć do was, jeśli tylko starczy wam pokory i śmiałości, żeby wyciągnąć po niego dłonie. Postarajcie się zrozumieć to, co mówię. Jutrzejsza ślepota nie jest zjawiskiem nadprzyrodzonym. A czym jest? Po prostu mijaniem się dwojga strażników, owych dwu słońc, znanych wam od urodzenia. Nasz własny świat jest okrągły, tak jak okrągłe są one. Wyobraźmy

sobie, jak wielką kulą musi być nasz glob, skoro z niego nie spadamy – a jednak jest on mały w porównaniu ze strażnikami. Oni wydają się bardzo mali po prostu dlatego, że są bardzo daleko. Shay Tal powiedziała też wtedy, że w przeszłości nastąpiła jakaś katastrofa. Myślę, że nie w tym rzecz. Pogłęбилиśmy jej wiedzę. Wutra tak urządził ten swój wszechświat, że wszystko działa w nim na zasadzie nieustannego ruchu każdej części. Włosy wyrastają nam na głowach i ciałach tak samo, jak słońca wschodzą i zachodzą. Te zjawiska w oczach Wutry są nierozdzielne, albowiem ruch jest jeden. Nasz glob obiega w koło Bataliksę, a są jeszcze inne globy podobne naszemu i krążące podobnie. Jednocześnie Bataliksa obiega większym kołem Freyra. Musimy pogodzić się z tym, że nasze podwórko nie jest środkiem wszechświata.

Podniosły się głośniejsze pomruki niezadowolenia. Vry zapanowała nad nimi, podnosząc głos.

– Rozumiecie to? Zrozumieć jest trudniej niż podrzynać gardła, prawda? Aby w pełni zrozumieć, o czym mówię, trzeba najpierw uświadomić to sobie, a potem ogarnąć swą świadomość własną wyobraźnią, ożywić nią fakty. Rok ma czterysta osiemdziesiąt dni, rzecz wszystkim znana. Tyle czasu zajmuje naszemu Hrl-Ichor jedno okrążenie Bataliksy. Lecz Bataliksa i nasz glob mają do zrobienia jeszcze jedno okrążenie, wokół Freyra. Mam wam powiedzieć, ile ono trwa? Tysiąc osiemset dwadzieścia pięć małych lat... Wyobrażacie sobie tak wielki rok?!

Cisi byli teraz, zapatrzeni w nią, w swoją nową czarodziejkę.

– Do naszych dni niewielu potrafiło to sobie wyobrazić! Bowiem każdemu z nas pisane jest, co najwyżej czterdzieści lat życia. Czterdzieści sześć długości naszego życia składa się na jeden pełny obieg naszego globu wokół Freyra. Wiele naszych żywotów przemija bez echa, są jednak częścią owej większej całości. Oto dlaczego taką wiedzę trudno jest ogarnąć rozumem, a łatwo utracić w godzinie nieszczęścia.

Porwała ją własna moc, upoiło własne krasomówstwo.

– A skąd to nieszczęście, skąd ta katastrofa, o której prawiała nam Shay Tal, katastrofa aż tak wielka, że z jej powodu utraciliśmy tak ważką wiedzę? Otóż stąd, że jasność Freyra waha się w zależności od pory wielkiego roku. Przeżyliśmy wiele pokoleń słabego światła, zimy, kiedy ziemia leżała martwa pod śniegiem. Jutro winniśmy się weselić w chwili zaćmienia, owej ślepoty, kiedy odległy Freyr zajdzie za Bataliksę, albowiem jest to znak, że przybliży się światło Freyra... Jutro rozpoczyna się wiosna wielkiego roku. Weselcie się! Starczy wam rozumu i wiedzy, aby się weselić. Odrzucmy poronione za sprawą niewiedzy życie i weselmy się! Idą lepsze czasy dla nas wszystkich!

Wstrzymała ich prosiężówka. Zjeżdżali w dół napotykając kępy tej drzewiastej trawy. Kępy przeszły w zarośla. Niebawem musieli przedzierać się przez zbity gąszcz. Ściana zieleni wyrosła ponad ich głowy. Wyżej sięgały tylko drumliny, na które od czasu do czasu można było wejść, aby zorientować się w kierunku. Prosiężokę oplotły cienkie łodygi jeżyn, przez co pochód był i trudny, i bolesny. Idąca przodem armia fagorów przeciągnęła inną drogą. Im przyszło podążać bardziej krętymi ścieżkami zwierząt, a nie był to szlak dla jajaków. Płoszyła je ta dziwna trawa czy może jej ostra woń; rozłożyste rogi więzły w pustych wewnątrz łodygach, a ciernie na ziemi raniły wrażliwe miejsca przy kopytach. Toteż ludzie zsiadli i maszerowali, ciągnąc każdego jak zdechlaka.

– Daleko jeszcze, barbarzyńco? – zapytał Skitosherill.

– Niedaleko – odparł Laintal Ay. Była to jego stała odpowiedź na stałe pytanie.

Po nocy przespanej w lesie, wstali skoro świt w oszronionej odzieży. Laintal Ay czuł się wypoczęty, wciąż rozradowany swym lżejszym ciałem, ale spostrzegł, że inni opadają z sił. Aoz Roon był cieniem swej dawnej postaci; nocą krzyczał przez sen w jakimś obcym narzeczu.

Wyszli na podmokły grunt, gdzie prosiężówka przerzedziła się ku ogólnej uldze. Przystanąwszy

na chwilę i nabrawszy przekonania, że wszędzie panuje spokój, ruszyli dalej, płosząc stadka drobnych ptaków. Przed nimi zamajaczyła dolina wśród łagodnych wzgórz. Zamiast piąć się górą, wybrali dolinę, głównie z powodu zmęczenia, lecz już u samego wylotu uderzył w nich mroźny wicher, wyjąc jak dziki zwierz i kłując do kości. Wkrótce opuściwszy głowy borykali się już rozpaczliwie z każdym krokiem. Wiatr niósł mgłę. Spowiała ich kłębam, tylko głowy im sterczały ponad tumanem. Laintal Ay rozumiał ten wiatr; wiedział, że warstwa mroźnego powietrza spływa jak woda z dalekich gór po lewej stronie i ze wzgórz do doliny, jak najniżej. Był to miejscowy wiatr; im szybciej wyjdą z jego-paraliżującego uścisku, tym lepiej.

Żona Skitosherilla stanęła z cichym okrzykiem i oparłszy się o jajaka osłoniła twarz rękami. Skitosherill zawrócił i troskliwie objął ją obleczone w szarą tkaninę ramieniem. Lodowaty podmuch bił mu połą płaszcz o nogę. Niespokojnie zerknął na Laintala Aya.

– Ona nie może dalej iść – rzekł.

– Umrzemy, jeśli się tu zatrzymamy.

Przetarłszy załzawione oczy spojrzał na wprost. Zdał sobie sprawę, że za parę godzin dolina będzie ciepła i przytulna. Obecnie stanowiła śmiertelną pułapkę. Znajdowali się w cieniu. Oba słońca oświetlały z ukosa lewy stok doliny ponad ich głowami; szerokie pionowe pasma blasku kładły się pomiędzy cienie rzucane przez olbrzymie radżababy stojące na prawej krawędzi. Radżababy gotowały się już w porannych promieniach słonecznych, para buchała pod niebo, śląc roztańczone cienie. Znał tę okolicę. Poznał bardzo dobrze toukształtowanie terenu, kiedy wszystko okrywał śnieg. Zwykle było to miłe miejsce – ostatnia przełęcz na drodze łowcy do nizin, na których skraju stało Oldorando. Zbyt przemarzył, aby dygotać, ciepło z ciała wywiewał wiatr. Nie mogli iść dalej. Żona Skitosherilla nadal wspierała się bezsilnie na boku zwierzęcia, a teraz już i służąca, zachęcona przykładem pani, uznawszy, że jej również wolno dać upust swojej niedoli, odwrócona tyłem do wichrzyska piszczała, jakby ją obdzierano ze skóry.

– Dotrzemy na górę pod radżababy – wykrzyczał Skitosherillowi do ucha.

Skitosherill kiwnął głową, nie odstępując żony, którą usiłował podsadzić na jajaka.

– Wszyscy na siodła! – zawołał Laintal Ay.

Wołając łowił już okiem błyski jak płatki bieli w powietrzu. Nad stokami wzgórz po lewej stronie, walcząc z mroźnym podmuchem od górskich szczytów, szybujące kraki to zapalały się w słońcu bielą piór, to znów gasły w szarości cieni radżabab z drugiej strony doliny. Pod ptakami sunął wąż fagorów. Wojownicy trzymali włócznie w gotowości. Na skraju doliny fagory stanęły nieruchomo jak głazy. Patrzyły w dół, na ludzi spowitych w kotłującą się mgłę.

– Szybko na drugi stok, szybko, zanim na nas ruszą! Zobaczył, że Aoz Roon wpatruje się obojętnie w bestie, nie czyniąc żadnego ruchu. Podbiegł i grzmotnął go w plecy.

– Na górę! Musimy stąd nawiewać.

Aoz Roon wypowiedział jakieś gardłowe słowa.

– Jesteś zaczarowany, chłopie, liznąłeś trochę ich przekłętą mowę i to cię rozłożyło.

Siłą wsadził przyjaciela na siodło. Zwiadowca uczynił to samo ze służącą, która łkała z przerażenia.

– Na górę do radżabab! – krzyknął Laintal Ay.

Zawracając biegiem do swego wierzchowca, przylał jeszcze kłaczy Aoza Roona po kosmatym zadzie. Zwierzaki ociężale ruszyły pod górę. Mniej zwinne i wolniejsze od mustangów, mało reagowały na bicie obcasami po żebrach.

– Nie napadną nas – powiedział Skitosherill. – W razie czego damy im służącą.

– Mamy wierzchowce. Zabiją nas dla naszych wierzchowców. Do jazdy albo na żarcie. Zostań i

targuj się, jeśli chcesz.

Ze zrezygnowaną miną Skitosherrill pokręcił głową i wskoczył na siodło. Pierwszy wjechał na zbocze, wiedząc za sobą jajaka żony. Zwiadowca ze służącą podążali tuż za nimi. Odstawał Aoz Roon, który puściwszy wodze swojego jajaka pozwolił mu odbić od kompanii mimo nawoływań Laintala Aya, żeby trzymać się razem. Laintal Ay jechał w ogonie razem z jucznym jajakiem co chwila oglądając się na przeciwległy stok doliny. Fagory stały w miejscu. Nie wiadomo, co je wstrzymywało, ale na pewno nie mroźny wiatr; zimno było ich żywiołem. Ten bezruch niekoniecznie wyrażał intencje. Zamysły bestii zawsze stanowiły nieodgadnioną zagadkę.

Tymczasem zbliżali się do szczytu, gorączkowo szarpiąc lejcami. Zostawili wiatr za sobą i wstąpił w nich nowy duch. Wjeżdżającym na szczyt promienie słońc zaświeciły prosto w oczy. Oba słońca bliźniutko siebie, niemal szczipione w oślepiającym ogniu, przebłyskiwały między pniami olbrzymich drzew. Przez jedną krótką chwilę widzieli w złocistym kręgu roztańczone lekkostope cienie Innych, świętujących swoje tajemnice; zniknęły nagle, jakby stopiły się w tej złotej poździe.

Wciąż ledwo zapiąc z zimna dotarli do gładkich kolumn. Pod baldachimem oparów nad głowami mieli wrażenie, że wkraczają do pałacu bogów. Potężnych drzew było ze trzydzieści. Dalej rozpościerała się otwarta równina i droga do Oldorando.

Banda fagorów ruszyła. Zastygłe nieruchomo bestie ożyły nie wiadomo kiedy. Zgodnie maszerowały od grani, na której jeszcze przed chwilą tkwiły jak martwe. Tylko jeden fagor dosiadał kaidawa. On prowadził. Kraki zamilkły.

Laintal Ay rozpaczliwie rozejrzał się za jakąś kryjówką. Były tu tylko radzababy. Z ich wnętrz dochodziło dudnienie. Z obnażonym mieczem podbiegł do miejsca, gdzie Sibornalczyk zdejmował żonę z wierzchowca.

– Musimy stanąć do walki. Jesteś gotowy? Dopadną nas za parę minut.

Skitosherrill podniósł na niego wzrok pełen bóleści, która naznaczyła wszystkie rysy jego twarzy. Usta miał otwarte w grymasie bólu.

– Ona ma gorączkę kości, ona umrze – rzekł.

Oczy kobiety były szkliste, ciało wykręcone skurczem. Machnąwszy na niego ręką Laintal Ay zawołał do zwiadowcy:

– Będzie nas dwóch. Gotuj się, nadchodzą.

Zwiadowca wyszczerzył doń zęby w łotrowskim uśmiechu i przeciągnął palcem po gardle, jakby przecinał tchawicę. Jego zawziętość udzieliła się Laintalowi Ayowi. Rzucił wściekle spojrzenie na podnóża drzew, wypatrując nor, w których głębi zniknęli Inni, myśląc, że gdzieś tutaj w zasięgu ręki może być schronienie – schronienie i snoktruiksa, choć na pewno nie jego snoktruiksa, już nie jego. Mimo nagłej ucieczki Inni nie zostawili po sobie żadnych śladów. A więc pozostała tylko walka. Niewątpliwie muszą zginąć. Ale wyzienie ducha dopiero wówczas, gdy z ran od włóczni ancipitów wycieknie mu ostatnia kropla krwi. Ze zwiadowcą u boku wrócił na krawędź doliny, by stawić czoło wrogom, gdy tylko się pokażą. Za jego plecami narastało dudnienie w radzababach. Potężne drzewa huczały jak grzmoty, mimo że przestała z nich buchać para. Przed nim pierwsze ukośne promienie szczipionych słońc sięgnęły prawie dna doliny, oświetlając fagory w trakcie przeprawy przez katabatyczny wiatr – ich krzepkie ciała spowite w zwoje mgły, ich sztywną sierść rozwiewaną zimnym podmuchem. Zadarły głowy i na widok dwóch istot ludzkich wydały chrapliwy okrzyk. Zaczęły piąć się na górę.

Zajście to oglądali na własne oczy i ci z Ziemskiej Stacji Obserwacyjnej, i ci, którzy tysiące lat później w sandałach na stopach przybyli do wielkich audytoriów na Ziemi. Audytoria bywały teraz

przepelnione jak nigdy w ostatnim stuleciu. Ludzie przybywający popatrzeć na olbrzymią elektroniczną kreację rzeczywistości nie będącej rzeczywistością przez wiele stuleci, pragnęli w głębi serc, aby istoty ludzkie, których losy śledzili, uszły cało – a pragnęli tego zawsze w czasie przyszłym, co dla homo sapiens jest” rzeczą naturalną, nawet gdy chodzi o takie jak to zajście z jakże zamierzchłej przeszłości.

Ze swego dogodniejszego punktu obserwacyjnego widzieli więcej niż zajście w radżababowym gaju – widzieli całą falistą równinę z Rybim Jeziorem, niegdysiejszą świątynią straszego ołtarza, aż po samo Oldorando. I cały ten krajobraz roił się od postaci. Młody kzhahn gotowił się wreszcie do uderzenia na miasto, które wydarło i życie, i uwięź jego sławetnemu prabykunowi. Czekał tylko na znak. Mimo że szyk marszowy jego oddziałów przypominał szyk puszczonej samopas gromad bydła, nie zawsze zwróconych w kierunku czołowym, sama ich liczebność była straszna. Armia fagorów miała przetoczyć się przez starożytny Embruddock, a potem nieubłaganie toczyć dalej, ku południowozachodnim wybrzeżom kontynentu Kampanlat, po same wschodnie klify Oceanu Ostatniego, przepawić się, o ile możliwe, do Hespagoratu, a stamtąd do Pagowinu, skalistej ojczyzny przodków.

Dzięki rozczłonkowaniu fagorzej krucjaty podróźni – głównie uciekinierzy – mogli nadal bez przeszkód wędrować wśród rozmaitych hord i komponentów, śpiesząc pod prąd pochodu. Na ogół owe wylęknione grupki prowadzili Madisi, wrażliwi na oktawy śródpowietrzne, omijane przez niezdarne bestie spod sztandaru Hrr-Brahla Yprta. W jednej z takich grupiek widłobrody Raynil Layan popychał przed sobą zastraszonego Madisa. Przeszli tuż obok samego kzhahna, lecz ten, zastygł w bezruchu, nawet nie mrugnął okiem.

Młody kzhahn, oparty o wynędziały bok Rukka-Ggrrla, odbywał seans z przebywającymi w uwięzi ojcem i prabykunem, raz jeszcze. w swych bladych szlejach wysłuchując ich rad i poleceń. Za kzhahnem stali generałowie, dalej jego dwie ocalałe gildy. Rzadko korzystał z gild, a właśnie zbliżała się pora, oby tylko los mu sprzyjał. Najpierw niech się wyklarują obie przyszłe oktawy zwycięstwa lub śmierci; jeśli podaży oktawą zwycięstwa, zagra muzyka rozplodowa. Czekał bez ruchu, od czasu do czasu zapuszczając mlecz w szczeliny nozdrzy pod czarną sierścią na pysku. Znak pojawi się na niebie; oktawy śródpowietrzne skręcą się w węzeł, on zaś i ci, którzy go słuchają, ruszą spalić doszczętnie to starożytne przeklęte miasto, niegdysiejszy Hrrm-Bhhrd Ydohk.

Na drugim krańcu tego starożytnego pola bitwy, gdzie człowiek potykał się z fagorem częściej, niż wiedziały o tym obie strony, Laintal Ay i sibornalski zwiadowca czekali w gotowości, aby mieczami powitać pierwsze fagory na skraju doliny. Z tyłu narastał grzmot w radżababach. Aoz Roon ze służącą przycupnęli u podnóża jednej z nich, biernie oczekując tego, co będzie. Skitosherill, delikatnie złożywszy sztywne ciało żony na ziemi, osłonił jej twarz od oślepiających promieni podwójnego słońca, które zbliżało się już do zenitu. Po czym dobywając w biegu miecza popędził dołączyć do swych obu towarzyszy.

Wspinaczka rozerwała szereg fagorów, sprawniejsze dotarły na szczyt pierwsze. Ponad granią Laintal Ay ujrzał głowę i barki przywódcy i popędził mu na spotkanie. Swoją szansę upatrywał w potykaniu się z wrogiem jeden na jednego, ale naliczywszy co najmniej trzydziestu pięciu nieprzyjaciół, nawet nie próbował w nią uwierzyć. Ukazało się ramię fagora z włócznią. W zamachu do rzutu wygięło się pod nieprawdopodobnym dla człowieka kątem, jednak, Laintal Ay zanurkował pod grotem pozbawiając włócznię celu i z wypadem zadał pchnięcie na całą długość ramienia. Usztywnił łokieć, gdy sztych zgrzytnął na żebrach. Żółta krew chlusnęła z rany, przypominając mu starą gadkę łowców, że jelita ancipity leżą ponad płucami, o czym sam się kiedyś przekonał zdzierając z jednego skórę, aby podejść w niej kaidawa. Fagor odrzucił do tyłu podłużną, kościstą

głowę, wargi ponad żółtymi zębami odwinęły mu się w śmiertelnym grymasie. Runąwszy stoczył się ze zbocza i znieruchomiał na dole, w rzadziejającej mgłę. Pozostałe bestie były już jednak na szczycie, otaczając ich ze wszystkich stron. Sibornalski zwiadowca walczył mężnie, co jakiś czas wysapując przekleństwo w ojczystym języku. Laintal Ay z okrzykiem rzucił się w wir walki.

Świat eksplodował.

Huk był tak przeraźliwy, tak bliski, że walczący stanęli jak wryci. Nastąpił drugi wybuch. Czarne kamienie świsnęły w powietrzu, w większości lądując na przeciwległym zboczu doliny. Rozpętało się piekło. Reakcją każdej ze stron kierował wrodzony jej instynkt: fagory znieruchomiały, dwaj ludzie padli plackiem na ziemię. W samą porę. Zagrzały jednoczesne eksplozje. Czarne kamienie strzeliły we wszystkie strony, zmiatając z grani kilkanaście fagorów i rozrzucając konające ciała po stoku. Pozostałe, wykonawszy w tył zwrot, pognały w dół na łeb na szyję, staczając się, ześlizgując i zjeżdżając, byle jak najprędzej wylądować w bezpiecznej dolinie. Kraki z wrzaskiem przemknęły po niebie.

Przycisnąwszy dłonie do uszu Laintal Ay leżał brzuchem w ziemi, z przerażeniem zerkając do góry. Radzababy pękały w wierzchołkach, trzaskały i rozszczepiały się jak eksplodujące beczki, sypiące klepkami. Zeszłej jesieni wielkiego roku Helikonii powciągały swoje ogromne, pełne owoców konary do wnętrza pni, żywiczną czapą zamykając wierzchołki do czasu wiosennego zrównania. Przez zimowe stulecia wewnętrzne pompy ciepła, zasysające war z głębinowej skały za pośrednictwem systemu korzeniowego, sposobiły grunt pod ten potężny wybuch. Drzewo nad Laintalem Ayem rozpękło się z wściekłym trzaskiem. Oglądał wysiew nasion. Niektóre wzlatywały pionowo w górę, większość śmigła we wszystkich kierunkach. Siła wyrzutu niosła czarne pociski na pół mili. Wszędzie kotłowała, się para. Kiedy zapadła cisza, z wierzchołków jedenastu radzabab pozostały drzazgi. Szerniała otulina odpadła płatami, a ze środka wychynęły smuklejsze białawe korony, zwieńczone zielonymi kapeluszami. Owe zielone kapelusze miały się rozrastać, aż złożony z samych gładkich pni zagajnik rozepnie nad sobą połyskliwy baldachim listowia dla osłony korzeni przed bardziej bezlitosnymi słońcami, jakie będą prażyć w nie nadeszłych jeszcze dniach, gdy Helikonie przysunie się blisko Freyra, za blisko, jak na wymagania człowieka, zwierzęcia czy rośliny. Obojętne wobec wszystkiego, co żyło bądź umierało w ich cieniu, radzababy strzegły swojej własnej formy życia. Stanowiły część szaty roślinnej nowego świata, tego, który narodzi się z wpływaniem Freyra na chmurne niebiosy Helikonii. Pospołu z nowymi zwierzętami radzababy stawały w szranki ekologicznej rywalizacji z gatunkami starego świata, kiedy to samotnie królowała Bataliksa. Gwiazda podwójna rodziła podwójną przyrodę.

Cętkowane nasiona czarnej barwy do złudzenia przypominały z kształtu kamienie wielkości głowy ludzkiej. Niektóre przeżyją i w ciągu najbliższych sześciuset tysięcy dni staną się dorosłymi drzewami. Laintal Ay kopnął jedno niedbale i poszedł zobaczyć, jak się ma zwiadowca. Był ranny, przeszyty ostrym grotem fagorzej włóczni. Skitosherill z Laintalem Ayem pomogli mu dowlec się do miejsca, gdzie siedzieli Aoz Roon ze służącą. Ze zwiadowcą było źle, krwawił obficie. Kucnęli przy nim bezradnie, patrząc, jak życie wycieka z jego łoni. Skitosherill rozpoczął skomplikowany obrządek religijny, na co Laintal Ay poderwał się ze złością.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do Embruddocku, nie rozumiesz? Zostaw tu zwłoki. Zostaw kobietę przy żonie. Śpiesz ze mną i Aozem Roonem. Czas ucieka.

Skitosherill wskazał martwego zwiadowcę.

– Jestem mu to winien. Stracę trochę czasu, ale muszę postępować zgodnie z nakazami wiary.

– Fugasy mogą wrócić. Nie tak łatwo się strachają, a nie bardzo możemy liczyć na, podobny uśmiech losu po raz drugi.

– Dobrze się spisałeś, barbarzyńco. Ruszaj, i obyśmy się jeszcze spotkali.

Laintal Ay przystanął i obejrzał się na odchodne.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej żony. Aoz Roon przytomnie nie wypuścił cugli dwóch jajaków, kiedy wybuchły radzababy. Pozostałe zwierzęta uciekły w panicznym galopie.

– Usiedzisz w siodle?

– Tak, usiedzę. Pomóż mi, Laintalu Ayu. Dojdę do siebie. Poznać mowę rodzaju fagorzego to inaczej widzieć świat. Dojdę do siebie.

– Wsiadaj i w drogę. Boję się, że nie zdążymy ostrzec Embruddocku na czas.

Ruszywszy z kopyta zostawili za sobą zagajnik, w którego cieniu szary Sibornalczyk klęczał pogrążony w modlitwie.

Dwa jajaki szły wytrwale ze zwieszonymi nisko łbami, patrząc obojętnie przed siebie. Do gubionego przez nie łajna złaziły się spod ziemi żuki i wtaczały owe skarby do swoich piwnic, mimowolnie siejąc przyszłe knieje. Widoczność ograniczały wzniesienia następujące jedno po drugim,

Jak fale. Tutaj, w tym pejzażu, sterczało więcej kamiennych kolumn sprzed stuleci, ze znakiem koła zatartym przez erozję lub wilgotne porosty. Laintal Ay pośpieszał przodem czujnie przepatrując drogę, co i rusz ponagłając Aoza Roona. Nizina roiła się od band wędrowców zmierzających we wszystkich kierunkach, lecz trzymał się od nich jak najdalej. Mijali też obrane z mięsa trupy, niektóre jeszcze w strzępach odzieży; spalone ptaszyska poobsiadały te pomniki życia, a raz wypatrzyli przemykającego szablozora. Zimny front doganiał ich chmurami od północy i wschodu. Na pozostałym kawałku czystego nieba Freyr z Bataliksą wisiały sklezione ze sobą tarczami. Jajaki przeszły teren Rybiego Jeziora, gdzie dla upamiętnienia cudu Shay Tal wiele zim temu wzniesiono kopiec w nieistniejącej toni; pokonywały jedno z uciążliwych wzniesień, gdy zerwał się wiatr. Świat mroczył coraz bardziej. Laintal Ay zsiadł i stanął przy jajaku, gładząc zwierzę po chrapach. Aoz Roon przygnębiony tkwił w siodle. Zaczynało się zaćmienie. Raz jeszcze, dokładnie tak, jak przepowiedziała Vry, wycinała Bataliksą gryz fagorzy ze świecącej obręczy Freyra. Powolny i nieubłagany proces miał doprowadzić do całkowitego zniknięcia Freyra na pięć i pół godziny. Parę mil od nich młody kzhahn odbierał swój upragniony znak.

Słońca pożerały własną światłość. Przeróżliwy strach ogarnął Laintala Aya, zmroził mu łon. Na dziennym niebie zapaliły się gwiazdy. Laintal Ay zamknął oczy i przylgnął do jajaka, kryjąc twarz w rdzawej sierści. Opadło go dwadzieścia ślepot i z duszą na ramieniu żądał od Wutry zwycięstwa w niebiosach. Lecz Aoz Roon podniósł oczy na niebo i ze zgrozą łagodzącą jego ostre rysy, zawołał:

– Teraz umrze Hrrm-Bhhrd Ydohk!

Zdało się, że czas stanął. Z wolna jaśniejsze światło gasło za słabszym. Dzień nabrał trupiej szarości. Laintal Ay otrząsnął się z przerażenia i chwyciwszy Aoza Roona za kościste ramiona utkwiał spojrzenie w tym znanym sobie, choć odmienionym obliczu.

– Coś powiedział do mnie przed chwilą?

Aoz Roon wybełkotał nieprzytomnie:

– Dojdę do siebie, znów będę sobą.

– Pytałem, coś powiedział.

– Tak... Wiesz, że ich smród, ów mleczny odór przesycą wszystko. Z ich mową jest tak samo. Wszystko odmienia. Spędziłem z Yhammem-Whrrmarem pół śródpowietrznego kanonu na rozmowach. O wielu sprawach. Sprawach niepojętych dla mej olonetojęzycznej świadomości.

– Mniejsza o to. Coś ty powiedział o Embruddocku?

– Coś, o czym Yhamm-Whrrmar wiedział, że nastąpi tak nieuchronnie, jakby to była przeszłość, nie przyszłość: że fagory zetrą Embruddock z powierzchni ziemi...

– Muszę jechać. Jedź ze mną, jeśli chcesz. Muszę wrócić i ostrzec wszystkich... Oyre... Dathkę...

Aoz Roon złapał go za ramię z nadspodziewaną siłą.

– Zaczekaj, Laintalu Ayu. Chwila, a dojdę do siebie. Miałem gorączkę kości. Straciłem przytomność. Mróz przeszył moje serce.

– Nigdy nie znajdowałeś usprawiedliwienia dla innych. Teraz szukasz usprawiedliwienia dla siebie.

Cień dawnego Aoza Roona pojawił się w twarzy starszego mężczyzny, kiedy mierzył wzrokiem Laintala Aya.

– Wyrosłeś na porządnego człowieka, spod mojej ręki, byłem twoim lordem. Posłuchaj. O tym, co teraz mówię... o tym wszystkim nigdy nie myślałem, dopiero podczas pobytu na wyspie przez pół śródpowietrznego kanonu. Pokolenia rodzą się i fruną własną drogą, po czym lądują w świecie dolnym. Tylko po to, żeby zostawić po sobie dobre wspomnienia.

– Ja będę ciebie dobrze wspominał, ale jeszcze nie umarłeś, chłopie.

– Rasa ancipitalna wie, że czas jej przeminął. Idą lepsze dni dla mężczyzn i kobiet. Słońce, kwiaty, rzeczy piękne. Kiedy ślad po nas zaginie. Dopóty zrąb Hrl-Ichor Yhar nie opustoszeje.

Laintal Ay wyrwał się klnąc i nie rozumiejąc, o czym on gada.

– Mniejsza o jutro i co tam jeszcze. Świat to dzień dzisiejszy. Ja jadę do Embruddocku.

Dosiadł ponownie jajaka i popędził go piętami. Poruszając się ospale, jak gdyby wyrwany ze snu, Aoz Roon poszedł za jego przykładem.

Szarość mętniała, jakby zachodziła w niej fermentacja. Po godzinie Freyr był w połowie zeżarty i cisza aż kłuła w uszy. Dwaj jeźdźcy mijali zastygłe w pomroce grupki. W dalszej drodze zauważyli zbliżającego się pieszo mężczyznę. Biegł wolno, lecz miarowo, pracując nogami i rękami. Przystanął na szczycie wzniesienia i wlepił w nich oczy, w każdej chwili gotów do ucieczki. Laintal Ay położył prawicę na rękojeści miecza. Nawet w tej szarówce nie można było się pomylić co do tej korpulentnej postaci, grzywy włosów i widlastej brody sownie upstrzonej siwizną. Laintal Ay zawołał go po imieniu i spał wierzchowca.

Raynil Layan potrzebował dłuższej chwili na przekonanie się o tożsamości Laintala Aya, jeszcze dłuższej, żeby rozpoznać kościstego Aoza Roona z martwym spojrzeniem. Wielkim łukiem ominąwszy rogi jajaka złapał Laintala Aya lepką dłonią za nadgarstek.

– Jeszcze jeden krok, a dołączę do moich przodków. Wy dwaj przeszliście gorączkę kości i życie. Ja mogę nie mieć tyle szczęścia. Mówią, że wysiłek fizyczny wszystko pogarsza... wysiłek z kobietą albo przy czymś innym. – Złapał się za zdyszana pierś. – Oldorando przeżarła zaraza. Nie uciekłem w porę, taki ze mnie dureń. To właśnie głoszą te okropne znaki na niebie. Grzeszyłem... chociaż bynajmniej nie aż tak, jak ty, Aozie Roonie. Ci nabożni pielgrzymi mówili prawdę. Przyzywają mnie mamiki.

Siadł na ziemi sapiąc i ściskając głowę z rozpacz. Łokieć wsparł na sakwie.

– Mów, co słyhać w mieście – niecierpliwie rzekł Laintal Ay.

– Nie pytaj o nic, daj mi spokój... Daj mi umrzeć.

Laintal Ay zsunął się z siodła i kopnął lorda mennicy w tyłek.

– Co w mieście... poza zarazą? • Raynil Layan podniósł zaczerwienioną twarz.

– Wojna domowa. Jakby nie dość było plagi moru, twój szanowny przyjaciel, drugi lord Zachodniego Stepu, próbuje zająć miejsce Aoza Roona. Boleję nad naturą ludzką. – Zanurzony

garść w mieszkku zawieszonym u pasa, wydobył kilka błyszczących monet, świeżo wybitych roonów z własnej mennicy. – Pozwól, że odkupię twojego jajaka, Laintalu Ayu. Chyba nie jest ci potrzebny o godzinę drogi od domu. A mnie jest...

– Opowiedz mi więcej, zgniłku. Co z Dathką, nie żyje?

– Kto wie? Pewnie i nie żyje do tej pory... Wyjechałem zeszłej nocy.

– A fagorze komponenty przed nami! Jak je przeszedłeś – opłacając drogę?

Raynil Layan machnął jedną ręką, drugą chowając swoje pieniądze.

– Mnóstwo ich pomiędzy nami a miastem. Miałem przewodnika Madisa, który je wymijał. Kto może wiedzieć, co knują te śmierdziele. – Jakby coś sobie nagle przypomniawszy, dodał: – Wiedz, że wyjechałem nie ze względu na siebie, rzecz jasna, ale dla dobra tych, których miałem obowiązek chronić. Inni z mej grupy zostali w tyle. Ograbiono nas z mustangów, ledwo wczoraj wyjechaliśmy z miasta, więc nasz pochód...

Warcząc jak dziki zwierz Laintal Ay złapał go za kłapy i postawił na nogi.

– Inni? Inni? Kto jest z tobą? Kogoś zostawił i dał nogę, ty dęty pęcherzu? Zostawiłeś Vry?

Raynil Layan skrzywił się.

– Puść mnie. Ona woli swoją astronomię. Przykre, ale prawdziwe. Została w mieście. Bądź mi wdzięczny, Laintalu Ayu, ja uratowałem twoich przyjaciół, a właściwie rodzinę twoją i Aoza Roona. Więc oddaj w moje ręce swego okropnego jajaka...

– Później się z tobą porachuję.

Pyrgnąwszy Raynilem Layanem wskoczył na grzbiet wierzchowca. Ostro popędzając pokonał wzniesienie i nawołując ruszył ku następnemu. W synklinie pod szczytem znalazł ukrytych troje ludzi z małym chłopcem. Madiski przewodnik leżał z twarzą wciśniętą w stok, wciąż strwożony stygmatami nieba. Dol, kurczowo tuląca Rastila Roona, i Oyre były przy nim. Chłopiec płakał. Obie kobiety z przerażeniem wlepiły oczy w Laintala Aya, który zsiadł z wierzchowca i zbliżał się do nich. Poznały go dopiero, gdy przygarnął je do siebie, wołając po imieniu.

Oyre także przeszła przez igielne ucho gorączki. Oboje stali nie mogąc się sobie napatrzeć, śmiechem i okrzykami witając swe skóry i kości. Wtem Oyre wybuchnęła płaczem i śmiechem jednocześnie i wtuliła się w jego ramiona. Tak splecionych twarz przy twarzy zastał Aoz Roon, który ujął pulchną rączkę syna i ramieniem opasał Dol. Łzy płynęły mu po wymizerowanych policzkach.

Kobiety pokrótce opowiedziały o ostatnich, tragicznych wydarzeniach w Oldorarido, a Oyre opisała Laintalowi Ayowi zakończoną niepowodzeniem próbę przejęcia władzy przez Dathkę. Dathka nadal przebywał w mieście, podobnie jak wielu innych. Kiedy Raynil Layan przyszedł do Oyre i Dol z propozycją zabrania ich w bezpieczne miejsce, przystały na to. Co prawda podejrzewały, że pragnie wynieść cało własną skórę z miasta, ale z obawy, że Rastii Roon może złapać plagę, zgodziły się bez wahania i wyruszyły z nim w wielkim pośpiechu. Z powodu niedoświadczenia Raynila Layana już na samym początku rabusie borlieńscy okradli ich z dobytku i wierzchowców.

– A fagory? Zaatakują miasto?

Kobiety nie umiały powiedzieć nic ponad to, że miasto wciąż trwa, pomimo chaosu w obrębie murów. Lecz kiedy się wymykały, pod murami rzeczywiście stanęły nieprzeliczone hordy strasznych fugasów.

– Będę musiał wrócić.

– To ja wracam z tobą... nie opuszczę cię więcej, mój – drogi – powiedziała Oyre. – Raynil Layan może robić, co mu się podoba. Dol i chłopiec zostają z ojcem.

Kiedy tak gawędzili wśród uścisków, dym rozsnuł się od zachodu ponad niziną. Zbyt zajęci,

zbyt szczęśliwi, nic nie spostrzegli.

– Widok syna przywraca mi życie – rzekł Aoz Roon, przygarnawszy dziecko i otarłszy rękawem oczy. – Dol, jeśli możesz puścić w niepamięć to, co było, od dziś znajdziesz we mnie lepszego – męża.

– Wyrażasz skruchę, ojciec – powiedziała Oyre. – Ja pierwsza winnam to uczynić. Teraz wiem, jak samowolnie zachowywałam się wobec Laintala Aya i w rezultacie omal go nie utraciłam.

Widząc łzy w jej oczach Laintal Ay bezwiednie wspomniął swoją snoktruikę z królestwa pod radżababami i przyszło mu na myśl, że tylko dzięki temu, że Oyre omal go nie utraciła, mogli się teraz nawzajem odnaleźć. Utulił ją, lecz wyrwała się z jego objęć.

– Wybacz mi, a będę twoja... i nigdy już taka samowolna, przysięgam.

Z uśmiechem przyciągnął ją znów do siebie.

– Zachowaj odrobinę woli. Jest potrzebna. Musimy się jeszcze wiele nauczyć i musimy się zmienić, tak jak zmieniają się czasy. Wdzięczny ci jestem za twą mądrość, za to że zmusiłaś mnie do działania.

Przyłgnęli do siebie czule, kurczowo czepiając się swych wychudzonych ciał, całując kruche wargi.

Madis przewodnik wracał do przytomności. Powstał przyzywając Raynila Layana, lecz mistrz menniczny dał nogę. Dymy gęstniały, mieszając swoje popioły z popielatą barwą nieba. Aoz Roon zaczął opowiadać Dol o swych przejściach na wyspie, ale Laintal Ay mu przerwał.

– Jesteśmy znów razem, co zakrawa na cud. Jednak Oyre i ja musimy wracać do Embruddocku. Z pewnością tam nas potrzebują.

Para strażników zniknęła za chmurami. Dął wiatr, niepokojąc porywami nizinę. To właśnie ten wiatr, wiejący od Embruddocku, rozsnuwał wici pożaru. Dym był już gęstszy niż chmury. Jak całun osnuł wszystkie żywe istoty – przyjaciół i wrogów – rozproszone po nizinie. Spowił wszystko. Z dymem napływał swąd spalenizny. Hen w górze leciały na wschód stada gęsi.

Figurki ludzkie, skupione wokół pary rogatych zwierząt, reprezentowały trzy pokolenia. Zaczęły się przesuwać w niknącym z oczu pejzażu. Miały przeżyć, chociaż wszyscy inni zginęli, chociaż kzahhn triumfował, albowiem to się właśnie wydarzyło.

W płomieniach trawiących Embruddock rodziło się nowe. Na Helikonii pod ancipitalną maską Wutry szalał Siwa – bóg śmierci i odrodzenia.

Zaćmienie było teraz całkowite.

KONIEC CZEŚCI PIERWSZEJ

*Jeśli wierzysz, że dawniej wszystko już było, ale
Ludzie wszyscy zginęli w strasznym słońca upale
Albo runęły miasta w nagłym trzęsieniu ziemi,
Albo woda, wezbrana deszczami przeciągłymi,
Miasta i wsie zalala, granice skradłszy brzegom -
Musisz swój umysł skłonić do potwierdzenia tego,
Że i ziemia, i niebo zguby swej nie uniknie
Bo jeśli świat przenosił tak liczne, tak niezwykle
Wstrząsy i choroby, to już by ze szczętem zginął,
Gdyby się zetknął z jeszcze bardziej zgubną przyczyną.*

Lukrecjusz O naturze Wszechrzeczy. 55 p. n. e.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Prolog: JULI.	4
EMBRUDDOCK..	73
I. ŚMIERĆ DZIADKA..	74
II. PRZESZŁOŚĆ JAK SEN..	83
III. SKOK Z WIEŻY..	98
IV. KORZYSTNE GRADIENTY TEMPERATURY..	108
V. ZACHÓD DWOJGA SŁOŃC..	119
VI. „GDYM ZALAŁ SIĘ JAK GŁUPPOCK...”.	138
VII. ZIMNE POWITANIE FAGORÓW...	156
VIII. OBSYDIANIADA..	171
IX. W MUSŁANGACH I BEZ..	204
X. WIELKI CZYN LAINTALA AYA..	235
XI. ODCHODZI SHAY TAL..	244
XII. LORD WYSPY..	264
XIII. WIDOK Z PÓLROONÓWKI.	277
XIV. PRZEZ UCHO IGIELNE..	301
XV. SWĄD SPALENIZNY..	323